

Steven Phillip Smith

Amerykańscy chłopcy

Przełożył Bronisław Zieliński

Państwowy Instytut Wydawniczy

Tytuł oryginału •AMERICAN BOYS»

Okładkę i strony tytułowe projektowała MARIA IHNATOWICZ

Copyright © 1975 by Steven Phillip Smith Published by agreement with Scott Meredith Literary Agency, Inc., 845 Third Avenue, New York, N. Y. 10022

Copyright © for the Polish edition by Państwowy Instytut Wydawniczy Warszawa 1980

PRINTED IN POLAND

Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1991 r.

Wydanie pierwsze

Nakład 29850+150 Ark. wyd. 23,9. Ark druk 28.5

Papier offset, kl. III, 80 g, format 82X104/32

Druk i oprawę z gotowych diapozytywów

wykonała Wojskowa Drukarnia w Gdyni

Żarn. nr 3243.

ISBN 83-06-00477-9

OD AUTORA

Pragnę podziękować wszystkim, którzy podczas pisania Amerykańskich chłopców czytali tekst, oceniali go i udzielali mi zachęty. Chciałbym szczególnie podziękować Richardowi Lillardowi za jego mądre i cierpliwe sugestie, kiedy pomagał mi ruszyć tę powieść z miejsca, Gary'emu Lepperowi za jego entuzjazm i komentarze do pierwszych jej szkiców, Jayowi Neugeborenowi za uważne przeczytanie zasadniczej wersji, Louise Goldhaber — sama wie za co, Bobowi Warde za ogólne sugestie i wnikliwą ocenę wersji ostatecznej oraz mojej żonie, Wendy, za nieustanne poparcie i rzeczową pracę redaktorską, dokonaną wtedy, gdy jej najbardziej potrzebowałem. Żałuję, że Harvey Swados nie żyje i nie może ujrzeć niniejszej książki w druku. Jako mój profesor w Uniwersytecie Stanu Massachusetts, poświęcił wiele godzin na udzielanie mi rozsądnych rad, a pod koniec studiów dopomógł opracować pierwszy spoisty szkic tej powieści. Mam nadzieję, że te stronicie uzasadnią jego wiarę we mnie.

S.P.S.

Thomas Slagel ledwie zdążył się wcisnąć między dwóch strzelców na wąskie winylowe siedzenie, kiedy helikopter oderwał się od ziemi. Maszyna wzniosła się na sześć stóp, przeleciała dziesięć jardów w lewo, skręciła o sto osiemdziesiąt stopni, opuściła nos i pomknęła w górę coraz dalej od brunatnej trawy lądowiska. Slagel włożył magazynek w swój M-16, oparł kolbę między butami i ścisnął lufę patrząc, jak naprężają mu się postronki mięśni na ogorzałych, owłosionych przedramionach.

Cztery helikoptery transportowe, wiozące pluton strzelców, leciały prawie równym szykiem rombowym. Jeden na przedzie, za nim dwa obok siebie i jeden w tyle. Po obu stronach szyku leciały dwa helikoptery bojowe z plutonu wsparcia, jeden nad samymi czubkami drzew, a drugi o jakieś dwieście stóp wyżej. Slagel był w ostatniej maszynie.

Lecieli na wschód przez piętnaście minut, po czym okrążyli wąską polanę w dżungli. Jeden śmigłowiec bojowy wznosił się, drugi opuścił, aż znalazły się na równej wysokości z transportowymi, po czym wszystkie sześć zaczęły schodzić razem.

Usiłował popatrzeć przed siebie, ale strzelec pokładowy zasłaniał mu widok. Podniósł swój karabin, odciągnął zamek i zarepetował wprowadzając nabój do komory. Z bocznych kaemów śmigłowca bojowego trysnęły pomarańczowe

pociski smugowe, rakiety poczęły dymiąc wylatywać z w rzutni ze świstem przypominającym nagłe podmuchy wi tru. Strzelec pokładowy otworzył ogień. Slagel odwrócił głowę, gdy wyrzucane łuski zaczęły odbijać się od jego hełmu. Przewrócił dźwignię bezpiecznika na ogień ciąg. Kiedy śmigłowiec osunął się w rzadki obłok dyn i dotknął płozami ziemi, Slagel wyskoczył, postąpił dwoma krokami naprzód, padł na brzuch i wypruł osiemnaście ładów ków w krzaki. Po to tu jesteśmy — myślał — ja, Padge Chambers i Morgan; byle tylko uciec od tej nudy w Fi dzie. Odlatujące śmigłowce rozdmuchały rosistą trawę, która lśniła w słońcu, gdy po jej cienkich źdźbłach pię się w górę maleńkie paciorki wilgoci. W powietrzu wisi przyjemny zapach prochu i płonącego fosforu. Slagel wci nał świeży magazynek w karabin.

— Ruszamy! — ryknął sierżant-szef.

Dowódca plutonu wkroczył w zarośla, za nim radiot legrafista, sierżant-szef i dowódca pierwszej drużyny. Slagel patrzył, jak wysokie trawy rozchyłały się i zwierzał roztrącane butami dowódcy-oddziału.

— Zasuwasz, Tom — odezwał się Irwin szturchając go karabinem.

Slagel wszedł między mokre krzaki, a za nim Irwin i reszta drużyny. Zatrzymali się po jakichś stu jardach. Kapitan Webber, dowódca plutonu, mówił coś przez radio ale unoszący się nad nimi czołowy śmigłowiec bojowy z głuśniał jego słowa. Maszyny transportowe już się oddaliły, zmierzając do bazy polowej.

Batalion rozpoznawczy był bodaj najciekawszą jednostką do jakiej mógł zostać przydzielony.

Pewnie w całej armii istniało niewiele podobnych. Poza kompanią sztabową miały cztery kompanie bojowe. Kompania D prowadziła rozpoznawanie naziemne na jeepach z zamontowanymi karabinami maszynowymi i z żołnierzami piechoty. Miał także pluton broni ciężkiej, wyposażony w granatniki i karabiny bezodrzutowe. Kompania C — jego własna — oraz A i to były kompanie śmigłowcowe.

Poza oddziałem wsparcia każda miała pluton zwiadowców, który latał małymi śmigłowcami obserwacyjnymi, pluton ogniowy na uzbrojonych maszynach oraz pluton strzelców, który przewożono co dzień zgrabnymi Hueyami i który przeprowadzał rozpoznawanie naziemne, kierowany

i osłaniany przez śmigłowce bojowe. O wiele to lepsze od nudnej służby w pułku kawalerii pancerniej, patrolującym w swych niezdarnych czołgach granicę między Niemcami zachodnimi a wschodnimi. Tutaj było się w samym sercu wydarzeń.

Slagel przykucnął ściskając napięte mięśnie uda. Ledwie trzy tygodnie w polu, a już miał nogi tak silne jak wówczas, kiedy grał w futbol. Po trzynastu miesiącach siedzenia na tyłku w Niemczech, jako zaopatrzeniowiec w Fuldzie, myślał, że już nigdy nie wróci do formy. Zwłaszcza po całym tym piwie. Jednakże dzięki upałom wypocił z siebie nadwagę, a po długim codziennym wspinaniu się na góry nogi miał jak z twardej gumy. Idealny gracz na beku — sześć stóp wzrostu, sto osiemdziesiąt pięć funtów. Obrócił się i żartobliwie szturchnął Irwina.

— Szykuję się do akcji.

— Musisz poczekać, aż ci wąsy wyrosną.

— Jeszcze dwa tygodnie i będą całkiem jak piczka. — Pogładził szczecinę na górnej wardze, a Irwin podkręcił nastroszone blond wąsiska, które wyglądały komicznie na jego dziecinnej twarzy.

— To lepiej uważaj.

— Spokojna głowa.

Te krótkie wąsiki zdradzały od razu, że jest nowy i prawiczek, jeżeli idzie o walkę. Ale nikt się z nim nie przekomarzał, prawdopodobnie ze względu na jego wzrost. Odkąd Irwin, który pochodził z Ohio i widział Slagela w telewizji, opowiedział innym o jego wyczynach na boisku, odnosili się do niego tak, jak gdyby był w boju od roku. Może i mieli rację. Na to, żeby iść do walki, wystarczyło dostać powołanie do wojska. Albo zgłosić się na ochotnika, tak jak on i jego trzej kumple. Kiedy pluton ruszył pod górę, Slagel obejrzał się na drugą drużynę, ale Padgett miał pochyloną głowę i wyciągniętą ręką rozsuwał krzaki.

Obrócił się w przód i mokra gałąź chlasnęła go w poi czek. Niech to cholera! Jak dotąd, nie żałował, że zgłosił się na ochotnika. Wrócił do formy, nie zanudzał się śmiercią gównianą robotą, a co najważniejsze, wziął tył w troki i wyniósł się z tej pieprzonej Fuldy. Mogli go rąbnąć za pięć minut, ale przynajmniej nie byłoby to w Fuldzie. Najbardziej chromolone miejsce, w jakim si kiedykolwiek znalazł. Sama myśl o Fuldzie sprawiała, że przyginał się bardziej ku butwiejącej górskiej ziemi i moc niej podciągał nogi.

Dobrze mu było w pierwszej drużynie. Człowiek miał wgląd we wszystko, co się działo, był blisko dowódcy plutonu i podoficerów. Wszyscy zaczynali go lubić. Nie tylko dlatego, że kiedyś grał w futbol, ale ponieważ ostro ha rował, a broń utrzymywał w czystości. W zeszłym tygodniu kazali mu nawet poprowadzić dwa małe patrole Wilgoć nie bardzo mu przypadła do gustu, ale pora deszczowa właściwie już minęła i chociaż jeszcze lało co dru gi dzień, musiało się to skończyć po Nowym Roku. Oc dwóch tygodni słońce pokazywało się co dzień, bijąc ju; roczny rekord Fuldy. Ręka Webbera podniosła się w lewo w skos dając plutonowi znak „stój”. Slagel podsunął się do dowódcy oddziału.

— Uważaj! — Czarna ręka rąbnęła go w brzuch i wska zała w dół. Zaostrzone pale, „bundzi”, sterczały skośnie z ziemi, jak małe oszczepy.

— Cholera! Jest ich chyba ze sto. — Pochylił się i wyrwał jeden- z nich.

— Ostrożnie! Óni je maczają w gównie albo w tru-ciźnie.

Nacisnął lekko szpic kciukiem. Nie taki ostry, ale mógł zrobić paskudną dziurę w nodze, jakby się na niego wlało.

Webber porozumiał się przez radio, po czym zebrał dowódców drużyn na czole plutonu. Trzecią wyznaczył do oczyszczenia przejścia między palami, a reszta zasiadła i wyciągnęła racje żywnościowe. Znalezione świeże śla-

10

Obrócił się w przód i mokra gałąź chlasnęła go w poi czek. Niech to cholera! Jak dotąd, nie żałował, że zgłosił się na ochotnika. Wrócił do formy, nie zanudzał się śmiercią gównianą robotą, a co najważniejsze, wziął tył w troki i wyniósł się z tej pieprzonej Fuldy. Mogli go rąbnąć za pięć minut, ale przynajmniej nie byłoby to w Fuldzie. Najbardziej chromolone miejsce, w jakim si kiedykolwiek znalazł. Sama myśl o Fuldzie sprawiała, że przyginał się bardziej ku butwiejącej

górskiej ziemi i moc niej podciągał nogi.

Dobrze mu było w pierwszej drużynie. Człowiek miał wgląd we wszystko, co się działo, był blisko dowódcy plutonu i podoficerów. Wszyscy zaczęli go lubić. Nie tylko dlatego, że kiedyś grał w futbol, ale ponieważ ostro ha rował, a broń utrzymywał w czystości. W zeszłym tygodniu kazali mu nawet poprowadzić dwa małe patrole. Wilgoć nie bardzo mu przypadła do gustu, ale pora deszczowa właściwie już minęła i chociaż jeszcze lało co drugi dzień, musiało się to skończyć po Nowym Roku. O dwóch tygodniach słońce pokazywało się co dzień, bijąc już roczny rekord Fuldy. Ręka Webbera podniosła się w lewo w skos dając plutonowi znak „stój”. Słagel podsunął się do dowódcy oddziału.

— Uwważaj! — Czarna ręka rąbnęła go w brzuch i wskażała w dół. Zaostrzone pale, „bundzi”, sterczały skośni z ziemi, jak małe oszczepy.

— Cholera! Jest ich chyba ze sto. — Pochylił się i wyrwał jeden z nich.

— Ostrożnie! Oni je maczają w gównie albo w truciźnie.

Nacisnął lekko szpic kciukiem. Nie taki ostry, ale mógł zrobić paskudną dziurę w nodze, jakby się na niego wlało.

Webber porozumiał się przez radio, po czym zebrał dowódców drużyn na czole plutonu. Trzecią wyznaczył do oczyszczenia przejścia między palami, a reszta zasiadła i wyciągnęła racje żywnościowe. Znalezione świeże śla-

dy stóp odchodzące w bok, a pale były niedawno zaostrzone.

— Mogą być blisko — powiedział Webber do sierżanta-szefa. — Trzeba się dzisiaj pilnować.

Słagelowi serce zabiło i trącił Irwina. Irwin obojętnie wzruszył ramionami, ale widelec z płatem indyka zadrżał mu w ręce, kiedy podnosił go do ust.

Nic dziwnego, że ślady stóp były świeże. Wietkong musiał wiedzieć, co robili. Pluton rozpoznawał góry na północny wschód od Ban Me Thuot prawie od miesiąca tak metodycznie, że każdy dureń mógł się połapać. Co dzień wdrapywali się po którejś z kilku grani, zbiegających od grzbietu pasma górskiego, szli po tym grzbiecie, a potem schodzili inną granią. Jeżeli Wietkong tam był, wystarczyło mu przejść co dzień inną granią i przywarować albo zastawić parę pułapek. Pięciu tych małych diabłów mogło zakorkować pluton na miesiąc.

Cholera z tym. Nie martwił się. Sierżant-szef Austin wie, co robi. Dwie Brązowe Gwiazdy i jedna Srebrna z Korei, a podobno zabił więcej Chińczyków, niż mógł spamiętać. Kapitan Webber też jest okej. Był sierżantem, zanim poszedł do szkoły oficerskiej, więc nie żaden lipny pan. A co dzień maszerował na czele oddziału, co dowodziło, że nie jest cykor.

Śmigłowce bojowe przeleciały nisko nad grzbietem góry, sto jardów ponad plutonem, siejąc ogniem maszynowym i raketami po gęstych krzakach i drzewach. Nadlatywały dwukrotnie, po czym zawróciły do bazy polowej, a zastąpił je nowy zespół. Maszyna czołowa nawiązała kontakt radiowy z Webberem i pluton ruszył na zbocze góry.

Zatrzymali się pięć minut na szczycie, po czym zaczęli posuwać się ostrożnie ku północy po grzbiecie. Szło się łatwiej niż podczas porannej wspinaczki, ale serce biło Słagelowi szybciej z napięcia.

Po godzinie zatrzymali się znowu. Z grzbietu odchodziła ścieżka znikająca dwadzieścia stóp dalej w gęstym podszyciu. Powierzchnia jej była śliska od błota, bez żadnych śladów stóp.

11

— Blue, tu Cztery-jeden — zaskrzeczało radio. — u was?

— Cztery-jeden, tu Blue — odpowiedział Webber. Znaleźliśmy jeszcze jedną ścieżkę na zachodnim zboczu; Możecie sprawdzić?

— Tak jest.

Śmigłowiec bojowy szybko opuścił się kilka razy na ścieżkę.

— Tu Cztery-jeden. Nic nie widzimy poza czymś, wygląda na zawaloną chatę. Za stara, żeby ktoś jej używał.

— Zrozumiałem, Cztery-jeden. Wyślę patrol. Może ty tam wpakowali parę ładunków?

— Tak jest.

— Slagel, do mnie! — zawołał Webber.

— Na rozkaz. — Jego głos utonął w warkocie maszyn. Przykucnął obok dowódcy plutonu.

— Weźcie kogoś ze swojej grupy ogniowej i rozpoznajcie tę ścieżkę. Dwieście do trzystu metrów. Wygląda to, że po kilku metrach powinna biec równoległe do trzech szybkich strzał, gdybyście się w coś wkleili. \ prowadzicie.

— Tak jest!

Zabrał Irwina i ruszyli ścieżką. Dziwnie się czuł ja prowadzący z uwagi na doświadczenie bojowe tamtej Ale Irwin był tylko starszym szeregowcem, a Slagel awansowano na kaprała tuż przed wyjazdem z Ful^u. Znow dzięki futbolowi, bo jego nowy dowódca, jakiś oficer (rezerwy z Ohio, widział go na boisku. Dostyc myślei o tym. Ma ścieżkę do rozpoznania.

Ścieżka nie biegła tak, jak przypuszczał Webber. Wpasy w zarośla skręcała kawałek w kierunku północny potem prowadziła dwadzieścia metrów na zachód i wreń cie wiła się wężowato na południe. Co za cholera? W ten sposób pluton musiał być przynajmniej powyżej niej. Potem ścieżka znowu skręcała na zachód, a po pięćdziesięciu metrach rozszczepiała się na trzy wąskie droż

12
Słyszał krążące w górze śmigłowce, ale nic nie mógł dojrzeć.

Irwin przeszedł kilka metrów jedną z tych nowych ścieżek i wrócił potrząsając głową.

— Nic tam nie ma, Tom.

— Cholera! — Slagel zerknął przez ramię, po czym obrócił się do przodu. Nagle coś zawyło mu w uchu, a prawą stronę głowy jakby ogarnął ogień. Okręcił się w miejscu i dał nura za drzewo. — Dostałem! Dostałem! — Zdawało mu się, że strzela w niego z osiemdziesiąt armat, po czym wszystko ucichło. Przesunął palcami prawej ręki po skroni, a kiedy je odjął, były czerwone od krwi.

Irwin podczołgał się do niego.

— Nic ci nie jest?

— Nie wiem.

— Wygląda tylko na obcierkę.

Ogień zaczął się znowu. Slagel wysunął swój M-16 zza drzewa i wywalił magazynek ogniem ciągłym. Próbował wstać, ale w drzewo trzaskały kule. Przypadł na powrót, wystrzelił trzy serie, cisnął dwa granaty odłamkowe i jeden z białym fosforem, najdalej jak mógł. Wtulił twarz w mały krzak i słuchał wściekłego bicia serca.

— Co ty na to? — szepnął Irwin.

— A ty? Widziałeś tego więcej niż ja.

— Bo ja wiem?

— No, jest taki numer, którego nauczyłem się w kinie. — Zawiesił hełm na lufie karabinu i wytknął go zza drzewa. Nic. Potrząsnął nim. Wciąż nic. — Ja to pieprzę, Irwin. Idę tam.

— Chcesz, żebym też poszedł?

— Kryj mnie.

Nałożył hełm i wolno poczołgał się w kierunku zapachu fosforu. Zmartwiał, kiedy usłyszał jęki. Po chwili zaczął się czołgać znowu. Jeden z tamtych musiał oberwać. Rozgarnął wysoką trawę i ujrzał tuż przed sobą głowę z czarnymi włosami. Nie mógł się poruszyć, dopóki nie uświadomił sobie, że ten człowiek nie żyje. Gdzieś na prawo jęczzenie odezwało się znowu.

13

Wstał trzymając w pogotowiu karabin z nasadzonym bagnetem i wyszedł na małą polankę, ocienioną wysokimi drzewami. Kiedy odwrócił nogą trupa, wnętrzości wypadły na ziemię. Podszedł do jęczącego partyzanta. Jego czarne spodnie były rozdarte, noga w strzępach. Jedną rękę przyciskał do piersi, a między palcami wyciekała krew. Drugą miał wyciągniętą do góry.

Slagel podniósł do ramienia kolbę i nakierował muszkę na jego twarz. Celował chwilę, po czym opuścił karabin. Odetchnął gwałtownie i potrząsnął głową. Nie zabija się jeńców, nawet jeżeli są półmartwi. Przewiesił broń przez ramię, potem podniósł leżący obok zabitego karabin kaliber trzydziestki, wyjął magazynek i odciągnął zamek wyrzucając nabój wprowadzony do komory. Zawiesił broń na ramieniu razem z własną.

Ranny ważył mniej niż sto funtów. Starając się stłumić jęki, Slagel przerzucił go sobie przez drugie ramię. Objął rękami krwawiące nogi, chociaż mierziła go lepka skorupa na czarnych spodniach. Kiedy wrócił do Irwina, cały przód jego drelchów był nasiąknięty krwią.

— Mieli tylko jedną broń na dwóch — powiedział. Złożył rannego na ziemi i rzucił jego karabin Irwinowi.

— To wszystko, co zabierają. Jeden nosi karabin, a drugi ryż. Zamieniają się. O rany! Co z nim jest?

— Chyba wyżyje. Drugi zabity.

— Dobrze poszło. A tobie nic się nie stało?

— Nie. Spływajmy stąd.

Znowu zarzucił sobie rannego na ramię i pobrnął ścieżką. Pięćdziesiąt metrów dalej napotkali całą trzecią drużynę. Zatrzymał się oddychając ciężko i popatrzał na nich.

— Co to było? — zapytał dowódca drużyny. Opowiedział mu.

— A po licha przytachałeś tego?

— Jeszcze żyje.

— Nie pociągnie długo. Chcesz go wykończyć od razu, to nic nie powiemy.

— Nie trzeba.

— Pomóc ci go nieść?

14

— Dam radę. — Uśmiechnął się do dowódcy drużyny i odszedł. W uszach mu dzwoniło, głowa pulsowała, ale chciał nieść jeńca przez całą drogę. Pot szczypał go w skronie. Osłabł dźwigając to poranione ciało i o mało się nie zerzygał, kiedy pomyślał o bebechach zabitego. Kiedy w końcu dobrnął do miejsca, gdzie czekał pluton, złożył jeńca i sam osunął się na ziemię bardziej zmordowany niż po przedsezonowych ćwiczeniach biegowych późnym latem.

— Dobra robota, Slagel — powiedział kapitan Webber. Razem z sanitariuszem ułożyli rannego na ścieżce.

— Tam jest jeden zabity, panie kapitanie.

— W porządku. — Webber odszedł i zaczął coś mówić przez radio.

Cam, drobny tłumacz, pochylił się nad jeńcem wykrzykując do niego pytania cienkim, jęklwym głosem. Jeniec nic nie odpowiadał. Cam potrząsnął nim, zadał na próżno jeszcze kilka pytań, a w końcu go trzepnął. Sanitariusz odpędził tłumacza.

Slagel zastanowił się, czy Cam naprawdę nienawidzi jeńca, czy też to jest tylko zagrywka. Nie sposób wiedzieć. Tłumacze często znikali wieczorem i połowa chłopców uważała, że pełnią podwójną służbę, pracują również dla Wietkongu. Skąd można było wiedzieć, czy południowi Wietnamczycy są przyjaźni, czy nie? Wszyscy nosili te czarne spodnie, wszyscy wyglądali podobnie.

Cholera z tym. Nie był tu po to, żeby się martwić, kto jest kim. Nie zależało mu na poznaniu Wietnamczyków ani ich obyczajów. Fulda wyleczyła go z mniemania, że cudzoziemcy są inni niż Amerykanie. Myślał, że tak jest, ale wystarczyło mu kilka tygodni, by sobie uświadomić, że Niemcy są tak samo złaknieni pieniędzy, tak samo zaprzątnięci najnowszą modą i samochodami jak ludzie, których pozostawił w kraju. Wietnamczycy mogą ubierać się inaczej czy chodzić do innego kościoła, ale niech tylko poznają smak zieleniaka, robią się tacy sami jak wszyscy inni. Sierżant-szef Austin przykucnął przed nim.

15

— Dobrze ci poszło, Slagel. Głowa w porządku. — Austin zerknął przez ramię, potem na niego. — Nie musiałeś tachać tu tego typu.

— Mógł mieć jakieś informacje. —> Wyczerpany, położył się na wznak i popatrzał w niebo.

— Próbował cię zabić. Mogłeś go rąbnąć. Nikt by nic nie powiedział. Ale dobrze się sprawiłeś.

Byle tak dalej.

Pluton ustawił się w szeregu, gdy zawisł nad nimi śmigłowiec opuszczając na linie nosze. Slagel wstał i odgarnął swoje brudne blond włosy, żeby sanitariusz mógł obmyć mu głowę i przykleić plaster gazę na ranie. Kiedy pluton brnął w dół, idący za Slagelem śmieli się i kołysali noszami

podrzucając obandażowanego i nastrzykanego morfiną jeńca.

Zarówno dowódca jego drużyny, jak i dowódca grupy powiedzieli mu, że powinien był zabić tego człowieka. Był on nieprzytomny — tłumacz żadną miarą nie mógł nic z niego wydobyć — i taskanie go z dżungli na cholerę się zdało. Co się wyrabia, psiakrew? Mieli jednego zabitego, ale nikt o to nie dbał. Ani o to, że on sam został ranny. Czuł się tak, jak gdyby głowa miała mu odpaść. — O, kurwa! — Głos doleciał zza niego, a potem śmiech i jęki. Jeniec leżał na ziemi, a noszowi ledwie mogli zachować powagę. — O Jezu, Slagel, dlaczego nie dałeś w czapę temu baranowi?

Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale tylko wzruszył ramionami i pobrnął dalej w dół. Nie było sensu tłumaczyć; dopiero uczył się, jak postępować. Ale walka to sprawa poważna — dla wszystkich — i z rannymi się nie pajacuje. To należało' sobie zachować na chłanie i kurwy. O rany, nawet nie wiedział, czy to on zabił tamtego drugiego. Może zrobiły to śmigłowce? Albo Irwin. Albo wszyscy razem. Nie czas się nad tym zastanawiać.

Jęki nieprzytomnego jeńca ustały, kiedy dotarli do rejonu lądowania. Pluton zatrzymał się w wysokich trawach na skraju polany, a Webber zaczął mówić przez radio.

— Cztery-pięć, tu Blue, odbiór.

16

— Tu Cztery-pięć, Blue.

— Może byście przysłali śmigłowiec, żeby zabrał nosze, odbiór.

— Już się robi.

— Nie trzeba, panie kapitanie — powiedział sanitariusz. — Skonał.

Slagel obrócił się, kiedy kapitan podchodził do noszy. Wietnamczyk leżał nieruchomo, z wargami rozwartymi jak u warczącego psa. Webber wrócił do radia i powiedział śmigłowcowi, żeby pozostał nad nimi.

— Okej — rzekł Austin wskazując kciukiem w bok. — Wywalcie go w krzaki.

Na punkcie sanitarnym dali Slagelowi pigułkę, po której minął mu ból głowy i uspokoiły się mdłości. Webber przyszedł, by mu raz jeszcze pogratulować, a w kilka minut później major Quinn, dowódca kompanii, przyniósł mu piwo. Pogadał z nim jak z doświadczonym weteranem i obiecał, że dostanie stopień sierżanta, jak tylko przyjdzie jego kolejka.

Sanitariusz przyniósł mu tackę z posiłkiem i drugie piwo. Pochłonał jedzenie, a piwo zabrał do namiotu, który dzielił z Irwinem. Przysiadłszy na trzystopowym obwałowaniu z worków piasku i pociągając piwo z puszki, nagle uświadomił sobie, że dostanie Fioletowe Serce, odznaczenie za ranę. Będzie jak dotąd pierwszym z całej czwórki, któremu coś dadzą. Ano, okazał się dzielny, tak jak przypuszczał. Może go nawet przedstawią do medalu.

Odchylił się w tył i uśmiechnął, kiedy Chambers i Padgett podeszli do namiotu. Nie minęły nawet cztery tygodnie, odkąd wylądowali w Sajgonie, przejęci wojną. Padgett, Murzyn, był prawie wzrostu Slagela, ale o dobre dwadzieścia funtów lżejszy i ruchliwy jak pchła. Głowa Chambersa sięgała ledwie kilka cali nad ramię Padgetta, ale jego przysadziste, krępe ciało było silne jak czołg. W Fuldzie powstrzymał Slagela od kilku bójek.

— Was ist los, panie Fioletowe Serce? — odezwał się

2 — Amerykańscy chłopcy

17

Padgett wyciągając rękę wewnętrzną stroną dłoni do góry.

— Już ostygłem. — Klapnął w tę dłoń. — Co u ciebie, Orville?

— W porządku — odrzekł Chambers, którego duża, kanciasta twarz była poważna jak zawsze. — A z tobą wszystko okej?

— Jakoś leci. — Spojrzał na przód swoich drelichów. Zasnęta krew nadawała mu wygląd prawdziwego żołnierza. — Nieźle się uświłem, co?

— Spietrałem się, jak usłyszałem te strzały — powiedział Chambers. — Chyba za wcześnie na taką robotę.

Slagel wzruszył ramionami.

— Zdaje się, że tak już będzie. Nie mogę zrozumieć, dlaczego wszyscy byli tacy cięci na mnie, że nie zabiłem tego jeńca.

— A pamiętasz, co powiedział Austin, jakśmy tu przyjechali? — zapytał Padgett.

— Jasne, że tak.

Kiedy ich przydzielono do plutonu, Austin palnął im mowę o duchu żołnierskim. Nie jest się prawdziwym żołnierzem, dopóki się nie potrafi spojrzeć człowiekowi w twarz, zabić go i nic nie poczuć.

— Morgan się zesra, jak zobaczy meldunek o stratach — powiedział Padgett. — Pewnie się zwróci do Czerwonego Krzyża.

Slagel zapomniał, że raport musi przejść przez dowództwo.

— Może się trochę pocieszy, że go tu nie ma. Morgan, czwarty ochotnik z Fuldy, chciał także iść do

linii, ale zrobili go kancelistą w dowództwie batalionu. Tylko w ten sposób Slagel mógł załatwić to, żeby wszyscy byli w tej samej jednostce. Tamtego wieczora, kiedy przyjechali do bazy dywizji, poszedł od razu do sierżanta, który przydzielał ludzi do jednostek, i przekupił go ćwiartką whisky, żeby nie rozłączał ich czterech. Sierżant wysłał ich do batalionu rozpoznawczego, ale musiał kogoś wyznaczyć na kancelistę. Slagel wybrał Morgana, bo z nich wszystkich najmniej się nadawał do służby polowej. Był

18

wyższy i silniejszych od wielu strzelców, a i bardziej zmyślny, lecz cała jego mądrość pochodziła z college'u i nie miał oblatania potrzebnego w poi. Nigdy nie było wiadomo, czy raptem nie dostanie świra i nie zrobi czegoś dziwnego. Nie żeby Slagel nie chciał go mieć tutaj, ale jeżeli któryś z nich musiał zostać, to już najlepiej Morgan.

— Dadzą ci wolne? — zapytał Chambers.

— Nikt nic nie mówił. Jestem gotów iść znowu.

— Ja na twoim miejscu spróbowałbym dostać kilka dni.

— I tak za tydzień wracamy. Wtedy sobie odpocznę. — Nie miał zamiaru prosić, skoro nikt mu tego nie proponował.

Pogadali jeszcze trochę, po czym wziął czyste drelichy i poszedł do prymitywnego natrysku znajdującego się w rogu terenu plutonu. Inni żołnierze obsypywali go gratulacjami, klepali po plecach, nawet pokrzykiwali na niego, kiedy szorował swoje owłosione ciało w chłodnej wodzie. Całkiem jak dawniej koledzy po dobrym zagranium. Inni mówili mu, że się nauczy nie zawracać tak sobie głowy jeńcami. Może i mieli rację; jego troskliwość z pewnością nie miała wielkiego znaczenia.

Wróciwszy do namiotu wlaź do śpiwora rozkoszując się ciepłem, miękkością i znużeniem. O mało nie zabił tego jeńca, ale był podniecony i przestraszony. W walce trzeba panować nad sobą, a nie wariować tak, żeby coś zrobić bez zastanowienia. To będzie dla niego trudne, bo jak się raz rozkręci, ciężko mu się zatrzymać.

W Fort Dix mieli kurs w. lki na bagnety, który się przechodziło gdzieś pod koniec szkoły piechoty. Przypominało to osiemnastodołkowe pole golfowe; trzeba było biec najprędzej jak można, zatrzymując się w różnych punktach, ażeby udowodnić biegiłość we władaniu bagnetem na starych oponach, palach, drzewach i wypchanych słomą kukłach. Przebiegł tak dwukrotnie któregoś upalnego wrześnieowego popołudnia i za drugim razem tak go poniosło, że o mało nie dostał kota. Chcąc mieć najlepszy czas

19

w kompanii, gnał jak wariat, wbijał bagnet w opony, osłaniał się, zwał kolbą pale na ziemię, dźgał kukły, póki nie wypruł z nich całej słomy. Na przedostatnim punkcie rąbnął kolbą w drzewo tak silnie, że osada jego ćwiczebnego karabinu roztrzaskała się w drzazgi. Kiedy zakończył przebieg, nie miał pojęcia, gdzie jest, i dwaj sierżanci musieli go przytrzymać, żeby nie pognął znowu. Pot zalewający oczy nieomal go oślepił.

Tak samo było podczas meczu z drużyną Illinois. Biegł nieprzytomnie naprzód, wezbrała w nim adrenalina i słyszał ryk tłumu, a kiedy wrócił na ławkę, nie bardzo wiedział, gdzie i kim jest.

Zrozumiał, iż człowiek może się tak podniecić, że pobiegnie w niewłaściwym kierunku. Przekreślił się w śpiworze na nadymanym materacu, który szeleścił i ugiął się pod nim. Podłożył sobie obie dłonie pod policzek. Walka to nie to samo co futbol. Tutaj przynajmniej coś robił, chociaż nie wiedział co. Futbol diabli wzięli po jego wielkim wyczynie. Był wtedy studentem drugiego roku, początkującym półbkiem dzięki własnej usilnej pracy i kontuzji innego gracza. Po tamtym meczu pisali o nim w gazetach i przepowiadano mu wielkie rzeczy na następne dwa lata. Chłonał pochwały przez tydzień, a potem zaczęło mu to brzy-dnąć — głupie wywiady przeprowadzane przez mendowa-tych reporterów sportowych, wreszcie zaproszenie, aby przemówił na szkolnym bankiecie. Starzy przepici piwo-sze z małego nieważnego miasteczka kręcili się wokół niego, tak jakby był jakimś bożkiem, obmacywali mu mięśnie i opowiadali o swoich wielkich chwilach w gimnazjalnych rozgrywkach przed laty. Potem musiał pozować do zdjęć z najlepszym graczem drużyny, a oprócz tego obgadać sprawę grania w college'u. Granie w college'u to nie była betka. Naprawdę mu dało popalić. W szkole średniej grało się kilka godzin dziennie przez trzy miesiące dla samej frajdy. W college^ człowiek był zajęty od rana do nocy — oglądał filmy, podnosił ciężary, sterczał w szatni gadając o rozgrywkach, o zawodowcach, o meczu w następnym tygodniu.

20

A trzeba też było harować godzinami jak wół. Pił, spadał ze schodów, walił głową o mur (to była jego ulubiona sztuczka), a czasem zachodził z koleżkami do barów dla wsiochów na High Street, żeby porozrabiać z durnymi farmerami.

Grał dobrze do końca sezonu, nawet strzelił gola w ostatnim meczu transmitowanym przez telewizję na cały kraj. Mecze i treningi były okej, ale reszta do kitu. Kiedy dowiedział się, że jego ojciec nawet nie oglądał ostatniego meczu, poczuł, że gotów jest rzucić to na dobre.

Przez miesiąc potem szalał. Co wieczór popijawy i bójki, czasem z tymi wsiochami; kiedy indziej zachodził z kolegą z drużyny do ustępu w suterrenach budynku zoologii, aby spuścić manto pedałom, którzy spotykali się tam późnym wieczorem. Przynajmniej trzy razy w tygodniu obchodził żeńskie internaty. Wkrótce z powodu jego zachowania zakazano mu wstępu do kilku z nich, między innymi za to, że wywalił głową drzwi do pokoju jakiejś dziewczyny. Te babki zwykle wariowały za tanimi popisami futbolowymi, ale nie podobało im się, kiedy człowiek pokazał kawał grosza. Nawet faceci ze studenckiej korporacji patrzyli na niego krzywo. Każdy miał jakąś zafajdaną granicę, której nie można było przekroczyć.

Susie Rosen poznał przed Bożym^ Narodzeniem i to ona nakłoniła go, żeby odwiedził doktora Bowena (ciekawe, co u nich teraz słyhać), a kiedy przyszedł kwiecień, zdołał sam siebie przekonać, że powinien zrezygnować.

Była to najcięższa rzecz, jaką zrobił w życiu, nie dlatego że lubił grać, ale ponieważ trenerzy tak mu to utrudniali. Kiedy się nie pokazał na trening wiosenny, naprawdę się do niego dobrali. Dzwonili co dzień, proponowali jedno, grozili czym innym, usiłowali obudzić w nim poczucie, że postępuje jak niewdzięczne dziecko. Ta psychologia trenerów obróciła się w końcu przeciwko nim. Kiedy już miał się złamać i stawić na trening, uprzytomnił sobie ich zagrywki. To samo głupie trucie, które zawsze odstawał ojciec, żeby się poczuł winny z powodu tyłu jego poświęceń. Z pomocą doktora Bowena i Susie

21

zdał sobie sprawę, że trenerzy nigdy nie poświęcili dlań niczego. Był po prostu kupą mięśni, które mogły dla nich pracować. Ostatnim ich chwytem było powiedzenie mu, iż powinien grać właśnie dlatego, że jest po prostu kupą mięśni. Nigdy nie czuł się taki dumny i szczęśliwy jak wówczas, gdy im oświadczył, że jest czymś więcej, i wierzył w swoje słowa.

A zresztą nasrać na to. Trenerzy mieli teraz nowe mięso, a Susie Rosen i doktor Bowen pewnie też. Wolał być żołnierzem niż półbkiem, a ponieważ jutro czekała go żołnierka, więc należało trochę się przespać.

Rano czuł się osłabiony, ale śniadanie przywróciło mu siły. Kiedy się ocknął na punkcie sanitarnym, ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, było to, że zapiął pas główny. Spuścił nogi przez krawędź łóżka polowego i wstał.

— Uff!

Lekarz batalionowy zerwał się od polowego stolika, na którym coś notował.

— Już na nogach, Słagel?

— Tak jest. Co to się stało?

— Zemdleliście. Jak się czujecie?

— Dobrze. — Mimo otumanienia trzymał się pewnie na nogach.

— Macie dość siły, żeby polecieć do bazy na odpoczynek?

— Tak jest!

— To idźcie na lądowisko. Booth odlatuje za pół godziny maszyną zwiadowczą. Wesołych Świąt. Wiedział, że Święta się zbliżają, ale nie zdawał sobie sprawy, że dziś jest Wigilia. Dzień jak każdy inny. Podobno należało się smucić będąc w Boże Narodzenie samotnym żołnierzem za morzami. Ale nie było tak źle. Po południu mogli z Morganem pojechać do miasta, uderzyć w gaz i pochędożyć sobie. To lepsze od wysłuchiwania trzech siostr matki oraz ich mężów z szyjami jak patyki, trujących cały dzień o niczym. Gdyby został przy futbolu,

22

może w tej chwili by grał. Roześmiał się, kiedy pomyślał o ostatniej Gwiazdce w Fuldzie. O popijaniu wiśniówki w kotłowni za latryną. I wybijaniu okien w środku zimy. Siedzący obok niego w śmigłowcu chorąży Booth trącił go łokciem w bok.

— Śmiejecie się na myśl o wszystkich tych piczkach, które będziecie mieli jutro?

— Tak jest. Pan też tam będzie?

— Jasne. Wyłomotałem kiedyś jedną dziwkę na tym siedzeniu, gdzie teraz siedzicie.

— Nie może być. — Śmigłowiec obserwacyjny OH-13 był ledwie dość obszerny, aby pomieścić ich dwóch wraz z oporządzeniem.

— Nie bajeruję. Dziewuchę z farmy, kiedy byliśmy na manewrach w Karolinie. Zaparkowałem na polu. Wlazła do środka, ja naciągnąłem pokrowiec maskujący na kopułę i babka siadła na mnie tu, na tym siedzeniu. O mało nie wsadziła sobie w dupę drążka sterowego. — Booth trącił go znowu i podkreślił ciemnego wąsa. — Lećmy nad szosę i zabawmy się trochę.

Śmigłowiec skręcił w prawo i skierował się na zachód, lecąc dwadzieścia stóp nad ziemią. Słagel odchylił się w tył i w bok i wystawił twarz na wiatr. Góry ustąpiły miejsca niewielkim wzgórzom, a w oddali połyskiwały zielono i brunatnie prostokątne pola ryżowe.

— Nie macie nic przeciwko małemu zboczeniu z drogi?

— Nie spieszy mi się. Fajnie jest lecieć tak nisko.

— Zejdę niżej.

Przelecieli nad małymi grupkami brunatnych chat, sprzed których machały do nich rękami staruszki i dzieci. Starzy mężczyźni i kobiety spoglądali na nich ze znużeniem z poletek ryżowych, na których pracowali. Lecieli w kierunku wschodnim przez jakieś dwadzieścia minut, dopóki w oddali nie ukazała się czarna wstążka szosy.

— Teraz uważajcie.

Śmigłowiec opuścił się do sześciu stóp nad ziemię sunąc prosto na człowieka pracującego na polu ryżowym. Ten

23

przygiął się, żeby uchylić się przed płożą, i upadł twarzą w migocącą brunatną wodę.

— Cholera, blisko było, panie chorąży.

— To jeszcze nic! Widziałem jak Wolf strącił słomiany kapelusz jednemu z tych skurwieli.

Przynajmniej wwa-liłem go w błoto, gdzie jego miejsce.

— Co to za szosa?

— Numer dziewiętnaście. Prowadzi z Qui Nhon do Pleiku. Mamy około pięciu mil do bazy. Powinniśmy jeszcze trafić coś zabawnego.

Booth zniżył śmigłowiec do pięciu stóp.

— A nie mówiłem? Patrzajcie na ten gówniany autobus. Pora na mały nalocik. Nie boicie się, co?

— Nie, panie chorąży.

Helikopter opuścił się jeszcze o dwie stopy, a Booth zacisnął usta. Wyblakłóżółty autobus był o

jakieś ćwierć mili dalej na szosie, obładowany meblami i innymi rupieciami tak wysoko, że wyglądał na piętrowy. Pasażerowie wysuwali głowy z okien.

— Nie zahaczy go pan?

— Nie muszę. Zawsze wypieprzają. Ale przytrzymajcie się na wypadek, gdybym musiał poderwać maszynę. No, jazda, żółtki! Zobaczymy, czy w środku jesteście tego samego koloru co z wierzchu. Chłopi idący drogą zaczęli przeskakiwać rowy i uciekać na pola ryżowe, gdy zobaczyli nadlatujący śmigłowiec. Slagel uchwycił się mocno prętów po bokach siedzenia. Miał nadzieję, że Booth nie jest zanadto stuknięty. Zerknął w bok, chcąc dojrzeć twarz pilota, gdy autobus był coraz bliżej, ale słońce odbijało się w szybie przedniej jak w lustrze. Kiedy od autobusu dzieliło ich już tylko z pięćdziesiąt stóp, przymknął oczy. Żołądek opuścił mu się raptownie, kiedy śmigłowiec wzbijał się w górę.

— Huhu! — ryknął Booth. — Obejrzyjcie się, Slagel. Autobus leżał na boku, a meble rozrzucone były po polu ryżowym i w rowie, w którym wylądował. Kiedy śmigłowiec zataczał łuk, ludzie zaczęli wylazić przez okna.

24

— Pan się z nimi nie bawi, co?

— Gównu! — Booth podkręcił wąsa. — Niczego innego nie robię.

2

Willard Morgan podniósł wzrok znad swego biurka w namiocie kancelaryjnym, kiedy na lądowisko obozu bazy opuszczał się śmigłowiec. Płótno namiotu zasłaniało mu widok, więc pochylił się nad maszyną do pisania, wystukał ostatnią pochwałę do rozkazu dziennego, powyciągał kalki, wyrównał wypisane w pięciu egzemplarzach formularze i ułożył je starannie w stosik na brzegu szarego metalowego biurka. Stał za drewnianym kontuarem naprzeciw wejścia do namiotu i przejrzał pięć wniosków o odznaczenia. Prawie idealne. Tylko dwa błędy.

W dziesięć minut później major Stubbs, oficer administracyjny batalionu, wszedł rażno do namiotu z orzechem kokosowym w jednej ręce, a plastikową torebką orzeszków pistacjowych w drugiej. Niski, ciemnowłosy, krępy, był w batalionie jedynym człowiekiem, który miał wąsy wypielęgnowane i doskonale przystrzyżone.

— Dzień dobry, panie majorze.

— Dzień dobry, Morgan. Chcielibyście pojechać do miasta?

— Byłoby wspaniale, panie majorze. — Miasta jeszcze nie widział. — Skończyłem wypisywać pochwały.

— Dobrze. Przynieście mi je.

Stubbs zniknął za bambusowym przepierzeniem, a Morgan ruszył za nim przez biuro adiutanta na tyły namiotu. Położył pochwały obok kokosa na antycznym orientalnym biurku Stubbsa. Pod tylną klapą namiotu stała na ziemi skrzynia rzeźbiona w małe tańczące figurki. Na jej wieku były noże, dwie malowane czarki oraz zwinięta flaga Północnego Wietnamu.

— Morgan, naprawdę dobrze pracujecie. — Stubbs przejrzał papiery i położył je obok ręcznie malowanego orien-

25

I

talnego talerza z krakersami i serem. — Macie ochotę coś przegryźć? — Sięgnął pod biurko i wyjął drugi talerz, na którym było ciasto z owocami przykryte plastikiem.

— Nie, dziękuję. Dopiero co jadłem.

— No, to jedziemy.

Na zewnątrz, między namiotem S-1 a metalowymi domkami kompleksu S-2 i S-3, leżało pięć stosów podarków przysłanych batalionowi przez Stowarzyszenie Weteranów Wojennych, Legion Amerykański oraz innych patriotycznych sympatyków. Książki, żywność, słodczyce i czasopisma.

— Czy ta Gwiazdka nie jest wspaniała, Morgan?

— Tak jest.

Zapalił silnik jeepa. Podczas Świąt Bożego Narodzenia czas szybciej schodził. Przez ostatni tydzień Morgan dostawał listy i paczki od rodziców z Los Angeles i kilku dawnych swoich dziewczyn. Nawet jego byli współloka-torzy z internatu w Berkeley przysłali mu pudełko od butów pełne twardych, przypalonych od spodu ciastek czekoladowych. Całe pęczki nie zaadresowanych kartek przyszły od studentek z Południa, i każdy, kto chciał, miał korespondencyjną przyjaciółkę, jakąś dziewczynę z Georgii — zazwyczaj córkę oficera zawodowego.

Stubbs był zachwycony. Siedząc w swej kancelarii ustawicznie pogryzał małe kaski wyborowego sera albo chrupał ciasteczka z ręcznie malowanych talerzy. Na wzgórzu za kompanią A ukończono klub oficerski, wychodzący na wschodnią stronę obwodu bazy, i Stubbs oraz pułkownik Billing mieli tego wieczora być gospodarzami na uroczystym otwarciu. Miał przyjechać generał dowodzący dywizją. Stubbs był ogromnie zajęty przygotowaniem do przyjęcia i zapraszaniem odpowiednich szyszek wojskowych. Dywizyjni saperzy z zespołem samopomocy batalionowej planowali zbudowanie po Nowym Roku drewnianych kasyn z betonowymi podłogami. Stubbs napisał list, gloryfikujący batalion oraz otwarcie jego kasyn, i Morgan musiał wystukiwać na specjalnym papierze kopie dla

gubernatorów każdego stanu i terytorium. List zawierał prośbę o nadesłanie flag stanów czy terytoriów w celu przyozdobienia kasyna dowództwa i pobudzenia uczucia dumy stanowej w żołnierzach. Ani Morgan, ani Stubbs nie wiedzieli, jak się nazywa stolica Wysp Dziewiczych, i Stubbs zażartował, że może Petersburg.

Morgan zjechał wolno w dół, mijając rejony kompanii C, B oraz kompanii obsługi dowództwa, do skrzyżowania drogi batalionowej z obwodową dywizji. O pół mili dalej wznosiła się na zachodnim obwodzie tak zwana Cyckowa Góra, osłaniając rozpostarte u jej stóp olbrzymie lądowisko śmigłowców. Między zielenią na zboczu wisiały jeszcze białe spadochrony, na których spuszczano flary oświetlające, jedyne przypomnienie wczorajszego ataku, podczas którego zginęło czterech Amerykanów i drużyna Wietkongu. Pękające flary zbudziły Morgana o północy i wyszedł na drogę w kałesonach, aby popatrzeć, jak śmigłowce pompują pociski broni maszynowej i rakiety w zbocze góry, a „Ptyś-Czarodziejski Smok”, stary samolot DC-3 wyposażony w cekaemy Gatling szpikuje teren czterema tysiącami naboju na minutę. Całkiem jak w święto Czwartego Lipca. Wietkong zapalił zbiornik z paliwem na wierzchołku góry i ogień płonął jaskrawo przez godzinę, upodobniając ją do wulkanu.

Jadąc błotnistą drogą dywizyjną mijali jednostkę za jednostką — brygady piechoty, powietrzne bataliony szturmowe, saperów, kompanię sanitarną, dwadzieścia pięć namiotów personelu dowództwa dywizji, kompanie transportową i paliwową.

— Teraz to naprawdę coś innego, panie majorze.

— Tak — poważnie kiwnął głową Stubbs. — Kiedy tu przyszliśmy, nie było nic, tylko dżungla. A teraz popatrzcie. Wszędzie namioty, kasyna, największe lądowisko śmigłowców na świecie, nawet radiostacja. Cała dywizja ciężko się napracowała. Zaledwie dziesięć procent naszych żołnierzy jest w Wietnamie, a jednak ponieśliśmy tu dwadzieścia pięć procent wszystkich strat. Odmieniliśmy tę wojnę, Morgan. Daliśmy popęd żółtkowi.

27

Stubbs westchnął i popatrzył w dal.

Zaciekawienie Morgana skomplikowaną strukturą dywizji ustąpiło miejsca irytacji na Stubbsa. Jak gdyby cokolwiek robił poza politykowaniem i całowaniem w tyłek przełożonych. Jediną rzeczą, jaka go intersowała na wojnie, było gromadzenie coraz to nowych łupów — pluton strzelców naznosił mu połowę tych antyków z jego kancelarii. Ani razu nie był w polu od czasu, kiedy Morgan przyjechał.

Morgana gryzło poczucie winy na myśl o własnej bez-użyteczności. Znow przekładanie papierków — to samo, co w Fuldzie — po całym tym rabaniu, jakiego narobił, żeby się tutaj dostać. I w gruncie rzeczy wcale mu to nie przeszkadzało — tym się naprawdę trapił. Był wkurzony na Slagela, kiedy dawano przydziały, ale nawet wtedy doznał ulgi. Kto by się nie spietrał, zobaczywszy te trumny na lotnisku w Sajgonie, i potem, kiedy zmienili mu przydział z pierwszej dywizji piechoty

do powietrznych oddziałów szturmowych, bo straciły czterystu ludzi? Był też zmęczony po ostatnim pijackim miesiącu w Fuldzie i tygodniu bezsennej hulania w Nowym Jorku i Berkeley przed przyjazdem tutaj. Kiedy pierwszego wieczora w S-1 przeczytał biuletyn dzienny ze spisem nazwisk wszystkich czterystu zabitych, w końcu przyznał się sam przed sobą, jak się cieszy, że nie jest w polu, jak dobrze jest być bezpiecznym.

To samo było w Fuldzie z Padgettem i Slagelem. Zimny październikowy poranek ich przybycia przekreślił wszelką chęć wstąpienia do kompanii strzelców którejs z wysuniętych jednostek i kiedy sierżant personalny zażądał kancelistów, poderwali się wszyscy trzej. Ten wybór okazał się chyba mądry. Urzędowanie było głupie, ale wypełniało czas, a kompanie strzeleckie i tak nie robiły nic poza codzienną służbą.

Jednakże tutaj nie mógł się nie czuć parszywie. Będąc w S-1 jedynym żołnierzem niższego stopnia nie dostawał tak bardzo w kość, nie pełnił służby kuchennej ani wartowniczej. Pracował więc ostro — od siódmej rano do

28

siódmej wieczorem przez siedem dni w tygodniu (następne popołudnie miało być jego pierwszym wolnym) — tak samo jak strzelcy, karabinowi i kierowcy jeepów. Nikt im nie dawał żadnych przywilejów. Nie było w porządku nie cierpieć podczas wojny. Zawsze mógł walczyć, gdyby zechciał. Ale po wczorajszej wiadomości o ranie Slagela i po tym ataku w nocy nie miał zamiaru iść do linii.

Namioty się skończyły i długi na pół mili łąn wysokiej zielonej trawy rozpostarł się między nimi a bramą bazy dywizji. Na obwodzie obozu długie szeregi wietnamskich chłopów zakładały pod dozorem żołnierzy rzędy za rzędami umocnień z drutu kolczastego. Z pogadanki, której wysłuchał po przybyciu, wiedział, że mężczyźni dostawali pięćdziesiąt centów dziennie, a kobiety czterdzieści.

Wyjechali z obozu i skręcili na szosę nr 19. Wzdłuż niej stały budy i szopy sklecone z wyrzuconych przez wojsko rupieci; cisnęli się tam żołnierze, żeby kupować miednice, krzesła, komody, kolorowe świecidełka i lalki.

— Wygląda na to, że przynajmniej są tutaj jakieś kobiety, panie majorze.

Stubbs spojrział w bok i kiwnął głową.

— Daliśmy tym ludziom dużo do roboty. Tak ja wszędzie, jedni są pracowici, a inni szukają łatwiejszych sposobów zdobywania pieniędzy.

— Co oni robili, zanim tu przyszła dywizja?

— Pewnie pracowali na roli. Z naszego interesu wyciągają więcej forsy, niż kiedykolwiek widzieli. Mam tylko nadzieję, że to się nie wymknie z ręki. Z nierozwiniętymi krajami trzeba uważać.

Przejechali w milczeniu jeszcze milę; Morgan z zaciekawieniem obserwował Wietnamczyków, którzy dreptali z tobołkami zawieszonymi na żerdziach albo siedzieli apatycznie za kontuarami swych sklepów. Miał nadzieję, że po Nowym Roku będzie częściej jeździł do miasta.

— Skręćcie w tę polną drogę, a potem w prawo do pralni.

Były tam trzy chaty z gliny i słomy, dwie równoległe i połączone na końcu pod prostym kątem z trzecią. Dach

z aluminiowej blachy falistej przykrywał coś w rodzaju frontowego podwórka. Kiedy Morgan zatrzymał wóz, spod tego dachu wybiegli śmiejąc się trzej mali chłopcy. Pokazywali palcami jego i Stubbsa. Stary człowiek z głęboko pobruźdowaną twarzą pochylał się obojętnie nad stołem do prasowania. Żelazko grzał na ogniu rozpalonym między cegłami; nabierał do ust wody z butelki po lemoniadzie i spryskiwał nią prasowaną odzież. Młodszy mężczyzna pracowicie wnosił tobołki bielizny do jednej z chat. Zobaczył Stubbsa i szybko rozpromienił się w uśmiechu.

— Pan major, minutę. Przyniosę pranie.

Stubbs kiwnął głową marszcząc czoło tak, że jego gęste czarne brwi zbiegły się w jedną linię.

Kiedy Morgan usiadł na ławie obok stołu do prasowania, z chaty wyszła mała dziewczynka.

Starannie zaczesane czarne włosy opadały jej na ramiona. Miała cerę jaśniejszą niż chłopcy, a oczy mniej skośne. Była bardzo nieśmiała i bardzo ładna. Morgan pokazał chłopcom ją i swój znaczek z

nazwiskiem i zapytał jednego z nich, jak dziewczynka ma na imię.

— Leng, Mor-gan — odpowiedział chłopiec, po czym przemówił do dziewczynki po wietnamsku i roześmiał się. Jej imię brzmiało prawie jak „Lang”, z przeciągłym dźwiękiem „g” jak przy śpiewie.

Zawołał dwa razy. Podeszła bliżej i zerknęła zza prasującego mężczyzny. Po chwili zawróciła do brunatnej chaty. Stubbs odmówił zapłacenia całego rachunku za pranie, ponieważ brakowało jednej pary drelichowych spodni.

Wrócili na polną drogę, przejechali kawałek i skręcili prosto do głównej części miasta. Stubbs przestrzegał Mor-gana przed oddawaniem Wietnamczykom większych ilości odzieży do prania.

— Jeszcze nie są dostatecznie odpowiedzialni. Dawajcie niewiele rzeczy na raz. Mniejsza szansa, że je pogubią.

Ulica, w którą skręcili, przypominała filmy z Dzikiego Zachodu. Pijani żołnierze zataczali się w błocie obejmując się, popychając dziewczynki i pociągając z brązowych butelek. Dwaj z nich, przechodząc obok jeepa, wyprosto-

30

wali się udając powagę, zsalutowali Stubbsowi, po czym parsknęli śmiechem, kiedy jeep ich minął. Po obu stronach ulicy były bary pomalowane na niebiesko i różowo, zasłonięte od frontu gęstą drucianą siatką. Powietrze wypełniał nieustanny harmider pokrzykiwań, przekleństw, wrzasków i łoskot przewracanych mebli, a towarzyszyły temu trzaski i grzmiąca muzyka z przenośnych aparatów radiowych. Morgan wyobraził sobie opiumowe spelunki i podrzynanie gardła w zaułkach i wąskich błotnistych bocznych uliczkach.

— Miasto to całkiem co innego, panie majorze. Stubbs siedział wyprostowany w jeepie, patrząc przed siebie i szybko mrugając oczami.

— Było tu kilka wypadków z granatami. Żołnierze przestali zabierać broń do miasta dopiero tydzień temu. Za wielu strzelało do siebie wzajemnie.

O ćwierć mili dalej wrzawa ucichła, kiedy skręcili przez plac rynkowy do spokojnej północnej części miasta. Przypominający pagodę dach osłaniał co najmniej dwa tuziny małych straganów, gdzie bardzo starzy i bardzo młodzi Wietnamczycy sprzedawali ryby, banany, ryż, orzechy kokosowe, pędy fasoli i inne warzywa. Przy jednym z nich młoda dziewczyna sprzedawała lalki i pamiątkowe drobiazgi, ale poza tym plac rynkowy wydawał się taki sam jak niegdyś. Stare psy były uwiązane na smyczach do pali podpierających dach. Morgan poczuł nagły przypływ natchnienia, gdy na to patrzył. Po raz pierwszy widział coś prawdziwie wietnamskiego, mającego starą tradycję, której wojna nie zdołała zmienić.

Stubbs targował się przez piętnaście minut w jakimś sklepie z pamiątkami, aż wydebił dwa ceramiczne posążki Buddy i trzy medaliony z brązu za tysiąc piastrów. Przejechali przez brudny drugi kraniec miasta i wrócili do bazy.

Zajechał na parking obok S-1.

— Bardzo dziękuję, panie majorze. Ciekawe było zobaczyć miasto.

31

Stubbs kiwnął głową.

— Słuchajcie, dziś wieczorem będzie porządnie padało. Przeprowadźcie jeepa przed klub oficerski o siódmej. Zaparkujcie go o jakieś dwadzieścia jardów przed frontem, tak żeby oświetlić reflektorami wejście. Nie mamy jeszcze chodnika i byłoby bardzo kłopotliwe, gdyby generał pośliznął się na błocie.

— Rozkaz. O siódmej. — Wysiadł z jeepa.

— Wejdźcie do kancelarii. Mam dla was specjalną robotę.

— Tak jest.

Stubbs otworzył teczkę i wyjął gruby arkusik kosztownie wyglądającego papieru korespondencyjnego oraz małą szpilkę z emblematem pułkowym.

— Chcę, żebyście to posłali pani prezydentowej do Białego Domu. To jest mała notatka o otwarciu

naszego klubu i o wspaniałej robocie naszych chłopców.

Miał ochotę powiedzieć Stubbsowi, żeby wsadził to sobie w tyłek. Napisał starannie list na maszynie, zostawił go na biurku majora i poszedł do namiotu kasyna na kawę.

Po drodze spotkał Slagela.

— Tom, co ty tu cobisz, do cholery?

— Przysłali mnie na wypoczynek. Powiedzieli, że mogę zostać jeszcze po Świątach. Jedźmy do miasta.

— Słyszałem, co się stało. Już wszystko dobrze?

— A nie wygląda na to? Tylko małe draśnięcie. — Zdjął czapkę, żeby pokazać bandaż.

— O kurczę, ale miałeś szczęście!

— Jak cholera.

— Co słyhać u Orville'a i LaMonta? — Morgan poczuł nagle, że mu ich brakuje, że chciałby znowu być z nimi, popijać i gadać tak jak przez tyle wieczorów w Fuldzie.

— Wszystko dobrze. Jesteśmy w innych drużynach. Żaden z nich nie miał jeszcze styczności z nieprzyjacielem. Chambers stracił z piętnaście funtów. Niedługo będzie taki szczupły jak ja. —

Slagel poklepał się po płaskim brzuchu, zrobił boksinerski unik i lekko uderzył Morgana w żołądek.

— Gdyby mnie mieli tego roku w drużynie colle-

32

ge'u, byliby w siódmym niebie. Słuchaj, dziecko, jedźmy dziś po południu do miasta. Od dawna mi się to należy.

— Nie mogę. Jutro mam wolne popołudnie. Pojedziemy wtedy.

— No, to umowa stoi. Wezmę prysznic i zrobię się na bóstwo." Zobaczymy się wieczorem.

O siódmej droga do klubu była już tak rozmokła, że jeep ledwie przejechał. Morgan cofnął wóz na bok oświetlając reflektorami błoto przy drzwiach frontowych. Wszedł od tyłu i zameldował się Stubbsowi.

— Cieszę się, że już jesteście, Morgan. Będziecie kierowali jeepy na miejsca parkowania, kiedy zaczną nadjeżdżać. Gdziekolwiek po południowej stronie drogi będzie w sam raz. A światła zostawcie zapalone, dopóki generał nie odjedzie.

Dał mu dwie puszki piwa i wypchnął go za drzwi.

Morgan wiedział, że Stubbs to menda, ale teraz major naprawdę go wkurzył. Tylko się podlizuje, a żołnierze gównem go obchodzą. Na drodze zawarczały silniki, więc skoczył w mokrą maź. Skierował pięć przybyłych jeepów na miejsca parkowania, po czym zsalutował, kiedy wysokie szarże przechodziły koło niego. Żaden mu nie odsalutował, spieszyli się na popijawę, tak jakby w ogóle nie istniał — generał z dwiema gwiazdkami, jego zastępca z jedną i trzech dowódcy brygad piechoty, wszyscy pułkownicy. Każdemu towarzyszył adiutant i sierżant-szef. Morgan wlał z powrotem do jeepa strząsając z siebie wodę i otarł wielkie krople z okularów.

— Patrz na tego kurdupła — powiedział do deszczu, kiedy Stubbs stanął z pułkownikiem w drzwiach, witając przybywających. Stubbs był o sześć cali niższy od pułkownika i w Morganie wezbrała nienawiść, kiedy patrzył, jak się uśmiecha, salutuje i ściska dłonie. W świetle reflektorów oczy Stubbsa zdawały się błyszczeć zachłannością i wyrachowaniem. Cóż to za marny, lizusowski skurwiel! Drzwi klubu zamknęły się, a Morgan pospiesznie wypił drugie piwo. O północy przemoczony do nitki zjechał z powrotem w dół.

5 — Amerykańscy chłopcy

33

Następnego popołudnia zajechał ze Slagelem do pralni, żeby dać Leng trochę słodyczy przed wypadem do baru. Jej ojciec przyniósł piwo, a Morgan i Slagel zasiedli pod blaszanym daszkiem.

Leng wyszła z chaty i Morgan zawołał do niej:

— Chodź tutaj, Leng. Mam coś dla ciebie.

— Ona nie chce tego, co ty masz — powiedział Slagel. Morgan wyjął z kieszeni trzy lizaki, trochę gumy do

zucia i karmelków i pomachał nimi do dziewczynki.

— Chodź, Leng. Dobrze mniam-mniam.

Podeszła bliżej, a on ją objął i posadził sobie na kolanach.

— Wesołych Świąt, Leng.

Odwinął celofan z jednego z lizaków, a ona polizała go parę razy. Uśmiechnęła się do niego; uściskał ją przytulając policzek do jej policzka.

— Okej, Will, zmywamy się — powiedział Slagel. — Odegrałeś świętego Mikołaja naprawdę fajnie.

Wstał i postawił Leng na ziemi. Wetknął jej w dłoń słodycze, ona zaś pomachała mu ręką i wróciła do chaty.

— Cześć, Leng! — zawołał za nią. — Cześć, papa-san.

— Do widzenia, Mor-gan — powiedział papa-san z u-kłonem.

Na rogu głównej ulicy wybuchła za nimi wielka wrzawa. Saperska wywrotka toczyła się drogą trąbiąc zaciekle. Za nią biegło co najmniej pięćdziesięcioro wietnamskich dzieci wrzeszcząc i wyciągając ręce. Stojący na tyle ciężarówka żołnierz w drelichach, z długą białą brodą i w czerwono-białej włóczkowej czapce na głowie, ciskał cukierki na ulicę najszybciej, jak mógł, wołając wciąż: „Wesołych Świąt!” Ciężarówka skręciła za róg, a Morgan i Slagel usunęli się w bok, aby uniknąć naporu dzieci. Ciężarówka jechała dalej główną ulicą, a barwnie opakowane cukierki wylatywały z niej w błoto i na ganki barów. Na ulicę wybiegły kurwy i przyłączyły się do dzieci zbierając na czworakach, co się dało. Żołnierze stali oparci o ściany domów śmiejąc się i dając znaki świętemu Mikołajowi. Jeden z

34

nich schwycił młodą dziewczynę, która biegła za ciężarówką.

— Ho, ho, malutka — powiedział. — Chodź usiąść świętemu Mikołajowi na buzi.

Kiedy się uspokoiło, Morgan i Slagel poszli do baru. Po dziesięciu minutach weszły dwie kobiety. Jedna siadła Slagelowi na kolanach i zapytała:

— Ty ciup-ciup, żołnierzu?

Slagel kiwnął głową. — Po to tu jestem.

— Pięćset piasstrów.

Slagel podniósł cztery palce. Dziewczyna wstała i oboje zniknęli na tyłach baru.

— Ty też ciup-ciup? — Druga dziewczyna przesunęła palcem po szczecinowatych, jeszcze nie wyrosniętych, rudych wąsach Morgana. Była niska i trochę tłusta, jej włosy ledwie sięgały ramion.

— Czteryście piasstrów? — Wyszczrzył zęby.

— Niech będzie, żołnierzu. Czteryście.

Poszli na tyły i dziewczyna zdjęła czarne spodnie i białą bluzkę. Brzuch jej zwisał nad skąpą kępką włosów łonowych. Morgan pogładził ją dłonią po udzie, potem poklepał po brzuchu. Ona także się poklepała.

— Ja będzie mieć dzidzi-san, pięć miesięcy.

— Widzę.

Zdjął koszulę i spuścił spodnie. Koledzy z bazy mówili mu, żeby nie zdejmował butów, na wypadek ataku Wiet-kongu. Dziewczyna leżała jak drewno, skończył szybko i po piętnastu minutach wrócił do baru. Slagel siedział na krześle i popijał piwo.

— Jak było, Móg?

— Parszywie. A u ciebie?

— Tak samo.

— Pierwsza dziewczyna w ciąży, jaką wyrpałem.

— To ważny początek — rzekł Slagel. — Idziemy. — Obrócił się do dziewczyny, z którą był, i wyciągnął do niej palec. — Cześć, świntucho.

— Ty jesteś ostatnia paskuda, żołnierzu.

— A ty jesteś pieprzona paskuda — odparł Slagel.

O wpół do ósmej tego wieczora co najmniej trzydziestu ludzi zebrało się przed wejściem do żołnierskiego kasyna. Inni ściągali na bezpłatne napitki, które miano wydawać

0 ósmej. Przez nowe zasłony siatkowe Morgan dojrzał trzech barmanów w podkoszulkach, którzy ustawiali butelki na kontuarze. Tłum rósł i cisnął się do drzwi, żołnierze krzyczeli, żeby już otwierać. Drzwi zastawiono krzesłami, by nie dopuścić ich do środka. Ktoś szturchnął Morgana manierką w plecy.

— Przepraszam, koleś — powiedział, po czym zaczął walić manierką o ścianę. Tłum znów naparł i jeden z żołnierzy na przedzie wywalił się między krzesła i wylądował na podłodze. Inni usiłowali wtargnąć do środka, ale kierownik ich odepchnął. Napieranie nie ustawało i Morgana szturchnięto jeszcze dwa razy. Slagel podskakiwał popychając stojącego przed nim żołnierza.

Usunięto z progu krzesła i tłum runął naprzód. Morgana odgradzono od baru i przewrócił się na podłogę. Wstał i spojrzął ku drzwiom. Podrygiwały tam głowy, a w półcieniu na zewnątrz widział nie kończące się rzędy złaknionych twarzy pełnych desperacji, jak pokrzywdzone dzieci. Slagel wetknął mu w rękę papierowy kubek z whisky. Wypił ją jednym haustem i patrzył, jak Slagel wciska się z powrotem w cizbę przy barze. Znowu zawrócił ku wyjściu. O mało nie zwymiotował po whisky

1 sapał ciężko. Nie do wytrzymania. Musiał się stąd wydostać. Slagel znowu podsunął mu whisky. — Muszę stąd wyjść.

— Ja zostaję. — Slagel pochylił głowę i dał nura w stronę baru.

Morgan przepchał się przez drzwi. Ktoś potrafił jego kubek i brunatny płyn rozlał mu się na dłoń i ściekał do rękawa. Odbiegł kilka kroków, po czym przystanął i odetchnął chłodnym wieczornym powietrzem. Wariactwo. Cały ten interes był jednym wariactwem.

Tylko około trzydziestu żołnierzy siedziało na wzgórku powyżej kasyna oglądając western, który migotał na prześcieradle rozpostartym między dwoma drzewami. Morgan

36

przysiadł na pustej wyrzutni raketowej i zapalił papierosa czując się okropnie samotny. Z namiotu po drugiej stronie ścieżki dolatywały przekleństwa i niezrozumiałe okrzyki. Klapy wejściowe namiotu nagle się rozchyliły odsłaniając dwóch tłustych sierżantów w białym szamocących się pod mętną, gołą żarówką. Wytarłosili się na ścieżkę, upadli w błoto i potoczyli się aż do Morgana. — Dawaj mi nowe drelichy, ty łachmyto! — zawołał sierżant z kasyna do swego przeciwnika z zaopatrzenia.

— Nic nie dostaniesz, póki będziesz okradał mój brzuch z żarcia.

— Ile razy dawałem ci dodatkowe porcje? — Kasynowy odepchnął zaopatrzeniowca, siadł i obrócił się do Morgana. — O rany, to ten nowy kancelista z S-1. Powiedz mu. Wydaję od cholery jedzenia.

— Jasne, sierżancie. — Morgan popatrzał w jego obrośniętą siwą szczecinę twarzy, po czym pękając ze śmiechu obalił się w tył przez wyrzutnię raketową. Co mu się stało, do licha? Był żołnierzem, daleko od domu w gwiazdkową noc.

Po pięciu minutach wstał i przeszedł koło namiotu S-4, skąd było widać zarówno kasyno, jak wyświetlany film. Oparł się o drzewo i osunął w dół po pniu, aż dotknął siedzeniem ziemi. — Popieprz baka, a bak brzdąka! — wyrzeszczał. Złapał manierkę ze stołu i pobrnął do kasyna. Ukrył manierkę przed barmanem, wlał do niej osiem porcji rumu z papierowych kubeczków i poprosił niewinnie o coca-colę. Wrócił do miejsca, gdzie siedział Slagel, kiwnął do niego głową, wlał colę do rumu i wypił to w niespełna dziesięć minut.

3

— Ty. Ty. Ty kupi.

LaMont Padgett podniósł wzrok znad magazynka, z którego wyrzucał naboje do pojemnika na amunicję.

— Ty kupi, ty pierwszorzędny. — Mały chłopak w po-

37

sU\$"^*!

dartych szarych spodniach błysnął do niego uśmiechem zza zardzewiałej spirali drutu kolczastego na obwodzie bazy polowej. Podniósł do brody koszyk, w którym były butelki z coca-colą i piwem

oraz trochę bananów i kokosów.

— Spierdalaj. Wynoś się. — Padgett znów zaczął wyciskać palcem naboje, które z brzękiem spadały do oliw-kowozielonego pojemnika.

— Ty, ty. — Butelki zagrzechotały w potrząsanym koszyku.

Odłożył magazynki i powstał zza obwałowania z worków piasku, które osłaniało namiot jego i Collinsa. Przeciągając się przeszedł dziesięć kroków dzielących go od drutu kolczastego.

— Beaucoup piwa — powiedział chłopak. Zmarszczył brwi na myśl o tych ciepłych wietnamskich szczynach, które pił w mieście przed dwoma dniami.

— Nie.

— Cola?

Dał różowy bon dolarowy za colę i małego pokrytego plamami banana i wrócił do worków z piaskiem. Chłopak ruszył dalej wzdłuż drutów, wołając i potrząsając koszykiem.

Jedenaście jasnobrunatnych chat stało pośród palm bananowych i kokosowych w wiosce za drutami. Gdyby Wietkong zaatakował, przyszedłby, jak dwa a dwa cztery, od tej strony. Tylko dziesięć jardów od obwodu; namioty drużyny Padgetta byłyby pierwsze, na które by uderzyli.

Pluton ulokowano w północno-zachodnim rogu terenu batalionu.

Załadował magazynki czystymi nabojami i wsadził piętnaście sztuk do ładownic na pasie. Ostatni załadował do swego M-16, po czym jeszcze raz sprawdził karabin. Czysty. Naciągnął nań nogawkę starych drelichowych spodni i położył go na swoim śpiworze.

— Druga drużyna, zbiórka! — ryknął sierżant sztabowy Baird od namiotu sierżanta Austina. — Odprawa u szefa plutonu!

38

Kiedy żołnierze ściągali do jasnozielonego parasolowego namiotu, spomiędzy klap wynurzył się niski sierżant z papierami w prawej ręce.

— Uwaga, chłopcy! Pierwsza rzecz to przepisy w bazie polowej. Macie przez cały czas nosić hełm, pas i karabin. Macie jadać w hełmach i z bronią pod ręką. Macie wkładać hełm, kiedy idziecie srać. Każdemu złapanemu na terenie bez hełmu i broni wlepię artykuł piętnasty. Tak samo za spanie bez siatek moskitowych i niezazywa-nie pigulek przeciwko malarii. Ma być jeden wartownik na każde sto stóp obwodu i my dajemy co noc trzech ludzi. Jeżeli dostaniemy ognia od wsi, zniszczymy ją. Granaty, broń maszynowa, pełna obróbka.

Wczoraj kaemiarze i zwiadowcy robili rozpoznanie i dostawali ognia prawie za każdym razem.

Będziemy wykonywali zadania poszukiwawczo-niszczące w tych górach i przy Szczęśliwej Dolinie. Żółtki mają tu od cholery chat magazynowych i ludzi, więc musicie być w gotowości.

Dowódcy pododdziałów będą co wieczór sprawdzać broń i nikomu nie wolno przetrzymywać amunicji dłużej niż trzy dni. Jak to gównie się zanieczyści, karabiny będą się zacinały za każdym razem. Jeżeli nie zużyjecie amunicji tam, wymieniacie ją tutaj.

Wy, nowi, którzy nie byliście z nami na granicy, możecie myśleć, że to jest bajerowanie, ale czeka was parę niespodzianek. Grudzień był lekki, ale teraz musicie się kapować każdej minuty.

Absolutnie żadnych rozmów podczas wykonywania zadań. Żadnego palenia, dopóki nie zezwolę ja albo dowództwo. Każdy, kto nie posłucha, będzie miał osobiście ze mną do czynienia.

Co do strzelania: zabijamy wszystko, co się ruszy. Jeżeli usłyszycie jakiś szelest w krzakach, strzelajcie, bo dostaniecie po dupie. Będziecie czekali na żółtka, to wam jaja oberwie. Ruszamy rano, po jedzeniu. Chcę widzieć wszystkich dowódców drużyn w moim namiocie. No to tyle, chłopcy. Przygotować sprzęt. Każda broń ma być dziś wieczorem wyczyszczona, a każdy fiut bolesny ma pobrać świeżą amunicję.

39

Padgett wrócił do swego namiotu, a reszta plutonu udała się do punktu amunicyjnego za kasynem. Przynajmniej

O tyle ich wyprzedził. Popił banana colą myśląc o położeniu się do łóżka i słuchaniu szelestu liści palmowych nad wioską.

Ulgą było znaleźć się znowu w polu, chociaż tym razem mogli się paskudnie wkleić. Cholera z tym. Obóz-baza to była nuda. Cztery dni na miejscu, dwa razy wycinanie zarośli, służba wartownicza

ubiegłej nocy. Jeden dzień w mieście, marna gorzałka i dwa sztosy, to do kitu. W Sylwestra, kiedy chcieli dać sobie trochę do nosa, w kasynie już o dziewiątej zabrakło picia. Musiał siedzieć trzeźwy i słuchać, jak Slagel opowiada wojenne historie, a Morgan pieprzy o różnych zgredach z bazy. Ale nie takie to złe jak Fulda. Tutaj przynajmniej można sobie fundnąć kawałek dupy nie jeżdżąc po to sześćdziesiąt kilosów.

Obóz mógł człowieka rozmiękczyć; tego trzeba się wystrzegać. Napięcie konieczne w polu znika tu, bo nie trzeba się o nic martwić. Przemówienie Austina trochę go podkreśliło, ale nadal był apatyczny i śpiący. Pierwsze zadanie jutro rano powinno napięcie przywrócić. Może na to liczyć, jak już się znajdzie w śmigłowcu z całym majdanem. Postanowił iść spać, zanim wróci Collins i zacznie truć, o ile jest twardszy od białych chłopaków. Takie murzyńskie gadanie to nie byle co. Przeniósł się myślą do restauracji w Newark, dokąd z tamtym tłustym typkiem przychodził po wystawach malarskich albo po kinie w Nowym Jorku. Ale tym razem był solo i szykował się do wyjścia z tylnej sali. Między nią a pomieszczeniem, gdzie się znajdował kontuar i kasa, były zamknięte drzwi z małym okienkiem. Zajrzał przez nie i zobaczył tamtego na kanapie obok kasy, z tym krzyżem na łachach wojskowego munduru. Zebrał się w sobie, żeby wykiwać tego ćmora, nałożył ciemne okulary i powiedział sobie, że wejdzie tam zimny jak lód, zapłaci rachunek i spłynie. Raptem poczuł drętwienie w dłoniach i stopach, i ledwie dotknął drzwi, ręce i nogi zrobiły mu się jak z ciasta, i łup! — już leży na podłó-

40

dze. Potem się dźwiga, przechodzi obok faceta. Ale nogi mu się płaczą. Potyka się, wali na podłogę, zlatują mu okulary i nagle patrzy prosto w paskudny pysk tłuszczucha. A ten buc zaczyna swój numer: „O, LaMont Padgett! Masz teraz takie nieuczciwe oczy, że nie mogę na ciebie patrzeć. Ty draniu. Ty łobuzie. Ty pierdoło!”

LaMont już jest na nogach i zasuwa: „Ja? Nieuczciwy? Ty parszywy opasie! Prowadzałeś się ze mną dwa lata, wciskałeś tę całą ciemnotę o pięknie, o Bogu i Jezusie, zalewałeś mi, jakie fajne jest moje malarstwo, a chciałeś tylko jednego: złapać mnie swoją kluchowatą rączką za wała. Ty pedale! Ty cholerny murzyński pedale!”

Tymczasem kontuar za nimi zniknął, a na jego miejscu ział otwór kominka z czerwonej cegły. Typ podszedł tam, kiedy LaMont na niego wrzeszczał, i chwycił duży pogrzebacz. Podniósł go nad głowę i tę swoją durną wojskową czapkę, w twarzy miał taką nienawiść, jakiej LaMont jeszcze nie widział, i chciał rozwalić mu czaszkę. LaMont tylko zaplótł ręce na głowie i czekał.

Obudził się jak zawsze z dłońmi nad głową, oczekując na cios. Przynajmniej nie wrzeszczał. Na dworze było jeszcze czarno. Odlewając się do odwróconej wyrzutni raketowej słuchał, jak kucharze brząkają garnkami w namiocie kasynowym. Teraz to już nie potrwa długo.

Przez dziesięć dni pluton patrolował krótki łańcuch nadbrzeżnych gór biegnący od Bong Son po południowej stronie rzeki. Żadnej akcji. Wszyscy byli napięci, bo kae-miarze i zwiadowcy dostawali ognia co dzień, strzelców jednak nikt dotąd nie zaczepiał. Niekiedy Padgett nieomal już chciał, by coś się działo, po prostu żeby sprawdzić, czy tym razem potrafi użyć swoich pięści. Ale w boju to nie było możliwe. Zupełnie * co innego niż awantury uliczne. Tam najwyżej obalili człowieka na dupę lub trochę pochlastali. Tutaj to było na serio.

Te góry są jednak ładne. Czasami zapominał, po co tu jest, szczególnie kiedy spoglądali z grani w dół, na

41

morze, chłodzeni przez powiew. Przypominał mu się ciemny błękit Morza Śródziemnego z maja zeszłego roku. Będzie żałował, kiedy przeniosą się na zachód, do Szczęśliwej Doliny.

Sypiał do późna, bo nie bardzo chciało mu się rozmawiać. Slagel był zajęty wymianianiem wojennych opowieści z podoficerami i chłopakami. Tak jakby już nie mógł doczekać się walki. Nowym współmieszkańcem namiotu Chambersa został twardy chłopak z Południa, więc nie było po co tam chodzić. A czarni wciąż gadali o bzdurach. Jednakże nie było tak źle — Padgett dużo spał, prawie co wieczór pisał do Jerrie.

Rano, ledwie zdążył przycupnąć obok Chambersa z menażką jajek w proszku i bułką, przybiegł

Austin w pełnym ekwipunku.

— Pluton, zbierać się piorunem i ustawiać w kolejce do lotu. Przerwać żarcie.

— Pierdolę kolejki do lotu.

Wyrzucił swoją porcję do kubła na odpadki i pobiegł do namiotu.

— Idziemy — powiedział sierżant sztabowy Baird. — Dziś rano urwał się kontakt radiowy z obozem oddziałów specjalnych. Nie można tam nikogo wywołać. Musimy to sprawdzić.

Lecieli na południowy zachód przez dwadzieścia minut, po czym zniżyli się nad opuszczoną wioską. O ćwierć mili dalej na południe śmigłowce transportowe zaczęły krążyć nad obozem w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara, a bojowe przelatywały nisko. Ze swego siedzenia przy prawych drzwiach Padgett nie widział obozu. Tylko gęstą dżunglę dokoła. Trzeba by maczet, żeby się przedrzeć przez to paskudztwo.

Śmigłowce bojowe przeleciały wzdłuż linii drzew o pięćdziesiąt jardów od obozu, po czym wylądowały transportowe. Pluton poskoczył w gąszcz i przeleżawszy pięć minut przegrupował się na skraju dżungli. Nadal żadnego znaku życia. Pośrodku obozu na maszcie sztandarowym wisiał

42

człowiek. Kapitan Webber przyszedł od radia i przykucnął przed żołnierzami.

— Wygląda na masakrę, ale to może być pułapka. Maszyny bojowe nie mogły nikogo wypatrzeć, poza tym kapitanem na maszcie. Nie żyje. Sierżancie Austin, poprowadzę tam drugą i czwartą drużynę. Pierwsza i trzecia niech się rozwinie półkolem i podejdzie z boku. Jeżeli stworzą ogień, walcie w nich wszystkim, co macie. Strzelajcie nad naszymi głowami, to spróbujemy się wycofać. Jazda! Nie dotykajcie niczego, póki nie sprawdzicie, czy to nie pułapka.

Kiedy podsunęli się z wolna do bramy obozu, dojrzeliby wyraźniej człowieka na maszcie.

Rzeczywiście kapitan. Słońce błyszczało na srebrnych odznakach, które wbito mu w czoło. Nagi. Krocze kompletnie czarne. Nic z niego nie zwisało. Nogi i brzuch pokryte czarnymi plamami, a policzki obrzmiałe, jak gdyby miał świnkę. Padgett powiedział, że coś mu się wywraca w żołądku, a dłonie mu spotały.

Każda z sześciu aluminiowych chat w obozie była otoczona workami piasku, między którymi pozostawiono wąskie przejścia. W największej czterech żołnierze leżeli martwi w śpiworach pokrytych plamami zaschniętej krwi. W nnej trzej siedzieli przy karcianym stoliku.

Radiotelegrafista był rozciągnięty na podłodze w baraku łączności, i innego żołnierza znaleźli w magazynie z czarną twarzą

szarymi dłońmi ściskającymi jak szpony drut zaciągnięty na szyi. Drużyna wyszła z ostatniej chaty i stanęła przy maszcie sztandarowym, gdzie czarny krąg pokrywał plamę pod wiszącym człowiekiem. Webber krzyknął do Austina, żeby sprowadził resztę plutonu.

— Cholera! — powiedział Baird. — Ale ich wykończyli, janie kapitanie!

— Prawda? — odrzekł Webber. Wyglądał na całkiem zagubionego. — Nie ma oddziałów krajowych. Ani żywej duszy

— Pewnie są w zмовie z Wietkongiem.

— Wietkong tego nie zrobił — powiedział Webber. —

To ci z gór. Kapitan musiał zerznąć ich kobietę. O rany! Kto potrafi się wspinać? Ktoś musi zdjąć tego człowieka. No, który?

— Ja mogę to zrobić — odezwał się Collins.

— Znieście go na dół, jeżeli zdołacie. A jak nie, to go zrzućcie.

— Dam znać do Cztery-trzy, co się dzieje — rzekł Austin.

— Spytajcie, czy nie mogą przysłać tu parę medyków * po tych ludzi. Jak tam, Collins?

— Mam go. — Collins przeciął linkę i powoli zsuwał się po maszcie przytrzymując jedną ręką kapitana.

— Dunlap, chodźcie tu! — krzyknął Webber do sanitariusza.

Collins złożył trupa ostrożnie na ziemi i odszedł. Dunlap pochylił się nad zwłokami kapitana i dotknął jego głowy. Nagle jęknął, odskoczył i zwymiotował.

— Co się stało? — zapytał Webber.

Dunlap obciął się blady, pod oczami połyskiwał mu pot powiększony przez grube szkła okularów.

— Panie kapitanie, jego jaja i członek. Wsadzili mu je w usta.

— Jezu Chryste! Niech ktoś da koc i przykryje go. Padgett nie mógł powstrzymać się i spojrzął. Twarz tego

człowieka była granatowa od uduszenia, wargi czarne, a wnętrze ust między białymi zębami wyglądało jak jama zalepiona błotem. Zastanowił się, jak długo go zabijali, i zatrzęsł się cały ujrawszy w myśli sceny torturowania.

— Chodź tutaj, Padg — powiedział Hanshaw. Cofnął się kilka kroków do małej grupki żołnierzy.

— Mam nadzieję, że warto mu było ją posunąć — powiedział któryś.

— Musiała być jakaś fajna dupa.

— Coś wam powiem — rzekł Hanshaw szczerząc zęby. — To jest numer, którego nie zobaczycie tak często

* Medewak, od medical evacuation — śmigłowiec ewakuujący rannych i zabitych (przyp. tłum.).
44

v Alabamie. — Wyciągnął rękę, a trzech innych natychniast go w nią trzepnęło.

Śmierć jest szara; tak musiałby ją namalować. Padgett wrzucił niedopałek papierosa do puszki po piwie i położył się na śpiworze odtwarzając sobie w myśli po raz setny obraz obrzmiałego, wykastrowanego kapitana. Nie przypuszczał, że zobaczy coś podobnego, nie myślał nawet, że będzie tu coś do namalowania. Teraz wyobraził sobie samego siebie w nowojorskiej galerii ze ścianami ociekającymi tym, co tutaj widział. Może tłuscioch też przyszedłby popatrzeć. W ciemnościach namiotu powrócił myślą do dnia swego przybycia do Sajgonu. Kiedy wysiadali z samolotu, powitał ich osiemnastokołowy ciągnik z przyczepą wiozący ładunek trumien do czekającego samolotu transportowego. Na zewnątrz doskonała geometryczność; wewnątrz widział rentgenowskimi oczyma bezkształtne bryły szarej śmierci. Obmyte do czysta czy pokryte trupami? Jak to namalować? Czyby w ogóle potrafił?

Rysował trochę, kiedy był mały, chyba jak większość Izieni, i zawsze lubił kolorowe obrazki i duże książki i ptakach i zwierzętach. Ale niewiele się tym zajmował w szkole, a zapomniał całkowicie w dziesiątej klasie, kiedy boksował się przez cały czas. W jedenastej zabrał ię na dobre do malowania, a uczył go tłuscioch. Coraz częściej zostawał po lekcjach, rozbryzgując kolory po pałacie i płótnie, i nieraz robił ładne rzeczy. Tłustemu aczęło się to podobać i któregoś dnia zapytał go, czy chciałby pojechać do Nowego Jorku na wystawę. Mówił, że obejrzenie prac innych będzie dla niego pomocne.

To było w piątek i bardzo nie miał ochoty wyrzec się rządzonej wieczorem zabawy, ale powiedział „okej”. Po-ubił tego pyzatego typa. Wystawa była dobra, a kiedy wrócili do Newark, poszli do tamtej restauracji i gadali, tłusty naprawdę chciał dowiedzieć się czegoś o nim, zdał się rozumieć jego sytuację i nawet udzielał mu rad, o robić dalej. Ten pulchny tatuńcio był paskudny, ciężki
45

i opasły. Miał okrągłą twarz z grubymi, spoconymi fałdami na czole, a kark obwisał mu na kołnierzyk koszuli jak zwał galarety. Kiedy wstawał z krzesła w restauracji, dyszał i sapał jak lokomotywa. To jednak nie przeszkadzało LaMontowi, bo mógł z nim rozmawiać jak z nikim innym. Opowiedział mu wszystko. I chociaż tamten wiele gadał o wytrzymałości, nie był żadnym Wujem Tomem, bo twierdził, że nie ma sensu kopać białych w dupę, i że nawet jeżeli ktoś został skrzywdzony, powinien starać się nie krzywdzić nikogo innego.

LaMontowi trzeba było trochę czasu, żeby to skapować, ale w końcu rzucił boks. Zawiesił rękawice na kołku i zajął się malowaniem razem z tym swoim tłustym tatuńciem. Całą energię, którą zużywał wściekając się na ludzi, przelewał teraz na płótno i do swych szkicowników. I zamiast spędzać czas w sali gimnastycznej, chodził przynajmniej raz w tygodniu na jakąś wystawę, a niekiedy dwa czy trzy razy.

Matka martwiła się trochę, że się prowadzi z tym starszym nieżonatym mężczyzną — spotkała go parę razy i powiedziała, że coś z nim jest nie w porządku — ale on nie widział w tym nic złego. Czasami, kiedy LaMont namalował dobry obraz albo kiedy mieli jakąś specjalną rozmowę, typek

mógł go poklepać po plecach czy lekko uściskać, ale nie różniło się to niczym od tego, co robili trenerzy, gdy wygrał spotkanie czy dobrze ćwiczył.

W dwunastej klasie dostał na wiosnę stypendium ze szkoły malarskiej w Newark, głównie dzięki pomocy swego nauczyciela. Kiedy to wypaliło, typek był taki uradowany, że cmoknął go lekko w policzek. LaMontowi to się nie spodobało, ale różowe światełko jeszcze nie zabłysło mu w głowie. Później tłścioch zapytał go, czy uważa, że to, co zrobił, jest pedałowate, a LaMont odpowiedział, że nie. Facet nie miał żadnej rodziny i naprawdę się cieszył, kiedy mógł coś dla kogoś zrobić. Każda przyjaźń była dla niego ważna. Zresztą LaMont wkrótce o tym zapomniał. Dalej pracował jak wariat, chcąc zwiększyć swój dorobek i wpaść na jakieś nowe pomysły, ażeby móc do-
trzymać kroku innym, kiedy zacznie się szkoła malarska.

Przez cały ten czas, kiedy się widywali, facet dawał mu piękne książki o sztuce, gadał, jaki fajny był Jezus, mówił mu, co jest dobre, a co złe i tak dalej. Nie chodził do kościoła, ale był wierzący i pod jego wpływem LaMont też zaczął wierzyć. Gadali o Fra Angelico i Giotcie, a tłścioch podkreślał całą tę delikatną religijność i nabożność ich obrazów i fresków, mówił mu o wierze w Boga i o tym, że trzeba przeżywać każdy dzień tak, jakby był ostatnim. LaMont słuchał tego chętnie przez jakiś czas, dopóki nie zetknął się z tymi kopniętymi typkami w szkole malarskiej i nie poznał różnych nowych form. Parę razy spróbował narkotyków, dosyć go to podkreśliło i wszystkie te groteskowe kształty zaczął przelewać na płótno. Pokazał prace tłstemu, ale ten nie był zachwycony. Mieli sprzeczkę o to, że używa marihuany, a kiedy LaMontowi przestało się podobać jego trucie o Jezusie, facet był naprawdę zawiedziony i przestali widywać się tak często jak przedtem. LaMontowi nadal podobali się Fra Angelico i Giotto, tak samo jak zawsze, ale byli to bardziej malarze niż kaznodzieje — a przede wszystkim ludzie — czego tłusty tatuńcio nie mógł nigdy ska-pować.

Któregoś wieczora LaMont spotkał się z kolegami ze szkoły i razem palili, i popijali, gdy nagle wypłynęło nazwisko tłściocha. Wszyscy tręcali się i chichrali, tak jakby wiedzieli, co on za jeden, po czym zaczęli gadać, że jest ciotą. LaMont go bronił uważając, że zna go najlepiej, więc może im wszystko wyjaśnić. Żaden nie znał go naprawdę tak dobrze, ale wszyscy słyszeli różne rzeczy od innych. Pod koniec wieczora zdołał przekonać ich, że tłścioch nie jest pedałem, że jest po prostu samotny i potrzebuje trochę ludzkiej miłości.

Był dosyć podпиты, kiedy dobrnął do domu, i właśnie zataczając się szedł do drzwi przez trawnik od frontu, dedy raptem bęc! wóz pyzatego tatuńcia podjeżdża do krawężnika. LaMont wsiadł do samochodu, zaczęli gadać. w końcu powiedział mu, że tego wieczora rozmawiał

47

O nim z różnymi gośćmi i że chce zadać mu parę pytań, jak" całkiem wytrzeźwieje. Tłścioch powiedział „okej”, a potem pochylił się i pocałował go. LaMont nie zareagował i wtedy typ odstawił nielichy numer. Po prostu wetknął mu swoją tłustą łapę pod jądra, a LaMontowi eksplodowało w głowie za wiele kolorów, by coś powiedzieć czy zrobić. Zanim się połapał, ćmor wziął go za rękę i przyłożył ją sobie do spodni, a wała miał twardego jak mrożona parówka. Do tej pory rozlało się już LaMontowi w głowie ze dwadzieścia galonów farby, ale siedział tam nadal. W końcu wymamrotał, że musi się przespać, że zobaczy się z nim w następnym tygodniu, wysiadł z wozu i patrzył, jak odjeżdża.

Kiedy od wschodu wypłynęły na niebo szare i złote strumienie, wciąż jeszcze stał na chodniku wpatrując się w pustkę, czując, jak farba obsycha mu na mózgu. Ale zabawił się niezłe tej nocy. Tak się podkreślił, że nawet ci faceci, którzy z nim byli, myśleli, że dostał kota, a potem wyszukał sobie najczarniejszą dziwkę, jaką mógł znaleźć,

1 zerznął ją tak, że dupa ją rozbolała.

Pod koniec tygodnia poszedł spotkać się z tłściochem, zamierzając powiedzieć temu pedałowowi, że między nimi koniec, lecz kiedy go zobaczył, nie mógł nic wykrztusić. Facet zaczął sadzić mu wzniosły bajer, jak się cieszy, że go widzi, po czym zapytał, czy chciałby pomówić o tej całej hecy, a on, LaMont, odpowiedział, że nie. Tłusty na to: „Widzę, że już się wcale nie liczę”, a Padgett odrzekł: „Takie jest życie” i odfalował.

Po tej historii rzucił malarstwo. Rzucił je dla boksu, poza takimi chwilami, kiedy się podkrecał i rysował na serwetce albo czymś takim. Ale na ogół dał sobie z tym spokój, a jeżeli zaczynał myśleć o tej sprawie, przemieniała się w nienawiść do tłściocha.

Po Nowym Roku w sześćdziesiątym piątym, kilka miesięcy po przyjeździe jego, Morgana i Slagela do Fuldy, zaczął naprawdę się staczać i było z nim coraz gorzej i gorzej. Przestał czyścić buty, chodził w brudnych drelichach i coraz częściej po prostu się wylegiwał i nic nie

48

robił. W lutym pojechali na trzy dni do Paryża i kiedy wszedł do muzeum sztuki współczesnej, łup! — frontalny atak kolorów i wspomnień, i tej samej nocy, kiedy obrabiał jakąś kurwę na St. Denis, wciąż mu chodziły po głowie te dziwne formy i oszalałe barwy.

Po powrocie do Fuldy spróbował narysować węglem paru swoich przyjaciół, ale mu to nie wychodziło, więc iał spokój, zanim naprawdę zaczął. Kiedy przyszedł kwiecień, zaczęło mu bębnić w głowie, że ma siedzieć jeszcze lwa lata w tej dziurze. Wtedy postanowili pojechać na iwa tygodnie do Włoch i sama myśl o tym jakoś pomogła. Zrzucili trochę tłuszczu w sali gimnastycznej i pierwszego maja znaleźli się już u makaroniarzy, i było tak, jakby ktoś zdjął pokrywę i wpuścił słońce do środka.

Ta biała szprota, z którą się zaczepiał, też była fajna — naprawdę — nie wyjeżdżała z żadną lipą, że jest gotowa umrzeć za sprawę równości rasowej, i nie myślała tylko o tym, że czeka ją wielki ubaw, jeżeli załapie jakiegoś czarnego kutasa. Jeżeli idzie o sprawę, była po jego stronie jako Murzyna, ale nie miała zamiaru dać się zabić za cokolwiek, jeżeli to nie było konieczne. Któregoś lata uczyła jakiś czas na dalekim Południu i za to biali na nią naskakiwali, ale mówiła, że pewnie tam wróci, bo chce, żeby ludzie umieli czytać i pisać, lecz jeśli Południowcy będą próbowali ją uziemić, to się wycofa, ponieważ umieranie w taki sposób nikomu nic nie da.

Nie było to żadne głębokie uczucie. Lubili się, ale oboje wiedzieli, że nie ma wielkiego sensu wiązać się z sobą naprawdę, bo ona miała wrócić do zwykłego życia, a on tkwić w wojsku jeszcze dwa lata. Powiedziała jednak, że to nie jest powód, aby nie cieszyli się sobą, póki mogą. On zaś mówił do siebie: „Racja, racja, a teraz rozłóż te nogi.” I wzięli się do tego całkiem ostro, i myślał, że to jest wszystko, czego mu potrzeba, gdy raptem zaczęła mu chrzanić o malowaniu, śmiała się, mówiła, że jest niedołęga, i zanim się połapał, nakupił przyborów i któregoś dnia zaczął malować ją gołą na polu.

Miała trochę za grube nogi i kiedy ją namalował taką,

4 — Amerykańscy chłopcy

49

jaką była, zapytała, czy mógłby namalować jeszcze raz, tylko zrobić jej trochę smuklejsze nogi.

Popatrzył na nią dziwnie i wtedy powiedziała, że to nic wielkiego, ale właśnie ta jedna część ciała niespecjalnie jej się podoba, a ponieważ jest jej z nim tak dobrze, może mógłby też dobrze ją namalować. Więc zrobił to. Wyszczuplił jej nogi, lecz kiedy skończył, portret nie był wcale podobny. Przypatrzyła mu się stojąc obok, w jasnym popołudniowym słońcu, w którym jej oczy stawały się coraz bardziej zielone, i wreszcie uśmiechnęła się, słońce błysnęło złotawo na jej ślinie, powiedziała ze śmiechem, że woli siebie taką, jaką jest, i rozmazała farby na całym płótnie. Potem pociągnęła LaMonta na ziemię i zaczęli się tarzać w trawie jak czterolatki, aż nagle zrobili się całkiem dorośli i kiedy spojrział na nią w chwili, gdy mu rozdrapywała plecy, miała na twarzy taki uśmiech, jakiego jeszcze nie widział. Zamknął oczy i kiedy się spuszczał, potoki złotej i zielonej farby rozlały mu się w mózgu, jak nigdy przedtem.

Odkąd pokłócił się z tłściochem, często miał ten sen i zawsze później przez wiele dni nienawidził faceta. Którejś nocy też miał taki sen, ale tym razem było potem inaczej. Obudził się nie czując do tłściocha nienawiści, tak jak zazwyczaj. Ten przyływ łagodności sprawił, iż począł myśleć, że grubas nie ponosi tak wielkiej winy za to, czym jest, i może to, co robi, tak samo go boli. Bo gdyby nie urodził się z tą sflaczałą gębą i chorą tarczycą, mógłby znaleźć sobie jakąś babkę, która nie dopuściłaby, żeby został pedałem. Nie było to usprawiedliwieniem tego, co się stało, ale kiedy LaMont zrozumiał, jak i dlaczego, zaczął wybaczać opasowi.

Z każdym dniem we Florencji oglądał coraz więcej i coraz więcej malował, i cała ta zajadła nienawiść zmiękła jak glina czy kit, czy coś, co człowiek może ukształtować i zrozumieć. Na chwilę nawet wyszedł poza swój punkt widzenia i postawił się w położeniu grubego. Przez tę chwilę odczuwał brzemień samotności, w jakiej tamten

60

musiał żyć ciągle, i odtąd, choć czasem go nienawidził, było mu go naprawdę żal.

Tak więc dużo malował we Florencji. To nie znaczy, że się nie bawił i czasem sobie nie popił, ale kiedy w końcu wyjeżdżali, miał cały stos prac, które zrobił lub poza-czynął. Był jeszcze trochę zardzewiały, ale czuł, że kiedyś może coś z tego wyjść. Fulda go zmroziła. Malował jakby klejem. Cały rozmach się zatkał, pędzel ledwie chciał mu się poruszać. Od razu wpadł we wściekłość i znowu znienawidził tłuszciocha. A potem któregoś dnia próbował namalować kwiaty w parku, ale nic mu nie wychodziło i wtedy podszedł do niego jakiś Szkop, i wyślinił: „Ent-schuldigen Sie”, on zaś powiedział: „Spierdalaj stąd, ty francowata dupo!”, a kiedy Szkop powtórzył swoje, strzelił do faceta. Miał pecha, że akurat przejeżdżali dwaj żandarmi. Kiedy podeszli, zagotowało się w nim i strzelił do jednego, drugi go zaszedł z pałką od tyłu i rąbnął w bok głowy, i LaMont ocknął się w ambulatorium.

Ten pierwszy glina domagał się sądu wojennego, żeby go wsadzić do obozu karnego, ale dowódca skazał go na dwa tygodnie dodatkowej służby i degradację. Padgett już przedtem rozmawiał z innymi o wyjeździe do Wietnamu i kiedy pierwszego wieczora dodatkowej służby wybierał kamienie na polu defiladowym, chęć wyjazdu naprawdę się wzmogła. Poczul się jakby wyzuty z czegoś, bo życie niesło tyle obietnic jedynie po to, żeby je człowiekowi sprzątnąć sprzed nosa, kiedy nabrał na nie ochoty. Wtedy zrozumiał, że jeżeli zostanie w Fuldzie jeszcze dwa lata, będzie musiał ciężko borykać się z sobą, żeby nie wylądować w pierdłu albo u czubków. Zaczął więc ciskać kamieniami po polu wyobrażając sobie, że rzuca je w Wietkong, a potem powiedział do siebie: „Chromolę to, dlaczego nie mam się zaciągnąć, przecież lepiej ciskać kamieniami niż wkładać je do jakiegoś cholernego worka.” Nie dlatego, żeby czuł złość do Wietkongu, ale w Fuldzie nie mógł się wylądować na nikim poza sobą samym i prędzej go szlag trafi, niż będzie się dalej tak zżerał.

Do Wietnamu nie zabrał nawet szkieletownika. Zresztą

51

i tak nie miał czasu na rysowanie. Musiał ciągle być czujny, nie dopuścić, by głowa mu pleśniała tak jak w Ful-dzie. Gdyby doszło do jakiejś chryi, tak jak dzisiaj, nie powinien był mieć z tym większych kłopotów.

Obstrzykał środkiem owadobójczym pijawkę, która ssała mu prawe przedramię. Oderwała się i spadła na ziemię. Drugą strącił z łydki. Przed trzema dniami jedna przyssała się Cenicerosowi do jąder i nie mógł jej się pozbyć. O mało nie zwariował, zanim go zabrał śmigłowiec. Należało zostawiać spodnie rozpięte dla wentylacji, co ułatwiało pijawkom dobieranie się do nóg.

Gromadziły się całymi grupami i atakowały.

Szczęśliwa Dolina byłaby dobrym miejscem do łowienia ryb. Jej ściany były strome, wysokie i poszarpane, a potok na dnie wił się wśród dużych pomarańczowych i szarych głazów i między krótkimi odcinkami piaszczystych brzegów, gdzieś tam zaś wyglądał się przed bystrzyna-mi i wirami białych pian. Wspaniałe miejsce do chłodzenia piwa.

Przenieśli się do Szczęśliwej Doliny po następnych trzech dniach w nadbrzeżnych górach i w ciągu dwóch tygodni pluton zabił dziesięciu żołnierzy regularnej armii północnowietnamskiej, w małych grupkach po dwóch lub trzech. On sam żadnego nie zastrzelił, ale raz o mało nie dostał. Do tej pory brygada złożona z trzech batalionów piechoty zabiła prawie trzystu, a od rozpoczęcia operacji w Bong Son dywizja odnotowała ponad pięciuset zabitych nieprzyjaciół. Slagel zastrzelił czterech w Szczęśliwej Dolinie i teraz robił nacięcia na kolbie karabinu. Padgetto-wi trudno było się z nim dogadać. Facet łykał pigułki odchudzające, które dostał od lekarza, a jego twarz wyglądała tak, jakby miał wybuchnąć ze złości. Oczy miał rozszerzone, wciąż mrugał i przez cały czas oblizywał wyschnięte wargi. I przepadał za zabijaniem.

Niekiedy zadania bojowe wydawały się głupie, choćby mieli zabić tysiąc czy dziesięć tysięcy.

Kiedy rano pluton

52

odlatywał, Padgett mógł naliczyć ze śmigłowca blisko sto długich zielonych języków dżungli wiodących w dół od grzbietu góry, a w każdym wąwozie między nimi mogły się ukryć dwa pułki. Lotnictwo przez cały czas oczyszczało napalmem rejony lądowania na grzbiecie góry, ale chociaż dawało to helikopterom miejsce, gdzie mogły siadać, nie robiło większego wyłomu w niezmiernych hektarach gęstwiny. Tyle że oszpecało góry.

Kiedy wspinali się na taki górski język, pomarańczowe i szare skały spiętrzyły się o jakieś sto jardów w prawo przed nimi. Inne poszarpane pasmo opadało pionowo w dół, równoległe do kierunku marszu plutonu. Za większymi kanciastymi skałami ledwie prześwitywały przez drzewa trzy bure chaty. Pluton zatrzymał się i podano do tyłu rozkaz, że reszta też ma stanąć. Kapitan Webber zawrócił, przesunął czwartą drużynę do punktu, z którego mogła widzieć jaskinie w skałach, i dał grenadierom rozkaz wystrzelenia po dwa pociski w owe jaskinie i chaty.

Chambers przykucnął obok Padgetta, gdy grenadierzy ruszali naprzód, i położył mu dłoń na ramieniu.

— No jak, LaMont?

— W porządku, Orville. Ale ten upał to inna sprawa. Aczkolwiek Szczęśliwa Dolina była ładniejsza od nadbrzeżnych gór, nie dolatywał do niej żaden powiew.

— Wyniesiemy się stąd za parę godzin. Trochę tu cieplej niż w Niemczech.

— Racja.

Grenadierzy zaczęli strzelać. Jeden pocisk trafił prosto w chatę, a drugi w dużą skałę o stopę ponad jaskinią. Natychmiast buchnął z jaskini ogień maszynowy.

— Padnij!

Padgett odepchnął w bok Chambersa, po czym sturlał się kawałek w drugą stronę i zatrzymał obok Collinsa. Pierwsza drużyna nie odeszła od nich nawet dwudziestu kroków.

— W tę jaskinię — powiedział Collins.

Padgett podparł się na łokciu i wpakował osiemnaście ładunków w otwór. Karabin maszynowy nie umilkł. Ktoś

53

pociągnął Padgetta za nogawkę spodni. Obrócił się. Obok leżał sierżant Reese, dowódca jego grupy, z twarzą wykrzywioną z bólu.

— Są między tymi skałami z boku — powiedział Reese. — Przypaskudzili mi w nogę.

— Sanitariusz! — wrzasnął Padgett. Wywalił magazynek w poszarpane skały. Odpowiedział mu stamtąd błysk strzałów. — Sierzancie Baird, strzelają też z boku. Dać tu paru grenadierów!

— Caldwell! — zawołał sierżant. — Bierzcie waszą drużynę na te skały! Dawać tu grenadierów!

— Sanitariusz!

Z jaskini wciąż strzelał karabin maszynowy. Przypełznął Ennis i wsunął się między Padgetta i Reese'a.

— Franklin oberwał — rzekł. — I paru innych też. Sanitariusz wróci za minutę.

— Strzelajcie przez te drzewa — powiedział Reese. — Za daleko, żeby rzucić granaty.

Ennis miał automatyczny wyrzutnik, który wystrzeliwał trzy granaty jeden po drugim. Pierwszy trafił w drzewo, a dwa wybuchły między skałami. Jakiś człowiek poderwał się i zaczął biec. Padgett strzelił i tamten upadł. Zakładając następny magazynek Padgett popatrzał na wielkie skały. Kapitan Webber, Slagel i Irwin czołgali się ku jaskini. Ennis wystrzelił kolejne trzy granaty.

— Kropnijmy tych dwóch — powiedział Collins. Padgett i Collins otworzyli ogień do dwóch następnych

ludzi, usiłujących przedostać się między skałami, i trafili ich. Padgett załadował następny magazynek i zerknął na Slagela i Irwina, którzy wysunęli się przed Webbera i poczołgali z drugiej strony dokoła wielkiego głazu.

Sanitariusz Dunlap przypiełznął do drugiej drużyny z zaczął bandażować nogę sierżantowi Reese'owi.

— No jak, sierżancie? To nic takiego. Za dwa tygodnie będzie pan zdrowy jak ryba.
— Jak tam jest, Dunlap?
— Okej. Franklin paskudnie oberwał. I paru gości z trzeciej drużyny. No, już. Na razie w porządku.

54

Ogień spomiędzy poszarpanych skał osłabł. Padgettowi dzwoniło w uszach, ale grzał nadal. Ennis wystrzelał ostatnie granaty i poczołgał się do pierwszej drużyny, po granaty Franklina. Slagel stał tuż za małym występem tworzącym krawędź jaskini. Karabin maszynowy bił ciągle. Slagel zstąpił krok w dół na występ, okręcił się i cisnął granat w wylot jaskini, po czym odskoczył.

Padgett obrócił się, kiedy granat wybuchnął. Jakiś człowiek pędził prosto ku niemu między drzewami, nie dalej niż o czterdzieści kroków. Wypruł magazynek w jego pierś. Tamten potknął się, uśmiechnął i biegł nadal. W ręce ścisnął bagnet, ale nie miał karabinu. Padgett wywalił jeszcze osiemnaście naboji w czerwono-burą koszulę, ale ów człowiek wciąż biegł uśmiechnięty. Był o trzydzieści kroków, kiedy Padgett cisnął przed niego granat i przypadł za pniem drzewa. Wybuch był przytłumiony. Podniósł głowę. Tamten leżał twarzą do ziemi, plecy miał całkiem wyrwane przez kule, które przewierciły mu ciało. Był prawie przecięty w pasie, tak że nogi odrzucone skośnie spod tułowia zdawały się uciekać od jego ciała.

Padgett odwrócił się. Slagel stał na krawędzi jaskini i strzelał w ciemny otwór ze swego M-16. Wszyscy inni przerwali ogień.

— Dobra, Slagel! — zawołał Webber. — Wystarczy. Slagel wystrzelał jeszcze jedną serię, po czym wszedł

do jaskini. Ukazał się po chwili dźwigając dwa karabiny maszynowe i zrzucił je na dół, do pierwszej drużyny. Zawrócił jeszcze dwa razy do środka, wywlókł czterech martwych żołnierzy północnowietnamskich i zrzucił ich za karabinami.

— Nie ma tam nic więcej, tylko trochę ryżu.

— W porządku, schodźcie — powiedział Webber.

— Dobra robota, Slagel! — zawołał Austin.

Pierwsza drużyna poczęła wiwatować, kiedy Slagel schodził od jaskini. Kapitan Webber wrócił do drugiej i czwartej drużyny.

— Pójdziemy sprawdzić te skały. Kiedy zbliżymy się

na pięćdziesiąt kroków, każdy ma rzucić tam granat. Potem podejść w górę. Ranni zostają tutaj.

Nie ostrzelano ich, kiedy podchodzili, a rzucone granaty eksplodowały jak

siedemsetpięćdziesięciofuntowa bomba. Między skałami znaleźli dwudziestu dziewięciu zabitych żołnierzy północnowietnamskich, w większości paskudnie poharatanych przez odłamki. Zabrali ich broń i amunicję i dołączyli do plutonu. W górze unosiły się dwa śmigłowce sanitarne, na które wciągnięto Franklina, sierżanta Reese'a, Lovelace'a i Nelsona z trzeciej drużyny oraz Verducciego z czwartej. Franklin nie żył, Lovelace i Verducci byli ciężko ranni w nogi, a Nelson miał przestrzelony brzuch i był chyba sparaliżowany.

4

Orville Chambers usiadł na workach z piaskiem przed swoim namiotem w bazie polowej i zapalił cygaro. Ściągając drelichową kurtkę skrzywił się, poczuwszy kwaśny odór. Jutro musi wziąć prysznic. Ostatnie dwa dni były dostatecznie długie.

Chaty wioski rysowały się czarno na tle ciemniejszego nieba. Migotały w nich świece, a ludzie krzatali się za małymi okienkami. Za Chambersem, po drugiej stronie prostokąta namiotów, pierwsza drużyna święciła wczorajszą bitwę. Trzydziestu czterech sprawdzonych zabitych na jednego własnego i dziewięciu rannych.

Nie znał zbyt dobrze Franklina, ale widywał go w kolejce po posiłki, w latrynie, na warcie, a teraz już miało go tam nie być nigdy więcej. Będzie ktoś inny. Tak samo jak trzydziestu czterech innych Wietnamczyków przyjdzie na miejsce tamtych, włącznie z dwoma czy trzema, których sam zabił.

— Podziwiasz architekturę tych chałup, Orville? — zapytał Slagel podając mu piwo. — Dlaczego

nie bierzesz udziału w oblewaniu?

56

— Nie jestem w zbyt odświętnym nastroju. Podobno Webber przedstawia cię do Brązowej Gwiazdy.

— Myślisz, że to bajer?

— Tego nie powiedziałem. Ja bym się nie poderwał, tam gdzie ty byłeś. Zasłużyłeś na nią. Zabili Franklina. Ktoś musiał ich zatrzymać.

— Szkoda Franklina. Nelsona też. Strasznie mu przypierdolili. Mówię ci, Orville, wolałbym zginąć niż być okaleczony. Jeżeli mnie kiedykolwiek tak pokitwaszą, to strzelę sobie w łeb. A ty byś tak nie zrobił?

— Trudno powiedzieć, co bym zrobił. Kto przychodzi na miejsce sierżanta Reese'a?

Slagel poweselał.

— Może mi dadzą naszywki sierżanta. Mógłbym z łatwością prowadzić pododdział. Gdybym dostał Irwina na miejsce Franklina. On jest dobry, choć jeszcze dzieciak. Via serce. Będzie się pchał tam, gdzie silniejsi wysiadają. Podobałby ci się. Chodź i golnij sobie parę kielichów z nami. Mogę dostać, co zechcę. Major Quinn pewnie przyjdzie później.

— Zostanę tutaj. Jestem klapnięty.

— Dobra. Zobaczymy się jutro.

Chambers obrócił się i popatrzył za odchodzącym Sla-*elem. Kołyszący biodrami futbolista z drużyny college'u 3hio. Slagel zapomniał spytać go, jak mu się podoba zabijanie.

Żołnierze z pierwszej drużyny zaczęli wiwatować, kiedy Slagel wracał, i zaśpiewali mu „Sto lat”.

Chambers znowu popatrzył na wioskę. Odkąd wrócili tego rana z krótkiego wypadu, leżał, popijał colę próbując czytać książki o architekturze i drzemiał. Nie mógł się skoncentrować na czytaniu.

Wspomnienia o zabytkowych budowlach zamazywały mu się, a w głowie tańczyły ja-iięś formy w groteskowych kombinacjach — straszliwe gargulce nad koronkowymi florenckimi kaplicami, dostojne freski na sklepieniach, pełne barokowych draperii i rozedrganych ciał. Od lat nie był taki zdenerwowany. Nawet Kiedy Elaine zadzwoniła i powiedziała, że jej mąż chce

57

go zastrzelić, nie wpadł w panikę. Po prostu poszedł spać. Następnego dnia zaciągnął się do wojska. Więc czemu teraz tak go wzięło? Może dlatego, że wczoraj była pierwsza prawdziwa walka ogniowa. Trzeba paru dni, żeby się z tym oswoić. Kule bzykające jak złe osy. O krok od głowy z tej strony, o krok z tamtej — może to właśnie dlatego.

Bitwa była ciężka, ale nie mógł zapomnieć scen z obozu oddziałów specjalnych sprzed dwóch tygodni. I zachowania się potem plutonu. Diabelnie ich to otrzeźwiło na dwie czy trzy godziny.

Przycichli i każdy poruszał się ostrożniej. Wszystko jednak szybko wróciło do normy. Znowu zaczęło się gadanie bez końca o dziwkach, o dawaniu żółtkom w dupę, i po południu było już tak,

jak gdyby nic się nie stało. Przypomniało mu to wypadek, który widział jadąc autobusem z Fort Leonard Wood do Minnesoty po przeszkoleniu. Samochody zwalniały mijając miejsce, gdzie okrwawiony człowiek zwisał ze zmiążdżonego wozu, a drugi, z twarzą zalaną krwią, leżał na chodniku przy swojej rozbitej furgonetce.auta ruszały wolniej, niż nadjechały, i przez trzy czy cztery mile posuwały się ostrożnie. Potem zaczęły przyspieszać i po dwóch milach wszyscy jechali już tak samo jak przedtem.

Pomyślał o Dennisie Pondzie roztlukującym kamienie w Leavenworth. Drobnym, chudym Pond, który pierwszy zwrócił jego uwagę na niemieckie budowle, kiedy stali oparci o reling statku w Bremerhaven przeszło rok temu. Ponda przydzielili do innego dywizjonu w ich pułku i Chambers nie miał o nim żadnych wiadomości, dopóki w sześć miesięcy później nie przeczytał notatki w „Over-seas Weekly”. Pond wyznał kiedyś, że jest prawiczkim, i inni żołnierze w koszarach dręczyli go bez litości. Krążyła plotka, że paru zmusiło go do zrobienia im minety. Któregoś dnia podczas obiadu zatrzymał przed kantyną żonę oficera, wyciągnął nóż, rozciął jej bluzkę i zaczął gładzić po piersiach łypiąc na nią obłąkanymi szklanymi oczyma. Jakiś porucznik pochwycił go od tyłu i po rozpra-

1

nie przed sądem wojskowym Pond został skazany na pięć lat w Leavenworth.

Głód kobiet. Od tego ludzie wariowali. Chyba jeszcze bardziej od gadania o tym niż z prawdziwej potrzeby. Jak im ten kapitan mógł to zrobić? Musiał słyszeć o tych lu-ziach z gór. Może nawet z kimś się założył. Obłąkała tu łk kiepska, że nie szkodziłoby powstrzymać się przez rok Ibo przynajmniej poczekać do bezpieczniejszego raomen-1. Tamta kurwa z miasta pozostawiła mu tylko niesmak, rzepanie kapucyna było równie dobre.

Kiedy niebo całkiem pociemniało, pomyślał znowu

Fuldzie, o tym, jaki był głupi, że stamtąd wyjechał, głosił się na ochotnika, żeby być z przyjaciółmi i żeby im musieć patrzeć na to powolne gnicie. Ze Slagelem ;raz już prawie nie rozmawiał, Morgan siedział w bazie,

z Padgettem nigdy nie czuł się tak swobodnie i blisko jak z innymi. Przed wstąpieniem do wojska nie znał żadnych Murzynów i w gruncie rzeczy nigdy o nich nie myślał, chyba jako o sportowcach czy pieśniarzach, czy rch, co mieli kłopoty z chodzeniem do szkół na Południu. Aczkolwiek poznanie Padgetta sprawiło, że zaczął się nad tym więcej zastanawiać, dostrzegł w LaMoncie po prostu za dużo rzeczy, których nie mógł zrozumieć.

W Wietnamie nie było powolnego gnicia. Łup! — i po wszystkim. Albo też coś pękało i człowiek dostawał fiola o miesiąc. Przedziwna rzecz, bardziej się bał drugiego deczora w Fuldzie niż podczas wczorajszej walki ognio-rej. Przyjechał w niedzielę, przenocował na kwaterze rzejskiej, po czym przeniósł się do koszar. To zimne, zare grudniowe popołudnie spędził w kantine garnizony i na pobieraniu oporządzenia. Tego wieczora się ział sam w koszarach starając się z tym oswoić. Położył się do łóżka o dziesiątej, a zbudził już o wpół do dwu-astej, kiedy zaczęła się parada. Najpierw paru zwykłych ijacków, potem kilku hałaśliwych bęcwałów, wreszcie [organ wrzeszczący co tchu w piersiach, jakie to wszystko ;st pieprzone, podczas gdy Padgett podtrzymywał go i rowadził. Z izby kucharzy wylazł Shipley w zasikanych gaciach i tacał się po korytarzu wykrzykując bez związku coś o dumie pułkowej i czystych kasynach.

Podwójne okna przypominały drzwi między sąsiadującymi ze sobą pokojami hotelowymi. Jakiś zalany gość otworzył pierwsze i zerzygał się na drugie. Slagel łazi korytarzem łomocąc w szafki ściennie, a chłopcy z Południa śpiewali fałszywie wiejskie piosenki. Śmiech; i wrzaski doszły do historycznego rozpasania, kiedy żołnierz przezywany Strusiem zatoczył się na pryczę, zarzucał sobie koc na głowę i począł się zaciekle onanizować.

Na klatce schodowej rozległy się jakieś wojownicze okrzyki, a po nich głośny łoskot. Chambers wstał zoba czyć, co się stało, i znalazł innego pijaka, który z pokrwa wioną głową miotał się w kałuży rzygowiny u wejścia na schody. Na dole w latrynie jeden z zawodowych sierżantów siedział nieprzytomny na sedesie, a grupka młodych żołnierzy wyśmiewała się i ochlustywała go wiadrami zimnej wody. W dwa tygodnie później, kiedy Chambers pełnił służbę gońca w noc sobotnią, ten sam sierżant wtoczył się do kancelarii o szóstej rano. Kiedy coś opowiada innemu sierżantowi, mała grudka kału wyturlała mu się z nogawki na but i na podłogę..

Później tej pierwszej nocy, gdy pogaszono światła Chambers usłyszał pluskanie pod szafką ścienną w korytarzu.

— Pop, co ty wyprawiasz? — ktoś wrzasnął.

— Szczam.

— Spierdalaj do latryny!

— Zamknięta — odrzekł sennie Pop. Plusk trwał nadal Chambers zasnął dopiero przed pobudką. Leżał i słuchał jęków, bulgotów, przekleństw wykrzykiwanych przez siebie i czuł się tak, jak gdyby grał rolę w filmie grozy mającym trwać dwa i pół roku. Niektóre noce były jeszcze gorsze — umierali ludzie — inne lepsze, ale ogólny obraz pozostał ten sam przez jedenaście miesięcy, dopóki nie wyjechał.

Dziwne, lecz jego życie zmieniło się w Fuldzie na lepsze. Miał szczęście, bo przydzielono go na kierowcę jeepa

v Fort Knox otrzymał przeszkolenie jako czołgista), a ta użba umożliwiała mu odosobnienie i dodatkowy czas na kture. Ale była tam taka martwota, wszędzie dokoła :aiła się duchowa śmierć. Jednakże jego dwunastoletnią rzemkę przerwały najpierw rozmowy z Morganem, Pad-Jtem i Slagelem, a potem podróżowanie, ilekroć się dało, •az czytanie wieczór w wieczór w małej bibliotece obok isyna. Zawarta przyjaźń była tym, co cenił sobie naj-irdziej, ale kiedy tamci zaczęli mówić o Wietnamie, go-w był ją poświęcić, byleby zostać w Fuldzie. Odmienił to)łęd Dennisa Ponda. Czując, że utraci wszystko, jeżeli •zyjaciele odjadą bez niego, zgłosił się na ochotnika. Te-z zastanawiał się, czy przypadkiem nie straci przyja-ól będąc razem z nimi. Wśliznął się ostrożnie do namiotu, żeby nie zbudzić Tod-a czy nie przewrócić świecy. Książkę o architekturze uropejskiej miał zawiniętą w plastik, ale mimo to zala-Awała stęchlizna. Wietnamska stęchlizna była skisła i zbu-viała, ale ilekroć ją poczuł, zajeżdżała kurwami i ustę-ami. Na krawędź skrzynki do amunicji wpelznął skor-ion, więc zmiażdżył go książką. Otarł maż o drelichy, hnuchnął świecę i utkał siatkę przeciwmoskitową pod nwor.

W ciągu następnych dwóch tygodni zabił jeszcze dwóch)łnierzy północnowietnamskich w małych walkach ognio-yh i dostał w siedzenie trzy małe odłamki wietnam-:iego granatu. Wydobyto je i wrócił do służby. Zabijanie e sprawiało mu wielkiej przykrości. Gdyby była jakaś ternatywa, wybrałby ją. Musiał jednak chronić samego ebie. Cały kłopot ze służbą w plutonie strzelców polegał i tym, że nie miało się żadnych alternatyw. Więc może ynieść się stąd? Jeżeli zostanie, skończy jako wariat albo)legły.

W kasynie, oprócz kucharzy, pracowali dwaj ludzie owiedział się, że byli w strzelcach, ale nie mogli do nich

61

wrócić po wielkiej bitwie na granicy Kambodży *. Załamali się i przydzielono ich na stałe do służby kuchennej W ciągu następnych dwóch dni odkrył inne zajęcia dla takich, którzy nie nadawali się już do walki. Można było pełnić różne czynności w bazie — palić odchody, wywozić odpadki, napelniać piaskiem worki. Albo zostać strzelcercer pokładowym czy obserwatorem w zwiadzie. Nie mógł m stałe pracować w kuchni ani pełnić służby porządkowej Zanadto poniżające. Jeżeli kogoś ciągle przydzielano dc jakichś poślednich zajęć, mógł dostać kota tak samo jaŁ żołnierz liniowy. Spróbuje uzyskać funkcję strzelca po kładowego. Webber miał za dwa dni odjechać na wypoczynek, do jego powrotu operacja się zakończy i wtedy cała kompania będzie przez tydzień siedziała w bazie. Pomówi z Webberem między jedną operacją a drugą i chybć kapitan go puści. Rozmyślając o przeniesieniu, kiedy schodzili z ostatniego grzbietu górskiego w tym dniu, o mało nie wywali: się przez Todda, który przykucnął, żeby zawiązać sobic-but. Todd dał mu znak, żeby się schylił, i szepnął:

— W tych krzakach. Zajdź od tyłu.

Chambers cofnął się dwa kroki, zawrócił i pobiegł v krzaki przy ścieżce. Todd zaszedł od drugiej strony i wtedy wyskoczyli stamtąd dwaj ludzie z rękami podniesionymi do góry.

— Sierzancie Caldwell! — zawołał Todd.

Dowódca drużyny zatrzymał pluton, po czym wrócił dc krzaków.

Todd schylił się i podniósł z ziemi karabin kaliber trzydzieści. Zaczął rewidować jeńca.

— Obszukaj tego drugiego, Orville.

Serce waliło wściekle Chambersowi i nie wiedział, cc robić. Obmacał Wietnamczyka w pasie, po piersiach i nogach. Same kości. Jego czarne spodnie były sztywne oć brudu, a skóra jak zeschnięta łuska. Z tyłu głowy sterczą! mu długi kosmyk; włosy miał świeżo obcięte. Na tych, cc

• Obecnie obowiązuje nazwa Kampucza.

62

wzięli go do niewoli, spoglądał bardziej ze znużeniem niż iekawością na brudnej twarzy. U szyi zwisał mu długi, :zarny worek z ryżem, który spoczywał na piersi.

Drugi jeńiec, zbudowany silniej od pierwszego, wpatrywał się w ziemię dygocząc i pociągając nosem. Prawdopodobnie miał malarię. Caldwell kazał im założyć ręce na [łowy.

— Wy dwaj poprowadzicie ich przed sobą na polanę — powiedział. — Jeżeli zrobią jakiś ruch, kropnijcie ich. Rdyby ten pieprzony tłumacz był dziś tutaj, moglibyśmy wyciągnąć jakieś informacje.

Kiedy pluton doszedł do polany, w górze ukazały się tniłowce transportowe. Chambers przykucnął pod krzakiem ze swoim jeńcem, zastanawiając się, jak u diabła toś może tak żyć. Spojrzał na faceta z Wietkongu, z załopotaniem poczuł przypływ podziwu, i odwrócił wzrok, iębo było niemal krystalicznie błękitne, usiane dużymi i małymi cumulusami. Kiedy wpatrywał się w te kłębki, zalewały mu się ich zarysy, a krawędzie jakby rozmazywały, tak że nie sposób było rozeznaczyć, gdzie kończy się blok, a zaczyna niebo. Śmigłowce zniżyły się z zadartymi osami i opuszczonymi ku ziemi belkami ogonowymi, ni-ym konie, którym ściągnięto wodze w galopie.

— Wsiadamy! — ryknął Caldwell, a pluton wypadł obrzeża polany i zaczął wdrapywać się do maszyn.

Kapitan Davis objął pluton strzelców, kiedy Webber /yjechał do Eangkoku. Był pilotem śmigłowców bojowych, a także oficerem piechoty. Przejmując pluton na ięć dni, mógł zdobyć Odznakę Bojową Piechoty, a potem /rócić do miasta. Miał bystrą, uczciwą twarz chłopaka college'u i zawsze postępował roztropnie. Na uczelni rzeszedł przeszkolenie dla oficerów rezerwy, potem lot-icze, bo to mogło się przydać w przyszłości — zawsze oś, na czym można się oprzeć. Zapewne organizował wy-ieczki i zabawy z niespodziankami, prowadził skrupulat-ie rachunki i był dobrze ubezpieczony na życie.

Pierwszego dnia zostali ostrzelani i kapitan uganiał się po zaroślach, dopóki nie pochwycił samotnego nieprzyjaciela. Słagela drasnęła kula w nogę, ale otrzymał zwolnienie tylko na jeden dzień. Czwartego dnia pod komendą Davisa pluton pozostał w bazie. O czwartej po południu Austin kazał im się zbierać.

— Nie obcyndalać się, chłopaki. S-2 uważa, że mogą coś szykować w tych górach na zachód od doliny, więc musimy tylko wziąć jednego jeńca i potem wracamy.

Byli na ziemi niespełna minutę, gdy Chambers wypatrzył mundur koloru khaki za drzewem przy samym skraju rejonu lądowania. Wystąpił z szyku drużyny i skinął karabinem na Wietnamczyka.

— Dawać tu Cama! — wrzasnął sierżant sztabowy Cald-well.

Tłumacz zawrócił z Davisem i radiotelegrafistą. Wyglądał idiotycznie ze swoją małą głową pod wielkim stalowym hełmem. Chwilę szwargotał z jeńcem po wietnamsku.

— On mówi, że my otoczeni- przez pułk armii Północnego Wietnamu — powiedział. — On mówi, my się poddajmy albo koniec z nami.

— Gówno — odrzekł Davis. — Jak pan uważa, sierżancie Austin?

— Do licha, panie kapitanie, mamy naszego jeńca. Zmywajmy się stąd.

— Już tu jesteśmy, więc możemy trochę zostać. — Da-vis wziął mikrofon radia. — Szóstka, tu Blue, odbiór.

— Słyszę was, Blue.

— Idziemy prosto na zachód od rejonu lądowania, odbiór.

— Zrozumiałem, Blue. Widać gdzieś jakichś żółtków? Odbiór.

— Chwilowo nic Koniec.

— Koniec.

— Poprowadzimy jeńca na czole, Chambers. Jak wrócimy, zawiadomię Szóstkę, że to wyście go wzięli.

— Tak jest. — Chambers łypnął spode łba na Davisa i wrócił do czwartej drużyny. — Ten palant nawet nie

64

owiedział Szóstce, że mamy jeńca — rzekł do Todda. — /idocznie mu się zdaje, że to spacerek albo co.

— Przejdzie mu — odparł Todd. — Nie przejmuj się, rville.

— Gdyby powiedział Szóstce o jeńcu, kazaliby nam wra-ić. Jest krewa. Jeńiec mówi, że jesteśmy

otoczeni.

— Chyba Da vis nie przetrzyma nas za długo. Zaraz się :iemni.

O sto jardów na zachód od rejonu lądowania wyszli na okrytą miękką trawą polaną, która była obrośnięta omglą i niewidoczna z powietrza. Chambersowi przy-amniała się sadzawka ukryta w lesie za małą farmą oj-i w Minnesocie. Patrzył, jak kapitan Da vis, sierżant-szef ustin i sierżant sztabowy White padają, zanim się zo-entował, co się dzieje. Potem sierżant Better, Flaherty Cam przywarli do ziemi. Wleźli w nową zasadzkę, zasta-iona od czoła i boku, i wydawało się, że strzela do nich ; dwieście karabinów. Chanibers leżał twarzą do ziemi, ekła go prawa ręka i czuł cieknącą krew. Wywalił dwa agazyńki w zarośla, po czym popatrzał przed siebie, win i Arguello wystrzelili granaty na wprost. Slagel żał za Flahertym mówiąc coś przez radio. Dunlap klę-:ał skulony nad kapitanem Davisem.

— Idę tam — powiedział Chambers. — Klops jest z ni-
i.

Kiedy wybiegł na polaną, w twarz trysnęła mu krew kawałki skóry, i doznał takiego uczucia, jak gdyby ciepły aż prześliznął mu się między palcami stopy. Wpadł na lagela.

— Wszyscy zginęli — powiedział Slagel. — Śmigłowce racają do rejonu lądowania. Zmywajmy się stąd. Slagel wystrzelał przed siebie dwa magazynki, po czym rzytroczył radio na plecach.

Druga drużyna oraz część zeciey były jeszcze na polanie i miały co najmniej czte-:ch zabitych.

— Wracajmy na lądowisko! — wrzasnął Slagel. Chambers i Slagel zaczęli się czołgać. Jeniec miał rację.

eż nie żył, ale powiedział prawdę. Wszędzie dokoła nich

- Amerykańscy chłopcy

85

kule były w ziemię. Chambers rzucił za siebie trzy granaty fosforowe, żeby wytworzyć zasłone dymną.

— Rzucać granaty! — wrzasnął. — Sanitariusza nie ma, a musimy wrócić do rejonu lądowania. Zostawcie zabitych!

Co on wyprawia? Dlaczego mówi w ten sposób? Przecież tu nie dowodzi. Tylko że kto dowodzi, u diabła?

Gdy tylko żołnierze dotarli do skraju lasu, pognali jak szaleni ku lądowisku. Chambers i Slagel zatrzymali się. Padgett i Irwin zostali w tyle i ostrzeliwali przeciwną stronę polany. Todd i Billy Myles, który zastąpił Frankli-na, osłaniali odwrót przygważdżając ogniem boczne skrzydło zasadzki.

— Blue, tu Szóstka — odezwało się radio. Slagel chwycił mikrofon.

— Szóstka, tu Slagel. Wyrzucę trochę czerwonego dymu, a wy każcie śmigłowcom strzelać o dwadzieścia metrów na zachód i czterdzieści na północ od niego. Postarajcie się o samoloty. Żółtki są wszędzie. Koniec.

Slagel odwiesił mikrofon, wstał i cisnął dwa dymne granaty na polaną.

— Uważaj, Tom! — ryknął Padgett. Zerwał się, obalił Slagela i wykosił trzech nadbiegających żołnierzy wietnamskich. — Kurwa go mać! — Upadł na ziemię.

— Co jest, LaMont? — zapytał Slagel.

— Mój bok, człowieku.

— Możesz się ruszać?

— Aha.

— Pomogę ci dojść do lądowiska. — Slagel założył sobie rękę Padgetta na ramię.

Chambers wysunął się przed nich i wystrzelił trzy serie przez polaną. Rzucił jeszcze dwa granaty z białym fosforem. Z góry otworzyły ogień śmigłowce.

— Orville! — krzyknął Todd. — Wiejmy, zanim te śmigłowce nas trafią. — Jazda! — powiedział.

Wszyscy dopadli do rejonu lądowania w chwili, gdy opuszczały się śmigłowce transportowe. Slagel i Irwin wdrapali się do śmigłowca pierwszej drużyny. Kiedy ma-

66

syna się podnosiła, Chambers zdał sobie sprawę, że wsieli tylko oni dwaj. Z boku lądowiska buchnęły strzały śwnie gęste jak na polanie. Pierwszy śmigłowiec wzniósł ę w powietrze i odleciał. Chambers pobiegł do śmigłow-ł czwartej drużyny. Było tam sześciu ludzi, włącznie nim, wszyscy ranni. Strzelali między drzewa dokoła re-mu lądowania, kiedy startowała maszyna drugiej druży-y z Padgettem i czterema innymi.

Trzecia drużyna wydawała się niespodziewanie nie-nięta, jej śmigłowiec był pełny. Chambers wystrzelał rzedostatni magazynek, po czym wdrapał się do swej laszyny. Trzeci śmigłowiec wzbil się na jakieś pięćdzie-ąt stóp, a potem targnął gwałtownie, przechylił w bok runął na ziemię. Dwaj ludzie wypadli z niego, zanim się walił i eksplodował.

Wystartował czwarty. Chambers wystrzelał ostatni ma-azynek, po czym spojrzął na przód maszyny. Porucznik hepard zwiślał ze swego siedzenia, a Bates, dowódca za->gi, szarpał za jego pasy.

Pleksyglas szyby przedniej wy-Lądał jak łamigłówa. Chambers wstał chcąc pomóc Ba-;sowi, który borykał się z Shepardem. Śmigłowiec za-%zwał się gwałtownie. Chorąży Christiansen obrócił się do hambersa i Batesa. Krew wypływała mu z ust, a kask)tniczny miał rozdarty kulą. Wyglądało to tak, jak gdyby brócił się, by im powiedzieć, że umiera.

Bates wskoczył na miejsce Shepada, chwycił za drążki wyrównał maszynę. Christiansen był załatwiony i Cham-ers musiał oderwać jego dłonie od sterów. Bates, ze zbie-iłą twarzą, spojrzął na niego i potrząsnął głową.

Chambers nałożył kask Christiansena i próbował wywołać bazę polową. Radio nie działało. Bates dobrze się prawił; byli poza strefą zagrożenia. Teraz musiał już tyl-o wylądować. Ledwie udało im się przeskoczyć nad wzgórzem przy zachodnim krańcu bazy polowej, po czym iates zaczął naciskać w dół drążek sterowy i przyciągać żwignię łopat. Zeszedł na jakieś dwadzieścia stóp nad iemię i próbował wyrównać maszynę, ale ciągle się ko-fsała. W końcu docisnął drążek aż do podłogi.

67

Śmigłowiec podskoczył, zanim osiadł na płozach, a Cham-bers puścił martwe dłonie Christiansena i ucałował Ba-tesa w czubek głowy.

Slagel wrócił do swego namiotu z odprawy dowódców drużyn, zsunął hełm na tył głowy i cisnął pas i karabin na śpiwór. Trzy dni nowej operacji, a już miał tego dosyć. Rozpiął drelichową kurtkę, usiadł na workach z piaskiem i zaczął pocierać owłosioną skórę na brzuchu. Wszedł Irwin z paczką listów w jednej ręce i hełmem pełnym puszek piwa w drugiej.

— Jest coś dla mnie? — Slagel rozburzył Irwinowi włosy.

— Dla ciebie piwo. Jak było na odprawie?

— To samo gówno co zwykle.

Wiedział, co będą mówili każdego wieczora przez następny miesiąc. Batalion rozpoznawał góry od Kontumu po Dak To i co dzień posuwali się trochę dalej, loty zaś trwały trochę dłużej i czasem mogli wpaść w zasadzkę, ale najczęściej niczego nie znajdowali.

Nie miał nic wspólnego z nowymi dowódcami drużyn — wszyscy byli zawodowymi sierżantami sztabowymi i wiedział, że go nie lubią, bo był młody, niezawodowiec i guzik go to wszystko obchodziło. Pewnie też zazdrościli mu wiedząc, że został przedstawiony do dwóch medali za odwagę. Przynajmniej nie musiał sypiać z nimi w tym samym namiocie. Chciał, żeby już się zjawili nowi sierżani i przejął odpowiedzialność za drużynę. Jutro mieli ruszyć na zachód, przez dolinę ku góróm, które ciągnęły się dc Kambodży. W G-2 mieli raporty o zgrupowaniach komunistów w tym rejonie; mieli raporty o zgrupowaniach komunistów wszędzie. Swoją drużynę mógł o tym zawiadomić rano. Zresztą niech tych nowych szlag trafi.

Kompania C straciła sześćdziesięciu jeden ludzi w Szczęśliwej Dolinie, wliczając w to pilotów i paru chłopaków

68

plutonu ogniowego. Trzydziestu czterech zabitych, dwu-ziestu siedmiu rannych, w tym dwunastu tak ciężko, że rzeba ich było odesłać z Wietnamu. On jeden z całego lutonu wyszedł cało.

Kiedy następnego dnia kompania wróciła do bazy, spił Lę i przespał trzydzieści sześć godzin. Przez resztę tygod-ia chodził jak otumaniony, odwiedzał w szpitalu Irwina, 'adgetta i Chambersa, gadał z

Morganem, dwa razy jeździł do miasta i złapał trypra. Był wykończony. Sypiał 10 dwanaście godzin, drzemał w ciągu dnia i po prostu nie mógł zebrać się w kupę.

Uzupełnienia przyszły pod koniec tygodnia i z chęcią omagał je szkolić. Podkrecał się podczas porannych lo-ów, ale wieczorem, po kilku piwach, znów chciało mu się pać. Po tygodniu dostał awans na sierżanta, Padgett wrócił do plutonu i nazajutrz wyruszyli do Kontumu. Nowe Laszywki podnosiły Slagela na duchu; tak samo to, że zno-iru miał przy sobie Irwina i Padgetta. Cieszył się, że roz-toczyna nową operację.

Zgryz tylko był z Chambersem. Siedział na łóżku szpitalnym, wyglądał tak, jakby zaraz miał eksplodować. Puścił pluton strzelców, powiedział Webberowi, że jeśli chce, może go oddać pod sąd wojenny, ale on tam więcej nie wróci. Webber przeniósł go do śmigłowców bojowych przez ostatnie kilka dni przed wyruszeniem w pole. Chambers szkolił się na strzelca pokładowego. Wieczorami był milczący i posępny, siedział na osobności lub palił marihuanę, kiedy inni gadali. Tak więc operacja okazała się niewypałem. Slagel myślał, że będzie fajnie dowodzić drużyną. Dobrze się czuł jako starszy plutonu w Fort Dix, zarówno podczas szkoleń podstawowego, jak i w szkole piechoty, zwłaszcza na podstawowym, kiedy Morgan i Padgett też byli starszymi plutonów. Po podstawowym szkoleniu chodzili razem przez dwa tygodnie na kursy dowodzenia, ale potem Morgan

Padgett zrezygnowali. Ci dwaj obijali się przez całą izkołę piechoty, natomiast on interesował się bronią, problemami i taktyką walki i uwielbiał wypróbować swą

69

plutonu ogniowego. Trzydziestu czterech zabitych, dwudziestu siedmiu rannych, w tym dwunastu tak ciężko, że trzeba ich było odesłać z Wietnamu. On jeden z całego plutonu wyszedł cało.

Kiedy następnego dnia kompania wróciła do bazy, spał [i] i przespał trzydzieści sześć godzin. Przez resztę tygodnia chodził jak otumaniony, odwiedzał w szpitalu Irwina, Padgetta i Chambera, gadał z Morganem, dwa razy jeździł do miasta i złapał trypra. Był wykończony. Sypiał o dwanaście godzin, drzemał w ciągu dnia i po prostu nie mógł zebrać się w kupę.

Uzupełnienia przyszły pod koniec tygodnia i z chęcią omagał je szkolić. Podkrecał się podczas porannych lo-3W, ale wieczorem, po kilku piwach, znów chciało mu się pać. Po tygodniu dostał awans na sierżanta, Padgett wrócił do plutonu i nazajutrz wyruszyli do Kontumu. Nowe aszywki podnosiły Slagela na duchu; tak samo to, że zno-ai miał przy sobie Irwina i Padgetta. Cieszył się, że roz-oczyna nową operację.

Zgryz tylko był z Chambersem. Siedział na łóżku szpitalnym, wyglądał tak, jakby zaraz miał eksplodować, (puścił pluton strzelców, powiedział Webberowi, że jeśli chce, może go oddać pod sąd wojenny, ale on tam więcej nie wróci. Webber przeniósł go do śmigłowców bojowych przez ostatnie kilka dni przed wyruszeniem w pole. Chambers szkolił się na strzelca pokładowego. Wieczorami był milczący i posępny, siedział na osobności lub palił marihuanę, kiedy inni gadali. Tak więc operacja okazała się niewypałem. Slagel myślał, że będzie fajnie dowodzić drużyną. Dobrze się czuł jako starszy plutonu w Fort Dix, zarówno podczas szkoleń podstawowego, jak i w szkole piechoty, zwłaszcza na podstawowym, kiedy Morgan i Padgett też byli starszymi plutonów. Po podstawowym szkoleniu chodzili razem przez dwa tygodnie na kursy dowodzenia, ale potem Morgan

Padgett zrezygnowali. Ci dwaj obijali się przez całą izkołę piechoty, natomiast on interesował się bronią, problemami i taktyką walki i uwielbiał wypróbować swą wytrzymałość podczas marszów. Faceci byli tam bardziej żołdowaci niż na podstawowym, ale od razu przydzwonił pierwszemu, który go zaczepił, i potem wszystko szło gładko.

W ostatnim tygodniu ćwiczeń ci z uzupełnień okazali trochę serca i odnosili się do niego z szacunkiem na strzelnicy i przy wieży spadochronowej. Kiedy jednak wyruszyli w pole, wszystko się odmieniło. On sam nie bał się tak, jak sobie wyobrażał, ale wyczuwał strach w innych i to go rozwścieczało. Ducha dawnej drużyny nie dało się przywrócić. Wiedział, że trzeba na to czasu, ale wielu z tych nowych po prostu nie lubił. Nawet fizycznie byli inni niż tamci — drobniejsi, z dziecięcym tuszyczkiem na twarzach. Nie miał zamiaru zaprzyjaźnić się z żadnym.

Kapitan Webber był całkiem wykończony. Czuł się odpowiedzialny za lekkomyślność Davisa i

zachowywał się jak dzieciak ciągle tłumacząc się wszystkim. Jemu też brakowało ducha i bał się o pluton. Pierwszego i drugiego wieczora operacji Webber ściągnął Slagela do swego namiotu i mówił mu, jak niepewnie się czuje. To nie w porządku. Powinien był porozmawiać z majorem Quinnem. Dobry trener nie mówi członkom swojej drużyny, że przegrają.

Cała ta sprawa po prostu przypominała cholerny futbol. Właśnie kiedy zaczęło być dobrze, wszystko się po-kiciło. Tym, co Slagelowi naprawdę się podobało, kiedy grał w drużynie college'u, była popularność. Chłopakowi ze wsi sport dawał wspaniałą okazję poznawania innych ludzi, podróżowania, a także podbudowania ufności w siebie. Przyczyniały się do tego kobiety, które leciały na niego przez cały czas. Drażniło go tylko to, że nie interesowały się nim samym, tylko jego sportowymi oporządzeniami czy fotografiami w gazetach. A kiedy człowiek zdał sobie z tego sprawę, cała historia stawała się nudna i poroniona. Zaczynał myśleć, że walka jest równą bzdurą jak rzucanie piłką.

Widząc ogólny brak entuzjazmu, w następnym tygodniu doznawał wrażenia, że pluton jak gdyby brnie przez błoto

70

ięgające po piersi. Nawet śmigłowce były niemrawe. Luizie z jego drużyny wlekli się sennie przed siebie, a on to nie mógł powiedzieć. Webber przypominał upióra. >ierżant-szef Trapp, ogromny grubas, zachowywał się jak ta wpół martwy. Nawet dżungla mającyła milcząca groźna, nie ujawniając ani śladu nieprzyjaciela. Odgłos ch nie kończącego się, znużonego stąpania mierzył Slage-a tak samo jak nieustanne terkotanie łopat wirników nad jaldachimem dżungli.

Dziesiątego dnia powiedział prawie wszystkim, gdzie ma-ą iść. Krocząc tam i z powrotem przed frontem drużyny, kontrolując każdego z żołnierzy, zwrócił uwagę na ich fi-yczne defekty. Połowa tych łajz nosiła okulary. Na miękk-:ich ciastowatych twarzach wysypały im się paskudne nałe pimple od potu. Pewnie mieli zafajdane kałesony. Wyglądali tak żałośnie, że raz roześmiał się głośno, ale najczęściej zżymał się, nieomal wyczekując zasadzki, aby :obaczyć, jak te niemowlaki wpadną w panikę i zaczną Lwiczeć, kiedy ich będą rozwalali.

Wdrapywanie się na grzbiet góry było uciążliwe tego ra-la. Kiedy zjedli racje żywnościowe i zaczęli schodzić in-tą granią, odkryli trzy chaty składowe w małym paro-vie. Webber poprowadził pierwszą drużynę, by je przeszu-:ać. W każdej trochę ryżu — razem z pół tony — i żad-lych dokumentów.

— Okej, Tom — powiedział Webber do Slagela. — Weź iwoich nowych ludzi i porozwalaj je.

— Rozkaz. Pierwsza drużyna: każdy bierze po jednym jranacie fosforowym i jednym odłamkowym. Wybrać so-)ie chatę i najpierw rzucić odłamkowy, a jak wybuchnie, lowalić fosforowy. Kryjcie się po rzucie i aby nie traficie v jakieś drzewo o dwa kroki przed nosem. Jazda. Nie mamy całego dnia przed sobą.

Stanął za nimi, aby popatrzeć. Granaty fosforowe plu-łęły ogniem i dymem i gdy strzechy zaczęły trzeszczeć v płomieniach, drużyna wynurzyła się z parowu. Kiedy likt nie patrzył w jego stronę, Slagel cisnął jeszcze jeden

71

fosforowy daleko w ogień. Granat wybuchnął, drużyna padła plackiem na ziemię, a Slagel ryknął śmiechem. Webber obrócił się i potrząsnął głową.

— Ja tylko ich uczę czujności, panie kapitanie. Wy, żółtodzioby, musicie uważać na wtórne wybuchy.

W godzinę później byli na dwóch trzecich drogi w dół wlokąc się ospale, tak jak przedtem. Nikt nie docenił tego, że rzucił granat. Dawna drużyna porządnie by się uśmieła. Nawet Webber, miesiąc temu. A teraz wpakowali mu bandę jełopowatych émorów. Zawsze potrafił wmówić sobie różne rzeczy. Dzięki temu przebrnął przez nudny okres w Niemczech. Udawał, że sytuacja wymaga najwyższego natężenia uwagi. Służba wartownicza w Fuldzie zawsze była paskudna, szczególnie zimą. Łażenie dokoła parku samochodowego albo po drodze przy lotnisku, gdzie wiatr dał jak szalony. Śnieżyce i mżawki przez cały czas. Jedynym sposobem, żeby to wytrzymać, było wyobrażenie sobie, że dowodzi drużyną w jakiejś okropnej sytuacji. Że maszerują przez Mandżurię

czy Syberię, gdzie każdy może lada chwila załamać się fizycznie i psychicznie. On jednak był zawsze silny, odmrożone stopy miał owinięte gał-ganami i wygrzebywał spod śniegu zmarznięte korzonki jako pożywienie.

Nagle cały pluton się zatrzymał. Slagel przyklęknął na jedno kolano. Trzeszczenie w dżungli poniżej grani nieomal zagłuszyło warkot krążących w górze śmigłowców. Webber chwycił mikrofon radia.

— Cztery-jeden, tu Blue, odbiór.

— Słyszę was.

— Jest ooś o sto metrów na północ od nas. Widzicie cokolwiek?

Terkotanie wzmogło się, kiedy śmigłowiec przeleciał dwukrotnie nad samymi wierzchołkami drzew, potem osłabło, gdy znowu wzniósł się w górę.

— Blue, tu Cztery-jeden. Nic nie widzimy z pokładu. Drzewa za gęste. Ledwie możemy was dojrzeć, odbiór.

— Zrozumiałem. Rzucę dym i chciałbym, żebyście tro-
72

chę postrzelali od stu do trzystu metrów na północ od liego. Wtedy tam poślę drużynę.

— Zrozumiałem. Zaraz zaczynamy. Webber rzucił w dżunglę granat dymny.

— Kłąć się wszyscy, żeby te śmigłowce łbów wam nie jdstrzeliły. — Przykucnął i oparł się o drzewo. — Slagel, chcecie tam wziąć waszą drużynę?

— Tak jest. Jak pan kapitan myśli, co to może być? Fakby cała ich banda próbowała się stąd zmyć.

— Macie nie iść dalej niż czterysta metrów. I uważajcie la pułapki, pale i tunele. To może być przynęta.

— Niech pan się nie martwi.

Uśmiechnął się do Webbera, a potem zatkał uszy palca-ni, kiedy w górze zagrzechotały karabiny maszynowe, żakiety z hukiem sunęły" w dżunglę. Napięcie wiszące w Dowietrze otrzeźwiło wszystkich. Potrzeba im było posma-cować trochę akcji, żeby wycisnąć ten łój ze łbów. Prze-eciał śmigłowiec pościgowy, a potem znowu tamte dwa.

— Cztery-jeden, tu Blue — powiedział Webber, kiedy tarabiny maszynowe przerwały ogień.

— Słyszę was.

— Teraz posyłam drużynę.

— W porządku. Będziemy ją osłaniali. Koniec. Gryzący zapach płonącego fosforu przenikał dżunglę,

i cienkie pasma dymu wisiały na liściach, tak jakby je wydzielaly rośliny. Webber i Trapp zostali w tyle. Sam jedzie musiał odwalić brudną robotę. Na Webbera nie nógł już liczy. Szybko przeszedł z drużyną ponad sto jar-lów, po czym zatrzymał ją i nadstawił ucha. Nic. Jeszcze ;to jardów i znowu nic. Świeżo połamane gałęzie świadczyły, że jest na właściwym tropie, ale na gęstej trawie nie syło widać żadnych śladów stóp.

Pięćdziesiąt jardów dalej dojrzał krew połyskującą na ;ciemnozielonych lśniących liściach.

Śmigłowce bojowe ;rafiły w cel. Wszędzie krew. Musiało oberwać ze czterech ;zy pięciu ludzi albo może było paru zabitych, których uągnęli koledzy. Przelazł przez małe drzewo, które ścięła -akieta, i znowu zatrzymał drużynę, aby posłuchać. Coś

73

lekko zaszleściło, a potem zwaliło się w kępę krzaków

0 pięćdziesiąt jardów przed nimi. Dał znak drużynie, żeby się rozwinęła, po czym wolno poprowadził ją naprzód. Z zarośli doleciał cichy chrobot, a potem wszystko ucichło

1 słyhać było już tylko skradającą się drużynę.

To musi być jakaś pułapka. Skoczy tam pierwszy, zanim zdążą otworzyć ogień. Jemu to i tak nisko wisiało, a byłoby dobrze, gdyby inni zobaczyli go w akcji nie-ulękłego. O dziesięć kroków przed krzakami zatrzymał drużynę za osłoną drzew.

— Co o tym myślisz, Tom? — szepnął Irwin.

— Nie wiem. Skoczę w te krzaki i otworzę ogień. Ty zatrzymaj drużynę, dopóki nie skapujesz, co

się dzieje. Jeżeli mnie rąbną, wal w nich i nie próbuj mnie wyciągnąć. Podaj dalej.

— Okej, chłopie. Uważaj.

— Spokojna głowa.

Wziął w lewą rękę zapasowy magazynek, żeby móc szybko przeładować. Przetawiał dźwignię na ogień ciągły i ruszył naprzód. Co za różnica, do cholery? Te żółtki w krzakach przynajmniej się dowiedzą, że był tutaj Tom Slagel. Dosłyszał ciężkie sapanie za zwartym gąszczem zieleni i pomyślał, że to może on sam tak dyszy. Mięśnie nóg napięły mu się w przygotowaniu do skoku i wtedy znowu usłyszał sapanie. Umilkło na chwilę, wypełniając powietrze elektryzującą ciszą, a potem przez dżunglę poniosło się ogłuszające trąbienie. Slagel zaczął strzelać w krzaki, przeładował i skoczył strzelając znowu.

Słoń leżał na boku, z trąbą podwiniętą ku rozwartemu pyskowi o obwisłych wargach. Jego bok łupkowego koloru, zalany krwią, wznosił się i opadał gwałtownie, wyrzucając bulgoty i stękania w parne powietrze dżungli. Pieprzony słoń. Cóż można było powiedzieć? Slagel obejrzał się w stronę drużyny; na szczęście nie widział jej stąd. Słoń sapnął i nogi mu zeszywniały, wyciągnięte do góry, bok się wydał, a skóra napięła jak zgniła szara guma. Wydał z siebie piskliwy bulgot. Nogi opadły, bok się zakłęśł i całe olbrzymie cielsko legło bez ruchu.

74

— Slagel, nic ci się nie stało? — krzyknął Irwin.

— Wszystko okej — odrzekł cicho.

— Tom, jesteś cały? Odpowiedz, jeżeli mnie słyszysz.

— Cały jak jasna cholera!

— Idziemy.

Zawrócił, wyszedł z krzaków i spotkał drużynę o parę troków przed nimi.

— Co to było? — zapytał Irwin.

— Po prostu zwierzak.

— Zwierzak? A jaki?

— Zobaczcie sami.

Niech chłopaki mają ubaw. Odszedł i oparł się o drzewo. Liedy zaczęli się śmiać, o mało nie wybuchnął. Co oni wiedzą, u kurwy nędzy? To mogła być zasadzka i wtedy wszystkich by ukatrupili.

Irwin wyszedł z krzaków potrząsając głową.

— Cholera, Tom, aleś musiał się spietrać.

— Gówno prawda. Co te pierdoły tam robią?

— Dwóch wycina kły.

Wszedł w krzaki, gdzie Brady i Lynch rozrywali bagnem; ami skórę dokoła jednego z kłów.

— Dobra, idziemy. Jak wy, pajace, chcecie oglądać sło-lie, to sobie idźcie do zoo, kiedy wróćcie.

Ruszamy.

Brady spojrzał na niego przez okulary.

— Ależ, sierżancie, to potrwa sekundę.

— Brady, chcesz, żebym cię stąd wyniósł? To jest woj-la, a nie jakieś zasrane polowanie na pamiątki. Kitraj się, io cholery!

— Rany boskie! — Brady rzucił bagnet w bok zwierzę-

Slagel wskoczył na słońca i stanął naprzeciw tłustego szeregowca.

— Jak chcesz czymś rzucać, to może mną? Masz chęć spróbować?

— Chyba nie — odrzekł Brady.

— Tak myślałem. A teraz wsadź bagnet do pochwy i holuj swoją tłustą dupę na to wzgórze.

Ciągle słyszał ich śmiech, kiedy wspinali się na grań,

75

i szedł coraz szybciej w nadziei, że ich zmęczy. Ale stłumione szepty i chichoty wciąż trwały, ogarniając cały pluton, kiedy drużyna do niego dołączyła. Nawet w śmigłowcu każdy odgłos zdawał się wymierzony przeciw niemu, wyglądał więc przez drzwi nie chcąc spojrzeć na nikogo.

Po powrocie do bazy polowej zarówno Webber, jak major Quinn pochwalili go za uбиcie słońca. Wiadomo było, że nieprzyjaciel używa tych zwierząt do przewozu zaopatrzenia, a zatem może to mu trochę pomiesza szyki. Webber i Quinn śmieli się, kiedy odchodził.

Po posiłku wziął piwo i poszedł za lądowisko, na zachodni kraniec obwodu, w pobliże jednego z małych składów amunicji. Musiał się uspokoić. Gdyby został na terenie plutonu, pewnie by kogoś pobił. Gniew burzył mu się we krwi i wiedział, że tak będzie przez całe dni, jeżeli sobie tego nie wyperswaduje.

Cokolwiek by człowiek zrobił, zawsze było za mało; to mu naprawdę psuło krew. Im usilniej się starałeś, tym bardziej byłeś upieprzony. Kto by miał tyle odwagi, żeby zrobić to, co on dzisiaj? A jednak wszyscy nabijali się z niego. Tak samo było z futbolem, kiedy w końcu zdobył się na to, żeby go rzucić; trenerzy wyszydzałi go, mówili, że nie miał dosyć oleju w głowie, aby załatwić to inaczej. Może i nie miał najwyższego w całej okolicy wskaźnika inteligencji, ale przynajmniej starał się studiować i uczyć, dopóki Susie i ten cały doktor Bowen nie wykpiłi go na swój sposób. No i ten jego chromolony ojciec. Stary nigdy nie potrafił nic zdziałać ze swoimi kartoflami i małym gospodarstwem mlecznym w New Jersey, ale zawsze szczyił się swoją męską krzepą, zawsze nalegał na syna, żeby był silny, bo to jest jedyna rzecz, na której można polegać. Kontakt między nimi polegał na mocowaniu się, przy czym ojciec zawsze zwyciężał, zawsze wytykał mu jego słabość. Do czasu kiedy Tom skończył szesnaście lat i pokonał ojca próbując się z nim na rękę któregoś wiosennego popołudnia w stodole. Ojciec nie mógł w to uwierzyć, pró-

76

ował wciąż od nowa i przegrywał. Poza tym Slagel podusił cięższe worki kartofli i kiedyś musiał powstrzymać jca od rozróbki na całego. Myślał, że ojciec będzie dum-y z jego siły, ale stary tylko śmiał się z niego, mówił, że i nie ma znaczenia i że mimo całej swej krzepy będzie iwsze za głupi, by prowadzić farmę.

Ojciec nie bardzo interesował się futbolem, a kiedy Tom iczał być coraz lepszy, interesował się coraz mniej. Drań [gdy go za nic nie chwalił, ale tego już było za wiele. Po adawanym przez telewizję na cały kraj ostatnim meczu ;zonu, w którym Tom odniósł taki sukces, zatelefonował o domu. Słuchał pochwał matki, a potem ojciec wyrze-jczał w telefon, że spił się na umór przed meczem, straił przytomność i nie oglądał gry. Co więcej, gównu go to bchodzi. Slagel powiedział ojcu, że życzy mu śmierci, po zym zerwał automat telefoniczny ze ściany.

Następanej wiosny, kiedy wszystko się ułożyło z Susie doktorem Bowenem, pogodził się z ojcem. Rodzice mieli rzyjechać po egzaminach, poznać Susie i zabrać go do omu na lato. Wszystko byłoby doskonale, gdyby Susie

doktor nie wykiwali go w połowie egzaminów końco-rych. Był taki wściekły i zawstydzony, iż odczuł przede wszystkim ulgę, gdy zadzwoniła siostra matki i powie-ziała mu, że oboje rodzice zginęli w wypadku samocho-owym jadąc po niego przez Pensylwanię. Złapał samolot o Newark i nigdy więcej nie wrócił do Columbus.

Cisnął puszkę po piwie, która odbiła się od twardej zieli i zadzwoniła o zwoje drutu kolczastego na obwodzie.

— Lepiej podnieście tę puszkę, żołnierzu. Wyprostował środkowy palec i przytknął go z tyłu do łowy.

— Wielki biały myśliwiec zrobił się cholernie niesubor-ynowany.

Podniósł środkowy palec drugiej dłoni, wstał i obrócił ię-

— Dobra, nie potrzebuję, żebyście i wy się do mnie irzypieprzali.

77

— Co ty tu robisz? — zapytał Padgett. — Szukaliśmy cię wszędzie.

— Trzymam się z daleka od tego zasranego plutonu, żeby komuś nie zrobić krzywdy.

— Widzę, że mówisz poważnie — rzekł Chambers.

— Tak jest.

— Słuchaj, stary, co się stało?

— Daj spokój, LaMont, słyszałeś dzisiaj, jak się pokładali ze śmiechu.

— Nie śmieli się z ciebie. Ja też się śmiałem, cholera.
— A bo co? Nie widziałem w tym nic zabawnego.
— Ten słoń, chłopie. Śmieszny był słoń, nie ty.
— Gówno prawda. — Wiedział, że wszyscy uważają go za durnia.
— Poważnie, Tom — rzekł Chambers. — Nikt się z ciebie nie śmieje. Podobno dwaj chłopcy się wściekli, bo nie pozwoliłeś im zabrać kłów, ale większość uważa, że byłeś cholernie odważny, żeś tam poszedł.
— O tym właśnie gadają w plutonie — powiedział Padgett. — Przeważnie po prostu się cieszą, że tam nie było żółtków.
— Szkoda, że nie było, boby się te pajace ocknęły. Ten pluton jest teraz żaloszny, LaMont.
— Musisz im dać trochę czasu, człowieku. My na początku też byliśmy żalozni.
— Coś z tymi nowymi jest nie w porządku.
— Jedno ci powiem — rzekł Padgett. — My siedzimy w woju prawie dwa lata, a założę się, że żaden z tych typków nie jest dłużej niż sześć miesięcy. Poza tym wszyscy są pewnie z poboru i żaden nie prosił, żeby go tu przysłali, tak jak ja i trzech inni debile, których znam.
— Słusznie — powiedział Chambers. — Prawdopodobnie masa ich przyjechała prosto z domu.
— Na pewno — rzekł Padgett. — Nie mieli roku w Ful-dzie na to, żeby im się pokićkało w głowach.
— W porządku, w porządku. Ale duch jest słaby, a to nie pomaga w walce. Nawet Webber stracił jaja.
— Pewnie jest jeszcze wstrząśnięty tym, co się stało,

78

iedy go nie było — powiedział Chambers. — Musiało go d porządnie zrypać.
— Wszystkich nas zrypało, ale jeżeli ktoś nie może się trzasnąć, niech się wynosi. Nie mam ci tego za złe, Orvil-?. Byłoby gorzej, gdybyś został i nie robił tego, co nale-f'
Może Chambers jest jedynym z nich, który ma rozum.
całą pewnością nie jest tchórzem, ale jeżeli coś uważa i głupie, przestaje to robić. Slagel też zastanawiał się ad odejściem — służba strzelca pokładowego mogła być lekawa — ale poza tym, że miał doświadczenie z pluto-em, po prostu lubił piechotę.
— Webber się miga — rzekł Padgett. — Ale co można robić?
— Pewnie moglibyście się wynieść.
— Gówno — powiedział Slagel. — Pluton rozleciałby się, iybyśmy to zrobili. Ja w każdym razie nie czułbym się tym dobrze. Może to brzmi głupio, ale nic na to nie po-ldzę. Gdybyśmy dzisiaj spotkali żółtków, a mnie by tam e było, cała drużyna pewnie poszłaby w diabły. Nie je-em żaden wielki chojrak, ale to wojsko jest żaloszne.
zresztą cholera z tym.
Wyciągnął parę skrętów marihuany i wypalili je przed jwrotern do rejonu kompanii.
Kiedy Slagel wrócił do namiotu, zastał Irwina leżącego i śpiworze i piszącego list.
— Tom, gdzieś się podziewał?
— Byłem na obwodzie, czułem się parszywie po dzisiaj-ym dniu.
Wsunął się do namiotu, podparł się łokciem, głowę zło-rł na dłoni i popatrzał na Irwina.
— Ten słoń naprawdę dał ci do wiwatu, co?
— Chyba zanadto. Żałuję, że tak się głupio zachowani. Ta cała operacja mnie wykończyła.
Gadałem dziś Chambersem i Padgettem, i myślę, że się stąd urwę.
— Uważałem, że zachowywałeś się trochę dziwnie, ale e chciałem zawracać ci tym głowy.
— W porządku, stary. Ci nowi mnie wkurzają, ale wi-

79

dać są jeszcze trochę surowi. Ja w tym tkwię już prawie dwa lata.
— Dużo zmieniło się na świecie od tej pory.

— No chyba! W Niemczech stale czytałem pisma, „Life”, „Look”, „Time”, i wydawało mi się, że świat dostaje fioła. A potem wróciłem do mojej rodzinnej miejsciny w Jersey i była tak samo martwa jak zawsze. Myślałem, że nie zmieniło się tak wiele, dopóki przed odjazdem nie spędziłem trzech dni w Berkeley z przyjaciółmi Morgana. Cholera! Czułbym się bardziej u siebie w Ameryce Południowej. A niejedno widziałem. Byli nawet tacy, co proponowali, że mnie ukryją, żeby nie musiał tu jechać, Zabawiłem się dobrze, ale byłem szczęśliwy, kiedy znalazłem się w samolocie odlatującym do tej zarzyganej dziury.

— Ja też byłem zadowolony, że wyjeżdżam. Po prostu chciałem się oderwać od wszystkiego. Służba jest na te dobra.

— Jak najbardziej.

Kiedy Slagel wrócił do Jersey po śmierci rodziców, próbował coś zdziałać z farmą. Duch ojca nękał go w snach, wyśmiewał się z niego i mówił, że nic nie potrafi. Co za cholerna harówka! Zbiory na jesieni, sadzenie na wiosnę. znów zbiory i sadzenie, a przez cały czas trzeba było doić krowy, wybierać łopata ich łajno i martwić się, że Portorykańczycy zawalają robotę. Poza tym musiał przepchać siostrę przez szkołę średnią i kursy pielęgniarstwa w college'u.

Po trzech zbiorach był pijany przez tydzień, a poterr. doprowadził księgi rachunkowe do ładu i sprzedał cały majądan. Kiedy spłacił podatki, oddał siostrze jej część i wynajął dla niej mieszkanie, zostało mu pięć kawałków do przepuszczenia. I przepuścił je. Floryda, karnawał w Nowym Orleanie, Meksyk, Kalifornia. Kilka niezłych dziwek, trochę dobrej zabawy, ale pieniądze rozeszły się szybko. Był prawie całkiem splukany, kiedy wrócił do ciotki: mieszkającej w Trenton, i przesiedziawszy tam tydzień sprzedał samochód, i odwiedził znajomka z biura werbu-

80
iwego. Obiecali mu Europę i dostał ją. O, tak! Tę część iropy, której nigdy już więcej nie chciał oglądać. Nie zypominał sobie ani jednego miejsca, do którego na-awdę pragnąłby wrócić.

6

Morgan wyszedł z kancelarii o piątej i podreptał drogą > swego namiotu. Nie mógł uwierzyć, że nareszcie odwa-
tę górę papierkowej roboty, która leżała na jego biur-i od czasu wielkiej bitwy kompanii C. Sekcja strat w iwództwie dywizji poplątała sprawozdania i spędził trzy d na zestawianiu swych spisów z ich spisami, a potem deraniu wszystkich informacji dla sekcji nagród i od-aczeń, ażeby każdy dostał swoje Fioletowe Serce. Po-tn przyszły wzmianki o odznaczeniach do rozkazów lennych. Kancelista kompanii C odszedł do służby linio-ej jako strzelec pokładowy, a jego następcą ledwie po-afił pisać na maszynie. W końcu Morgan przepisał wszycie wzmianki, niektóre po trzy razy, kiedy proponujący icerowie zmieniali zdanie. Musiał sporządzić cztery ra->rty o wypadkach samolotowych, przy czym każdy wy-agał wypełnienia ze dwudziestu zawiłych formularzy — oprócz tego była zwykła korespondencja, raporty sprawności oficerów i sortowanie niezliczonych instruk-i i dyrektyw z departamentu armii, z MAAG, MACV, SARV, USARPAC* i z dowództwa samej dywizji. Miał .miar kupić akcje jakiejś fabryki papieru, kiedy wyjdzie wojska. — Baa-
czność!

* MAAG — Military Assistance Advisory Group — Grupa doradcza mocy wojskowej.

MACV — Military Assistance Command Vietnam — Pomoc wojskowi strefy Wietnamu.

USARV — United States Army Vietnam — Armia Stanów Zjedno-onych w Wietnamie.

3ARPAC — United States Army Pacific Command — Armia Stanów ednoczonych strefy Pacyfiku (przyp. tłum.).

-Amerykańscy chłopcy

81

Wszedł do swojego namiotu, namiotu przegranych, gdzie go wsadzili, bo nie było miejsca nigdzie indziej. Starszy szeregowiec Alexander i sierżant Winston siedzieli naprzeciw siebie na łózkach polowych w głębi z piwem w rękach i kwartą Imperialu na ziemi między nimi.

— Chodź i posmakuj, Morgan — powiedział Alexan-der. — Widzę, że łypiesz na ten

dzbanek.

— Przydałoby mi się.

— Weź sobie piwko, żeby to splukać.

Sięgnął do wielkiej szarej metalowej chłodziarki stojącej obok pryczy Alexandra, znalazł piwo i usiadł. Sapał łyknąwszy whisky i ochłodził sobie gardło Budwei-serem.

— Na razie będzie spokój — powiedział Winston wtykając zielony ręcznik za kołnierz drelichowej kurtki. Jego czarna twarz lśniła od potu. Morgan nie znał jego historii wiedział tylko, że był dowódcą drużyny w kompanii E i „rozsmakował się w walce” w dolinie la Trang. To mogło oznaczać wszystko, od dostawiania cykorii aż po bicie czterdziestu jeńców.

Alexander, były dowódca drużyny w kompanii B, za mordował jeńca w la Trang, i został zdegradowany do kaprala. Kiedy jego śmigłowiec się rozbił, nie miał odwagi wsiąść do innego i zagroził, że zamorduje swego sierżanta szefa, jeżeli będzie go zmuszał. Został zdegradowany do starszego szeregowca i teraz był kierowcą majora Stubbsa. Nie robił tajemnicy ze swego strachu. Siedmiu innych, którzy mieszkali w tym namiocie, byli ludźmi cichymi i małowównymi, wszyscy już brali udział w walce i teraz wykonywali poślednie roboty w batalionie. Morgan stał się przedmiotem żartów w namiocie, po nieważ przepracowywał więcej godzin w tygodniu niż tydzień pozostałych razem wziętych.

Uwielbiał tu być. Co wieczór schodzili się kumple Winston i Alexandra i kiedy Morgan kończył pracę, namocno rozbrzmiewał muzyką, pijacką wrzawą i gadaniną. Upłynęło kilka tygodni, zanim go zaakceptowali, ale teraz już

zaliczał do sytuacji, popijał i wykpiwał głupie zarządzenia dowództwa.

Razem z Alexandrem poszedł do nowego drewnianego magazynu. Stubbs dostał już trzydzieści dwie flagi, które isiały teraz na ścianach. Przepierzenie w głąbi odgradza część przeznaczoną dla oficerów. Dywizja nie miała szczytów lodówek, a zaopatrzenie nie chciało przysyłać świeżego mięsa. Przez dwa ostatnie miesiące dostawali co wieczór puszkowaną wołowinę, z wyjątkiem jednego dnia, kiedy kucharze zarżnęli kilka kur z miasteczka, oraz drugiego, kiedy zabili bawołu i usmażyli podszewkowe befy. Popatrzał na potrawę nakładaną do jego miski, potem na Alexandra i dał mu znak wskazując boczne drzwi. Wyszli i wyrzucili jedzenie do śmieci, a potem przeszli do kasyna i wzięli po trzy torebki frytek i po dwa wały na kolację.

Wracając do kancelarii zobaczył adiutanta, kapitana reene'a, pracownika wertującego papiery na kontuarze, uważny wyraz jego pociągłej twarzy nie zapowiadał nic dobrego.

— Cieszę się, że już jesteście, Morgan. — Greene pojął nerwowo swój czarny szczecinowaty wąs, — Mały masę roboty i trzeba zacząć zaraz.

— Właśnie zakończyłem masę roboty, panie kapitanie, wysłałem, że mi się należy trochę wolnego czasu.

— Przykro mi. Przed chwilą był tu pułkownik i za tydzień mamy uroczystość nadania odznaczeń. Musimy je wszystkie porozdzielać według kompanii. Samo sortowanie Medalii Lotniczych zabierze dwa dni. Odbędzie się naganę za poległych, a potem generał poprzypina medale. Powinno to być bardzo podniosłe.

— To co mamy teraz do zrobienia?

— Trzeba rozdzielić medale według kompanii, a potem ożyć alfabetycznie według stopni.

Będziemy przechowywać karty każdego odznaczonego, szczególnie Medalem Lotniczym.

Niektórzy dostaną aż dziesięć a potem jeszcze rzydą następne. Wiem, żeście ciężko pracowali, Morgan,

&3

ale musimy to zrobić. Jak batalion znów pójdzie w pole, będziecie mieli masę wolnego czasu.

— Pan kapitan tu rządzi.

Próbował się zezłościć, lecz nie mógł. Greene brał wszystkie te rzeczy tak poważnie, wierzył w nie tak bardzo, że byłoby to jak złoszczenie się na świadka Jehowy. Niczym nie przypominał Stubbsa; nie lizał nikomu tyłka, nie był politykiem, pracował ciężko i wierzył w armię oraz we wszystkie

jej regulaminy i przepisy. Stubbs podpisywa: wszystko, co się przed nim położyło; Greene czytał każdy papierek zmniejszając przez to wydajność kancelarii. Morgan mu współczuł. Już raz go pominięto przy awansie ns majora — co było nie najlepsze dla absolwenta Wesi Point — prawdopodobnie dlatego, że się stosował do przepisów, zamiast się podlizywać. Greene, pilot i oficer piechoty, naprawdę chciał iść w pole i walczyć, lecz jego obowiązki były ważniejsze od pragnień, więc rzadko s» uskarżał.

Harówka w następnym tygodniu była niemiłosierna Sortowanie odznaczeń zdawało się nie mieć końca, a gdj tylko trochę nadgonili, przychodziła następna porcja z dowództwa dywizji. Czytając i pisząc tyle o działalności i bohaterstwie, Morgan nie mógł się oprzeć fantazjowaniu Czy potrafiłby stanąć na płozach śmigłowca i strzelać ; kaemu nad wspornikami tak jak Webster i McCutcheor z kompanii C? Atakować nieprzyjaciela w jaskiniach jał Slagel? Stawić czoło nacierającym Wietnamczykom jał Padgett i Chambers?

Pamiętał pochwały za dzielność, które wszyscy otrzymali wyjeżdżając z Fuldy na wojnę. Teraz jego przyjaciele mieli dostać Fioletowe Serca za rany, Brązów* Gwiazdy za odwagę, Medale Lotnicze za wylatane w boji godziny. A on, jak zwykle, przekładał papierki, bezbłędni* wypisywał różne rzeczy na maszynie. Czasami wieczorem spoglądał na swój pas, karabin i hełm pokrywające się kurzem obok łóżka polowego. Może kiedyś i on też pójdzie< się bić.

Czuł się taki beżużyteczny w szpitalu wtedy po bitwii

84

ale musimy to zrobić. Jak batalion znów pójdzie w pole, będziecie mieli masę wolnego czasu.

— Pan kapitan tu rządzi.

Próbował się zezłościć, lecz nie mógł. Greene brał wszystkie te rzeczy tak poważnie, wierzył w nie tak bardzo, ŻE byłoby to jak złośczenie się na świadka Jehowy. Niczym nie przypominał Stubbsa; nie lizał nikomu tyłka, nie był politykiem, pracował ciężko i wierzył w armię oraz we wszystkie jej regulaminy i przepisy. Stubbs podpisywał wszystko, co się przed nim położyło; Greene czytał każdy papierek zmniejszając przez to wydajność kancelarii. Morgan mu współczuł. Już raz go pominięto przy awansie nć majora — co było nie najlepsze dla absolwenta Wesi Point — prawdopodobnie dlatego, że się stosował do przepisów, zamiast się podlizywać. Greene, pilot i oficer piechoty, naprawdę chciał iść w pole i walczyć, lecz jego obowiązki były ważniejsze od pragnień, więc rzadko si< uskarżał.

Harówka w następnym tygodniu była niemiłosierna Sortowanie odznaczeń zdawało się nie mieć końca, a gdj tylko trochę nadgonili, przychodziła następna porcja z dowództwa dywizji. Czytając i pisząc tyle o działalności i bohaterstwie, Morgan nie mógł się oprzeć fantazjowaniu Czy potrafiłby stanąć na płozach śmigłowca i strzelać : kaemu nad wspornikami tak jak Webster i McCutcheor z kompanii C? Atakować nieprzyjaciela w jaskiniach jał Slagel? Stawić czoło nacierającym Wietnamczykom jał Padgett i Chambers?

Pamiętał pochwały za dzielność, które wszyscy otrzymali wyjeżdżając z Fuldy na wojnę. Teraz jego przyjaciele mieli dostać Fioletowe Serca za rany, Brązowi Gwiazdy za odwagę, Medale Lotnicze za wylatane w boji godziny. A on, jak zwykle, przekładał papierki, bezbłędni) wypisywał różne rzeczy na maszynie. Czasami wieczorem spoglądał na swój pas, karabin i hełm pokrywające się kurzem obok łóżka polowego. Może kiedyś i on też pójdzie się bić.

Czuł się taki beżużyteczny w szpitalu wtedy po bitwii

Szczęśliwej Dolinie. Siedząc z rannymi, słuchając jak jał z nimi gwarzy, nie miał pojęcia, co powiedzieć, edy mówić poważnie, a kiedy na wesoło. Chciał włączyć ę do rozmowy, wziąć w niej udział, ale przypominałoby

kibica ściskającego zawodnika, który zwycięsko rozegrał mecz. Ilekroć próbował się uśmiechnąć, czuł, że ma argi jak wyschnięte kluski.

O dziewiątej ostatniego wieczora już prawie skończyli >botę, kiedy Greene zarządził przerwę.

— Morgan, przynieście trochę piwa.

— Z przyjemnością, panie kapitanie. Nawet je postawię. Dobrze było mieć już to za sobą.

Pracowali metodycz-e, a Greene tyrał bardziej niż którykolwiek inny oficer. Stubbs nawet nie kiwnął palcem. Mieli mały stos odznaczeń pośmiertnych do wysłania razem z listami do naj-wiższych

krewnych, drugi dla rannych przebywających w szpitalach poza Wietnamem i trzeci dla tych, którzy będą obecni na uroczystości. Decyzje o nadaniu medali za odcięcie miały być odczytane na głos, natomiast Medale Lot-cze i Fioletowe Serca tylko wymienione w rozkazach. Za ciężką ranę dostawało się Fioletowe Serce, od skaleczenia ilca aż po utratę obu nóg.

Kiedy wrócił, Slagel stał oparty o kontuar.

— Co słysząc, Móg? Zgadnij, kto sobie ulżył.

— Mam nadzieję, że nie złapałeś znowu trynia?

— Kupa gości z kompanii C złapała.

— Mają go żołnierze w całej dywizji — powiedział reene. — To się wymyka z ręki.

Pewnie niedługo wstrzymają przepustki do miasta.

— To parszywa, zarzygana dziura — powiedział Sla-L — Stare kurwy śmierdzą tak, jakby je nurzali w iwnie. Móg, tyś tam już dawno nie był, co?

— Aha. Lepiej, żeby nie wstrzymywali przepustek, żarn znowu pojedę. Tak we mnie wezbrało, że tyłek mi się irczy. Mcze ci wyrobimy jeszcze jedno Fioletowe Serce tego trynia.

— Gównno. Więc będzie wielka uroczystość? Co dostaje a vis?.

85

— Brązowy — odrzekł Greene.

Slagel prychnął. — Może powinienem zaprotestować Morgan, tak jak twoi kumple w Berkeley.

— Czemu nie? — Wydawało się, że to dobry pomysł

— Dajcie spokój — powiedział Greene. — Bądź cc bądź facet nie żyje.

— Tak jak i kupa innych, panie kapitanie — odparł Sla gel. — Ale pewnie nie dostali medali, dlatego że byli sze regowcami, prawda?

— Morgan, czas wracać do roboty — powiedzia Greene. — Zobaczmy się z wami później, Slagel.

— Tak jest, panie kapitanie! — Slagel poderwał się n; bacność. — Do zobaczenia, Móg.

Zniknął w ciemnościach, po czym parsknął śmiechem przy oficerskim namiocie.

Greene poszedł na kwatery pułkownika, aby omówić ce remonię z nim oraz kapelanem. Wrócił, kiedy Morga] skończył sortować ostatnie odznaczenia.

— Wszystko gotowe do wysyłki, panie kapitanie.

— Dobra. Mam dla was jeszcze parę rzeczy do zrobić nia, Morgan. Trochę dzisiaj wieczorem, trochę rano. Nie stety, będziecie chyba musieli wstać o wpół do szóstej.

— Przecież uroczystość jest dopiero o ósmej.

— Wiem, Morgan. Tylko spokojnie. Będziecie musie' skoczyć w kilka miejsc jeepem, a potem trzeba trochę cza su, żeby się przygotować.

— A co mam przywieźć? — Zawiedziony trzepnął dlc nią w kontuar.

— Siedem hełmów z czystymi pokrowcami maskującym na uroczystość żałobną. Po jednym na każdym pięciu pc ległych. Możecie zawieźć na pole defiladowe stół majoi Stubbsa pod te hełmy. Będą nam potrzebne proporczył każdej kompanii, a poza tym medale i po jednym egzen plarzu wszystkich rozkazów i wzmianek. Zaświadczeni i pudełka na medale rozdamy ludziom po ceremonii. P02 tym weźmiecie z S--4 mikrofon i dwa głośniki. Może b(dziecię chcieli zrobić część tego dziś wieczorem, ale

tko ma być gotowe o siódmej piętnaście, żebyśmy mieli ewność, że nic nie nawali.

— Rany boskie! W porządku, panie kapitanie. Wrócę łóżniej.

Jadąc drogą batalionową do S-4 miał ochotę dodać ga-u i przejechać jeepem przez jakiś namiot czy kancelarię. Figdy nie dawali człowiekowi spokoju. Zawsze jakiś gów-iany szczegół w ostatnim momencie. Niech to cholera weźmie. Napije się, zanim cokolwiek zrobi.

Alexander i sierżant Winston siedzieli na swoich łóżach polowych przy chłodziarce. Na ziemi stała półgalono-ra butelka dzinu Boorda, a obok dwa kubki mrożonej 'ody.

— Hej, Móg — powiedział Alexander. — Przyszedłeś i sam czas na trochę dzinu z zimną wodą.

— Dajcie mi, zanim zwariuję.

— Dżinu chluśniesz, to nie uśniesz — powiedział sier-ant Winston.

— Jak ci smakuje, Morgan? — zapytał Alexander. Sapnął, przyłożył dłoń do piersi i potrząsnął głową.

— Dobre draństwo.

Napił się znowu z butelki, a potem łyknął dwa duże austy lodowatej wody.

— Dają ci szkołę?

— A jakże, Alex. Robią tyle szumu, jak gdyby ta uro-zystość była najważniejszą rzeczą od dnia inwazji.

— Mają jakieś odznaczenia dla „Overhead”? Namiot, tory potrafi wypić całą tę gołdę, powinien coś dostać.

— „Overhead” dostanie Fioletowe Serce obwieszzone ównem — powiedział Winston.

Położył się i otarł sobie varz ręcznikiem. — „Overhead” jest jak obolały kutas, Iorgan. Nie można go pobić.

— Wysoce zaszrana prawda, sierzancie.

Zabrał ich hełmy oraz swój własny i wyszedł. Z S-4 'ział jeszcze cztery, poza tym mikrofon i głośniki, i zo-;awił cały majdan w swoim jeepie przed kancelarią.

Zanim położył się do łóżka, wypił jeszcze pół kwarty rhisky plus dwa piwa i kiedy pobudka wyrwała go ze

87

snu o wpół do szóstej, ledwie mógł utrzymać się na kursie. Pobrnął w ciemnościach do przyczepy z wodą, stojącej za kasynem, i wsadził głowę pod kran, a zimna woda lała się na nią ściekając na ziemię. Wypalił papierosa w drodze do kancelarii i wkrótce złość go całkiem rozbudziła.

Zapalił światło w przedniej części namiotu, zaszurał popielniczką po kontuarze, potem zakaszłał, aż wreszcie usłyszał, że Greene przekręca się stękając w swoim śpiworze za bambusowym przepierzeniem. Kapitan pojawił się w chwili, gdy Morgan rozgrzewał motor jeepa.

— Czołem, panie kapitanie! — zawołał.

— Wracacie po stół, Morgan?

— Tak jest. I po proporczyki, i resztę rzeczy. W jeepie wszystko się nie pomieści.

Cofnął wóz z parkingu, wyjechał na drogę batalionowa i skręcił w lewo pod górę. Jeep podskakiwał i skrzypiał na koleinach i kamieniach, Objechał kasyno podoficerskie minął kantinę kompanii C i włączył napęd na cztery koła tam, gdzie droga biegła bardziej stromo koło kwatei oficerów kompanii A. Zatrzymał jeepa i wrzucił pierwszy bieg, ażeby wóz zawarczał przejeżdżając tamtędy.

Kied] teren wyrównał się przy klubie oficerskim, włączył znów drugi bieg i napęd na dwa koła.

Wąska droga, zaledwie dostatecznie szeroka na jeepa, biegła pomiędzy klubem a obwałowaniem, i o mało nie otarł się o drewnianą ścia nQ wyjeżdżając na polanę za budynkiem. Ostatnim razem był tutaj przed sześcioma tygodniami, kiedy oczyszczał z krzaków teren na mały plac defiladowy.

Zatrzymał wóz zwałił ładunek na południowej stronie polany i zawrócił po resztę rzeczy.

Niebo szarzało, gdy przybył z drugim ładunkiem; zz; klubu widać było w kierunku wschodnim polanę, któr; siedemdziesiąt pięć jardów dalej kończyła się gąszczem zarośli i małych drzewek. O sto jardów za nią zaczyna; się pierwsza linia bunkrów rozmieszczonych co pięćdziesiąt jardów dokoła bazy dywizji. Stojący przy nim wartownicy wyglądali jak małe posągi. Przed bunkrami był;

twoje druty kolczaste, potem druty rozciągnięte sześć :ali nad ziemią, dalej pole minowe, białe wieże obserwa-yjne naszpikowane reflektorami i znowu rzędy, koła

prostokąty drutów. Dobrze pięćdziesiąt jardów dzieliło jierwsze bunkry od linii drzew za ostatnimi umocnienia-ni i każdy napastnik miał sporą szansę, że zostanie ro-:erwany w kawałki przez miny.

Morgan wyjął z jeepa pięć proporczyków i cisnął je jak iszczepy na południową stronę polany. Dwa odskoczyły od itałowych hełmów, trzy pozostałe wbiły się w ziemię. Za-adowanie stołu Stubbsa na wóz było dostatecznie uciążli-ve, ale teraz jeszcze zaczął się o coś i nie chciał wyleźć. Morgan spróbował go poluzować, ale bez powodzenia. Wte-ly pchnął mocno, lecz przestał, gdy drewno zaczęło trzesz-:zeć. Poczł się nagle słaby, oddychał ciężko. Cholera jas-la! Kopnął oponę jeepa. Obszedł wóz i stwierdził, że cien-ca noga stołu utknęła między siedzeniem a metalową icianką.

Podważył ją, zaniósł stół tam, gdzie leżały hełmy, postawił go na ziemi klnąc Stubbsa i Greene'a.

Rozłożył siedem hełmów na blacie z drzewa tekowego Do jednym na każdym pięciu poległych. Z tym że siódmy tylko na czterech. Szkoda, że nie rąbnęli jeszcze jednego, żeby było równo trzydziestu pięciu. Umieścił jeden z głośników o piętnaście stóp od stołu, a kiedy niósł drugi w przeciwną stronę, potknął się o kabel i upadł otłukując sobie kolano o metalową krawędź. — O kurwa! — wrzasnął. Łzy napłynęły mu do oczu i przez chwilę chlipał jak Izziak. Nienawidził poległych żołnierzy, tych dzielnych, tych wszystkich żalonych pierdołów, którzy mieli z tym: obojętnego. Ze złością powbił proporzycy w ramię obok stołu. Tyrał, jak mało kto, i co za to miał? Jówno. Jeszcze więcej roboty. Ustawił mikrofon na stole, przeciągnął trzy kable do budynku klubu, gdzie miały być podłączone do przedłużaczy. Wdrapał się do jeepa, do czym znów z niego wylazł i usiadł na pieńku po północnej stronie polany.

Cała ta krzątanina i brzęk metalu zagłuszały mu dotąd: iszę. Teraz dziwnie było nie słyszeć żadnych odgłosów

89

powodowanych przez przedmioty będące dziełem ludzi. Pochylił się i przymrużył oczy usiłując wsłuchać się lepiej. Nic poza jego własnym oddechem i chwilami skwierczeniem ognika papierosa. Potarł stopy o trawę i nasłuchiwał znowu. Martwa cisza. Odchylił się do tyłu i wydmuchał dym prosto w powietrze. Rozwiał się i zniknął. Na niebie obłok przesunął się ku zachodowi i Morgan poczuł obrotowy ruch ziemi i doznał wrażenia, że stacza się z wysokiej góry. Ziemia obracała się dalej, odsłaniając oślepiający półkrąg słońca, który powoli rósł zapalając iskry na metalu i tysiącach kropelek wilgoci wszędzie dokoła. Morgan poczuł, że powoli wzbiera w nim ciepło roztopiające kruchą, małostkową złość z wczorajszego wieczora i dzisiejszego rana.

Słońce błyszczało na aluminiowych dachach miasteczka o dwie mile bujnej roślinności za obwodem obozu. Za-pieprzeni, przymierający głodem ludzie, żyjący jak zwierzęta. A on tu siedzi i wścieka się na łatwą robotę, a nawet czasami myśli o pójściu do walki. Narzekanie na to, że jest kancelistą — że jest bezpieczny i bezpośrednio nie robi nikomu krzywdy — było głupie i dziecinne. Równie głupie i dziecinne jak podziwianie i zazdrosczenie bohaterom i rannym. Nie, na to jest za mądry, za mądry, żeby Greene, Stubbs i całe wojsko doprowadziło go do desperacji. Wytrzyma jeszcze osiem miesięcy jako kancelista. Wytrzymał już prawie dwa lata w mundurze. Resztę czynności przed ceremonią wykonał z pogodą, a kiedy się rozpoczęła, wlaź na mały pagórek po północnej stronie polany, żeby popatrzeć. Cóż to za żalodne, tandetne widowisko! Niektórzy starzy wyjadacze z kompanii C byli wyraźnie wstrząśnięci, kiedy kapelan odczytywał nazwiska poległych. Uczucie szacunku powróciło, gdj Chambers, Padgett i Slagel otrzymywali odznaczenia, więc odwrócił się od nich i popatrzył na grupę żołnierzy jakc całość. Brudne, wymięte drelichy, zapadnięte twarze — stali tam, karmieni kolejną porcją lipy, nim znowu pójdą na rzeź. Jeżeli dało się komuś medal, nie musiało się już mówić, że został zabity czy ranny absolutnie za nic.

90

Kiedy ludzie zaczęli maszerować w dół ze wzgórza, pod:edł do niego kapitan Greene.

— Lećcie do S-1 wydawać pudełka do medali i zaświad:lenia.

— Tak jest.

Popatrzył na Greene'a spokojnie i pogodnie. Kapitan nie łógł go już zirytować.

Kiedy zjeżdżał drogą, żołnierze musieli rozstępować się a boki. Kilku burknęło głośno, że tylko gryzpiórki roz-ijają się jeepami, ale to go wcale nie obeszło.

W kancelarii wręczył Chambersowi, Padgettowi i Sla-elowi pudełka i zaświadczenia, i umówili się na ten wieczór. Zaczęli się schodzić inni żołnierze i kiedy wyda-rał im pudełka, postanowił nie upijać się więcej. Ciężka ecyzja, zwłaszcza tu, ale ci goście wiedzą, że chłanie łoże człowieka wykończyć, więc chyba zostawia go w pokoju. Będzie siedział wieczorami w kancelarii, czytał robił ćwiczenia. Od niedawna czuł się dosyć osłabiony, łoże też rzuci palenie, chociaż to chyba byłaby już prze-ada.

Ostatni z żołnierzy wyszedł, a Morgan oparł się ó kon-uar zatopiony w rozmyślaniach o swoim

przyszłym asce-ycnym życiu. Nagle wmaszerował Greene i uderzył obie-aa dłońmi o blat.

— Do roboty, Morgan. Jedźcie na górę i przywieźcie te zeczy. Nie ma czasu, żeby stać bezczynnie.

— Tak jest, panie kapitanie. Właśnie wydawałem pu-lełka.

— Już nie ma nikogo! — warknął Greene. — Ruszcie

— Rozkaz.

Jeszcze nie widział Greene'a tak rozdrażnionego. Za-idrość o medale? Cholera z nim. Niech sobie sam daje ra-lę ze swymi problemami.

Kiedy wniósł stół do namiotu, major Stubbs spojrzął la niego z fotela; policzki miał wypchane krakersami i serem.

91

— O, dziękuję, Morgan — wymamlał. — Postawcie go tutaj. Piękna uroczystość. Doskonale to zaplanowaliście.

— Dziękuję, panie majorze. — Odwrócił się ku wyjściu oburzony, że Stubbs otrzymał Brązową Gwiazdę za Chwalebną Służbę.

— Aha, Morgan. Chciałbym, żebyście mi coś załatwili. Pudełko, w którym przyszedł mój medal, jest trochę zabrudzone w środku. Wygląda to na plamy od wody czy coś takiego. Tutaj nie mamy więcej pudełek, więc chciałbym, żebyście wymienili to moje w dywizji. Wszystko jedno kiedy, byle dzisiaj.

— Tak jest, panie majorze. Zrobię to zaraz.

Pieprzyć ich wszystkich. Będą mieli szczęście, jeżeli wróci. Wyszedł z namiotu. W głowie mu pulsowało i myślał, że się rozplącze z wściekłości.

W „Overhead” zastał Alexandra otwierającego butelkę wódki.

— Chcesz kropelkę, Morgan? — Podał mu flaszkę.

— Dziękuję. Ten pieprzony Stubbs. Chętnie bym go zabił. — Pociągnął dwa łyki.

— Ty i stu innych.

— Cholera, może człowieka doprowadzić do szału. Daj mi piwa, Alex. Muszę jechać do dywizji po to gównno.

Wypił chciwie wszystko w dwie minuty i pojechał po świeże pudełko.

Greene przetrzymał go przez resztę popołudnia każąc mu załatwiać różne głupstwa, zamieść kancelarię i po-ścierać kurze. Każdą z tych rzeczy można było zrobić innego dnia. Wypił cztery piwa przed kolacją i między wpeł do szóstą a siódmą z trudem zachowywał spokój. Kiedy Greene w końcu go puścił, piwo już wywietrzało i czuj się zmęczony i zdeprymowany. Wypił jeszcze trochę whisky w „Overhead”, po czym poszedł do kolegów, którzy byli w kasynie.

— Nie wyglądasz za dobrze — powiedział Chambers. — Co się stało?

— To samo gównno co zawsze. Te dranie nie mogą zostawić mnie w spokoju.

92

— Ostro gadasz — rzekł Slagel.

— Cholera jasna, ty nie wiesz, jak tam jest.

— Powiada, że nie wiem, jak tam jest — wyszczerzył by Slagel do pozostałych.

— Bo nie wiesz. Niech to cholera. Idę po piwo. Przyniósł do stolika pięć puszek.

— Słuchaj, Slagel, widziałeś, co było wczoraj wieczo-m. Jak by ci się podobała taka gówniana robota dwa-iście godzin na dzień?

— Dobra, dobra. Wiem, że to parszywe, ale takie samo st wszystko inne. Jutro musimy znowu iść w pole.

— Nie widzę żadnego z was wynoszącego się stąd. lammers może zmienić funkcję, ale dalej tu sterczy.

— Nawet nie umiem pisać na maszynie — rzekł Cham-?rs.

— Ale mógłbyś palić odchody albo pracować w kasynie.

— Wiesz doskonale, że nie.

— Bo cię to wkurza, co? Tak samo jak mnie to urzędo-:enie. Walka chyba nie ogłupia tak człowieka.

— Daj spokój, Mórg — rzekł Padgett. — To jest nasz ;tatni wspólny wieczór na jakiś czas. Nie

warto gadać ikich bzdur.

Morgan wypił całą puszkę piwa nie odejmując jej od 3t, po czym rąbnął nią o cienki metalowy blat stołu, aden z pozostałych nie spojrział na niego.

— No, wybaczcie mi, do cholery! Przykro mi, że ura-łem wasze delikatne uczucia, zanim pójdziecie rozwalić upę ludzi, żeby wam za to pozawieszali na piersi różne 5wna. Może uderzę w gaz, żeby się nie naprzykrzać wam, ohaterom wojennym.

Wstał od stolika, wziął jeszcze trzy piwa przy barze, po jym rozchylił plastikowe paski zawieszane w drzwiach

wyszedł w ciemność. Mogą przyjść po niego, jeżeli bę-ą chcieli.

Podszedł do małego pagórka koło namiotu S-4 i wypił »dno piwo obserwując wejście do kasyna.

Nikt za nim nie wyszedł. Czuł pulsowanie w głowie i pieczenie w piersi, siadł, oparł się plecami o drzewo i wypił pozostałe pusz-

93

ki. Nie wróci do kasyna po więcej. Niech ich cholera. Za czął kołysać się na pośladkach uderzając o drzewo tyłem głowy. Dwa razy uderzył mocniej, a potem jął walić głową coraz gwałtowniej, aż zmąciło mu się w oczach. Przestał, zdjął czapkę i rozszlochał się bezradnie. Oparł głowf o drzewo i zaczął pocierać nią o chropowatą korę. Kied? poczuł ciepłą wilgoć na karku, pochylił się w przód i otar oczy czując, jak małe ciepłe strużki spływają mu na ple cy.

Ocknął się w ciemnościach, zziębnięty. Jedynym odgłosem był szum generatorów. Wracając do „Overhead” zajrzał do kancelarii. Zegar wskazywał kilka minut po trze ciej.

Przechodząc przez drogę batalionową spojrział w górę na gwiazdy, które mrugały na niego drwiąco. Splunął, za^ palił papierosa i poszedł dalej w kierunku S-1. Na wzgórzu po prawej stronie drogi stał samotnie dwumiejscowj ustęp z aluminiowym dachem i bambusowymi ściankami W wejściu wisały takie same plastikowe paski jak w żołnierskim kasynie. Spuścił spodnie i kalesony, usiadł i pa-trzał na pustą drogę i czerwono-czarny węgielek na końcu papierosa. Zaczął powoli bawić się z sobą, aż mi stwardniał. Wtedy przyspieszył i poczuł, że to się zbliża Ścisłał członek tak, iż zdawało się, że pęknie, aż wreszcie sperma pulsując trysnęła na zmięty kawałek papieru toaletowego, który trzymał w drugiej ręce.

Wielorytmowe chrapania wypełniały powietrze w „Over-head”. Wsunął się do śpiwora i zasnął.

Kiedy nazajutrz rano wyszedł z namiotu, ostatnie pojazdy kompanii C toczyły się drogą do pola startowego.

7

Trzeba było Padgettowi czterech dni, żeby przestał się zżymać na Morgana. Parę razy miał nawet ochotę wrócić do bazy i pognać go tam i z powrotem po drodze kopniakami w tyłek. Palant powinien był się cieszyć, że nie musi

94

rać udziału w całym tym dranstwie, zamiast zazdrościć innym medali czy czegoś tam.

Odchylił się w tył na siedzeniu śmigłowca i postawił ałnierz, żeby osłonić szyję od zimnego porannego wiatru, d zesłego wieczora łagodniej myślał o Morganie. Temu acanowi było jednak ciężko. Padgett nie zamieniłby się

nim na funkcję, nawet gdyby mógł. Jak zresztą żaden

nich. Po prostu sprawy wyglądały teraz inaczej. Oni

szyscy już brali udział w walce, a Morgan nie, i nie było josobu, żeby teraz zasiedli razem i gadali

na ten temat, lagel, Chambers i on sam musieli myśleć przez cały czas, 5 zginą — coś, czego

Morgan nie mógł sobie wyobrazić, roczystość nadania odznaczeń przypomniała o tym im rszystkim — jak niewiele brakowało w Szczęśliwej Doli-ie — i nie byli w nastroju do wysłuchiwanie narzekañ [organa.

Śmigłowce transportowe zaczęły się opuszczać, a bojowe tworzyły ogień. Padgett sprężył się na

siedzeniu i po-tyślał, że może któregoś wieczora napisze do Morgana

wszystko wyjaśni. Nie chciał, żeby tak się odsunęli od .ebie.

Wyskoczył w wysoką trawę, przypadł na jedno kolano

dołączył swój magazynek do grzechotu kaemów, grana-iw, automatów i terkotania łopat wirników.

Czołgając się ' krzaki wepchnął nowy magazynek do karabinu. Czekał astanawiając się, dlaczego śmigłowce jeszcze nie wy-tartowały. Ogień ustał i wydawało się, że silniki pracują rolniej, jak gdyby gasnąc.

Kiedy warkot silników przycichł, krzyki zabrzmiały gło-aiej. Miejsce lądowania wydawało się bezpieczne, ale ma-syna drużyny Padgetta zasłaniała mu widok na trzecią.

— Trzymajcie się — powiedział Baird. — Kryjcie cały bi cholerny teren. Zobaczą, co się dzieje. Sierżant Baird zniknął za śmigłowcem drugiej drużyny.

Ozwały się głośniejsze jęki, przekleństwa, wołania o sa-itariuszy. Pierwsza drużyna cofnęła się do jednego skraju olany, czwarta do drugiego. Baird wrócił na stanowi-ko.

— Pierwsza grupa, kryć się po wschodniej stronie. Trzecia jest całkiem uchechłana.

Padgett ruszył przez polanę ze swoją grupą. W połowie drogi między śmigłowcem trzeciej drużyny a wschodnim skrajem lądowiska dziesięciu ludzi leżało na ziemi. Co najmniej czterech zabitych, inni trzymali się za ręce, nogi, brzuchy. Jęki i krzyki. Większość to byli ci nowi, nawet nie od miesiąca w plutonie.

— Ruszać się, druga drużyna — powiedział sierżant-szef Trapp.

— Co się dzieje? — Collins rozstawił dwójnóg karabinu maszynowego na skraju lądowiska.

— To nie Wietkong — odrzekł Padgett. — Nie obcynda-laj się. — Zerknął przez ramię. — Może mina, czy ja wiem.

Nagle poderwał się jeden z rannych nowych chłopaków. Na twarzy błyszczały mu łzy między kroplami krwi, a lewą ręką trzymał się za prawy biceps.

— Ten pierdolony sierżant! — wrzasnął. — Wiedziałem, że tak będzie. Nosić granaty poluzowane, tak powiedział, ta kupa zielonego gówna! — Ruszył ku zabitym, koło których siedział Webber przy radiu. — Ty zaszranie ścierwo, ty zdechły skurwysynu! Szkoda, że nie ciebie jednego szlag trafił! Pochylił się i splunął na okrwawione zwłoki sierżanta Crowleya.

— Spokój, Hodge — powiedział Trapp. — To niczyja wina.

— Jego pieprzona wina i cieszę się, że zdechł! — Hodge znowu splunął na Crowleya.

— No, dobra — rzekł Trapp. Spróbował objąć ramieniem Hodge'a.

— Nie dotykaj mnie! — Hodge odskoczył. — Niech żaden z was, jebanych zawodowców, nie waży się mnie ruszyć! — Cofnął się i pochylił, by podnieść swój karabin.

Thusty Trapp obalił go i przycisnął do ziemi.

— Pierdolę was wszystkich! — wrzasnął Hodge. Spreżył się pod ciężarem Trappa, a potem rozluźnił i wybuchnął szlochem.

— Cholera jasna! — zaklął Collins. — Ktoś musiał mścić granat.

— Chyba więcej niż jeden. — Padgett nie mógł sobie go wyobrazić. Cichy warkot silników wzmógł się, a ło-ity wirników obracały się powoli, gdy ludzie z pierwszej i czwartej drużyny pomagali załadowywać ciała. Ran-

mogący chodzić ruszyli do poszczególnych maszyn, dwaj nich podtrzymywali Hodge'a. Wszystko nowe chłopaki, idgett nie znał prawie żadnego, zaledwie kilka nazwisk, fli z plutonem w Kontumie, a potem przez cztery dni taj, ale nie zetknął się z żadnym z nich. Dziwił się, że kazano im dalej patrolować. Wszyscy się dwili. Nikt nie miał na to ochoty i cały pluton się ocia-ił. Kiedy w południe skończyli jeść racje polowe, ro-szła się wiadomość, co się zdarzyło. Crowley kazał wszystkim z trzeciej drużyny nieść granaty z poluzowanymi za-leczkami, żeby móc je szybciej rzucać. Mercado miał •zytroczoną na plecach jedną z dwóch min plutonu, rawdopodobnie jeden z jego granatów obsunął mu się iędzy plecy a minę i eksplodował. Przeciął go prawie na)ł.

Tak więc dostaną teraz następną partię nowych. Padgett iprawdę zaczynał się czuć jak weteran.

Tylko trzech)ści było w plutonie dłużej niż on i Slagel.

Po trzech dniach mieli już nową trzecią drużynę, z Pad-;ttem na czele jednego z jej zespołów ogniowych. Cała :użyna była złożona z Murzynów, co miało swoje plusy, ioć czasem irytowało murzyńskie gadanie. Ale na razie (stawiali go w spokoju, gdy tego potrzebował, a żaden nie yglądał

na zbyt trudnego do okiełznania. Z początku Padgett trochę się niepokoił, ale po dziesięć-u dniach operacji wiedział już, że nie znajdą żadnego letkongu. To się czuło. Tamci gdzieś byli, ale nie tutaj, ewnie wrócili do Kontumu albo do Bong Son. Żeby się rzegrupować, dostać nowe zaopatrzenie i czekać. Żaden ze nigłowców bojowych czy zwiadowczych nie został dotąd

- Amerykańscy chłopcy

q7

ostrzelany, a żołnierze nie znaleźli ani jednego świeżego śladu stopy czy jakichkolwiek nowszych oznak życia. Ryż w rozpadających się chatach składowych był zgniły i pełen szczurzych odchodów. Jedynymi śladami na ziemnych klepiskach były tropy łap szczurów.

Czarni chłopcy żyli wciąż w takim napięciu i pogotowiu, że mogli zacząć zabijać się wzajemnie, gdyby nie natrafili na Wietkong. Kiedy nie rozprawiali o uziemianiu żółtków, gadali o cipkach czy jakimś nowym tańcu na świecie. Padgett pisywał teraz do Jerrie tylko raz w tygodniu, a już na pewno nie były mu w głowie żadne tańce.

Patrowanie stało się czymś automatycznym. Bez względu na to, jak było uciążliwe, nie mieli z tym kłopotu. Jeżeli dżungla robiła się za gęsta, wyrąbywali sobie drogę maczetami, jeżeli jakaś parszywa pijawka uczepliła się ręki czy nogi, spryskiwali ją repelentem, jeżeli usłyszał jakiś odgłos, przykłąkali z karabinem gotowym do strzału, a wszystko to, co należało robić, mieli ułożone w głowie.

Slagel uspokoił się na parę dni po uroczystości nadank odznaczeń, która mu naprawdę dopiekła — ale znów zaczął łykać pigułki odchudzające i był nerwowy jak wie wiórka, bo tak się palił do akcji. Czasami wieczorami po pijał piwo z Padgettem, nie rozmawiali jednak za wiele Padgett w ogóle nie miał wielkiej ochoty na rozmowy. C(wieczór szedł spać o ósmej i był wypoczęty, gdy plutoi patrolował przez cały dzień. Usiłował skoncentrować myśl na dżungli, na tym jak ją namaluje, kiedy nareszcie wróc do świata. Gdyby dużo rozmyślał o tym, miałby wszystko w głowie, kiedy nadejdzie pora. Czasami kreślił małe ry sunki patykiem na brunatnej ziemi, ale szkice niewiele znaczyły w porównaniu z kolorami, których by użył, cz; z bezmiarem kształtów. Ot, po prostu sposób zabicia cza su.

Patrowali już dwa tygodnie, kiedy nowi chłopcy zła pali małpę. Miała otepiały wygląd, wydęty brzuch, duży nos i twarz półgłupka, włącznie ze szczerzeniem zębów gdy ktoś jej dawał jedzenie. Jednakże była duża i Pad

98

;t chcąc nie chcąc uśmieł się z siebie, że jej się boi. Nie ał ochoty, żeby jakaś małpa ugryzła go i zaraziła cieklizną. Tego wieczora zosił w namiocie i właśnie za-nał na swoim śpiworze, kiedy ktoś-trącił go w stopę.

— Obudź się, ojczulku — powiedział Slagel. W namiocie ;szedł się nikły zapach marihuany, a potem ciemno-po-rańczowy ogieniek skręta zamigotał mu przed oczami.

— Co jest, koleś? — Siadł, pociągnął skręta i położył na powrót.

— Dziś wielka narada wojenna. Dowódcem drużyn po-eba więcej akcji.

— Mogliby pojechać do miasta, tam pewnie by ją znali. — Wytknął głowę z namiotu, kiedy Slagel ustawiał ka puszek piwa przy workach z piaskiem.

— To nie lipa. Mają nową teorię. Żółtki nas się boją. z nie nawiążą kontaktu z naszą dywizją, bo tak im iliśmy dupę.

— Gówno prawda. Żółtki po prostu nie mają zamiaru łć się na zgrywanie bohaterów.

— A jednak coś może w tym jest. Nie mieliśmy stycz-ści od czasu Szczęśliwej Doliny.

— Wrócimy do Szczęśliwej Doliny, to znowu dostanie-7 styczność po dupie.

Chłodne piwo spłukiwało mu posmak zgnilizny w ustach.

— Pieprzyć to, tak?

— Pewnie. Kiedy dostaniecie nowego dowódcę drużyny?

— Mam nadzieję, że niedługo. Ci nowi są trochę lepsi, « wciąż jeszcze chce mi się rzygać. Zdaje się, że twoje pki coś rozrabiają.

Padgett do tej pory nie zwracał uwagi na wrzaski i chi-oty dolatujące od rzędu namiotów. Najwidoczniej nowe łopaki zabawiały się z małpą w małym gaju banano-rm na krańcu terenu wyznaczonego plutonowi. Światła arek podrygiwały na drzewach, gdzie coś przybijano. tym rozlatanym światłem czarne twarze błyszcząły od tu i szczyrzyły zęby.

— Co oni wyprawiają?

99

X chcąc nie chcąc uśmieł się z siebie, że jej się boi. Nie ał ochoty, żeby jakaś małpa ugryzła go i zaraziła cieklizną. Tego wieczora zosłał w namiocie i właśnie za-ñał na swoim śpiworze, kiedy ktoś~tracił go w stopę.

— Obudź się, ojczulku — powiedział Slagel. W namiocie ;szedł się nikły zapach marihuany, a potem ciemno-po-rańczowy ogieniek skręta zamigotał mu przed oczami.

— Co jest, koleś? — Siadł, pociągnął skręta i położył na powrót.

— Dziś wielka narada wojenna. Dowódcem drużyn po-eba więcej akcji.

— Mogliby pojechać do miasta, tam pewnie by ją znali. — Wytknął głowę z namiotu, kiedy Slagel ustawiał ka puszek piwa przy workach z piaskiem.

— To nie lipa. Mają nową teorię. Żółtki nas się boją. z nie nawiążą kontaktu z naszą dywizją, bo tak im iliśmy dupę.

— Gówno prawda. Żółtki po prostu nie mają zamiaru łć się na zgrywanie bohaterów.

— A jednak coś może w tym jest. Nie mieliśmy stycz-ści od czasu Szczęśliwej Doliny.

— Wrócimy do Szczęśliwej Doliny, to znowu dostanie-t styczność po dupie.

Chłodne piwo splukiwało mu posmak zgnilizny w ustach.

— Pieprzyć to, tak?

— Pewnie. Kiedy dostaniecie nowego dowódcę drużyny?

— Mam nadzieję, że niedługo. Ci nowi są trochę lepsi, j wciąż jeszcze chce mi się rzygać. Zdaje się, że twoje pki coś rozrabiają.

Padgett do tej pory nie zwracał uwagi na wrzaski i chi-Dty dolatujące od rzędu namiotów.

Najwidoczniej nowe topaki zabawiały się z małpą w małym gaju banano-nax na krańcu terenu wyznaczonego plutonowi. Światła arek podrygiwały na drzewach, gdzie coś przybijano, tym rozlatanym światłem czarne twarze błyszcząły od tu i szczyrzyły zęby.

— Co oni wyprawiają?

99

— Zdaje się, że mają zamiar zatłuc tę małpę. Chodźm; zobaczyć.

— Czemu nie?

Kiedy podeszli, Thomas właśnie kończył przybijając ela styczny sznur do jednego z drzew.

— Cześć, Padg, w sam czas przychodzisz.

Thomas chwycił gruby sznur, przymocowany do dru giego drzewa, związał obydwa, odciągnął i puścił, tak ż odskoczyły do przodu.

— Gotowe. Dawajcie ten bundzi i naszykujcie banany Padgett wziął skręta od Slagela i zaciągnął się, kied

podawano Thomasowi pal bambusowy. Miał on dobre dw cale średnicy, długość prawie półtorej stopy, a na koń cu nacięcie do osadzenia sznura. Dokoła pala było uwiąza nych sześć innych bundzi, ostrzami do przodu.

— Co wy chcecie zrobić, u cholery? — Spojrzał z obrzy dzeniem na Thomasa. Mulat z południowej Filadelfii, stał przechwalający się, jaki to z niego ostry chłop.

— Patrz teraz, bracie. Jazda, dawajcie ją tam. Thomas założył sznur w nacięcie i odciągnął go tak, ż

się napiął.

Światła latarek igrały po polance przed drzewami chwj tając małpę śliniącą się i szczyrzącą zęby nad bananen Kelly i Adams zaczęli ją przywabiać innymi bananami

— No chodź, małpeczko.

— Chodź, focza mordo.

— Dajcie ją bliżej — powiedział Thomas. — Nie mog tego trzymać bez końca.

Kelly założył małpie linkę na szyję. Cofnął się do The masa ciągnąc małpę naprzód, podczas gdy Adams podaw; jej banany.

— Jeszcze dwa kroki — rzekł Thomas. — Ustawcie j równo.

Małpa podsunęła się naprzód, po czym usiadła. Adarr trzymał banana nad jej głową. Latarki pochwyciły głuj: kowatą twarz w białe wiązki światła. Małpa wzięła b< nana szczerząc zęby z wdzięcznością, jak niewydarztor

100

iecko, które wreszcie może pobawić się z dużymi chłop-mi.

A.dams cofnął się, a Thomas puścił bambus. Banan wydał w górę, a małpa wrzasnęła i padła na wznak. W ietle latarek widać było krew lejącą jej się z pyska.

— Dobry strzał — powiedział Slagel.

Padgett postąpił naprzód i kopnął Thomasa w siedzenie, alając go na twarz.

— Co ty wyprawiasz?

— Wstawaj, skurwysynu!

Thomas odczołgał się w tył na dłoniach i piętach.

— O co chodzi, bracie?

— Nie jestem twoim cholernym bratem. Wstawaj! Thomas podniósł się i Padgett zwałił go pięścią na zie-ię Facet potoczył się w tył i wylądował za drzewem.

— Nie boję się ciebie, człowieku. Niech tylko zdejmę iszulę.

Padgett opuścił pięści i uśmiechnął się.

— Jasne, łobuzie. Nie chcę mieć nieuczciwej przewagi Thomas wyszedł z za drzewa rozpinając kurtkę. Kiedy iągnął ją do połowy z rąk, Padgett skoczył naprzód, zasnął go lewym prostym i prawym sierpowym obalając i na tyłek. Thomas nie ruszał się przez pół minuty, po ym podniósł głowę i potrzęsął nią.

— Jak powiadasz, z której części Filadelfii pochodzisz, tranie? Nie wojowałem tam nigdy z kimś tak durnym, by się na to nabrać. A teraz może byś wziął dupę w tro- i poszedł spać? I nie ściągaj kurtki, dopóki cię żółtek e ustrzeli, kapujesz? Obrócił się na pięcie i odszedł.

— Dlaczego jesteś taki roztrajdany? — zapytał Slagel.

— Nie wiem, człowieku. Po prostu czarnuchy czasem nie cholernie wkurzają. Może powinieneś już wrócić do amiotu. — Pociągnął piwa z puszki. — Człowieku, po co, 3 jasnej cholery, wleźliśmy w to gównno?

101

Zbudził się ze snu z dłońmi założonymi na głowę, cze kając, aż tłusty pedał mu ją rozwali. Jak w zegarku, psia krew Ile razy się nad tym zastanawiał, miał ten sen. Ta było w Niemczech tamtej nocy, gdy zapisali się na wj jazd, i wtedy właśnie cała ta heca zaczęła mu się układa w głowie. Dotychczas zgadzał się z Morganem i jego tec rią doświadczenia, że wojna jest częścią edukacji człowie ka i że nie można zrozumieć pewnych rzeczy, dopóki si ich nie przeżyje. Powiedział wtedy, że jest tego samego zdania, bo czuł, że chce jechać, i to wcale nie z miłość ojczyzny.

Jednakże po tym śnie w Niemczech musiał się pohamc wać, gdyż miał już pod dostatkiem doświadczeń tego rc dzaju. I wtedy zapłonął mu w głowie czerwonepurpurc wym neonem sygnał przemocy i Wietnam przestał by czymś niedobrym, przez co musiał przejść, żeby wypełni pustkę. Po prostu radował się na myśl, że chwyci karabi w garść i rozłoży paru tych skubańców.

Tak samo było dawniej z rękawicami bokserskimi. Kk dy był mały, jego starszy brat wciągał rękawice i rozkłał dał facetów na prawo i lewo. LaMont włożył je mając li osiem i pierwszemu typkowi, którego uderzył, puściła si krew z ust. Zrobiło mu się przykro na ten widok i kied próbował znowu, przyhamowywał uderzenia, i dostał h nie. Zawiesił więc rękawice na kołku i wrócił do swoic ilustrowanych książek i bardziej nieszkodliwych sportów Nikt na niego nie naskakiwał z obawy przed bratem i Ż3 cie toczyło się fajnie aż do ukończenia klasy siódmej, kit dy

rodzina przeniosła się do Orange i raptem okazało się że jest jedynym Murzynem w szkole średniej. Niektórzy go unikali, inni robili dowcipy, ale liczył się z tym i nie stanął, że musi przeskoczyć wszystkich tych białych.

I tak też zrobił. Dostał się do międzyszkolnej drużyny koszykówki i zdobył kilka nagród za pierwsze miejsca w biegach. Ale tego można było spodziewać się po Murzynie. Nie ma dwóch zdań, że biegać umieją. I grać w koszyki; Ktoś jednak nawalił, bo czarnuch, jako najlepszy uczeń wygłosił mowę na zakończenie roku w dziewiątej klasie

102

Większość białych przynajmniej uznawała, że Murzyn ma w głowie różni się od innych, ale jeden gość z jego klasy nie podpisywał się nawet pod tym i po uroczystości, kiedy Padgett wygłosił już z podium swoje przemówienie, podszedł do niego, i przypakował mu taki mocny tekst:

„Niektórym czarnuchom zdaje się, że są cholernie ważniaki.” LaMont miał jeszcze w ręce te wszystkie zyste białe arkusiki i zmiażdżył je w sekundę, a jego cios nie był przyhamowany i tamten frajer już leżał na cementie rwając jak zarzynany wieprz. LaMont cisnął na niego apierki, dorzucił jeszcze czapkę i płaszcz, po czym odbiegł szlochając i klnąc.

Po chwili zatrzymał się i uśmiechnął porządnie. Cieszył się, że tak dolutował temu palantowi. Spadł mu ciężar z tych jego czarnych pleców. Ale w minutę później zaczął biec iowu. Prosto do brata. Nie po ochronę — po naukę.

I doszedł do tego, że się naprawdę wyrobił. Już nie zastraszował się uprzejmie wobec białych.

Kiedy zaczęła się ziesiąta klasa, był gotów i wiedziano, że przypaskudzi ażdemu, kto by mu urągał albo popatrzał na niego krzywo. I zrobił się schludny. Fajne ciuchy i buty ze skóry aligatora. Parę razy został pokonany, ale pod koniec dziesiątej klasy stanął do rozgrywek o Złote Rękawice.

Następnego roku doszedł do półfinału i żadnemu białemu nie udało się zlać mu jego czarnej dupy.

Przenieśli go znowu, do dzielnicy, gdzie mieszkało trochę swoich ludzi. Niektóre typy z sąsiedztwa prowadziły wojny gangów, popijały, paliły „trawę” i wachały kokainę, ale on był za zajęty w sali gimnastycznej na takie rzeczy. Jalej latał na dziewczyny i ostro się zabawiał w weekendy — był też dobrym tancerzem — ale nie miał zamiaru osić przy sobie gnata ani polować nocami na białych łopaków z bandą chuliganów.

Tym razem nie był pierwszym uczniem, ale nauka szła mu dobrze. Rzucił koszykówkę i bieganie, chciał się zająć tylko boksem. A potem zadał się z tamtym grubasem odwiesił rękawice na dobre.

Nie walczył przez całą dwudziestą klasę i większą część pierwszego roku w szkole

103

sztuk pięknych. Właśnie pod koniec zajęć wiosennych grubas spróbował chwycić LaMonta za rękę, i potem Padgett ledwie ukończył semestr. Jego rękawice nadal wisiły na kołku, bo walki, które staczał, nie odbywały się na ringu. W końcu zaczął włóczyć się po ulicach. Tak jakby nigdy nie miał dość wina i „trawy”, a także bójek. Musiał popijać te winogrona i napażać się z różnymi typkami dopóki obraz tłściocha w mundurze policyjnym nie wypłukał mu się i nie wybił z mózgu.

Tak trwało prawie rok, aż któregoś wieczora przyłożył jednemu gościowi w policzek połówką butelki pepsi, a potem stał i patrzył jak tamtemu lała się krew, dopóki jakiś inny nie posunął do niego z łyżką do opon. Wtedy zwał do swojej chaty i owej nocy miał po raz pierwszy ten sen.

Później zaczął chodzić z Jerrie. Nie był najwierniejszym facetem na świecie, ale potrzebował czegoś stałego, jakiegoś oparcia, kiedy robiło się ciężko. Bo w tym czasie właściwie już rzucił malarstwo.

Zajmował się głównie piciem paleniem marihuany i przyrzynaniem tych wszystkie! młodych cipek. Szedł na całego. A ile razy zadał się z czarnuchami i słuchał ich gadania, jacy są groźni, czuł że go przerywa. Wtedy wściekał się na nich, na siebie samego, na wszystko, a kiedy spotkał jakichś łachmytów którzy szukali guza, zaczynała się bijatyka. Rzadko obrywał, ale czasami zamyślał się w środku bójki — tak jakby to działo się gdzieś daleko, a on tylko się przypatrywał — i wtedy ktoś spuszczał mu takie manto, że zaraz powraca do rzeczywistości. Którejś nocy do bójki wmieszał się

głównie, a LaMont miał ten kawałek deski z żyłkami osadzony mi na końcu, i łup! rąbnął pana władzę prosto w szyję Rozharatał go głęboko. Kluchowaty biały ómor wygląda tak, jakby miał wykitować, i LaMont dał dyla do chaty; jak wicher.

Następnego dnia wyczytał w gazecie, że glina jest w szpitalu i pewno nie wyżyje, i że zatrzymano

kilku Murzyków. Pocił się ze strachu na myśl, że te czarnuchy zaczną sypać. Miał wujka w Trenton, więc machnął się tam i opo wiedział mu, co się stało, a wuj doradził, żeby się czyn

104

•ędzej zaciągnął do woja. Czarnuchy nic nie wygadały, e on tymczasem zaciągnął się na trzy lata i któregoś dnia ło szóstej rano wlał do zabłoconego wagonu pociągu ącego z Trenton do Newark, usiadł obok Slagela i wla-tie dojechali do węzła kolejowego Princeton, gadając ze bą, gdy jakiś stary żołnierz wprowadził na wpół pija-go Morgana, posadził go przy nich, i w tydzień później szyscy trzej byli razem w plutonie w Fort Dix. Wiedział zatem, że do służby ochotniczej skłoniło go coś ięcej niż chęć zdobycia doświadczenia, bo tego miał dość i świecie. Ale kiedy świerzbiły go palce na znak tego, że irdzo chciałby utrupić kogoś tym dużym karabinem, iedział, że coś jest nie w porządku, ponieważ obydwaj izy, kiedy miał przedtem takie uczucie, zdarzyło się coś,) je wywołało.

Nie mógł o to obwiniać wojska, przynajmniej na po-sątku. Bo w Fort Dix było fajnie. Dawali im nieźle po-alić, ale jeżeli ktoś miał w sobie trochę życia, nie mógł ie lubić niektórych tych cholernych szefów i sierżantów, oza tym każdego weekendu jeździli do Nowego Jorku, do ewark czy Atlantic City, Morgan obrabiał siostrę Sla-sła, Slagel kuzynkę LaMonta, a on mógł każdej chwili amówić Jerrie, żeby się z nim spotkała gdziekolwiek ądź. Nawet kiedy przyjechali do Fuldy, z początku nie yło tak źle. Łazili po mieście jak kupa dzieciaków, po-ijali piwko i koniak i zagadywali do szkopskich ciż. Ale) im się szybko znudziło, bo cizie nie słuchały, a wkrót-e nie zostało już nic do oglądania. Byli skwaszeni i spę-zali coraz więcej czasu na robieniu kalendarzy, liczeniu ni i zerkaniu na zegar. Praca kancelisty w biurze służby adterminowej wcale nie pomagała. Po prostu siedział am dzień po dniu, patrzył na drewniane twarze tych za-ubionych ćwoków, jakby wziętych z kawiarni namalowa-ej przez Lautreca, którzy wchodzili i zapisywali się, i nu-zał się w tym zapachu papierkowej stęchlizny.

A potem dwaj żołnierze, czarny i biały, dorwali się do Łebie przed bramą posterunku w wieczór sylwestrowy,

rano znaleziono białego przymarzniętego do chodnika,

105

z nożem w brzuchu, i wtedy zaczęło się napięcie. Padgett co rano chodził z Morganem na posiłki i czasem siadał z kumplami Morgana z lotnictwa, a znowu kiedy indziej z różnymi Murzynami, których tam poznał. Scena pierwsz; była taka — kiedy podchodził do automatu z mlekiem jakiś czarny pytał go, czy może chce zmienić kolor skóry Scena druga — kiedy przychodził Morgan, któryś z bia łych mówił mu: „Nieliche masz dzisiaj towarzyszo." Za wsze z tego chichrali w swoim kącie izby sypialnej. Padgett wiedział, że to ma swoją poważną stronę; uważał, że< jest tak samo oddany Sprawie jak każdy, ale kiedy ktoś g! zaczynał pouczać, z kim ma się przyjaźnić, musiał odpo wiedzieć: „odpieprz się ode mnie", bo przede wszystkim był człowiekiem, a dopiero potem czymkolwiek innym.

Zresztą nie miał przykrości od żadnych białych. Mor gan powiedział mu, że niektórzy z personalnego wydziwia li, jaki z niego pyskaty czarnuch, ale w większości to by ły mydłki, które nigdy nie mówiły nic w oczy, a Morgai twierdził, iż to głównie dlatego, że LaMont Padgett miał najlepsze w pułku wyniki we wszystkich cholernych sprawdzianach wojskowych. Poza tym był przystojn; i umiał lepiej tańczyć czy bić się od innych. Morgan na śmiał się z tego któregoś dnia i powiedział mu: „Człowie ku, nawet nie wiesz, co to znaczy dla tych bielutkich jał lilia mądrali, kiedy czarny ma więcej ikry od nich."

Znowu nabrał pewności siebie po powrocie z Florencj do Fuldy i chyba przypuszczał, że tutaj będzie to miał ra: na zawsze z głowy. Nie rozumiał, czemu ta historia z mał pą tak go wkurwiła. Nie miał ludziom za złe, że są drańscy, takie jest życie i trzeba się z tym liczyć. Ale najpierw udawać życzliwość i wciągać kogoś w pułapkę — tego już za wiele. Może powinien o tym zapamiętać.

Alb< zapamiętać tylko jako coś do namalowania.

Pluton przeszedł około mili po grzbiecie góry, po czyn ruszył w dół granią na jej zachodnim stoku. Byli w poło wie drogi do rejonu lądowania, kiedy rozległy się krzyki

106

potem serie z karabinu maszynowego i dwóch automa-tw. Padgett przykucnął i czekał. Po paru minutach pluton lów ruszył naprzód i zatrzymał się dwadzieścia jardów ilej. Z boku grani leżał twarzą do ziemi człowiek w czarach spodniach, bez butów. Martwy. O dziesięć kroków od ego Slagel i Irwin stali nad innym, który jęczał jak stary [jak bliski delirium tremens.

Od miejsca, gdzie kapitan Webber rozmawiał przez ra-lo, podszedł Trapp.

— Druga i czwarta drużyna za mną! Pierwsza pilnuje jęńca, trzecia osłania.

Trzecia drużyna otoczyła jęńca, Padgett stanął tuż przy im. Jeniec diabelnie krwawił z brzucha, krew przecie-ała mu między dłońmi, którymi osłaniał sobie jądra. Jed-ą nogę miał prawie całkiem odstrzeloną na wysokości •zech czwartych uda. Slagel stał nad nim przytknąwszy iu karabin do głowy. Sanitariusz widocznie odszedł z in-yimi drużynami.

— Nie przetrzyma niesienia na noszach — powiedział :win.

Slagel kiwnął głową.

— Powinniśmy przerwać cierpienia tego biedaka.

— Ale kto to zrobi?

— Brady, wyciągnij swoją czterdziestkę piątkę — rzekł

lagel.

— Czy ja wiem, sierzancie. — Głos Brady'ego zadrzał. — loże zaczekać, aż Webber skończy gadać przez radio.

— A bo co?

Co ten Slagel wyprawia, do cholery? Padgett obrócił ię i popatrzał na Webbera przy radiu.

— Slagel! — zawołał Webber. — Czy ci dwaj mieli ja-

ąś broń?

— Nie widzieliśmy żadnej, panie kapitanie.

— Okej.

— Chodź, Brady — szepnął Slagel. — Raz w łeb wy-tarczy. Inaczej będziemy musieli taszczyć stąd tego pier-

Lołę.

— Bo ja wiem? Lepiej poczekać.

107

— To dawaj mi tę czterdziestkę piątkę. — Slagel wyciągnął rękę. — Ja to załatwię.

Brady miał wystraszoną minę, ale jakoś zmusił się dc uśmiechu.

— Dopiero co wyczyściłem ją rano. Nie chcę, żeby się zabrudziła.

— Cholera! — powiedział Irwin.

Jeniec zajęczał głośniej. Toczył głową z boku na bok z zamkniętymi oczami.

— Ucisz tego skubańca! — wrzasnął Slagel. — Mam dość jego skomlenia. — Zerknął nerwowo przez ramię w stronę radia.

Padgett odwrócił się znowu. Liście krzaka, który miał przed sobą, były szarozielone, jak na drzewach oliwnych we Florencji. Drgnął na huk strzału i obrócił się, kiedj kapitan Webber przybiegł od radia. Webber złapał Sla-gela za ramię i okręcił go.

— Po coście to zrobili, do cholery?

Jeniec leżał na twarzy, tył jego głowy był czerwom miazgą.

— Próbował uciekać — odrzekł Slagel.

— Z tą nogą?

— Ruszył się w moją stronę i sięgnął do spodni. Mógł mieć granat.

— Obszukaliśmy go!

— Mogliśmy coś przeoczyć.

— Rany boskie, Slagel, przecież on nawet nie miał broni.

— Chciał mnie zaatakować. Musiałem to zrobić.

— No dobra, Slagel. Okej. — Webber wrócił do radia. — Cztery-trzy, tu Blue, odbiór.

— Słyszę was, Blue, tu Cztery-trzy. Co tam się dzieje odbiór — zaskrzeczało radio.

— Jeniec próbował ucieczki. Jeden z moich ludzi go zabił. Wracamy, odbiór.

— Zrozumiałem, Blue. Zameldujemy przez radio dwócr sprawdzonych zabitych. Transportowce są

w drodze. Koniec.

108

— Koniec

Tego wieczora Padgettowi znudziło się słuchanie gada-iny czarnuchów o tym, jaki twardy jest Slagel. Wszedł pomiędzy namiotów na lądowisko, gdzie Chambers sie-ział w drzwiach swojego śmigłowca pykając z cygara.

— Co słyhać, LaMont?

— Nic takiego. A co u ciebie?

— W porządku. Była draka.

Padgett przykucnął na ziemi. — Nasz chłopczyk znowu o zrobił.

— Co takiego?

— Dał w czapę frajerowi.

— Próbował uciekać?

— Gównu tam!

— I Tom go po prostu rozwalil?

— Nie patrzałem. Ale ten facet nie mógł się ruszyć. Chambers potrząsnął głową. — Ciekawe, co on sobie nyśli.

— Widać wciąga się w to gównu. I najwyraźniej to mu ;ię podoba.

— Zawsze jest narwany. Pamiętasz, jak rozpieprzył tam-;ego gościa w Fuldzie? Te pigułki chyba nie robią mu do-arze.

— Możliwe.

Tom postąpił całkiem jak wariat, kiedy strzelił do tego tłustego Szkopa podczas Faschingu. Nawet nie był taki pijany, tylko kompletnie oszalał. Mógł zabić faceta, gdyby Dni trzej go nie odciągnęli.

— Opowiadał o tym w plutonie. Chłopaki uważają, że jest nie byle czym.

Slagel siedział przed swoim namiotem, tyłem do Pad-getta, i wymachiwał w górę i w dół rękami przechwalając się Irwinowi oraz trzem innym młodym żołnierzom.

— Słyszałem, że dowódca nie był tym zachwycony — powiedział Chambers.

— Trochę się złościł, ale co mógł zrobić? Trappowi to się podobało. Był przy tym i poklepał Slagela po ramieniu. Pewnie zawodowcy uważają, że ma żołnierskiego du-

109

cha. Co będziesz teraz robił? Ja chyba pójdę wyczyścić broń, przygotować się na jutro. Daleko odeszliśmy od Ful-dy, prawda?

— Prawda. — Chambers ścisnął puszkę od piwa i upuścił ją na podłogę śmigłowca. — Myślałem sobie dzisiaj o Włoszech. To były dobre dwa tygodnie.

— Zapomnijmy o tym. Moglibyśmy urwać się bez przepustki.

— Myślałeś w ogóle o malarstwie?

— Gównu! A ty dużo czytałeś książek o architekturze?

— Niewiele.

— No to cześć!

— Dawać amunicję! Dawać amunicję! — wrzeszczał przez sen McCutcheon.

Chambers pociągnął dowódcę załogi za nogę, dopóki ten się nie dźwignął.

— Co jest?

— Wpół do szóstej. Rozwidnia się.

McCutcheon wyskoczył z maszyny, przykucnął i zasznurował swoje dzunglowe buty. Piegowatą twarz miał uwalaną smarem i oliwą, a na prawym policzku odcisnięty zamek błyskawiczny od leżenia na ściworze.

— Lubię, jak się rozwidnia, Orville. Wtedy jest szansa przydybania żółtka z jednym okiem zamkniętym. Lubię też, jak się ściemnia, bo czasem można przyłapać go na chodzie.

Tak jakby po pięciu tygodniach wspólnego latania nie wiedział, że McCutcheon lubi rozpoznanie o świcie i o zmierzchu. Jemu samemu było to obojętne, bo jedno i drugie odbywało się w

najspokojniejszej porze dnia. Ale prawie zawsze musiało się strzelać.

Kiedy wystartowali, McCutcheon zasiadł w lewych drzwiach niczym skupiona panda. Czyżby każdy lot był doniosłym wydarzeniem, które wymagało cichej modlitwy?

110

ojna musiała mieć dla niego jakieś religijne znaczenie. >stał przedstawiony do udekorowania Brązową Gwiazdą > wielkiej bitwie na granicy oraz Zaszczytnym Krzyżem >tnicznym po tamtym fiasku w Szczęśliwej Dolinie. W obu zypadkach wystawiał się na ogień nieprzyjaciela strze-jąc z karabinu maszynowego. Tak przynajmniej słyszał lambers. Nigdy nie widział McCutcheona w akcji — miał nadzieję, że nie zobaczy — ale fanatyzm dowódcy łogi przejawiał się w jego niezmordowanej pracy przy jlikopterach każdego wieczora i w tym, że mówił o prze-użeniu swojej tury. Chyba nawet nie ubiegał się o awans. Polecieli na zachód, ku granicy Kambodży; Chambers >arł się o ściankę ogniową i nadstawił twarz na chłodny jranny wiatr, podczas gdy nieprzenikniona zieleń mknęła >d nimi. Wyciągnął lewą nogę i położył ją na skrzynce lanatów za siedzeniem pilota. Prawą stopę wysunął do łowy przez drzwi, zaczepiwszy o podłogę obcasem buta* k że jego czubek zwiślał na zewnątrz dotykając wyrzutni ikiet podwieszanej pod bocznymi kaemami. Na kolanach zymał pistolet maszynowy i bawił się granatem dym-fim przyczepionym do jego uchwytu. Myśli o Slagelu psuły mu to czyste, rześwe uczucie, ja-ego zwykle doznawał podczas pierwszych lotów. Przy Dsiłku tego rana Tom był taki sam jak zawsze. Trochę jrwowyy, ale żadnego żalu z powodu zamordowania jeń-i — nawet o tym nie wspomniął. Może nie uświadamiał >bie, co zrobił. Właściwie nawet był bardziej rozochocony iż zwykle. Młodsze chłopaki z plutonu cisnęły się do nie-d, a starsi strzelcy i podoficerowie okazywali mu szacu-sk należyńy wytrawnemu żołnierzowi. W Fuldzie żaden z _ nich nie myślał o takich rzeczach, rochę gadali o tym, jak to może być, kiedy do człowieka ;rzelają, oraz czy sami potrafią zabijać, czy nie, ale nikt Lgdyy nie wspominał o strzelaniu do innych dla przyjem-ości. Można było przewidzieć, że Slagel tak skończy. Lu-ił naparzac Niemców i on jeden wdał się w bójkę we lorencji. Ale powinien był na tyle się pokapować, żeby ie ruszać się z Fuldy. To cała bieda z wojną — nikt nie

111

pozwoi człowiekowi najpierw tego zrozumieć, a ci, którzy muszą w niej walczyć, są za młodzi, żeby się połapać, na czym ona polega. Skąd można wiedzieć, co w człowieku wyzwoli? Morgan mówił: „Fajnie, «poznaj samego siebie»”. Bzdura, jeżeli to oznacza uświadczenie sobie, że potrafi się zabijać bez litości. Nikt nie ma prawa narzucać tego śrwiatu. Kiedy ma się przed sobą jeszcze siedem miesięcy, wszystko może naprawdę wymknać się z ręki.

Śmigłowiec powoli okrążył obszar operacji na ten dzień, po czym kapitan Hobart zameldował bazie polowej przez radio, że teren jest otwarty do przygotowania artyleryjskiego.

— Schodzimy, Patterson — powiedział do chorążego siedzącego przy sterach. — Kierunek zachód.

— Tak jest.

Maszyna zwolniła opuszczając się gładko do wierzchołków drzew, po czym przyspieszyła znowu. Chambers otrząsnął się z niepokoju i popróbowwał rozkoszować się tym jedwabistym splywaniem, które najbardziej lubił w lataniu. Śmigłowiec świetnie trzymał się w powietrzu.

— Okej, Pat — rzekł kapitan Hobart, kiedy zbliżali się do bariery gór na zachodzie. — Uważajmy, żeby nie wlecieć do Kambodży.

— Tak jest. Ale nie zaszkoziłoby, jakby nas tam zniosło parę kroków. Niech te pieprzone żółtki wiedzą, co się szykuje.

— Rozumiem.

— Ja też — odezwał się McCutcheon.

Hobart odwrócił się do kabiny, jego czarny wąs wygiął się nad wargą w złym uśmieszku.

— Wiadomo, że te kurduple są także i tarn, a my nie możemy nic na to poradzić.

— Co to za sposób prowadzenia wojny! — rzekł Patterson.

Cały spokój pierzchnął, kiedy oficerowie zaczęli gadać a Kambodża była coraz bliżej. Wściekłość i żal po wielkiej bitwie w listopadzie wywołały w nich nagle -napięcie i rozgoryczenie. Bardziej niż kogokolwiek, bardziej ni;

fietkong i Północny Wietnam, piloci przeklinali polityków w kraju, którzy nie znali sytuacji, którzy nie pozwolili im przelecieć przez granicę. Wszyscy stracili jakichś rzyjaciół, a kapitan Hobart miał rękę naszpikowaną kulami szrapnela.

— Ja w każdym razie trochę tam postrzelałem — powiedział Patterson. — Zadarłem nos maszyny, wycisnąłem trzy pary rakiet prosto przez górę Chu Pong i chromolę rezydenta Johnsona, jeżeli mi się to nie podoba.

W momencie kiedy toczyła się bitwa, Chambers korzystał w Berkeley z ostatniego dnia urlopu i nie żałował tego.

— Posuńmy na północ o jakąś milę, a potem wracaj — powiedział Hobart.

— Rozkaz.

Śmigłowiec zrobił skręt w lewo i Chambers poczuł, że wychyliło go lekko przez drzwi. Wpatrywał się w ziemię, idąc jedynie zieleń, ciemniejszą zieleń i plamy czerni, przypomniał sobie Włochy z ubiegłej wiosny; myślał, że toś może wychynąć z dżungli, aby do niego strzelić, wyawała się absurdalna.

— Panie kapitanie, widzę chatę — powiedział McCutcheon, kiedy maszyna wchodziła w skręt, który miał zarowadzić ją do bazy.

— Gdzie?

— W lewo w skos za nami. Jeżeli pan pozwoli zakręcić, ja ją pokażę.

Śmigłowiec zatoczył koło, ale Hobart potrząsnął głową.

— Cholera, McCutcheon, tej budy pewnie używał ostatnio dziadek Ho Szi Mina.

Jasnobura chata nie miała jednej ściany, a w dachu trzy duże dziury.

— Myślę, że warto wpakować tam parę ładunków.

— Jeżeli chcecie sobie postrzelać, to proszę bardzo, ale nie udawajmy, że to ma jakąś wartość strategiczną. Chambers, rzuć na nią fosfory, kiedy McCutcheon będzie strzelał.

— Tak jest.

— Amerykańscy chłopcy

^io

Wziął granat z białym fosforem, wyciągnął zawleczkę i śledził pociski smugowe McCutcheona.

Kilka trafiło w chatę, reszta posiała się dokoła, po dżungli. Zrzucił granat za chatę. Dach zdmuchnęło, a z ziemi trysnęły bryzgi ciekłego ognia i biały dym. McCutcheon przestał strzelać i wyciągnął do Chambersa dłoń z podniesionym kciukiem. Okrążyli chatę raz jeszcze, po czym zawrócili do bazy polowej.

Tego wieczora, kiedy McCutcheon odszedł, by pomóc innemu dowódcy załogi przy przeglądzie, Chambers wypalił skręta i położył się na swoim śpiworze, na podłodze śmigłowca. Dzień był cięższy niż zwykle. Lot do granicy obudził w reszcie załogi niedobre wspomnienia. Przez cały dzień postępowali okropnie, nekając chłopów, przelatując nisko, aby postraszyć dzieci i rozproszyć stada bawołów. Ale najgorszą rzeczą było gadanie. Kiedy wystartowali do drugiego lotu, zapomnieli kompletnie o politykach. Tylko nieprzerwana paplanina przez intercom o żółtkach — o wszelkich odmianach żółtków. Wietkong i armia Północnego Wietnamu to wrogowie, ale Wietnamczycy z Południa wcale nie są lepsi. Głupi, gnuśni, śmierdzący. Udzielali wrogowi pomocy i poparcia, więc sami też wrogowie. Każdy wiedział, że nocą Wietkong panuje w terenie, toteż ci durni chłopcy musieli być z nim w zмовie. Więc czemu nie zabijać tych drani? Czemu nie zabijać i dzieci, skoro nie są niczym innym jak przyszłym Wietkongiem? Albo i kobiet, jeżeli o to idzie? Czyż pierwszym odnotowanym przez dywizję zabitym nie była kobieta niosąca granaty w dolinie la Trang?

To gadanie z początku trochę go irytowało, ale pod koniec dnia stało się ciężarem, który groził pogrążeniem go czarnej kałuży depresji. W ostatnich paru tygodniach Chambers zdołał otrząsnąć się z tej niechęci, którą czuł przeciwko Szczęśliwej Dolinie, lecz nagle wróciła znowu. Nic nie zostało zakończone, nic zapomniane. Zrywasz strup i znajdziesz mnóstwo ropy. Układność kapitana Hobarta brał z;

Dbra moneta, a tymczasem była to tylko pokrywka :więcej pod spodem nienawiści i frustracji. Może kapi-tna przerwie któregoś dnia i wtedy zacznie rozwalać ko-Lety i dzieci. O rany, nie chciałby być przy tym. Powinien był w ogóle wycofać się z walki. Budowanie araków nie jest takie złe, tyle że wszyscy ci, którzy to ibią, już są wykończeni. Palenie odchodów to znowu za iele, a sądząc po wyglądzie ludzi pracujących w kanty-Le, trzeba być nielichym wariatem, żeby tam wylądować, ikt tego nigdy nie mówił, ale wszyscy uważali ich za niecie, może jeszcze bardziej oni sami niż ktokolwiek my. Zawsze mieli ten zakłopotany wyraz w oczach, a jed-ocześnie usiłowali wybadać, czy ktoś ich osądza, zarazem lodłac się, żeby tego nie robił. Żałował, że nie umie pi-ić na maszynie, bo może mógłby gdzieś trafić robotę kan-slisty.

Przyśniło mu się, że ojciec woła doń przez ogrodzenie drutu kolczastego, ale nie mógł dosłyszeć, co krzyczy, potem wydało mu się, że jest w koszarach w Fuldzie, iedy wtaczają się pijacy. Ktoś chwycił go za nogi, więc iadł raptownie zderzając się z kimś głową.

— Was ist los, mein Herr?

Morgan! To niemożliwe. Sięgnął w lewo, dotknął miej-:a pilota i swego karabinu maszynowego. Był nadal w Wietnamie i coś go trzymało za nogi.

— Verstehen was ist los? — zapytał Morgan.

Ręce zsunęły się z jego nóg i Padgett oraz Slagel wy-hynęli ze śmiechem po obu stronach Morgana.

— Co się dzieje, do cholery? Will, co ty tu robisz?

— Przyjechałem specjalnie, żeby uświęcić naszą rocz-icę.

Chambers położył się na powrót. Musiało mu się przy-lić. Morgan w polu? Rocznicza?

Padgett podał mu piwo, a Slagel wskoczył do śmigłow-a. Żadnej lipy. Wszyscy naprawdę tu byli.

Uszczypnął Lę w rękę. „To nie sen. Jestem tu, w środku Wietnamu, trzema przyjaciółmi, którzy namówili mnie na przyjazd.” fapił się z zimnej puszki.

115

— Panowie, proszę do mego domu. — Odepchnął śpiwór pod lewe drzwi, a sam odsunął się, kiedy Morgan i Pad-gett wdrapywali się do środka. — Jak tyś się tu dostał, Will?

Był strasznie zadowolony, że widzi Morgana, że zniknęły wszelkie urazy, które zrodziły się po ceremonii odznaczeń.

— Greene musiał przyjechać, żeby zobaczyć się z pułkownikiem w sprawie przeniesień.

— Już?

— Dywizja wyruszyła ze Stanów w sierpniu, więc w czerwcu zaczynają odsyłać dawnych chłopaków do domu. To znaczy, że znowu sobie dupę urobuję. Wracamy rano. Ale musiałem to oblać z moimi ludźmi.

Morgan nadstawił dłoń, żeby Padgett i Slagel w nią klapnęli.

— Cieszę się, że tu jesteś, ale co mamy święcić?

— Czternasty kwietnia, rekrucie — odrzekł Padgett. — Znajdujesz się w obecności trzech przeszło dwuletnich pierdołów.

— Trzech dwuletnich? Co wyście palili, chłopcy?

— Już dwa lata, dziecinko!

— Jesteśmy w dwóch trzecich drogi do domu.

— Dwa lata razem — powiedział Morgan — a nawet nie zaciągnęliśmy się na zasadzie planu kumplowskiego.*

— Gratulacje. — Zasalutował im puszką piwa.

— Jeszcze jedno — rzekł Morgan. — Dołączę do was, chłopaki, za sześć tygodni.

W ciemnościach widział Morgana uśmiechającego się z siedzenia pilota.

— Jak to?

— Mam być karabinowym w kompanii C. U majora Quinna.

— Poważnie, Mórg? — zapytał Slagel.

— Aha. Brooks odchodzi pierwszego czerwca i zajmę je-

* Uzyskanie przez dwócn lub więcej ludzi zgody władz wojskowych na to, żeby po wstąpieniu do

służby zostali przydzieleni do tej samej jednostki (przyp. tłum.).

0 miejsce. Brooks był kancelistą, zanim przeszedł do niej.

— Jesteś pewien, że masz na to ochotę? — zapytał Pad-

m.

— Tak, psiakrew. Ta baza robi się denna. Od przyszłego desiąca będę musiał łązić co noc do S-1 między dwuną a drugą nad ranem, żeby przygotować specjalny ra-Drt. I to po pracy od siódmej do siódmej. Nietrudno się ;go nauczyć, prawda, Orville?

— Chyba nie. Cholera, powinieneś zostać, Will.

— Jasne, że tak — rzekł Padgett.

— Daj spokój. Gdybyś miał tę robotę, też wolałbyś się yrwać. Nie chcę o tym więcej gadać.

Chambers także nie chciał. Nie chciał, żeby Morgan rzyszedł do linii, ale spieranie się o to byłoby bezcelowe, ic by się nie zmieniło, a mogłaby wyniknąć paskudna lotnia. Jeżeli Morgan tak bardzo chce tego doświadczenia,) może sobie je mieć. Chambers nie będzie się wtrącał.

Zapalił skręta i podał go Slagelowi, po czym zaczęli we |zech wspominać swoje spotkanie w pociągu Trenton— ewark, w kwietniu sześćdziesiątego czwartego. Ileż to izy słyszał te opowieści w koszarach i kasynie podoficer-dm w Fuldzie? Doznawał wrażenia, że jest jednym z nich, 3 był w Fort Dix ze swymi trzema kolegami.

Morgan coraz to wyciągał piwo z nieprzemakalnego wor-a, który przywiózł, a Chambers poweselał, kiedy opo-ieści przeniosły się z Fort Dix do Fuldy. Odtworzył so-ie w pamięci ten ponury garnizon, funkcjonalne, różowo-izare i latrynowozielone koszary, większe zielone budyn-

1 dowództwa pułku i pierwszej eskadry, łagodne szare iebno dzień po dniu. Miasto ze swymi dziesięcioma cuchną-yymi barami, które grzmiały najnowszym amerykańskim angielskim rock-and-rollem. Grób świętego Bonifacego, e też w takim miejscu obudził się do życia! Spostrzegł, że śmieje się razem z innymi, gdy snuli da-j opowieści o różnych moczymordach, których znali. Nidy nie wydawały mu się takie zabawne, choć czasem nie lógł powstrzymać się od śmiechu. Cóż innego mógł ro-

bić? Traktowanie zbyt serio całej tej pustki i jałowości rodziło ciągle przygnębienie lub mogło doprowadzić do wybuchu.

Sam także opowiedział kilka historyjek o tym, jak wybrali się do Florencji; z radością i podnieceniem wspominał te dwa bodaj najlepsze tygodnie swojego życia. Przerwał, gdy zauważył, że Slagel milczy za ognikiem papierosa. Może Florencja nie była dla niego taka przyjemna, choć nigdy tego nie powiedział. Chodził razem z nimi po kościołach i muzeach, lecz stale się denerwował i niecierpliwiał, chcąc znowu wrócić do picia i zabawy. Zresztą zwykle był taki, ilekroć mówili o rzeczach poważnych. Pomrukiwał przytakująco, tu i ówdzie rzucił parę słów, ale odczuwał wyraźną ulgę, kiedy wracali znowu do wspominków i ogólnego bajdurzenia.

— Ciekawe, gdzie stary Shipley zasikuje sobie dziś portki — powiedział Slagel.

— Gdzieś w Teksasie — odrzekł Padgett.

Shipley był kucharzem, krępy, twardym jak skała teksańczykiem, który wypijał dziennie trzy kwarty whisky Wszystkie noce spędzał w koszarach, z wyjątkiem jednej na miesiąc, kiedy to wkładał mundur wyjściowy i szedł pić w garnizonowej kręgielni. Któregoś z pierwszych wieczorów w Fuldzie, kiedy Chambers rozmawiał w koszarach z Morganem, Padgettem i Slagelem, wtoczył się Shipley w kalesonach przemoczonych uryną i usiadł obok.

— Morgan, tyś był w college'u?

— Aha.

— To ile jest dwanaście i dwanaście?

— Chyba dwadzieścia cztery.

— Nie zgadłeś. Dwadzieścia pięć. Nie jesteś taki bystry.

— Jakim sposobem?

— „I" równa się jedynce.

— Co?

— „I" to jedynka. Dwanaście i dwanaście to tak jakbyś powiedział dwanaście, jeden, dwanaście. Czyli to jest dwadzieścia pięć.

— Bzdura,

118

— Zaraz ci pokażę twoją bzdurę.

Przez następne pół godziny Shipley wykładał im swoje eorie matematyczne, po czym zataczając się poszedł do ózka.

Shipley ledwie potrafił pisać, a jego żona, która mieszała w Teksasie, nie umiała pisać w ogóle.

Rysowali sobie wzajemnie obrazki. W czerwcu ubiegłego roku Shipley trzymał serię rysunków przedstawiających żonę spółkującą z dziesięcioma różnymi mężczyznami. Po paru tygodniach użerania się dostał przeniesienie ze względów rozlinnych z powrotem do Stanów.

Ostatniego wieczora przed odjazdem, w tydzień po tym [dy oni czterej zgłosili się ochotniczo na wojnę, Shipley wkroczył chwiejnie do łaźni, gdzie brali prysznic.

— Co tu robicie, młode pedały?

— Szykujemy się do Wietnamu — odparł Morgan.

— Co to takiego?

Morgan zaczął wyjaśniać, a kiedy mówił, twarz Shipleya coraz bardziej pochmurniała. Spojrzał na nich czterech i potrząsnął głową.

— Powiniennem skuć wam te wasze młode dupy — powiedział wreszcie. — Nigdy nie widzieliście walki i zdaje wam się, że to zabawa, ale ja byłem w Korei i wiem. Paskudna rzecz, wiem dobrze. Odwrócił się i wyszedł z łaźni.

Kiedy później tego wieczora przyszli z kasyna, kilku chłopaków śmiejąc się stało w drzwiach pokoju kucharzy. Shipley leżał na podłodze nieprzytomny, w kałuży własnego moczu. Wtedy widzieli go po raz ostatni.

— Mam nadzieję, że wyregulował tę swoją starą — powiedział Padgett podając skręta Chambersowi.

— Pewnie wsiadł do pociągu idącego do Szwecji zamiast do Frankfurtu — rzekł Morgan. Chambers zaciągnął się głęboko, czując, że już go to bierze, nawet nie próbując z tym walczyć. Nie potrafił zapamiętać wszystkiego tak jak inni, rozłożył swojego życia na uchwytnie fragmenty. Rzekłbyś, jakieś potężne wewnętrzne targnięcie oderwało w jego mózgu skrzep czy

119

tamę, nie pozostawiając innego wyboru poza unoszeniem się w potoku wspomnień.

Ledwie słyszał samego siebie i innych, kiedy bez przekonania planowali pijaństwo, jak batalion wróci z pola. Wreszcie odeszli. McCutcheon wrócił gadając coś o obrotach silnika, o magnecie i serwomechanizmach, po czym zasnął na siedzeniu pilota, a jego oddech był równie przerywany i bezładny jak myśli.

Chambers siedział w drzwiach śmigłowca i patrzył na lądowisko i fosforyzujący księżyc, pykając z sześciocentowego cygara King Edward. Wszystko dlatego, że Shipley był w Korei, a Chambers to zapamiętał.

Liliowość jest kolorem bzu i zapachem miłości; wtedy przez całe lato babka grała w kanastę i czasami wołała wieczorem jego i Roberta, kiedy matki i ojca nie było, zawsze po to, by „przyszedli posłuchać konwencji”, szczęśliwy Eisenhower był dla niej bohaterem wojennym, a Stevenson największym łajdakiem w całym kraju, nie tylko w Illinois, i był baseball, Chambers czuł się dumny, że jest młodszym bratem Rogera i Eddie'ego, którzy zdobyli tyle wyróżnień, i ludzie powiadali, że kiedyś będzie równie dobry jak oni, i mówił trenerowi Crandallowi: „Panie, Eddie znowu zestrzelił Miga”, a Crandall: „Aha, Ike z tym skończy, należało wylać Trumana, nie Mac Arthura” i „Nie, Eddie nie spotkał się z Tedem Williamsem, bo Ted jest w piechocie morskiej, ale jak wróci, Czerwone Skarpety to będzie coś!”, i co dzień sześć mil rowerem dla treningu i sześć mil z powrotem, aby pokazać Rogerowi, że nie jest lalusiem, bo brat wyjeżdżał co rano o wpół do siódmej, pracował dziesięć godzin nad rzeką i nigdy nie siedział w domu poza półgodzinką na obiad, po czym latał z dziewczynami, które zawsze przychodziły z zaprawą baseballową i pytały: „Jak tam Roger, mały Oreyu? Czy będzie w tym roku ćwierćbeciem?”, a wiedziały, że będzie, i to chyba najlepszym w lidze, ale lubiły patrzeć, jak on się wtedy czerwienił, bo wszyscy inni także się

śmieli i mówili: „Może mały Orey też zostanie ćwierćbe-

120

>m, bo on jeden z całej szóstej klasy zaczyna już grać drużynnie baseballowej", i wtedy właśnie czerwienił się, taciągając czapkę na oczy.

Kiedy wracał do domu, matka, milcząca i zatroskana, walała mu obiady, a potem najczęściej jeździła konno nad rioro, zawsze chłodne i przyjemne, spał trochę, a jeśli lało mu się ściągnąć matce dwadzieścia pięć centów, kuwał sobie lemoniadę i orzeszki ziemne, a wieczorem wi-iał z okna dalekie światła Minneapolis i może nie czuł pachu bzów, ale zdawało mu się, że czuje, i to wystarczyło, i czasem słyszał wchodzącego Rogera, ale najczę-iej nie, i wszystkie dni tak upływały z wyjątkiem nie-ieli, kiedy strzygł trawnik albo pomagał malować ojcu, óry nic nie mówił, chyba że się zdarzyło coś ważnego, zawsze była jakaś praca fizyczna, lecz nigdy żadnej ciocji, aż któregoś popołudnia matka powiedziała mu, że e umie jeździć konno, czego nie miał jej za złe, ale ojciec żywił Rogera do domu i wtedy mu powiedzieli, i wszy-Ico jakby się zatrzymało dla niego, bo zatrzymało się dla iżdego, przynajmniej dla Rogera, a ojciec z matką byli cięż zatroskani, ale teraz matka płakała o wiele więcej, ciec zaś prawie nic nie mówił.

Roger nie został ćwierćbekiem i nie wybrał się tamtego ieczora z dziewczynami ani nad rzekę, nazajutrz i na-ępnego dnia też nie, trzeciego dnia zaś odjechał; zaczęła ę szkoła i starsze dziewczęta były nadal miłe, ale teraz ızıwały Chambersa Orville, zamiast mały Orey, i nie jrtały o Rogera, i nikt nie rozmawiał przy kolacji poza łatką, która pytała, czy gra w piłkę nie przeszkadza mu nauce, ale on dalej grał na ćwierćboku w drużynie ju-iorów i szło mu wcale nieźle, i Ike'a wybrano na prezy-snta, lecz to nie było ważne, bo Eddie się spalił, nie zo-;ało z niego nawet tyle, żeby odesłać do kraju na pogrzeb, Le pogrzeb urządzono, chociaż bez zwłok, i zeszło się całe liasto oprócz Rogera i nikt nie wiedział, gdzie on jest, przynajmniej nikt o tym nie mówił, tylko ojciec musiał ńedzieć, bo nigdy nie próbował go odnaleźć czy zwrócić

121

się do biura poszukiwania zaginionych, potem zaś wojna w Korei dobiegła końca, pomalowano skrzynki pocztowe m czerwono, biało i niebiesko, wielu mówiło, że należało tamtych zbombardować, czy Truman chciał, czy nie chciał ale to by i tak nic nie dało, skoro Eddie'ego nie było, mimo że nadal mieli Teda.

Boże Narodzenie było nijakie i tak już zostało od tamtej pory, ale wkrótce prawie zapomniał o Rogerze i tylkc uprawiał sport, w domu był spokój do wiosny, kiedy śniegi zaczęły topnieć, ziemia zrobiła się zielona i biała, i rzucał piłkę na pastwisku, aż kiedyś usłyszał warkot samochodu, zobaczył jakby czerwony błysk sunący, skręcający i ślizgający się po błocie i nie ogolony Roger wyskoczy-z wozu, jeszcze zanim ten stanął.

„Miałeś tę śmieszna rękawicę, kiedy odjeżdżałem, ma-ly."

. „O rany, to Roger! Gdzieś się podziewał? Skąd masz tak fajny wóz? Już prawie zapomniałem, żeś tu w ogóle był Naprawdę potrzebowali ciebie tego roku do piłki... Mnu nieźle poszło w drużynie juniorów. Gdzieś był?"

„W różnych miejscach. Stary jest w domu?"

„Nie, ale mama szykuje w piwnicy cebulki i nasiona Gdzie wytrzasnąłeś ten wóz?"

„W jednym z miejsc, w których byłem. Przewiozę cię jak porozmawiam z matką."

„Posiedzisz teraz w domu, Roger?"

„Możliwe. Chyba tak."

„Za dwa tygodnie zaczyna się sezon baseballowy i wyścigowy. Masz dosyć czasu, żeby dojść do formy."

Roger już odchodził śmiejąc się, ale zabrał go na prze jażdżkę samochodem, tylko niewiele opowiadał o tym gdzie był i co robił, mówił jak południowiec, jechał szybko i śmiał się, zwłaszcza kiedy usłyszał, że chociaż dziewczyny nigdy nic nie mówiły, wiadomo było, że o nim my ślą. Przy kolacji matka wydawała się jakaś weselsza, upiekł; placek agrestowy dla Rogera, a ojciec wciąż nic nie mówił nawet nie zrobił awantury, kiedy Roger oświadczył, że ni<

raca do szkoły, tylko zajmie się uprawą terenów nad-ecznych, a ojciec powiedział, że nie musi iść do pracy może sobie odpocząć jakiś czas, jeżeli ma ochotę. „Nie, jedyną rzeczą, której nie potrzebują ani nie chcą, st odpoczynek, bo mi potrzeba pieniędzy, żeby coś zro-ć. Mogę tam pracować dwanaście godzin dziennie po va dolary od godziny i kiedy sadzenie się skończy, po- inieniem mieć dosyć.” „A po co?”

„Po prostu, żeby coś robić. Czy ja wiem, może to dla-go, że Eddie'ego już nie ma, i zdaję sobie sprawę, ile fet do zrobienia i zobaczenia, a jak mało na to czasu, le po tym, co widziałem w Houston, Nowym Orleanie Atlancie, nie mogą już wrócić do szkoły i grać w base-ill ani zwyczajnie siedzieć i wypoczywać.” Potem nie było już takie ważne, że Orville dostał od jca rękawicę baseballową za piętnaście dolarów, bo ko-lał Rogera, a jeśli nawet bzy nadal ładnie pachniały, nie LÓgł brać baseballu tak poważnie jak przedtem, ale Ro-er został na lato i co dzień jeździł o szóstej trzydzieści do)boty, co wieczór pędził samochodem, dziewczyny nie aplały już tyle podczas treningów baseballowych, i od zasu do czasu ktoś przebąkiwał, że Roger za szybko jździ, a wieczorem ugania się za kobietami i że jeżeli ie będzie uważał, narobi sobie biedy, ale kiedy mu to owtarzał, Roger tylko się śmiał, i w końcu musiał pobić 'immy'ego Carsona do nieprzytomności, bo ten go sklął powiedział, że Roger to łobuz i każdy to wie, i potem by-i dalsze bójki, ale lato niewiele się różniło od poprzed-ich, po prostu pedałowal na rowerze, grał w piłkę, jeź-ził konno, pływał i nocą czuł zapach bzów, a czasem, iedy leżał w łóżku, pociąg towarowy przejeżdżał powoli . stóp wzgórza, jego gwizd — krótki, krótki, długi, krót-i — wydawał się taki smętny, kiedy dolatywał przez las; szko i cały dom się trzęsły, metalowe koniki brzęczały ia komodzie, i był rad, kiedy sezon baseballowy się skoń-zył, i można było bawić się samotnie w lesie w Daniela

Boone'a i Jima Bridgera *, aż do owej niedzieli, gdy jadąc konno usłyszał zbliżający się pociąg towarowy, więc pogalopował na szczyt wzgórza, żeby popatrzeć, i zobaczył czerwony samochód pędzący szosą; wydawało się, że zdąży na przejazd przed pociągiem, ale nie pomyślał (ani pewnie Roger), że trzeba zwolnić przed zakrętem, toteż tylko maska wozu pfzedostała się na drugą stronę toru, a pociąg zatrzymał się dopiero po stu jardach.

Tym razem musiał powiedzieć matce i ojcu i wydawało się, że ojciec właściwie to przewidywał, ale matka nie mogła się z tym pogodzić, choć mijał rok po roku; następnego dnia pojechał na to miejsce, kiedy wszystko już uprzątnięto, lecz jeszcze tam były małe kawałki poskręcane metalu, potłuczone szkło, zaschnięta krew, i wtedy znalazł eoś brudnobiałego, gąbczastego; z książek medycznych ojca pamiętał, że tak wygląda mózg, i podniósł to, strzepnął mrówki i ścisnął w palcach, a wtedy ciarki przebiegły mu po całym ciele, urwał mały kawałek, powąchał i w owej chwili przekroczył punkt, w którym ludzie powinni się zatrzymać, bo to nie pachniało tak źle, ponieważ było jeszcze dość chłodno, a kiedy wziął to do ust i pogryzł, miało taki smak, jaki mógłby mieć kawałek starego mięsa namoczonego w świeżym krowim mleku, w którym przeleżało pewien czas.

Tym razem także nie było zwłok do pochowania i nikt nie przyszedł na pogrzeb, a kiedy zaczęła się szkoła, starsze dziewczęta nie zachowywały się nawet przyjaźnie, ludzie zaś unikali go, jak gdyby bił od niego jakiś przykry zapach, i już nie lubił tak bardzo piłki, ale od czasu do czasu uderzał ją naprawdę mocno, tak że kaleczył innych graczy, aż wreszcie w dwunastej klasie przenieśli go z ćwierćbeka na atak, bo powiedzieli, że jest zbudowany jak mały goryl i najtwardszy w lidze, ale po trzecim meczu i drugim spowodowanym przez niego wstrząsie mózgu to wszystko przestało mieć sens.

• Daniel Boone (1734—1820) i Jim Bridger (1804—1881) — osadnicy z czasów pionierskich. Pierwszy był pionierem w Keniucky, drugi odkrył Słone Wielkie Jezioro (przyp. red.).

„Na to nie ma rady, Orville — powiedział trener. — Mu-3z walić mocno i nie patrzeć, co będzie.” „Jest rada.” „Jaka?”

„Można coś poradzić albo tego nie robić.” „Przecież grasz w piłkę. Musisz grać ostro. Możemy wy~ •ać w lidze tego roku,” „I co z tego?” „Jak to co?”

„Dlaczego kogoś krzywdzić?” „Nie krzywdzić — uderzać.” „Uderzenie boli.”

„Taka jest gra. Bądźże mężczyzną, Chambers.” „Jasne.”

I znowu kogoś uszkodził, i więcej nie grał w futbol ani nic innego, i wylali go ze szkoły na dwa tygodnie, ojciec iwet nie mrugnął, ale matka chudła coraz bardziej i mo-! Elaine zrozumiała, bo go nie opuściła, straciła przyja-ółki i też niewiele mówiła, on zaś został z nią, bo chyba e chciał niczego innego, a po czterech latach na pewno e chciał tego dziecka (Boże, czyż mógł chcieć czegoś-iek po baseballowej rękawicy?), a że był bez pieniędzy, e miał innego wyjścia, jak prosić ojca, który musiał zdo-ć się na wielki wysiłek, żeby w końcu wyrazić zgodę i zrobienie tego, i nie mógł pohamować gniewu, kiedy łożyli do plastikowej torby martwe dwu i półmiesięczne rcie, i zrzucił to z serca i powiedział mu, że jest najnędz-ejszą istotą, jaką widział, a on leżał pod krzakiem bzu,) dokąd miał iść? — i ojciec po prostu musiał krzyknąć) niego: „Niech ten dzień przypomina ci zawsze, że nie

0 Ino marnować życia!”, więc tę żalobę zostawił Elaine, cu i matce i odszedł, ale to nic nie dało, bo kiedy wró-ł, o mało go nie zastrzelił mąż Elaine — i teraz jest tutaj

1 dalsze siedem-osiem miesięcy, i jak się zdaje, ma nie-e szansę, że tym razem zostanie zastrzelony.

125

9

Slagel obudził się o wpół do szóstej z bólem głowy, suchością w ustach i pękającym pęcherzem. Wyśliznął się z namiotu i pobrnął do ustępu. Poczłapał z powrotem, wyżłopał całą manierkę i napełnił ją na nowo u przyczepy ze zbiornikiem wody. Kiedy skończył się golić, głowa ciągle mu pulsowała, ale był w dobrym humorze. Wypoci resztę piwa tego rana.

Morgan wybrał sobie świetny moment na przyjście dc linii i jego odwiedziny zatarły urazę po uroczystości odznaczeń. Dobrze będzie mieć go na stałe — kogoś, z kim można pogadać, poza tymi nowymi ciemniakami. Morgan potrafi dać sobie radę w walce. Pewnie lepiej niż większość tych pacanów, których im przysyłano.

Powitał drwiącymi okrzykami innych strzelców, kiedy zaczęli wylazić z namiotów wpatrując się ogłupiałe w poranek. Chryste, jak dobrze się czuł! Zrobił kilka przysiadów, przeciągnął się i otrząsnął. Roześmiał się głośno na myśl o tych typkach z Fuldy. Co za nuda! Kiedy naprawdę zastanawiał się nad tym, nie miał czego żałować ze swoich pierwszych dwóch lat. Było dennie, ale tak miałc być. Żołnierze nie są zadowoleni, jeżeli nie mają na cc psioczyć. Fort Dix to była bomba, ale nawet Fulda miała swoje momenty. Nie wariował tak na punkcie kultury jak inni, ale nic mu nie szkodziło oglądanie obrazów i kościołów, jeżeli potem mógł sobie popatrzeć na jakąś babę i galon wina. Ta szprota we Florencji była w sam raz. Bogata dziwka z jednej z tych rodzin z Connecticut, w których ojciec robi co dzień kupę szmalu w Nowym Jorku. Wchłaniała kulturę, bo tego się od niej spodziewano, studiowała w Wellesley i w ogóle. Ale to ją gównu obchodziło i lu--biła sobie popić i porozrabiać w łóżku, tak samo jak on Wszystko razem wzięwszy, na co miał narzekać? MógJ być zawodowym graczem, ale mógł też urodzić się kuternogą.

Po jedzeniu właśnie się zbierał, kiedy Morgan przyfalo-wał do jego namiotu.

126

/r

— Chcesz lecieć na akcję, Móg?

— Jestem gotów! — Morgan zerwał z ramienia swój -16 i potrząsnął nim przed Slagelem.

— A ucho! Strzelałeś już z tego?

Od razu było widać, że Morgan nie jest żołnierzem Kitowym. Karabin zardzewiały. Dwa stare magazynki jrczące z kieszeni na piersiach, brak pasa, czyste dreli-y. Twarz miał nalaną od nadmiaru piwa i niedostatku mca i ruchu.

— Nie, psiakrew. Mam iść któregoś dnia na strzelni-. — Morgan dotknął palcami szczecinowatego wása. — ijnie było wczoraj. Dobrze jest być znowu z przyjaciół-L

— Ucieszę się, kiedy przyjdiesz na stałe, bracie. Wtedy bie porozrabiamy.

— Okej. Naszykuję coś zimnego, jak wy, chłopaki, wró-:ie.

— To rozumiem. Jak tam ta mała z pralni? Jeszcze ją idujesz?

— Jasne. Jej stary nie umie prac ni cholery, ale ona st klawa. No, muszę iść. Uważaj na siebie, Tom. ZobaT-ymy się za kilka tygodni.

Popatrzał za odchodzącym Morganem, po czym ruszył . resztą plutonu na lądowisko.

— Slagel! — Sierżant-szef Trapp skinął na niego ręką drzwi śmigłowca swojej drużyny.

— Co jest, sierzancie?

— Jutro przychodzi nowy szef, żeby przejąć twoją dru-nę. Od tej pory będziesz dowódcą zespołu.

— Dobra wiadomość. — Zerknął na Szerokie kręgi popod pachami Trappa. — Wiecie, sierzancie, będziecie

cy szczupli jak ja, zanim się obejrzyicie. Ile funtów zrzu-

Liście?

Trapp wetknął kciuk za sprzączkę pasa i odciągnął spod-
e, aby pokazać, jakie są luźne.

— Ze czterdzieści. Już raz zmieniałem drelichy, a teraz ykuję się na następne.

— Fajnie wyglądacie.

127

Poklepał Trappa po brzuchu i wdrapał się do maszyny Zaczynał lubić sierżanta, choć przedtem, kiedy przyszedł do plutonu, jego otyłość budziła w nim obrzydzenie. Nie cierpiał tuszy bardziej niż jakiegokolwiek innej usterki fizycznej, głównie przez swego łojnodupnego stryja, który siadywał na nim, kiedy Slagel był małym chłopcem i zmuszał go do płaczu. Pamiętał stryja przy niedzielnyrr obiedzie — biała koszula przyklepiona potem do zwałów tłuszczu i wielka, okrągła, spasiona twarz pochłaniająca jedzenie. Czoło lśniło mu od potu. No i to bekanie. Trapi był mądry, że zeszczupłał. Stryj nigdy o to nie dbał, i umar na atak serca mając czterdzieści sześć lat. Pogrzeb odby-się w piętnaste urodziny Slagela. Patrząc na nieruchomą ciastowatą, rozdętą pecynę leżącą na atlasie trumny, obiecał sobie, że zrobi wszystko, by nigdy nie utyć.

!

Następnego rana pluton pozostał w bazie polowej oczekując przybycia nowego sierżanta i kilku innych ludzi Slagel i Irwin poszli na lądowisko, kiedy śmigłowiec zaopatrzeniowy opuszczał się kłębiąc kurz i rozdmuchując kawałki papieru. Niepokój Slagela, że zastąpi go jaka: oferma, minął, gdy ze śmigłowca wysiadł olbrzymi Murzyn, sierżant sztabowy.

— Popatrz, popatrz!

— Potęga — rzekł Irwin.

Nowy sierżant wyglądał na jakiegoś afrykańskiego księcia, którego wsadzono w drelichy, żeby dopomógł Stanorr Zjednoczonym. Sześć stóp i cztery cale wzrostu, dobrs waga i ani uncji tłuszczu. Trapp i kapitan Webber od razu go zabrali i po pół godzinie Trapp wezwał innych dowódców drużyn do swego namiotu.

— Panowie, to jest sierżant sztabowy May, nowy dowódca pierwszej drużyny. — Przedstawił - także trzech innych sierżantów. — A to jest Slagel, który dowodził drużyną przez półtora miesiąca. To wariat, więc będziecie musieli utrzymać go w ryzach.

— Rzeczywiście, Slagel? — rozpromienił się May i wy-Ignął do niego masywną dłoń.

— Jestem wariat, dopiero odkąd nastał tu Trapp. Dłoń Maya przypominała kulę lekkoatletyczną. Przez następne trzy dni przysłuchiwał się temu, co May owił, i obserwował go przy pracy. Rany boskie, ten był

formie i nie żaden łajza, jak przychodziło do roboty, statnie dwa lata spędził w Fort Jackson ucząc masko-ania i wykrywania celu, a wyglądał tak, jakby co wie-ór ćwiczył podnoszenie ciężarów w sali gimnastycznej. Slagel pełnił teraz swoją żołnierską służbę staranniej z kiedykolwiek. Chciał pokazać Mayowi, że zna się na eczy i da sobie radę nawet w najcięższej sytuacji. May irawił, że był bardziej zadowolony z tego, co robił, czuł,

jest ważne i że nie musi dla zabicia czasu rozwalać ńców ani nic podobnego. Cały pluton znów ożył, a mora-

w pierwszej drużynie poprawiało się z każdym dniem, ay co wieczór krążył wśród ludzi, przynosił im piwo opowiadał kawały. Nigdy nie złościł się, kiedy znalazł •udny karabin, ale obracał to w żart,

i broń zostawała oczyszczona. Rzadko przebywał z dowódcami drużyn i nie miał się z Murzynami z innych oddziałów. Przypominał jagelowi pewnych kolorowych facetów, których znał w >llge'u. Zawsze życzliwych i zabawnych, tyle że nigdy nie było wiadomo, co myślą w głębi duszy. Dowiedział ę, że May jest żonaty i pisuje co -wieczór do żony, ale nic więcej.

Każdego wieczora po powrocie do bazy słyszeli, że w ywizji zanoszą się na akcję, i chociaż nie nawiązali styczności z nieprzyjacielem, plutony z innych kompanii już) zrobiły, więc ich kolej musiała nadejść niedługo. Słael rozmawiał zarówno z Webberem, jak z Mayem i obaj ę spodziewali, że lada dzień coś wyskoczy. Webber wyiznie się martwił, że może być źle, a May był niespokojny, bo nigdy nie brał udziału w boju i nie miał pewności, jak zareaguje drużyna. Słagel powiedział mu, że też jeszcze nie walczył razem z nimi, ale przypuszcza, że zachowają się okej.

— Amerykańscy chłopcy

129

W tydzień po objęciu drużyny przez Maya wzięli do niewoli trzech żołnierzy z Północy, a później tego samego popołudnia pluton strzelecki z kompanii B miał sześciu zabitych w starciu przypuszczalnie z kompanią Wietnamczyków z Północy. Przez cały dzień lotnictwo zrzucało nieprzerwanym gradem napalm i bomby siedemsetpięćdziesięciofuntowe, a w nocy B-52 bombardowały bez ustanku. Nic to nie dało. Dżungla na długich pasmach górskich była zbyt gęsta i tysiąc dziur w jej baldachimie nie czyniło żadnego uszczerbku w liczbie kryjówek.

Nazajutrz rano wszyscy byli napięci i zjedli śniadanie milcząco i w skupieniu. O świcie śmigłowce rozpoznawcze wypatrzyły ścieżki i chaty w strefie operacyjnej Blue. Ostrzelały teren z kaemów i rakiet, a artyleria dywizyjna kładła tam ogień, podczas gdy strzelcy wsiadali do maszyn. Znalazłszy się w powietrzu Słagel przyskoczył, aby przez chwilę odsapnąć. Irwin trącił go i pokazał w dół. Skrajem doliny biegła wąska ścieżka wijąca się przez zarośla u stóp gór. Leżał na niej mały chłopiec z włosami koloru swoich czarnych spodni, a jego twarz była tak samo popielata jak udeptana ziemia na ścieżce.

— Naprawdę parszywe — rzekł Irwin.

— Powiedz to Westmorelandowi.

— Ten dzieciak nic nie zrobił.

— Włazł w drogę. Tak ci odpowiedzą.

Przelecieli nad małą wioską i w dwie minuty później; śmigłowiec zaczął się zniżać, a karabiny maszynowe osłony otworzyły ogień. Nie dawali człowiekowi czasu na zebranie myśli. Słagel wyskoczył z maszyny, wystrzelał magazynek w zarośla i ruszył za Mayem na grzbiet górski. Przez cały dzień rozwalali chaty i palili kryjówki z dużymi zapasami ryżu. Na ścieżce widać było wyraźnie odcisnięte ślady sandałów, ale pluton nie nawiązał styczności. Kiedy wrócili tego wieczora, dowiedzieli się, że kompania A wpadła w zasadzkę i straciła czterech ludzi.

— Wygląda na to, że żółtki nie chcą zadzierać z naszą kompanią — powiedział May przed położeniem się do łóżka.

130

Hano pokazali się dwaj żołnierze z Północy, którzy zacieli bez strzału i zbiegli w gęste zarośla. Słagel i May rozpalili ogień, gdy krzaki zamykały się za nimi, ale z cze potem słyszeli trzask gałązek.

— Słagel, chcesz iść za nimi? — zapytał May.

— Czemu nie? — Można trochę się wypociec przed po-łniowym posiłkiem.

— Panie kapitanie, ja i Słagel chcemy pogonić tych Wietnamczyków.

— Nie idźcie za daleko i uważajcie.

May ruszył przez dżunglę jak pantera, pochylając się i drzewami, przeskakując małe krzaki i wymijając ększe. Przyjemnie było na niego patrzeć i Słagel po-żając za nim poczuł nagły przypływ energii. Mógłby tak za Mayem całymi godzinami. Przypomniał mu się pierwszy rok studiów w college'u, kiedy on i Taliaferro, Irwin grający w drużynie na beku, trenowali rano pięć, sześć mil dziennie, a mogliby bez trudu przebiec i dwadzieścia. Trawa zapadła się pod stopami Maya. Muskularny czarny sierżant obrócił się z wyrazem całkowitego zaskoczenia

twarży, po czym runął na wznak i zniknął. Z dołu :bił się krzyk i zawisł w powietrzu. Slagel zatrzymał >, przykucnął i wystrzelał w zarośla magazynek za Wiet-mczykami. Wcisnął nowy i' wstrzymał oddech nasłu-ując. Drzewa szeleściły nad nim ze spokojną obojęt-ością, a w oddali słyhać było terkot łopat wirników. Po- tym cisza.

Przystanął o dwa kroki od jamy. Nie chciał zaglądać do odka, ale nie mógł się c Drzeć. May tkwił nadziany na ostrzone bambusowe pale o pięć stóp poniżej poziomu jmi. Miał skreconą w bok głowę i wywieszony język, órego różowość była groteskowa na tle czarnej twarzy, ało nie poruszało się. Ale jeszcze nie mógł być martwy. k, u diabła, wydostać go stamtąd? Slagel obrócił się o mało nie strzelił do Webbera, kiedy kapitan wynurzył =.za nim z zarośli.

— Co u jasnej cholery... — zaczął Webber.

131

— Chyba nie żyje, ale musimy go stamtąd wydobyć. Webber zajrzał do jamy.

!— Rany boskie! Jak my go wyciągniemy? — Zaczął wołać sanitariusza.

Reszta plutonu nadciągnęła na małą haliznę, a Slage odszedł na jej skraj, czując nagłą złość na te zaciekawion* twarze zaglądające do dołu. Ich wszystkich gównu t< obchodziło, żaden nie przywiązał się do May a tak jak on Nawet Padgett uważał go pewnie za mięczaka, dlatego ż< nie zachowywał się przez cały czas jak zołza. Co za pech Jeden pieprzony tydzień i wpada do dołu, i umiera. Jedni możliwość na milion.

Irwin przyszedł od Webbera, który rozmawiał przez ra dio.

— Tom, chcesz tu zostać, dopóki nie ściągną po nieg< medewaka? Webber potrzebuje całej drużyny, żeby wy dostać ciało.

— Nie, kurwa! Chcę się stąd zabrać. Będą go wyciąga linkami?

— Chyba tak,

!— Nie mam ochoty na to patrzeć.

— Powiem Webberowi.

— Powiedz.

Pewnie porozrywają zwłoki na kawałki. Nad polank opuścił się jeden z helikopterów bojowych. Hałas był ogłu szający, a podmuch targał drelichami Slagela, Kiedy śmi głowiec znowu się wzniósł, podszedł Webber.

— Nie chcecie być przy tym, Slagel?

— Nie, panie kapitanie.

— Okej. Zostawiam ludzi z czwartej drużyny, którr wrócą medewakami. Po jedzeniu pogonimy tych Wietnam czyków. I tak idą w stronę naszego rejonu lądowania.

— Jak pan kapitan rozkaże.

— Znow macie pierwszą drużynę.

— Tak jest. — Wielka łaska, kurwa mać. — Pierwsz drużyna, zbiórka!

Przez całe popołudnie nic nie znaleźli i pluton nieoms zasypiał, kiedy zbliżali się do rejonu lądowania. Pośrodk

132

była mała kępa drzew i krzaków. Transportowce winny uważać. Slagelowi nie wydało się to niepokojące, póki pierwsze dwie drużyny nie znalazły się prawie połowie lądowiska. Można było do nich grzać jak do :zek. Nikt w tym durnym plutonie nie zdawał sobie ego sprawy. Otworzył usta, by to powiedzieć Webbero-, i w tej chwili zaczął się ogień z drugiej strony po- iy.

— Za te drzewa! — ryknął. Obrócił się, przykucnął wskazał zarośla swojej drużynie. Druga drużyna usiło-ila zawrócić w krzaki za nimi, a na otwartym terenie ały już trzy ciała. Wystrzelał dwa magazynki, po czym ł nura w gąszcz i znalazł się między Irwinem i Bradym. k jak przy wszystkich innych zasadzkach, dostali ogień przodu i z boku. Na szczęście osłaniały ich z obu stron y dosyć grube drzewa.

— Lynch i Henderson, walcie z waszych automatów! den na wprost, drugi w bok. Kryjcie się za tymi drze-imi. Sherwood, dawaj tu na przód ten karabin maszy-wy. Trzech strzela na wprost, trzech

w bok.

Webber miał zakrwawioną szyję i Trapp obwiązywał i ją chustką.

— Nic się panu nie stało?

— Tylko obcierka, Slagel.

— Powiem innym drużynom, gdzie strzelać. Poczołgał się za krzaki. Pozostałe drużyny strzelały bez-inie w dżunglę. Rozwalał go, jeżeli spróbuje się do nich stać. Zaczął krzyczeć wskazując boczny skraj lądowiska. Gdyby tam postrzelali, mógłby skoncentrować ogień rojej drużyny w kierunku na wprost. Wreszcie zdołał i wytłumaczyć, żeby strzelali jedynie w bok, i poczołgał I z powrotem na czoło. Webber był przy radiu, więc agel przegrupował drużynę, wyznaczył dwa odcinki trzału, prawie całkowicie na wprost, i zaczął sam strzeć.

Żaden z jego ludzi nie został nawet ranny. Jak dużo ożna mieć szczęścia? Nie wiadomo, ilu żołtków tam było, e pewno nie więcej niż dwa plutony. W oddali śmigłowce

133

transportowe krążyły jak cztery leniwe muchy czekając aby pozbierać ludzi.

— Panie kapitanie, niech pan skieruje ogień śmigłowców na te punkty, zanim zabraknie nam amunicji — po wiedział do Webbera.

Odwrócił się i wypruł jeszcze jeden magazynek. Nik oprócz niego nie wiedział, co cobić. Nagle doznał dziwnego wrażenia, tak jakby to wcale nie była bitwa. Po prosti organizowanie ludzi i strzelanie w las. Sierżant May zginął sto lat temu. Ra-ta-ta pocisków stało się miękkie jak szelest liści w górze, jak gąbczaste pykanie łopat wirników

Wybuch za nim i piekące gorąco w plecach. Wypręży się słuchając wrzasków, poruszył się, wiedział, że jest ranny, ale nie poważnie. Dwaj jego ludzie zginęli. Lynch żył ale jego prawa ręka i prawa strona twarzy wyglądały jał bęsztyk. A potem przystąpiły do akcji śmigłowce bojowe Na całego. Rakiety, karabiny maszynowe — jeszcze dzie sięć kroków i ostrzelają własny pluton — granaty zrzucane przez celowniczych i dowódców załóg. Obie maszyny przeleciały trzy razy nad polaną waląc ze wszystkiego, c miały. Obok wybuchnął następny granat wietnamski, wywalił dziurę w brzuchu Trappa, naszpikował odłamkami nogę Maxwella i rozkwasił radio tak, że przestało działa*

Slagel słyszał dokoła jęki i krzyki. Ale ogień z dżungli prawie ustał. Paru zwariowanych żołtków poderwało się i rzuciło granaty. Irwin pociągnął go za rękaw.

— Ja ich dorwę. Ja ich dorwę.

Slagel kiwnął głową i patrzył na odczołgującego się Irwina.

— To pierdolone radio wysiadło! — ryknął Trapp trzy mając się za brzuch.

— Zamknijcie się, sierżancie — powiedział Webber. -Leżcie spokojnie.

— Mój brzuch! Mój brzuch!

— Gicho! Slagel, jak to wygląda?

— Uspokajają się.

— Transportowce przylecą, jak ten myśliwiec zrzuci na

134

Im. — Webber pokazał w górę, gdzie słońce błyskało na ebrnych skrzydłach.

Slagel uświadomił to sobie, zanim się stało. Obrócił się, zplaszczył na ziemi i wrzasnął do Irwina, który nagle ydał mu się podobny do małego chłopca, kiedy czołgał się przez polanę i ciskał granaty w las. Krzyk Slagela uto-łł — nawet sam go nie usłyszał — w ryku odrzutowca przenikliwym szumie eksplozji kanistra z napalmem. Za-ekło go od wybuchu, biały i pomarańczowy błysk pora-t mu oczy. Płonące ciało przed nim poderwało się na iwile, po czym opadło na ziemię. Między płomieniem drużyną unosiła się drgająca ściana oparu, Jak mać chodkiem ulicznym w upalne dni. Śmigłowce transportowe wylądowały w dwie minuty jtem. Nikt z drużyny nie mógł mu pomóc, więc pobiegł > Irwina sam jeden. Leżał na brzuchu, policzkiem do emi, z rękami podwiniętymi pod piersi. Twarz miał po-irzoną i galaretowatą. Od trzeciej drużyny nadbiegł Pad-;tt, by pomóc go nieść. Ostrożnie odwrócili ciało, Pad-jtt ujął je za stopy. Kiedy Slagel próbował chwycić Irwi-i pod pachy, utracił jedno zwęglone ucho. Odpadło tak, ikby wszelka siła ciężkości, która je utrzymywała na iejscu, nagle przestała istnieć. Slagel zwymiotował na Drzmiałą czarną twarz. Otarł usta

rękawem, dźwignął włoki, zaniósł je do śmigłowca sanitarnego i wrzucił do rodka.

Inne transportowce czekały na start. Obok maszyny roz-igły się krzyki i Slagel przeszedłszy dookoła jej ogona,)baczył Brady'ego, który leżał na ziemi i przebierał za-ekle rękami, ale nie ruszał się z miejsca. Slagel roze-niał się. Gruby, mały Brady, z odłamkiem w ramieniu, tywający w błocie. — Cicho, barany! — wrzasnął na ludzi krzyczących w nigłowcu. Uklęknał. — Co się dzieje, stary? — Położył vardo dłoń na plecach Brady'ego.

Brady toczył głową z boku na bok, okulary miał oble-ione błotem.

135

— Sierzancie, jeżeli uda nam się przedostać przez to wzgórze, damy radę. Jeszcze tylko to wzgórze

— Jesteśmy prawie na miejscu, bracie. Popatrz. Widać wierzchołek. Już mamy niedaleko.

— Musimy się przedostać. Oderwać się od żółtków

— W porządku. — Przypadł obok niego udając, że się czołga. — No widzisz? Już jesteśmy. Zaraz zabierze nas ta maszyna. Idziemy!

— Bogu dzięki! Bogu dzięki, że nam się udało Brady powstał z ziemi i wdrapał się do śmigłowca. W godzinę później Slagel wyszedł z punktu opatrunkowego pozostawiwszy tam Brady'ego i obejrzawszy innych swoich ludzi. Kiedy wychodził pod klapą namiotu, chirurg zawołał doń, że ma na plecach krew. Slagel zapomniał

0 granacie. Nie czuł bólu. Położył się na brzuchu, a lekarz wydobył mu z pleców siedem kawałków metalu i zeszył dwie z jego ran. Ten dzień przepływał Slagelowi przez głowę niczym miszmasz obrazów, z których żaden nie chciał się utrwalić. May nie żył, Irwin nie żył. Brady uchechła-ny. Ośmiu ludzi z plutonu zabitych, dwunastu rannych, Usiłował nie robić sobie wyrzutów z powodu Irwina, ale jednak nie powinien był pozwolić mu iść. Nie zastanowi! się nad tym. W ogóle-nie należało wyłazić na polanę. Ale miał w głowie tylko Maya, a poza tym Webber i Trapp powinni się orientować.

Wracając z lazaretu uświadomił sobie, że Webber tei może myślał o Mayu, a Trapp pewnie o żarcu czekającym w bazie, że wszyscy są rozgorączkowani, zmęczeni

1 zmordowani całą tą pieprzoną historią. Bo nikt nie pozwolił człowiekowi myśleć ani czuć, dopóki nie było jui za późno. Zapragnął posiedzieć przy trupie Irwina, zagadać do niego, 'okazać mu szacunek. Przystanął w połowie ścieżki, nasadził z powrotem na głowę stalowy hełm z plastikową podkładką i wpatrzył się w migocące czerwone i żółte światła śmigłowca krążącego nad obwodem obozu „Nie" — pomyślał, a to słowo formowało mu się na wargach, choć z krtani nie wydobył się żaden dźwięk. — Nie! — ryknął. Śmigłowiec zniknął na lewo, a oczy Slagela

136

)zostały utkwione w czarny kawał nocy. Dwaj żołnierze, ijwyraźniej zaskoczeni krzykiem, podeszli do niego, ale)trząsnął głową i ruszył w przeciwnym kierunku. Milcząc wrócił do rejonu plutonu, wpelznął do swego imiotu, opuścił za sobą klapy i zasnął w śpiworze -Irwi-i.

Pluton nie poszedł do akcji następnego dnia, ale i nie lesłano go do obozu-bazy. Slagel spał prawie do południa, e chciał nikogo widzieć. Nawet zwymyślał Chambersa Padgetta, kiedy próbowali wejść do namiotu. Nie chciał, iby ktokolwiek zbliżał się do ekwipunku Irwina. Do po-.dnia piekł się pod gorącym brezentem, aż w końcu wy-edł na światło dzienne. Wymył się, ogolił, włożył czyste :elichy. Webber był ostatnim człowiekiem, z którym iał chęć rozmawiać, ale nie zdołał tego uniknąć, kiedy ipitan podeszedł do jego namiotu.

— Jak twoje plecy, Tom?

— Nie najgorzej.

— Przykro mi z powodu Irwina.

— Mnie też. — „Po co to całe pieprzenie?" pomy-ał. — Mam spakować jego rzeczy?

— Chyba tak.

— Co teraz robimy?

— Czekamy. Pułkownik powiedział yuinnowi, że w cią-i trzech dni przyjdzie zmiana na nasze miejsce, Kompa-La B dostaje swoją dzisiaj, a jutro odchodzi. Nie będzie-ly mieli wolnego, ale przez najbliższe parę dni powinno yć lżej.

— Jest jakaś możliwość, żebym pojechał do miasta? — a nic nie chciał tu siedzieć.
— Jutro?
— Tak jest.
— Okej. A poszedłbyś znowu do akcji?
— Mnie to wisi. Pójdę, panie kapitanie.
— Byłbym ci wdzięczny. Będziesz nam potrzebny. Przez całe popołudnie składał starannie rzeczy Irwina pakował je do jego worka odzieżowego. Po jakimś czasie wszystko, co mówił do siebie o śmierci i o tym, jak mu
131

brakuje Irwina, wydało się głupie. Próby budzenia w sobie czci dla kogoś, kiedy zwijało się gacie i dreluchy, których już nigdy nie miał nosić, były właściwie śmiechu warte. Lepiej myśleć o takich rzeczach jako o czymś, czego należy spodziewać się na wojnie. Nie chciałby, żeby ktoś po nim płakał, gdyby go dziabnęli. Lepiej, żeby się uchłali i pośmieli trochę. Tego by pewnie chciał Irwin. Jasne, że tak! Wziął kalesony Irwina i wsadził do własnego worka. Włożył je jutro, kiedy będzie szedł do burdelu.

Przez następne dwa dni Slagel i Padgett jeździli do miasta i wracali wieczorem kompletnie pijani, z dużymi bocznymi kieszeniami dzunglowych dreluchów wypchanymi marihuaną. Padgett też był porządnie udupiony. Jerrie puściła go kantem i przez to obrzydło mu wszystko — wojna, zabici i większość żywych. Obaj mieli dość tego całego zafajdanego interesu.. Będąc w mieście uświadamiali sobie, że nie czują wielkiej miłości do Wietnamczyków. Ich piwo smakowało jak szczyzny, ich kurwy śmierdziały i nie umiały się różnić ni cholery, ich żołnierze byli gównem warci, a ludzie w ogóle po prostu bandą łapczywych nieśmiały, dumnych wieprzów. Ich dzieciaki latały samopas sprzedając kondomy i świńskie obrazki przed burdelami które wyrastały jak grzyby po deszczu, gdzie tylko zjawili się amerykańscy żołnierze.

On sani prowokował większość awantur, ale Padgett tego się przykładał. Pierwszego dnia pobili sześciu żołnierzy południowowietnamskich, wzięli sobie po trzy kurwy (płać cę tylko za jedną) i nakradli piwa, ile weszło, nic sobie nie robiąc z protestów wychudłych barmanów. Następne go dnia zdemolowali dwa bary, a w trzecim wywalił ścianę, bo było im za daleko do drzwi wyjściowych. Do stali sześć paczek „trawy” na twarz, po cztery dolary o paczki. Slagel uważał, że sto dwadzieścia skrętów powinni mu wystarczyć na następne dwa tygodnie.

Nie zadał sobie trudu poznania nazwisk nowych ludzi z swojej drużyny, kiedy wyruszyli nazajutrz. Był chory p ciężkim przepiciu, zbierało mu się na wymioty. Czas ope racji przedłużono o następne dziesięć-dwanaście dni i gdy

wszystko poszło normalnie, nie powinni byli mieć wię-j styczności z wrogiem. Jedna z brygad piechoty stoczy-większą bitwę przypuszczalnie z czterema wietnamski- batalionami, które potem zawróciły do Kambodży jrawdopodobnie maszerowały na północ. Później pewnie owu wkroczą do doliny la Trang i dywizja będzie mogła tn się udać i przepędzić ich z powrotem do Kambodży. > draństwo może tak trwać bez końca. Slagel został sam w swoim dawnym namiocie i co rano ppałał skręta do kawy. Czuł się daleki od wszystkich z pjątkiem Padgetta, lecz w ciągu dnia rozdzielały ich /ykle dwie drużyny. Przy obiedzie siadywali razem na obności i bez pośpiechu palili skręty, podczas gdy żół-dzioby się opychały.

Po trzech dniach bez akcji zaczął się wygłupiać strze-jąc do ptaków, figując wielkie niebezpieczeństwo, kie-r nic się nie działo. Najczęściej był tak zalany, że nie ógł zachować powagi, i pękał ze śmiechu, kiedy wszyscy idali plackiem na ziemię, spodziewając się walki. Webber izmawiał z nim parę razy, ale to nic nie dało. Kapitan e miał dość ikry, żeby naprawdę wziąć go za frak, więc agel dalej tak pajacował.

Kiedy nie był zamroczony albo pijany, popadał w ner-owe rozgoryczenie, wręcz przerażające. Przychodziła mu i myśl uśmiechnięta dziecinna twarz Irwina i to wyzwało serię obrazów pozabijanych ludzi, przypominającą za-ończenie jakiegoś cholernego filmu wojennego, kiedy ka-tera przejeżdża po szeregu żołnierzy, którzy razem prze-jrli coś koszmarnego. Widział ich brnących naprzód, spo-Dnych, z papierosami zwisającymi z ust, karabinami prze-ieszonymi przez ramię,

rozpiętymi paskami hełmów dyn-ającymi leniwie po obu stronach twarzy, przy dźwiękach eroicznej muzyki. Myślał, że powinni by znaleźć się gdzieś, gdzie byłyby troskliwe dziewczyny, wóda i klepacie po plecach przez ludzi doceniających to, co działali, kle wszyscy nie żyli, maszerowali donikąd i bez muzyki

jeśli się do nich nie przyłączy, wróci do kraju, gdzie nie lęzicie go aic erekało, poza poklepywaniem przez pijanych

139

weteranów wojennych i cwaniakami patrzącymi na niego tak, jakby miał dżumę. Boże, cóż to za łajdactwo!

W tydzień po podjęciu działań na nowo jeden ze śmigłowców zwiadowczych wykrył drużynę Wietnamczyków z Północy na polanie o jakieś 'czteryście jardów od pozycji: plutonu strzelców. Było to przed samym obiadem i Slagei potrzebował skręta, żeby zwalczyć znudzenie i nerwowość. Zgłosił ochotniczo swoją drużynę do pościgu za Wietnamczykami, ale Webber odmówił mu zimno i wysłał zamiast niej czwartą. Dwie drużyny z kompanii piechoty przewieziono śmigłowcem do punktu znajdującego się za Wietnamczykami, a drugą maszynę z głośnikami w drzwiach wysłano razem z tłumaczem, który miał nakłonić nieprzyjaciela do poddania się. Reszta plutonu stała w gotowości oczekując nadejścia Wietnamczyków albo rozkazu udzielenia pomocy czwartej drużynie, gdyby coś się wydarzyło.

Musiał okopać się obok Webbera i czekać. Bełkot wietnamski dolatywał do ich stanowisk, kiedy śmigłowiec krążył i krążył nad miejscem, gdzie leżał w ukryciu nieprzyjaciel. Słuchowi przypominały się głośniki wywrza skujące jego nazwisko, kiedy coś działo na stadionie.

— Blue, tu Cztery-siedem, odbiór — zaskrzeczało radie

— Słyszę was, Cztery-siedem.

— Wyszli na tę polankę z podniesionymi rękami i wasza drużyna prowadzi ich do waszych pozycji. Zabierzcie ich, odbiór.

— Zrozumiano, Cztery-siedem. Lepiej wyślijcie dodatkowy transportowiec na miejsce lądowania. Koniec.

— Wygląda na to, że ich mamy, panie kapitanie.

— Aha. — Webber nie spojrział na niego.

Slagel wstał i przeszedł wzdłuż linii drużyny. Co za łosna banda! Dwaj nowi, Herbert i Cunningham, klęczą na końcu przy karabinie maszynowym.

— Macie to nastawione? — zapytał ich.

— Tak jest, sierżancie — odrzekł Cunningham. — Może być jakaś draka?

— Nigdy nie wiadomo. Lepiej siądę za nim, dopóki t żółtki tu nie dojdą. Wy zjedzcie swoje racje.

140

Cunningham odsunął się, a Slagel położył się za M-60, dał stopkę kolby w ramię i spojrział przez celownik, zesunął językiem po wyschniętych wargach Co by eber zrobił, gdyby kh wystrzelał? Zdegradowałby go? niósłby oskarżenie? Nie, psiakrew, Webber to mięczak. Ośmiu północno wietnamskich żołnierzy przypominało ale lalki z gałganków, które ktoś wygrzebał z zapleśnia-go kufra na poddaszu, i kiedy otworzył do nich ogień, odziewał się, że powyłażą z nich pakuły zamiast krwi. ątem oka dostrzegł panikę szerzącą się w plutonie, więc stał, żeby wszyscy wiedzieli, kto strzela. Wywalił prawie biescie naboji, a Wietnamczycy podskakiwali i okręcali i, jakby na trampolinie. Odrzucił broń i zaczął się śmiać.)dparł się pod boki, odchylił głowę do tyłu i ryczał tak,

hełm mu zleciał na ziemię. Wreszcie przestał i lodowa-m wzrokiem powiódł po plutonie. Osunął się na kolana zaczął szlochać, a potem opadł do przodu, wtulił twarz przedramię i zaczął walić pięścią w ziemię.

Ocknął się rozgrzany i spocony na pryczy w punkcie nitarnym. Na zewnątrz był jasny dzień

— Co ja tu robię, do cholery?

— Ty, Slagel — odezwał się Morris, jeden z sanitariuszy — Leż spokojnie. Dostałeś coś na sen

— Która to godzina?

— Południe.

!— Południe? O rany! A jaki dzień?

— Nie wiem, cholera. Środa, czwartek. W wojsku wszy-kie są takie same, nie? Człowieku, aleś ty wczoraj nadrabiał! Musieli ci dać morfinę, żeby cię uspokoić.

— Chrzanisz!

— Wcale nie kłamię. Spisz tu jak dziecko od trzeciej rczorajszego popołudnia. Czołem, panie kapitanie! — po-iedział do kapitana McClouda, lekarza batalionowego.

— Cześć, Morris. Jak się czujesz, Slagel?

— Nie najgorzej, panie kapitanie. — Był niewiarygod-ie ociężały. — Czy oni naprawdę dali mi morfinę?

141

— Zdaje się, żeście trochę stracili panowanie nad sobą. Widocznie za dużo walki. Może potrzeba wam odpoczynku. Jeżeli czujecie się okej, możecie odejść. Kapitan Webber chce się z wami zobaczyć, kiedy pluton wróci wieczorem.

— Okej, panie kapitanie. Dziękuję. Chyba coś sobie wtrząchnę.

Kapitan McCloud wyszedł z nim przed namiot. Kiedy Morris nie mógł już ich słyszeć, wziął go delikatnie pod ramię.

— Słuchajcie, Slagel, gdybyście chcieli z kimś pomówić. znam w dowództwie dywizji dobrego psychiatrę. Nie ma czego się wstydzić. Odrobiliście swoje i jeżeli to wam zaczyna dokuczać, może powinniście spauzować, żebyście nie zrobili krzywdy sobie albo komuś innemu.

W myśli pojawiła mu się twarz doktora Bowena i coś go ścisnęło w żołądku.

— Dziękuję za propozycję, panie kapitanie. Dam panu znać.

Wstąpił do namiotu kantyny na kawę, po czym ruszył do swego własnego. Obsługa kuchenna i kucharze spoglądał: na niego dziwnie, tak jakby bali się odezwać. Musiał narozrabiać nielicho po zaciukaniu tych Wietnamczyków. Te także było nieliche wariactwo.-McCloud ma chyba rację Ale nie mógłby pójść do psychospca. Z tym głównem jui skończył. Może po prostu potrzeba mu przerwy, a może będzie w porządku przez jakiś czas, kiedy już to wyrzuci: z siebie. Wrócił do swego namiotu i położył się.

Żydzi mają .kupę pieniędzy i trzymają się ich. Są sprytni, pilnie pracują, a ich kobiety mają większe cycki niż baby gojów. Tak uważał aż do połowy drugiego roku studiów. Susie Rosen chodziła razem z nim na wykłady z historii, parę razy robiła do niego oko, była przystojna i przy kości.

Przypuszczał, że jest Żydówką, bo Al Rosen, który grał na trzeciej bazie w drużynie Cleveland Indians, t< Żyd. Susie pochodziła z Cle^eland, ale nie była spokrewniona z Alem Rosenem.

142

Na tydzień przed feriami Bożego Narodzenia przyszedł historię o pięć minut za wcześnie. Usiadł obok Susie >sen. Wyjęła uczelnianą gazetkę i pokazała mu jego fo-grafię w stroju futbolowym pośrodku strony.

— To ty, prawda? — spytała.

— Chyba tak.

Nie oglądał jeszcze tej gazety, ale wiedział, że piszą ar-kuł, w którym podsumowują sezon i omawiają perspek-wy na rok przyszły. Było to dobre zdjęcie, on odchylo-r do tyłu, ze sztywno wyciągniętą ręką.

— Więc to ty jesteś nadzieją na następną jesień? — spy-ła.

— Tak piszą?

— O, tutaj. — Wskazała akapit i roześmiała się. — Na-awdę lubisz to robić?

— Chyba nie cierpię. — Tak dobrze było to powie-ieć.

— Więc po co się tym zajmujesz?

— Chodź ze mną na kawę po wykładzie, to ci powiem. Zaprowadziła go do mieszkania, które dzieliła z inną iewczyną. Reszta owego dnia wprawiła go w zdumie-e. Ta dziewczyna naprawdę słuchała muzyki klasycznej a przyjemności, czytała poezję, bo ją lubiła, i miała siebie na ścianach obrazy, tak jakby jej mieszkanie było ymś w rodzaju galerii malarstwa. W porównaniu z tym go pokój w internacie wydawał się dziecinny. Na ścia-ich miał tam tylko znaki „Stop”, które pozrywał na rzyżoWaniach, fotografię Howarda Cassidy z autogra-m, zdjęcia swoje i

chłopaków z drużyny, wycinki z gazet, jonową reklamę piwa Millera High Life i parę rozkładó-ek z „Playboya”.

A ten jej ciepły swobodny sposób mówienia o sobie .wiadomił mu, jakie drętwe było jego życie, jak głupio st powściągać swoje odczucia. Dotykała go inaczej niż te zie z uczelni, nie próbowała tylko obmacywać jego mu-:ułów czy gładzić członka. Chciała się zbliżyć z ludźmi o kolacji podała wino — myślał, że robią to tylko Fran-izi i Włosi — i tak go rozluźniła, że w końcu zaczął ga-

143

dać. Przez cztery godziny wylewały się z niego przerażające opowieści o ojcu.

Czuł się odprężony i wyczerpany, kiedy w końcu położył się do łóżka, i przyśniło mu się, że on i ojciec leżą nago obok siebie na dużym arkuszu dykty. Ojciec przestał oddychać i Slagel przykrył go zimnym białym prześcieradłem.

Nie pojechał do domu na Boże Narodzenie i został sam w mieszkaniu Susie, kiedy wyjechała do Cleveland. Wróciła tuż przed Nowym Rokiem i byli stale razem podczas końcowych egzaminów. Zaskoczył sam siebie dostając kilka dobrych stopni — po raz pierwszy podciągnął się powyżej średniej dostatecznej. Dotychczas stopnie zawsze mi załatwiali trenerzy. Po ostatnim egzaminie postanowili t< uczyć i urznął się pierwszy raz od miesiąca. Kiedy zbudził się rano, nic nie pamiętał. Oczy miał opuchnięte, a m czole guz jak ogromny ioładź. Susie opowiedziała, że trzeba było trzech ludzi, by go poskromić, i że narobił po-ważnych szkód w barze. Nie mógł tego zrozumieć. Mówiła że nagle wybuchnął rykiem jak wulkan, zaczął grzmocił szklanką po stole, póki się nie rozbiła, potem połamał stó i stłukł jeszcze kilka szklanek, aż wreszcie któryś z mąż czynn rąbnął go w czoło kuflem do piwa. Czuł się zawsty dzony i zmieszany. Bawili się tak dobrze i nie mógł po jąć, co go rozzłościło.

Właśnie po tym Susie zaczęła mówić o psychiatrze.

Doktor Bowen był jednym z najmłodszych psychospe ców w lipham Hali i poza tym, że wciąż chciał gada* © futbolu, był fajny. Slagel miał początkowo wątpliwość i wahał się, ale Susie i jej współlokatorka poszły z nin razem. Po. miesiącu nabrał zaufania do doktora Bowen. i w ciągu marca i kwietnia poczynił spore postępy. Móg teraz pogodzić się z wadami ojca i chociaż nadal miewa nagle napady gniewu, potrafił opanowywać je znaczni prędzej i bez dawnych niszcycielskich wybuchów. Wy niósł się z internatu i wynajął sobie mały pokój, ale przez większość czasu mieszkał u Susie.

Kiedy wreszcie zdobył się na to, by rzucić futbol, obój

m

Susie przeżyli fantastyczne tygodnie, nim przyszła pora czać się przygotowywać do egzaminów końcowych. Ni-ly nie myślał, że wiosna może być taka cudowna. Jeździ-do Canal Winchester, do Lockport i do Chińskich Ogro->w nad rzeką Scioto, gdzie wiosenne kwiaty i zieleń rły o tyle ładniejsze niż w Columbus. Kiedy egzaminy ż się zbliżały, Susie zaproponowała, żeby przeniósł się powrotem do swego pokoju, bo wtedy będą inogli lepiej i uczyć. Wiedział, żó czasem ją nudzi, bo tak bardzo zewyższała go umysłowo pod wieloma względami. Te-z mu to nie przeszkadzało, gdyż robił postępy i uważał, rozląka może mu nawet dać szansę wypróbowania sie-e w samotności. Musiał pilnować się jedynie wtedy, gdy pił. Czasami po-jali z Susie w „Barze Lary'ego" na High Street, lokalu :zęszczanym przez lekarzy i ich pacjentów. Dwa razy ochę się zalał z doktorem Bowenem i o mało nie stra-t panowania nad sobą za drugim razem, akurat na ty-:ieñ przed przeprowadzką do swego pokoju. Podczas na-epnejj wizyty doktor Bowen powiedział mu, że byłoby jzpieczniej nie chodzić więcej do baru, a Susie się z tym [odziła. Nie ma sensu wypróbowywać siebie, kiedy wyki mogą okazać się katastrofalne.

Jak wiele racji mieli doktor i ta dziewczyna! W tydzień jźniej, kiedy miał dosyć książkowania, a Susie poszła :żyć się z przyjaciółką, wybrał się do Larry?ego na piwo. rszedł frontowymi drzwiami i nagle coś zaczęło mu łomo-ić w żoładku niczym we wnętrzu bębna, jeszcze nim je-) umysł pojał to, co mówiły mu oczy. W loży w głębi iłowali się doktor Bowen i Susie! Żadnej wątpliwości, atrzał na nich w tęym napięciu — jak gdyby to był Im — czekając, aż podniosą wzrok i zobaczą

go. Doktor Owen spostrzegł go pierwszy i zbieleśniał na twarzy, a wte-
straciła rumieńce. Chwilę ibawiał się myślą o tym, co im przelatuje przez głowę, znał, że to
zabawne, uśmiechnął się i wyszedł. Trzy dni przesiedział w swoim pokoju nie śpiąc i cho-
do toalety i wracając na duży fotel. Susie

— Amerykańscy chłopcy

145

przyszła drugiego dnia, ale zdołał wychwycić jedynie urywki jej zdań. Usłyszał, że jest za mało
bystry, że je przykro i że wiele rzeczy było przyjemnych. Przed odejściem rozplakała się, ale on
mógł się jedynie uśmiechać. Czwartego dnia wstał z fotela, zjadł coś i doprowadził siii do porządku.
A potem uświadomił sobie, że zrobił to zi względu na wizytę u doktora Bowena, więc wrócił na fo
tel i przesiedział następne dwa dni.

Potem znów zaczął chodzić do sali gimnastycznej, ab; ćwiczyć podnoszenie ciężarów. Dwa razy
dziennie po trz; godziny. Jadł dobrze5 co rano przebiegał pięć mil i spę dzał co najmniej dwie
godziny dziennie przed lustrem tre nując zwody i uniki głową i ramionami. Nocą leżał n; swoim
cienkim materacu gładząc prężne mięśnie barków i nóg.

Zmęczony, opuścił klapę, żeby słońce nie wpadała d< namiotu. Obrócił się na brzuch na swoim
śpiworze roz myślając, że gdyby jego rodzice nie zginęli, pewnie nada by mieszkał w tamtym
pokoju i podnosił ciężary.

Obudził się ponownie o zmierzchu. Webber pociągał g< za nogę. — Czołem, panie kapitanie. —
Dźwignął się na łokciu

— Jak się czujecie?

— Nieźle. Ja...

— To dobrze. Słagel, powiem wam krótko i węzłowate. Wczoraj paskudnie narozrabialiście i
zgodnie z prawer powinniście siedzieć teraz w mamrze, ale ja o tym za pomnę. Robiliście dobrą
robotę, straciliście kupę przyjaciół i to nie było dla was łatwe. Więc to, co się zdarzyło wczoraj,
zostaje zapomniane. Jeżeli idzie o przyszłość, jest rc wszystko jedno. Możecie wrócić do plutonu,
być dowódcą drużyny albo nie, czy też odejść do bazy i pracować w sa mopomocy. Ale jedno chce
powiedzieć jasno: jeżeli jeszcze raz zrobicie taki numer jak wczoraj, powieszę was za du pę, i to
wysoko. Mamy tutaj prowadzić wojnę i wiem,, że to jest parszywe, ale nie daje wam prawa zabijać,
kog

140

am się spodoba. Przemyślcie to sobie dobrze. Jesteście innym z najlepszych żołnierzy, jakich
widziałem. Ale jeżeli jeszcze kogoś zamordujecie, będziecie musieli zapłacić taśnię za to —_ za
morderstwo. Możecie dać mi znać no, co chcecie zrobić. Rozumiemy się?

— Tak jest. Ja...

— W porządku. Zobaczmy się rano. Postarajcie się ibrze wyspać.

W umyśle kotłowała mu się nienawiść i zarazem szacu-k dla Webbera. Czuł się dotknięty, że go
nazwano mor-rcą. Ludzie opłacili podatkami jego kule i życie ich to-yło się dalej, podczas gdy jego
się urwało. Za ciężko ło o tym myśleć. Zapalił skręta i zaciągnął się chciwie, óbując odzyskać
spokój. Tamci pozabijaliby jego żoł-arzy, gdyby ich zaskoczyli. Dlaczego wszyscy tak się
cyndalają? Przecież zwykle chcą, żeby zabijać jeńców,

nie? Ale już dość. Koniec z tym. Nic więcej się nie arzy. Trzeba się zastanowić, czy wróci, czy nie.
Leżał na śpiworze czując, że się rozpręża, kiedy mari-lana zaczęła działać. Czy Webber próbował
go kusić? Nie. madto był ciachnięty. Wyłożył kawę na ławę, jak męż-yzna. Ale w jakimś sensie to
było prawie wyzwanie, igle uświadomił sobie, że naprawdę jest dobrym żołnie-2m, bardzo dobrym
żołnierzem. Zawsze uważał się za szłego. ale jeżeli Webber mógł mu tak powiedzieć po m, co się
stało, to musi być prawda. Już nawet widział, k. się zaciąga nadterminowo, idzie do szkoły
oficerskiej zostaje zawodowym wojskowym. To nie byłoby najgor-2. Zresztą nic w zewnętrznym
świecie nie miało dla nie-

takiego znaczenia. Będzie musiał zostać w plutonie, icząc postępować trochę bardziej
odpowiedzialnie, nic ęcej. Poza tym zabijanie nie sprawiało mu w gruncie szych przyjemności. Tylko

że doprowadzili go do ostaszości. Może gdyby przestał brać pigułki i palić tyle go paskudztwa, wzięłyby się bardziej w garść. Teraz nie ógł wrócić do bazy. Wszyscy pomysleliby, że jest kopnię-. Po jeszcze jednym tygodniu żołnierki sprawdzi się zno-

147

wu i wszystko pójdzie w niepamięć. Zresztą jeszcze tylkf siedem miesięcy.

Zapalił ostatniego skręta, po czym wsadził te, co mu po zostały, i wszystkie pigułki do torby, by je wyrzucić. Położył się znowu i zaczęły mu się snuć obrazy jego sameg< z drużyną. Można by zrobić z tych ludzi fajną grupę -dobrych żołnierzy, a wesołych także. Mogłoby być tak ja] za dawnych dobrych czasów, zanim ich zdziesiątkował w Szczęśliwej Dolinie.

Gwizd przypomniał mu syrenę policyjną słyszaną pewnego wieczora w Berkeley w piosence Boba Dylana. Nawę nie skulił się przy pierwszym wybuchu, który zabrzmiał głucho i daleko. Różne głosy krzyczały: „Ostrzał! Ostrzał! Siadł i nałożył na głowę swój stalowy garnek Obok na miotu kantyny, o pięćdziesiąt jardów dalej, był bunkier Slagel zatrzymał się przed namiotem, by zapiąć pas. Punk paliwowy na drugim końcu obozu zamienił się w kulę po marańczowego ognia, na którego tle rysowała się sylwetka jeepa z przyczepą o kilka kroków w lewo. Kiedy koło nie przechodził, wtargnął mu w głowę wysoki gwizd. Zawrócił od przyczepy i począł biec, a wtedy straszliwa eksplozja podcięła mu nogi. Runął do przodu nie mogąc nawę wyciągnąć rąk, aby złagodzić upadek. Zwalił się tak, ja gdyby ktoś rąbnął go w krzyż lodowatym ostrzem topion

10

Morgan wpatrywał się znad kontuaru w nocną czerń n zewnątrz .namiotu. Nareszcie spokój. Greene wyciągnął g z kasyna o dziesiątej, kiedy przyszedł pierwszy z dwudzie stu siedmiu meldunków o stratach. Teraz robota była już zakończona i raporty dzienne o stanie osobowym z każdej kompanii leżały przed nim w wyrównanych stosikach, cze kając na zestawienie i wysyłkę do dywizji o drugiej. Ni mógł pojąć, dlaczego zmieniono porę składania sprawozda z godziny dziesiątej rano.

Może to Westmoreland chciał j mieć o innym czasie, a może McNamara albo sam prezy-

148

nt Johnson. Morgan widział raporty zbiegające się jak Llion maleńkich dopływów w jedną gigantyczną rzekę, gdzie miał swój udział w tym, co czyta prezydent. Smie-
IU warte.

Nazwisko Slagela spoglądało nań z raportu kompanii C. ażko ranny, już wyewakuowany do Japonii. Morganowi ścisnęło się w żołądku, kiedy zobaczył meldunek o strach, całe ciało ogarnął bezwład i nerwowość na myśl tym, że nie może nic zrobić poza czytaniem i rejestracją. ^jestracja go uspokajała. Wpisywanie nazwiska w pięciu żnych miejscach sprowadzało zdarzenie do rzędu informacji, którą należało przekazać dalej. Nie widział krwi, e słyszał krzyków bólu. Zdawało mu się ciągle, że Tom gdzie obecny, kiedy batalion wróci z pola. Albo że będzie w polu, kiedy Morgan zjawi się tam pod mieć miesiąca. Wcześniej tego wieczora, patrząc na stosik meldunków o stratach, miał pewne wątpliwości. Kapral ;out, karabinowy w maszynie pościgowej pułkownika, :óry udzielił Morganowi paru pouczeń na lądowisku, do-ał licznymi odłamkami szrapnela i leżał teraz w szpitalu izy dywizji. Zastrow, dowódca jego załogi, został wy-yakuowany do Japonii" razem ze Slagelem. Przez półto-;j godziny Morgan miał wątpliwości, czy wyruszenie w 3le jest mądre, i o mało nie powiedział swojemu sierżan->wi i kapitanowi Greene, że zostanie w S-l na resztę swo->j tury. Lecz teraz wioząc wśród cichej nocy raport do Dwódtwa, zrozumiał, że chce iść. Powziął decyzję i bezie się jej trzymał.

Nie wiedział, czego chce bardziej: iść w pole, czy odejść S-l. Greene, który w zeszłym miesiącu znowu został rzedstawiony do awansu na majora, doprowadzał go do :ału. Tak samo Chase, sierżant personalny. Z początku [organ go lubił — Chase był młody, sprawny, nie żaden rzuchaty alkoholik, jak większość zawodowców. Praco-rał usilnie i postanowił sobie nie zdradzać żony przez rok arojej nieobecności. Ale te miesiące odbiły się na nim ostatnio zrobił się czymś w rodzaju żółzowatej

starej ba-y. Greene stale g© frustrował, bo czytał wszystkie doku-

149

menty i odrzucał rozliczne uproszczenia Chase'a. Czasam Chase przypominał Morganowi starego wykastrowanego kota, który interesuje się tylko żarciem i spaniem. Odseparowanie się od Chase'a i Greene'a nie byłoby więc powodem do żałowania. Dzień po dniu wszyscy trzej przesiadali w namiocie, złościąc się na siebie o byle co. Pójście w pole równałoby się niemal wyjazdowi na urlop.

Wróciwszy do namiotu wyjął piwo z chłodziarki Alexandra i przysiadł na krawędzi łóżka. Wyobraził sobie samego siebie w drzwiach śmigłowca, w kasku lotniczym i kamizelce przeciwłamkowej, mknącego nad wierzchołkami drzew. O ile to lepsze od przekładania papierków z miejsca na miejsce, od zżymania się na facetów, że zostają ranni i przysparzają mu dodatkowej roboty! Wiedział, że nie ma to nic wspólnego z wojną, a przynajmniej walką z wrogiem. Wietkong i Wietnamczycy z Północy nie są większymi wrogami niż Greene czy Stubbs. To ludzie z którymi prowadzi się grę. Trzeba akceptować reguły i konsekwencje. Może to niesłuszne, ale uda się tam, gdzie go prowadzi instynkt. Potrzebował jakiegoś bodźca. Jego życie było dotąd zbyt zwyczajne, zbyt cholernie nudne.

Trudno znaleźć życie bardziej normalne. W 1953 roku został przetransplantowany ze Środkowego Zachodu do Los Angeles. Jego ojciec przymierał głodem podczas depresji, walczył w drugiej wojnie światowej, pracując jak szatańskie doświadczenie kierownicze stanowiska w firmie mechanicznej w Van Nuys, dawał synowi za dużo, zanadto ułatwiał mu życie. Syn oczywiście był niewdzięczny. Przez całą szkołę podstawową i średnią dostawał złe stopnie, a kiedy ukończył naukę z wynikiem dostatecznym minus, jego ojciec (który musiał opuścić szkołę w ósmej klasie) nie mógł nawet kupić mu wstępu na uniwersytet. Jednakże syn rozkwitnął w niższym college'u. Wyrzekł się swego dotychczasowego świata sportów i klubów, i samorządu studenckiego, wyrzekł się blezerów, snobistycznych strojów i krótkich włosów. Czytał, rozmyślał nad tym, co przeczytał, dostawał stopnie bardzo dobre. Ma się rozumieć, ojciec mówił, że dobre wystarczą. Czemu nie pograć tro-

150

ę w piłkę, nie wstąpić do jakiejś korporacji, nie robić ch wszystkich rzeczy, do których on sam nigdy nie do-

edł?

Morgan wstąpił na Berkeley, dawał sobie dobrze radę, potem coś się popsuło i rzucił studia na ostatnim roku, tydzień przed zastrzeleniem Kennedy'ego. Poprzedniego zaczął odczuwać nieodpartą potrzebę wybuchów, upiwniania się i niepowściągliwości. Spędził trzy dni w areszcie, był zachwycony, ponieważ coś zrobił, a nie tylko przeżył o tym.

Czytanie bowiem już mu nie wystarczało. O życiu, wszem, ale to nie było naprawdę życie. Kiedyś chciał żyć, ale jakże mógł to robić, nie wiedząc nic poza tym,) wyczytał w książkach? Któregoś wieczora, czytając Sie-nki rybackie Phineasa Fletchera, popijając wino musz-itelowe Galio i słuchając płyty Pinka Andersona Vve ot Minę, doszedł do wniosku, że nie potrzebuje więcej lodzi na uczelnię.

Pił, uganiał się za kobietami, podróżował autostopem, :ździł pociągami towarowymi mając flaszkę taniej whisky ' swojej zielonej torbie na książki, zachodził do obskur-ych barów w Oakland i San Francisco w poszukiwaniu oświadczeń, cierpienia. Dotychczas miał łatwe życie i nie ;ógł czuć się pełnym ani akceptować swych przywilejów, opoki przynajmniej nie pokosztował niedoli innych. Wędrował po kraju splukany, zaznajając zmęczenia, głou i zimna. Chwilami to wszystko wydawało się jakąś zaradą, tak jakby był tylko podglądaczem, który nie ma prawa tam przebywać. Zawsze mógł zatelefonować do ko-oś na koszt rozmówcy, poprosić o pieniądze czy bilet autobusowy. Nie przerwał jednakże wędrówki, miał szczęście do ludzi, którzy stawiali mu posiłki, i nawet brnąc deszo w zimnie czuł się dumny z wilgotnych skarpet wy-ażających z przegniłych czubków butów. Przybył do Princetonu pod koniec marca i od razu uświa-lomił sobie swój błąd. Myślał, że wszystko będzie w po-żądku, że po tych cierpieniach na włóczędzie świat będzie tależał do niego. Alą nie miał pieniędzy i nie obliczył się

151

z ich absolutną i całkowitą koniecznością. Czepiał się jak pijawka swoich znajomych i czuł do siebie wstręt. Po trzech tygodniach poszedł do biura werbunkowego.

Doświadczenie, doświadczenie. Ze szkoły na włóczkę potem do wojska, do Fuldy -i do Wietnamu. JVEiał przed sobą jeszcze jeden szczebel drabiny. Walkę. Skoro tu był czemu nań nie wstąpić?

Wsunął się do spiwora i utkał pod siatkę przeciwmoskitową, żeby szczury nie mogły wskoczyć na łóżko polowe, gdy będzie spał.

Najnowsza operacja zakończyła się po pięciu dniach i kiedy Morgan wracał z pralni, jeepy i ciężarówki z innych kompanii toczyły się tam i z powrotem drogą batalionową przywożąc żołnierzy z lądowiska. W jednym z namiotów zastał Orville'a Chambersa, który rozwieszył siatkę przeciwmoskitową nad łóżkiem.

— Orville! Co słychać?

— Cześć, Will. Dobrze wyglądasz,

— I dobrze się czuję. — Pofolgował z piciem, odkąd Chase powiedział mu że może iść w pole, i całe jego ciało było zżawne, oczyszczone. — Zadowolony jesteś, żeś wrócił?

— Jasne, ale za cztery, pięć dni wyruszamy znowu.

— Żadnego odpoczynku?

— Gotów jesteś iść do linii, Morgan? — Brooks, były kancelista, teraz karabinowy majora Quinna, klepnął go w plecy.

— Cześć, Brooks. Jasne. Właśnie się uczę kaemów.

— To dobrze. Do zobaczenia.

— Pierwszego na pewno. — Musiał się uspokoić. Miał przed sobą jeszcze trzy tygodnie. —

Napijemy się dzisiaj piwa, Orville?

— Czemu nie? Wszyscy się szykujecie do kaemów, co? — Paciorkowate oczy Chambersa zwięzły się w jego wielkiej twarzy.

— Chyba tak. A tobie się to podoba?

— Lepsze niż łożenie, ale jednak parszywe. Szkoda To-ma,

152

— Naprawdę szkoda. — Morgan usiłował zachować spokój, ale to mu nie wychodziło. —

Widziałeś go po tym, jak

lerwał?

— Nie. Sanitariusze go zabrali, a potem odleciał do Jamii. Miałeś o nim jeszcze jakieś wiadomości?

— Tylko tyle, że jego stan jest krytyczny.

— Pewnie już nigdy nie będzie chodził. — Chambers wiedział to spokojnie, zdecydowanie.

i— Jak to?

— Sanitariusze mówili, że nie mógł się poruszyć, kiedy go podnosili. Miał w plecach odłamki, duże kawały. Pewnie mu rozkwaśły kręgosłup,

— Trudno sobie wyobrazić Toma nie mogącego chodzić. — Morgan wzdrygnął się, ujrawszy w myśli Slegela

fotelu na kółkach. — Chyba go jakoś wyreperują.

— Nie stawiałbym na to. Oni tam zapieprzają ludzi na nien. — Chambers zatoczył ręką koło nad głowę. Padgett zjawił się przed posiłkiem i wszyscy trzej poszli do kasyna, kiedy Morgan zakończył pracę. Nigdy iszczę nie widział LaMonta Padgetta w takim stanie. Drechy poplamione błotem i smarem, włosy długie, daszek aseptycznej czapki przekreślony komicznie w bok. Oczy dały zaczerwienione i zmęczone.

Wzięli sobie po piwie, ale nie mogli znaleźć takiego miejsca do siedzenia, gdzie nie otaczałoby ich pięćdziesięciu wrzeszczących ludzi. Koło baru stał stolik do kości,

pod ścianą w głębi automaty do gry, w której żołnierze rzucali monety i walili pięściami z twarzami pełnymi ticiwego wyczekiwania. Znadto przypominało to Fuldę me mundury, nie było kelnera, tandetnych orkiestr wyranżerowanych dziwek pocierających ryjami o mikrofony, ale nastrój ten sam. Głód, rozpaczliwe pragnienie obietnic, koleżeństwa, zapomnienia. Sukcesu w czymkolwiek, choćby z automatami do gry. Trzy trafne wrzuty i wrywało się parę doków.

— Zabierajmy się stąd — powiedział Chambers. — Nie logę dosłyszeć własnych myśli.

Poszli do starego bunkra za namiotami S-4, przy którym

153

worki z piaskiem przegniły i porozłaziły się od nadmian słońca i wody. Wdrapali się na nie i zasiedli kołem. Pad-gett na wpół zasypiał, a Chambers mówił o pójściu ns studia. Napisał do Uniwersytetu Stanu Minnesota i obliczał, że jeżeli go wcześniej zwolnią, będzie mógł dostać się na trymestr wiosenny następnego roku. Wstał po wypiek tylko jednego piwa.

— Idziesz, LaMont?

— Jeszcze chwilę popalę z Morgiem. Zobaczymy się rano.

Jakiś czas siedzieli w milczeniu, po czym Morgan zapalił skrećta. Podawali go sobie bez słowa. Noc nadeszła prawie niepostrzeżenie i Morgan widział twarz Padgetté jedynie w chwilach, gdy ją nierównomiernie oświetla! czerwony żar papierosa. Pykały wirniki, kiedy śmigłowce łagodnie mrugając czerwonymi i żółtymi światełkami, osiadały na odległym o pół mili lądowisku. Nagły podmuch wiatru zaszeleścił liśćmi palmy nad ich głowami.

— Jerrie rzuciła mnie, chłopie — powiedział Padgett.

— Niemożliwe.

— Ale to dziwka, co? Rzuciła mnie dla jakiegoś czarnucha, z którym się kiedyś zadawałem.

— O rany, przykro mi, LaMont.

— To nic wielkiego. Po prostu przypomniałem sobie, jak ty, ja i Tom ganiailiśmy po Nowym Jorku z nią, jego siostrą i moją kuzynką.

— Dobrześmy się bawili.

— Cholernie dobrze. Ale to wszystko już poszło w diabły, nie? Siostra Toma zamężna, kuzynka zamężna, a teraz Jerrie dała dyla z tym palantem.

Morgan doznał erekcji na: samą myśl o Patti Slagel, Zmyslna mała pielęgniarzeczka, która złowiła sobie doktora.

— Może ją odzyskasz, jak wrócisz do kraju.

— Pieprzę tę dziwkę. Może przyjadę do Kalifornii i wszyscy razem się zaprawimy i będziemy gadali bzdety na rogu ulicy. Powiesz im, że jestem jak Kaczor Donald, łązę sobie kaczym chodem i wszystko jest dla mnie smro-

154

n — Padgett zaśmiał się ze znużeniem. — Ja i Tom aliśmy sobie cizie także i w Cheo Reo. Chyba wtedy ij byśliśmy w trzech czwartych stuknięci. Kiedy patrza-i, jak kosił tych Wietnamczyków, mówiłem: „Dobra, topie, urznij jednego za mnie.” Przykro mi było, a jakże, im nadzieję, że się pozbiaram przy następnej operacji.

— Co się stało Tomowi? Dlaczego to zrobił? Padgett opadł na wznak i mruknął:

— Nie wiem, cholera. Może wtedy wydało się to dobrym myśłem. Wiesz, Slagel pewnie się wściekł widząc, jak izie się marnują i konają dokoła niego. W Cheo Reo mało nie zabiliśmy kilku żółtków z armii Południowego Ietnamu. Jeszcze parę kolejek i bylibyśmy to zrobili, y ja wiem, człowieku? Dlacze*go ktoś coś robi?

Nie umiał na to odpowiedzieć, ale wydało się, że powin-być jakieś ostrzeżenie, zanim człowiek dostanie takiego ta. Ktoś powinien był to zauważyć, dać Tomowi parę i odpoczynku. Jego czyn budził w nim odrazę, ale nie ędział mu snu z powiek. Jakaś część jego umysłu na-łniał respektem sam ogrom faktu, że ktoś zaszedł tak da-ło w strefę nieopanowania.

On także kiedyś dostał amoku w Fuldzie, ale to było zez alkohol popędzany w jego żyłach przez pigułki od-ludzające. Wdrapał się wtedy na dach garażu, przesko-ył na balkon jakiegoś domu i rozbijał okna i drzwi w »goni za czyjąś żoną, dopóki go nie zabrała żandarmeria, agel parę razy dostał szau w Fuldzie, tak samo Padgett. resztą prawie wszyscy, z wyjątkiem poczwiwego, zrównozonego Chambersa. Skąd można wiedzieć, kiedy to 'zyjdzie na człowieka?

Morgan pożegnał się z Padgettem i Chambersem, a pc-m zawiózł Stouta na lądowisko. Batalion wracał w pole Stubbs wysyłał z nim Stouta.

— Gotów jesteś isć tam znowu? Stout wzruszył szerokimi ramionami.

— Chyba tak. — Wyglądał naprawdę na starego żołnie-a, a miał tylko dwadzieścia lat. Mocno

opalony, z duży-[krzaczastymi wąsami zwisającymi z kącików warg na

155

ai — Padgett zaśmiał się ze znużeniem. — Ja i Tom aliśmy sobie cizie także i w Cheo Reo. Chyba wtedy aj byśliśmy w trzech czwartych stuknięci. Kiedy patrzy-a, jak kosił tych Wietnamczyków, mówiłem: „Dobra, topie, urznięj jednego za mnie.” Przykro mi było, a jakże. tm nadzieję, że się pozbiaram przy następnej operacji.

— Co się stało Tomowi? Dlaczego to zrobił? Padgett opadł na wznak i mruknął:

— Nie wiem, cholera. Może wtedy wydało się to dobrym myśłem. Wiesz, Slagel pewnie się wściekł widząc, jak izie się marnują i konają dokoła niego. W Cheo Reo tnało nie zabiliśmy kilku żółtków z armii Południowego ietnamu. Jeszcze parę kolejek i bylibyśmy to zrobili, y ja wiem, człowieku? Dlacze*go ktoś coś robi?

Nie umiał na to odpowiedzieć, ale wydało się, że powin^ być jakieś ostrzeżenie, zanim człowiek dostanie takiego ta. Ktoś powinien był to zauważyć, dać Tomowi parę i odpoczynku. Jego czyn budził w nim odrazę, ale nie ędział mu snu z powiek. Jakaś część jego umysłu na-łniał respektem sam ogrom faktu, że ktoś zaszedł tak dato w strefę nieopanowania.

On także kiedyś dostał amoku w Fuldzie, ale to było zez alkohol popędzany w jego żyłach przez pigułki od-udzające. Wdrapał się wtedy na dach garażu, przesko-ył na balkon jakiegoś domu i rozbijał okna i drzwi w igoni za czyjąś żoną, dopóki go nie zabrała żandarmeria, agel parę razy dostał szalu w Fuldzie, tak samo Padgett. 'eszta prawie wszyscy, z wyjątkiem pocziwego, zrówno-ażonego Chambersa. Skąd można wiedzieć, kiedy to zyjdzie na człowieka?

Morgan pożegnał się z Padgettem i Chambersem, a po-m zawiózł Stouta na lądowisko. Batalion wracał w pole Stubbs wysyłał z nim Stouta.

— Gotów jesteś iść tam znowu? Stout wzruszył szerokimi ramionami.

— Chyba tak. — Wyglądał naprawdę na starego żołnie-a, a miał tylko dwadzieścia lat. Mocno opalony, z duży-i, krzaczastymi wąsami zwisającymi z kącików warg na

155

szczęką, sprawiał takie wrażenie, jakby był na wojnie o< dziesięciu lat. — Jedyna pokićkana rzecz to sen. Dzisiaj przyśniło mi się, że jestem na lądowisku w biały dziei i raptem coś zaczyna spadać ze słońca. Wiem, że to pocisl z mózdzierza, ale kiedy się zbliża, widzę, że to jestem js moja twarz, która z nieba szczyrzy zęby do mnie stojąceg na ziemi. Zbudziłem się, zanim to wybuchło; leżałem n podłodze i wrzeszczałem na cały głos. Poza tym jester okej. Przynajmniej Stubbs tak uważa.

— Skubaniec!

Stubbs właśnie wrócił z urlopu okolicznościowego w Sta nach, ponieważ jego żona miała jakoby kłopoty z ciąż? Wszyscy wiedzieli; że to lipa. Prawdopodobnie zbajerowa Czerwony Krzyż, żeby sobie trochę odpocząć. Dał to d zrozumienia Alexandrowi podczas jednej z wypraw di miasta, a Alex powtórzył to innym z podziwem dla spryti Stubbsa.

Stubbs był cwaniakiem, ale nie takim bystrym, jak mi się zdawało. Alexander bujał go przez dwa miesiące, wy korzystując jazdy jeepem Stubbsa do pralni, aby handlo wać zieleniakami na czarnym rynku. Do tej pory on i Win ston zgarnęli co najmniej pięć tysięcy, a przy okazji dobrze się naciupciali,

— No, Timmy, uważaj tam na siebie. Pozdrów Zastro wa, jak wróci. Zobaczymy się pierwszego.

Dzięki za nauką

— Okej, Mórg. Trzymaj się.

Morgan siedział w jepee przed śmigłowcem obserwują^ przygotowującą się załogę. Stout miał na sobie kamizelki przeciwołamkową i kask lotniczy; sprawnie, nonszalancki zamontpwał lufy w karabiny, zerknął na otwory osłon; ogniowej, naciągnął rzemienie spadochronu i wlażł na swo je miejsce. Podniósł kciuk, w stronę Morgana, a poten śmigłowiec poderwał się z ziemi, wzniośł dziesięć stó] i skręcił o czterdzieści pięć stopni. Podmuchał zerwał Mor ganowi baseballową czapkę i obsypał piaskiem jego j jeep Potem śmigłowiec opuścił nos i skierował się na północ a Morgan przebiegł pxzez drogę, by podnieść swoją czapkę.

156

[astępnego dnia S-1 dostał ogromną paczką rozkazów eniesienia dla ludzi, którzy przybyli tu razem z dywi-

oraz formularz z wykazem odlotów, który należało pełnić w ciągu czterech dni. Greene nadzorował robotę

pilnie, jak gdyby jego życie od niej zależało. Cały baon zelektryzowała aktywność. Starsi sierżanci i kance*-i kompanijni stali się nagle usłużni, zestawiali listy, awdzali je raz, potem drugi, przynosili do S-1 i uzgad-li z główną listą batalionu. Morgan, Greene i starszy -zant Chase spędzali w namiocie kancelaryjnym po omaście godzin dziennie zestawiając przewidywane ity osobowe z projektowanymi uzupełnieniami. Chodze-

na posiłki czy popijawy stało się prawie niemożliwe, izie zasypywali Morgana pytaniami na temat rozkazów jazdu, prosząc, a nawet proponując łapówki, żeby się taó na listę w możliwie najwcześniejszym terminie tse zżymał się ze złości i wrzeszczał na każdego, kto żył się do namiotu. Kazał Morganowi przynosić posił-L nie wychodził nigdzie oprócz dowództwa dywizji.

Przygotowali listę na czas i następnego dnia po zakoń-aiu roboty Morgan postanowił zapytać Chase'a o swój azd. Do końca miesiąca zostało tylko jednaście dni ie miał ochoty, żeby go przetrzymali ze względu na k zastępstwa. Zaczekał do późnego popołudnia, kiedy iene już wyszedł, a on i Chase popijali colę w dusznym ącu namiotu.

- Ale to ulga. żeśmy skończyli tę listę, nie, Al?

- Jasne. — Chase złożył stopy na biurku j zaczął prze-cać mały notatnik zawierający listę główną.

— Zrobiłeś irą robotę, Will. Doceniam to. Cholera, dalibyśmy tu ie doskonale radę bez Greene'a.

- Chyba tak. Słuchaj, Al, a jak z moim odejściem?

- A bo co? — Chase sięgnął za siebie po notatnik z re-aminem.

- Nie chcę ci wiercić dziury w brzuchu, ale czy ja od-idzę, czy nie?

- Znalazłeś już sobie zastępcę? — Chase otworzył re-amin i zajrzał do niego.

157

— O co ci idzie?

— O to, co mówię.

— Znaczy, że to ja mam go znaleźć? — Nie mógł by taką mendą.

— Chyba nie spodziewasz się, że ja będę to robił.

— To twoje biuro.

— I mam kancelistę, z którego jestem zadowolony Ni chcę tego zmieniać.

— Jak, u licha, mam znaleźć sobie zastępcę?

— Na pewno coś wymyślisz.

Pognał do „Overhead”, ale tam ludzie gadali z takim za pałem o odjeździe do domu, że prawie nie zwrócili na nie go uwagi. Tak samo jego kumple z warsztatów napraw^anych. Wszyscy odjeżdżali. Nic ich nie obchodziło, czy dostanie to, czego chce. Bo jaki związek z tym miało pójścia do linii?

Jego ostatnią nadzieją był Greene. Nie chciał go prosić ale jak u licha mógł sam znaleźć sobie zastępcę? Nie mia3 żadnego wpływu na ludzi z dowództwa dywizji i nie mógł] im świadczyć żadnych uprzejmości. Chase miał go w rękę i gdyby Greene nie zechciał dopomóc, niewiele można bvk zdziałać.

O ósmej pojechał sam do dywizyjnego punktu natryskowego. Wr batalionie było teraz pod dostatkiem natrysków, ale chciał uciec od tego całego jublu. Cieszył się, że jegc przyjaciele mogą odlecieć, ale to nie miało nic wspólnego z nim samym. Gdyby mu jutro zaofiarowano bilet na samolot, nie przyjąłby go.

O dziesiątej zajechał do „Overhead”, aby zostawić swą brudną odzież. Alexander i Winston klęczeli na podłodze rozmawiając pośpiesznym szeptem. Drgnęli, gdy wszedł. Prócz nich nie było nikogo w namiocie.

— Sie masz, Móg — powiedział Alexander. — Chodź tu i popatrz prędko.

Morgan wepchnął drelichy do worka z bielizną do prania i podszedł do łóżka. Między tamtymi dwoma leżał na kawałku gazety ogromny stos banknotów dziesięcio-i dwudziestodolarowych. Duża rzecz.

— Beaucoup forsy macie tutaj, chłopaki.
— Trele morele — odrzekł Winston. — Będzie dwa razy le jutro, jak załatwimy interes w mieście.
— Mama-san daje teraz dwa bony za jednego zielenia— powiedział Alexander. — Do jutra wieczór będziemy [eli po dziesięć tysięcy na twarz
— Możecie kupić więcej gorzały dla „Oyerhead”.
— „Overhead” wysiada za parę dni — odparł Win-)n. _ Posyłam to mojej starej, i dopiero się zabawimy, s wróć!
Morgan podszedł do swego łóżka, ściągnął buty i wło-ł czyste skarpetki.
— Te wasze kursy do pralni opłacają się, co, Alex? Żałował, że nie czuje żadnego podniecenia, ale to wyda-ilo się głupie. Pieniądze nie mogły rozwiązać żadnych go problemów.
— Wiadomo, Stary Stubbs myśli, że jestem ogromnie zynny, bo jeżdżę co dzień do miasta za niego.
— Głupi jest ten pierdoła — powiedział Winston. — Za-żę się, że sam próbowałby coś zachapać, gdyby wiedział, robimy.
— Doprawdy, sierzancie Winston? — Stubbs wynurzył I z ciemności wchodząc pod klapę namiotu. Gęste brwi astały mu się diabolicznie nad nosem. Twarz promienia- złośliwym tryumfem. — Czy macie jakieś pojęcie, ile asu możecie przesiedzieć w pierdlu za działalność czar->rynkową? I za obrazę oficera?
— Nie chciałem obrazić pana majora — odrzekł Win-on. — Jeżeli pan chce tych pieniędzy, to proszę bar-jo. — Był kompletnie przerażony.
_I za próbę przekupienia oficera? — Stubbs miał za lżo pychy, żeby przyjąć pieniądze. Jego szydercze zwy-ęstwo hamowało wściekłość z powodu zniewagi. — No co, Alexander?
— Nie wiem, panie majorze.
— Czego nie wiecie? — ryknął Stubbs — Panie majorze, nie wiem!
— Morgan, co wam o tym wiadomo?

159

— Nic, panie majorze. Wróciłem z natrysków i własni jadę do personalnego.
— To jedźcie. Sam załatwię się z tymi dwoma
— Tak jest.
Zastanawiał się, jak bardzo im Stubbs dosoli. Miał w so bie jakąś mściwość, zapewne dlatego, że był rozgoryczon; swym brakiem wykształcenia i musiał borykać się o wszy stko, czego się dochrapał. Morgan żywił nadzieję, że nii potraktuje ich zbyt surowo, ale ich los nie był najważniej szą rzeczą, jaką miał teraz w głowie.
Kiedy wszedł do S-l, Greene szeleszcząc kartkami prze glądał coś w głębi namiotu.
!— Dobry wieczór, panie kapitanie.
— Dobry wieczór, Morgan. — Greene wyszedł zza bum busowego przepierzenia z wykazem w rękę. — Zrobiliśmy dobrą robotę z tymi przeniesieniami. Odtąd wszystko powinno iść gładko.
— Tak jest. Pan kapitan zostaje do sierpnia?
— Muszę dopilnować, żeby wszyscy się stąd wydostali Nie wyglądałoby dobrze, gdybym się wkręcił w kolejkę
— Panie kapitanie, sierżant Chase powiedział mi, że sarr mam znaleźć sobie zastępstwo. — Lepiej było od razu postawić kawę na ławę.
— Na co?
O Jezu, on nawet o tym nie myślał.
— Żebym mógł pójść na karabinowego majora QuinnL w końcu miesiąca.
— Aha. Powtórzcie, o co chodzi.
Powtórzył, co Chase mu powiedział, i dodał, że jego zdaniem jest to niewłaściwe i ma na celu przetrzymywanie gc bez końca w S-l. Greene słuchał cierpliwie, lecz. Morgar wyczuł, że w głębi duszy jest zadowolony.

- No cóż, Morgan, jeżeli sierżant Chase tak mówi, to nic nie mogę poradzić.
- Przecież pan kapitan jest adiutantem.
- To prawda, ale nie mogę przeszkadzać sierżantowi Chase. To on odpowiada za S-1, nie ja.
- Ale czy to w porządku?

Zasadniczo nie. Macie jeszcze dziesięć dni na znalezienie kogoś. To nie jest niemożliwe. Możecie sprawdzać tych żołnierzy w miarę, jak napływają, dowiedzieć się, któryś umie pisać na maszynie, i powinniście znaleźć kogoś, kto będzie wolał urzędować niż uganiać się za żołt-

Więc nie ma żadnej rady, panie kapitanie?

Bardzo żałuję, Morgan. Wykonaliście doskonałą robotę, i chcemy wam odpłacić pozwalając iść w pole. Ale dacie musieli przyłożyć się do znalezienia zastępcy, Morgan o mało nie przedarł na pół raportu dziennego z raportem osobowym. Miał ochotę zdemolować kancelarię, eszceć na Greene'a, powiedzieć mu, co z niego za ty gnojek.

- Tak jest, panie kapitanie — rzekł. — Jutro rano snę kogoś szukać.

- Powodzenia, Morgan.

Wtedy wrócił do „Overhead” po północy, Alexander Winston rozmawiali przy świecy. Światła pogaszono eszta namiotu już spała. Morgan potrząsnął głową rzysiadł na łóżku Winstona, naprzeciw nich obu.

- Niedobrze, chłopaki. Co on zrobi?)baj byli podenerwowani jak koty.

- Da nam spokój — odrzekł Alexander. — Trzeba się espać, chłopie. — Kiwnęli do siebie głowami, /Morgan wziął piwo z chłodziarki i odszedł do swego łóż-zadowolony, że nie mają ochoty rozmawiać. Nie był w stroju do tego, Przynajmniej nie dostanie im się zana-

Szybko wyłopał piwo i włożył do śpiwora. Sen przyj-e nie tak prędko. Chwilę palił, po czym obciągnął siat-

przeciwmoskitową i utkał ją pod śpiwór. U ludzi mogli go doprowadzić do szału. Miał chęć za-trdować Chase'a i Greene'a. Ciało naprężyło mu się, jak yby krążyła w nim elektryczność zamiast krwi. Co oni mbinowali? Jest dobrym kancelistą, ale to betka. Kaź-dureń by to potrafił. Stosować się do wskazówek i stu-ć na maszynie. Więc dlaczego uczepili się jego? Greene i zazdrości, nic więcej. Nigdy nie walczył. Nie mógł na-

- Amerykańscy chłopcy

161

wet dostać awansu. Chase pewnie myślał tak samo. \ sprytny jest, żeby zapieprzać w pole, chociaż może go jednak gryzie. Tylko dlaczego odgrywiają się na nim? JS jego wina, że są tacy.

Zdrzemnął się na krótko; ocknąwszy się usłyszał szep po drugiej stronie namiotu. Coś poruszyło się przy łóżl Winstona, a potem dwie postacie wymknęły się pod kl pą namiotu. Słuchał chrapania i mamrotania innych że nierzy. Cóż to za zwariowana banda przegranych facetÓA W chrapanie wdarł się przytłumiony wybuch gdzieś d leko, chyba za wzgórzem i za obwozem. Morgan miał n; dzieję, że nie będzie alarmu. Pewnie nocna salwa artyL ryjska. Nasłuchiwał uderzenia pocisku, ale go nie był Na ścieżce przed namiotem rozległy się kroki. W świat księżycyca dojrzał Alexandra i Winstona, którzy wpadli scłr lając się pod klapą namiotu, rozebrali się szybko i wsi nęli do swoich śpiworów.

W piętnaście minut później cały rzut tyłowy batalion stał uszykowany na drodze. Ktoś zamordował majoi Stubbsa wrzucając granat do budki, w której spał.

Ludzie z kryminalnego wydziału śledczego przesłuchali go o siódmej rano. Siedział do późna nad wykazem stanu osobowego i mógł widzieć kogoś na drodze czy w pc bliżu budek za S-3, gdzie Stubbs został zamordowany. Ni< nie widział nikogo. I nie znał nikogo, kto byłby cięty n Stubbsa. Resztę przedpołudnia spędził w namiocie kancelaryjnyr porządkując rozporządzenia i uzupełniając księgę stra" podczas gdy prowadzący śledztwo konferowali z pułkowni kiem, Greenem i innymi

oficerami. W południe wiedzia już, że Alexander i Winston nigdy nie zostaną przy skrzy nieni. Żadnych dowodów. Żadnych odcisków pMców n, drzwiach, a po wybuchu zebrało się na zewnątrz tyłu lu dzi, że nie podobna było odnaleźć siadów stóp. Stubbs wi dać nie powiedział nikomu o pieniądzach.

Kiedy Morgan wszedł do namiotu, Alexander i Winstoi

162

dzieli na łózkach przy chłodziarce i popijali dżin z mro-lą wodą. Wziął przybory do jedzenia i klapnął obok nstona. Kiedy dżin buzował mu się w piersiach, zdał)ie sprawę, że ci dwaj czekają na jego raport dzienny tym szaleństwem w S-l. Gdyby wiedzieli, że wtedy nie ił, pewnie by go zabili. Pociągnął trzy duże łyki mrożonej wody i potrząsnął >wą.

— Wygląda na to, że winowajca się wymknął. — Uwa-:, żeby używać liczby pojedynczej i mówić obojętnie, ; nie beztrosko. Nikt nie udawał, że przejmuję się Stubb-n, ale pierwszego dnia nikt też nie śmiał się z tego. — ;okolwiek to zrobił, z całą pewnością nie zostawił żad-ch śladów.

Opowiedział o porannym przesłuchaniu starając się nie strzegąc, że Alex i Winston odetchnęli. Miał wielką po-isę dać im do zrozumienia, że wie, ale nie było sposobu, iszedł na posiłek, aczkolwiek chętnie pozostałby w na-Locie niewidzialny.

Tego rana przyleciały maszyny Stouta i pułkownika, organ poszedł po obiedzie na lądowisko i zasiadł samot-e w śmigłowcu, podczas gdy Stout pomagał innemu kabinowemu usuwać jakąś usterkę. Kiedy siedział na po-odze i palił, ręce nagle zaczęły mu się trząść. Był w grun-e tzszej świadkiem morderstwa, a zatajał dowody za-dniczej wagi. To czyniło go współnikiem przestępstwa) fakcie.

Głowa drgnęła mu mimowolnie, kiedy pomyślał o Stubb-e. Budka miała wymiary około siedmiu stóp na siedem, bierali go z sufitu, podłe *i i wszystkich czterech ścia-2k. Morgan rozmyślał, czy Stubbs obudził się przed wy-uchem, czy kiedy drzwi się zamknęły i zdał sobie sprawę, ; wpadł w pułapkę, miał taką chwilę, gdy całe jego za-isne życie objawiło mu się w ułamku sekundy. Może pomoczył do wyjścia i dosięgło go to w powietrzu? Czy też sulił się w kącie? A może po prostu leżał w łóżku i za-;anawiał się, dlaczego ktoś zamknął drzwi. Morgan jeszcze mógł wydać tamtych, powiedzieć, że po

163

namyśle przypomniał sobie, iż jacyś ludzie wychodzili namiotu. To nie były żadne głupie wojskowe zagrywki: Zwyczajne morderstwo!

Obrócił się i położył dłoń na chłodnym metalu granat! odłamkowego. Uśmiechnął się na myśl o Alexie i Winsto nie, osadzonych na zawsze w Leavenworth albo proszą cych o dżin i mrożoną wodę przed egzekucją. Żadną mian nie byłby za to odpowiedzialny. Uzasadniał swoje milczę nie względami politycznymi, rasowymi, kulturowymi, a po tem prawie się roześmiał. Lubił ich, na rany boskie a Stubbsa nie cierpiał. A nic już nie mogło skleić na po wrót bebeczów Stubbsa.

Podniósł granat i przyłożył go do policzka. Taki chłód ny — mała oliwkowa kropla. Wdrapał się na siedzenie i zaczął ćwiczyć rzuty, przez rękę, pod ręką i w bok. Kie dy nadlatywało się nad cel z prędkością osiemdziesięciu węzłów, najlepszym sposobem było zapewne przytrzymał granat pod samym okiem, a potem cisnąć go szybkim wyrzutem ramienia, tak jak przy rzucaniu strzałkami do tarczy.

11

Padgett wyskoczył ze śmigłowca w falującą brunatną trawę, postąpił dwa kroki i padł na twarz, poczuwszy ból] przeszywający mu nogę. Zamknął powieki i dojrzał pod nimi liczne rozszerzające się czerwone kręgi.

— O kurwa! Sanitariusz!

Jego krzyk był ledwie szeptem pośród grzechotu karabinów i wycia śmigłowców. Strzały zamilkły i maszyny nabrały wysokości.

— Sanitariusz! Pluton ruszał z miejsca.

— Co się stało, bracie? — zapytał Kegg odkładając swój pistolet maszynowy i klękając koło

Padgetta.

— Bundzi. — Zaostrzony pal bambusowy tkwił w jego

164

owej nodze przebiwszy drelich sześć cali pod kolam. — Piecze, draństwo.

Sanitariusz Tuttle rozerwał spodnie wokoło rany.

— Małe zadrapanie, LaMont. Nic poważnego. — Wy-ignął pal.

Czerwień znowu wybuchła pod powiekami Padgetta.

— Ostrożnie, chłopie. Dlaczego wy, łapiduchy, chcecie wsze tak dogodzić człowiekowi?

Tuttle nalał brunatnopomarańczowego płynu na kawa-c gazy.

— Będzie trochę szczypało. — Przycisnął gazę do rany. Czerwone kręgi buchnęły purpurą. —

Pies cię jebał, yde! Cholera! — Zacisnął palce na karabinie i zazgrzytał bami czując, jak go całego oblewa gorąco.

— Wstań i idź — rzekł Tuttle.

— Jak tam? — zapytał kapitan Webber.

— Okej, panie kapitanie. — Poza szczypaniem nie bo-ło tak bardzo.

— Jak to wygląda, Tuttle?

— Paskudna dziurka, panie kapitanie. Może trzeba będę założyć parę szwów.

— Wezwę z powrotem któryś śmigłowiec.

— Siadaj, LaMont — Tuttle odjął gazę, ponownie prze-lył ranę, po czym obwiązał ją grubym bandażem. — To [ę podtrzyma aż do powrotu — mrugnął do Padgetta.

— Dziękuję, stary. Przynajmniej przez jakiś czas będę daleka od tego gówna.

Kiedy w namiocie sanitarnym kapitan McCloud zakładał andaże na szwy, wszedł major Quinn.

— Jak to wygląda, Mac?

— Będzie musiał spauzować, poza lekkim spacerkiem dla ozłuznienia mięśni.

— Chcielibyście dostać parę dni odpoczynku, Padgett? — 'ęby Quinna były żółte, prawie tego samego koloru co warz.

— Przydałoby się, panie majorze.

— Śmigłowiec zaopatrzeniowy wraca za godzinę do ba-

165

zy. Weźcie sobie pięć dni, jeżeli chcecie. Tylko wróćcie tutaj, zanim wyjadę.

— Dziękuję, panie majorze.

— Proszę bardzo, generale. — Quinn zasalutował mu i wyszedł z namiotu.

Major był fajnym gościem. Trzy razy zestrzelony, dwie katastrofy i poparzenia. I bojowy chłop.

Jedyny dowódca, który przez całą turę zachował swoją kompanię. Nie migał się i teraz, kiedy miał już niedługo odejść. Pracowa] usilnie nad wprowadzeniem nowego dowódcy w jego obowiązki.

Niewiele to pomagało, ale Quinn przynajmniej starał się podtrzymać morale, zapoznawał się z nowymi ludźmi, gawędził 25 żołnierzami w kolejce po posiłek. Nie udawał kogoś lepszego, tak jak inni oficerowie. Wykonywał to, co do niego należało, i nie robił z tego powodu hałasu.

Kiedy śmigłowiec wracał do obozu-bazy, Padgett wydłubał patykiem z załomków dżunglowych butów kawałki zeschniętej czerwopomarańczowej gliny. Nie żałował, że opuszcza na kilka dni spustoszoną dolinę la Trang. Możliwość styczności z nieprzyjacielem była duża, a on po prostu nie czuł się na siłach. Operowali wokół obozu oddziałów specjalnych w Plei Me, na wschodnich stokach gór oddzielających Wietnam od Kambodży. Po drugiej ich stronie rozlokowane były całe dywizje armii północniet-namskiej i któregoś dnia pluton strzelców mógł wpaść, i znowu zostać posiekany na kawałki, a niedługo musiała przyjść kolej na niego. Może ten dzisiejszy bundzi trochę to odwlecze.

Brakowało mu zieleni, takiej jak gdzie indziej. Drzewa w la Trang były całe szare, bo uśmierciły je bomby i kule, więc nie wypuszczały już liści. Nigdy nie widział tylu lejów ziejących w ziemi jak otwory w tyłku. I wyschniętych. Drelichy Padgetta były lekko zabarwione na pomarańczowo od pyłu. Nieomal z radością przyjąłby początek pory deszczowej.

W miarę jak się zbliżali do obozu-bazy, dżungla stawała się coraz bardziej zielona. Śmigłowiec

przeleciał nad

160

nią górą i skierował się wzdłuż przełęczy ku łądo-ku. Padgett odprężył się, omal nie zasnął. Może powi-1 zostać w namiocie i kimać przez parę dni. Nie brakło mu nikogo z drużyny i z przyjemnością czuł, że ile go nie obchodzi, co będzie się działo w polu. aedy ciężarówka wysadziła go na małym parkingu mię-kancelarią kompanii C a S-1, z namiotu wyskoczył rgan.

— LaMont! Nadziałeś się na bundzi? Jak się czujesz?

— Dobrze, stary. — Nie miał ochoty na żaden ogień za-:owy pytań. — Jak ci leci?

— Dalej tu sterczę. Cholerne dranie. Wciąż szukam za-pstwa. — Na twarzy Morgana odmalowała się złość, z potem posmutniał. — Wygląda na to, że nie będę ka-Dinował u majora Quinna.

— On i tak odfalowuje stąd za kilka tygodni.

— Po prostu chcę się wyrwać z tego zasranego miejsca. Rozstał się z Morganem i resztę popołudnia przeleżał na dcu w dużym namiocie. Namiot ten, nie zamieszkanym od godnia, wypełniał zapach stęchlizny. Powietrze było chysprzed miesiąca, zjelczale* nietknięte ludzkim życiem. Tego wieczora, idąc z Morganem na posiłek, zauważył ostokątne płyty cementowe pokrywające ziemię tam, izie przedtem stały namioty kompanii dowództwa.

— Zwinęli „Overhead”, co?

— A także całą kompanię B i dowództwo. Teraz pewnie)lej na A i C.

— Wszyscy siedzicie w namiotach?

— Powinniśmy. Wczoraj wieczorem tak się ubzdryngoli-m, że kimnałem w rowie koło namiotu Fishera. Morgan potrafił zasnąć piorunem, kiedy był pija-y. — Wróciłeś do gołdy?

— A co mam robić? Chciałbyś gołnąć sobie wieczorem?

— Lekarz mówi, że mi nie wolno. Ale parę piw chyba ie zaszkodzi.

Padgett nie chciał, żeby Morgan stracił panowanie nad Dbą. To głupi sposób picia i Morgan urzynając się tak, łógl kiedyś dostać w łeb. Nie potrafił po prostu podkrę-

167

cić się i weselić. A kiedy się zaćpał, nie pamiętał, czy n było wesoło, czy nie. Może byłoby lepiej, gdyby posze w pole. Miałby przynajmniej na czym skupić myśli.

— Żadnej akcji w zeszłym tygodniu, co?

— Bundzi i pułapki. Dosyć słabo. — Wydawało się, ; są na froncie od roku.

— Wolisz, jak tak jest?

— Nie wolę; tego na żaden sposób. — Nagle s wściekł. — Mam wyżej nosa tej roboty! Czekanie wkun człowieka tak, że prawie chce, aby żółtki się pokazały, t przecież wiadomo, że gdzieś tu są, do cholery. Wszysc są podhecowani. Będę zadowolony, kiedy to się skończy

— Jesteśmy teraz w połowie drogi. Rok temu dopier szykowaliśmy się do zgłoszenia na ochotnik^

— Nie ^ mówmy o tym. Słyszałeś coś więcej o Tomie?

— Dostał rozkaz przeniesienia do Walter Reed. Napisa łem do Patti, ale jeszcze nie miałem odpowiedzi.

Po posiłku Padgett poszedł za namiot Fishera, gdzi Morgan urzynał się od czasu zwinięcia „Overhead”. Padgett z wolna popijał piwo, palił „trawę” i mówił niewiele Inni gadali o Stubbsie i o dochodzeniu spartaczonym prze wydział śledczy. Padgett słyszał o Stubbsie tylko od Mor gama, nigdy nie miał z nim bezpośredniego kontaktu. Kie dy dotarła do nich wiadomość o morderstwie, pomyślał że mógł to zrobić Morgan. Ale Morgan by mu powiedział a gdyby nawet nie, zdradziłby się swoim zachowaniem Nie potrafił niczego ukryć.

Cholera! Nic go już nie poruszało. Że ludzie ginęli, byl: mordowani, tracili zmysły. Ach tak, a co dziś na kolację^ Spróbował wspomnieć kompanię C. Jedyndymi, którzej przyszli mu na myśl, byli Chambers, Webber, Todd i major Quinn. Czterech białych, dwaj ostatni południowcy A on tu siedział z innymi i słuchał ich bajdurzenia. Białe łachmyty. Gadają o wszystkich tych cipach, które

będą lizali, jak wrócą do świata. Dopił drugie piwo, zapalił świeżego skręta, powiedział, że boli go noga; i wrócił do swego namiotu, gdzie mógł być sam i pospać.

168

Kazano mu spacerować, żeby złagodzić drętwienie nogi, był to dobry sposób unikania służby. Część terenu dy-Lzji widział dotychczas tylko z powietrza, więc naza-trz po obiedzie zszedł w prawo z drogi batalionowej skierował się na północ tą, która wiodła wzdłuż obwodu, a obszary dwóch sąsiednich batalionów piechoty nie by-
nikogo, ale wszystko wydawało się przygotowane do irady. Duże godło pułkowe obwiedziono małym ogrodze-em ze lśniących mosiężnych łusek artyleryjskich, z zielonej trawy wyrastał biały maszt chorągwiany, z trego zwisał wiotko w bezwietrznym powietrzu sztandar xterykański. W ciągu dziesięcioleci czy stuleci pułk miał :ereg zawadiackich dowódców i bataliony zawsze prze-
ugały się wzajemnie w największej liczbie zabitych. Do :j pory obydwie miały coś około trzystu procent zmian sobowych, a dowódcę brygady dwukrotnie odznaczono rebrną Gwiazdą. Jasne! Za to, że woził swoją dupę na /ysokości pięciu tysięcy stóp w powietrzu i pakował ba-aliony w gówno. Padgett wszedł powoli na stok przy warsztatach na-irawczych dywizji, nie mogąc dojrzeć końca rzędu belek gonowych i tylnych wirników sterczących prawie aż do :rańca drogi. Próbował policzyć maszyny, ale dał spokój >rzy pięćdziesiątej. Za pierwszym szeregiem był drugi — ue tyle samo śmigłowców, lecz jednak cała kupa. Gdy tę-ly leciał z frontu, baza naprawcza wyglądała jak mrowi-;ko u północno-wschodniego krańca pola startowego. L bliska nie było widać jej końca. Osłony zerwane z błyszczących silników, wałki napędzające wirniki ©gonowe, arzechylone pod różnym kątem śmigłowce, po których tazili umorusani smarem faceci z kluczami do śrub i bla-
szankami oleju. Inni odrywali części śmigłowców, których wraki leżały odwrócone spodem do góry, jak rozkładające się ptaki, na przesiąkniętym oliwą lądowisku. Padgett odczuł nagłą potrzebę malowania. Gdyby miał farby i płótno, usiadłby na tej cholernej pyłnej drodze i zabrał się do roboty. Chciałby mieć płótno wielkie jak futbolowe boisko czy ściana długości stu jardów. Kształty

169

które widział przed sobą, zaczęły ciągnąć się w nieskoń czoność, a potem stały się groteskowe. Gdyby to namato wał, Guernica wyglądałaby przy tym jak wiejski jarmark Szaleństwo. Szaleństwo. Potrafiłby ukazać każdemu obłądną okropność tej całej sprawy. Twarze mechaników nie wyrażały niezadowolenia. Bezpieczna robota. Pewnie dostaną jakąś dobrą pracę, jak wrócą do świata. Ale gdyby ich namalował, pokazał ich takimi, jakimi naprawdę byli, kiedy wmontowywali postronki mięśni w te słabe ptaki — wtedy zrozumieliby, że poszaleli, że to, co robią, jest pozbawione wszelkich proporcji.

Gdybyż miał przy sobie szkicownik! To dopiero byłoby naprawdę pozbawione proporcji. Łażenie po terenach dywizji bojowej i malowanie obrazków. Tylko że przecież to właśnie robią fotoreporterzy prasowi. Obwozi ich jakiś szeregowiec, żeby mogli trzaskać zdjęcia śmigłowców i żołnierzy. Tak jakby fotografie mówiły cokolwiek o tym, co się naprawdę dzieje. Nigdy na nich nie ma żołnierzy chlejących albo palących marihuanę.

Skręcił powoli zakolem u północnowschodniego krańca obszaru dywizji, skąd droga zaczęła schodzić w dół aż do następnego zakrętu o ćwierć mili dalej. Wszystko ucichło, ale uprzytomnił sobie, że tylko w jego głowie. Chęć malowania zamierała równie szybko, jak zniknął obiekt malarski. W bazie naprawczej nie było zbytniego hałasu. Paru facetów pokrzykiwało, zapuszczano parę śmigłowców. Idąc północnym odcinkiem drogi obwodowej słyszał wciąż nieprzerwane pykanie łopat wirników, widział śmigłowce nadlatujące w górę na lądowisko.

Znalazł się teraz na terenie drugiej brygady i wiedział, że tutaj ludzi będzie mało. Tylko podstawowa obsada rzutu tyłowego — kanceliści, sierżant personalny, paru facetów z łączności i zaopatrzenia, obsługa kasyna jednej kompanii, kilku przegrańców, którzy dostali pietra albo bzika, czy oberwali nie dość ciężko, żeby ich odesłano do domu. Nawet nie położono dotychczas płyt cementowych pod baraki.

— Hej, bracie!

Rozejrzał się dokoła, ale nie dostrzegł nikogo. Po lewej stronie drogi była szeroka pusta przestrzeń, a dalej poje szeregi namiotów koloru khaki. Po prawej rzadka da drzew równoległa do drogi. Za nimi znajdowały się aocnienia obronne obwodu: Kilka stóp głębiej między zewami stał odrapany ustęp. Padgett usłyszał głupawy liech.

— Tu, bracie. W sraezu.

— Czego chcesz?

— Chodź tu, człowieku.

Podszedł do drzwi latryny. Chichot był obłąkany.

— Czego chcesz?

— Wejź do środka.

Otworzył siatkowe drzwi i wszedł. Tamten wyglądał jak ijąk, przygarbiony na brzegu sedesu. W desce ziały dwa

;wory.

— Poczęstuj się, chłopie. — Wyciągnął do Padgetta ma-Lerkę i zachichotał. Nie mógł mieć więcej niż dziewięć-ście lat, ale w jego oczach błyszczał podobny obłęd jak tych starych na rogach ulic w Newark, którzy wygadywali wyświechtane głupoty młodym chłopakom,

— Co w tym jest?

— Spróbuj, to będziesz wiedział. Ten typek był kopnięty. Muszkatel.

— Skąd wziąłeś muszkatel?

— Mój człowiek przywiózł z Qui Nhon. Padgett pociągnął jeszcze. Słodki, zgniły syrop.

— Niezłe, co?

— Nie najgorsze.

— Piję to cały dzień. Zmyłeś się z pola?

— Co?

— Pytam, czy zmyłeś się z pola, człowieku. Tak jak ja. Leżę sobie, cały dzień popijam winko, całą noc palę trawę. L<epiej niż w polu.

— Dlaczego siedzisz w sraezu?

— To moja robota, odkąd odszedłem z pola. Palenie odchodów. Ale nie palę niczyich, tylko własne, bo tutaj nikt

171

nie sra. — Odrzucił głowę w tył, oparł ją o ścianę i zaśmiał się obłąkańczo.

— Masz kota, chłopie. Jak tyś „odszedł” z pola?

— Po prostu im powiedziałem. Mojego szefa rozwalili w walce ogniowej, mój kumpel nie mógł się ruszać, więc przyfalowałem na punkt dowodzenia i powiedziałem im, że odchodzę, że rezygnuję, cholera. Oddałem im broń i usiadłem. Nie chciałem wstać. Odesłali mnie na tyły i kazali palić odchody. Ty też odszedłeś?

— Nie. Po prostu nadziałem się na bundzi i przyjechałem odpocząć.

— Powinieneś odejść, bracie. Murzyn musi być wariat, żeby tam sterczeć. Zrób tak, żeby myśleli, że jesteś stuknięty, jak ja. Kiedy im się wyda, żeś całkiem wariat, pietrają się i zostawiają twoją czarną dupę w spokoju. Tak jest. Jakby się do mnie znów przypieprzyli, mam wszystko gotowe. Popatrz.

Ukląkł i wyjął z podłogi trzy deski. Na kawale płótna leżał karabin maszynowy M-60 i granatnik karabinowy M-79, a obok pięć puszek amunicji i trzy ładownice pełne granatów. Dalej, w głębi wykopu, stała skrzynka z granatami ręcznymi.

— Przygotowałeś się, co?

— A jak? Teraz potrzebny mi tylko M-16, a dostanę go niedługo. Mam tu mały podkop i wszystko, co trzeba. Nawet trochę racji żywnościowych.

Biedak. Na wpół obłąkany, a pewno będzie całkowicie, zanim dojedzie do domu.

— Dziękuję za wino, bracie. Muszę już iść.

— A dokąd idziesz?

— Wracam do mojej jednostki.

— Pamiętaj, co powiedziałem, słyszysz? Zgrywaj wariata. To jedyny sposób, żeby wydostać się z tego gówna. Jakby się do ciebie przypierdalali, przychodź tutaj. Jest miejsce na dwóch. Padgett był rad, że wydostał się z terenu drugiej brygady. Znadto wyludniony, całkiem jakies cholerne miasto--widmo. Nadawalioby się to do namalowania, ale w tej

172

wili ta pustka sprawiała, że czuł się niewyraźnie i sa-)tnie. Ta cholerna Jerrie. Sypiała z jakimś zafajdanym arnuchem, kiedy on się marnował na polach ryżowych. Wszedł na pochyłość przy batalionie wsparcia. Za ogro-eniem z drutu kolczastego leżały zwoje takiego samego utu ciągnąc się na całe mile. I sterty worków z piaskiem, tki metalowych segmentów i pozwijanych namiotów, dej przy drodze stało pięć namiotów jednostki tropicieli, •zucani w dżunglę na kilka dni, wracali z przywieszo-rmi u pasów kciukami, palcami i uszami. Naprzeciwko ąska droga prowadziła do taktycznego ośrodka opera-rjnego dywizji i do G-1. Dwa zielone i białe domki wy-ądały dziwacznie na wzgórzu otoczone namiotami. Prze-laczone dla dowodzącego generała i jego zastępcy, przy-jminaly dwa podmiejskie drewniaki. Śmiłgowiec sanitarny nadleciał tak nisko, że jeep nie :zejechałby pod nim. Sanitariusze czekali przy lądowi-:u i gdy tylko płozy dotknęły ziemi, powyciągali nosze, noszowi pobiegli z nimi do szpitala polowego. Padgett rzystanął z boku drogi, przytrzymał ręką czapkę i pa-wzał. Całkiem jak igła, która zacięła się na płycie.. Cztery lała na maszynę. Pięć maszyn. Która to była jednostka ?m razem? Może jego drużyna. Ostatni śmiłgowiec po-erwał się z ziemi, wykonał pół obrotu, łypnął na niego ak gigantyczny konik polny, po czym odleciał do punktu ankowania. Padgett wyczuwał przez drelich twardy wałek ilizny na swoim boku. Trzy rany, cholera, a musiał znów wrócić za parę dni. Nie przejmował się tym ani swoimi ra-lami, ale przynajmniej mogli pozwolić mu skombinować obie jakąś dupkę przed powrotem. Poczul nagły głód ko-)iety.

Następnego dnia poprosił starszego sierżanta, żeby go ustawił na listę przepustek, po czym pojechał do miasta 5 Alexandrem i Winstonem, po lód i do pralni. Żandarm przy bramie dywizji obmacał worki z odzieżą, obrócił je l obmacał powtórnie.

— Macie tu coś poza bielizną?

-- Nic, szefie — odrzekł Alexander

173

Dał im znak ręką, że mogą przejechać.

— Wcale nie sprawdzał naszych kieszeni, co? — powiedział Winston.

— Co wy tam macie?

— Trochę szmalu, żeby pohandlować z mama-san — odparł Alexander. — Nie powiesz mi, że nigdy nie handlowałeś na froncie.

— Nigdy. Słyszałem, że ci, co są na wypoczynku, naprawdę dobrze zarabiają. — Miał zamiar wymienić parę zieleniaków, kiedy wreszcie pojedzie,

— W Nha Trang dają trzy za jednego — powiedział Winston. — Tu tylko dwa.

— Ile macie?

— Tysiączek.

<— Do diabła! Gdzieście tyle dorwali?

— Biali chłopcy lubią przegrywać forszę w pokera — odparł Alexander. — Przyłącz się do gry i kikuj na nas. Wygrasz sobie coś niecoś.

Tylko tego mu było potrzeba. Zacząć oszukiwać białych przy kartach. Zawsze go szlag trafiał, kiedy słuchał Murzynów chwających się, jak robią w konia białasów. Takie to marne. Można było strawić całe życie zastanawiając się nad tym.

— Jesteście pewni, że znajdę sobie dziś jakąś dupę? Potrzeba mi tego bardziej niż pieniędzy.

— Nie ma sprawy — odrzekł Winston.

— Będzie całkiem inaczej, jak to otworzą — powiedział Alexander. Wskazał w prawo od szosy, gdzie grupa Wietnamczyków pracowała pod dozorem kilku Amerykanów. Wznoszono w czworobok z pięćdziesiąt prostokątnych budynków. Rządowe burdele dla zapobiegania try-prowi.

— Wiesz, tam będzie nielicha obłapka — powiedział Winston.

— Otworzą to za miesiąc — rzekł Alexander. Skręcił w lewo drogą idącą do miasta, a potem zaraz w prawo, do pralni. Na jeepa wdrapali się trzej chłopcy krzycząc i żebrząc.

174

— Zjeżdżajcie! — powiedział Alexander i wysiadł z epa.

Wszystko tu było brunatne z wyjątkiem aluminiowego ichu. Dwaj starzy mężczyźni prasowali, podczas gdy ich ef ganiał tam i z powrotem, niczym w chińskiej pralni Nowym Jorku. Mała dziewczynka bawiła się przy stole Dd brunatną glinianą ścianą chaty.

— Papa-san — odezwał się Winston. — Daj piwa.

— I daj trochę ciup-ciup — dorzucił Alexander. — Pad-stt, ty masz ochotę, więc lepiej zrób to teraz. Pieprzone andarmy zaraz tu będą.

— Leng! — krzyknął papa-san na dziewczynkę, po czym owiedział coś po wietnamsku i popchnął ją do chaty. Wskazał Padgettowi drzwi innej chaty i wziął od niego zterysta piastrów. Wewnątrz było także brunatnie, powietrze pylnie szare. Lobieta, też brunatna i szara, weszła bocznymi drzwiami ączącymi tę chatę z główną. Wyglądała za staro, żeby w niej krążyły jakieś soki. Jej uśmiech nasunął Padgettowi la myśl trupa czaszkę, a kiedy ją obłapiał, spodziewał się dagle, że jego członek zachrobocze po małych kamykach :zy ziarnkach piasku. Usiłowała być miła, ale nie mógł patrzeć na nią, więc wstał i wyszedł, gdy tylko skończył.

— O kurczę, stary, chyba pobijeś rekord — powiedział Winston.

— Piers miałem wezbraną, chłopie. Dziura tej baby była pełna kurzu. — Wyciągnął dłoń, a Alexander w nią klepnął.

— Wstyd mi się przyznać, ale wrzuciłem całe metry fiuta w tę cholere.

Jakaś ulga. Niewielka, ale co numerek to numerek, lepszy niż spuścić się w rękę. Od miasta nadjechał jeep żandarmerii. Alexander zabrał upraną odzież i ruszyli z powrotem do bazy. W miejskiej wytwórni lodu, gdzie wymienili swoje zieleniaki, bloki -lodu kosztowały osiem dolarów za sztukę.

— Morgan będzie ci zazdrościł — powiedział Alexan-der. — Już dawno tego nie robił.

175

— Jemu nie zależy na ciupciani — odrzekł Winston. —

— Byliśmy razem od rekruta.

— I wszyscy zgłosiliście się 'tu na ochotnika? -Aha.

— Cholera! — powiedział Alexander i potrząsnął głową.

— On tam haruje jak wół — rzekł Winston. — Któregoś wieczora skończył dopiero o wpół do dziesiątej. Ledwie wrócił do namiotu, żeby coś sobie chlapanąć, zjawiły się dwa palanty i zapytały, czy nie pojechałby do dywizji i nie wystawił im rozkazów wyjazdu na wypoczynek. Gadali, że Chase nie chciał tego zrobić i powiedział, że Morgan może, jeżeli zechce, ale on mu nie każe. Morgan się wściekł. Zaczął wrzeszczeć, że zwariuje od tej roboty, że pieprzy to i pieprzy tamto; wiesz, jak on potrafi. Chłopaki nie mogły odjechać rano, gdyby nie dostały rozkazów tego wieczora. Więc w końcu tam pofalował i załatwił. Mówił, że musiał przekupić drelichami kancelistę w dowództwie, bo także nie miał ochoty pracować. Podziwiam go od tej pory, chłopcze. Jeszcze nie widziałem, żeby ktoś w wojsku zrobił coś takiego.

— Zawsze pomaga, jeżeli może.

— Tak, Padgett — odparł Alexander. — Ale jest całkiem uchechłany pod tą ikrą. O rany, chłop którejś nocy przespał alarm, tak się zachłwał. Pewnie nawaliłby w polu.

— Zgadzam się — powiedział Padgett. — Jemu się zdaje, że to zabawa. Chyba nigdy nie zmieni zdania, dopóki się tam nie dostanie.

— A co z tobą, człowieku? Dlaczego się stamtąd nie wyrwiesz?

— Myślałem o tym, Alex. Może jak Quinn odjedzie, ja także się wyniosę. Robi się coraz gorzej i gorzej, im więcej nowych przychodzi. Plunę na to po następnej operacji.

Czemu nie? Zarówno Quinn, jak Webber odchodzą. Nikomu nie jest niezbędny. Przelknął z

wysiłkiem ślinę, gdy uświadomił sobie, że tylko jeden Webber był w plutonie dłużej od niego.

— Powinieneś — rzekł Alexander. — Mógłbyś sobie

176

(

dać jakąś łatwą robotę, kiedy starzy odjadą, i na doda-s zachapać trochę ekstra szmalu. Mógłbyś pracować w synie. Sierżant Wiencek zarobił harmonię forsy, kiedy prowadził.

Padgett dotknął Bojowej Odznaki Piechoty, którą miał i piersi. Tak, był z niej dumny. A także ze swojej Brą-wej Gwiazdy, Medalu Lotniczego i trzech Fioletowych jrc. Ujrzał siebie w mundurze na swojej ulicy, przecho-:ącego obok frontowych ganków i machającego ręką do arych znajomych. Może zapomniano by o tym, że poha-itał glinę, i o innych wariactwach, które wyprawiał. W ażdym razie zasłużył na te odznaczenia i może na kilka mych, których mu nie dali, więc nie stałoby się nic wiel-Lego, gdyby odszedł. Wojował sześć miesięcy, a zrobiłoby ę siedem czy osiem, kiedy by odchodził, więc czemu nie? ważał, że każdy powinien odbębnić swoje, ale nie było 2nsu przesadzać.

Pozostał w bazie jeszcze dwa dni, śpiąc po szesnaście godzin na dobę, spacerując i gadając. Noga mu wydobrza-a, obóz go nudził, więc wrócił w pole. Zresztą Morgan itał się zanadto uciążliwy: Chodził pijany, wściekał się, że nusi sterczeć w S-l, i wykrzykiwał, że jest gotowy do walki. Mogło to być zabawne dla reszty tych pacanów w Dbozie, ale Padgett nie musiał słuchać takich bzdetów. Dosyć ich się już nasłuchał.

Późnym przedpołudniem dotarł do bazy polowej, opusz-:zonej plantacji herbaty przy wschodnim krańcu doliny. Strzelcy już odlecieli na cały dzień, więc przygotował się na jutro. Pobrał nową amunicję, wyczyścił karabin i powłókł zamek cienką warstwą oliwy, przytroczył granaty do ładownic i szelek, napełnił manierki świeżą wodą i zatknął dwie buteleczki środka przeciw owadom za elastyczną opaskę na hełmie. Gotowy do boju? A czy brunatny niedźwiedź sra w lesie? Po jedzeniu poszedł na lądowisko i zobaczył śmigłowiec Chambersa powracający z akcji.

13 — Amerykańscy chłopcy

177

— Sie masz, frajerze! Jak noga? — Chambers przykucnął w drzwiach zbierając łuski.

*— Gotowa do biegu. Postrzelaliście?

— Tylko zaprawa dla piechociarzy. Dzisiaj żadnej styczności, ale w ostatnich trzech dniach mieli trochę paskudztwa. Nikt nie oberwał.

— Słyszałem.

— To jest la Trang, chłopaki. — McCutcheon podszedł od belki ogonowej, gdzie zamocowywał łopatę wirnika. — Tu nie ma obijania się, tak jak w niektórych miejscach, gdzie byliście. — Jego twarz psa gończego była śmiertelnie poważna. — Cieszę się, żeś wrócił, Padgett. Potrzebują cię tam.

— Jasne! — Wykonał mały taniec w miejscu i wyprężył się. — Poprowadzę moją grupę przez góry do Kambodży.

— Może nie będziesz musiał. — McCutcheon patrzył w ziemię, jak gdyby miał się rozplakać.

— A to dlaczego?

— Bo pewnie lada dzień zwałą nam się na głowę. Już tak bywało.

Padgett przez chwilę spoglądał na dowódcę załogi.

— I pewno nie możesz się tego doczekać.

— Jak to?

— Lubisz to draństwo, człowieku.

— Nie wygłupiaj się, Padgett. To poważna sprawa. Chambers trącił go łokciem, kiedy już miał coś odpowiedzieć McCutcheonowi.

— Nie gniewaj się. Za dużo miałem tego dobrego życia w bazie. — McCutcheon przypominał mu kaznodzieję czy coś takiego.

— W porządku. Idę coś zjeść. A ty, Orville? Chambers macłmał ręką.

— Zaczekam do kolacji.

McCutcheon odszedł do namiotu kantyny, kręcąc pulchnym zadkiem jak tłusta kurwa.

— Co mu się stało?

— On to uwielbia, tak jak powiadasz. Szkoda, że musi tak się zachowywać, jakby go to naprawdę obchodziło. —

178

aambers wzruszył ramionami. — Zresztą może i obcho-i. Przedłużył sobie służbę.

— Cholera!

— Jak było w bazie? Stubbsa nie zabił Morgan, co?

— Chyba nie. On się naprawdę pali, żeby tu przyjść. — adgett rozłożył bezradnie ręce. — Jeżeli przyjdzie, w po-ządku, jeżeli nie, cholera mu w bok, ale po prostu chciał-ym, żeby tyle nie gadał.

To samo jest z McCutcheonem,

Chambers kiwnął głową. — Wiem, o co ci idzie. Będę adowolony, jak to się skończy

— Jesteś gotowy wrócić na uczelnię?

— Aha.

Chambers nagle się ożywił. Wyciągnął swój worek odzie-owy ze schowka na bagaż, poszperał w nim i wy dostał ;ruby wykaz kursów na Uniwersytecie Minnesoty. Zapa-ił cygaro i ppczał przrzucać kartki z informacjami o wypadach, przy których porobił małe krzyżyki.

Padgett słuchał i patrzył cofając się myślą do tamtego inieźnego grudniowego poranka, gdy po raz pierwszy ujrzał Chambersa. Owej soboty on, Morgan i Slagel byli na całonocnej przepustce i pojechali do Frankfurtu, aby zwie-izić miasto i spróbować poderwać jakąś babkę. Przez cały wieczór łązi od baru do baru ale kobiety chciały tylko popijać za darmo, W końcu dali za wygraną. Około północy poszli na kurwy, pili, dopóki prawie całkiem się nie splukali, po czym wrócili pociągiem do Fuldy.

Na dworcu w Fuldzie były dwa bary samoobsługowe, jeden dla zwykłych klientów, i drugi, tańszy, brudniejszy i marnie oświetlony, w którym przesiadywali żołnierze amerykańscy i miejscy pijacy. Właśnie tam pili i jedli, kiedy wparadowało dziesięciu nowych gości. Była szósta rano i wszyscy urzęnci żołnierze chcieli się teraz pośmiać. Nagle zrobiło się takT jakby tu stacjonowali trzy lata, a nie parę miesięcy. Ci nowi byli młodzi, ociekający entuzjazmem dla egzotycznych, cudzoziemskich lokali, fajnego piwa, łatwych kobiet. Jeden z nich miał nawet pod pachą pudełko batonów Hersheya; słyszał, że można sobie pochędożyć za trochę czekolady.

179

Padgett, Morgan i Slagel przyłączyli się do zabawy. Byli w Fuldzie starymi wygami — nie spodziewali się po tym mieście niczego poza chlaniem i nudą. W pół godziny później wytoczyli się do hallu mając za ledwie dość forsy na zapłacenie taksówki do bazy. Przy wyjściu siedział na swoim worku odzieżowym jeden z tych nowych, paląc cygaro i wpatrując się w podłogę. Powiedzieli coś drwiąco, że jest tu nowy, a on uśmiechnął się akurat na tyle, aby wyczuli, że nie szuka awantury. W dwa wieczory później znalazł się w ich koszarach, kiedy przyfalowali z kasyna i już wkrótce zaczął łązić razem z nimi.

Rany boskie, ale ten Chambers się zmienił! Z ciamajdy, niedołęgi, który zdawał się niezdolny do niczego — właściwie przypominał starca — w tego nowego, młodego chłopaka, który nie mógł doczekać się powrotu na uczelnię i studia. Morgan zachęcał go, rozmawiał o książkach, wyciągał do pokoju płytowego przy bibliotece, żeby posłuchać muzyki klasycznej. Przez jakiś czas Chambers był nieruchawy, a potem nagle tamten ciamajda zniknął. Nie miał nigdy dość oglądania budynków. Później to on ciągał Mor-gana do biblioteki wieczorami, kiedy Morgan miał ochotę się napić. Książki przynosił nawet do kasyna i zerkał do nich, kiedy reszta się zaprawiała. Oszczędzał pieniądze i w weekendy, gdy inni zostawali w bazie i wyrzucali forszę na gorzałę, on jeździł do innych miast oglądać architekturę.

Przez następne trzy dni Padgett właściwie nie należał do plutonu strzelców. Jego ciało wykonywało wszystkie czynności — nawet wziął jeńca — ale myślami przebywał gdzie indziej. Nie mógł czuć strachu przed nieprzyjacielem, bo tylko ciągle rozważał, co się z niego zrobiło, i że jeżeli nie weźmie się w kupę, będzie po powrocie do kraju jeszcze jednym łachmytą. Nie mógł przestać myśleć o malarstwie, o tym, jak mu się ono wymyka, bo guzik go wszystko obchodzi. Nocami leżał na swoim śpiworze, palił trawę i usiłował dojrzeć kolory, ale nie widział nic oprócz

>cy. A za dińia nie pó"traiił tego przywołać, sprawić, by go oczy wchłaniały barwy i kształty, które miał przed >bą. Myślał jedynie o tym, że to się nie stanie. Zupełnie kby znajdował się w tonącej łodzi — tak zaskoczony dzierającą się wodą, że nie miał siły jej wylewać. Czwartego dnia wyruszyli do północno-zachodniego krań-i doliny. Mówił sobie, że jest tu bardziej zielono, trawa SŚciejsza, a ziemia miększa, ale słowa po prostu opadały lu w głowie, bez echa, bez oddźwięku. Rozmawiał ze arymi ludźmi jak gdyby we śnie, w którym stał gdzieś aleko przypatrując się sobie — żołnierzowi.

Kiedy padły pierwsze strzały z zasadzki, wiedział, że saguje doskonale. Strzelając zza drzewa, kierując ogniem wej grupy, położył trzech w mundurach khaki, ukry-?ch w kępie krzaków. Uspoicajał spanikowanego żołnie-za, dopóki rzucane przezeń granaty nie zaczęły trafiać okładnie w stanowiska nieprzyjaciela. Zaciągnął trzech annych za drzewo i wystrzeliwał magazynek za magazynkiem kładąc jednego wroga tu, drugiego tam. Wilgoć ziemi przenikała mu chłodem w uda i pachwiny. Odgło-y bitwy były gdzieś bardzo daleko. Śmigłowce siadły o sto metrów na północ, po drugiej tronie małego potoku. Jego grupa kryła czwartą druży-ię, która biegła za nimi ciągnąc rannych. Kiedy Padgett vstał, żeby pobiec, rozległ się trzask drzewa, a jakaś niska ;ałąż strąciła mu hełm na ziemię. Schylił się, by go pod-ńeść, i wtedy rozbłysły mu w oczach zygzaki żółtego światła, kiedy coś go rąbnęło w tył głowy. Jakiś olbrzym eżał mu na plecach, wciskając go w miękką trawę.

12

— Obudź się, Chambers! Lecimy!

Leżąc ni podłodze śmigłowca, z nogami wywieszonymi przez drzwi, otworzył oczy i spojrzął za siebie. McCutche-on, widziany przez niego do góry nogami w drugich drzwiach, nakładał kamizelkę.

— Jazda, Orville. Nasi z Blue się wkleili.

Piloci wdrapali się na swoje miejsca i silnik zaterkotał. Chambers dźwignął się na nogi, wyciągnął lufy spod siedzenia i zamontował je w boczne karabiny maszynowe. Na całym lądowisku obracały się wirniki. Jezu Chryste! Blue znowu wpał.

Podłączył swój kask lotniczy, gdy maszyna nabrała wysokości, dał znak, że wszystko gotowe, i przygotował karabin maszynowy, kule i granaty. Znikło jego późnopołud-niowe zmęczenie i ociężałość. Radio mówiło, że są już pewne straty zadane przez nieprzyjaciela w sile przypuszczalnie kompanii, a Blue usiłuje wycofać się do rejonu lądowania nad potokiem. Przez myśl przeleciało mu tamto popołudnie w Szczęśliwej Dolinie — ludzie padający na polanie, oszalała ucieczka do lądowiska, śmigłowce zestrzeli wane i spadające z nieba. Przełknął wielki kęs strachu i oparł się o ściankę ogniową.

Cztery transportowce okrążyły rejon lądowania, podczas gdy maszyna majora Quinna i drugi śmigłowiec bojowy siały kulami, rakietami i granatami po dookólnych zaroślach. Czerwony dym wypełzał przez listowie ponad terenem walki.

— Cztery-jeden i Cztery-trzy, tu Szóstka — powiedział major Quinn. — Wpakujcie wszystko, co macie, na zachód od tego dymu.

Piloci szczęknęli na potwierdzenie mikrofonami, po czym zatoczyli koło ku wschodowi, aby rozpocząć nalot. Żołnierze brnęli przez strumień wlokąc rannych, przystając, aby postrzelać na oślep za siebie, w zarośla. Warkot pocisków był stłumiony i przypominał oddzieranie grubego papieru wzdłuż perforacji.

Boczne kaemy otworzyły ogień, kiedy para rakiet wy-pruła z wyrzutni pod nimi. Chambers automatycznie nacisnął spust przenosząc sto metrów za cel, nim skorygował pociskami smugowymi. Obawiał się strzelać za krótko i razić własną piechotę.

W krzakach nie widział nic poza rosnącą ilością dymu. Wodził karabinem maszynowym kilka cali na boki i kilka

r górę i w dół, by objąć ogniem możliwie największą rzestrzeń, a potem wyrzucił dwa granaty odłamkowe i je-an fosforowy, kiedy śmigłowiec skręcił za linię nieprzy-iciela. Pochylił się, by

wydobyć więcej pocisków z drewnianej skrzynki, którą miał u stóp. Głowa targnęła mu się o tyłu, gdy coś ostrego drasnęło go w policzek tuż pod kiem. W tej samej chwili maszyna szarpnęła się gwał-

Dwnie w lewo.

— O kurwa! — wrzasnął chorąży Patterson. — Moje no-
i! Dali mi po nogach!

— Ja też dostałem. — Kapitan Hobart zwolnił celownik i chwycił drążek, który miał przed sobą.

— Jak tam,

>at?

— Mam kulę gdzieś w nodze — jęknął Patterson. — Ja-
iós dam sobie radę.

Chambers podniósł rękę do twarzy czując jakby ukłucie jwoździa. Kiedy ją odjął, na
poduszczyce kciuka była

trew.

— Wszyscy inni w porządku? — Hobart obejrzał się za

siebie. — Chambers, ty krwawisz. Chambers nacisnął guzik mikrofonu.

— Zdaje się, że to pleksyglas. Nic mi nie jest. — Nie bolało go, dopóki nie dotykał tego miejsca.

— Cztery-jeden i Cztery-trzy, tu Szóstka. Zasuwasz jeszcze raz. Koniec.

— Dasz radę jeszcze raz, Pat? — zapytał Hobart.

— Tak jest, cholera. — Patterson sprężył się na siedzeniu. — Na wrzucamy dymu tym pieprzonym
żółtkom.

Kiedy kończyli okrążenie i ruszali po raz drugi na cel, transportowce wzbili się na prawo od
nich, zawróciły

1 odleciały na wschód. Przynajmniej to, co zostało z Blue, znalazło się poza niebezpieczeństwem.

Śmigłowiec zakręcił w lewo, a Chambers wychylił się przez drzwi, aby wystrzelić ostatnią serię.

Wydawało mu się, że widzi pociski smugowe wylatujące pod belką ogonową. Spojrzał w stronę

McCutcheona i coś go ścisnęło w żołądku. Dowódcy załogi nie było. Chambers przelał przez

siedzenie. McCutcheon był wywieszony przez drzwi trzy-

183

mając poniżej nich karabin maszynowy i strzelając zaciekle pod belką ogonową do niewidocznego
nieprzyjaciela.

Na punkcie sanitarnym wszyscy trzej — Padgett, Todd i Myles siedzieli na pryczy jak więźniowie
oczekujący przesłuchania. Kiwnął im głową i usiadł na drewnianym zydłu obok pryczy.

— Za sekundę, Chambers — powiedział kapitan Mc-Cloud. Wbił igłę z nicią w zsiniałą skórę
na nodze jednego z nowych piechociarzy.

— Czym oberwałeś, Orville? — Todd położył dłoń na ramieniu Chambersa i przyjrzał się jego
twarzy.

— Chyba pleksyglasem. Jak to wygląda?

— Nie najgorzej. Wyciekło trochę krwi. Ja mam tylko zadrapanie. — Todd podniósł kościste
obandażowane przedramię. — Pewno niedługo znów pójdę.

Padgett zachichotał, po czym zamilkł i wpatrzył się w podłogę.

— Co jest, LaMont?

Padgett dalej wpatrywał się w podłogę kiwając lekko głową w obie strony. Wargi miał obrzmiałe,
oczy bardziej wylupiane niż zwykle.

— Drzewo zważyło się na niego — powiedział Morris podając kapitanowi McCloudowi gruby
tampon gazy. — Nic nie mówi, odkąd tu przyszedł.

—• Ja cię pieprzę, Morris. — Głos Padgetta brzmiał jak wolno obracająca się płyta. Podniósł głowę
i spojrzał zuchwale na sanitariusza. — Powiedziałem, że cię pieprzę, baranie!

Kapitan McCloud wstał, a Morris siadł i zaczął przyklejać gazę przylepcem.

— Cholera! — Padgett podniósł ręce do pasa i znowu wpatrzył się w podłogę.

— Okej, Chambers, teraz ty. — Kapitan McCloud dał mu znak, by stanął przy stole. — Chciałbym,
żebyście, chłopcy, zerwali z tym zwyczajem przychodzenia tutaj.

Chambers drgnął, kiedy wydobywali mu z twarzy pleksi-

184

is. Obmyto zaschniętą krew, zatamowano świeżą, a ska-izenie opatrzone gazą i przylepcem. Jeszcze cał, i byłby •ąclł oko. Gdyby pocisk wystrzelono pół sekundy póź-2j, mógłby stracić jądra albo zwałiliby się prosto w śro-k oddziałów północnowietnamskich.

Zostawił Padgetta siedzącego z innymi i wrócił do swo-j maszyny. Kapitan Hobart i McCutcheon zatankowali ż paliwo i zapełnili kabinę rakietami oraz skrzynkami nunicji do karabinów maszynowych. W śmigłowcu nie fło nikogo. McCutcheon odszedł pomóc innemu pilotowi :zy okresowym przeglądzie. Karabinowi zebrali się obok Laszyny Webstera, gdzie pijany Hancock, którego po po-idniu zestrzelono, wrykiwał opowieści o swoich czterech raksach.

Chambers dość lubił innych karabinowych, z wyjątkiem pch, którzy bez przerwy całowali w tyłek sierżanta-sze-a plutonu. Nie miał jednak ochoty rozmawiać, nie miał choty opowiadać ani wysłuchiwać wojennych opowieści

tej porze nocy. Co się dzieje z LaMontem, u licha? Dla-zego McCutcheon nie mógł załadować bocznych kaemów

rakiet? Co by powiedzieli jego rodzice, gdyby usłyszeli i takim draństwie?

Zapalił światła w kabinie, wypełnił obydwie wyrzutnie •akietami, po czym wdrapał się do środka, by załadować skrzynki do bocznych karabinów maszynowych. Uklęknął aa łusce, od czego tak go łupnął nerw w kolanie, że o mało tiie wrzasnął. Musisz wszystko wyczyścić, Orville. Dziś w nocy mogą nas zaatakować i trzeba będzie ruszyć się znowu. Jakie głupie jest to ciągle ładowanie kul do małych skrzynek, ażeby mogły zostać wyssane z obu stron i wpakowane w ziemię. A- poza tym mógł zginąć.

Zakończył ładowanie, dopasował siedzenie nad skrzynkami, wypróbował zsuw kul w pochylniach prowadzących do bocznych kaemów. W porządku. Wszystko w porządku. Rozciągnął swój śpiwór na podłodze kabiny, położył się i znowu pomyślał o LaMoncie. Nie mógł go tak zostawić. Z przyjacielem trzeba pogadać, kiedy jest w dołku. Targnęło nim poczucie winy. Mógł był pójść do Słagela tamtej

185

nocy, kiedy ich zaatakowali, zamiast zostawić go samotnego w namiocie. Ale morderstwa, które Słagel popełnił, tak go oburzyły, że nie chciał widzieć go nigdy więcej. Przez chwilę nawet był rad, że Tom został tak ciężko ranny, uważał, że zasłużył na tę karę.

Wyskoczył z maszyny i o mało nie zderzył się z Pad-gettem, który stał nieruchomo w ciemnościach na zewnątrz.

— LaMont! Właśnie miałem iść do ciebie. Wszystko w porządku?

Padgett ootrzęsnał głową i rozgrzebał ziemię czubkiem buta.

— Co się stało?

W świetle księżyca na twarzy LaManta lśniła wilgoć — strużki pod jednym -i drugim okiem, forsforizujące kropelki potu na czole.

Padgett znowu potrząsnął głową i wyciągnął drżącą rękę, w której trzymał puszkę piwa.

— Dziękuję, stary. Tego mi właśnie potrzeba. Chodź, siadaj.

Co się dzieje, u diabła? Chambers zląkł się, że LaMont zwariował.

— A może chcesz dymka? Mam jeszcze całą masę.

— Aha — szepnął Padgett i kiwnął głową siedem czy osiem razy. Postąpił dwa kroki naprzód, obrócił się i siadł w wejściu tak, jakby ważył tonę. — Sam nie wiem, Orvil-le.

Chambers wyjął ze schowka bagażowego paczkę skrętów i wrócił do drzwi. Po chwili zapytał:

— Lepiej?

Padgett wydmuchiwał dym tak długo, iż zdawało się, że nigdy nie skończy.

— Będzie dobrze.

*— Przynieść ci więcej piwa?

Pierwsze łyki uświadomiły Padgettowi, jak bardzo jest spragniony. Zgłodniały też, ale to mogło zaczekać do rana.

— Dobrze.

— Zaraz wracam.

186

Pośrodku namiotu kantyny stał pięćdziesięciopięciogalo-wy bęben chłodzących się puszek z piwem, a obok nie-starszy sierżant Bugelli. Chambers zdumiał się na jego dok. Mógł sobie przypomnieć tylko jeden raz, kiedy szef ł w polu. Bugelli wymamrotał kilka słów współczucia >odał mu cztery puszek piwa. Chambers wyszedł przed namiot i przystanął. Może po-nien powiedziec McCloudowi o Padgettcie. Chłop naj->rażniej nie był w porządku i mógł sobie zrobić coś złe-. McCloud pewno dałby mu jakiś środek uspokajający bo coś, co zwałiby go z nóg na całą noc. Tylko co by •wiedział LaMont? Mógłby naprawdę zbzikować, gdyby lambers mówił o nim tak, jakby był stuknięty. Poza m Chambers miał w maszynie dosyć dobrej marihuany, iby go uspokoić. Piwo też by pomogło. Do jutra LaMont prawdopodobnie wydobrzeje. To by-jego czwarta rana, a pięciu chłopaków z plutonu zgięło. Poza tym dziewięciu rannych, z tego sześciu wypra-ili z kraju albo do dywizyjnego obozu-bazy. Jego własny ilot został wyewakuowany, prawdopodobnie ze złamaną ogą. Może powinien troszczyć się o siebie, nie o Padgetta. ,obić swoje w maszynie, jakby nic się nie stało. Tak trze-a, jeżeli nie chce się postradać zmysłów.

— Szef wykazał się dzisiaj. — Postawił piwo przy krzyAkach z amunicją.

Padgett parskał, prawie się roześmiał. — Widziałem o. — Podał Chambersowi świeżego skręta.

— Dziękuję. Lepiej się czujesz?

— Trochę.

Chambers zawsze podziwiał ducha LaMonta. Choćby tyło najgorzej, potrafił zbyć to śmiechem albo przynaj-nniej poderwać się do działania. A dzisiaj jest wykończony. Wydaje się, że nawet nie może rozmawiać. Chambers wcisnął się między boczne kaemy a drzwi oparł o wspornik skrzyżowawszy stopy. Padgett palił . popijał wpatrując się w nogi Chambersa. Nie mówili nic :o najmniej pi?zez dwadzieścia minut. W końcu Padgett

187

zgniół w rękę puszkę od piwa, rzucił ją na ziemię i wyciągnął się na śpiworze.

Chambers wziął otwieracz i odciął cały wierzch swojej puszek. Zbełtał jej zawartość próbując uchwycić światło księżycyca w bursztynowy płyn, ale dojrzał jedynie nikły odbłask we wnętrzu puszek. Inni karabinowi nadal wrzeszczeli i klęli przy śmigłowcu Webstera.

— LaMont?

Cisza.

Odsunął się od wspornika uważając, by nie potrącić zwisających nóg. Co miał teraz robić, do cholery? Odał się pod belką ogonową, wrócił i przypatrzył się drzemącemu na podłodze kabiny Padgettowi. Poczul lekki przyplływ irytacji. Był zmęczony i chciał iść spać. On też miał ciężki dzień. Czy to coś złego, że czul potrzebę wytchnienia? Wziął ostatnie piwo i usiadł ze skrzyżowanymi nogami w twardej ziemi. McCutcheon niedługo wróci i jeżeli zbudź LaMonta, może być chryja. Dokończy więc piwa, a potem go wyrwie ze snu*

Oparł się na łokciu i rozmyślał; żałował, że nie został w Fuldzie. Może dałby sobie radę bez swoich przyjaciół. Zresztą Slagela zabrali, Morgana prawie nie widywał, a teraz jeszcze to się przytrafiło LaMontowi. W Fuldzie musiał być teraz początek lata, kiedy słońce pokazuje się chociaż od czasu do czasu. Właśnie wracałby z wiosennego urlopu we Włoszech. Tym razem zamierzał pojechać do Rzymu, a w drodze powrotnej może zatrzymać się na kilka dni we Florencji. Mógłby oglądać bazylikę Św. Piotra, zamiast leżeć na ziemi, popijać piwo i palić marihuane.

Pozbierał puszek i wrzucił je do wykopu pośrodku lądowiska, pełnego starych skrzynek po amunicji i łusek. Wróciwszy do maszyny pochylił się nad śpiącym Pad-gettem.

— LaMont — szepnął. — LaMont!

Padgett mrukał, przekręcił głowę w bok i dalej leżał bez ruchu.

Chambers położył mu dłoń na kolanie i potrząsnął nim lekko.

188

— LaMont, obudź się.

— Cooo?! — wrzasnął Padgett i poderwał się tak rap-vnie, że o mało nie zderzyli się głowami. Twarz miał :erażoną, jak gdyby ujrzał upiora. — Och, człowie-! — Przypadł do Chambersa i objął go mocno. Chambers odruchowo zaczął się odsuwać. Jednakże :isk był mocny, a potem coś innego sprawiło, że się trzymał. Nagle pojął, jacy oni wszyscy są samotni, do a zubożeni, i to wstrząsnęło nim głęboko.

— Już dobrze, LaMont — mruknął czując, że twarz go li, a gardło ściska mu się z przejęcia. Spróbował pód-eść ręce, ale LaMont przytrzymał je mocno, jak gdy-' pragnął jedynie przywrzeć do czegoś na chwilę. Od-rchał gwałtownie przez pełne piętnaście sekund, a po-m się nagle odsunął. Potarł pośpiesznie palcem nos górną wargę, potrząsnął głową i kąciki jego ust pod-osły się w znużonym uśmiechu.

— Uf! Cholera, przykro mi, Ofville.

Chambers, nadal wzruszony, wyciągnął rękę i dotknął go ramienia.

— Dlaczego ma ci być przykro?

— No wiesz, stary. My są twardzi żołnierze, nie? Nie o winniśmy zachowywać się jak dzieci.

— Chyba obaj to wiemy.

— To prawda. Muszę wziąć się w garść. Podziękowania
ie wystarczają.

Chambers podniósł dłoń nie chcąc słuchać więcej.

!— Rozumiem cię, chłopie. Zobaczymy się jutro rano,

Padgett wstał i zaszurał nogami. — Jasne, że tak.

Chambers patrzył, jak włókł się ku namiotom plutonu trzelców, po czym sam wlaźł do śpiwora i udał, że śpi, dedy wrócił McCutcheon.

Rano cały pluton strzelecki odjechał do obozu-bazy i wesoły nastrój, w jakim się Chambers obudził, pierzchnął, ttedy zobaczył transportowce wzbijające się z lądowiska L odlatujące na wschód. Z kim teraz będzie gadał? Z Mc-

189

Cutcheonem? Wczorajszego wieczora przeleżał nie śpij prawie godzinę i wyobrażał sobie rozmowy z Padgettei i Toddem, spędzanie z nimi wieczorów. Przecież wrócą z kilka dni, więc o co chodzi? Próbował przemóc — czy te za/pomnieć — rosnące uczucie przygnębienia, ale ciąg] zdawało mu się, że jakaś cenna sposobność została stra oona na zawsze.

Cały dzień strawił przy swoich karabinach maszyno wych, czyszcząc Wszystkie sześć gruntowniej niż kiedykol wiek dotąd. Do każdego zużył wiaderko benzyny lotoicze; szorując wszystkie części szczotką drucianą, dopóki ni zniknęła najmniejsza plamka brudu czy osadu. Następni naoliwił je starannie, tak że aż lśniły. Zawiesił śpiwór ni belce ogonowej, żeby go przewietrzyć, a później po połud niu zaniósł całą swą brudną bieliznę do magazynu, gdi< wycyganił kilka nowych par kalesonów i skarpetek. P< jedzeniu brał prysznic przez piętnaście minut, ogolił się a potem wypalił skręta przebijając się w świeżą odzie; w swojej maszynie. Poczul się tak dobrze, że nieomal pognął biegiem do namiotu kantyny po piwo.

— Jak tam twarz, Chambers? — Sierżant sztabowj Hart, szef plutonu karabinów maszynowych, stał opartj o bęben z puszkami piwa, a jego wybrylantynowane wąsj lśniły w świetle gołej żarówki.

— Jeszcze ją mam, szefuniu.

— Chłapnij sobie na mój koszt. — Hart podał mu piwo.

— Dziękuję, ale chcę całą skrzynkę.

— Tyle nie mogę ci postawić. — Galeria podlizuchów Harta zachichotała od prowizorycznego stołu, przy którym siedzieli. — Tylko mi nie mów, że też się robisz alkoholik.

— Kupuję dla plutonu.

— To chyba będzie ci potrzeba czterech skrzynek. — Galeria znów się zaśmiała.

— Jedna powinna wystarczyć.

Zapłacił i pośpiesznie wyszedł z namiotu niosąc wychłodzone puszki w worku od piasku.

— Chambers, ty stary jełopie — zawołał Webster, kiedy podchodził do śmigłowca. — Co tu robisz

tak późno?

190

Webster przypominał mu Slagela swoją zadzierzystością nuskularną, atletyczną budową. Pokazał mu worek z pi-;m i postawił go w kabinie między stopami Hancocka. Usty karabiniarz z zachodniej Wirginii łypnął na niego nurzając ręce w worku.

— Awans dostałeś czy co?

— Po prostu przyszła mi ochota kupić skrzynkę.

— Skrzynkę! — zawołał Robinson. — Cholera, to nie wystarczy nawet na pięć minut. — Krzykliwy teksańczyk ichylił się i chwycił puszkę.

Chambers nie lubił Robinsona, od chwili gdy przyszedł > plutonu. Ten łachmyta złośliwy, pyskujący przez cały czas, podobno wyrzucił w styczniu jeńca ze śmigłowca, lociaż nikt już o tym nie mówił.

— Jak ci leci, Chambers? — zapytał Brooks uśmiecha-;c się do niego spod grubych okularów.

— Okej, okej. — Podał mu piwo. — Już niedługo, co?

— Dwa dni. — Brooks pociągnął duży łyk. — Co się dzieje z Morganem? Podobno miał przyjść wczoraj.

— Słyszałem, że jeszcze nie dostał zastępstwa. Ja się fm nie martwię. Hancock, Webster i Robinson znowu zaczęli rozmawiać liędzy sobą.

— Dlaczego?

Wzruszył ramionami. — Nie chcę, żeby mu się coś stało.

— To prawda. Ale nie wiesz, czym jest to urządzenie.)aje człowiekowi do wiwatu. Ja czuję się o wiele lepiej, idkąd tu przyszedłem. S-1 jest jeszcze gorsze od pracy :ancelisty kompanii. Kiedy się siedzi tutaj, można przy-lajmniej urwać kawałek akcji.

— Pewnie on tak właśnie myśli.

— Idę po następną skrzynkę.

— To się pospiesz, cholera — powiedział Robinson. — Powinieneś był kupić dwie do tej pory.

Brooks kiwnął głową Robinsonowi i odszedł do kantyny.

— Bez lipy — mówił Robinson. — Ten skurczybyk płaci dziwkom za to, żeby je lizać. Dla mnie to jest wariactwo. Jak uważasz, Chambers?

191

— Co do czego?

— Co do Mallisona. Gość jest w strzelcach około trzech miesięcy. Kiedy jedzie do miasta, nie chędoży, tylko płac czterysta piastrow za lizanie tej paskudnej piczy.

Chambers pohamował lekki przyplływ mdłości. — Zależy co kto lubi.

— Co kto lubi? O rany, człowieku, to jest cholerna po-ruta! — Robinson otworzył następne piwo i począł je żło-pać zaciekle. — Sam chętnie sobie pochłapię, jak wrócę dc świata, ale tutaj uważam, że robię tym dziwkom łaskę, jak je posuwam, nie mówiąc już o lizaniu. Kiedy drugi raz dostałem trynia, rzuciłem te cipy zupełnie. Ucieszę się, jak w końcu zbudują ten burdel, bo będą mogli mieć nadzór nad kurwami. Człowieku, ci tutejsi ludzie są pierońsko brudni.

— Rzeczywiście paskudnie śmierdzą — powiedział Hancock.

— O to idzie — odrzekł Robinson wyciągając ręce. — Możesz sobie wyobrazić lizanie takiej, kiedy ją przedtem wyobracało trzydziestu chłopu? To jest denne, człowieku. Myślisz, że dałbyś radę, Chambers?

Chambers o mało nie zakrzusił się piwem, po czym przeczekał chwilę milczenia.

— Jak powiedziałem, co kto lubi.

— O rany! — Robinson szarpnął głową uderzając nią o ściankę ogniową. — Pewnie sam byś sobie chlapnął.

— A gdyby nawet, to co?

— A nie mówiłem? Chambers jest żółtkoliz:

— Tego nie powiedziałem.

— Gówno prawda. Powiedziałeś.

— Powiedziałem: a gdyby nawet, to co? Zresztą nie twoja rzecz, co kto robi.

— Ho, ho, słuchajcie. Żółtkoliz puszcza farbę. No, Chambers, czemu nam po prostu nie powiesz? Chambers nie był taki wściekły- od czasu pobytu w szpitalu po Szczęśliwej Dolinie.

— Jeżeli tak się cholernie palisz, żeby wiedzieć, Robinson, to tego nie robię, ale gdybym robił, na pewno nie

192

swoliłbym takim jak ty pisać słówka na ten temat, pujesz?

— E, daj spokój.

— Gówno spokój! Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy. Robinson poruszył się na siedzeniu. — Może byś poszedł

łóżka? — mruknął. — Nikt cię tutaj nie prosił.

— Jeżeli chcesz się napażać, to chodźmy.

Był nagle gotów bić się, prawie pragnął sprać Robinsona-, jeżeli zdoła. Ale właśnie przyszedł Brooks z następną rzyneką piwa i napięcie się rozładowało. Chambers podparł się na łokciu i popijał spokojnie, pod-as gdy inni dalej bzdurzyli. Pił tak przez dwie godziny gadując tylko do Brooksa, a potem Webstera. Ubodła go awdziwość ostatnich słów Robinsona. Rzeczywiście nikt i nie prosił i pewnie woleliby, żeby nie przychodził, iryste Panie, czymże właściwie jest? Intruzem w pluto-e? Powinien tkwić przy swoim pieprzonym śmigłowcu, ytać i spać. Lepsze to niż próbować rozmowy z bandą ilantów. Zresztą ci ludzie na nic by mu się później nie •zydali. Więc czemu nie przygotowywać się do tego, co iał zamiar robić, kiedy się stąd wydostanie? Ale~na razie i mu się przejadło. Potrzebował ludzi, tylko gdzie miał h znaleźć?

Po raz pierwszy w Wietnamie poczuł kleisty ciężar pi-iństwa i jednocześnie zdał sobie sprawę, dlaczego prawie igdy się nie upijał. Alkohol sprawiał, że wpełzał głębiej r siebie, aż w końcu mu się zdawało, że waży z tysiąc imtów. Poszedł pod belkę ogonową, żeby się odlać, a po-»m chwiejnie wrócił do swojej maszyny. Zupełnie zagu-iony, usnął natychmiast.

Wystartowali o pierwszym brzasku. Chłodne powietrze rochę go otrzeźwiło, ale nawet po locie, kiedy załadował la nowo broń i wypił dwie kawy i coca-cole, czuł się tfcięż ocieężały. Kwaśny zapach piwnego potu na ciele nie przyczyniał się do uprzyjemnienia poranka.

Ponieważ pluton strzelców był w bazie, śmigłowce bojo-

13 — Amerykańscy chłopcy

193

we latały tylko z rzadka na rozpoznanie. Hart robił gwa o skontrolowanie sprzętu, więc pierwsi piloci kręcili s przy maszynach przygotowując je do całodziennych lotÓA Karabinowych napomniano, żeby wyczyścili swoje kaem; wymienili zużyte części i w ogóle doprowadzili do ład cały system broni. Ponieważ Chambers zrobił to poprzec niego dnia, spędził resztę rana na drzemce. Webster obudził go w południe pobrzękując menażką.

— Pójdiesz coś zjeść, Chambers?

Siadł i otrząsnął się jak koń. — Chyba nie.

— Dobra. Może byś po południu przyszedł do moje maszyny pograć w karty? — Webster uśmiechnął się. -Przyjacielska gra po dziesiątaku.

Już chciał kiwnąć głową, potem jednak potrząsnął ni; z wolna.

— Chyba nie.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Nie gram za dobrze.

— To z powodu Robinsona?

— Właściwie nie.

— Jeżeli tak, to nie musisz się nim przejmować. To jesi po prostu kawał pyskacza.

— Nie idzie o niego. Mam jeszcze kaca i muszę się przespać. Przyjdę, jeżeli poczuję się lepiej.

— Zrób tak, chłopie. Zobaczymy się później.

— Dziękuję, Web.

Przez godzinę siedział w drzwiach dyskutując sam z sobą i przyglądając się karabinowym i dowódcom załóg, którzy chodzili tu i tam. Rozmawiali, rozśmieszali jeden drugiego. Przez chwilę już myślał, że pójdzie — propozycja Webstera była wyraźnie przyjacielska, stanowiła próbę wynagrodzenia mu wczorajszego postępu Robinsona. I co z tego? Jak wyglądałoby w końcu to popołudnie? Głupia gra w karty i znowu ta sama gadanina o bitwach, dziwkach i piciu. Mógł żyć bez tego.

No bo czy nie? Miał całe swoje życie dla siebie, przynajmniej odkąd zginął Roger. Lata w szkole średniej przemknęły mu przez głowę, tak jakby trwały pięć minut.

194

isne, ciężko było przywyknąć, ludzie go unikali po wyidku Rogera uważając, że jest jakiś dziwny, a jego rodna przeklęta. A jednak pogodził się z tym i rozpoczął dziewiątą klasę, nie spodziewał się niczego od ni-ogo. Nie mógł pojąć, czemu spodobał się Elaine, dlaczego o pokochała — nie jest nawet przystojny. Ale kochała, dzięki temu było trochę łatwiej, trochę mniej samotnie. *ięć lat! Co on robił przez cały ten czas? Jak to się stało, e czas upłynął pozostawiając go z pustymi rękami? A te sześć lat po szkole też niewiele się różniły. Trzy ata pracy przy linii montażowej w fabryce Forda, a po-;em trzy lata jałowe. I znowu wydało się, że to zaledwie pięć minut z jego życia. Nie działał nic, z nikim się nie zaprzyjaźnił, nigdzie nie wyjeżdżał. Cały dzień praca, oglądanie telewizji w wynajętym pokoju albo długie wieczorne spacerki wokół jeziora Harriet czy Calhoun. Nie myślał o niczym. W weekendy jeździł na farmę ojca popracować trochę i porozmawiać z matką.

Może życie nie ma być szczęśliwe. Jakie są dowody na to, że jest inaczej? Ci koledzy ze szkoły, którym było lepiej, wykończyli się później. Żony, dzieciaki, płatności i posady, których nie cierpieli. Zanudzali się na śmierć, psioczyli na sandwicze robione przez żony, na Murzynów i Żydów, musieli spędzać po pracy godzinę w barze, aby móc wytrzymać obecność swojej starej i dzieci przez resztę wi-eczoru.

Był szczęśliwy przez parę miesięcy w Fuldzie i może tylko tyle człowiek może spodziewać się czy żądać. Rzeka płynęła, a potem wysychała znowu. Takie to proste. Miewał przyjemne chwile, zbliżył się z różnymi ludźmi, przez pewien czas robił to, co chciał. Samo pragnienie czynienia czegoś dało mu więcej radości, niż mógł przypuszczać. Teraz to wszystko minęło; ludzie się pozmieniali i nie mógł nic zrobić poza czekaniem, aby się stąd wydostać. Potem uczelnia, a trudno sobie wyobrazić, żeby i to go zawiodło.

195

Wyjął ze schowka bagażowego swój worek odzieżowy, zaniósł go do kabiny śmigłowca i pozamykał drzwi, żeby wiatr nie naruszył jego skarbów. Sięgnąwszy pod drelichy i bieliznę wymacał grube plastikowe opakowanie, po czym wyciągnął małą paczkę. Ostrożnie odwinął plastik czując zapach niewidocznej pleśni, ale ciesząc się, że nie uszkodziła stronic. Przez resztę popołudnia kontemplował swój skarb przerzucając kartki Zarysu architektury europejskiej Pevsnera i Podstaw historii sztuki Wolffina, które kupił w Berkeley, i studiując reprodukcje w małych książeczkach o Masacciu, Michale Aniele i Botticellim, które Morgan mu podarował przed wyjazdem z bazy lotniczej Travis w ostatnie Święto Dziękczynienia. Z małej blaszanej skrzynki wyjął gruby pakiet kart pocztowych i przejrzał je powoli, upewniając się, że nadal pamięta tytuły, artystów i galerie. Zbierał te karty dzień po dniu we Florencji, najpierw z wahaniem, potem coraz pewniej, aż po ostatnie kilka dni, kiedy dostał obsesji na punkcie gromadzenia widokówek z każdego miejsca, które obejrzał. Przed posiłkiem McCutcheon i piloci zebrali się do lotu rozpoznawczego. Przez chwilę był moono podniecony — podobnie jak przed swym pierwszym lotem — starając się powkładać karty i książki do worka odzieżowego, zanim śmigłowiec wystartuje. Ledwie zdążył zamontować lufy i naciągnąć na siebie rzemienie spadochronu, kiedy

maszyna wzbija się w górę. Przez kilka minut w powietrzu czuł złość, że mu przeszkodzono, ale~wprędce zapomniał o tym, podniecony rozmyślaniami o swojej przyszłości. Teraz wiedział już dużo o historii sztuki i wstępując do college'u miałby już wszystkie podstawowe wiadomości plus sporo ponad to. Mógłby spędzić urlop w bibliotece w Minneapolis i kupić sobie trochę nowych książek, żeby mieć zajęcie na następnej placówce. I miałby także zaoszczędzone pieniądze, dość, aby podróżować i zwiedzać kraje, których nie znał, takie jak Anglia i Hiszpania.

Zostali ostrzelani o milę od granicy Kambodży. Automatycznie nacisnął spust, a jednocześnie odczepił granat dymny od uchwytu karabinu maszynowego i wyrzucił go pro-198

Wyjął ze schowka bagażowego swój worek odzieżowy, zaniósł go do kabiny śmigłowca i pozamykał drzwi, żeby wiatr nie naruszył jego skarbów. Sięgnąwszy pod drelichy i bieliznę wymacał grube plastikowe opakowanie, po czym wyciągnął małą paczkę. Ostrożnie odwinął plastik czując zapach niewidocznej pleśni, ale ciesząc się, że nie uszkodziła stronic. Przez resztę popołudnia kontemplował swój skarb przerzucając kartki Zarysu architektury europejskiej Pevsnera i Podstaw historii sztuki Wolffina, które kupił w Berkeley, i studiując reprodukcje w małych książeczkach o Masacciu, Michale Aniele i Botticellim, które Morgan mu podarował przed wyjazdem z bazy lotniczej Travis w ostatnie Święto Dziękczynienia. Z małej blaszanej skrzynki wyjął gruby pakiet kart pocztowych i przejrzał je powoli, upewniając się, że nadal pamięta tytuły, artystów i galerie. Zbierał te karty dzień po dniu we Florencji, najpierw z wahaniem, potem coraz pewniej, aż po ostatnie kilka dni, kiedy dostał obsesji na punkcie gromadzenia widokówek z każdego miejsca, które obejrzał. Przed posiłkiem McCutcheon i piloci zebrali się do lotu rozpoznawczego. Przez chwilę był moono podniecony — podobnie jak przed swym pierwszym lotem — starając się powkładać karty i książki do worka odzieżowego, zanim śmigłowiec wystartuje. Ledwie zdążył zamontować lufy i naciągnąć na siebie rzemienie spadochronu, kiedy maszyna wzbija się w górę. Przez kilka minut w powietrzu czuł złość, że mu przeszkodzono, ale~wprędce zapomniał o tym, podniecony rozmyślaniami o swojej przyszłości. Teraz wiedział już dużo o historii sztuki i wstępując do college'u miałby już wszystkie podstawowe wiadomości plus sporo ponad to. Mógłby spędzić urlop w bibliotece w Minneapolis i kupić sobie trochę nowych książek, żeby mieć zajęcie na następnej placówce. I miałby także zaoszczędzone pieniądze, dość, aby podróżować i zwiedzać kraje, których nie znał, takie jak Anglia i Hiszpania.

Zostali ostrzelani o milę od granicy Kambodży. Automatycznie nacisnął spust, a jednocześnie odczepił granat dymny od uchwytu karabinu maszynowego i wyrzucił go pro-193

3 w wiatr. Przerwał ogień, kiedy zaczęli okrążenie w le*-3: piloci paplali idiotycznie przez radio, tak jakby to się iprawdę liczyło. Na ziemi nie było widać nikogo. Praw-ipodobnie jakiś pojedynczy żołnierz północnowietnamski i zwiadzie. Nadlecieli ponownie, tym razem niżej, i zno-u Chambers wystrzelał długą, ciągłą serię, dopóki nie jkończyli okrążenia. Kapitan Hobart porozumiał się przez idio z bazą polową i oficer operacyjny kazał mu wracać, taki lotnictwa miały nastąpić później.

Przyczepił nowy granat dymny, potem oparł się o ścian-ę ogniową i przechylił głowę w bok, podczas gdy ziemia

ciekała pod nim.

Kiedy wylądowali, Webster, Hancock,-Robinson i Brooks oszli z lądowiska do namiotu kantyny.

Chambers posta-owił wysprzątać maszynę i załadować na nowo amunicję rzed udaniem się na posiłek. Brooks miał .odejść rano

tego wieczora zamierzano urządzić popijawę dla odjeż-iających wkrótce, co było ostatnią rzeczą, na którą miał-

>y ochotę.

Namiot kantyny był prawie opustoszały, kiedy przyszedł :oś zjeść. Usiadł sam przy wolnym stoliku i rozmyślał i tym, co będzie czytał wieczorem, o budowlach, które zostara się zapamiętać.

Kiedy Chambers wybierał sos kawałkiem chleba, wszedł

Brooks,

— Chodź, Chambers, dziś stawiam tyle piwa, ile zechcesz.

Chambers przyłożył dłoń do brzucha, skrzywił się i potrząsnął głową.

— Nie da rady, Brooks. Jeszcze mi niedobrze po wczorajszym.

- Daj spokój, człowieku. Możesz sobie huknąć ze dwa.
- Chyba nie. Zobaczymy się rano i wtedy się pożegnamy.
- Jak chcesz. Musisz być chory, jeżeli się wyrzekasz darmowego piwa.

Później zabawa stała się tak hałaśliwa, że musiał wypalić dwa skręty, nim zdołał usnąć.

197

Przez następne trzy dni spędzał każdą wolną chwilę na lekturze. Jedzenie i wypróżnianie się były koniecznymi przerwami, a sen mile widzianym zakończeniem dnia. Mało uważał podczas tych pięciu lotów, w których wziął udział, taki był zaprzątnięty powojennymi planami oraz myślami i obrazami nasuwanymi przez to, co przeczytał. Strzelanie przestało być ważne i kiedy karabin maszynowy drgał mu pod pachą i w dłoni, nie czuł się bardziej zaangażowany niż człowiek, który trzyma wąż do polewania ogrodu i przygląda się ptakom siedzącym na drzewach. Trzeciej nocy, kiedy raz jeszcze przestudiował książkę o Michale Aniele przed udaniem się na spoczynek, przyśniło mu się, jak to kiedyś w Fuldzie Morgan pokazał mu ilustrację z humorystycznej książki o sztuce. Reprodukcję plafonu kaplicy Sykstyńskiej, tyle że Pan Bóg przytykał tam zapalniczkę do papierosa, który Adam trzymał w wyciągniętej ręce.

Nazajutrz inna załoga wystartowała o świcie, więc po śniadaniu i goleniu mógł znowu położyć się spać.

- Obudź się, Orville. Przyjechali. Głos McCutcheona wydawał się daleki.
- Okej. — Otworzył oczy na chwilę, zobaczył, że na jego zegarku jest dziesiąta, po czym zamknął powieki i mocniej podkulił nogi pod siebie.
- Jeszcze jedna porcja nowych. Nie chcesz ich obejrzeć?

Podniósł się z wolna i popatrzył, jak cztery śmigłowce transportowe wzbijają kurz w południowo-zachodnim rogu lądowiska.

— Strzelcy wrócili. Pewnie dziś po południu znowu pójdziemy. — McCutcheon usiłował zrobić poważną minę, ale najwyraźniej z trudem powściągał uśmiech. — Chodź, obejrzymy sobie tych nowych.

- To idź. Będziemy na to mieli masę czasu później.
- Nie chcesz nawet zobaczyć swoich koleśków? Zbył McCutcheona machnięciem ręki.
- Niech się najpierw rozlasują. Mamy od cholery czasu, nie?

198

- Jak chcesz. Ja idę rzucić na nich okiem.
 - No, to tymczasem.
- winał i schował śpiwór, i właśnie siedział czytając |żką, kiedy w wejściu ukazał się Padgett.
- Was ist los, ojciec? Jak wojna?
 - Cześć, LaMont. — Chambers zerknął na stronicę, aby :ończyć zdania.
 - Morgan ci się kłania.
 - Co u niego słychać?
 - Och, człowieku! Co wieczór dostaje kota. Jeszcze so-s nie znalazł tego zastępstwa. Ciagle jest wkurwiony.
- co u ciebie?
- W porządku. Dużo czytałem i przeglądałem moje wikkówki.
 - Ja sobie ciupciałem poza bazą. Tak mi po tym lekko j sercu, że muszę sypiać 3 workiem odzieżowym na ersi, żeby nie ulecieć. — Padgett wybuchnął śmiechem wyciągnął do niego otwartą dłoń.
- Chambers klepnął ją lekko. — Jak myślisz, czy Michał niol był większym malarzem, czy rzeźbiarzem?
- Że co?
 - Słyszałeś. Jak uważasz?
 - Coś ty palił?

— Daj spokój. Nie myślisz, że to jest ważne pytanie? Padgett pogrzebał czubkiem buta w ziemi przy płozie.

— Bo ja wiem. Tak samo ważne jest, co będzie na obiad :zy ile piwa dostaniemy wieczorem. Byłoby ważniejsze ;am, w świecie.

— Może to i prawda, ale jak myślisz?

— Nie wiem, dziecko. Słuchaj, muszę iść po sprzęt na dzisiejszy dzień. Pluton wyrusza w południe, a ja muszę zaopiekować się dwoma nowymi. Pogadamy wieczorem.

Chambers powrócił do czytania, lecz w pół godziny później przerwała mu je reszta załogi. Szybko zawiązał książkę w plastik i wetknął ją za skrzynki z amunicją pod siedzeniem,

— Co jest grane? — zapytał McCutcheona.

199

— Rozpoznanie i zaprawa dla strzelców. Lecimy zi Szóstką. Jesteś gotowy?

— Jasne.

Naciągnął pasy spadochronu i wlażł na siedzenie. CoraJ bardziej lubił latać w tyle. Chociaż było to mniej emocjonujące niż latanie na czele — zwłaszcza, kiedy pierwsza maszyna sunęła nad samymi czubkami drzew — odbywał się spokojniej, dawało szerszą panoramę dżungli i gór. La-Mont powinien być karabinowym; widoki mogły dopomóc mu w malowaniu.

Skierowali się na zachód, do granicy, potem skręcili na południe lecąc nad czerwonopomarańczową gliną obozu oddziałów specjalnych w Plei Me, gdzie kilku masywnych Amerykanów stało przed frontem czterech plutonów wychudłych Wietnamczyków. Drzewa na granicznych górach były nagie, szare i przypominały mu mgłę. Śmigłowiec majora Quinna, lecąc nisko, okrążył dwa razy obóz i znowu skierował się na wschód. Dżungla od razu stała się bardziej zielona i nabierała coraz głębszej barwy i gęstości, im dalej na wschód lecieli. Po kilku milach ukazały się otwarte przestrzenie, a potem wioski obrzeżone polami ryżowymi.

— Okej, Cztery-trzy — powiedział przez radio major Quinn. — Jesteśmy w tej chwili nad zapasami żywności żółtków, więc uważajcie.

— Zrozumiałem, Szóstka — odrzekł kapitan Hobart.

— Cztery-trzy, Blue zaczyna od tej opuszczonej wioski około ośmiuset metrów przed nami. Lećcie za mną po południowej stronie i bijcie z kaemów. Rakiety zachowajcie na drugi nalot.

— Zrozumiałem, koniec.

Boczne karabiny zaterkotały i Chambers obrócił się zerkając na olej spalający się na lufach. Nacisnął spust swojej broni. Nie widział wioski po lewej stronie, tylko coraz gęstsza roślinność, która przesuwiała się po prawej. Pomarańczowe pociski smugowe prujące w zieleń wyglądały ładnie.

— Chwileczkę, Cztery-trzy! Przerwać ogień! 200

— Tak jest, Szóstka. Co tam?.

— Widzę jednego żywca. Spróbujemy go wziąć. Scho-zimy. Kryjcie mnie wąskim kołem w kierunku wska-ówek zegara.

Maszyna przechyliła się w lewo i wioska ukazała się irzed Chambersem. Ściany i dachy chat osmalone aa czar-lo. Niewielka połać ziemi między chatami a polami ryżo-vymi zwykle zatłoczona dziećmi, które machały rękami do migłowców, była pusta — nigdzie nawet psów czy kur.

YlcCutcheon podsunął się do Chambersa i wychylił przez jego kolana, by lepiej widzieć.

Z ziemi wzbijała się nagle chmura kurzu, kiedy śmigłowiec majora Quinna osiadał. W świetle słońca pył przemienił się w iskiereki złota. Na grobli, o piętnaście metrów przed maszyną, stał żołnierz północnowietnamski wyglądający jak strach na wróble. Nie miał broni, pasa ani hełmu — nic poza swoim mundurem koloru khaki.

Karabinowy majora Quinna zlażł na płozę i dał znak żołnierzowi, żeby podszedł. Ten obrócił się i pobiegł w bok. — Nie ma sprawy, Cztery-trzy — powiedział Quinn. Jego śmigłowiec poderwał się z ziemi, uleciał w lewo. wyprzedzając żołnierza i znowu siadł przed nim.

Maszyna Chambersa krążyła nadal. Położył swój karabin maszynowy w poprzek kolan i oparł brodę na pięści. I znowu dowódca załogi skinął na Wietnamczyka, a ten znów zawrócił i pobiegł.

Śmigłowiec poderwał się i ponownie zagroził mu drogę ucieczki. Powtórzyło się to jeszcze dwukrotnie, przypominając Chambersowi, jak z Timmym Carsonem gonił gęsi na farmie. Trudno było je złapać, ale zawsze udawało się okrążyć.

— Chcecie, żeby wam pomóc, Szóstka? — zapytał kapitan Kobart.

— Nie, Cztery-trzy. Moglibyśmy się zderzyć. Będziemy go ścigali.

Śmigłowiec wylądował, żołnierz odbiegł, a maszyna poderwała się znowu i odcięła mu drogę na skraju wioski.

— To zaczyna być nudne — powiedział Quinn, Śmigło-

201

więc wzbił się i bokiem uleciał na drugą stronę pola ryżowego. Żołnierz biegł dalej, ku dżungli, po czym zawrócił i pognął jak szalony do wioski. Śmigłowiec Quinna targnął się, przechylił w bok, po czym wyrównał lecąc prosto za uciekającą postacią.

Żołnierz biegł przygięty, przeskoczył dwie groble. Tym razem mógł dopaść wioski przed śmigłowcem. Kiedy przesadzał trzecią groblę, popruły po niej pomarańczowe błyski. Żołnierz jak gdyby zatrzymał się w powietrzu, wyskoczył w górę nieomal jak gracz w koszykówkę przy trudnym rzucie i wreszcie zwałił się na skraju podwórka.

Zrobili jeszcze jedno okrążenie, tym razem nisko; pod północnowietnamskim żołnierzem rozlewała się już szeroko lśniąca szkarłatna kałuża.

— Żałuję, że tak się stało — powiedział Quinn przez radio — ale on pewnie miał broń w którejś z tych chat. Dokończmy przygotowania.

— Tak jest, Szóstka.

Wystrzelili wszystkie rakiety i prawie całą amunicję do karabinów maszynowych, nim odlecieli z powrotem do bazy polowej.

13

Morgan oparł się o kontuar w S-1 spoglądając na słońce, które zniżało się ku Cyckowej Górze na zachodnim krańcu obwodu. Przez chwilę zdawało się balansować jak gigantyczny balon, a potem czubek góry wykrajał małe czarne nacięcie w jego dolnej krawędzi. Za Morganem sierżant Chase ziewał i stękał przerzucając kartki grubego zeszytu z instrukcjami.

Morgan bębnił palcami po blacie, zdenerwowany wyczekiwaniem. Sierżant załatwiający przydziały w dowództwie dywizji zadzwonił do niego godzinę temu z wiadomością, że w drodze jest nowy człowiek, który mógłby zastąpić Morgana. Daj Boże! Codziennie przez trzy ostatnie tygod-

202

przechodzili przez S-1 nowi żołnierze. Żaden nie umiał ać na maszynie. Jeden zastąpił Brooksa, karabinowego jora Quinna, a drugi miał zastąpić Stouta. W dywizji ikowało kancelistów i nowych kierowano do tych jed-stek, które ich najbardziej potrzebowały. Wcześniej tego popołudnia Morgan poleciał z Greenem Qui Nhon, ponieważ kapitan chciał zaliczyć dalsze go-iny, żeby pozostać na stanie lotników. Morgan siedział drzwiami śmigłowca, ćwiczył chwytym swoim M-16 i ro-ł zdjęcia gór, pól ryżowych i ruchliwego portu w Qui bon. Wracali na wysokości czubków drzew, śmigłowiec jdził jak samochód wyścigowy, a Morgan machał ręką 3 chłopów i studiował teren. Z przyjemnością czuł ciężar amizelki przeciwodłamkowej na ramionach, opuścił na varz daszek przeciwstłoneczny kasku lotniczego i marzył dniu, kiedy będzie latał przez cały czas. Wrócił do bazy irzed dwiema godzinami czując się tak rześki i ożywiony, ak nie czuł się od miesięcy.

Nie wiedział, co zrobić jeżeli ten nowy nie wypali. Zdawały się dnie, kiedy był taki napięty i rozgorączkowany, ;ak pełen obrzydzenia do Chase'a i Greene'a, że najdrob-liejsza aaczepka mogła go doprowadzić do przekroczenia wszelkich granic poczytalności. Raz o mało nie zwrócił się do Chase'a i nie rozpoczął tyrady, a pohamował się jedynie dlatego, iż wiedział, że wtedy zatrzymają

go tu na zawsze. Pochylił się, by wygładzić jakieś formularze na półce pod blatem, a potem drgnął usłyszawszy odgłos worka odzieżowego upuszczanego na słomiane maty. Nowo przybyły wręczył Morganowi swoje dokumenty.

Orton DeWolf był biały, tłusty i pyzaty, miał twarz jak księżyc w pełni i bladoniebieskie worki pod oczami. Spocony, zaspany, wyglądał na pozbawionego wszelkich złudzeń. Był czołgistą i miał ukończony jeden rok studiów w college[^] w Południowej Karolinie.

— Umiecie pisać na maszynie? — Morgan starał się nie zdradzić nerwowości.

— Aha.

— Chcecie iść w pole czy być kancelistą?

203

— Obojętne.

— Obojętne wam, do czego będziecie przydzieleni?

— Aha.

Nie do wiary! Obejrzał się na Chase'a. Mam go, ty pierdoło! Mam go.

— Al, mam tutaj ewentualnego kancelistę. Chase podniósł wzrok i kiwnął głową.

— Jak szybko potraficie pisać?

— Trzydzieści pięć, czterdzieści na minutę.

— To nieźle. Will, zabierz go do kasyna na piwo i opowiedz mu o robocie.

— Idę. — Obrócił się do DeWolfa. — Zostawcie wasze klamoty. Zabierzemy je później.

— Lubię piwo — powiedział DeWolf.

Morgan był taki podenerwowany, że palił jednego papierosa po drugim przez całą tę godzinę, którą przegadali w klubie. DeWolf mówił niewiele. Zdawał się znacznie bardziej interesować piwem i słuchał biernie, kiedy Morgan kłamał, namawiał, przymilał się i wyliczał rozliczne korzyści, jakie przypadają w udziale kanceliście z S-1.

i— Jeżeli tu tak dobrze, to czemu chcecie odejść? — zapytał w pewnym momencie DeWolf.

Morgan o mało się nie sfajdał.

— Przejadło mi się. Pomyślałem sobie, że może pójdę w pole i odstąpię tę łatwą robotę komuś innemu.

DeWolf był nadal sceptyczny i nie zainteresowany, lecz w końcu zgodził się spróbować. Morgan zostawił go przy posiłku i wrócił sam do S-1, czując spokojne rozradowanie, tak jakby właśnie zdał końcowe egzaminy. Szedł powoli w zmięczeniu, przypatrując się namiotom, kamykom i koleinom na drodze, gołym betonowym płytom pokrywającym teren kompanii C. Obóz się cywilizował.

Niedługo dawni żołnierze odjadą, a nowi będą mieszkali wygodnie w barakach, bez szczurów i pluskw czy dławiącego gorąca brezentowych namiotów. Spróbował wspomnieć z sentymentem dawne czasy, dawnych ludzi, ale zbyt wiele innych myśli cisnęło mu się do głowy. Obrócił się, by

204

patrzeć, jak śmigłowiec, mrugając światłami, opuszcza na lądowisko. Nie mógł się już doczekać, żeby wsiąść któregoś z nich.

— Weźmie to — powiedział do Chase'a, po czym wsko-
jl na kontuar;

— Dobra. Sprawdzimy go jutro.

— Kiedy mogą odejść?

— Nie pali się. Trzeba trochę czasu, żeby przyuczyć jWolfa i upewnić się, że da sobie radę.

— Jak to? Kiedy tu przyszedłem, w ogóle nie miałeś
incelisty.

— Czasy się zmieniły. Jest dużo więcej roboty.

— Rany boskie, Al, muszę się stąd wyrwać, jeżeli mam ę dostać na maszynę.

— Spokojna głowa. Maszyn będzie od groma.

— Przecież obiecałeś.

— Obiecałem, że pójdziesz w pole, i pójdziesz. Ale naj-ierw musimy wyszkolić DeWolfa.

Czekają nas oceny prawności osiemdziesięciu oficerów i podoficerów i muszą być bez pudła.

Pójdiesz, i to na karabinowego, ale na ilość boską nie wierć mi dziury w brzuchu.

Kiedy Morgan przyuczał DeWolfa przez następne[^] trzy mi, myślał, że rozsądzi go zdenerwowanie. Żył w ustawicznym strachu, że nowy kancelista coś pokićka albo po-:apie się, iż to zajęcie jest jedną kupą gówna. Polubił DeWolfa, ale już po pierwszym dniu stało się jasne, że nic go nie obchodzi. Morgan przywykł wykonywać robotę raz jeden i bezbłędnie i zrywał się jak stara baba, jeżeli De-Wolf spaskudził jakąś ocenę sprawności czy korespondencję. Wtedy DeWolf odchyłał się do tyłu i mówił ze śmiechem, że wojna pewnie i tak będzie toczyła się dalej.

Poza tym był przemądrzały, żartował poufale z Greenem, wytykał błędy Chase'owi. Nigdy nie na tyle, żeby się narazić, ale o krok od tego. Morgan chwilami wyczuwał irytację Greene'a i trapił się, że może on wylać nowego

205

)\v:

kancelistę. Trzeciego dnia napomknął o tym DeWolfo kiedy jechali do miasta, ale DeWolf machnął ręką.

— Morgan, tych ludzi trzeba stale trzymać w napięciu Nie są łajnem i trzeba dać im to poznać.

Przejechali opustoszałą główną ulicę, po czym wstąpił do pralni ojca Leng przed zawróceniem szosą do nowego burdelu i bazy. Papa-san przynosił rzeczy z prania, pod czas gdy pili piwo, a Morgan rozmawiał z Leng siedząci mu spokojnie na kolanach. Chłopcy, jak zwykle zaatakowali ich buty przyborami do czyszczenia. To miejsce było by jedynym, do którego by tęsknił, gdyby poszedł w pole

Papa-san załadował pranie do jeepa i DeWolf nagle się(zniecierpliwił.

— Chodź, Móg.

— Zaczekaj chwileczkę.

— Na co?

— Czy ja wiem. Podoba mi się tutaj.

— Człowieku, ty jesteś kopnięty. Mam ochotę sobie po-chędożyć, a ta twoja przyjaciółka jest za młoda.

Kiedy wreszcie dotarli do Miasta Grzechu, myślał, że nigdy nie wyciągnie stamtąd DeWolfa. Nowy kancelista tkwił od pół godziny w jednym z pokojów na tyłach baru „Carolina”, kiedy Morgan też poszedł strzelić sobie szto-sika. Może za parę dni wyślą go w pole i nie będzie oglądał kobiety do końca służby. Zaprzątnięty myślał, czy zdąży na czas do bazy, nie zwracał większej uwagi na kurwę. Nie wiedział, czy powinien znowu poruszyć z Chase'em sprawę swojego odejścia, czy czekać na następne posunięcie sierżanta. Tyle rzeczy mogło się pokiełbasić.

Wyszedszy z pokoju na tyłach ujrzał DeWolfa rozpartego jak zwyrodniały kalif — Morgan bez mała go widział w atlasowych szatach i pantoflach z zakręconymi do góry noskami — w krześle z plastikowych pasków z dwiema kurwami po bokach.

— Chodź, kochasiu, musimy już wracać. Przeszedł koło DeWolfa do drzwi.

— Właśnie czekałem na ciebie, szefie. Zobaczymy się niedługo, dziewczęta.

206

— No i jak?

— Ich kobiety nie są wiele lepsze od ich piwa. — De-folf podrapał się w brodę. — Ale zdaje się, że to jedyna ibawa w tym mieście.

— Całkiem słusznie.

O siódmej tego wieczora poszli do warsztatów napraw-zych, żeby się czegoś napić. Morgan koniecznie chciał zo-aczyć się ze Stoutem, który przyjechał z Zastrowem wczesnym popołudniem. Obaj skończyli z lataniem i mieli ;ostać w obozie aż do powrotu do kraju.

Morganowi brakowało przyjaciół, ale był rad, że ich lamiot zlikwidowano właśnie wtedy. Od czasu zamordowania Stubbsa nie było już tak jak dawniej, a Alexander . Wilson spędzali teraz wieczory na grze w karty w kasy-lie. Na terenie kompanii obsługi sztabu poukładano płyty cementowe, na nich postawiono namioty i obsada zmieniała się ciągle, tak że Morgan mieszkał teraz z innymi kancelistami i kierowcami, podczas gdy nowi zajmowali łóżka w „Nowym Overhead”.

— Powiedz mi jakieś wielkie kłamstwo, Morgan — rzekł Fisher podkreślając nabrylantynowane koniuszki swych czarnych wąsów.

— Jesteś śliczny.

Fisher był głównym kombinatorem w warsztatach naprawczych i jeśli dało mu się godzinę czasu, potrafił zorganizować wszystko. Morgan na ogół potrzebował piwa

1 Fisher zawsze to załatwiał jeżdżąc co trzy czy cztery dni do Qui Nhon i przywożąc po pięćdziesiąt skrzynek. Przyjechał tu z dywizją i któregoś dnia w la Trang w listopadzie zeszłego roku został dwa razy zestrzelony, dwa razy ranny i otrzymał Brązową Gwiazdę oraz Zaszczytny Krzyż Lotniczy. Więcej już w pole nie wrócił.

— Jak wy się nazywacie? — zapytał Zastrow DeWolfa.

— DeWoll.

— Nie, idzie mi o imię.

— Orton. — Na księżycowej twarzy DeWolfa pojawił się przyjazny uśmiech.

— To ja cię pieprzę, Orton.

207

Uśmiech DeWolfa zwiądł, a pozostali ryknęli. Śmiech Zastrowa był opanowany, jego oczy paciorkowate — prawie skośne — i wyglądał jak obłąkany orientalny uczoney. Morgan podał DeWolfowi piwo i poklepał go po ramieniu.

Zastrow chwycił jedną z małych małp siedzących na stole, okręcił ją na smyczy i cisnął na odległość dwudziestu stóp. Kiedy przyciągnął smycz, małpa zapała się nogami broniąc się przed zsunieniem z dachu namiotu, gdzie wylądowała. Spod jej rozwartych warg widać było żółte zęby i dygotała ze strachu.

— Dlaczego nie dasz spokoju tej małpie? — zapytał Fisher.

— A bo co?

— Przecież nie szkodzi nikomu — rzekł Stout.

— Tak samo jak tamta kobieta, którą zabiłeś — powiedział Zastrow. — Czy może pieprzona małpa jest ważniejsza?

— Co cię obchodzi ta kobieta? Masz ich dosyć.

— Wcale mnie nie obchodzi. Tak samo jak taki małpi pizdoliz.

— Chciałbym mieć jakąś piczę do polizania — rzekł DeWolf.

— Jeszcze trzydzieści pięć dni i- wezmę się do tej jrobo-ty. — Fisher wysunął język i zaczął nim poruszać w obie strony. — To, czego mi brak w korzeniu, nadrabiam językiem.

Myśli Morgana odbiegły w innym kierunku, gdy pozostali rozmawiali o powrocie do domu. Każdy odjazd go przygnębiał. Nowy pułkownik podobno był drobiazgową mendą i batalion, musiał zejść na psy.

— Wciąż marzysz o wojowaniu, Morgan? — zawołał Fisher.

— Nie.

Małpy siedziały spokojnie na stole, a samica iskała wszy i kleszcze z futerka samca.

— Nie przypuszczałem, że w ogóle myślisz o czymś innym.

— Wciąż myślę o twoim języku. 208

Uśmiech DeWolfa zwiądł, a pozostali ryknęli. Śmiech Zastrowa był opanowany, jego oczy paciorkowate — prawie skośne — i wyglądał jak obłąkany orientalny uczoney. Morgan podał DeWolfowi piwo i poklepał go po ramieniu.

Zastrow chwycił jedną z małych małp siedzących na stole, okręcił ją na smyczy i cisnął na odległość dwudziestu stóp. Kiedy przyciągnął smycz, małpa zapała się nogami broniąc się przed zsunieniem z dachu namiotu, gdzie wylądowała. Spod jej rozwartych warg widać było żółte zęby i dygotała ze strachu.

— Dlaczego nie dasz spokoju tej małpie? — zapytał Fisher.

— A bo co?

— Przecież nie szkodzi nikomu — rzekł Stout.

— Tak samo jak tamta kobieta, którą zabiłeś — powiedział Zastrow. — Czy może pieprzona małpa jest ważniejsza?

— Co cię obchodzi ta kobieta? Masz ich dosyć.

— Wcale mnie nie obchodzi. Tak samo jak taki małpi pizdoliz.

—n Chciałbym mieć jakąś piczę do polizania — rzekł DeWolf.

— Jeszcze trzydzieści pięć dni i- wezmę się do tej roboty. — Fisher wysunął język i zaczął nim poruszać w obie strony. — To, czego mi brak w korzeniu, nadrabiam językiem.

Myśli Morgana odbiegły w innym kierunku, gdy pozostali rozmawiali o powrocie do domu. Każdy odjazd go przygnębiał. Nowy pułkownik podobno był drobiazgową mendą i batalion, musiał zejść na psy.

— Wciąż marzysz o wojowaniu, Morgan? — zawołał Fisher.

— Nie.

Małpy siedziały spokojnie na stole, a samica iskała wszy i kleszcze z futerka samca.

— Nie przypuszczałem, że w ogóle myślisz o czymś innym.

— Wciąż myślę o twoim języku. 208

— Już lada dzień pójdziesz, co?

— Możliwe.

— Ty głupi ćwoku!

— Daj mu spokój — powiedział Stout. — Chciałeś tego c samo jak on. I my wszyscy.

— Powinien nauczyć się czegoś od innych. Powinien iękować Bogu, że nie jest tam.

Małpa-samiec przysiadła na zadzie, a samica zaczęła li-ć i ssać jego małe różowe prącie,

— Myślę, że Morgan może dostać fioła na punkcie za-jania — rzekł Zastrow — Tak samo jak tu obecny ;out.

— Idę wziąć prysznic — powiedział Fisher. W ostatnich rgodniach był nerwowy, zwłaszcza gdy inni rozmawiali walce. Jeżeli wypił za dużo, gadał z goryczą o akcjach, r których brał udział, o tym jakie to jest niesprawiedliwe. Może zachowywał zdrowe zmysły dzięki tym pryszni-om. Przynajmniej odrywały go od kolegów.

— Zabiłeś kiedyś kogoś, Morgan? — zapytał Zastrow.

— Nie.

— A chciałbyś?

Już miał odrzec, że tak, ale wiedział, że Zastrow z niego tpi. Wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

— Przynajmniej jesteś tego ciekaw, co?

— Możliwe.

— Polubisz to. Fajne to jest, nie, Stout?

— Nic specjalnego.

— Parę dni temu uważałeś, że całkiem fajne.

— Ty też.

— Ja to lubię. Nie wstydzę się przyznać.

— To po co o tym mówić?

— Bo ja wiem. Lepiej o religii? Morgan, ty chodziłeś do college'u. Chcesz pogadać o religii?

— Po prostu wypijmy piwo. — Nie podobało mu się, że Zastrow jest taki makabryczny. Spojrzał na stół, gdzie małpy zaczęły spółkować.

— Ja chcę coś powiedzieć o religii. Tylko jedno. Kiedy będę miał dzieci, zaprowadzę je do lasu, włożę pod kawa-

14 — Amerykańscy chłopcy

209

łek szkła trochę gówna, zawieszę na drzewie i powiem %m że to Bóg. I wiecie co? Uwierzą mi, a jeżeli im każe, zabij każdego, kto dotknie tego kawałka gówna.

Samiec zeskoczył z samicy i wykonał szybki spa'zmatyczny taniec dokoła stołu.

Między warsztatami a drogą dywizyjną pojawił się wychudzony, czarno-biały kot, Zastrow wyciągnął do niego jedną z parówek, które przyniósł DeWolf. Kot zjadł ją a Zastrow wziął go na kolana i pogłodził po głowie.

— Ma któryś nóż?

— Na co? — zapytał DeWolf.

— Chcę mu uciąć ogon.

— Nie ma mowy. — DeWolf schował z powrotem do kieszeni swój wojskowy nóż.

— Potrzebny mi jest tępy. — Zastrow przyniósł z namiotu nóż stołowy i usiadł. Kot usiłował drapać Zastro-wa, kiedy ten chwycił go za ogon, ale uspokoił się, gdy Zastrow dwa razy trzepnął go po głowie.

Morgan przycisnął ręce do ciała jak skrzydła i przykurczył szyję tak, że dotknął brodą piersi.

— Daj spokój, człowieku — powiedział Stout.

— Jak ci się nie podoba, to odejdz. — Kot miauczał rozpaczliwie. Nagle szarpnął się w przód, cofnął i drapnął Zastrowa. — Ty skurwysynu! — Zastrow trzepnął kota trzy razy po głowie, po czym znów zabrał się do cięcia.

Morgan nie mógł powstrzymać się od patrzenia, wzdry-gając się i kurcząc, kiedy Zastrow ciął, a kot pisał. Nikt nie potrafił być taki twardy jak Zastrow.

Kot wrzasnął przeraźliwie i wyrwał się Zastrowowi. Ogon targnął się w górę, przez chwilę leżał na grzbiecie zwierzęcia, po czym spadł na ziemię, kiedy kot pognął ku drodze.

— Pieprzony drań! Idę się wysrać. — Zastrow pomaszerował do latryny.

Siedzieli i popijali w milczeniu, a później ktoś pociągnął za nogę Morgana, który się ocknął.

— Chodź, Móg — powiedział DeWolf. — Już prawie północ. Musimy zrobić te raporty.

210

— Okej. — Wstał i pochylił się nad małpami. Obejmo-ały się i drżały w nocnym chłodzie.

— Obudź się, moczymordo. — Głos DeWoila był jakiś łumiony, daleki. — Chodź. Czas oblać moją tygodniową

>cznicę.

Otworzył oczy i ujrzał puszkę piwa o parę cali od swojej varzy. Za DeWolfem lśniły białe drzwi małej lodówki, łupili ją wczoraj za sześćdziesiąt dolarów. Mieściło się w niej sześćdziesiąt sześć puszek piwa i dwie wanienki

lodem. Morgan wypił pół puszki, zanim opuścił stopy na lodogę.

— Jak się tutaj dostałem? — Pamiętał, że o północy je-:hał jeepem z DeWolfem i Stoutem, ale na tym wspomnie-
lie się urywało.

— Przywiozłem cię od Fishera około trzeciej, kiedy się Dbudziłem. Jeszcze dwa kroki i leżałbyś na drodze. Stout został tam całą noc. Przynajmniej mówił, że ma na to ochotę.

— Powinieneś być mnie też zostawić. — Stawało się punktem honoru przeleżeć całą noc w rowie.

— Od tej pory będę tak robił. Prędzej szlag mnie trafi, niż będę tam sterczał ze szcurami i komarami.

Greene łypnął na nich sceptycznie, kiedy wchodzili do S-1 po posiłku.

— Cieszę się, żeście wrócili żywi po wczorajszym wieczorze.

DeWolf wszedł za kontuar i pierdnął.

— Wybaczcie, panowie, te wałę tak śmiało, lecz tego pierdu wstrzymać się nie dało. — Powietrze wypełnił odór

zgniłych odpadków.

— Parówki i piwo dają piękny zapach — rzekł Morgan. — DeWolf zjadał co wieczór około

dziesięciu małych

puszek parówek.

Chase podniósł wzrok znad porannych raportów. — Znowu się wczoraj zaprawiliście?

— Tak jest, panie sierzancie! — wrzasnął DeWolf.

211

Chase obrócił się przy kontuarze i oparł na łokciu.

— Mówię wam po raz ostatni: przynajmniej jeden z was ma być trzeźwy, kiedy oddaje się ten raport do G-1. Jeżeli go spieprzycie, powieszą mnie za dupę. Mogliście rozwalić tego jeepa, gdybyście wjechali do rowu.

— Ja byłem trzeźwy — powiedział Morgan. Mógłby napisać ten raport przez sen. Wsunął się na krzesło za biurkiem i zaczął wystukiwać na maszynie ocenę sprawności oficerów. Wypisał ich tyle zarówno tutaj, jak w Niemczech, że umiał robić to lepiej niż ktokolwiek inny w wojsku. Wielka rzecz! Ktoś był też najlepszym kucharzem.

Tego popołudnia poszedł na lądowisko ze Stoutem. DeWolf pracował sam pod jego nieobecność i potrafił wcale nieźle dać sobie radę ze wszystkim, z wyjątkiem ocen sprawności. Nie było dość roboty dla dwóch kancelistów, więc albo on, albo DeWolf załatwiali różne głupstwa, podczas gdy drugi pisał. O Boże, jakżeby chciał, żeby go już puścili! Ale nie ufali DeWolfowi, bo nie wytrzymywał napięcia. Przed dwoma dniami wymaszerował z kancelarii oznajmiając, że z tym skończył, i Morgan musiał przez godzinę błagać go, żeby wrócił. To go przestraszyło. Mogło tak trwać całymi tygodniami albo DeWolf mógł się zmyć i spaskudzić całą sprawę.

— Nie wiem, dlaczego to zrobiłem — mówił Stout. Minę miał uroczystą i zaskoczoną i zdawał się myśleć usilnie. — Pewnie będę się nad tym zastanawiał przez całe życie.

Morgan przycisnął stopkę karabinu maszynowego, odciągnął opornik i wypuścił wnętrzości broni. Położył kolbę i opornik na podłodze śmigłowca, a pozostałe części wrzucił do stojącego u jego stóp kubła z benzyną lotniczą.

— Co wtedy czułeś?

— Nic specjalnego. Po prostu lecieliśmy. Nudziło mi się i byłem zły z powodu mózdzierza, ale nie o to chodziło.

— I wtedy naprawdę nic nie myślałeś?

— Nie chcę sprzedawać tego kitu o niewidzialnej ręce, ale to było automatyczne. Siedziałem w drzwiach, zoba-212

ylem ją i strzeliłem. — Stout wyrzucił w górę ręce, pró-wał się uśmiechnąć, ale miał całkiem ogłupiałą minę. — To musiało być niesamowite.

Morgan zastanawiał się, jak dalece te czterdzieści odłam-jw szrapnela, którymi Stout oberwał, zmaćło mu umysł, a całych rękach i piersi miał małe blizny. Ale nie po-ępował w sposób drański, tak jak Zastrow. Zastrow ostał przeszło siedemdziesięcioma odłamkami. Od połowy *go uda do połowy łydki biegła blizna przypominająca za-lek błyskawiczny. Był najgorszym draniem, jakiego Mor-

an spotkał.

— Nie czułeś się potem paskudnie?

— Uważałem, że to było fajne. Zastrow roześmiał się wtedy i podniósł kciuki, więc pomyślałem sobie, że wszystko okej. Pilotom także się podobało. Nawet i teraz niewiele czuję. To, co zrobiłem, było parszywe, i wiem, że powinienem coś czuć, ale nie czuję.

— Ale to nie był pierwszy człowiek, jakiego zabiłeś? — Morgan pocierał części broni benzyną i szczotką drucianą. — Prawda?

— Wiem na pewno tylko o jednym. To właśnie jest dziwne. Kiedy skierowali dywizję tutaj, masa chłopaków klęła, ale nie mieli tak wiele przeciwko temu. A potem ktoś powiedział, że jest zadowolony, bo chce się przekonać, jak zareaguje pod ogniem i jak to jest zabić kogoś. Dla mnie też na tym to polegało, ale co mogę powiedzieć teraz?

— Chyba czuję to samo. — Morgan chlapnął trochę benzyny do wnętrza broni splukując brud i tłuszcz z krawędzi, które przytrzymywały zamek i trzon zamkowy. — Pewnie wielu innych także.

Minął już prawie rok, odkąd wszyscy czterej zgłosili się na ochotnika, jako pierwsi w pułku, i z początku czuł się dziwnie tak jakby coś było z nim nie w porządku, że chciał iść. Bądź co bądź jest dosyć inteligentny i myślał, że obchodzą go inni ludzie i ich ogólne dobro. Jednocześnie jednak doznawał takich samych uczuć jak te, o których mówił Stout, a teraz nawet jeszcze silniej.

213

W trzy tygodnie po jego zgłoszeniu się na ochotnika prezydent Johnson wygłosił mowę zapowiadając, że Stany Zjednoczone wystąpią czynnie w Wietnamie, i kierując Pierwszą Dywizję Kawalerii do strefy bojowej. W ciągu następnych czterech dni przeszło połowa żołnierzy niższych stopni w pułku także zgłosiła się ochotniczo. I nagle jego dziwne samopoczucie zniknęło — był po prostu taki sam jak każdy inny. Ci, którzy się nie zgłosili, mieli jeszcze tylko parę miesięcy do zwolnienia albo powrotu do rodziny, i nie chcieli narażać życia. Zasadniczo prawie każdy chciał iść. Morgan żałował, że przestał być wyjątkiem, i beznadziejnie potrząsał głową, gdy przełożeni nazywali go wspaniałym amerykańskim chłopcem, chlubą wojska i kraju. Cóż to za chrzanie!

Tylko że czym właściwie różnił się tak od innych? Trze--ma latami college'u? Paroma ideami, które przez pewien czas brał poważnie? Idee te najwyraźniej niewiele wpłynęły na odmienienie głęboko zakorzenionych wartości, na których się wychował. W college'u nauczył się i wierzył, że wojna to wielkie świństwo, że zabijanie to barbarzyństwo i nieczułość, a udowadnianie swojej męskości przez gwałt nie jest w ogóle żadnym dowodem, lecz tylko podniecającym sposobem unikania bardziej przyziemnych problemów. Ojciec nawet wyrzucił go parokrotnie z domu za jego „parszywe czerwone” poglądy. AJe czy te nowe idee kiedykolwiek naprawdę się ugruntowały? Mógł wierzyć w nie częściowo — potrafił szermować nimi wymownie w dyskusjach z superpatriotami koszarowymi — lecz kiedy przyszło co do czego, znalazł się tu razem z innymi, gotowy chwycić karabin i zabijać lub zostać zabitym. Mimo że wierzył w swoją koncepcję doświadczenia, wiedział, iż nic nie może usprawiedliwić zabijania w jej imieniu. Tylko że gdzieś w głębi było mu to obojętne.

Może idee były jedynie grą, aczkolwiek z pewnością brał niektóre dosyć poważnie. Pamiętał pewien poranek w Ful-dzie wkrótce po swoim przyjeździe, kiedy na pierwszej stronie „Stars and Stripes” ukazało się zdjęcie studentów manifestujących w Berkeley, początek Ruchu Wolności Sł-

214

. Nie mógł go brać poważnie. W kilka miesięcy później przeczytaniu setek artykułów, a nawet listów od przy-iół, którzy w tym brali udział, nadal nie mógł pojąć, o idzie. Czuł się wystarczająco wolny, kiedy tam był; ńl, co chciał, tak samo jak jego przyjaciele. Te wszy-:ie demonstracje i protesty wydawały się śmieszne, wy-wały się sposobem spędzania czasu albo nawiązywania wych znajomości. Uważał, że są ważniejsze rzeczy, prze-svko którym należy protestować.

— Ja wiem, że trzeba to robić — powiedział Stout. — am tylko nadzieję, że to człowieka nie pokitwasi tak k Zastrowa. Plus fakt, że można dostać w czapę. Chciałam, żebyśmy wszyscy razem wrócili do świata i trochę

>bie podupczyli.

— Spokojna głowa, ja wrócę. — Nagle zrobiło mu się Lepło na sercu. — Będzie mi ciebie brakowało, stary. Mam nadzieję, że napiszesz.

— Jak tylko dojadę na miejsce.

O wpół do ósmej rano Morgan przyniósł sobie kawę do 5-1. Chase siedział oparty o kontuar na wpół śpiąc, a je-50 zastępca, sierżant Wallace, studiował poranne raporty.

— Nie wyglądałeś na zbyt uradowanego dziś na apelu porannym, Al. — Wiedział, że Chase się zalał, i chciał mu dokuczyć. Przez ubiegły tydzień, od przybycia nowego pułkownika, cały batalion włącznie z oficerami, musiał co rano stawać na apelu, a przebiegać milę każdego popołudnia. Chase na wpół otworzył oczy i przekrzywił głowę.

— Bo nie byłem.

— Jeszcze cię czeka bieg.

Morgan myślał, że skona, kiedy pierwszego dnia musieli przebiec tę milę. Podtrzymywała go tylko radość na widok udreki Chase'a i Greene'a. Ostatnie dwa razy nie sprawiły mu już przykrości, chociaż był na wpół pijany. Inny nowy przepis brzmiał, że do piątej po południu nikomu nie wolno pić, a potem jedynie w kasynach. Morgan popijał w południe w namiocie Fishera, a wieczorami cho-

215

dzili za warsztaty i pociągali piwo i whisky, dopóki nie przyszła pora przygotowywania sprawozdań. Później \s czterech czy pięciu jechali jeepem do dywizji wrzeszcząc jak opętani i niewiele brakowało, żeby się wywalili dc rowu przy drodze.

— Will, gotów jesteś iść w pole? -r- zapytał Chase. Do czego on znowu zmierza?

— Tak, jestem.

— Ja też myślę, żeby pójść.

— O czym mówicie, sierzancie? — zawołał Greene z za bambusowego przepierzenia.

— Mówiłem, że myślę o pójściu w pole, panie kapitanie. Greene wyszedł z za przepierzenia, podparł się pod boki

i popatrzał na Chase'a.

— A to co ma znaczyć?

— To, co powiedziałem, panie kapitanie. Za tydzień odchodzi sierżant-szef plutonu strzelców, a nie ma zastępcy. Sierżant Wallace już się zapoznał z tą robotą. Myślałem sobie, że może udałoby mi się dostać Bojową Odznakę Piechoty przed odjazdem do domu.

— Brednie — odparł Greene. — Co wy wiecie o dowodzeniu plutonem strzelców?

•— Sporo.

— Lepiej wybicie to sobie z głowy, bo macie już mało czasu. Zostało wam tylko sześć tygodni.

— Wiem.

— Głupio byłoby się zapieprzyć.

— Nic by mi się nie stało.

— Dajmy z tym spokój, sierzancie. Jeżeli chcecie odsapnąć, weźcie sobie trzydniową przepustkę do Vung Tau. Albo posiedźcie parę dni w mieście czy popływajcie w rzece.

Greene wrócił do swego gabinetu, a Chase złożył głowę na kontuarze.

— Ale co ze mna? — zapytał Morgan. — Kiedy będę mógł iść?

— To zależy od sierżanta Chase'a! — warknął Greene.

— No to jak, Al?

216

r— Co jak? Co jak? A może byś posadził tyłek na tym rześle i porobił raporty, czy może jesteś zanadto skacowany?

*n Nie, nie jestem zanadto skacowany. Jak znajdziesz

i którymś błąd, to daj mi znać.

Pa tym już więcej nie pytał, Przedpołudnie stało się deustającą irytacją, a po obiedzie na lądowisku nie mógł iowstrzymać się od gorzkiego pomstowania na Chase'a Greene'a. Chase to po prostu wariat. Chcieć iść w pole ta tydzień, żeby dostać Bojową Odznakę Piechoty! Co to 'a. głupie pajacowanie!

W dwa dni później, kiedy wszyscy byli na obiedzie, znalazł wniosk o nadanie Skrzydeł Lotniczych, który wypisał starszy sierżant Bugelli, a Chase miał zawieźć do dowództwa dywizji. Na liście były nazwiska zarówno Bugelli'ego, jak Chase'a. Odznakę tę dostawało się za co najmniej dwadzieścia pięć godzin lotów bojowych w funkcji dowódcy załogi albo karabinowego. Chase nie wylatał dwudziestu godzin nawet w charakterze pasażera, a Bugelli prawie nigdy nie ruszył tyłkiem poza bazę. Morgan parsknął śmiechem, kiedy to zobaczył, ale później zaczęły mu się wywracać bebechy. Nie wspominał o tym nikomu, lecz obraz Chase'a obnoszącego w kraju Skrzydła Lotnicze i wygadującego kłamstwa napełniał go wściekłością.

Kiedy przyłazł do S-1 nazajutrz rano po wypiciu czterech piw i filiżanki kawy, Greene powiedział mu, że po południu cały batalion wraca z pola. — Dlaczego, panie kapitanie? Myślałem, że mają zostać

w la Trang do lipca.

•— Bo mieli. — Twarz Greene'a przybrała wyraz poważny, niemal napięty. Morgan miał ochotę roześmiać się prosto w tę twarz, prychnąć w nią kawą. — Żółtki wpa-lantowały się z powrotem do Bong Son i musimy ich znowu przepędzić.

>— My? A ucho. My nie mamy z tym nic wspólnego.

s— Jak długo tu zostaną?

— Tylko dzisiaj i jutro. Tam się robi gorąco.

Poczuł ulgę, że nie będą tu siedzieli dłużej. Nie miał

21?

ochoty zobaczyć się z Padgettem i Chambersem — a w każdym razie nie chciał, żeby zobaczyli jego. W południe pozostał w namiocie Fishera i pił, dopóki nie przyszła pora wrócić do kancelarii. Ruszył szybko drogą starając się iść równo i posysając cukierki, by sobie oczyścić oddech. Padgett siedział na dużym kamieniu przed namiotem.

— Cześć, sztywniaku, gdzieś się podziewał? — Padgett wstał i uśmiechnął się.

— Leżałem w fbwie i piłem dzin. — Klepnęli się w dłonie. — Co jest grane?

— Chyba Bong Son. Idziesz?

— Gówno! — rzucił nienawistne spojrzenie na wejście do namiotu. — Wątpliwe. Gdzie Orville?

— Pewnie siedzi w namiocie i studiuje Carąvaggia albo coś w tym guście.

— Naprawdę?

— Nie wiem, stary. Ten chłop w ogóle przestał mówić. W wejściu do namiotu ukazał się kapitan Greene.

—| Chodźcie, Morgan. Możecie pogadać później.

— Tak jest... Przyjdź do namiotu Fishera po kolacji. Postaraj się ściągnąć też Orville'a.

— Okej, chłopcze. To tymczasem.

Tego wieczora Chambers zachowywał się dziwnie. Przesiedział z nimi pół godziny, po czym wrócił do swego namiotu wymawiając się sennością. Padgett został wraz z resztą za namiotem Fishera, popijając i bawiąc się z małpami.

Okolo dziesiątej nad północnym krańcem obwodu wytrysnęły dwie flary iskrząc się jak mdłe, przybrudzone słońca i zabarwiając niebo na bladopomarańczowo.

— Co się dzieje? — Fisher zerwał się z krzesła.

— Pewnie nic — odrzekł Zastrow. — Jakiś kopnięty żółtek próbował przeczołgać się przez pole minowe.

Przybiegł Pope, kancelista kompanijny.

— Ba-czość! — ryknął Morgan. — Generał Pope przemówi do żołnierzy.

— Co to się dzieje na obwodzie? — zapytał nerwowo Fisher

218

Jakiś typ zwariował w sraczu drugiej brygady. Od du strzela do ludzi. Żadne jeepy nie mają jeździć tam-r, dopóki wszystko się nie uspokoi. | To znaczy, że tam nie ma żółtków?

— Nie, Fisher. To jakiś gość z jednostki. Ma prawdziwy snął. Karabin maszynowy, granaty i jeszcze się tak /arował, że nie można go stamtąd wydostać. Już zabił jora i jego kierowcę, a trafił też kilka pojazdów, /lorgan o mało się nie roześmiał. Wydawało się rzeczą kowicie logiczną zacząć się w ustępie i rozwalać ludzi.

— No i co zrobią? — zapytał Stout.

— Wykurzą go rakietami — odrzekł Morgan.

Na tle bladopomarańczowego blasku flar wisiał jak mała łrna plamka śmigłowiec i zdawał się drgać, kiedy ra-aty wylatywały z cichym szumem. W parę sekund po-m doleciały stamtąd przytłumione huki. Inny śmigłowiec wyrzucił ładunek rakiet plując z obu rzwi pociskami smugowymi, po czym z migotaniem świa-1 zawrócił na lądowisko. Pociski smugowe ładnie wyglądały wśród nocy.

Nic nie nasunęło się na myśl Paagettowi, dopóki Imigło-wiec nie przestał strzelać. Błądą iluminację flar wchłonęła ioc i wszyscy stali albo siedzieli jak postacie na fryzie ciemności. I wtedy nikły przebłysk pamięci.

— Pope, gdzie jest ten typek?

-He?

— Ten, co rozwała ludzi.

— Druga brygada, jak już mówiłem. W ustępie. Przy tym zakręcie za warsztatami.

— Aha. — Padgett parsknął i potrząsnął głową.

— A bo co?

— Tak się zastanawiałem. Teraz już musi być po wszystkim.

— Sprawdź.

219

Pope odszedł, gdy otwierano nowe puszk. Fisher s uspokoił, a inni powrócili do gadania o bzdurach. To mi siał być ten sam gość. Nie mogło być w dywizji dwóch li dzi z arsenałem w ustępie. Mała mała przycupnięta r swoim stosie granatów.

— Uziemili go. — Głos Pope'a zabrzmiał tryumfująco ciemnościach, tak jakby to on sam położył kres anai chii. — Chcesz tam pójść, Padgett?

*— Chyba nie. Przydałoby mi się trochę snu, jeżeli mar jutro jechać do Miasta Grzechu.

Zobaczmy się później chłopaki.

— Jutro się naprawdę naoliwimy — rzekł Morgan,

— I teraz niczego ci nie brakuje.

Padgett zatrzymał się przy przyczepie z wodą, napił się potem ochlapał sobie twarz i szyję. W połowie drogi bata lionowej przystanął wciąż rozmyślając o tamtym rozchi chotanym, chłepczącym muszkatel wariacie. Niech to cho lera. Może tam dojść w dwadzieścia minut. Już całkiem się rozbudził, a wyspać się mógł jutro.

Drogą przejechały trzy jeepy i dwie małe ciężarówki obsypując go kurzem. Dywizyjne warsztaty naprawcze wyglądały jak małe osiedle. Przyćmione, ciepłe światło błyskało przez szpary namiotów i z okien budek zrobionych ze starych skrzynek do amunicji. Pijackie wrzaski i śmiechy były tu mniej rozpaczliwe niż u nich.

Minąwszy zakręt u północno-wschodniego krańca rejonu dywizji Padgett znalazł się w miejscu, gdzie było ciemno i cicho jak na spokojnej wiejskiej drodze. Ze ćwierć mili dalej dojrzał za drzewami ogień i kręcące się dokoła niego postacie, a zaraz potem usłyszał głosy, krzyki, przekleństwa. Przypominało to zebranie wyznawców jakiegoś dziwnego kultu religijnego spotykających się potajemnie w lesie.

Zatrzymał się o czterdzieści kroków od miejsca, gdzie niegdyś był ustęp. Żołnierze chodzili pośpiesznie tam i z powrotem przez drogę nosząc różne przedmioty, wykrzykując rozkazy do innych żołnierzy. Reflektory dwóch ciężarówek oświetlały tłące się szczątki i białe proszkowaty

220

i fosforu wszędzie dokoła. Głęboki cylindryczny dół, którym mógł zmieścić się człowiek, ział w ziemi obok y zwęglonego drewna. Dalej w kierunku obwodu poła-le deski, najwyraźniej roztrzaskane przez rakiety i gra-y, wały się na ziemi i wisiały na krzakach, niby gon-położone przez pijanego cieślę.

'adgett zatrzymał się obok tłustego sierżanta sztabo-go o jakieś dwadzieścia stóp od dołu.

— Co tu się stało, szefie?

łierzant przyglądał mu się przez chwilę, po czym po-
ąsnął głową.

— Jeden gość zwariował, ot, co się stało. Już trzy mie-;ce temu mówiłij żeby go wsadzić do czubków.

— Pan go znał?

— Czy go znałem? Cholera! Był w mojej drużynie, doki nie odszedł. Macie pojęcie? Odszedł.

Trochę walki rzuca karabin, płacze jak dziecko i mówi, że więcej nie idzie się bił. I co zrobili? Pozwolili mu odejść. A mówi-m im, kolego. Mówiłem, żeby go pchnąć z powrotem w ale, bo to najlepszy sposób leczenia pietra. Albo to, albo 3 wysłać do czubków, żeby się nim zajęły te spece od towy. Takich nie odsyła się do jednostki i nie pozwala n się obijać. Od tego naprawdę wariują, Mówiłem im, ńac jasne jak słońce, że nikt nie może mieć do mnie iretensji.

— Po prostu zaczął strzelać do ludzi?

— A jak? Zabił majora Blake'a i jego kierowcę i po-laratał paru innych. Popatrzcie na to gównu — sierżant wskazał otwór w ziemi. — Miał tu pod spodem cały pieprzony system tuneli, małe wykopy pełne amunicji, granatów, pistoletów, wszystkiego. Tak sobie wykombinował, że wystawała mu tylko głowa i broń. Gdyby śmigłowiec nie trafił prosto w tę dziurę białym fosforem, jeszcze by tam siedział i strzelał.

— Nie żyje, co?

— Cholera tam, nie żyje! Wyparował, człowieku. Ten facet ze śmigłowca zwałił na niego cztery granaty fosforowe na raz. Została tylko mokra plama. Tłuszcz. Tłuszcz i tro-

221

chę kości. — Sierżant potrząsnął głową i wzruszył ramia nami. — Tak jak mówiłem, powinni byli odesłać go w po le. Albo do czubków.

Padgett odszedł na bok, po czym okrążył ustęp trzymając się w świetle, żeby ktoś do niego nie strzelił. To mniej sce przypominało mu la Trang. Ziemia poharatana grana tami i raketami, drzewa ociekające sokiem z dziur od kul wszędzie szczątki.

Kiedy zakończył okrążenie, sierżant stał nadal wpatrzony w jamę i potrząsał głową.

— Nieźle rozpieprzyli ten teren — rzekł Padgett.

— Bo trzeba było. Gość przygwoździł cały batalion. Myślałem, że podkradła się kompania żółtków.

— Jak pan myśli, dlaczego wybrał sobie dzisiejszą noc? Sierżant obrócił się do niego mrużąc oczy.

— Ja nie myślę, kolego, ja wiem. Jutro miał iść w pole. Powiedziałem mu. A on na to, że nie.

Wtedy mówię, że albo w pole, albo do pierdla, a on: „To jeszcze zobaczymy.” No i zobaczyliśmy. Już dawno powinni byli mnie posłuchać. Jak się facetowi pozwala siedzieć i myśleć za dużo, to musi dostać kota. Powtarzam, że to nie moja wina. Wybili mi połowę drużyny. Potrzebowałem go.

— Nikt nie ma do pana pretensji. — Padgett poklepał sierżanta po ramieniu wiedząc, że tamten w to nie wierzy.

— Nigdy nie wiadomo w takim zwariowanym miejscu. W polu człowiek przynajmniej ma jakieś pojęcie, z kim się bije. Chociaż i to nie zawsze w tym wariackim pieprzonym kraju.

Padgett postąpił chwilę obok sierżanta, po czym wymknął się razem z paroma innymi, którzy wracali do swojej jednostki. Po drodze zastanawiał się, co powiedzą rodzinie tego człowieka. Przechodziły mu ciarki po skórze, kiedy rozmyślał o jego płonącym ciele, o jego rozpaczliwych ostatnich chwilach. Rakiety musiały go zabić natychmiast; jeżeli nie, to może przynajmniej był dostatecznie obłąkany, by nie czuć bólu. Czyż wariaci nie gaszą na sobie papierosów nie czując nic?

Tupnął nogą na myśl, że zapewne mógł temu wszystkie-

222

zapobiec. Złożyć raport o tym facecie i sprawić, żeby wsadzili do pierdla albo do czubków. Ta myśl ledwie

przeleciała przez głowę i zaraz zniknęła. Cholera z tym. il zimny podziw dla niego, tak samo jak dla Słagela atego dnia, kiedy porozwalał żołnierzy północnowiet-uskich. Potrzeba czegoś, żeby to zrobić. Może trzeba

6 obłąkanym.

Dkoło północy usłyszał strzały z terenu rozpoznania wtedy dotarł do swego namiotu, wszyscy siedzieli na łóż-ch. To, co wyglądało na strach, powoli ustępowało miej-a śmiechom. Sierżant-szef Giveas i kapitan Webber roz-awiali z Collinsem u drugiego wejścia do namiotu. Kara-nowy stał w kalesonach, z czterdziestką piątką w prawej >ce, i gestykulował zaciekle.

— Co się stało? — Padgett usiadł na swoim łóżku, na rzeciw Kelly'ego, właściwie nie troszcząc się o to, co za-zło. Zresztą nikt nie wyglądał na zabitego.

— Szczur, chłopie. Wskoczył na łóżko Collinsa, a ten tworzył ogień. Myślałem, że żółtki dobrały nam się do lupy.

Padgett wlaź w śpiwór i utkał pod spód siatkę przeciw-cnoskitową. Obawiał się, że jeśli zacznie się śmiać, nie bę-izie mógł przestać.

Wrócił z Miasta Grzechu około szóstej następnego wieczora na wpół pijany i mając trzy sztosy zaliczone na swoje dobro. Czy na zło, zależnie od tego, jak się na to patrzyło. Właściwie ani na jedno, ani na drugie. Dziwki nic dla niego nie robiły, poza mówieniem, że woła być z czarnymi żołnierzami niż z białymi. Biali zanadto się upijają, muszą rznąć za długo i są źli, kiedy nie mogą się spuścić. W Mieście Grzechu już najwyraźniej nastąpiła segregacja. Czarni tu, południowcy tam, Kalifornia i Nowy Jork ówdzie, a Środkowy Zachód jeszcze gdzie indziej. Tyle że zdarzało się przemieszanie, tak że podział nie był całkowity. Zresztą mniejsza z tym. Może wieczorem się wybierze i da sobie pociągnąć fleta.

223

Morgan powiedział, że będzie w namiocie Fishera po siódmej. Czasem ten stary cwaniak Fisher działał Pad-gettowi na nerwy — zawsze był zanadto przemądrzały, znał wszystkie kombinacje — ale Padgett zdawał sobie sprawę, że musi go tolerować, jeżeli chce spędzać więcej czasu z Morganem.

Poszedł do kasyna, żeby wypić parę piw ze swoją drużyną przed udaniem się do Fishera. Przy tych młodziakach czuł się stary i nie mógł obudzić w sobie zapału do uczenia się nowych tańców, które tańczono tam, w świecie.

Morgan przyszedł do kasyna trochę po siódmej.

— Jedziesz, LaMont?

— Za parę minut. — Nie chciał sprawiać wrażenia, że pilno mu odejść. Przez pięć minut z wolna popijał piwo. — Zobaczmy się w namiocie, chłopaki — powiedział i wstał.

— Uważaj, żebyś tam z nimi nie zbiełał — rzekł Kelly patrząc na wierzch swojej puszkki z piwem. Padgett nie musiał wysłuchiwać takich bzdetów. Trzasnął pięścią w metalowy blat, aż puszkki zabrzęczały.

— Jeżeli masz mi coś do powiedzenia, to może chcesz wyjść na dwór.

— Już nic, chłopie. — Kelly nie podniósł wzroku.

— Tak też myślałem. Zobaczmy się w naszym namiocie, koledzy.

Nikt mu nie będzie mówił, cholera, z kim ma się zadawać. Może nie tyle chciał być z Fisherem i resztą, co zobaczyć się z Morganem. Jutro będzie się znowu uganiał za tymi parszywymi żółtkami koło Bong Son, a Bóg jeden wie, kiedy wróci. Będzie miał do licha czasu na gadanie z drużyną.

...czarnuchy... — dosłyszał idąc wzdłuż ścianki namiotu Fishera. Przystanął i podniósł wzrok, tak jakby ktoś zawiesił mu przed nosem czerwony neonowy szyld z mrugającym napisem „CZARNUCHY”.

— Po prostu miałeś złe doświadczenie — mówił Morgan do Fishera. — Tak czy owak, nie możesz tego powiedzieć o każdym z nich. Może byśmy przerwali tę rozmowę? Padgett zaraz tu przyjdzie,

224

— Możemy posłuchać, jak będzie pyskował — rzekł her.

Padgett usiadł w półmroku, między linkami i kołkami motu i słuchał.

— Chcesz powiedzieć, że on się pietra? — mówił Mor-a. — Oberwał cztery razy, a jednak tam wraca. Urato-ił Slagela i jeszcze przy okazji go postrzelili.

Co to znowu za chrzaniecie?

— Okej — powiedział Fisher. — Może Padgett jest w irządku, ale to jeden na stu. Tak samo jak w świecie. Iz na jakiś czas spotykasz takiego, którego możesz na-vać Murzynem, ale reszta to czarnuchy.

— Pieprzysz, człowieku.

— Poczekaj. Nigdy nie byłeś poza college'em i nigdy nie yłeś w polu, więc nie wiesz. Poczekaj, to zobaczysz. Chłó-ie, żałuję, że nie byłem podczas rozruchów w Watts gwardią narodową, bo bym sobie trzepnął ich paru. Padgett kopnął kołek namiotu. Kumple na wojnie nie nówią w ten sposób.

— Po prostu miałeś złe doświadczenie — powtórzył Mor-»an. — "Wielu białych także dostaje cykorii.

— Nie taki sam procent — odparł Fisher.

— Dajże spokój. A zresztą wielu z nich częściej bijąło się na ulicy, niż mogą spodziewać się tutaj. Padgetta przerwało. O mało nie wpadł do namiotu i nie trzasnął Fisher a, ale to by się na nic nie zdało. Pieprzyć tych wszystkich bałwanów! Kupił butelkę whisky u sierżanta Neeleya w S-4. Ten chudy biały łachmyta sprzedawał whisky po dziesięć dolarów butelka, płacąc w Qui Nhon dolara i dziesięć centów.

Padgett poszedł pod kasyno i zasiadł przy jednym z wystawionych na zewnątrz stolików, ale wkrótce przepędziła go stamtąd banda rozwrzeszczanych nowych chłopaków z kompanii A. Poszedł na film i okazało się, że wyświetlali jakąś kretyńską historię z Frankie Avalonem i Annette Funicello. Morgan dopędził go, kiedy był w drodze do ustępu.

— LaMont, gdzieś się podziewał?

15 — Amerykańscy chłopcy

225

— Chlałem. — Pociągnął jeszcze łyk z butelki.

— Twoi kumple mówili, że poszedłeś do Fishera. Nie byli zanadto życzliwie usposobieni.

— Dlaczego mieliby być?

— A co się stało? Gdzie teraz byłeś?

— Doszedłem akurat tak blisko namiotu Fishera, jak' było potrzeba. Słyszałem te świństwa, któreście wygadywali.

— O co ci idzie?

— Dobrze wiesz, kurwa, o co mi idzief

— Ja nic nie powiedziałem. Sam słyszałeś.

— Aleś został i gadał z nim, nie?

— Próbowałem go przekonać. Znasz moje stanowisko. — Morgan zapalił papierosa, a jego obwisłe policzki nasunęły Padgettowi na myśl rozmarzoną krowę. Roześmiałyby się, gdyby nie był taki wkurzony.

— W dalszym ciągu nie rozumiem, dlaczego musisz zadawać się z takimi palantami.

Morgan wyrzucił w górę ręce i tupnął.

— Jezu Chryste, a z kim mam się zadawać? Spędzam też dużo czasu z Alexandrem i Winstonem.

— Już teraz nie.

— Czy ty chcesz powiedzieć, że mam uprzedzenia rasowe?

— Ja nic nie powiedziałem. — Chciał już przestać, ale nie mógł. — Przypuszczam, że i o nich też rozmawiasz z Fisherem.

— A ty nigdy nie rozmawiasz o białych?

Co to się działo, do cholery? Padgett podniósł pięści, ale opuścił je, kiedy łzy napłynęły mu do oczu.

— Pieprzyć to wszystko, człowieku. Nie potrzebuję słuchać twojego gładzenia. — Odwrócił się na pięcie i ruszył do swego namiotu.

— A idź sobie. Ale wiesz, jak jest, i nie udawajmy, że nie wiesz.

Chambers przyszedł do namiotu około wpół do dziesiątej. Padgett zamierzał zobaczyć się z Morganem, ale był

220

— Chlałem. — Pociągnął jeszcze łyk z butelki.

— Twoi kumple mówili, że poszedłeś do Fishera. Nie byli zanadto życzliwie usposobieni.

— Dlaczego mieliby być?

— A co się stało? Gdzie teraz byłeś?

— Doszedłem akurat tak blisko namiotu Fishera, jak' było potrzeba. Słyszałem te świństwa, któreście wygadywali.

— O co ci idzie?

— Dobrze wiesz, kurwa, o co mi idzie!

— Ja nic nie powiedziałem. Sam słyszałeś.

— Aleś został i gadał z nim, nie?

— Próbowałem go przekonać. Znasz moje stanowisko. — Morgan zapalił papierosa, a jego obwisłe policzki nasunęły Padgettowi na myśl rozmarzoną krowę. Roześmiałyby się, gdyby nie był taki wkurzony.

— W dalszym ciągu nie rozumiem, dlaczego musisz zadawać się z takimi palantami.

Morgan wyrzucił w górę ręce i tupnął.

— Jezu Chryste, a z kim mam się zadawać? Spędzam też dużo czasu z Alexandrem i Winstonem.

— Już teraz nie.

— Czy ty chcesz powiedzieć, że mam uprzedzenia rasowe?

— Ja nic nie powiedziałem. — Chciał już przestać, ale nie mógł. — Przypuszczam, że i o nich też rozmawiasz z Fisherem.

— A ty nigdy nie rozmawiasz o białych?

Co to się działo, do cholery? Padgett podniósł pięści, ale opuścił je, kiedy łzy napłynęły mu do oczu.

— Pieprzyć to wszystko, człowieku. Nie potrzebuję słuchać twojego głędzenia. — Odwrócił się na pięcie i ruszył do swego namiotu.

— A idź sobie. Ale wiesz, jak jest, i nie udawajmy, że nie wiesz.

Chambers przyszedł do namiotu około wpół do dziesiątej. Padgett zamierzał zobaczyć się z

Morganem, ale był 22(5

syć pijany, i kiedy Chambers to zaproponował, rozwście-
j\ się znowu.

— Nikt mi nie będzie rozkazywał, co mam robić, kapu-
5Z?

— Wcale ci nie rozkazywałem. Ty i Morgan, jesteście ibrymi przyjaciółmi i nie ma sensu głupio się kłócić o coś. i powiedział ktoś inny.

— Guzik mnie obchodzi, co myślisz. Idź sobie pooglądać swoje śliczne pocztówki i nie zasuwaj mi tego kitu*

Chambers popatrzał na niego przez chwilę, obrocił się wyszedł z namiotu.

LaMont pociągnął trzy duże łyki, chwycił go mdłości, potem o mało nie zmiażdżył butelki w garści. Nie moż-a ufać nikomu na tym zasranym świecie. Powinien był už to wiedzieć, bo tyle razy się z tym zetknął. Ale nie, wciąż wracał jak mały chłopczyk, nie mając się na bacz-Lości, wprost dopraszając się, żeby ktoś dał mu po łbie. Cłuci i chudzi, biali i czarni, sierżanci i dziwki. Te pierwszone kundłe gryzły go, kiedy próbował podać im coś do ijedzenia. Może się zamknie w sraczu, cholera, dopóki ta tv-ojna się nie skończy. Teraz już zawsze będzie się miał na baczności. I więcej nie oberwie.

Pozegnał się z Webberem po dwóch dniach w polu. Przyjemnych dniach. Działanie, żadnej styczności z nieprzyjacielem, a kapitan był w dobrym humorze, bo odjeżdżał. Rozpoznawali tereny nadbrzeżne i błękit wody przypominał Padgettowi Morze Śródziemne. Nawet kiedy chodził po piasku, który ustępował pod butami jak papka, czuł się wybornie. Silny i pełen energii. Tego wieczora przyglądał się bez wielkiego przejęcia, jak Webber wsiadał do śmigłowca i odlatywał. Kapitan był właściwie nieobecny ód marca. Robił swoje, ale usztywnił się i trzymał się z daleka od strzelców. Może tak było i lepiej. Za wielu ich już odjechało.

Padgett wrócił do swego namiotu i napisał list do Mor-gana. Przepraszał, że zachował się tak nieustępliwie, ale

wkurzyło go słuchanie tego gówna, które wygadywał Fi-sheer. Obwinił białych, kiedy kapitan Davis poprowadził ich w zasadzkę, i oczywiście przeklinał ich wszystkich, i wtedy raptem usłyszał, co pieprzył Fisher.

Pod pewnymi względami Morgan to najlepszy przyjaciel, jakiego miał kiedykolwiek. Odrzucając te wszystkie bzdury, że biali nie potrafią zrozumieć Murzyna — a kto w gruncie rzeczy rozumie drugiego, do cholery? — oni dwaj przynajmniej próbowali, a nie spotyka się wielu takich, co robią chociaż tyle. Tamten tłścioch może i chętniej słuchał jego gadaniny, ale z zupełnie innego powodu. Zresztą cholera z tym — on i Morgan przeżyli razem miłe chwile, dużo rozmawiali ze sobą, a nie można żądać wiele więcej. Tylko dlatego, że świat jest zaszary, nie musieli się temu poddawać. Odpowiedź Morgana przyszła w dwa dni później; pisał wylewnie o ich przyjaźni, o tym, że nic nie powinno nigdy stanąć na jej drodze, a zwłaszcza żadne małostkowe względy rasowe. Rozwodził się o planach po powrocie do świata, podróżach do Meksyku, osiedleniu się w Kalifornii czy Jersey. Twierdził, że nie ma ochoty widzieć swych dawnych przyjaciół, bo i tak już by go nie zrozumieli. Na końcu listu była wzmianka, że miał wiadomość od siostry Slagela i że Tom jest nadal w Walter Reed, że jest kaleką i za kilka miesięcy prawdopodobnie zostanie przeniesiony do szpitala wojskowego w Bronx. Ona niedawno wyszła za mąż i przebywanie Toma z nią i jej mężem byłoby zbyt kłopotliwe. Nie byłoby dobre dla nikogo. Ale oboje mają zamieszkać w Nowym Jorku, więc będą mogli często go odwiedzać.

Dziwka! Siostra Slagela to nielicha dziwka. Uwielbiała się bawić, a Morgan mówił, iż rznąła się tak, że nie można było nastarczyć pigulek. Ale robiła karierę. Tamtego lata, kiedy oni wszyscy byli w Fort Dix i jeździli na weekendy do Nowego Jorku, nie знаła nikogo. W końcu znalazła sobie jakiegoś durnego doktora i teraz nie miała zamiaru dopuścić, żeby coś jej popsulo ten układ. Nawet biedny Tom skazany na leżenie, nie mogący się ruszać.

228

Nie mógł o tym myśleć nie wzdrygając się i nie kiwając :ową. Potrafił wyobrazić sobie różnych ludzi w takim anie, ale nie mógł znieść obrazu Slagela poruszającego rłko głową. Ten chłopak był wszystkim ciałem. W umyśle adgetta jawiły się groteskowe wizje Toma przykutego do :pitalnego łóżka, wynędzniałego i pożółkłego niczym ro-Lina bez wody, któremu myśli wysnuwały się z uszu i za-risały nad głową jakimś szyderczym chórem. Następnego dnia, czwartego lipca, rozpoczął się z trzaskiem, lancoc z karabinów maszynowych wrzucił do dołu gra-Lat, żeby obudzić kompanię. Po śniadaniu zaczęli rozpo-manie małych gór nad rzeką, tych samych co w styczniu, lozliczne odcienie zieleni były teraz prawie jednolitą bla-lą brunatnością, a stok góry pokrywały leje od bomb. Ka-ńtan Jones, nowy dowódca plutonu, lubił patrolowanie. [>dy tego popołudnia brnęli w dół po stoku, minęli miejsce, które przypomniało Padgettowi tamto, gdzie Slagel rąbnął okaleczonego jeńca. Powrócił wyraźnie na pamięć obraz drobnego jęczącego biedaka w czarnych szerokich spodniach poczerwieniałych wokół krocza. Usiłował odsunąć od siebie myśl o karze boskiej, ale wciąż powracała, tak jak uczyła go matka i Kościół, a potem w bardziej wykształconej formie wypowiedzi tłściocha. Trzeba płacić za to, co się zrobiło. Bzdura! Ale jednak strasznie jest o tym myśleć. Nie, to nie może być prawda, bo inaczej przywódcy już dawno by zapłacili za swoje.

Codziennie jacyś ludzie odjeżdżali. Tylko nie z plutonu strzelców. Każdy, kto miał odejść, został już odesłany w worku albo na noszach. Natomiast sporo pilotów i dowódców załóg śmigłowców rozpoznawczych i bojowych odjeżdżało razem z ludźmi pracującymi w kantynie, zaopatrzeniu i wydziale operacyjnym. W tydzień po wyjeździe Web-bera odbyła się po kolacji ceremonia przekazania dowództwa. Major Quinn odjeżdżał następnego dnia, a na jego miejsce przychodził major Singer. Morale już się pogorszyło na skutek sposobu dowodzenia strzelcami przez kapitana Jone.sa. Singer nie był zły, ale brakowało mu bezpośredniości Quinna — był typem bardziej wyniosłym.

229

Po ceremonii Padgett wrócił z piwem do swego namiotu, wypalił skręta i położył się, żeby odpocząć przed prysznicem. Ten pieprzony Jones go męczył. Gdy się obudził, było już ciemno i ktoś chichotał na zewnątrz namiotu.

— Obudź się, Padgett, do diabła!

— Kto tam, u kurwy nędzy?

— Mówcie: kto tam, u kurwy nędzy, panie majorze.

— O, pan major Quinn! Kto tu jest?

— Wy i ja. Miałem dość oficcerskiego przyjęcia, więc pomyślałem sobie, że przyniosę mojemu najdłużej służącemu strzelcowi coś do wypicia. Todd! — wrzasnął Quinn. — Tachaj się do namiotu Padgetta!

Quinn był na niezłych obrotach. Dawniej, przed masakrą w Szczęśliwej Dolinie, zachodził do żołnierzy popić i pograć w karty, gdy nie mógł zasnąć, ale potem trzymał się z daleka. Kiedy Todd przyszedł, Quinn puścił w obieg butelkę, a po niej colę.

— Wy dwaj jesteście fajne chłopaki i będzie mi was brakowało po jutrzejszym dniu. Zatrzymam się w Waszyngtonie i pozdrowię od was Slagela. Już mówiłem Chambersowi. Chciałem tylko powiedzieć, że miło było mieć was w jednostce, i mam nadzieję, że dobrze się sprawicie z tym nowym narybkiem. Oni wam mogą nawalić, ale się nie przejmujcie, bo już wam teraz zostało za mało czasu, żeby się wkleić w jakieś kłopoty. Jeżeli was przydzielą do Benning, wpadnijcie do mnie, to sobie porozrabiamy.

Siedział z nimi jeszcze pół godziny, a kiedy odchodził, wszyscy; trzej płakali. Facet pamiętał każdego, kto zginął czy został ranny, i cały czas myślał o tych ludziach, bo widać bardzo mu to ciążyło. Quinn był bojowy — na walce znał się najlepiej — ale nie mógł pogodzić się z tym, co spotykało innych. Myślał, że został tak wyszkolony, aby to akceptować, ale nie potrafił, a bił się twardo do ostatniej chwili, bo nie widział innej drogi. Co powie po powrocie do kraju? Że nadal rozpoznają te same wzgórza co przed sześcioma miesiącami? Zawsze uważał, że nie jest jego rzeczą rozmyślać, co i dlaczego, że to należy do ludzi ma-

230

ych odpowiednie kwalifikacje, lecz teraz się zastanawiał, czy ktokolwiek to rzeczywiście robi. Padgett i Todd przesiadzieli milcząco w namiocie na jępe dziesięć minut. Wreszcie Todd dotknął jego ramie-

i.

— Chyba się kropnę spać.

— Dobrze, bracie. Zobaczymy się rano.

Kompania nie wyruszyła po śniadaniu. Singer odkładał wszystko do odjazdu Quinna. Ten wrócił z S-3 około wpół

> dziewiątej. Wszyscy kręcili się w milczeniu, kiedy szedł

> śmigłowca z chorążym Fitchem (nowym pilotem), sze-m załogi Guillorym, który też wracał do domu, oraz owrym, nowym karabinowym. Kiedy maszyna poderwała się z ziemi, Quinn wytknął przez okienko drzwiowe kciuk odniesiony do góry, a wszyscy na dole odpowiedzieli mu tym samym gestem. Śmigłowiec wzniósł się na dziesięć tóp kierując się ku północy, potem zakręcił na wschód, puścił przód i wzbił się szybko. Zniknął Padgettowi rt ilasku słońca, po czym pojawił się jak plamka nad tym lustym, rozjarzonym punktem na niebie. Padgett znowu zamachał ręką wygrzebując w ziemi mały dołek obcasem

mta. — No dobra, pluton! — huknął kapitan Jones. — Zbiór-

— Skręć mocno, Padg! — zawołał Kelly od chaty, którą podpalał.

Padgett ścisnął i skręcał szyję kury, a chrupnięcie przypominało mu odłamywanie czubków marchwi. Ptak zwiotczał i Padgett upuścił bezwładne padło na ziemię. Kury to najgłupsze stwory, jakie w życiu widział. Złościły go ich zwieszane głowy i szyje, kiedy łąziły i gdaknęły po wioskach pozostawiając za sobą małe kupki łajna. Podniósł martwą kurę końcem lufy karabinu i wrzucił ją na dach

płonącej chaty.

— Żółtki będą dziś miały pieczone kury z ryżem — powiedział Kelly.

231

— Lepiej dołączmy do drużyny, zanim nas tu zostawią Na skraju wioski dwie stare kobiety i stary mężczyzna stali spokojnie przed wejściem do swojej chaty. Wpatrywali się w Padgetta i Kelly'ego

bez widomego przejęcia, Uśmiechnął się do nich i odwrócił wzrok. Nie cierpiał tych wymizerowanych tumanów. Sterczą i patrzą, jak im się niszczy dom. W ciągu czterech dni, które minęły od odjazdu majora Quinna, pluton operował rozszerzonym łukiem dokoła Bong Son i nad wybrzeżem. Do tej pory obrobili z piętnaście wiossek. Tłumacze wypytywali chłopów, a żołnierze przeszukiwali chaty, by się przekonać, czy nie ma w nich czegoś za wiele. Nikt nie określił dokładnie, co to jest „za wiele”, ale jeżeli tak wyglądało, trzeba było to zniszczyć. Palili więc ryż, ukręcali łby kurom, a Jesperson z drugiej drużyny rozwalił dwóch starych mężczyzn, którzy usiłowali uciec z wioski, kiedy nadeszli żołnierze.

Biali byli trochę zanadto sentymentalni, jeżeli idzie o psy — nawet Jesperson nie chciał im robić nic złego — i nie strzelali do psów, nawet jeżeli zdawało się, że jest ich za wiele. Żółtki żywiły się psami, ryżem i kurami, a ryby i warzywa dostawały na targu. Jeżeli czegoś było za wiele, widocznie jadał to w nocy Wietkong. Padgett zastanawiał się, dlaczego nie może to znaczyć, że ludzie odkładają coś sobie na okres, kiedy pola ryżowe nie wydają plonu, ale szefowie mówili, że tego nie robią. Wyobrażał sobie, że szefowie muszą znać zwyczaje tych ludzi, dopóki nie przekonał się, że gówno wiedzą. Ale to nie była jego broszka. Po co się narażać? Wyruszył w pole z kapitanem Jonesem i sierżantem Givensem i wyglądało na to, że z końcem miesiąca będzie mógł dostać zwolnienie. Miał dość patrolowania, a przez ostatnie kilka dni bał się. Cały czas na otwartym terenie, łącząc przez wioski, po drogach i polach ryżowych, gdzie chłopcy byli zajęci sadzeniem. Każdej chwili mógł dostać w czapę.

W ciągu dnia zachowywał powściągliwość. Może z pół skręta rano i drugi raz w południe. Żeby rozładować napięcie. Za to wieczorami palił aż do oglupienia. Nie mógł znieść facetów z drużyny. Zanadto przypominali mu tam-

232

tych typów z jego ulicy, bredzili, jacy to oni są groźni, jak będą razem rozrabiać, kiedy wrócą do świata. Lubili sierżanta sztabowego Petersa, dowódcą drużyny, no i dobrze, bo nie naprzykrzali się zbyt do Padgettowi. Przebrali miarkę, kiedy paru z nich zaczęło psioczyć na majora Quinna po jego odjeździe. Padgett wiedział, że Quinn jest z Południa, ale był także czymś więcej. Po prostu lubił Quinna

i na tym koniec.

Chambers zachowywał się paskudnie. Cokolwiek się działo, był coraz bardziej napięty, coraz bardziej zamykał się w swoim małym świecie. Wieczorem czytał te cholerne książki o sztuce i w kółko chciał gadać o obrazach i architekturze, tak jakby machnął ręką na wszystko albo wariował. Ten skubaniec musiał już znać na pamięć informator college'u. Kiedy Padgett zaszedł ostatnio trzy razy do jego śmigłowca, wracał wściekły. Na samego siebie za to, że nie maluje, nie interesuje się tymi rzeczami i nie ma ochoty o nich gadać, a na Chambersa za to, że nie chce się przyznać, co robi. Jego zainteresowanie było szczere, ale przynajmniej mógł przyznać, że w dużej mierze jest środkiem obrony. Facet zachowywał się tak, jakby w ogóle nie było wojny, jak gdyby ludzie nie umierali i nie załamywali się wszędzie dokoła niego. LaMont pragnął dzielić z kimś tę negację, nurzać się w niej tak, jak to czynili w Fuldzie. To zawsze pomagało, ale Chambers już teraz nie chciał w tym uczestniczyć.

Padgett czuł się osamotniony. Jego nastrój przypominał podwodny film, gdzie cienki promień światła rozświetla mroczne cienie, ale nie wydobywa na jaw niczego.

Tej nocy przyśniło mu się, że jest w domu i gada z jakimiś ludźmi. Paroma z tych, którzy pierwsi napsioczyli do niego na tłusciocha, paroma Murzynami i kilkoma gośćmi z Niemiec. Był ośrodkiem zainteresowania, mówił rzeczy zabawne i wszystkich rozśmieszał. Tłuscioch siedział w kącie obserwując go z goryczą w oczach, czekając, żeby się potknął, ujawnił ślady swojego zepsucia. Ilekroć LaMont nań spojrział, głos mu się łamał i cichnął, ale ożywienie, wracało, gdy znowu zagadywał do całej grupy. Jed^

233

nakże świadomość, że tłuscioch go obserwuje, sprawiała, iż w gardle mu zasychało, a Wnętrznosci wypełniał strach. Rano obudził się i uśmiechnął mimowolnie. Jakimś sposobem pojął, że nie będzie już więcej śnił o tłusciochu. Główny sen zapamiętał żywo, ale gdzieś w tyle głowy jawił

się mgliście inny, w którym ten opas był przed nim pochylony, podczas gdy dłoń LaMonta spoczywała miękko na jego głowie, wybacząc, niemal błogosławiąc. Szeregi chłopów przypomniały mu oglądane niegdyś obrazy mieszkańców afrykańskich wiosek. W każdym razie Wietnamczycy nosili swoje rzeczy na głowach, tak samo jak tamci. Jednakże byli niscy i wyglądali niechlujnie w tych swoich czarnych ubraniach, a ich drobne krocзки nie miały nic z wdzięku Afrykańczyków. Właściwie wyglądali żałośnie, ale dostatecznie się wycwanili, aby wynosić się z wiosek, zanim nadeszli żołnierze. Przez dwa następne dni było ich pełno na drogach. Nikt nie miał pojęcia, dokąd u licha idą. Do Bong Son? Qui Nhon? Na północ, do miasta Quang Ngai? Może sami tego nie wiedzieli. Wsie były puste — ani ryżu, ani kur, niczego za wiele. Pluton palił jedne chaty, a inne rozwałił granatami. Drugiego dnia stwierdzili, że wieśniacy spalili przed odejściem własne chaty. Padgett uważał, że to sprytne, ale wszyscy inni byli wkurzeni.

Obszukiwali chłopów na drodze, przetrząsali ich tobołki pozostawiając zawartość rozrzuconą na ziemi albo wypuszczali kury z drewnianych klatek, które wieśniacy nieśli na plecach. Nie mogli powiedzieć, żeby któryś niósł za wiele ryżu, ale na wszelki wypadek rozpruli kilka worków. Chłopi przypominali mu Charlie Chaplina, kiedy uwijali się na drodze usiłując wybierać ziarno rozsypane w błocie. Nawet kilka psów dostało kolbami od żołnierzy i leżało na drodze drgając, z roztrzaskanymi głowami.

Padgett nic takiego nie robił, ale swojej grupie ogniowej pozwalał na wszystko. Nie jego sprawa. Jones czy Givens, czy Peters mogli powiedzieć, gdyby im się to nie spodoba-

234

. Ale pewnie i oni też mieli swoje rozkazy. Dywizja nie liczyła teraz tylu strat zadanych nieprzyjacielowi — co i wniej i mówiono, że wyższe szyszki zeżliły się i chcą więcej akcji. Ta wiadomość czy może raczej nastawienie rzeniknęło do żołnierzy, więc rozmyślnie prowokowali wieśniaków. Gdyby któryś z chłopów spróbował stawić pór, nie żyłby w sekundę, i widać o tym wiedzieli, bo nie robili nic. Prawdopodobnie operacja miała trwać do-óty, dopóki szyszki nie uzyskają jakichś ważnych wiadomości do zaraportowania większym szyszkom. Następnego dnia próbowali przechytrzyć Wietkong. Po-tiaszerowali do wioski w pobliżu wybrzeża, do której już irzedtem zaglądali i która była nadal zamieszкана. Na pięciomilowym odcinku drogi do Bong Son, wijącej się między polami ryżowymi obok niewielkich wzgórz, znajdowały się trzy wioski. Chłopi zaczęli zbierać manatki, za-aim śmigłowce wylądowały, i cała ludność wioski już wyruszyła w drogę, nim pluton skończył przeszukiwać domostwa. Nie znaleziono nic i spalono wszystkie chaty z gliny i słomy.

Padgett zapomniał o swoich ludziach, kiedy maszerowali drogą do następnej wioski. Lekki powiew od morza muskał mu kark i przenikał pod podkładkę hełmu chłodząc całą głowę. LaMont rozmyślał o Morzu Śródziemnym,

O Florencji, o tym jak trudno musiało być dawnym malarzom oddać tę delikatną mgiełkę, która wisiała nad całą Toskanią.

Chłopi z drugiej wioski byli o milę przed nimi, kiedy mijali tych z pierwszej. Ktoś z drugiej drużyny popchnął

1 przewrócił człowieka z klatką pełną kur przytroczoną na plecach. Klatka się rozleciała, a kury zaczęły skakać jak szalone po wieśniaku i błotnistym rowie, w którym leżał. Cały pluton się rozproszył. Kiedy przeszła druga drużyna, Padgett zlął do rowu i pomógł wstać leżącemu. Nie ważył więcej niż dziewięćdziesiąt funtów. Uśmiechnął się do Padgetta i szybko pochylił przed nim dwukrotnie głowę.

Spalili drugą wioskę, zjedli posiłek i rozpoczęli dwumi-łowy marsz do trzeciej. Sznur idących chłopów ciągnął się

235

bez końca. Wydawało się niemożliwe, żeby dziesięć czy jedenaście chat w każdej wiosce mogło

pomieścić aż tylu. Pluton właśnie skręcał w prawo z drogi, gdy z małych wzgórz o jakieś sto jardów w lewo otworzył ogień karabin maszynowy.

„Jeszcze tylko dwa tygodnie” myślał Padgett. Jeszcze dwa tygodnie i operacja się zakończy, a on będzie miał za sobą to całe pieprzone draństwo. Dał nura do rowu, przekreślił się i wyjrzał. Na drodze leżeli dwaj żołnierze. Inni, klęcząc w rowie, kosili pociskami chłopów. Wystrzelał magazynek w stronę wzgórz, załadował broń na nowo i czekał. Spozstrzegł, że patrzy prosto w obróconą do góry twarz jednego z zabitych kolegów, którego nazwiska nawet nie znał. Ta twarz jakby usiłowała powrócić do życia. Mógł to być jeden z cyklu obrazów o wojnie.

— Do wsi! — krzyknął sierżant Givens. — Kryć się w chatach!

— Idziemy — powiedział Peters.

Chłopi też biegli schronić się w wiosce. Kilku trafił od tyłu karabin maszynowy. Innych zastrzelili lub powalili kolbami żołnierze. Padgett znalazł się z Kellym w mrocznej chacie i wyjrzał przez okno. Naliczył czternaście trupów między wioską a drogą. Słyszał strzały z innych chat, ale nie wiedział, czy są wymierzone w karabin-maszynowy, czy w chłopów. Nagle uświadomił sobie, że Kelly patrzy na niego wyczekująco.

— Kryj te drzwi — powiedział Padgett.

— A co ja robię, stary? — Twarz Kelly'ego była bledsza niż zwykle.

— Tylko uważaj. Nic się nie stanie, chyba że wszyscy tu powariują.

Czuł to w powietrzu. Ale nie bał się tak jak dawniej. Był znudzony, zmęczony i pragnął, żeby operacja już się skończyła.

Śmigłowce przeleciały nisko nad wzgórzem plując rakietami, granatami i pomarańczowymi krechami ognia maszynowego. Obydwa nadleciały trzykrotnie. Wyglądało na to, że rozwalily karabin maszynowy, ale hałas w wiosce

236

agle się wzmagał. Wrzaski, paplanina żółtków, huk strza-w wirowały mu bezsensownie w głowie. Kapitan Jones, sierżant-szef Givens i pierwsza drużyna szyli z wioski w stronę podnóża wzgórz. LaMont nie Lał już teraz nikogo w pierwszej drużynie. Wprawdzie fło to dziwne, ale przecież niedługo miał odejść. Przeszli :zez drogę nie dostając ognia, wydawało się więc, że szystko będzie w porządku. Reszta plutonu mogła odsap-ać. Ciemna ścianka chaty chłodziła policzek Padgetta. Tuttle przykucnął u wejścia do wioski i opatrywał jed-ego z żołnierzy. Sześciu leżało na ziemi, ale nikt inny ie udzielał im pomocy.

— Właż tutaj, dziwko!

Padgett obrócił się. Thomas wepchnął przez drzwi jakąś iziewczynę. Spodnie miała opuszczone do kolan, a biała :urtka była rozchylona nad prawie bezwłosym wzgórkim onowym, kiedy dziewczyna wtaczała się do chaty.

— Ciup-ciup, mama-san! — krzyknął Thomas i za-;rzasał drzwi. — Kelly, nie puszczaj tu tych sukinsynów. Postawię sobie numerek.

— Dobra, ale po tobie ja.

Dwa tygodnie — najwyżej trzy — to było wszystko, co Padgett miał przed sobą. Nie strzelano do nich, więc mógł pomóc Tuttle'owi opatrywać rannych. Kiedy podszedł do drzwi, Thomas spuszczał spodnie i kalesony. Szpara między jego pośladkami majaczyła Padgettowi przed oczyma, kiedy wychodził na światło słoneczne.

Na dworze jakaś kobieta zaczęła go grzmocić w pierś obiema pięściami. Odsunął ją na bok. „Mam jeszcze tylko dwa tygodnie i muszę udzielić pomocy rannym.” Podbiegł do sąsiedniej chaty i zajrzał przez okno. Jesperson zerknął na niego przez ramię i wyszczerzył zęby. Jego krostowate białe półdupki wznosiły się l opadały powoli nad wijącą się pod nim postacią. LaMont odepchnął inną kobietę i spojrział na niebo. Dokoła wioski krążył powoli śmigłowiec, w którego drzwiach siedział rozparty karabinowy, z ciemnym daszkiem przeciwsłonecznym osłaniającym mu twarz pod mleczną emalią hełmu lotniczego.

237

Mama-san chwyciła Padgetta od tyłu za ręce, zaciskając je w zagięciu swych łokci. Jej ramiona przypominały uschnięte gałęzie sprzed tysiąca lat. Gdyby się poruszył, rozpadłyby się na setki

martwych złomków. Padgett odprężył się i niemal roześmiał. Kiedy opuścił oczy, przed jego pierśią uniosła się kosa o krótkim drzewcu, na której ostrzu słońce zapalało iskry. Stary papa-san trzymał tę kosę nad głową, a jego twarz była pełna takiej nienawiści, jakiej nie potrafiłby oddać żaden malarz.

15

Kiedy śmigłowiec leciał na zachód, oddalając się od Morza Południowochińskiego, Chambers przypomniał sobie dzień, kiedy pływali w małej zatoczce poniżej willi nad Morzem Śródziemnym. Slagel znalazł jedyną katoliczkę we Włoszech, która się rżnęła przed ślubem, i właśnie ona zabrała ich wszystkich z Florencji mikrobusem Volkswagen. Prawie turkusowa woda była lodowato zimna i nigdy dotąd pływanie nie podziało na niego tak pokrzepiająco. Żołnierze wlekli się niedbale drogą koło wsi, wyprzedzając (nie wiedział jakim sposobem) Wietnamczyków, którzy dreptali zdecydowanym, drobnym krokiem. Nagle dwóch szeregowców potknęło się i przewróciło, jak gdyby byli zanadto pijani, żeby iść dalej. Pomarańczowe błyski pruły po drodze i w wioskę. McCutcheon otworzył ogień i łuski z jego karabinu maszynowego zagrzechotały po kasku lotniczym Chambersa. Piloci zaczęli coś gadać do siebie, a wszyscy na ziemi raptem powariowali. Ścisnął uchwyt karabinu maszynowego, ale nie mógł nic zrobić. Strzelano od drugiej strony. Wioska przypominała film puszczonego za prędko. Ludzie pędzili, przystawali, padali, znikali w chatach, postacie w kolorze khaki zderzamy się z ubranymi na czarno, pomarańczowe błyski nie ustawały. Chambers potrząsnął głową nad głupotą tych ludzi kotłujących się w dole.

— Mam ich na muszce! — wrzasnął McCutcheon do 238

aikrofonu, kiedy śmigłowiec skręcał w lewo. — Zatoczcie :oło, to ich dostanę!

Nowy dowódca plutonu ogniowego, kapitan Sanders, jego pilot, chorąży Eastman, nie wiedzieli, co robić. W Łońcu zdecydowali się lecieć prosto na cel, ażeby wykorzystać całą siłę ogniową śmigłowca.

— Okej, Orville — powiedział McCutcheon. — Bij smu-jowymi tam, gdzie idą moje. I rzuć kilka granatów, na miłość boską!

Chambers zeszytywniał, gdy dwa wystrzelone z ziemi pociski smugowe przeleciały o pięćdziesiąt jardów na prawo od maszyny, ale jakoś nie mógł zarazić się entuzjazmem McCutcheona. Strzelał, wyrzucił przez drzwi dwa granaty odłamkowe, ale co to wszystko w ogóle miało z nim wspólnego? Nalecieli na cel, trzykrotnie, lecz za ostatnim razem zamek jego karabinu tylko szczęknął i na tym koniec. Drewniana skrzynka u stóp Chambersa była pusta.

— Dorwaliśmy ich, rozwaliliśmy drani! — ryknął McCutcheon. — Czterech czy pięciu pewnych zabitych, panie kapitanie.

— Red, tu Szóstka, odbiór.

— Tu Red — odpowiedział kapitan Sanders.

— Dobra robota, Red. Zdaje się, że ich dopadliście. Teraz my przejmujemy.

— Zrozumiałem, Szóstka, koniec.

McCutcheon klepnął Chambersa po ramieniu i podniósł kciuki. Chambers kiwnął głową, po czym ukląkł i sprawdził skrzynki amunicyjne pod siedzeniem. Też puste. Rany boskie, przecież ładował je przez czterdzieści pięć minut. Po wylądowaniu McCutcheon odszedł pozostawiając mu ponowne ładowanie. Kiedy Chambers skończył, ziemia koło maszyny wyglądała jak po przejściu hordy pijaków. Jedenaście pustych drewnianych skrzynek wałało się między czterdziestoma czterema zielonkawymi blaszankami od amunicji. Pocąc się obficie zaniósł i kopnął skrzynki i blaszanki do dołu na śmieci, wściekły na myśl, że jutro będzie musiał oczyścić karabiny z osadu. Ustawił dwie skrzynki granatów za wspornikiem, wdra-

239

pał się na siedzenie i zapalił cygaro. Śmigłowce transportowe wylądowały w kłębach kurzu, a on przyglądał się obojętnie, jak ze dwudziestu pięciu ludzi wysiadało z czterech maszyn. Około piętnastu odesłano już do szpitala, co oznaczało, że kompania będzie siedziała na miejscu jeszcze kilka dni, czekając na wyruszenie do akcji. Normalnie byłby zadowolony z tej przerwy, jako sposobności poczytania i wyspania się, lecz teraz ta myśl go irytowała, bo przerywało to rytym i

oznaczało, że znowu będzie musiał się przystosowywać. Chciał, żeby dni płynęły nieprzerwanym ciągiem. W ten sposób wojna skonczy się dla niego prędzej.

Inni karabinowi oraz dowódcy załóg podeszli do transportowców. Po co? Żeby zobaczyć, kogo brakuje? Żeby zobaczyć, kto pozostał do umieszczenia na liście w następnym tygodniu? Zżymał się widząc, jak załogi śmigłowców spotkały się ze strzelcami, a jego pluton pomagał piecho-eiarzom nieść broń i osprzęt. Przecież byli dość silni, żeby tachać swoje rzeczy. Po kiego licha całe to fałszywe koleżeństwo? Nawet Robinson kemuś pomagał — zdaje się Mallisonowi, temu mineciarzowi. Chambers odwrócił się i cisnął cygaro przez drzwi, po czym stęknął głośno, kiedy zlął po nie. Rozdeptał węgielek, który mrugał do niego jak oskarżycielskie oko, i wrzucił do dołu na śmieci rozmiękły, zgnieciony niedopałek.

W pół godziny później McCutcheon przywłókł się w bla-dopomarańczowym zmierzchu z głową zwieszoną, przygarbiony tak, jakby dźwigał na sobie cały ciężar wojny.

— Cześć, Orville — powiedział podnosząc pełne smutku oczy.

— Co tam u nich?

— Siedmiu zabitych. Orville, Padgett oberwał.

— Tak? To chyba jego piąta rana. — Chambers nie mógł sobie przypomnieć, czy czwarta, czy piąta. — Ciężka?

Twarz McCutcheona nagle zlodowaciała.

— To nie rana. Dostał w czapę.

240

Prawa noga Chambersa podniosła się mimowolnie, po tym uderzyła o podłogę śmigłowca.

— Aha.

— Jakiś skubaniec przerznął go kosą. Przez samo serce.

— Nie wierzą. — Głowa paliła go tak, jakby ją posmażył piekącą maścią.

— To fakt. Przykro mi, chłopie. Chcesz piwa albo co?

— Nie. Nie. — Nagle ogarnęła go panika, zeskoczył na Lemię, po czym przez chwilę stał nieruchomo. Jego ciało siłowało ruszyć w trzech kierunkach naraz, a myśli gnały tak, że nie mógł się w nich połapać. Musi iść do LaMonta i przeprosić go. Okręcił się do McCutcheona. — Gdzie jest?

— Kto?

— LaMont. Gdzie teraz jest Padgett?

— Nie wiem, Orville. Pewnie w którymś śmigłowcu wracającym do bazy.

— Muszę go zobaczyć. — Zaczął odchodzić od maszyny.

— Czekaj! Obrócił się.

— Dokąd idziesz?

— Muszę go zobaczyć. Nie mogą tego tak zostawić. — McCutcheon zamazał mu się przed oczami.

— Wiem, jak to jest. Może ktoś cię zabierze. Sam też wiele straciłem. Lepiej weź hełm i broń. — McCutcheon podał mu pas i wyrzutnik granatów.

— Dziękuję.

Śmigłowiec majora Singera odleciał w dwie godziny później. Nowy dowódca kompanii musiał udać się do bazy na spotkanie z pułkownikiem i zgodził się zabrać Chambersa pod warunkiem, że będzie gotów wrócić rano.

Kiedy maszyna wznosiła się w czarne niebo za obwodem bazy polowej, Chambers przymknął oczy i oparł się o ściankę ogniową. Czuł się jak masa bezwładnych poszarpanych kamieni pędzących poprzez lodowate regiony między odległymi od słońca planetami. Dokąd leciał? Jaki był sens tego jałowego gestu?

Otworzył oczy i ujrzał zielony fosforyzujący poblask

18 — Amerykańscy chłopcy

241

tarcz i liczników na tablicy rozdzielczej. Piloci, milczący i nieruchomi, przypominali roboty przymontowane do siebie. Gdyby nie warkot silnika oraz żółte i białe światła, mrugające na

zewnątrz kabiny, śmigłowiec mógłby wydawać się jakimś posągim zastygłym na niebie. Nawet obracające się łopaty wirników, od których światła odbijały się jak od spękanego lustra, wydawały się lite, nieruchome. W dole czaiła się dżungla — nieprzenikniony mrok.

Myśli Chambersa przebiegły kilka ostatnich tygodni, aż po tę noc, kiedy LaMont przywarł do niego w ciemnościach. Co się zdarzyło od tamtej pory? Dlaczego pozwolił mu odejść? Trzasnął się dłonią po kasku lotniczym i potrząsnął głową. Może gdyby nie trzymał się od niego z daleka, LaMont żyłby w tej chwili. Ta myśl dręczyła go przez chwilę, dopóki nie uwolnił się od niej machając ręką w chłodnej, wietrznej czerni na zewnątrz maszyny. Wojna nie uwzględniała żadnych takich rzeczy. Nie był winny.

A jednak opuścił swojego przyjaciela, przestał rozmawiać z nim, ponieważ LaMont już nie interesował się sztuką. Jakież głupi może się stać człowiek! Nie wolno odgradzać się podczas wojny, kiedy -nasi przyjaciele czy też my sami potrzebujemy kogoś, aby spędzić z nim czas. Czyż nie nauczył się tego w Fuldzie? Studiowanie sztuki sprawiało mu wielką przyjemność, ale kontakt z innymi był rzeczą najważniejszą, dawał mu największe poczucie, że żyje. Ostatnio jakby wycofał się na powrót w ten kokon, w którym żył przed wyjazdem do Niemiec.

Nagle powietrze pod maszyną rozbłysło białym światłem; byli już nad obozem-bazą dywizji i opuszczali się na parking na terenie lądowiska. Światło pokładowe reflektora oblało drogę, na której kierowca w ciężarówce, przytrzymując czapkę, czekał, aby ich odwieźć do dowództwa batalionu. Ciężarówka zatrzymała się na krótkim odcinku drogi między nowym drewnianym kasynem kompanii C a na-

242

liotem S-1. Morgan stał oparty o kontuar, żarówką nad ego głową osłaniał duży kapelusz kulisa. Przekładał arku-ze papieru robiąc tu i ówdzie notatki piórem. Z odległości kilkunastu kroków widać było, że twarz ma nabrzmiałą zmęczoną, jakby dopiero co zbudził się po ciężkim pi-

aństwie. Chambers poszedł do namiotu swojego plutonu. Rozwiesił siatkę przeciwmoskitową nad łóżkiem polowym, a pod nią rozłożył swój śpiwór. Przy przyczepie z wodą umył sobie zęby, ręce i twarz, po czym wrócił do namiotu i wsadził swoje przybory toaletowe pod śpiwór. Zapalił cygaro idąc do S-1. Zatrzymał się pod otwartą klapą namiotu.

— Will?

Morgan drgnął i przechylił głowę.

— Orville? Skąd się tu wzięłeś?

Chambers starał się nie skrzywić poczuwszy jego nieświeży, przesycony piwem oddech.

— Major Singer mnie przywiózł. Słyszałeś?

— No pewnie. To wszystko przechodzi przeze mnie. Widzisz? O, mam to tutaj. — Morgan wyciągnął arkusz papieru i potrząsnął nim. — Siła waszej kompanii, o tu. Wczoraj o północy mieliście dziewięćdziesięciu jeden ludzi obecnych do służby, a dzisiaj o północy będziecie mieli siedemdziesięciu pięciu. Jutrzejszy raport będzie brzmiał: „Padgett LaMont, poległy "w akcji..."

— Przezań! — Orville trzasnął dłonią w kontuar. Popiół jego cygara spadł na jeden z białych formularzy

— Uważaj, generał nie lubi pobrudzonych papierów. — Morgan strzepnął dłonią popiół na bambusowe maty, na których stał Chambers.

Coś zaszeleściło w głębi namiotu i zza bambusowego przepierzenia wyszedł kapitan Greene.

— Morgan, idźcie, jeżeli chcecie. DeWolf może napisać ten raport.

Morgan nie odwrócił się, tylko uśmiechnął do Chamber-

sa.

243

— W porządku, panie kapitanie. W wojsku nie ma złej pory.

— Jak chcecie. Czołem, Chambers.

— Dobry wieczór,, panie kapitanie.

— Przykro mi z powodu waszego przyjaciela. Kiwnął głową Greene'owi, kiedy kapitan mijał go wychodząc z namiotu.

Morgan podniósł środkowy palec za plecami Greene'a, po czym nakreślił jeszcze kilka znaków na papierach.

— Jak to się stało, Orville?

— Nie wiem. — Chambers wszedł za kontuar i przysiadł na krawędzi biurka. Nawet o to nie pytał. LaMorat przerżnięty kosą? Jak u diabła mogło się to zdarzyć? — Wpadli w zasadzkę przy jakiejś wiosce.

— Ty też leciałeś?

— Nasz śmigłowiec ich rozwalił. Nie wiem, co działo się w wiosce.

Morgan wzruszył ramionami.

— Chyba to nieważne.

— Możemy go zobaczyć?

— Kogo?

— LaMonta.

— Nie wiem, cholera.

— A można by się dowiedzieć?

Morgan wyciągnął spod kontuaru puszkę piwa, napił się i otarł rękawem pianę z wąsów.

— Chodźmy do S-3. Myślę, że Greene jest tam. Starszy sierżant Bugelli siedział obok Greene'a przy

stole w jednej z budek, z których składały się S-2 i S-3.

— Cześć, Chambers. — Wstał i klepnął go po plecach. — Ciężki dzień dzisiaj. Przykra sprawa. To chyba dowodzi, że nie można ufać żadnym pieprzonym przyjaciołom.

— Jak to?

— Co, jak to? Byłeś tam, do cholery. Raporty, które dostałem, mówią, że wciągnęli Blue w zasadzkę, a potem napadli na nich w wiosce.

— Nie widziałem, co tam się działo.

— Raport radiowy powiada, że żółtki rzuciły się na nich

244

e wszystkim, co miały pod ręką: z motykami, kosami, sta-yymi dragami. Zabili Padgetta i pochlastali czterech in-Lych. Ale jak już się zaczęło, pluton wytlukł wszystkich ych drani. Naliczono czterdziestu trzech zabitych*.

— Co robią ze zwłokami? — zapytał Morgan. — To zna-
:zy naszymi.

— Powinny być w szpitalu — odrzekł Greene. — Przygotowują je w kostnicy przed odesłaniem do domu.

— Możemy go zobaczyć?

— Czy ja wiem. Nie szkodzi spróbować.

Wrócili do S-1 i Chambers przesiedział godzinę na krześle za biurkiem. Morgan stał przy kontuarze odbierając raporty dzienne o stanach osobowych od kancelistów kom-panijnych, żartując z nimi i przez cały czas żłopiając piwo, które wyciągał z jakiejś dziury bez dna pod kontuarem. Kiedy wszedł ostatni kancelista, Morgan szybko zestawiał rozmaite dane zawarte w raportach i wpisał je do głównego sprawozdania batalionowego. Wydawał się całkowicie oderwany od tego, co robił, tak jakby raport był po prostu jeszcze jednym kawałkiem papieru, zwyczajnym listem. Chambers obrócił się i zajrzał do wnętrza maszyny do pisania, która stała odwrócona na biurku, by zrobić miejsce na papiery. Równe rzędy metalowych klawiszów i cięgieł. W całej kancelarii panował porządek. Pusta skrzynka na wpływające dokumenty w lewym rogu biurka, kilka wypełnionych na maszynie formularzy w skrzynce wysyłkowej czekających na podpis Greene'a. Za biurkiem w metalowych i szklanych szafkach, były rozłożone w teczkach instrukcje. Dzień został zaznaczony

na kalendarzu Morgana; pod nim, na małym stoliku obok milczącego przenośnego radia, leżał mały stosik listów. Mogło to być niezłe miejsce do pracy, ale jego brak ciepła był dla Chambersa odstręczający.

— Załatwione — powiedział Morgan potrząsając arkuszem papieru. — Teraz wojna może się toczyć przez następny dzień.

Nie napomknęli o Padgetcie jadąc do G-1. Morgan, podпиты, mówił tylko o dawnych czasach w Fuldzie albo

245

o swoich przyjaciółach w bazie. Plótł o pójściu w pole, tak jakby nic się nie zdarzyło, a potem sentymentalnie opisywał wyczyny bojowe Stouta, Zastrowa i Fishera. Stout wyuczył go obsługiwać karabin maszynowy i Morgan był gotowy iść do akcji każdej chwili.

Zirytowany tym Chambers nie mówił nic i poczuł ulgę, kiedy jeep zajechał na parking G-1, a Morgan zaniósł raport do namiotu. Odchylił się w tył na siedzeniu patrząc na gwiazdy,

uświadamiając sobie, że uczucie do LaMonta go opuściło. Jego ciało domagało się snu. Nie miał ochoty wysłuchiwać dalszych bredni.

Morgan wydawał się spokojniejszy, kiedy wrócił z G-1, i nie odzywał się podczas krótkiej jazdy do szpitala. Na parkingu obaj wysiedli z jeepa. Morgan ruszył wyziwioną ścieżką, a Chambers stał jeszcze chwilę, wpatrując się w noc. Gdzieś huczał generator jak gigantyczny wodospad. Samotny śmigłowiec błyskał czerwono i żółto krążąc nad obwodem, próbując ściągnąć ogień czy też badając teren przez noktowizor. To nigdy nie miało końca.

— Chodź, Orville.

— Dobra.

Służbowy wtoczył na wózku zwłoki do baraku służącego jako kostnica. Z przedniej kieszeni drelichowej kurtki żołnierza wystawało małe przenośne radio w czarnym skórzanym futerale, grające muzykę jazzową.

— Można tam wejść? — zapytał Morgan.

— A po co? — Służbowy spojrział na nich zyczliwie.

— Nasz przyjaciel oberwał dzisiaj. Chcemy popatrzeć na niego ostatni raz. Byliśmy razem przeszło dwa lata.

— Który to?

— Padgett. LaMont Padgett.

— Murzyn?

— Aha.

— Jest tam. Tylko zawiozę tego na miejsce i potem zostawię was samych z nim. Paskudna sprawa.

Gdyby ta kosa przeszła o ćwierć cała w bok, chłop byłby wyżył. Ale dostał w serce.

Osiemnaście mumii w workach leżało nieruchomo na 246

ołach. Służbowy popchał wózek pod przeciwległą ścianę, astawił go i wyszedł z baraku. — Nie siedźcie za długo. Doktorzy mogą się zeźlić, jeżeli

fas tu zastaną.

Na tabliczce był napis: „PADGETT LaMont”, a pod nim topień wojskowy, numer służbowy, jednostka i miejsce amieszkania. Orville dotknął palcami tabliczki i zląkł się. Jo by było, gdyby odciągnął zamek błyskawiczny, a La-tfont by wyskoczył i zaczął tańczyć przed nim boogie-woogie? Boogie. W Fort Knox jeden gość z Maine nazywał Murzynów „boogies”.

Spojrzał przez ramię na Morgana, obrócił się i odciągnął o pół metra zamek błyskawiczny.

Ciemnobrunatna twarz LaMonta zbladła prawie do barwy oliwkowozielonej — koloru worka, w którym leżał — i zdawała się zbliżać do szarości. Dziwnie wyglądał z zamkniętymi oczami. Orville dotknął jego policzka — był twardy, lepki, płazowaty. Twarz odchylona do góry, wargi z lekka wydęte z tym butnym, zuchwałym wyrazem, który LaMont miewał tak często. Chambers cofnął dłoń i uśmiechnął się. Nagle zapragnął pocałować LaMonta, ale co by powiedział Morgan? Poza tym nie wyglądałoby to najlepiej, gdyby go przyłapał służbowy. Zaciągnął zamek błyskawiczny i wyszedł.

Dwóch odeszło, dwóch do odejścia. Ta myśl nasunęła mu się mimowolnie, gdy ze znużeniem

opadł na siedzenie w jeepie. Czuł odrazę do siebie za tę myśl, za to, że jest taki zmęczony i obawia się, że się nie wyśpi. A może nawet jest mu to obojętne. Poczul zazdrość, że Morgan został teraz sam na sam z LaMontem. Tylko że przecież ich łączyła bliższa przyjaźń. Mieli wspólną izbę sypialną w Ful-dzie, gdzie co wieczór przychodził ze Slagelem czyścić buty, słuchać muzyki i opowiadać różne historie. LaMont i Morgan zawsze wszystkich rozśmieszali. Może i byli dziecinni, ale wtedy przynajmniej nie martwi. Slagel też nigdy nie postępował dojrzałe, nie brał niczego zbyt poważnie, lecz jego nonszalancja była innego rodzaju, tak jakby wyszło w nim coś, co powinno czuć. LaMont i Morgan sprawili, iż Orville wiedział, że ży-

247
je — inaczej dlaczego jechałby z nimi tutaj? Nagle znalazł się znowu w Fuldziej w ich izbie tamtego niedzielnego popołudnia -pod koniec czerwca, gdy wszyscy postanowili to zrobić. „No to idziemy” — powiedział wtedy Morgan, i poszli. Małą drogą okrążając koszary, potem po schodkach między kaplicą i ambulatorium, brukowaną ścieżką do dowództwa pułku i wreszcie do biura personalnego, gdzie Morgan wypełnił na maszynie formularze nr 1049 ze zgłoszeniem się do służby w Wietnamie. To już przeszło rok temu. Jeden z nich kaleka, jeden nie żyje.

Morgan wyszedł z wawo z kostnicy, włączył silnik jeepa i pojechał z powrotem do S-1. Zatrzymał się na parkingu i chwilę siedział bez ruchu.

— Chcesz napić się piwa i pogadać trochę?

— Chyba nie. Zresztą nie ma wiele do powiedzenia.

— Ańo, tak. To zobaczymy się jutro rano.

— Odlatuję wcześniej.

— A kiedy wracasz?

— Nie wie a. Pewnie pod koniec miesiąca.

— Uważaj na siebie, Orville. Mam nadzieję, że to cię nie zabięno.

— Nic nie można poradzić. — Odszedł żalując, że nie zabięno go bardziej.

Przez następne pięć dni pluton ogniowy odbywał nieważne loty kierując strzelców po terenach niegdyś zajmowanych przez żółtków, a teraz opustoszałych. W wioskach przy drodze, gdzie zginął Padgett, nie było żywej duszy, ani garści ryżu, ani skrawka dokumentów. Po odjeździe dawnych pilotów loty przemieniły się w ćwiczenia dla nowych — rozwalanie ścian rakietami, trafianie pociskami smugowymi z bocznych kaemów granatów dymnych wyrzucanych przez karabinowych albo dowódców załóg.

Chambers nie miał nic przeciwko temu. Poza ulgą, jaką przyniosła mu świadomość, że żółtki zniknęły, cieszył się, że kapitan Sanders i chorąży Eastman przechodzą zaprawę. Czuł się teraz swobodniej wśród innych karabinowych, a nawet w ostatnie dwa wieczory wypił z nimi kilka piw, zanim się zabrał do czytania. Robinson załatwiał sobie

248

• Czerwonym Krzyżu urlop okolicznościowy, bo jego oj-Lec był podobno poważnie chory. Gdyby ten pyskacz od-;chał, wszystko ułożyłoby się o wiele lepiej.

Chambers tym razem zwolnił tempo dzieląc swój czas aędzy karabinowych a książki i pocztówki. Musiał się >ronić przed głupotą kolegów i jeżeli zaczynał zaniadto się rytować, odchodził, aby odsapnąć nad swymi książkami.

Po wspólnym obiedzie z Hancockiem i Websterem mo-:zył swoje przybory do jedzenia w puszkach napełnionych gorącą wodą, kiedy przymaszerował sierżant sztabowy Hart, na którego rumianej twarzy malowało się napięcie i powaga.

— Co tam, szefie? — zapytał Webster.

— Pozbieraliście swoje manele? Wszyscy kiwnęli głowami.

— To zapieprzajcie do maszyn i czekajcie. Wylatujemy dziś po południu. Żółtki wróciły do la Trang, i zasuwamy tam. Przenocujemy w dywizji, a z samego rana startujemy.

Chambers poszedł do swego śmigłowca i zaczął czyścić kaemy spodziewając się, że zdoła załatwić ze dwa, zanim piloci będą gotowi do odlotu. Czyścił powoli, ale do czwartej, kiedy skończył wszystkie sześć, nic się nie zdarzyło. Oficerowie kompanii spędzili popołudnie jak trutnie, ganiając

tam i z powrotem do namiotu operacyjnego, jak gdyby nowa wojna wybuchła w jakimś dalekim kraju.

Bzdura. Rozpoczął się dla nich południowo-zachodni spazm syndromu Bong Son-Ia Trang i zapewne nie miał potrwać długo. Kiedy śmigłowiec nareszcie wystartował 0 piątej, Chambers był tak zniechęcony, że o mało nie powiedział Sandersowi, jakie to wszystko jest głupie. Straszliwy przeciwnik, który zwalczał helikoptery kuszami i miał jeden karabin na dwóch ludzi, wodził ich za nos, tak jakby byli jakąś tępą, durnowatą kukłą. Mogli tak latać bez końca tam i z powrotem między Bong Son i la Trang, dopóki im nie wysiądą śmigłowce i karabiny maszynowe i dopóki nie będą musieli iść pieszo i żywić się węzami, korzonkami i ryżem. Dwudziesty piąty pułk już był w la

249

Trang i obalał drzewa opancerzonymi transporterami piechoty. Może używszy ze sto śmigłowców i sto czołgów zdołaliby przepędzić jeden czy drugi pluton. Najprawdopodobniej nieprzyjaciel będzie pojutrze w drodze do Kambodży. Czasami wydawało się, że armię Stanów Zjednoczonych trzymała w szachu nie więcej niż jedna drużyna.

Po powrocie do bazy dywizji rozłożył siatkę przeciw-moskitową i śpiwór, a potem zjadł w kasynie sandwicza, zanim wyruszył na poszukiwanie Morgana. Najpierw zajrzał do klubu, gdzie zobaczył tylko jakieś nieznajome twarze z kompanii A, B i D. Żłopali piwo i wrzeszczeli jak dzikusy przy metalowych stolikach. Przez chwilę miał ochotę też do nich wrzasnąć, zamachać ręką i wyprawić ich wszystkich z powrotem do Ohio, Georgii i Teksasu. Zawrócił na lepkiej podłodze i wyszedł. Kiedy dotarł na pagórek za S-4, usłyszał śmiech Morgana i wrzaski innych. Przekradł się między namiotem S-4 a tym, gdzie sypiał Fisher, i przystanął obserwując tę grupę przez kilka minut.

Ogarnęło go zmęczenie, zapragnął wrócić do swego namiotu, zasnąć, a potem się zbudzić, zabrać manatki i odejść. Ale to była ostatnia szansa zobaczenia się z Morganem przed upływem miesiąca.

— Ma któryś wolne piwo? — wyszedł zza namiotu.

•— Orville! — zawołał Morgan zrywając się na równe nogi. — Co się stało, do cholery?

— Chlapij sobie, Chambers. — Fisher podał mu dwie puszki. — Ode mnie i od Zastrowa. Jutro rano spływamy.

— Gratulacje.

— Jak długo tu będziesz? — zapytał Morgan.

— Do rana. Wracam do la Trang.

— Pieprzyć la Trang! — ryknął Fisher. — I pieprzyć Bong Son i Westmorelanda, i Ban Me Thout, i Cneo Reo, i Pleiku. Pieprzyć żółtków i armię!

— Siadaj, Chambers. — Stout zrobił mu miejsce między sobą a Morganem i podał mu skręta.

— Dziękuję. Jak ci leci, Stout?

— Jeszcze dwa dni i będę dobry.

250

— Cieszę się dla ciebie. — Żałował, że nie poznał lepiej Juta.

— Pisz do nas, Fisher — rzekł Morgan. — Spotkamy się, s: wrócę w grudniu.

— Mogę być wtedy w Oakland.

— To fajnie. Znajdziemy sobie chatę w Berkeley i wstamy do Stowarzyszenia Weteranów Wojennych. W sobo-

protesty, w niedzielę ochłaj i gadanie łgarstw. Chambers odchylił się w tył i odprężył pod działaniem arihuany, podczas gdy inni rozmawiali dalej. Morgan ale planował sobie spotkanie gdzieś z kimś. Gdyby miał > zrealizować, musiałby podróżować sto lat. Chambers ticiał zobaczyć Morgana po powrocie do, świata, ale nie ależało mu na nikim innym.

— Przedłużysz sobie znowu, Zastrow? — zapytał Fisher.

— Chyba tak. Odbębniłem już dwanaście lat, to mogę dwadzieścia.

— Powinieneś zabrać się stąd i jechać do Bangkoku. Ta-ri dobry lotnik jak ty mógłby zarabiać dwa

patyki miesięcznie pracując dla Air America. W ośrodku wypoczynkowym spotkałem faceta, który mi proponował tysiąc siedemset miesięcznie, gdybym został szefem załadunku na samolotach C-130 i Caribou. Może jeszcze tam pojedę. Życie jest tanie, a dupy dobre. Czego więcej potrzeba? — Też o tym myślę — rzekł Zastrow.

— Niedłuuugo! — ryknął Fisher. — Dla mnie już niedługo, kurczę pieczone!

Wszyscy palili i pili pod to „niedługo”. Aczkolwiek Chambers zdawał sobie sprawę, że to go nie dotyczy, miał jakieś ciepłe uczucia dla Fishera, Stouta i Zastrowa. Może dlatego że byli przyjaciółmi Morgana, lecz także ze względu na to, co przeszli, na wyczerpanie, które zdawało się ich przygniatać. Jeszcze przez godzinę żartowali, wspominali, planowali sobie wieczory w kraju, wypełnione befsztykami, miękkimi łózkami i seksem, aż wreszcie wszyscy umilkli.

Fisher odetchnął głęboko. — Wezmę prysznic i pójdę do łóżka. Nie pozwolę, chło-

251
paki, żebyście mnie ubzdryngolili i żebym spóźnił się na samolot. — Wstał, przeciągnął się i obalił na wznak.

— Zdaje mi się, żeś się jednak zaćpał — rzekł Zastrow. Fisher wstał.

— Musisz zostawić nam coś na pamiątkę — powiedział Stout. Wyciągnął rękę, wetknął palec do tylnej kieszeni Fishera i szarpnął w dół, odrywając ją i rozdzierając do połowy nogawkę. Morgan chwycił za drugą kieszeń.

— Mnie też się coś należy. — Oderwał ją. — Mam jeszcze przed sobą sto trzydzieści dni.

Fisher protestował, lecz bardzo słabo. Zdawało się, że to należy do jakiegoś rytuału. Przyskoczyli inni i po chwili Fisher już leżał na ziemi, a wszyscy zwalili się na niego, rozrywali mu odzież, darli ją na małe kawałki i wrzeszczeli jak dzicy ludzie. Morgan urwał kawałek nogawki, wypełznął spod kotłującej się ciżby, wsadził materiał do kieszeni i wskoczył na gromadę z powrotem.

Chambers zeszywniał. Ta kupa ciał napełniała go obrzydzeniem. Dorośli ludzie zachowujący się jak głupkowate dzieci, tarzający się po brudnej ziemi.

— Złażcie! Złażcie ze mnie! — W głosie Fishera był strach.

— Dajże spokój, stary — rzekł Stout.

— Nie słyszałeś?

— Czego?

Dwie flary wzbily się wysoko nad obwodem oblewając bladą różowym światłem ich teren. Na szyi Fishera obrzmiały napięte mięśnie.

— Och, nie! — jęknął. — Oni mnie dorwą! Nie dadzą mi odejść.

— Nic się nie dzieje — rzekł Stout.

— A jak? Atakują. Ja to wiem. Muszę się schować! Schować! — Jego głos przeszedł w cichy przejmujący jęk. Nagle Fisher targnął głową. — Chodźmy do bunkra.

Zastrow złapał go, kiedy próbował odbiec. Na sobie miał tylko kalessony i buty polowe. Spod pasa zwisały mu komicznie ze dwa cale spodni.

— Uspokoi się. Nic się nie stanie.

252

— Puść mnie! Słuchaj, przecież jutro wracasz do domu. ncesz, żeby ciebie też dorwali?

Flary opadły i Zastrow z Fisherem wyglądali jak dwu-owcy niedźwiedź rysujący się na tle ciemności. Seria wyichów wstrząsnęła ziemią i owa sylwetka zaczęła się mio-

— A nie mówiłem? — wrzasnął Fisher. — Ostrzeliwują as! Na miłość boską, puść mnie!

— Chyba wiem, jaki jest odgłos, kiedy strzelają w nas — iek.1 Zastrow. — To biją nasze sto piątki. Byłeś tu dość długo, żeby się kapować.

— Dostatecznie długo! — odpari Fisher zaczepnie. Przesiedzieli w milczeniu piętnaście czy dwadzieścia mi-

ut. Fisher przez chwilę wrywał się z uścisku Zastrowa, 10 czym się uspokoił i obydwaj zasiedli jak para zmieszanych kochanków przytulona do siebie wśród groźnej nocy. V końcu Zastrow go puścił i Fisher pobrnął wziąć pryszlic.

Chambers był tak zmęczony, że ledwie mógł wstać. Juro la Trang. Musiał się trochę przespać. Wymamrotał ci-:ho słowa pożegnania do Stouta, Zastrowa i Morgana, po czym powlókł się ciężko do swego namiotu.

;

16

— Móg! Rusz się, chłopie. Wstawaj. Pobudka. Otworzył oczy i przez chwilę patrzył na DeWolfa.

— Okej — wychrypiał. Przeleżał jeszcze chwilę, potem siadł z jedną nogą w śpiworze, a drugą na zewnątrz. Był w butach, a cały prawy bok miał oblepiony błotem. — O rany, ale śmierdzieć! — Spuścił nogi na ziemię.

— Może byś tak wziął prysznic, chociaż to nie pierwszy dzień miesiąca — rzekł DeWolf. — Chodźmy na zbiórkę.

— Chromolę zbiórkę. Mam tego dosyć.

Kiedy DeWolf wyszedł z namiotu, Morgan wstał, zabrał przybory do golenia i zmianę bielizny i poszedł do natrysków w S-4. Raz mógł sobie pozwolić na opuszczenie

253

apelu — do tej pory stawał na nim co rano. Poza tym nie brał prysznicu od tygodnia, od pożegnalnego przyjęcia dla krótkoterminowych u Fishera. Upijał się w trupa co wieczór. Odkąd Stout odjechał przed pięcioma dniami, w ogóle nie przebywał na terenie batalionu. Po pracy wędrował drogą dywizyjną z butelką whisky i paczką skrętów w kieszeni, zachodząc na piwo do obskurnych kantyn po drodze, ilekroć zrobiło mu się gorąco. Dwa razy obudził się na trawie lądowiska i ledwie zdążył na apel poranny.

Nie było już nikogo, z Padgettem włącznie, lecz nie mógł w to uwierzyć, choć dotknął wtedy wargami martwych warg LaMonta. Wciąż się spodziewał, że spotka go gdzieś na drodze albo popijającego w kasynie.

Ogolił się, szorował nowe żółte plamy na zębach, dopóki nie zniknęły, a potem wszedł pod prysznic. Nie mógł wydobyć obfitej piany z mydła, ale dość, żeby usunąć odór ze swego cuchnącego ciała. Uda miał pokryte czerwonymi pręgami odparzeń; dzunglowa zgnilizna rozlaźliła mu się ód krocza. Któregoś dnia odpadną mu jaja. Na pośladkach miał czerwoną wysypkę od upału. Pocierał mydłem zwiotczałe pośladki, skrobiąc je paznokciami, żeby rozdrapać pryszczę. Za dużo siedzenia w S-1. Gdyby się więcej ruszał, nie miałby w portkach takiego gorąca i stęchlizny.

Wytarł się, odrywając martwą skórę między palcami stóp, aż zaczęły krwawić, potem obsypał się cały talkiem dla dzieci i ubrał się. Na zewnątrz słyszał śmiechy i dowcipy, tupot butów po ziemi, brzęk naczyń kuchennych. Wróciwszy do namiotu wypił dwa piwa.

Chase łypnął na niego spode łba, kiedy Morgan podchodził do S-1.

— Gdzieś ty był dziś rano, do jasnej cholery?

*— Może przynajmniej pozwolisz mi wejść do namiotu, zanim zaczniesz — odparł Morgan.

— Zadałem ci pytanie, żołnierzu. Dlaczego nie byłeś na apelu?

— Brałem prysznic.

t— Dlaczego nie wczoraj wieczorem? •— Dajże spokój, Al, na miłość boską.

254

— No, dlaczego?

— Bo leżałem spity w pieprzonym rowie, tak jak przez statnie trzy miesiące.

— Mówiłem ci, że masz z tym zabastować.

— A ja ci powiadam, że nie muszę stawać na apel, kie-y pracuję do drugiej rano.

— Nie masz nic do gadania, cholera, słyszysz? Rób, co i każą, bez żadnych pytań.

Gdyby teraz zaczął mówić, nie mógłby przestać. Patrzył przez chwilę na Chase'a, potem opuścił wzrok na biurko, warz mu pałała, łzy cisnęły się do oczu.

— No dobrze, Al. Po prostu czuję się gównianie, bo wszyscy odjeżdżają.

— I co będziesz robił? Popłaczesz się?

— Nie! — Z wściekłości napięły mu się wszystkie mięśnie i wydało mu się, że krtań i usta ma zapchane gałgana-mi.

— To siadaj do maszyny i pisz.

Myśli Morgana gnały w takim zamięcie, że zdołał poruszyć się dopiero po kilku sekundach. Usiadł licząc przedmioty, którymi mógłby zamordować Chase'a. Maszyna do pisania wgniotłaby mu tył głowy. Czterdziestka piątka wisząca na słupku namiotu byłaby dobra. Nóż do papieru, pióra, sznurowadła, spinacze wbite w oczy i uszy. To było do zrobienia. Zrobił to w myśli. Maszyną do pisania. Wbijał nią głowę Chase'a w kontuar, jeszcze raz i jeszcze raz. Uśmiechał się słysząc, jak kości chrzęszczą i trzaskają, patrzył, jak głowa przemienia się w bezkształtną szkarłatną miazgę. Zgnieść ją jak kurze podroby. Podnieść okrwawione ręce jak przy salutowaniu. Pisało mu się doskonale na maszynie przez resztę przedpołudnia.

Po obiedzie poszedł sam jeden na lądowisko. Wszędzie spokój — nawet żadne jeepy nie wzbijały kurzu dokoła niego. Z przeciwległego krańca wystartowały dwa śmigłowce, lecz ledwie je słyszał, a inne były daleko i kołysały się jak zabawki na jasnym, błękitnym niebie. Czuł się

255

lekki i dziwnie wyzwolony. Jego wściekłość się rozplynęła i nawet zaczynał doświadczać ulgi, że już nie musi się z nikim żegnać. Przyjaciele odeszli, ale zarazem odeszło napięcie wywołane ich odjazdem. Jedyne pożegnania, jakie go jeszcze czekały, miały nastąpić wówczas, kiedy sam będzie wracał do domu — a te nie byłyby ciężkie.

Ponieważ wszyscy z warsztatów naprawczych pojechali po południu do Miasta Grzechu, lądowisko było opustoszałe. Morgan zresztą wolał zostać sam. Tak miało być od tej pory. Nadal miał mnóstwo kumpli do popijania, ale nie byłoby już tak samo jak przedtem. W niczym nie przypominali dawnych chłopaków. Stosowali się do przepisów i nie wyprawiali takich głupot jak leżenie przez całą noc w rowie. Zazywali pigułki przeciw malarii, jedli to gówniane żarcie i pisywali do domu. Cóż to za kupa gnojków!

Odciągnął brezentową klapę i zajrzał do baraku naprawczego. Nikogo. Z drzwi składu części zapasowych tupała ślepo kłódka, a wszędzie wały się stare łopaty wirników, wsporniki i bębny z płynem. Na środku stał połamany fotel pilota obsypany dokoła niedopałkami papierosów. Powiew targnął drelichami Morgana. Obrócił się i wyszedł.

Silny, ostry wiatr dmuchał mu w twarz, a nad wzgórzami po wschodniej stronie obozu gnał olbrzymi obłok. Błękit reszty nieba bladł, szarzał, a potem ściemniał. Morgan pobiegł do najbliższego śmigłowca i zdążył wdrapać się do kabiny, kiedy uderzyły go pierwsze krople deszczu. Za przednią szybą łopata wirnika podrygiwała w górę i w dół, wskutek czego cała maszyna kołysała się lekko. Wiatr targał gwałtownie brezentową klapę baraku naprawczego, a zwarte płachty deszczu tańczyły po lśniącej brunatnej drodze. Na zachodzie rozdarł niebo dziryt błyskawicy. Grzmot buchnął ogłuszająco i odtoczył się w ciszę, jak gdyby cały świat się rozszczepił i rozpadł w nicość. Morgan odchylił się w tył i wyobraził sobie namiot S-1 mknący po niebie na podobieństwo latającego dywanu.

W ciągu minuty pleksiglasowe okna śmigłowca pokryły się oparem. Uchylił drzwi, potem odepchnął je i zeskoczył na ziemię. Stał na szeroko rozstawionych nogach, wy-

256

iągnął ramiona i otworzył usta, a deszcz oblewał go jalc uła przyptywu. Nigdy nie widział gęstszej ulewy. Zdawa-) mu się, że może go powalić. Po chwili obrócił się nad-tawiając plecy na uderzenia wody. Rowem przydrożnym. Dczył się już mały strumień.

Wiatr ucichł i powietrze dokoła pojaśniało. Burza skończyła się równie raptownie, jak przyszła, niebo stało się tiałe, bladoniebieskie, a potem zaczęło przybierać barwę iemniejszego błękitu. Na zachodzie wisiała czarność. Deszcz ustał i słońce rozbłysło na kroplach, które zwisały spadały z łopaty wirnika. Z zieleni na zboczu Cyckowej *óry wstała tęcza i wygięła się łukowato nad stokiem, mikając po przeciwległej stronie.

Morgan obudził się nazajutrz jeszcze trochę pijany po poprzednim wieczorze i łyknąwszy trzy piwa

poczuł się miękko, ale nie zataczał się ani nie gadał bez związku. Pracował pilnie do dziesiątej, a potem poszedł na strzelnicę z grupą nowych chłopców. Napelnił manierkę piwem i podawał ją po linii stanowisk. Odkąd przyjechał do Wietnamu, pierwszy raz strzelał ze swego M-16 i chociaż nie dało mu to emocji, było lepsze od stukania na maszynie. Następnego dnia po obiedzie złożonym z czterech piw poszedł z nowymi chłopakami do wieży spadochronowej. Opuszczanie się na linie długości trzydziestu stóp było trudniejsze, niż myślał, i za drugim razem tak się wystraszył, że o mało nie zleciał. Ale nie pokazał tego po sobie. Bez przerwy śmiał się i gadał jakieś duperele. Tego wieczora stał się w obozie legendarną postacią. Ludzie garnęli się do niego, stawiano mu napitki, a DeWolf słyszał, jak grupka żołnierzy rozmawiała o jego zwariowanych wyczynach.

Pobudzony rozbawieniem spędził noc chodząc od namiotu do namiotu, pijąc, paląc marihuanę, ale jakoś zachował przytomność umysłu i pamiętał, co robił. Uważał, że powinien się wykazać, i nie miał nic przeciwko temu. Wygarniał słuchaczom wszystko o wojnie, o różnych idio-

17 — Amerykańscy chłopcy 257

tyzmach w bazie. Można to przezwyciężyć tak jak on, chodząc pod gazem przez cały czas. Rano przydzielono S-1 do palenia odchodów w następnym tygodniu. Morgan i DeWolf pociągnęły słomki i De-Wolf wylosował służbę na pierwszy dzień. Przez resztę tygodnia jeden z nich miał co drugi dzień palić odchody, a drugi robić raporty o stanie osobowym. Kiedy DeWolf wyszedł, Morgan pożałował, że nie zgłosił się ochotniczo do tego zajęcia. Był zdenerwowany i chciał wydostać się z kancelarii. Chichotał i opowiadał różne historie, nie mogąc się opanować. Na szczęście Chase miał jakąś dodatkową robotę, więc Morgan zawiózł poranne raporty do dowództwa dywizji.

W drodze powrotnej zabrał do wozu młodego Murzyna, sierżanta, który szedł z grubym plikiem papierów pod pachą.

— Dokąd, sierzancie?

— Do batalionu artylerii.

— Podwiozę was.

Musiał pojechać dokoła przez rejon drugiej brygady, lecz w taki ładny dzień nic mu to nie przeszkadzało. Niebo było błękitne, zasnute w jednym punkcie cienką, częściowo przezroczystą masą drobnych obłoczków, które przypominały suchą, spękaną skórę na wewnętrznej stronie dłoni.

— Dziękuję. A na pewno nie będzie wam nie po drodze?

— Mnie tutaj wszystko jest nie po drodze. Widzę, że macie kupę papierów.

— Jestem sierżantem personalnym.

— A gdzie wasz jeep? Nasz personalny nigdy nie chodzi pieszo.

— Kanceliści zabrali go do Miasta Grzechu. Z jakiej jesteście jednostki?

— Rozpoznawcza. Pracuję w S-1.

— U sierżanta Chase'a?

— Właśnie. Jestem jego kancelistą.

Sierżant roześmiał się. — Ten gość lubi sobie poczytać.

253

— Że co? — Chase nie czytał nigdy niczego poza instrukcjami i biuletynem dziennym.

— Facet nabierał trochę świńskich książek. Niektóre wcale niezłe. Morgan nie mógł sobie tego wyobrazić.

— A skąd wiecie?

— Nie chcę nikogo obgadywać, ale prawie co dzień między wpół do dwunastą a drugą można go zastać w namiocie finansowym z nosem wetkniętym w książkę. Ja też zwykle czytam między pierwszą a drugą.

Morgan potrząsnął głową i pomyślał, że to było jego ostatnie złudzenie. Zawsze podziwiał Chase'a za to, że jest taki oddany swojej pracy. Nie dlatego, żeby to miało jakieś znaczenie, ale ponieważ Chase w nią wierzył i zawsze starał się wykonać dobrą robotę. A on sobie siedzi i czyta świńskie książki.

— Od jak dawna to robi? — Mogła to być przesada

krótkoterminowego.

— Jestem tu sześć miesięcy, a on niewiele dni opuścił.

Ale nie mówcie mu o tym, dobrze?

— Nic nie powiem.

A to załgana pierdoła! Jak wszyscy ci spasieni zawodowcy. Łżą. Czekają, aż im się skończy te ich dwadzieścia lat, żeby móc łąć przez cały czas. I stale gadają, jakich to bezwartościowych chłopaków dostaje teraz wojsko. Cholera z tym. Przynajmniej jutro będzie mógł palić odchody. Wysadził sierżanta, objechał długim zakolem dokoła drugiej brygady i warsztatów naprawczych dywizji i przybył do S-1 o wpół do dwum stej. Parkując jeepa zobaczył Chase'a, który bębnił palcami po kontuarze, a obok niego leżała duża koperta pełna papierów.

— Gdzieś ty był, do cholery, Morgan?

— Gadałem z jednym gościem z sekcji raportów dziennych i czytałem sobie magazyn. Potem podwiozłem jakiegoś sierżanta do drugiej brygady.

— Nie prowadzimy tu żadnego cholernego przedsiębiorstwa taksówkowego, a ty nie masz czasu na głędzenie ani

259

czytanie. Jeszcze trochę takich głupot i będziesz miał kłopoty! Jestem tak pierońsko spóźniony, że będę musiał tyrać do wpół do czwartej.

— Bardzo mi przykro, szefie.

— Ja myślę! — Chase wypadł z namiotu, zapalił silnik jeepa i odjechał.

Morgan poczuł, że ktoś go ciągnie za rękę, ale we śnie wpadł pod pędzący samochód i zginął, a potem siedział w jakimś salonie i opowiadał o tym.

— Skąd się tu wzięłem?

Matthews, dowódca załogi, spoglądał na niego, leżącego na podłodze baraku naprawczego.

— Przywieźliśmy cię na tyle ciężarówce. Chciałeś zerwać namiot Chase'a. Właśnie naprawiliśmy tę starą maszynę i musimy ją wypróbować. Chcesz polecieć?

r-i Jasne. Która jest teraz?

i— Wpół do piątej.

.— Byłem ładnie zaprawiony, co?

— Nie było w tobie nic ładnego.

Morgan zasiadł na ławce pod tylną ścianką kabiny, zapiął pas zabezpieczający i ziewnął, zbyt wykończony, żeby emocjonować się lotem. Musiał jeszcze przygotować wieczorem raporty. Może uda mu się przespać, jak wrócą do batalionu.

Matthews nałożył swój kask lotniczy i Morgan widział, jak porusza wargami, gdy mówił do pilotów zapalających silnik. Na zewnątrz trawa falowała wokół śmigłowca w podmuchu łopat wirnika.

Morgan czuł w ustach smak łajna.

Śmigłowiec poderwał się z ziemi, cofnął i obrócił o dziewięćdziesiąt stopni, prosto ku północy.

Pilot zerknął na Morgana i głową wskazał drzwi. Morgan, nie widząc żadnej innej maszyny w pobliżu, podniósł kciuk w stronę pilota. Śmigłowiec przechylił się lekko i pomknął na północ.

Kiedy się wznosili, Morgan spojrział ku wschodowi próbując wypatrzeć rejon batalionu. Zielone trawniki

260

białe ozdoby jaśniały w sąsiednich batalionach piechoty, potem dojrzał kasyno dowództwa, kiedy śmigłowiec skie-ował się na zachód.

Niebo poszarzało w ciągu popołudnia. Wysokościomierz wskazywał dwa tysiące stóp. Morganowi było zimno, całe iało go bolało, miał ochotę wsadzić palec do gardła i zwy-miotować. Zaczęło to napływać falami, a potem porażające iczucie zmęczenia ogarnęło go całkowicie. Oparł głowę) ściankę i zamknął oczy. Zaprağnął położyć się na ławce l usnąć. Siły całkiem go opuściły.

Śmigłowiec zatrzęsł się i Morgan pomyślał, że pewnie spadnie. Otworzył oczy i ujrzał pilotów roześmianych l mówiących coś do mikrofonów. Matthews, nieruchomy, wyglądał przez drzwi.

Gdyby mieli się rozbić, chyba by wiedzieli. Szosa nr 19 mrowiła się od żołnierzy i postaci w czarnych strojach. Pod bramą Miasta Grzechu stały wywrotki, ażeby pozabierać spitych i zrypanych

żołnierzy.

O rany, ależ zimno! Śmigłowiec nadal drgał okropnie hałasując. Piloci śmieli się i żartowali. A może nie wiedzieli, że ta pieprzona maszyna zaraz pęknie na pół? Morgan miał ochotę zamknąć drzwi, żeby osłonić się od

zimna, ale wtedy pomyśleliby, że nie może wytrzymać.

Niedługo będzie musiał coś zjeść. Całe jego ciało było zeszmaczone. Nie miał w żyłach nic poza alkoholem. Chciał wrócić do namiotu i spać.

Deszcz kłuł go w twarz jak małe igiełki. Matthews odchylił się w tył i zatrzasnął drzwi po swojej stronie. Morgan z ulgą uczynił to samo. Chmury były obwiedzione brudnoszarą otoczką. Hałas przycichł, ale maszyna najwyraźniej dygotała coraz bardziej. Może powinien wyskoczyć. Ten śmigłowiec żadną miarą nie może dolecieć z powrotem. Morgan już zaczął się zbierać, kiedy Matthews trącił go częstując papierosem. Morgan wziął papierosa

1 pomyślał, że musi wyglądać na obłąkanego ze strachu.

Zaciągnął się chciwie, wiedząc, że zginie, jeżeli wyskoczy.

Ale lepsze to niż się rozharatać w rozbitym śmigłowcu. Jego dłoń dotykała pasa zabezpieczającego, ale po chwili usiadł na niej z obrzydzeniem. Co się z nim dzieje, u dia-

261

bla? Nic się nie stanie. Przecież piloci wpadliby w panikę zamiast gadać jakieś bzdety. Żałował, że nie może usłyszeć, co mówią.

Odpalił papierosa od poprzedniego, po czym oparł się o ściankę ogniową. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek tak się bał. To nie miało nic wspólnego z rozbiciem się maszyny. Jakiś niepojęty lęk, z którym sama energia nerwowa nie mogła się uporać. Musiał być związany z jego ciałem.

Odpocząć i zjeść. Wtedy nie czułby się taki słaby i przestraszony. Jeżeli będzie dalej tak żył, skończy jako bezradny obłąkaniec, wciśnięty w ką, gryzący palce i robiący pod siebie.

Uspokoił się, kiedy zakręcili z powrotem nad obwód dywizji i opuścili się na lądowisko. Na ziemi było dobrze, może za dobrze. Czy dałby radę jako karabinowy? Oni muszą latać od sześciu do ośmiu godzin dziennie, a wiele maszyn spada na skutek usterek mechanicznych. Chro-molić to. Za przykre, żeby o tym myśleć. Ale co będzie, jeżeli dostanie funkcję karabinowego, a potem się spietra? Nie. Nie może się spietrać.

DeWolfa zastał przy stole w kasynie, z menażką pełną pieczonej kury. Zawiesisty zapach unoszący się w powietrzu sprawił, że poczuł jeszcze większą pustkę w żołądku.

— Co nowego, pijusie? — zapytał DeWolf.

— Ty sam. — Nałożył sobie do menażki kurę, tłuczone kartofle i zieloną fasolkę i usiadł obok DeWolfa.

— Jużes całkiem trzeźwy?

— A nie wyglądam na to?

— Kto może wiedzieć? Człowieku, dostałeś kota dziś po południu. Mówiłeś, że nasrasz do menażki Chase'a.

O mało nie wypluł kartofli.

— Ja i Matthews musieliśmy cię przytrzymać, dopóki nie ściągnęli ciężarówki. Siedziałbyś teraz w pierdłu, gdybyśmy cię puścili.

— Dziękuję, stary. Jestem wam wdzięczny.

Jedzenie smakowało tak dobrze, tak mu rozgrzewało żołądek, że nie mógł myśleć o niczym innym. Ale zadowo-

262

my był słysząc, że zachował się okropnie, że nie pa-ował nad sobą.

— Nie ma zmartwienia. Nie musisz wracać do S-1 po biedzie. Al powiedział, że mamy dziś wolny wieczór, poza aportami o stanach.

—i Już pora, żeby mu się rozjaśniło we łbie. Dowie-ziałem się dzisiaj, że stale czyta porno w dowództwie

iywizji.

— Tym lepiej dla niego — odrzekł DeWolf. — Ja i sierżant Wallace tak sobie wszystko ustawiamy, żeby zwolnić tempo, kiedy odejdziecie. Powinieneś zostać, bo inaczej coś spieprzymy. Pewnie za parę miesięcy dostałbyś awans.

— Dziękuję, o nie, dziękuję. W końcu naprawdę nasram o menażki, jeżeli się stąd nie wydostanę. Po pół godzinie wyszli obżarci do klubu. Morgan nieomal czuł, jak jego system trawienny zabiera się do obróbki jedzenia rozdzielając je i rozprowadzając po zlaknionych częściach organizmu. Lęk się rozplynął i wszystko wydawało się znowu zabawne. Jeszcze ze dwa piwa i pójdzie spać.

Skończył jedno, odsunął się od stołu i beknął. Nie ma sensu pić na pełny żołądek.

— Nie dam rady, DeWolf. Idę do namiotu. Przyjdź po mnie za dwie godziny.

— Tak jest.

Kiedy się położył, wiedział, że zaśnie w pięć minut. Leżał na brzuchu, podłożywszy ręce pod piersi, i czuł, jak senność ogarnia go, niczym zasłona odgradzając go od świata.

DeWolf na czele paczki nowych chłopaków obudził go o ósmej. Jeden z nich podał Morganowi butelkę whisky, jeszcze nim spuścił nogi na podłogę.

— Chodź, Morg — powiedział DeWolf. — Masz tylko trzy godziny, żeby się naoliwić przed raportami o stanie.

Wypił whisky i splukał ją piwem.

— Nie mogę dzisiaj zanadto się schlać. Chase może

263

mnie wziąć za dupę. — Popatrzył na nowych i napił się znowu. — Tylko że to mi nisko wisi.

— Nie mam pojęcia, jak to robicie — powiedział jeden z nich.

— Aby z gazem! — zawołał przypomniawszy sobie starą piosenkę. — Chodźmy do kasyna.

Przyszedł do S-1 o jedenastej podпиты, ale pewnym krokiem i w dobrym humorze. Chase siedział przy biurku i pisał list, a Greene czytał jakiś magazyn przy kontuarze.

— Dobry wieczór szczęśliwym ludziom — powiedział Morgan. Jego głos był czysty, ani śladu zaprawienia.

— Jesteś pijany? — zapytał Chase.

— A czy kot umie gwizdać? Czy kogut zażywa tabakę?

— Co?

«— Czy buldog może znosić jajka?

— Pewno nie.

— To chyba nie jestem pijany. — Oparł się o kontuar, wyciągnął dwa czyste formularze i włożył między nie kalkę.

— Macie szczęście, żeście się nie upili — powiedział Greene.

— Lubię robić ten raport, panie kapitanie — odrzekł nie podnosząc wzroku. Oczy wciąż mu zezowały. Usłyszał, że Greene złożył czasopismo i wyszedł z namiotu. — Jedna kupa gówna poszła sobie na tę noc — powiedział.

Chase roześmiał się.

— Wróci. Teraz tu siedzi i czyta przez pół nocy. Zdaje się, że nie za bardzo lubi namiot oficerski, odkąd go pominęli przy awansie.

— Gdzie są raporty kompanii A i sztabowej?

— Kompanii A jest tutaj. — Stał przed nim kancelista Pope.

Morgan wziął raport i zaczął go sprawdzać, podczas gdy Chase i kancelista pokrzykiwali do siebie przez kontuar. Po pięciu minutach Pope przyniósł raport kompanii sztabowej i gadał z Chase'em, podczas gdy Morgan sprawdzał

264

czyby. Ponieważ raport był w porządku, położył go razem z innymi szykując się do zestawienia wszystkich danych.

— Zdaje się, że ten zafajdany Greene już dzisiaj nie wróci — powiedział. Lubił ośmieszać oficerów przy Po->e'ie, ponieważ kancelista brał ich tak poważnie.

Chase zerwał się z krzesła, jak gdyby ktoś przestrze-ił mu pierś. Palec wskazujący jednej ręki przytknął do varg, a drugim wskazał bambusowe przepierzenie dzie^ ące gabinet Greene'a od frontowej części namiotu.

— Co jest, sierzancie? — Greene przecież wyszedł. — Nie ma tam tego worka gówna.

— Zamknij się! — Znowu palce na ustach, drugi wskazuje przepierzenie, ręka drży.

— Widziałeś, jak baran wychodził dziesięć minut temu. Jeżeli wrócił, to jesteś całkiem zapieprzony.

— Wrócił — szepnął Chase. — A teraz zamknij się!

Jeżeli Greene wrócił, to było już za późno zamykać cokolwiek. Morgan zerknął na kontuar. Pisma nie było. Pope wpatrywał się w niego, twarz miał napiętą, wyczekującą. Może Greene rzeczywiście wrócił.

— Nie ma go tam — roześmiał się Morgan. — A gówno mnie obchodzi, jeżeli jest.

— Owszem, jest •— powiedział Chase. Miał taką minę, jakby chciał być gdziekolwiek, byle nie w kancelarii.

Morgan postąpił trzy kroki ku wejściu do gabinetu Greene'a. Zatrzymał się i zachichotał cienko, głupawo. Idę tam, wszystko mi jedno. Wetknął głowę za przepierzenie i Greene podniósł ha niego wzrok z fotela, w którym siedział czytając. Na jego twarzy nie malowały się żadne uczucia.

Wszystko skończone. Przeniknęło to nagle do każdej komórki ciała Morgana, kiedy stał uśmiechając się do nieruchomej twarzy Greene'a. Światło na stole kapitana było tak ostre, iż Morganowi wydało się, że jest na scenie.

— Co się stało, rany boskie? — krzyknął i nie czekał na odpowiedź. Zawrócił do kontuaru i spojrzał na ra-

265

porty. Wydało mu się, że tętno ma dwa razy szybsze. Niczym granat z wyciągniętą zawleczką stał czekając, aż jego serce — czy coś — wybuchnie. Chase stał w kącie przy szafce na akta przestępując z nogi na nogę.

— Szefie, miałaś rację. On tam jest. — Chciał się roześmiać, lecz nie mógł.

— Wynoś się stąd, Morgan — rzekł Chase.

Spojrzał na Chase'a, ale wszystko zamazywało mu się przed oczami, tak jakby okulista zakładał coraz to inne soczewki do aparatu. Nie mógł odejść. Nie wiedział dlaczego, ale stawka stała się za wysoka, by teraz odszedł.

— Nigdzie nie idę.

— Jesteś zanadto pijany, żeby robić raport.

— Mogę go zrobić nawet stojąc na głowie.

— Powiedziałem: wynoś się stąd.

— Zrobię ten cholerny raport, bo to jest mój pieprzony obowiązek.

— Morgan, jeżeli teraz sobie pójdiesz, możesz wy-karaskać się z tego bez większej draki, ale jeżeli zostaniesz, nie wiem, co będzie.

— Gówno mnie obchodzi, co będzie! — Nienawiść i wściekłość buchnęły ze wszystkich zakamarków, gdzie je dokąd ukrywał. — Jestem mężczyzną, do cholery, i wykonam swoją zasraną robotę, i tylko proszę, żebyście mnie zostawili w spokoju. Jeszcze nie dosyć przypierdalałeś się do mnie?

Pochylił się nad raportem. Pope cofnął się w cień, wciąż obserwując to wszystko.

— Po raz ostatni rozkazuję ci, żebyś się stąd zabrał.

— Nie pójdę, dopóki nie zrobię tego raportu.

— To jest rozkaz, żołnierzu! Wynoś się stąd do diabła! Morgan obrócił się i oparł na łokciach.

— Wsadźcie go sobie w dupę, sierzancie. Mam dość was i waszego pieprzenia, a także jego i jego pieprzenia, i całej tej pieprzonej roboty, i mam nadzieję, że wam się to nie podoba.

— Morgan, ostrzegam cię...

— Ty jesteś dla mnie szmata! — wrzasnął. — Nie masz

266

awa mi rozkazywać. Odkąd tu przyszedłem, obiecy-ałeś mi, że pójde w pole, ale ciągle to odkładałeś, tru-ś, że muszę odwalić całą tę robotę. Otóż to jest bujda,) DeWolf potrafi zrobić to samo co ja, a gdybyś cały rież nie siedział na dupie w dowództwie i nie czytał tych wińskich ksiązek, też mógłbyś coś zrobić. Mam cię, czło-leku. Ciężko pracujący Al Chase! Twoja ciężka praca risi mi u dupy. W końcu decydujesz się iść w pole, ale reene ci nie pozwala, więc odgrywasz się na mnie i przed-tawiasz samego siebie i szefa kompanii C do odznaczenia krzydłami, kiedy żaden z was nawet nie powąchał wal-i. Nie widzisz, że mam tego wyżej nosa? — Krzyczał tak ;łośno, że w gardle mu zaschło i w końcu się rozplakał. — flożna rolować człowieka tylko jakiś czas, bo potem wyj-Izie z nerw. Odkąd tu przyszedłem, nie robiłem nic poza jłupimi, durnymi bzdetami przy tym debilu Stubbsie, wszystkich tych zafajdanych oficerach, liżących dupę, żeby dostać te swoje chromolone medale, i dzień po dniu było ciągle to samo gównno, i już mam tego dosyć. Nawet podziwiałem cię, że się nie urzynasz i nie zdradzasz żony, ale patrz, co to z ciebie zrobiło. Już nawet nie jesteś człowiekiem. Jak rany Chrystusa, jeżeli nie puścisz mnie stąd niedługo, przyjdę z karabinem i zrobię to, co mam ochotę zrobić. Łzy ściekały mu z brody na kurtkę, a wargi drżały.

— Skończyłeś?

— Mógłbym tak gadać całymi dniami, wiesz doskonale.

— Mógłbyś też pójść do mamra.

— Wsadź moją cholerną dupę do mamra! Wszystko, co powiedziałem, nie będzie przez to mniej prawdziwe. Na tym właśnie jedziecie, wy, zgredy, nie? Jak ktoś wam zajrzy w karty, to go wsadzacie do pierdla.

Wszystko już było nieważne. Nawet więzienie byłoby lepsze niż S-1.

— Więc nie wyjdiesz?

— Jakbyś zgadł.

— Zajmiemy się tym jutro rano.

Morgan roześmiał się. — Ja rano palę gównna.

267

z namiotu i obaj z Pope'em zniknęli

Chase wyszedł w ciemnościach.

Morgan był lodowato trzeźwy. Wyczerpany, ale przytomny, a wściekłość dawała mu energię do wypisania raportu. Przygotuje go bez zarzutu, jak zawsze, ale to będzie ostatnia rzecz, jaką zrobi w tym namiocie. Miał przed sobą jeszcze tylko cztery miesiące. Mimo to po dzisiejszym wieczorze jego noga nie postanie w S-1. Miał nadzieję, że skończy raport, zanim Greene położy się do łóżka. Ale cholera mu w bok, jeżeli się pokaże. Nie będzie więcej znosił żadnych draństw od tych ludzi. Skończył raport główny, spisał kopię z raportami poszczególnych kompanii, przedziurkował je i wsadził całość do teczki. Kiedy raz jeszcze sprawdzał raport, Greene wyszedł ze swego gabinetu.

— Mam nadzieję, że rano będziecie się czuli lepiej — powiedział.

— Rano pan kapitan mnie nie zobaczy.

Greene zawahał się chwilę, ale nie przystanął. Wyszedł z namiotu w noc.

Morgan starannie odłożył teczkę pod kontuar. Pozbierał rzeczy, które miał w kancelarii — listy, książki, starą parę butów — i zaniósł je do jeepa. Wróciwszy nie wszedł za kontuar, lecz stanął przed nim, jak interesant, i popatrzył na szare metalowe krzeselko, na którym przesiadział tyle godzin. Koniec z tym. Jego kalendarz, z każdym dniem pieczołowicie skreślonym, wisiał na ścianie z bambusowej maty, przymocowany wygiętym spinaczem. Z lipca pozostał jeszcze jeden dzień. Do diabła z tym. Memento dla DeWolfa. Podniósł rękę i zgasił żarówkę wiszącą nad kontuarem. Przez chwilę napawał się ciemnością, po czym wyszedł.

Jadąc do G-1 i z powrotem czuł się taki swobodny jak nigdy, odkąd wyjechał z Fuldy do Wietnamu. Obojętne mu było, co go czeka. Skończył z czymś złym — nie będzie więcej łykał tego gównna — i to mu dawało niewymowne uczucie swobody. I spokoju, i siły. Nie odczuwał już potrzeby wojowniczości, ale mógł stanąć oko w oko z Cha-

em i Greene'em nie cofając się i nie prosząc o przeczenie. Nawet nie obchodziło go, co z nim zrobią.

Rano palił odchody. DeWolf przyprowadził jeepa pod isyno, skąd Morgan pojechał nim do dywizyjnego pun-u paliwowego. Wziął pięciogalonową blaszankę zwy-ej benzyny i pięć galonów paliwa do diesla. Wróciwszy > batalionu zaniósł obie blaszanki na mały pagórek obok tryny. Potem poszedł do swego namiotu na piwo, pier-sze w tym dniu. Miał zamiar rzucić picie, ale blaszan-L były ciężkie, a ostatecznie tylko palił odchody, więc zemu sobie nie chlapnąć?

Podniósł trzy kłapy pod ścianą na tyłach latryny. Oddy-hając ustami wyciągnął dwie beczki na światło sło-eczne i na pagórek. Kiedy wrócił po trzecią, spostrzegł lałą kupę kału i papier na betonowym podłożu, gdzie tała pierwsza beczka. Zaczął kłać, ale potem się roześmiał, 'oszedł do wejścia i zawiesił na drzwiach kartkę, żeby >rzęd wypróbnieniem sprawdzać, czy beczki są na miej-cu. Zawrócił, wyciągnął trzecią beczkę, po czym usunął Drudy łopatką.

Nalał mieszanę paliw do każdej beczki; najpierw samą oenzynę, a potem ropę do diesla, żeby paliło się wolniej. Kiedy wrzucał zapałki, każda beczka buchała płomieniem i gęstą chmurą czarnego dymu. DeWolf mówił, że dobrze jest mieszać, ale Morgan uważał, że powinno się najpierw rozgrzać. Wrócił do swego namiotu, wypił trzy piwa i zabrał czwarte na pagórek. Pił na stojąco, a ciało lśniło mu od potu, gdy długim drewnianym drągiem mieszał odchody płonące w beczkach.

O jedenastej zjawił się DeWolf i powiedział mu, że ani Chase, ani Greene nie wspomnieli o wczorajszym wieczorze. Mówił, że przyszedł nazajutrz i spytał ich, ale mu powiedzieli, żeby się nie wtrącał. Następnego popołudnia Morgan natknął się na Greene'a na drodze batalionowej.

— Czołem, panie kapitanie — powiedział salutując i szedł dalej.

— Chwileczkę, Morgan. — Greene zatrzymał się i patrzył na niego przez chwilę. — Jak się czujecie?

— Dobrze, panie kapitanie. — Pił cały dzień.

— Wiecie, że wtedy powiedzieliście dosyć, żeby was zamknąć w obozie karnym na Okinawie i wyrzucić klucz?

Morgan zeszywniał.

— Myślałem to, co mówiłem.

— Dobra, Morgan. Nie zaczynajcie znowu. Dobrze pracowaliście, z wyjątkiem tamtego wieczora, i chcemy wam się odwdziaczyć. Dlatego pomówiłem z majorem Singerem z kompanii C, i ma dla was miejsce karabinowego na jedne] ze swoich maszyn.

Nie wierzył własnym uszom. — Pan kapitan mówi poważnie?

— Nie żartowałbym na ten temat, Morgan.

— Jezu Chryste. To kiedy idę?

— Jeżeli zdążycie spakować się w czterdzieści pięć minut, to śmigłowiec zaopatrzeniowy wylatuje w specjalny kurs po kolacji.

— Tak jest, panie kapitanie. Dziękuję, panie kapitanie Okręcił się w miejscu i ruszył biegiem do swego namiotu.

17

— Ty, Chambers! — zawołał Webster. — Twój kumpe się zmywa. — Wskazał menażką odlatującą na wschód śmigłowiec.

Chambers, opchany czterema sandwiczami z masłen orzechowym, kiwnął głową. Robinson odleciał co naj' mniej na miesiąc, na urlop okolicznościowy.

— Chwała Bogu.

Webster przykucnął przed nim.

— Niezły był z niego karabinowy, ale na pewno ni< żałuję, że odjeżdża.

270

— Wypiję za to. — Chambers podniósł do ust kubek z kawą, po czym zaciągnął się sześciocentowym cygarem. — Teraz wieczory będą trochę spokojniejsze.

— Chyba że Hancock znajdzie gdzieś butelkę Old Crow — odrzekł Webster.

Z namiotu Harta wyskoczył McCutcheon i pognął do maszyny.

— O cholera! — powiedział Webster. — Zdaje się, że znowu lecimy. Z namiotu operacyjnego wyszło czterech pilotów.

— Jeszcze ze sto dwadzieścia dni — rzekł Webster.

— Ze sto piętnaście. — Chambers odsunął się na bok, żeby McCutcheon mógł wrzucić swój sprzęt na pokład. — Co się dzieje?

— Gotować się! Kompania z trzeciej brygady nawiązała styczność. — McCutcheon pobiegł na tył śmigłowca i odwiązał łopaty wirnika.

Sanders i Eastman wskoczyli na siedzenia, włączono silnik, śmigłowiec wzniósł się i skierował na zachód. Współrzędne topograficzne wskazywały punkt gdzieś w połowie drogi między obozem a granicą Kambodży. Nie musiało to być nic pilnego, bo leciały tylko dwa śmigłowce bojowe.

Chambers porozkładał naboje i granaty na podłodze, zaparł się w drzwiach i sprawdził zasięg wahadłowego ruchu swojego karabinu maszynowego. Byli w powietrzu zaledwie od dziesięciu minut, kiedy wypatrył dym.

— Jest — powiedział Sanders. — Cztery-pięć, widzimy cel na prawo w skos.

— Tak jest, Red, widzę.

Chambers spojrział w górę za siebie, gdzie błyszczał w słońcu drugi śmigłowiec. Lewym okiem dostrzegł nagły błysk i obrócił się w chwili, gdy z ziemi wzbijał się grzyb dymu. Słońce błysnęło na srebrnych skrzydłach odrzutowca, który mknął w górę skręcając na zachód. Inny nadleciał z hukiem od południa, skrył się w chmurze, potem wychynął po jej północnej stronie, pozostawiając za sobą drugi niewielki słup dymu.

271

— Wygląda na to, że tam jest trochę ciasno — powiedział Sanders. — Trzeba krążyć ku wschodowi, póki się nie zorientuję. Czego oni chcą.

— Jakaś artyleria zaczęła strzelać — rzekł Eastman, kiedy maszyna skręciła w lewo, oddalając się od bitwy.

— Biją wszystkim, co mają — odparł Sanders. — Nie wiem, czego chcą od nas. — Nacisnął guziki na tablicy rozdzielczej.

Chambers odprężył się na siedzeniu, rozmyślając, czy trafi ich źle wymierzony pocisk artyleryjski, czy też zderzą się z odrzutowcem, którego pilot zapomniał, że jeszcze inni są w powietrzu. Może skończy się ma tym, że będą strzelać do amerykańskiej piechoty. To już się zdarzało, rzecz jasna. Zdumiewające, że cokolwiek można było skoordynować.

— Long Rifle Szóstka, tutaj Noble Rider Red. Słyszycie mnie? Odbiór.

Zatrzeszczało w słuchawkach. — Słyszemy was głośno i wyraźnie. Chwilami ogień karabinowy wdzierał się w rozmowę.

— Long Rifle Szóstka, mam tutaj zespół maszyn bojowych i jestem gotów, odbiór.

— Zrozumiałem, Red. Proszę, zatrzymajcie się pół minuty, dopóki te odrzutowce nie skończą. Przeleć jeszcze dwa razy, a potem wy.

— Zrozumiałem. Wyrzucicie trochę czerwonego dymu. Będziemy lecieli z południa na północ.

— W porządku, Red. Byle gdzie, aby na północ od dymu.

Zrobili jeszcze jedno okrążenie, podczas gdy odrzutowce zrzucały bomby, a w połowie (następnego McCutcheon złapał za ramię spadochronu Chambersa i wskazał przez drzwi. Z ziemi wznosił się w dwóch miejscach czerwony dym rozsnuwając się w mglistą różowość. Przynajmniej wyglądało na to, że została nakreślona wyraźna linia bitwy.

— Widzimy wasz dym, Szóstka — powiedział Sanders.

— To bierzcie się do nich, Red. Koniec.

272

Dokończyli okrążenia, skręcili w prawo i jeszcze raz <v prawo. Na wprost nich wisiał nad ziemią smolisto-żół-ą chmurą kurz i dym bitwy.

— Zejdź w dół, ale nie poniżej dwustu stóp — powiedział Sanders do Eastmana. — Tym razem daj trzy pary rakiet. Okej, tam! Strzelajcie na północ od tego dymu.

Chambers odciągnął bezpiecznik, zaparł się lewą stopą w drzwiach i wychylił na wiatr. Nowy granat dymny wybuchnął, kiedy poprzednie rozprasały się w mdłej żółtości nad bitwą. Obok zaszczeły boczne karabiny maszynowe, a oliwa spalała się na ich lufach nagłymi kłębkami dymu. Chambers wodził swoim kaemem w górę i w dół, a potem esowatym ruchem na boki. Karabin zaciął się, więc szybko odciągnął zamek, wydobyl amunicję ze skrzynki i strzelał prawą ręką podając naboje lewą.

Boczne kaemy zamilkły, a on puścił spust swojego kiedy maszyna skręcała w prawo i zawracała. Jak zwykle, nie widział nikogo na ziemi. Przelecieli jeszcze dwa rasy nad polem bitwy i stwierdził, że koncentruje się na strzelaniu tak, jak nie czynił tego od dawna. Nie czuł fanatyzmu czy żądy krwi, które, jak wiedział, pobudzały innych karabinowych, ani tego obłądnego rozmiłowania w walce, od którego szkliły się oczy McCutcheona. Po prostu strzelało mu się łatwiej; zadanie zostało wyznaczone i należało je wykonać. Musiał chronić swoich kolegów i byłoby głupie, gdyby nie robił tego możliwie najskuteczniej. Kiedy na punkcie amunicyjnym dźwigał rakiety i skrzynki naboji do swej maszyny, doznawał uczucia dumy i nie mógł tego zrozumieć.

Kiedy wrócili do bazy polowej, stapał bardziej lekko, a idąc z Websterem do kasyna na kawę zauważył, że nieomal zadziera nosa mijając nowych pilotów oraz dowódców załóg. Patrząc na ich wykrochmalone drelichy, prosto z kraju, czy na dzunglowe mundury, jeszcze nie prane (nawet nie zabrudzone), po raz pierwszy poczuł wzgardę typową dla starego żołnierza. Choć był milczący i zmęczony, czuł, iż powinien tak się zachowywać, żeby;

18 - Amerykańscy chłopcy

273

utrzymać pełną dystansu, cyniczną pozę chłopaka ze wsi udzielającego wskazówek zaniepokojonemu mieszczuchowi, co to zabłądził na bocznej drodze. Chciało mu się śmiać z siebie, kiedy pomyślał, że mimo całego swego odczytania i nocy spędzonych samotnie na poważnych rozmyślaniach pewno niewiele się różnił od Hancocka, chociaż ten rzucił naukę w ósmym oddziale i ledwie umiał czytać i pisać.

Zahartowani weterani. Drugiego czy trzeciego dnia w Sajgonie, kiedy jeszcze mieli na sobie drelichy sztywne od krochmalu z niemieckiej pralni, kiedy ich buty błyszczały jeszcze od warstw pasty, poszedł z Morganem do snack-baru w Obozie Alfa, podczas gdy Padgett i Slagel pełnili służbę kuchenną. Większość stolików obsiedli nowi chłopcy zdenerwowani tym, co ich czekało, usiłujący gadaniem, krzyżowaniem, przechwałkami czy kłamstwami zagłuszyć myśl o tym, że wielu z nich zginie w ciągu miesiąca, nie mówiąc już o roku. Przy stoliku w głębi siedziała w milczeniu grupa odjeżdżających do kraju ogorzałych weteranów, w wymiętych mundurach, w butach pokancerowanych albo pośpiesznie natartych pastą, z odznakami i wstążeczkami przypiętymi powyżej kieszeni. Chambers ich nie zauważył. Nazbyt zaprzętny zastanawianiem się, dlaczego jest tutaj i co napisze rodzicom, gdy w końcu zabierze się do listu, po prostu wpatrywał się w wierzch puszki z coca-colą, gdy wtem Morgan pociągnął go za rękaw.

— Spójrz na nich — powiedział.

— Na kogo?

Morgan wskazał głową stolik w głębi.

— Od razu można poznać, że coś naprawdę przeszli.

— Dwa tygodnie w tym słońcu i też tak będziesz wyglądał.

I to było wszystko. Ci weterani nie zrobili na nim szczególnego wrażenia. Naprawdę wierzył w to, co powiedział o przebywaniu na słońcu. Ale teraz, kiedy przykucnął na podłodze śmigłowca układając w skrzynkach taśmy z amunicją do bocznych karabinów, tamten obraz

274

żył mu w pamięci, tylko że tym razem to on siedział przy wym stoliku, milczący, sterany, z dwoma rzędami wstążeczek poniżej Skrzydeł Lotniczych oraz Bojowej Odznaki

'iechoty.

Skończył ładowanie i zaniósł puste skrzynki do dołu a odpadki. Śmigłowiec zaopatrzeniowy kompanii obsługi owództwa opuścił się na lądowisko po swoim codzien- iym locie terkocząc gwałtownie łopatami. Chambers rzucił to, co przydzwigał, między skrzynki od amunicji racji żywnościowych, taśmy od naboń i blachy, leżące v dwumetrowym dole niedaleko środka lądowiska, po :zym wrócił do swojej maszyny i zasiadł w drzwiach vpatrując się w ziemię. Czyżby naprawdę po przeszło łwóch latach stawał się żołnierzem?

Ostatnią rzeczą, jaką mu ktoś mógł zarzucić, było to, :e jest zawiadiackim, typowo amerykańskim chłopcem. L pewnością na to nie wyglądał ze swoją nalaną twarzą I baryłkowatym ciałem i nigdy nie był w niczym wo» izirejem. W szkole średniej dobrze grał w futbol — był silny i dosyć szybki — ale nigdy go specjalnie nie obchodziło, czy wygra, czy przegra. Służba i wojna to rzeczy, które trzeba przejść. Przebywanie z przyjaciółmi i utrzymanie się przy życiu jest ważniejsze od tego, kto wygra.

Jego przyjaciele, nawet LaMont, byli tak typowo amerykańscy, jak to tylko możliwe. Z ich opowiadań wynikało, że starali się być najlepsi w szkole piechoty, a w Fuldzie, mimo ciągłych drwin, glansowali buty i pilnie wykonywali swoje obowiązki. Energia, którą zużywali na udawanie, że o nic nie dbają, świadczyła jedynie o tym, że dbają bardziej, niż chcą się przyznać. Inaczej nie przyjechaliby tutaj. Rany boskie, może w gruncie rzeczy i on też jest taki, aczkolwiek do tej chwili nigdy nie przy- szłoby mu to do głowy.

Poczuł, że ktoś się w niego wpatruje, i podniósłszy oczy spojrział prosto w uśmiechniętą twarz Morgana. Przygryzł mocno cygare, odwrócił wzrok, a potem popatrzał na niego. — W porządku, Orville. Nie masz halucynacji. To ja.

275

— Jesteś tutaj?

Morgan wyglądał komicznie, krzaczaste wąsy miał nastroszone w dwunastu kierunkach, a worek odzieżowy przyginał mu jedno ramię o dobre trzy cale poniżej drugiego.

— Nie, tam — Morgan wskazał powietrze. — Tak, jestem tutaj. Co ty na to?

— To znaczy na stałe? — Złościł go radosny uśmiech Morgana.

— Dopóki mnie nie rozwalą.

— Nie widzę w tym nic śmiesznego. — Chambers pomyślał o Slagelu, Padgetcie, o samym sobie podczas ostatniego lotu. To wszystko nie mogło się zdarzyć, nie mogło zdarzyć się teraz.

— Co ci jest, stary? Nie cieszysz się, że mnie widzisz? Przymilny ton sprawił, że Chambers łypnął spode łba

z niechęcią.

— Nie, nie cieszę się, że cię widzę. W każdym razie tutaj. Dlaczego przyszedłeś?

— Że co?

— Słyszałeś. Dlaczego?

— Zawsze miałem przyjść. Tak się umówiliśmy pierwszego dnia.

— Pierwszego dnia, cholera! — Wstał gotów rąbnąć Morgana pięścią w twarz.— Na wiele rzeczy umówiliśmy się pierwszego dnia i innych dni, ale od tej pory dużo się zmieniło. Czy może i to cię nie obchodzi?

— Dajże spokój, człowieku. — Morgan pociągnął nosem i popatrzał w ziemię.

— Nie gadaj mi o spokoju, Móg. Mam dość tracenia kolegów, a ty tu przychodzisz i żartujesz sobie, jak gdyby to było nieważne.

— Przestań, Orville! — Morgan zadarł nagle wyzywająco głowę. — Wiesz doskonale, że biore to tak samo poważnie jak ty. A dlaczego ty jeszcze tu jesteś? Możesz rzucić latanie każdej chwili i dobrze to wiesz.

Chambers oklapnął w drzwiach jak pęknięty balonik.

276

'dgryzł mokry koniec swego cygara i wypluł go na zie- lię, a resztkę wetknął do ust. Jego dłonie zacisnęły się a krawędzi podłogi śmigłowca, aż knykcie zbiełały. Co łógł powiedzieć? Co było do powiedzenia, cholera jasna?

— Przepraszam, Will. Miałem ciężki dzień. Cieszę się, e cię widzę. Po prostu wolałbym, żebyśmy byli gdzie

ndziej.

— Ja też się cieszę, że widzę ciebie.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym Morgan usiadł obok niego v drzwiach.

— Nie najlepiej pachniesz, Will.

— Palilem odchody. Jutro wezmę prysznic.

— Twarz masz obrzmiałą, jakbyś od miesiąca chodził la bańce.

— Powiedz: od trzech albo czterech, to mniej więcej iitrafisz. W końcu mnie przerwało i

pozwolili mi odejść

— Naprawdę?

— Greene mógł mnie wsadzić do mamra albo zatrzymać. Nigdy nie myślałem, że mnie puści. Jest bardziej równy, niż mi się zdawało. Albo może pomyślał, że w ten sposób mnie uziemi. Rozmawiali jeszcze pół godziny, Morgan opowiadał szczegółowo o ostatnim wieczorze w S-1, o swoim pijaństwie w ostatnich tygodniach i cieszył się na latanie, jak gdyby to była manna z nieba. Chambersa opuścił gniew. Słuchał, kiwał głową, informował Morgana o terenie, a przez cały ten czas czuł się coraz bardziej zmęczony. Kiedy wstał, miał takie wrażenie, jak gdyby ktoś pozawieszał mu ołowiane ciężarki na całym ciele.

— Lepiej idź pogadać z Hartem i pobrać oporządzenie. — Nagle zapragnął odejść, być sam. — Zresztą jest pora posiłku.

Wszedł do ładowni bagażowej, zabrał swoje przybory do jedzenia i ruszył przez lądowisko czując, że mógłby przewrócić się na ziemię i zasnąć natychmiast. Zatrzymali się przed jasnozielonym, podobnym do indiańskiego, namiotem Harta.

277

dgryzł mokry koniec swego cygara i wypluł go na zie-ię, a resztką wetknął do ust. Jego dłonie zacisnęły się i krawędzi podłogi śmigłowca, aż knykcie zbiełały. Co LÓgł powiedzieć? Co było do powiedzenia, cholera jasna?

— Przepraszam, Will. Miałem ciężki dzień. Cieszę się, ; cię widzę. Po prostu wolałbym, żebyśmy byli gdzie idziej.

— Ja też się cieszę, że widzę ciebie.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym Morgan usiadł obok niego i drzwiach.

— Nie najlepiej pachniesz, Will.

— Palilem odchody. Jutro wezmę prysznic.

— Twarz masz obrzmiałą, jakbyś od miesiąca chodził la bańce.

— Powiedz: od trzech albo czterech, to mniej więcej itrafisz. W końcu mnie przerwało i

pozwolili mi odejść

— Naprawdę?

— Greene mógł mnie wsadzić do mamra albo zatrzymać. Nigdy nie myślałem, że mnie puści. Jest bardziej równy, niż mi się zdawało. Albo może pomyślał, że w ten sposób mnie uziemi.

Rozmawiali jeszcze pół godziny, Morgan opowiadał szczegółowo o ostatnim wieczorze w S-1, o swoim pijaństwie w ostatnich tygodniach i cieszył się na latanie, jak gdyby to była manna z nieba. Chambersa opuścił gniew. Słuchał, kiwał głową, informował Morgana o terenie, a przez cały ten czas czuł się coraz bardziej zmęczony. Kiedy wstał, miał takie wrażenie, jak gdyby ktoś pozawieszał mu ołowiane ciężarki na całym ciele.

— Lepiej idź pogadać z Hartem i pobrać oporządzenie-. — Nagle zapragnął odejść, być sam. — Zresztą jest

pora posiłku.

Wszedł do ładowni bagażowej, zabrał swoje przybory do 'jedzenia i ruszył przez lądowisko czując, że mógłby przewrócić się na ziemię i zasnąć natychmiast. Zatrzymali się przed jasnozielonym,

podobnym do indiańskiego, namiotem Harta.

277

— Jest nowy, sierzancie! — zawołał Chambers.

Kanciasta, różowa twarz Harta ukazała się między klapami. Pod bulwiastym nosem lśniły starannie wybrylan-tynowane wąsy.

— To jest Willard Morgan, sierzancie. Nowy z kompanii dowództwa. Zobaczymy się w kantynie, Will.

Pozostawił ich obu wpatrujących się tępo w siebie.

Nalozywszy do menażki porcję wątroby, cebulę, tłuczone ziemniaki i jasnozielony groszek konserwowy, odszedł w głąb namiotu i usiadł na ziemi. Chciał szybko zjeść, uciec, zanim nadejdzie Morgan, ale był taki ociężały, że ledwie podnosił widelec. Otwarcie ust wymagało wysiłku. Poza tym jedzenie smakowało jak łajno. Gumowata wątroba, oblane tłuszczem cebule, gruzłowate ziemniaki. Miał ochotę cisnąć całe to paskudztwo w paplających dokoła niego żołnierzy. Jeszcze nie skończył, kiedy przed namiotem ukazał się Morgan szukając go w tłumie. Wyglądał żałośnie — przepity, obrzmiały, samotny i onieśmielony, nie wiedzący co robić. Twarz mu się rozjaśniła, kiedy wypatrzył Chambersa, po czym przepchał się w głąb namiotu.

— Jak ci się podobał Hart? — zapytał Chambers, gdy Morgan usiadł.

— Typowy zawodowy palant.

— Słusznie. Co powiedział?

— Mam karabinować u jakiegoś Barry'ego i sypiać w jego maszynie. Kto to jest?

— Ja jestem Barry. — Nowy dowódca załogi usiadł obok nich. Chambers wstał.

— No, to was zostawiam, żebyście się poznali — powiedział. — Muszę wylecieć przed zmierzchem. Zobaczymy się rano, Will.

— Rano? Zobaczę się z tobą dziś wieczorem;

— Pójdę spać, jak wrócimy. Jestem zmęczony.

— Okej — rzekł Morgan i spojrzał na niego badawczo. Chambers odwrócił się, nachylił pod klapą namiotu

i pospieszył do swojej maszyny.

278

Kiedy śmigłowiec wwierał się w puste, szaroniebieskie wieczorne niebo, Chambers przyłapał się na tym, że prag-lie, aby to był jego ostatni lot. Pragnął tego dzień w izień i miał pewność, że prawie każdy żołnierz spędza co najmniej część dnia na marzeniu o ostatnim locie. Ale tym razem było inaczej. Czuł, że nie może już dłużej odsuwać tego od siebie i po prostu czekać przez następne cztery miesiące. Chciał, żeby skończyło się zaraz, i nie miał pojęcia, jak zdoła przetrzymać jeszcze jeden dzień, nie mówiąc już o stu piętnastu. Czy naprawdę robił to przez osiem miesięcy?

Śmigłowiec okrążył teren popołudniowej bitwy. Był opustoszały i cichy, leje od bomb ziały ku niebu niczym bezzębne usta starców. Nic się tutaj nie wydarzyło tego popołudnia. Paru żołnierzy piechoty zabitych, okaleczonych i rannych, masa pieniędzy wyrzuconych na amunicję i benzynę, a nie zdarzyło się nic. Wieczorem odlecą B-52, za tydzień drzewa będą całe szare i rdzawe, ale nie zdarzyło się nic.

Spojrzał za siebie w chwili, gdy McCutcheon wyciągał zawleczkę granatu dymnego. Chambers przestawił inter-com na bezpośredni, żeby piloci nie usłyszeli:

— Co ty wyrabiasz, do licha? McCutcheon drgnął na siedzeniu.

— Szykuję się. Te Wietnamczyki z Północy gdzieś tutaj są, a jak zaczną strzelać, rzucę tam dym.

— Chyba nie wyjmę zawlecзки z mojego.

Przestawił intercom z powrotem i wyjrzał przez drzwi. O kilka mil na zachód góry rozciągały się wzdłuż granicy Kambodży jak martwy olbrzym, a gasnące słońce, niby wyblakły bladuróżowy pled, przykrywało mu plecy. Lecieli prosto na niego, skręcając na północ, kiedy równina zaczęła podnosić się ku jego tułowiu. Był wyschnięty jak mumia.

Kiedy śmigłowiec przelatywał nad jakimś potokiem, Chambers przypomniał sobie, że właśnie tutaj padające drzewo o mało nie zmiażdżyło czaszki Padgettowi. I co by to była za różnica? Nawet

śliniacemu się, bezrozumne-

279

mu imbecylowi dane jest życie. Nawet Slagelowi wpatrującemu się w sufit na jakimś oddziale dla kalek dane jest życie. A po co? Żeby myśleć o popełnionych morderstwach nie mogąc nawet drgnąć.

— Wojsko północnowietnamskie na ziemi! — ryknął McCutcheon. — Dajemy czerwony dym! — Dowódca załogi otworzył ogień.

— Cztery-pięć, tu Red. Widzimy nieprzyjaciela. Rzucajcie czerwony dym.

— Tak jest, Red. Siedzimy wam na ogonie. Chambers wyrzwał przez drzwi, nie widział nic, a dbał o to jeszcze mniej. Smużka czerwonego dymu snuła mu się dookoła brzucha. Obrócił się do wnętrza maszyny. Ten cholerny McCutcheon położył granat na podłodze! Czerwony dym wypływał jednymi i drugimi drzwiami.

Sanders obejrzał się i przez sekundę zdawało się, że zemdleje.

— Cztery-pięć, nie strzelać w czerwony dym! Czerwony dym to my!

— Widzę was, Red.

McCutcheon schylił się potulnie i wyrzucił dymiący granat przez drzwi. Chambers obrócił się i wychylił na wiatr oczyszczając sobie nozdrza ze żrącego odoru.

— Przepraszam, panie kapitanie — powiedział McCutcheon. — Chyba trochę się podhecowalem.

— W porządku — odrzekł Sanders. — Zrobimy jeszcze jedno koło i wracamy. Ilu widzieliście?

— Tylko jednego.

Zakończyli okrążenie i wznieśli się do odlotu. Chambers nie zadał sobie trudu, by strzelać.

— Panie kapitanie — powiedział McCutcheon. — A może byście wysadzili mnie na ziemię, żebym poszukał tego żółtka? Możliwe, że zaszuwa do całego ich gniazda.

— Nie bądźcie śmieszni.

— Bo jest mi głupio, panie kapitanie. Gdyby nie ja, moglibyśmy go dostać.

— Mogliśmy go trzepnąć i tak — odrzekł Sanders.

— Niech pan kapitan wysadzi mnie na ziemię. Wezmę

280

ylko bagnet, tak że jeżeli mnie rąbną, nie dostaną żadnej >roni.

— Wracamy.

— Panie kapitanie, kiedy to moja wina. Mógł być cenny jako jeniec. *— Powiedziałem, że wracamy.

— No, to cholera z tym. Chciałem tylko pomóc. Chambers obejrzał się znowu, nie wierząc własnym

uszom. Nadaśana mina McCutcheona upodabniała go do dziecka, grubego chłopaka na boisku, którego nikt nie chce wziąć do swej drużyny.

— Zamknijcie się, McCutcheon! — powiedział Sanders. McCutcheon oparł stopy w drzwiach, skrzyżował ręce na

piersiach i spuścił głowę. Nie miał nawet zamiaru wyglądać na zewnątrz.

Niech lichy porwie wszystkich tych wariatów. Chambers wychylił się przez drzwi i próbował skupić uwagę na drzewach. Debile! Tak by powiedział LaMont. Jest się uwięzionym w świecie debilów. Ten cholerny śmigłowiec jest ich pełen, a pluton także. Człowieka prowadzą i podążają za nim debile, a on sam największy debil, że się tu znalazł.

Czarna twarz Hendricksa wyglądała z okienka ciężarówki z benzyną na punkcie paliwowym i amunicyjnym. Śmigłowiec osiadł obok jednego z ciemnoszarych zbiorników paliwa, Chambers wyskoczył i ruszył ku stercie skrzynek z amunicją. Przytaszczył dwie do maszyny, a potem pobiegł do ciężarówki ściskając w ręce banknot dziesięciodolarowy.

— Co się dzieje, Chambers? — zapytał Hendricks.

— Gówno. Masz coś? — Podał mu pieniądze przez okno. |— Nie tyle.

— A możesz dostać?

— Jutro jadę do Pleiku. Wtedy cię zaopatrzę. Tymczasem weź to. — Wręczył mu niepełną paczkę papierosów Pali MaLL — Powinno ci wystarczyć do jutra.

— Dziękuję. — Chambers wsadził paczkę do przedniej kieszeni i wrócił do maszyny.

281

Na lądowisku szybko załadował skrzynki, po czym rozłożył swój śpiwór na podłodze maszyny. McCutcheon poszedł opowiadać historie wojenne innym dowódcom załóg, a Barry instruował Morgana przy swoim śmigłowcu. Chambers zamknął lewe drzwi, od strony lądowiska, i położył się na brzuchu wystawiwszy głowę przez prawe, które wychodziły na linię obwodu. Podparty na łokciach wypalił niespiesznie dwa skręty, wsunął się do śpiwora i próbował zasnąć.

-

18

Morgan skończył namydlać swe nagie ciało, przechylił nad głową blaszankę z wodą i patrzył, jak mydliny spływają na ziemię obok helikoptera. Wytarł się czując nikły odór spalonych odchodów, wciąż jeszcze przywierający do niego. Wciągnął czyste kalessony, włożył do butów świeże skarpetki i zrobił sobie zagłówek z czystych drelichów.

Śpiwór rozgrzewał i koił jego znużone ciało, kiedy leżał na brzuchu i wyglądał przez uchylone drzwi śmigłowca. O kilkanaście kroków w kabinie innej maszyny migotały ogniki papierosów, a po lądowisku niesły się przytłumione głosy. Żaden z innych karabinowych nie zagadał doń tego wieczora. Tu i ówdzie kiwnięcie głową, ale żadnych przyjacielskich propozycji. Musiał się tego spodziewać będąc nowym przybyszem i byłym kancelistą — kancelista-onanista, jak ich nazywali frontowi żołnierze. Będzie się później martwił o zawieranie przyjaźni. Na razie musi nauczyć się nowej roboty. Obrócił się na bok i podkurczył nogi, pełen tego wyczekiwania, które niegdyś odczuwał w noc poprzedzającą nowy semestr.

Obudził się raptownie o dziesiątej; jakiś krótki i drażniący sen umknął mu, nim zdołał go zapamiętać. O jedenastej ocknął się znowu, w umyśle rozmazywały mu się jakieś jaskrawe różowości, purpury i czerwienie przechodzące w szarość, a potem nicość, kiedy potrząsnął głową. Wypalił papierosa pragnąc napić się czegoś, za-

282

ująć, że nie wziął ze sobą butelki. Ale whisky na froncie o sąd wojenny. Poza +ym może już przyszła pora posu-zyć.

Przez całą noc kropił z przerwami deszcz, a Morgan Irzemał, śnił i budził się raz po raz. W jego snach po-awiały się twarze — rodzice, przyjaciele z college'u, lawne dziewczyny, przełożeni wojskowi z Fort Dix i Ful-ly, Chase, Greene i Stubbs. Stał przed nimi usiłując wy-asić swoją nową rolę, swoje potrzeby. Wydawali się >ijani, twarze mieli obrzmiałe od śmiechu i odprawiali go z pijackim lekceważeniem, machnąwszy ręką, jak gdy-ay niewart był słowa. Nad ranem to szybkie oscylowanie między snem, śnieniem i jawą sprawiło, iż poczuł się jakby podłączony do zegarka: drzemanie i sny na „tik”, budzenie się na „tak”.

Kiedy sierżant sztabowy Hart obudził go o wpół do siódmej, Morgan miał głowę wtuloną w zmięte drelichy. [znowu zatarła mu się treść snów. Świetlica w Fuldzie? Starszy sierżant wyśmiewa się z niego i jego przyjaciół? Czy też jest u siebie w saloniku, gdzie wszyscy siedzą w drelichach słuchając opowieści ojca o drugiej wojnie światowej? Sceny i fragmenty z własnego życia kłębiły mu się chaotycznie w głowie. Tak pewnie czują się ludzie tonący.

— Gotowy? — Barry uśmiechnął się doń ze swego siedzenia. Miał duże, poczciwe, ciemnopiwe oczy, a twarz najłagodniejszą ze wszystkich, jakie Morgan widział od dawna.

— Chyba tak.

Barry klepnął go po plecach. — Nie miej takiej nerwowej miny, człowieku. To nic wielkiego. Po jedzeniu, kiedy Morgan wycierał zmoczone deszczem boczne karabiny i powlekał je cienką warstwą oliwy, Barry wyjaśnił mu, co będzie musiał robić podczas ich pierwszego lotu. Za wiele rzeczy. Umysł Morgana, ociężały po bezsennej nocy, nie mógł przyswoić sobie tych wszystkich informacji. Ręce mu drżały i miał ochotę dolać whisky do kawy, żeby się uspokoić. Siedział w

cu i palił zastanawiając się, co u diabła robi, jeżeli nawiązą styczność z nieprzyjacielem podczas pierwszego lotu. Barry zlął z wierzchu maszyny i wetknął głowę przez drzwi.

— Gotujmy się, Morgan.

— He? — Nie wiedział, o co chodzi Barry'emu. Jego własny głos zabrzmiał głupawo; zapewne wyglądał jak kompletny cymbał.

— Idą piloci.

Ciało Morgana ożyło; zeskoczył na ziemię, serce mu biło dwa razy szybciej. Założył naoliwione lufy do bocznych karabinów i szarpnął je, by się upewnić, że mocno siedzą. Otworzył drzwi pilota, a kiedy chorąży Woolsey wsiadł, przesunął płytę pancerną do przodu, aby osłonić jego bok, po czym zamknął i zaryglował drzwi. Zawiesił swoją osłonę pancerną przed brzuchem i piersią i rozłożył rzemienie od spadochronu na siedzeniu. Kapitan Sloane obejrzał się ze swego miejsca i pomachał ręką. Morgan przypomniał sobie jego nazwisko z pracy w S-1. Sękata dłoń Woolseya przekreśliła przełączniki na suficie i silnik zaczął pracować z przeciągłym ostrym świstem. Główny wirnik obrócił się powoli nad głową Morgana, zamknął więc drzwi, wcisnął małe klapy wchodowe w osłonie i przez dziesięć sekund patrzył, czy nie ma gdzie przecieku lub ognia. Puścił klapy, okręcił się, przeszedł za wyrzutnię rakiet i rąbnął się udem o tylną część karabinu maszynowego. Ból przewiercił mu ciało i przeszedł w pulsowanie, kiedy stojąc na płozie usiłował naciągnąć na siebie rzemienie spadochronu. Nie mógł przełożyć ich przez ramię i szarpał nimi gwałtownie, martwiąc się, że zostawia go i wystartują. Wreszcie nałożył pasy, zapiął je i wskoczył na swoje miejsce.

Pot ściekał mu po bokach, kiedy wkładał na głowę kask lotniczy i spoglądał przez drzwi na inne helikoptery. Wydawało się, że zrobił sto rzeczy w trzydzieści sekund i musiał gdzieś coś spieprzyć. Może nie zauważył jakiegoś przecieku paliwa, i maszyna wybuchnie, kiedy będą na wysokości dwustu stóp. Albo źle zamontował lufy,

zy może były zatkane i kiedy zaczną strzelać, kule polecą o wnętrza maszyny. Nie był sobą, nie był Willardem Irganem, postępując w taki sposób.

— Jak tam wygląda, Morgan? — zapytał kapitan Sloane irzez intercom.

Morgan nacisnął czarny guzik na przewodzie. — Nic de widać, panie kapitanie.

— Gotowy jesteś, Cztery-dwa? — zapytał Sloane.

— Gotowy, Cztery-jeden — odpowiedział przez radio nny głos.

— Idziemy w górę — rzekł Sloane.

Morgan wyglądał przez drzwi, do przodu, w bok, za siebie. Nie miał zamiaru być odpowiedzialny za jakieś uderzenie w powietrzu. Śmigłowiec poderwał się z ziemi Łołyżąc lekko na boki, kiedy się wzniosł o dziesięć stóp. Przypomniało to Morganowi gimnastyka dokonującego ;rudnego podciągania się na pierścieniach. Taki sam pełen wdzięku wysiłek. Nieomal widział, jak mięśnie maszyny się napinają, a jej twarz czerwienieje. Śmigłowiec na-hylił się w przód i pomknął przed siebie i w górę. Ruszył na południe, zakręcił powoli i skierował się ku wscho-iowi. Morgan wyjrzał dumnie przez drzwi, ciekawy, czy malutcy żołnierze na ziemi zazdroszczą karabinowym.

Barry pociągnął go za rzemienie i wskazał karabin maszynowy oparty o siedzenie Woolseya.

Morgan sięgnął po broń, a jego myśli znowu pognały frenetycznie, kiedy wykonywał odpowiednie ruchy starając się o wszystkim pamiętać. Ściągnął spod sufitu linkę elastyczną i przełożył uchwyt karabinu przez pętlę na jej końcu. Oparłszy kolbę na kolanach przekreślił dźwignię po prawej stronie karabinu, podniósł pokrywę i wsunął podajnik, który podsuwał pociski pod zamek. Dwa razy taśma amunicyjna upadła mu na podłogę, zanim ulokował pierwsze cztery naboje pod pokrywą. Przewiesił taśmę przez kolana i przyczepił granat dymny do uchwytu. Zanim wyjrzał przez drzwi, aby przepatrzeć ziemię, zerknął na ten wybuchowy przedmiot, który miał w rękach, zastanawiając się, czy rozerwie mu się prosto w twarz, gdy w końcu naciśnie spust.

— Cztery-dwa, schodzimy w dół — powiedział Sloane

— Zrozumiałem, Cztery-jeden — odezwał się głos v radio. — Kryjemy was.

Helikopter zwolnił, odchylił się w tył i opuścił ki bujnej zieleni w dole. Kiedy znów pomknął do góry, Morgan wychylił się na wiatr i przestał ścisnąć tak mocno karabin maszynowy, usiłując się odprężyć, wejść w rytm lecącego z warkotem śmigłowca. Strach go opuścił ustępując miejsca podnieceniu, gdy mknęli wzdłuż małej doliny porośniętej gęstymi warstwami zieleni. Miał ochotę machać rękami, krzyczeć do ludzi, że nareszcie jest wolny. To samo czuł jadąc pociągiem towarowym z Oakland do Los Angeles pewnego słonecznego sobotniego poranka dwa i pół roku temu. Przewyciężył wtedy lęk przed włóczęgami i podniesiony na duchu łykiem whisky siedział rozparty w drzwiach wagonu, machając ręką do samochodów na autostradzie 101, gdy pociąg toczył się przez Dolinę Salinas. W którymś małym miasteczku dzieci obrzuciły wagon kamieniami. Może Wietkong zacznie teraz do niego strzelać. Przesunął lufę z lewa na prawo, a potem napiął linkę i wycelował prosto w dół. Maszyna targnęła się nagle, nieomal stając w powietrzu, gdy zakręcała o prawie sto stopni, a potem ruszyła naprzód i w dół. Wodził karabinem po sunących ku niemu czubkach drzew.

— Okej, Cztery-dwa — powiedział Sloane. — Obrobimy tyły tej doliny.

— Jesteśmy za wami, Cztery-jeden.

Więc naprawdę będą strzelali! Morganowi waliło serce i ścisnęło go w żołądku, kiedy sprawdzał swą broń. Podniósł taśmę amunicyjną, by się upewnić, że pociski są połączone ze sobą. Śmigłowiec znów skręcił w lewo, tym razem zataczając szeroki łuk nad dnem doliny, i wzniósł się do szczytu niewielkiej góry po jej drugiej stronie. Kapitan Sloane odciągnął od sufitu celownik nieskończonościowy i przekręcił go w dłoń, tak że boczne karabiny obróciły się poprzecznie.

286

— Okej — powiedział. — Do góry i prosto-przed siebie, foolsey, pan wystrzeli rakiety. Ja zajmą się kaemami. Iiedy będziemy po drugiej stronie doliny, skręcajcie w :wo, ale lećcie tak, żebyśmy mogli strzelać między drze-/a.

— Tak jest.

— Głowa do góry — powiedział Sloane do Morgana Barry'ego.

Morgan poderwał się, gdy boczne karabiny otworzyły igień, a potem drgnął znowu, kiedy rakietka wypruła z wy-zutni pod wspornikiem. Nacisnął spust swojej broni. Ani Irgnął. Przesunął bezpiecznik i nacisnął raz jeszcze. Trzy :y cztery pociski i koniec. Z wyrzutni wyleciała na-tępna rakietka. Zarepetował karabin i strzelił. Zaciął się aiowu. Jął walić pięścią w jego wierzch, nim zarepetował, warz piekła go z zawodu. Raz jeszcze otworzył ogień, gdy ;rzecia rakietka leciała z dymem ku ziemi. Maszyna skrę-:iła; lada sekunda przestaną strzelać, a on miał znowu za-:ięcie. Całe jego ciało płonęło ze wstydu. Zarepetował broń i nacisnął spust. Karabin wystrzelił kilka nabo i urwał. Boczne kaemy, które były nachylone tak, że biły prawie prosto w dół, zamilkły, a potem podjechały do swego normalnego położenia. Morgan spojrział io wnętrza kabiny, kiedy Sloane zamocowywał celownik z powrotem na suficie.

Zarepetował i zabezpieczył karabin, świadom, że nie wystrzelił więcej niż dwadzieścia nabo i.

Obrócił się do drzwi, żeby nikt nie widział jego twarzy. Cóż z niego za niedołączna dupa!

Kiedy wylądowali na punkcie amunicyjnym i paliwowym, miał ochotę uciec i schować się gdzieś. Może lepiej, od razu dać spokój i wrócić do S-l, ołówków, papierów i maszyny do pisania, tam gdzie jest jego miejsce. Cóż to za żalosna wymówka dla frontowego żołnierza! Mięśnie miał tak sflaczałe, że ledwie zdołał przydzwigać do śmigłowca rakietki i skrzynki z amunicyją. Pot oblewał mu ciało znacząc plamami drelichy, a woń dobywająca się spod pach była mocniejsza od zapachu nasiąkniętej

287

— Okej — powiedział. — Do góry i prosto-przed siebie, /|©olsey, pan wystrzeli rakiety. Ja zajmę się kaemami. Iiedy będziemy po drugiej stronie doliny, skręcajcie w jwo, ale lećcie tak, żebyśmy mogli strzelać między drze-/a.

— Tak jest.

— Głowa do góry — powiedział Sloane do Morgana

Barry'ego.

Morgan poderwał się, gdy boczne karabiny otworzyły igień, a potem drgnął znowu, kiedy rakietka wypruła z wyrzutni pod wspornikiem. Nacisnął spust swojej broni. Ani irgnął. Przesunął bezpiecznik i nacisnął raz jeszcze. Trzy czy cztery pociski i koniec. Z wyrzutni wyleciała namiętna rakietka. Zarepetował karabin i strzelił. Zaciął się mowu. Jął walić pięścią w jego wierzch, nim zarepetował, warz piekła go z zawodu. Raz jeszcze otworzył ogień, gdy rzecia rakietka leciała z dymem ku ziemi. Maszyna skreśliła; lada sekunda przestaną strzelać, a on miał znowu zadęcie. Całe jego ciało płonęło ze wstydu. Zarepetował Droń i nacisnął spust. Karabin wystrzelił kilka naboii . urwał. Boczne kaemy, które były nachylone tak, że oiły prawie prosto w dół, zamilkły, a potem podje-chały do swego normalnego położenia. Morgan spojrział io wnętrza kabiny, kiedy Sloaie zamocowywał celownik z powrotem na suficie.

Zarepetował i zabezpieczył karabin, świadom, że nie wystrzelił więcej niż dwadzieścia naboii.

Obrócił się do drzwi, żeby nikt nie widział jego twarzy. Cóż z niego za niedołączna dupa!

Kiedy wylądowali na punkcie amunicyjnym i paliwowym, miał ochotę uciec i schować się gdzieś.

Może lepiej, od razu dać spokój i wrócić do S-1, ołówków, papierów i maszyny do pisania, tam gdzie jest jego miejsce. Cóż to za żalosna wymówka dla frontowego żołnierza! Mięśnie miał tak sflaczałe, że ledwie zdołał przydzwigać do śmigłowca rakietki i skrzynki z amunicją. Pot oblewał mu ciało znacząc plamami drelichy, a woń dobywająca się spod pach była mocniejsza od zapachu nasiąkniętej

287

paliwem ziemi. Kiedy lecieli z powrotem na lądowisko kompanii, wpatrywał się tępo we wzgórza i doliny mając ochotę wyskoczyć ze śmigłowca i roztrzaskać swoje wykończone ciało na kawałki.

Obaj z Barrym lądowali w milczeniu. Kiedy skończyli, Barry powiedział:

— Słuchaj, miałeś jakieś kłopoty ze swoim karabinem?

— Wciąż się zacinał.

— Może przez to, jak trzymasz amunicję. Pokażę ci, jak lepiej ją podawać.

— Będę Ci wdzięczny.

Barry zasiadł w śmigłowcu po stronie Morgana, zawiesił karabin, nacisnął spust tak, że zamek skoczył do przodu, po czym założył taśmę amunicyjną.

— Pewnie trzymasz ją przewieszoną przez nogę albo pod takim kątem, że nie ciągnie gładko. Jak najwięcej naboii powinno być na podłodze, żeby taśmę wyciągało prosto do góry, a nie przez twoje udo.

Przewiesił długą taśmę przez lewe udo tak, że górna część wchodziła w broń, a pozostałe pociski układały się w stos na podłodze.

— Kiedy będziesz strzelał, te podejda bez żadnego oporu. Zresztą prawą nogę będziesz miał cały czas wolną. Jak strzelasz w bok, zaprzyj, broń pod prawą pachą i strzelaj jedną ręką. W ten sposób możesz podawać taśmę lewą, jeżeli będzie trzeba.

— Wydaje się proste, kiedy to mówisz.

— Mój zacinał się za każdym razem przez pierwsze kilka dni. Po paru razach to już jest jak mycie zębów.

Borykał się przez pierwszy tydzień godzina po godzinie, wystrzeliwując za każdym lotem trochę więcej amunicyjii, wykonując swoje obowiązki przed startem coraz gładziej, z mniejszą paniką.

Sypiał coraz lepiej, ale trzeba mu było tygodnia, żeby przespać całą noc. Co dzień po locie jadł, ile wlażło, brał prysznic, a potem kładł się w śpiworze i czekał. Zarówno jego nerwy, jak sny domagały się alko-

288

iołu, ale nie pozwalał sobie nawet na jedno piwo, dopóki de wycisnął z siebie całej dawnej zmacerowanej gorzały. Te sprawy były zbyt ważne, żeby zabierać się do nich ; ociężałym umysłem i sflaczałym ciałem.

Poczucie ważności podtrzymywało go, nakazywało mu jróbować usilniej, kiedy w desperacji chciał dać za wygra-lą. Czasem się wzdrygał widząc siebie z powrotem w S-1 stojącego przed Chase'em i Greene'em w ostatecznym upo-corzeniu. Wiedział, że porażka pociągnie za sobą żal do cońca życia,

jakiś poranek po czterdziestce, kiedy zbudzi się w przerażeniu i przycisnie sobie brzytwę do gardła. Kiedy obudził się rano siódmego dnia, przespawszy całą noc bez snów, wiedział już, że zwyciężył; mówiła mu o tym siła, jakiej nabral po wypoczynku. Tego rana, podczas lotu rozpoznawczego o świcie, wystrzelał serię przeszło dwustu aaboi i chociaż tylko pięćdziesiąt ułokował blisko celu, wiedział, że wygrał główną bitwę. W punkcie amunicyjnym nie sapał ani nie stękał pod ciężarem skrzynek z nabojami, a na lądowisku załadował broń szybko, nie prosząc Barry'ego o pomoc. Czuł się oczyszczony, tak jakby przeleżał tydzień zawinięty w nagrzone koce, wypacając z siebie jakąś tropikalną chorobę.

To poczucie ufności pociągnęło za sobą inne rzeczy. Teraz, kiedy potrafił wystrzelać ponad dwadzieścia ładunków jednym ciągiem, miał czas ćwiczyć się w celowaniu. Pod koniec następnego tygodnia wstrzeliwał się w cel po trzech pociskach smugowych. Trzeba mu było trzeciego tygodnia, żeby to wszystko skoordynować. Musiało się pamiętać o tylu rzeczach na raz, że choć najbardziej się starał, zwykle coś spieprzył. Czasami karabin zacinał się, jeżeli przesuwał go na cel zbyt prędko. Dwukrotnie zapomniał o wylocie lufy i raz drasnął sobie kulą brzeg podeszwy, a drugim razem wywalił siedem dziur w obramowaniu drzwi, kiedy wciągał broń do maszyny. Ale inne śmigłowce na lądowisku też były pełne dziur, i to nie od pocisków nieprzyjaciela.

Odprężył się teraz i czuł się swobodnie na lądowisku, gdy czyścił swoje karabiny, ładował czy też po prostu

19 — Amerykańscy chłopcy

289

siedział na płozie i palił. Z początku był taki napięty, że ledwie mógł chodzić prosto, bo zataczał się i potykał niczym student pierwszego roku, który się spóźnił na egzamin. Nie narzucał się innym karabinowym, mówił: — Cześć — i nic więcej, chyba że sami nawiązywali rozmowę. Poufałość przychodziła stopniowo, tu żart, tam życzliwe słówko, i w trzecim tygodniu Hancock i Webster zachodzili już do jego maszyny, aby napić się piwa i pogadać. Znał ich tylko z papierków lub jako twarze widywane od czasu do czasu w bazie. Wtedy sortował dla nich nagrody, wypisywał na maszynie pochwały za dzielność. Ich zwykłość go zaskoczyła — może spodziewał się jakichś gwałtowników — i ciągle wypatrywał oznak szaleńczego heroizmu w ich oczach i gestach.

Tylko że jak można było powiedzieć coś o kimkolwiek? Z zewnątrz każdy lot wyglądał tak samo — karabinowi i dowódcy załóg zapinali rzemienie spadochronów, śmigłowce startowały i odpływały w dal. Nawet strzelcy wyglądali na znudzonych stojąc w kolejce po posiłek i czekając na wyznaczone tego dnia zadanie. Słagel musiał wyglądać tak samo tamtego dnia, kiedy wytlukł drużynę Wietnamczyków z Północy. A on sam, jeżeli o to idzie? Kto wie, jak zareaguje, jeżeli natrafią na gniazdo Wiet-kongu? To było teraz nieważne. Ważne, że Hancock i Webster go zaakceptowali, że najwyraźniej go polubili, choć jeszcze nie zetknął się z nieprzyjacielem.

W trzecim tygodniu uświadomił sobie, że jego system broni jest jednym z paru, które działają doskonale prawie za każdym razem. Jeżeli miał jakąś usterkę, usuwał ją między lotami. Co dzień czyścił co najmniej dwa ze swoich sześciu karabinów maszynowych. Inni karabinowi nie naprawiali usterek całymi dniami, a niektórzy czyścili swoją broń tylko raz w tygodniu, nawet gdy zacinała się od nadmiaru brudu i osadów. Widział, że pracuje pilniej niż inni karabinowi, a już na pewno pilniej niż trzej starzy zawodowcy niskiego stopnia, którzy trawili czas na popijaniu kawy i narzekaniu. Trzej najmłodszy karabinowi podlizywali się Hartowi, gdy nie latali, a Hancock i Webster spędzali

290

folne godziny na grze w oko i tfykafka i planowaniu /ypadów do Miasta Grzechu na popijawy i dupczenie. Mo-e i nie znalazł się jeszcze oko w oko z Wietkongiem, ale irzynajmniej będzie gotowy, kiedy wreszcie do tego doj-Lzie.

Z Orville'em nieomal się nie stykał. Z początku prawie ego nie zauważył — Chambers zwykle latał z załogą, któ-•a zastępowała załogę Morgana, toteż rzadko bywali razem la lądowisku, a znowu nocą Morgan pracował przy swoich Łaemach, podczas gdy Chambers spał. Jednakże w trze-:im tygodniu napięcie w ich rozmowach stało się widoczne I jeśli Morgan gawędził z Websterem i

Hancockiem, Chambers milknął, a potem się wymykał. W ostatnie dwa wieczory Morgan napomknął mu, że czuje w jego oddechu marihuanę, ale Orville skwitował to wzruszeniem ramion poszedł spać do swojej maszyny.

Ta niechęć mogła minąć. Morgan rozumiał, że nie powi-iien nagabywać Orville'a, kiedy jest w takim nastroju, wiedział, że to ostatnia osoba, która chciałaby wysłuchiwać relacji o postępach w strzelaniu. Morganowi brakowało bliskości z przyjacielem, ale teraz wszystko wyglądało inaczej. Fakt, że we czterech zgłosili się na ochotnika, nie miał dzisiaj znaczenia. Morgan zaczynał od punktu, od którego trzej pozostali zaczęli osiem miesięcy temu, i myśl o własnej śmierci czy okaleczeniu rzadko mu przychodziła do głowy. Orville musiał to widzieć inaczej, zapewne borykał się, żeby w ogóle przetrzymać.

Jednakże Morgan nie mógł w tej chwili znieść tej ponurości, nie miał ochoty tego obgadać. Wystarczyła mu powaga, z jaką podchodził do swego zadania, i chętnie słuchał beztrudnej gadaniny Hancocka i Webstera, jedyne odprężenie, jakie mieli żołnierze poza piciem. W końcu właśnie to czyniło służbę wojskową czymś znośnym, pozwalało śmiać się aż do chwili zwolnienia. Kierowca taksówki w Fort Dix powiedział jemu, Tomowi i LaMon-towi któreś niedzieli, kiedy udało im się wymknąć bez przepustki: „Wiecie, co robiłem, jak byłem młodym żołnierzem? W życiu każdego młodziaka przychodzi taka

291

chwila, kiedy musi plunąć na wszelką rozważę i pieprzyć wszystko." Może wtedy żaden z nich w to nie wierzył, bo mieli swoje osobiste powody czy zobowiązania, żeby być tam, gdzie byli, ale musiało się przyjąć taką postawę, choćby dlatego żeby przetrzymać.

Po obiedzie wrócił do śmigłowca i zasiadł w drzwiach popijając kawę, a Barry drzemał na siedzeniu. Morgan wyjął swój kieszonkowy kalendarzyk i zaczął liczyć dni wstecz od 24 listopada. Rozpoczynał: swój czwarty tydzień w polu, a za dziewięćdziesiąt trzy dni będzie w drodze do domu. To powinno wystarczyć. Po wypełnionych pierwszych trzech tygodniach czuł się tak, jakby latał od roku, a monotonne miesiące w S-1 wydawały się zaledwie paroma dniami.

Z namiotu operacyjnego wyszli Sloane i Woolsey z dwoma pilotami. Morgan pociągnął Barry'ego za nogę.

— Chodź, stary. Lecimy.

Pracował tak szybko i bez trudu, że swój karabin miał już zawieszony, kiedy nabrali wysokości. Polecieli na południowy wschód, do dużej doliny, innej niż wszystkie, które widział dotychczas. Kilku Wietnamczyków przykucnęło na olbrzymim polu ryżowym na jej dnie. W zakątku, gdzie teren wznosił się między splątana soczycie zieloną dżunglą, gnieździła się wioska złożona z jakichś piętnastu chat. Za wioską zbiegał ze zbocza pas nie uprawionej ziemi, porośnięty wysokimi palmami. O jakieś ćwierć mili dalej, na niskim wzgórzu, znajdował się obóz armii południowowietnamskiej obwiedziony drutem kolczastym. Kręciło się w nim około stu żołnierzy. Przelecieli nad gajem palmowym, minęli wioskę i podążyli ku drugiej stronie doliny. Morgan zdjął dłoń z karabinu i skrzyżował na nim ręce przyciskając go do uda.

— Cztery-jeden! Cztery-jeden! Tu Cztery-dwa. Przed chwilą ostrzelali nas snajperzy z tego gaju bananowego. Nikt nie trafiony.

— Zrozumiałem, Cztery-dwa. Jesteście pewni, skąd strzelano? — Głos kapitana Sloane'a był spokojny, nie zmieniony.

292

— Widziałem smugowe, Cztery-jeden. Chcecie, żebym naczył to miejsce dymem?

— Tak, Cztery-dwa. Podam dane przez radio do bazy. Morgana przeszyło podniecenie, wyprostował się, we-nął kolbę pod pachę, odbezpieczył broń i upewnił się, że a pod dostatkiem amunicji na podłodze. Spomiędzy zie-nych palm wzbil się kłęb żółtego dymu. Morgan nie wi-riał ani snajperów, ani bananów.

— Cztery-dwa, tu Cztery-jeden. Dym na celu?

— Tak jest. Możemy strzelać?

— Możecie. Wy zaczynajcie. My po was.

Morgan nie zwracał uwagi na pociski smugowe z innych tnięłowców. Ktoś naprawdę był tam w dole i strzelał do ich! Nagle wszystko stało się jasne, kiedy wychylił się a wiatr i wpatrzył w gaj bananowy. Nad palmami wi-iało cienkie pasmo żółtego dymu, w które wzbijał się bia-y kłąb z fosforowej rakiety. Druga maszyna skrećiła w swo i wtedy nacisnął spust, jeszcze zanim odezwały się »oczne karabiny. Widocznie myślał za szybko, bo wydawa-o mu się, że broń bije zbyt powoli. Strzelał systematyczne w każde drzewo, ale nie widział nikogo. Kiedy skrećili w lewo, przesunął karabin maszynowy w prawo i strze-ał pod bocznymi kaemami, dopóki wspornik nie zasłonił mu widoku.

Obrócił się do wnętrza śmigłowca, przerzucił nową taśmę przez udo i ułożył ją na podłodze. Zawiesił na uchwycie broni jeden granat odłamkowy i jeden fosforowy i zaparł się lewą stopą o obramowanie drzwi, kiedy wyrównywali do następnego nalotu> Znowu strzelając w każde drzewo wychylił się, najdalej jak mógł, pragnąc dojrzeć snajpera, pragnąc, żeby snajper zobaczył go twarz w twarz. Na trzydzieści jardów przed gajem odczepił granat fosforowy i wyrzucił go przez drzwi, a zaraz po nim odłamkowy. Obrócił się w sam czas, aby zobaczyć szare i białe wybuchy, a w sekundę później dosłyszał przez kask lotniczy dwa stłumione huki. Podniósł karabin i spróbował strzelać nad wspornikiem, ale kąt odchylenia spr-

293

wił, że broń się zacięła. Obrócił się, zarepetował i oparł o ściankę ogniową, aby odsapnąć.

Nalecieli jeszcze dwa razy, ciągle nie widząc nikogo i nie ściągając na siebie ognia, po czym ruszyli z powrotem do bazy. Zastanawiał się, czy naprawdę był tam snajper. Tamten pilot mówił, że widział pociski smugowe. Siedział tu już od jakiegoś czasu, więc powinien się na tym znać.

W punkcie amunicyjnym przydzwigał rozradowany naboje i rakiety do maszyny i zdążył jeszcze pomóc Bar-ry'emu uzupełnić paliwo. Był dzisiaj w niebezpieczeństwie, a nie bał się. Nie mógł się doczekać, żeby wrócić na lądowisko i opowiedzieć Hancockowi i Websterowi.

Kiedy wyłączono silnik, a Woolsey i Sloane odeszli do operacyjnego, Morgan podszedł do drugiej maszyny.

— No i co o tym myślisz, Crockett?

Karabinowy wrzucił do hełmu garść wystrzelanych łusek.

— Myślę, że wywaliliśmy cholernie dużo amunicji. — Crockett był starym zawodowcem, który przesłużył osiemnaście lat, a miał ten sam stopień co Morgan. — Nie cierpię ładować tego draństwa.

— Pierwszy raz do mnie strzelali.

— Ale nie ostatni. Zresztą to nie było nic wielkiego. Pewnie jakiś chłopak, który strzelał z trzydziestki.

— Widziałeś coś tam w dole? Bo ja nic.

— Nawet nie patrzałem.

— A skąd wiedziałeś, gdzie strzelać?

— Waliłem w ten obóz południowych Wietnamczyków za wzgórzem. Skubańcy powinni byli poszukać tego snajpera.

— Strzelałeś w obóz?

— Przecież ci mówię. — Crockett podniósł wzrok i wzruszył ramionami. Drobne, sine żyłki na nosie, skutek przepicia, łyskały jak światełka, a jego śmiech przerodził się we flegmisty kaszel. — Masz coś przeciwko temu, Morgan?

— Chyba nie. — Popatrzał ıla Crocketta, hamując śmiech. — Muszę iść załadować.

294

Chambers ocknąwszy się siadł raptownie, potrząsnął głową i spojrzął na świecąca tarczę swego zegarka. Było trochę po północy. Położył się na powrót i zamknął oczy wie-iząc, że to nic nie da. Zazwyczaj budził się dopiero o trze-iej czy czwartej. McCutcheon spał na siedzeniu nad nim, Dddychając ciężko, jak pies, któremu śni się gonitwa. Dhambers wylazł ze śpiwora, przekreślił się na chłodnej metalowej podłodze i wywiesił nogi w ciemność. Włożył świeże drelichy, skarpetki i buty. Kiedy szedł do przyczepy z wodą, aby napełnić sobie manierkę, rzadki obłok przesunął się przez księżyc. W plutonie ogniowym nikt jeszcze nie wstał. Z namiotu kantyny dochodziły przytłumione głosy i śmiechy. Nic niezwykłego. Kucharze zawsze popijali o tej porze.

Wróciwszy do maszyny usiadł na płozie i zapalił skręta. O kilkadziesiąt kroków przed nim wartownik przystanął na chwilę, zerknął w jego kierunku i podjął na nowo swój powolny obchód wzdłuż zwojów drutu kolczastego. Silne światło księżyca przyćmiewało blask wszystkich gwiazd, prócz najjaśniejszych. Przyjemna jest taka pogodna noc. Nie cierpiał siedzieć na dworze w poncho, kiedy padało. Latem w Minnesocie, po śmierci Rogera, sypiał sam w namiocie na podwórku. Kiedy u rodziców zgasło światło, wędrował całymi milami po chłodnych bocznych drogach, na których za dnia było zawsze tyle kurzu. Najbardziej je lubił podczas pełni księżyca, bo wtedy wszystko stawało się jakieś niesamowite, a noc wydawała się o wiele spokojniejsza, niż kiedy świeciły gwiazdy. Krowy leżały lub stały cicho, gęsi gęgały, dopiero kiedy podszedł za blisko, a czasem gdzieś w oddali wył pies. Chambers zastanowił się, jak daleko zaszedłby teraz, gdyby przepelznął pod drutami i powędrował przed siebie.

Dokończył skręta i zapalił cygaro. To samo uczucie co po obudzeniu. Narkotyk nie podziała. Przybycie Morgana do linii dostatecznie wkurzyło Chambersa, ale dzisiaj już było tego za wiele. Morgan podniecony tym, że Crockett

295

strzelał do Wietnamczyków z Południa. „Wreszcie zdałem sobie sprawę, co to jest wojna, Orville” — powiedział. Morgan naprawdę polubił Crocketta, starego, zmarnowanego, zapieprzonego Crocketta. Osiemnaście lat służby i już kapral.

Chambers nie musiał słuchać bredzenia Morgana. Nie musiał go widywać ani nawet o nim myśleć. Nie miał w ogóle ochoty widywać kogokolwiek i gadać o jakichś głupich wojskowych bzdetach. Spokój. Mogli dać człowiekowi zaledwie trzy czy cztery godziny spokoju. A potem łup! Niech to szlag trafi. Myślał, że udręka się skończyła, kiedy Robinson odjechał. Cieszył się na spokojniejsze popołudnia, na rozmowy z Websterem, a nawet wysłuchiwanie niedorzecznych opowieści Hancocka o wódzie przemycaanej w Zachodniej Wirginii. Czuł się niezłe przez trzy godziny, a potem głupia, obrzmiała, zapijaczona gęba Morgana znowu musiała się przed nim zjawić.

Do diabła z tym całym cholerstwem. Przez jakiś czas myślał, że może warto się starać, ale jaki to w gruncie rzeczy ma sens być kumplami i opowiadać sobie kawały? Unikał tego dawniej, więc mógł i teraz. McCutcheon jest zanadto zwariowany, żeby się z kimś zbliżyć, toteż jego ma z głowy. A teraz, odkąd on sam i Todd byli od sześciu miesięcy w innych plutonach, nie rozmawiali ze sobą tak wiele. No to co? Todd pewno niedługo zginie. A Padgett już nie żyje, Slagel jest ledwie żywy, z Morgana zrobił się pijaczyna, więc po co się z kimś zbliżać, a potem martwić, że się go straciło? Chambers był zaskoczony łatwością, z jaką potrafił się wycofać. Prawie całkiem naturalnie. Od trzech tygodni nie zajrzał do żadnej z książek o architekturze i pewnie mógł obejść się także bez tego. Już tak bywało przed wojskiem. Może w S-1 nastąpi jakaś katastrofa i odwołają Morgana z powrotem na kancelistę?

Wypalił jeszcze jednego skręta, ale to też nie pomogło. Nie może odgrodzić się od Morgana. Próbował z LaMon-tem, ale nic z tego nie wyszło. Coś go przynaglało, żeby się rozluźnić, lecz potem już było za późno, bo LaMont nie żył. Nie mógł dopuścić, żeby to powtórzyło się z Morga-

296

sm. Możliwość, żeby karabinowy został zabity, jest dość ikła, ale zawsze mogą posłać człowieka na jakieś zwario-rane zadanie albo może przydarzyć się awaria czy też rypadek, tak jak temu karabinowemu z kompanii B, któ-2mu całą twarz rozszarpało na kawałki. Albo można obe-wać pociskiem z mózdzierza, zostać zastrzelonym przez ijanego czy umrzeć we śnie. Wszystkie te

rzeczy zdarza się w batalionie, ale nie zdarzą się jemu. Chyba spró-iuje pomówić z Morganem. Inaczej nie będzie miał spo-
:oju.

Następnego dnia poszedł z Morganem na obiad i zapro->onował, że może by wieczorem napili się piwa, lecz po Łolacji był taki zmęczony, że ledwie się ruszał. Kiedy wracał z nim do śmigłowca, myślał, że się przewróci.

— Przykro mi, Will, ale muszę iść spać. Jestem naprawię skonany. Może pogadamy sobie jutro wieczorem.

Morganowi twarz się wydłużyła.

— Jasne, stary, wiem, jak to jest. Zresztą muszę oczyścić karabiny.

Chambers obudził się o drugiej nad ranem, oddychając ciężko. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek ogarnął go tak paniczny nastrój Usiadł na płozie, palił „trawę” i martwił się, że Morgan machnie na niego ręką. Czy nie było już tak z innymi gośćmi z plutonu? Próbowali wciągnąć go do swej grupy, ale kiedy przez jakiś czas trzymał się na uboczu, dali za wygraną. Żaden się nie wkurzył, ale więcej nie próbowali włączyć go do swego grona. Nie chciał zostać włączony, więc o to się nie martwił. Pragnął jedynie spać przez następne trzy miesiące, a potem wrócić do domu. Dotąd ten czas nie wydawał się tak bardzo długi, lecz teraz rozciągał się przed nim jak całe lata.

Przez następne dwa dni wciąż próbował z Morganem, ale ilekroć byli już bliscy porozmawiania o czymś poważnym, wycofywał się i znajdował sobie coś innego do roboty. A Morgan najwyraźniej coraz mniej o to dbał. Zaprzyjaźnił się z Websterem i Hancockiem i kiedy Orville

297

zaczął odsuwać się od niego, Morgan go nie zatrzymywał.

Kiedy nazajutrz wrócił z lotu, czekał na list od ojca, pierwszy odkąd przyjechał do Wietnamu. Matka pisywała raz na tydzień, natomiast jedyną wiadomość od ojca stanowił drętwy dopisek u dołu jej gwiazdkowej kartki. O co mu teraz chodziło? Może był kontent, że syn nareszcie pójdzie do college'u.

Pierwszy wypadł z koperty list z departamentu wojsk lądowych. Chambers trzasnął się dłonią w czoło. Te pierdoły napisały do jego rodziny w końcu maja, że został ranny. O wszystkich trzech razach. Matka nigdy o tym nie wspomniała.

Ojciec siedział nad tym dwa miesiące. Siedział i rozmyślał, aż w końcu wybuchnął jak wariat, którym faktycznie był. Chambers widział tego przysadzystego, krępego człowieka, jak wścieka się i zżyma w gabinecie wypisując całe swoje oburzenie i żal. Jak Orville mógł zrobić coś podobnego? Jak mógł iść na wojnę, zabijać ludzi i ryzykować, że sam zostanie zabity? Czy rodzice nie przeszli już dosyć, straciwszy dwóch synów i mając tyle kłopotu z trzecim? Czy na nic sobie nie zasłużyli za swoje cierpienia? Jeżeli już musiał być na wojnie, to mógł się postarać o jakieś bezpieczne zajęcie. Przynajmniej przez wzgląd na matkę.

Skończył czytać list, wyjął blok papieru z worka odzieżowego i odpisał. Usprawiedliwiał się, że nie był w walce od czasu trzeciej rany, a teraz pracuje z paroma kolegami w kasynie. Wieczory spędza na wkuwaniu różnych przedmiotów do college'u. Nie mają już powodu martwić się o niego. Zalepił i zaadresował kopertę, napisał „wolne od opłaty” w górnym prawym rogu na miejscu znaczka, zaniósł list do namiotu starszego sierżanta i wrzucił do pojemnika na amunicję, który służył jako skrzynka pocztowa. Uderzyło go to, dopiero kiedy wracał do śmigłowca. Dlaczego do cholery jest na wojnie i walczy? Dlaczego nie pracuje w kasynie i nie ma paru przyjaciół? I dlaczego rzucił czytanie?

298

!

Morgan siedział sam jeden w drzwiach swojej maszyny, i stóp miał wiadro z Lanzyną lotniczą i czyścił drucianą szczotką komorę gazową lufy karabinu maszynowego. Chambers usiadł na trawie.

— Utrzymujesz je w czystości

— Cześć, Orville. Już minęła pora, kiedy idziesz spać, nie?

— Pomyślałem sobie, że dzisiaj trochę dłużej posiedzę.

A co u ciebie?

— Ano, czyszczę te lufy. Ty często to robisz?

— W środku nigdy. Pierwsze kilka naboí wyrzuca brud. Komorę gazową co parę tygodni. Morgan wydobyl z wiadra błyszczący tłok gazowy i zaczął trzeć go szczoteczką do zębów.

— Ten osad to draństwo.

— Przecież jest całkiem czysty. Mój nigdy tak nie wygląda.

— Pewnie to nie ma większego znaczenia.

— Loty były ostatnio dość nudne, nie?

— Jestem zadowolony, że miałem czas się nauczyć. Myślę, że teraz nieźle dałbym sobie radę, gdybyśmy się w coś wkleili.

Morgan wsunął tłok do komory i założył nakrętkę na tylnym końcu. Zamontował końcówkę komory do przedniego końca i przewłócił drut zabezpieczający przez dwa otwory w obu częściach.

— Teraz na pewno wolałbym nie wpaść — rzekł Chambers.

— A to dlaczego? — Morgan nie spojrział nań, tylko skrecił podwójnie drut małymi szczypcami.

— Wojsko napisało do domu, że byłem ranny. Przyszedł list od ojca, który się wściekł. Czy oni nie powinni uzgadniać z człowiekiem, zanim napiszą? A co by było, gdyby ktoś z rodziny chorował na serce?

— Nie wiem. Pamiętam coś takiego z S-1, ale nie wiem, jak to załatwili. Przynajmniej nikt ci nie każe harować, tak jak mój stary.

299

— Może to byłoby łatwiejsze. Jestem wstrząśnięty tym listem.

— No, gotowe. — Morgan podniósł lufę podziwiając starannie skrecony drut zabezpieczający. — Nieźle wygląda, co, Orville?

— Nie najgorzej. — Chambers próbował przemóc nagłe znużenie.

Morgan wstał, włożył lufę za skrzynki amunicyjne i wylał benzynę na ziemię. Zapelniał wiadro do połowy szmatami, szczotkami i przyborami i wstawił je do ładowni bagażowej.

— Ta lotnicza benzyna fajnie pachnie.

— W porządku. — Morgan zasiadł w drzwiach śmigłowca. — Przykro mi, że twój stary tak się zeźlił na ciebie. O co mu idzie?

— Chyba o to, że tutaj jestem.

— Myślałem, żeś to z nim załatwił.

— Napisał mu Wuj Sam. Ja ich zapewniałem, że nic mi nie grozi.

— Dziwni są ci rodzice. Mój stary jest teraz naprawdę zachwycony, że się biję.

Ojciec Morgana opowiadał im wojenne historie przy śniadaniu tamtego rana, kiedy odjeżdżali z Kalifornii do Wietnamu. Opowiedział nawet kilka sprośnych, kiedy matka i siostra Morgana wyszły do toalety.

— Zdaje się, że mój ojciec woli nie mieć już więcej martwych synów.

— A ja mam wrażenie, że mój prawie by się ucieszył. Dałoby mu to pretekst do bicia demonstrantów. Oni go naprawdę wkurzają.

— Dosyć był zadzierzysty. Morgan prychnął z niechęcią.

— Twój stary ma trochę racji, Orville. Powinieneś się stąd wynieść, jeżeli to tak daje popalić tobie i jemu.

— Napisałem mu, że pracuję w kasynie.

— Nie o to mi idzie. Dlaczego się nie wyniesiesz stąd, kropka? Nie lubisz tego, niespecjalnie lubisz chłopaków,

300

i doświadczenie ci niepotrzebne. Czemu nie pójdziesz pracować w kasynie? Ja bym tak zrobił.

— Pewnie.

— Nie zrobię tego, ale zrobiłbym na twoim miejscu. Poważnie, dlaczego nie rzucisz latania?

— Odesłaliby mnie do piechoty.

— Gówno prawda! Wsadziliby cię do kasyna albo daliby ci jakąś robotę w bazie. Założę się, że

mógłbym namówić sierżanta Wallace'a, żeby cię wziął na kierowcę. — Mor-*an przymrużył oczy i strząsnął popiół z papierosa. Prze-Dywanie na froncie naprawdę zrobiło mu dobrze. Już nie wyglądał na tak przepitego, a myślał szybko i bystro.

— Z tego, co mówisz, chyba nie podobałoby mi się w S-1.

— Kierowca ma to gdzieś. Wallace i DeWolf to palanty. Chcesz, żebym do niego napisał?

— Czy ja wiem. — Odejście jakoś nie wydawało się takie dobre.

— To zależy od ciebie, ale, jak powiedziałem, nie widzę powodu, żebyś tu sterczał. A może to ci się podoba?

— Niezupełnie.

— No więc? — Morgan zaczynał się irytować. Wzruszył ramionami. — Słuchaj, przyjechałeś tu tylko dlatego, żebyśmy wszyscy czterej mogli być razem. No i Padgetta i Slagela już nie ma, a ty i ja nie byliśmy ostatnio najbliżej ze sobą.

— Przykro mi z tego powodu. Próbowałem to zmienić, ale nie chcę znów kogoś stracić.

— Więc czemu nie odejdziesz, żeby tego nie widzieć? — zapytał Morgan. — Takie wegetowanie nie wyjdzie ci na dobre. Rany boskie, stary, tu nie twoje miejsce. Masz co robić na świecie. Tych gości tutaj gównu to obchodzi.

— Nawet ciebie?

— W tej chwili robię to, czego chciałem.

Nie przychodziło mu nic do głowy. Chwilę patrzyli na siebie, po czym Morgan opuścił wzrok.

— Dlaczego tak trudno ci odejść? — zapytał.

— Nie wiem.

301

— Bzdury.

— Może ze względu na mojego brata.

Morgan popatrzał na niego i znowu spuścił oczy.

— To znaczy, że gdybyś odszedł, gryzłoby cię, bo on tego nie zrobił?

— Może. Zastanawiałem się. I jakoś mi głupio, kiedy pomyślę, co się z nim stało. Nie uważasz, że człowiek musi czasem robić coś, na co nie ma ochoty, bo tego się po nim spodziewają?

— Masz na myśli kraj?

— Aha.

— Pieprzyć kraj. Kraj jest ostatnią fzczą, na której mi zależy. Poważnie mówisz, że to cię martwi?

— Chyba tak. Dotychczas nigdy naprawdę o tym nie myślałem.

— O rany!

— Daj spokój, Will. To się niczym nie różni od twojego nurzania się twarzą w gównie świata, bo ci strzeliło do głowy, że musisz wszystkiego doświadczyć. Pamiętaj, że ja nigdy nie chodziłem do college'u i nie nabrałem przekonania, że kraj jest zaszpany.

— Ale masz rozum.

— Tak jak reszta tych chłopców. Zapytaj ich, co myślą. Morgan odwrócił głowę i zaciął usta.

— Może masz i rację. Ale jednak teraz powinieneś lepiej się orientować.

— Trudno jest przewyciężyć różne takie uczucia. Może i ty powinieneś teraz lepiej się orientować.

Przegadali dwie godziny, dopóki Barry nie wrócił z zaopatrzenia. Wtedy Chambers poszedł do swojej maszyny i- przez następną godzinę czytał książkę o architekturze, zanim wlaź do spiwora. Nie czuł się taki ożywiony od okresu poprzedzającego zranienie Slagela. Potem powoli osuwał się w dół, a dobiła go śmierć LaMonta, w końcu zaś zjawienie się Morgana na froncie. Dziś Morgan był tamtym Morganem z dawnych czasów w Fuldzie. Byстрыm, czujnym, pełnym zainteresowania. Sprawił, że Chambers zastanowił się nad sobą, tak jak nigdy przedtem.

302

Czyżby naprawdę był patriotą? Po przeszło dwóch latach w wojsku? Żadną miarą. Rozmyślał o pogrzebie Eddie'ego, bez jego zwłok, ale za to z orkiestrą, flagami i Zaszczynym Krzyżem Lotniczym. Eddie musiał zrobić coś specjalnego, żeby na to zasłużyć. Pogrzeb był najbar-iziej przejmującą rzeczą, w jakiej Orville brał udział. Zmieniło się to dopiero na końcu, gdy wygłoszono

mowy, irębacz odegrał capstrzyk, a matka płakała, podczas gdy Dyciec stał z kamienną twarzą jak zawsze.

On sam nie robił w wojsku niczego specjalnego. Zaciągnął się po to, żeby go tamten nie zastrzelił, a nie żeby i dumą służyć ojczyźnie. Natomiast odejście to inna sprawa. Kiedy odszedł ze strzelców, kapitan Webber zaproponował mu pracę w bazie. Ale on nie mógł jej przyjąć, ryłko wzruszył ramionami i wziął funkcję karabinowego, tfawet teraz odejście byłoby dlań zbyt przykre, chociaż aie wiedział dlaczego.

Tydzień po rozmowie z Morganem przebiegł gładko. Tylko sporadyczny deszcz, żadnej styczności z nieprzyjacielem, i Chambers jakoś zdołał wysliznąć się ze swojej skorupy. Bawiło go gadanie z innymi karabinowymi. Przestał palić marihuanę, ale przechowywał w worku odzieżowym paczkę skrętów na czarną godzinę.

Wydymuchał dym cygara delektując się wonią, kiedy mu zwiało go w twarz. Zastępowali inny zespół ogniowy, lecąc jako osłona strzelców nad małym łańcuchem górskim na wschód od bazy polowej. Popołudniowe niebo było bla-dobłękitne, a powiew rozgrzewał i koił ciało Chambersa.

— Cztery-pięć, tu Red, odbiór — odezwał się Sanders.

— Słyszę was, Red.

— Cztery-pięć, rozpoznamy północny kraniec doliny. Skierujcie Blue do tych chat. Są teraz tylko o sto jardów od nich.

— Tak jest, Red.

Helikopter skręcił powoli w lewo, ześliznął się nad dolinę, a potem skręcił w prawo i ruszył naprzód ponad jej

303

dnem, Chambers wyrzucił przez drzwi ogarek cygara i patrzył, jak przemknął koło belki ogonowej. Drugi śmigłowiec wleciał nad zbocze, a obracające się łopaty wirników błyszcząły w słońcu niczym ogniste koło.

Odwracając się do przodu spostrzegł, że na skraju drzew poruszyło się coś ciemnego. Spojrzał w momencie, kiedy dwie czarno ubrane postacie dały nura w kępę krzaków, a słońce błysnęło na lufach ich karabinów.

Obrócił się i opuścił broń na swoją pancerną kamizelkę. Nie musiał o tym mówić. Tylko że tak nie można. Ludzie Wietkongu szykowali się do zasadki na piechotę albo do zestrzelenia śmigłowca bojowego. Mogli dołączyć do innego plutonu czy kompanii. Nacisnął czarny guzik na przewodzie.

— Widziałem tam w krzakach dwóch z Wietkongu. Jabłko adamowe Sandersa poruszyło się szybko w górę

i w dół.

— Jesteś pewny, Chambers?

— Zupełnie. I mają broń.

Krzaki były o parę metrów od linii drzew i Eastman wykonał nad nimi ósemkę, żeby każdy zobaczył tę czarną plamę pod zielenią.

— Red, tu Cztery-pięć — zagadało radio. — Co tam się dzieje?

— Cztery-pięć, tu Red. Dwóch Wietkongów w krzakach. Dajcie znać Blue i powiedzcie, żeby uważali na te chałupy. Tymi się zajmie mój karabinowy.

Chambersa coś targnęło w żołądku, nacisnął guzik mikrofonu, potem go puścił. Nie mógł im powiedzieć, że nie chce tego robić. Ale dlaczego nie dać ich zabić McCutche-onowi? Przecież to lubi.

Nadlecieli ponownie mając krzaki po prawej stronie maszyny, ażeby Sanders mógł je widzieć.

McCutcheon miał karabin wycelowany przez drzwi i Chambers zapragnął, żeby otworzył ogień.

Nie zrobił tego.

Eastman przechylił maszynę w prawo i przez chwilę zdawało się, że stanęła w miejscu. Chambers wywiesił się

604

>rzez drzwi obserwując krzaki. Śmigłowiec zawrócił i za-:zał powoli schodzić w dół.

— Okej, Chambers — powiedział Sanders. — Rozwal ch.

Patrzył na Sandersa nie mogąc oderwać oczu od jego >rodawki. Włoski na niej musiały być sztywne jak u świ-ti. Sanders obrócił się i łypnął na niego.

— No, Chambers? Co z tobą?

Ślina nieomal przylepiła wargi Chambersa do mikrofo-iu. Nacisnął guzik.

— Na chwilę straciłem z oczu te krzaki. Nadlećmy jesz-:ze raz.

— Okej, weź tych drani na muszkę i zabij ich, zanim coś ię przydarzy Blue.

— Rozkaz.

Maszyna zakręciła i wtedy wypuścił w krzaki równy strumień pocisków. Nie mógł pozwolić, żeby tamci z Blue wpadli, bo w Blue był Todd i on sam służył kiedyś w Blue, i już zginęło za wielu ludzi z Blue. Przelecieli nad krzakami, a on stał i strzelał prosto w dół. Coś czarnego zakotłowało się pod zielonymi liśćmi. Z zarośli wypadł człowiek, jak Moś wynurzający się z dna jeziora. Miał jedno oko, zerknął w górę na śmigłowiec, druga połowa jego twarzy była cała szkarłatna. Usta miał szeroko otwarte, ale nie było nic słycać poza terkotem łopat wirnika i nieprzerwanym warczeniem karabinu maszynowego. Chambers przestał strzelać, a tamten runął na wznak i utonął w zieleni.

— Dobry strzał, Chambers — powiedział Sanders.

— Nie ma dwóch zdań, żeś mu nadymił — dodał Eastman.

Chambers obrócił się czując, że ktoś pociąga go za ramię spadochronu. McCutcheon tryumfalnie wydał wargi i unióś kciuk wyciągnąwszy sztywno rękę.

Był zadowolony, że wylecą o zmierzchu tego wieczora, bo dzięki temu nie musiał iść na kolację, a kiedy wróci,

20 — Amerykańscy chłopcy

zrobi się ciemno, więc może karabinowi nie będą się już kręcili. Nie, jednak będą czekali.

Przynajmniej Morgan, Hancock i Webster. Żeby poklepać go po plecach i wysłuchać relacji. Udało mu się uniknąć ich po południu, bo musiał ładować i naprawiać jeden ze swoich karabinów maszynowych, ale wieczorem nie zostawią go w spokoju.

Przez pierwsze kilka minut po wylądowaniu myślał, że im się wymknął. Podczas lotu zaczęło padać i inne maszyny miały pozamykane drzwi, gdy jego opuszczała się na lądowisko. Może dziś wszyscy zostaną w śmigłowcach i pójda spać. Wyjął lufy z bocznych karabinów, wytarł je i nasmarował oliwą zimną stal. Przykrył swym poncho karabiny po jednej stronie, a na drugą parę nałożył nieprzemakalny worek. McCutcheon zamocował łopaty wirników i odszedł pomóc innemu dowódcy załogi przy okresowym przeglądzie. Niech pracuje na deszczu i męczy się do późnej nocy. Chambers poszedł dó kasyna po kawę, aby mieć czym popić fację polową, złożoną z orzechowego masła i krakersów. Wrócił do maszyny, zamknął drzwi i właśnie wziął się do jedzenia, kiedy usłyszał pukanie i śmiechy. Drzwi się otwały i oślepiła go latarka. Trzej ludzie wdrapali się do śmigłowca i światło padło na Morgana, Todda i Webstera, z których każdy trzymał nie otworzoną puszkę piwa.

— Wstydzilibyś się, do cholery, Chambers — powiedział Hancock.

Webster zapalił światła w kabinie, a Hancock wlaź do środka i z trzaskiem postawił czwartą puszkę na podłodze.

— Przynieśliśmy ci cztery piwka — powiedział. Jego py-zata twarz lśniła od deszczu, a brzuch obciążony białym podkoszulkiem wystawał spod rozpiętej kurtki drelichowej. — Starszy sierżant powiada, że dostajesz dwa ekstra za uziemienie tamtych typów. Miałeś pietra?

— Aha. Wypijcie to piwo, chłopaki. Ja nie mam ochoty. — Rozległy się pyknięcia otwieranych puszek i mamrotane podziękowania. Dobrze, że przyszli. Już był go-

306

tów odgrodzić się od nich. — Z Blue wszystko było okej, co, Todd?

— Chyba tak, Orville, dzięki tobie. Jakby te żółtki przy-falowały, dałyby nam nieźle w dupę.

— Wypijmy za zdrowie Chambersa — rzekł Webster podnosząc puszkę. — Za to, że dałeś żółtkom popalić i uratowałeś dupę Blue.

Wszyscy się weselili i pili. Może zrobił dzisiaj, cq należało. Nie będzie się więcej martwił. Jeżeli ma dalej latać, musi przyjmować wszystko, co się z tym wiąże.

— Co było w tych chatach, Todd? Byłem taki podheco-wany, że się nie dowiedziałem.

— Ryż i dokumenty. To nawet mogła być pułapka. W każdym razie, Orville, wszyscy z Blue ci dziękują.

Drzwi otworzyły się znowu i sierżant sztabowy Hart wetknął swoją rumianą twarz do środka. Wszyscy się roześmieli. Bez wąsów jego górna warga wydawała się szeroka na sześć cali.

— Nie bądźcie tacy chybcy do śmiechu — powiedział Hart. — Wszyscy lećcie jutro rano. Chambers, przyniosłem ci cztery piwa. Na mój koszt. — Hart wyciągnął puszki spod nieprzemakalnej kurtki.

— Dziękuję, sierżancie. Co się stało z wąsami?

— Nowy rozkaz pułkownika Snidera.

— Przecież wąsy to odznaka naszej jednostki — powiedział Morgan.

— Mogły nią być za Billingsa — odrzekł Hart. — Teraz to jest jednostka Snidera. Wszystkie te wiechcie łonowe mają być zgolone do ósmej zero zero.

Hart odszedł, a Todd, Hancock i Webster dopiwszy piwa, które przyniósł, też sobie poszli. Morgan siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, strząsając popiół do puszek.

— Chcesz iść spać, Orville?

— Jeszcze chwilę posiedzę.

— O rany, jestem prawie urżnięty. Pierwszy raz od miesiąca wypilem więcej niż dwa piwa. Czy zawsze dostaje się ekstra, jak się kogoś zabije?

307

— Nie wiem. Dopóki Sinder nie przyszedł, nie mieliśmy tego przepisu o dwu na wieczór. Zastanowił się, czy Morgana nie ogarnie szal zabijania, żeby dostawać więcej piwa.

— J-ak się czujesz po tym dzisiejszym? — ziewnął Morgan.

— Nie chciałem tego robić, ale nie miałem wyboru. Wolałbym, żeby wszyscy nie robili z tego takiej wielkiej historii. Nie ma powodu do oblewania. Już minęło i chciałbym o tym zapomnieć.

— Pewnie. Ciekawe, czy będę musiał kiedyś zrobić coś podobnego. To musi być niesamowite.

— Mam nadzieję, że nie.

Głowa Morgana kiwnęła się sennie i Chambers poczuł obrzydzenie do banalności ich rozmowy i zarazem zrozumienie dla młodzieńczego pragnienia Morgana, by wiedzieć. Jak ktoś mógł stać się taki? A potem przypomniał sobie, jak Morgan mówił, co dało mu czytanie, i jak opowiadał o swoim zawadiackim ojcu. Może to była częśćka tego, ale nie całość.

— Hej, Will, nie zasypiaj mi tutaj.

Głowa Morgana drgnęła; zdawał się wracać z bardzo daleka.

— Chyba się lepiej połóżę, Orville — powiedział. — Nie wytrzymuję całego tego piwa. Zgolisz wąsy?

— Pewnie tak. Nie warto się narażać. Zresztą nie są takie ładne.

— Masz rację. Cholera w bok. Nikt się tym nie przejmuje.

Morgan odszedł, a Chambers rozłożył śpiwór na podłodze. To chyba już szczyt. Wybierać sobie coś tak błahego jak wąsy, żeby robić o to smród.

20

Morgan stanął przed sięgającym podłogi lustrem, zastanawiając się, kim jest ten pacan. Skóra w miejscu, gdzie przedtem miał wąsy, była jeszcze wrażliwa, jaśniejsza od

308

opalonej twarzy i usiana maleńkimi punkcikami zaschniętej krwi. Ogorzałe, pokąsane przez komary przedramiona wystawały z rękawów nowej białej koszuli. Mankiety spodni opierały się na lśniących czarnych butach. Kiedy szedł do drzwi, zdawało mu się, że nie ma żadnego tarcia między gładkimi podeszwami a miękkim białym dywanem na podłodze hotelowego pokoju.

Wypoczynek i rekreacja. Kopulacja i intoksykacja. Właściwie zmarnował swoje pierwsze dwadzieścia cztery godziny, ale nadal nie odczuwał pośpiechu. Samolot wylądował poprzedniego popołudnia i autokary zabrały spoconych, rozwrzeszczanych żołnierzy do miasta, rozwożąc ich po hotelach. Morgan był zmęczony po wczorajszej popijawie w Nha Trang, zmęczony po

przedwczorajszym dniu, który spędził na picciu i chędożeniu w Mieście Grzechu. Rachunek hotelowy zapłacił z góry (tak jak tego wymagano od wszystkich żołnierzy), pochłonął ogromny posiłek w hotelowej restauracji, kupił odzież, którą sprzedawali w hallu po bezczelnych cenach przekupnie, i poszedł do swego pokoju. Tam przez pół godziny brał gorący prysznic, po czym wyciągnął się na miękkim łóżku z numerem „Newsweeka” i czytał, dopóki nie zasnął. Teraz, w południe, gdy zjeżdżał na dół windą, jego głównym zmartwieniem było, czy jeszcze dostanie śniadanie.

Usiłował jeść wolno, smakować /każdy kąsek, ale nie mógł się oprzeć i pożarł wszystko w niespełna dziesięć minut. Zamówił powtórnie to samo, tym razem hamując się i delektując świeżo wyciśniętym sokiem pomarańczowym, bekonem, jajkami sadzonymi na talerzu, grzankami, a nade wszystko lodowato zimnym mlekiem, pierwszym od dziewięciu miesięcy. Nasycony, zadowolony, popijał przez trzy kwadransy kawę, palił i przypatrywał się miniaturowym, ładniutkim Syjamkom uwijającym się po sali jadalnej.

Wyszedł z restauracji o drugiej, zajrzał do baru pełnego rozkrzyczanych, hałaśliwych żołnierzy i ruszył ku drzwiom

309

prowadzącym na ulicę. Chciał być sam i pospacerować po mieście.

Kiedy za drzwiami hotelu oblało go lepkie gorąco, zdał sobie sprawę, że nie wie, dokąd iść.

Zauważył nagle, jak lekkie są jego stopy w prawie nic nie ważących pantoflach. Nie było przed nim namiotów, ładowisk, sierzantów, których należało omijać. Nie wiedział, jak ma iść, i zastanowił się przez chwilę, czy nie powinien paść na kolana i czołgać się, by znowu coś poczuć.

Wędrując po mieście zrozumiał, że nie ma na nic ochoty. Mijane sklepy nasunęły mu myśl, że powinien by coś kupić — ubrania z Hongkongu, biżuterię, zegarki Seiko, kamery Pentax, magnetofony stereo. Powinien by opłacić kierowców taksówek papierosami Salem i w ten sposób tanio przejechać się po mieście. Mógł spiknąć się z innymi żołnierzami i podrywać babki w barze. Na chwilę Ogarnęła go niejasna desperacja, to porażające uczucie, którego zawsze doświadczał, kiedy znalazł się sam w dużym mieście, gdzie nie znał nikogo.

Minął bez wrażenia parę świątyń nie zadając sobie trudu, by zapamiętać ich nazwy. Nagłe monsunowe oberwanie chmury zapędziło go do baru, gdzie w niespełna piętnaście minut został obłupiorzy z dwudziestu dolarów przez chytrą mama-san oraz trzy młode dziewczyny, które piły zabarwioną wodę na jego koszt.

Zły na siebie wymaszerował na ulicę w chwili, gdy burza się kończyła. Przypomniawszy sobie swoją pierwszą trzydniową przepustkę w Fuldzie. Zniechęcony perspektywą spędzenia dwóch i pół roku w szarym katolickim mieście niemieckim, pojechał pociągiem do Frankfurtu z zamiarem udania się do Moguncji, aby spróbować uzyskać przeniesienie do tamtejszej jednostki powietrznodesantowej. Spodziewał się, że manewry polowe i stała aktywność fizyczna przynajmniej zapewnią mu jakieś zajęcie. Przybył do Frankfurtu w piątek przed południem i przez wiele godzin chodził po mieście, wstępując tu i ówdzie na piwo, zbyt przygnębiony, by zajść do którejś galerii malarstwa czy do uniwersytetu, zbyt przełknięty, aby poderwać so-

310

bie dziewczyną, zbyt zmęczony, by jechać dalej do Moguncji i gadać z jakimś tępym starszym sierzantem z oddziałów desantowych. Kiedy zrobiło się ciemno, wrócił pociągiem do Fuldy i spił się z Padgettem i Slagelem.

Teraz, spocony i zmęczony, wszedł do baru hotelowego, zasiadł wygodnie pod aparaturą klimatyzacyjną i zamówił dzin z tonikiem. Siedzący obok żołnierz spojrział na niego znad szklanki whisky i butelki piwa San Miguel.

— No i co tam? — spytał.

— Upał i deszcz — odrzekł Morgan.

— Wy z woja?

— Chyba tak. Z jakiego woja?

— W czym jesteście? Lotnictwo? Wojska lądowe? — Żołnierz spojrział na niego twardo.

— Łądowe.
— O kurczę! — Żołnierz obrócił się do drugiego, który siedział po jego prawej ręce. — Hej, Smitty, mamy tu chłopaczka z wojsk lądowych*
— Fajnie — powiedział Smitty nie podnosząc oczu znad whisky.
— To wojsko śmierdzi — rzekł pierwszy znów patrząc na Morgana.
Morgan popijał drinka zdając sobie sprawę, że może będzie musiał się bić.
— No tak — powiedział. — A wy z piechoty morskiej?
— Aha. Bo co?
— Macie dużo ciężiej niż my.
— Dobrześ powiedział. Gdzie stacjonujecie?
— Na podgórzu.
— Nie ma porównania z Con Thien. Tam dopiero jest cholernie.
— Wiem. My nie mamy źle.
— To nie w porządku, że traktują wojska lądowe lepiej niż nas. Wy macie wszystko.
— Tak jest. — Dokończył drinka i wstał do odejścia. Bójka na wypoczynku byłaby zbyt głupią rzeczą. — No, to do zobaczenia.
— Zaczekaj, człowieku. Wypij jeszcze jednego. Ja sta-

311

wiam. — Żołnierz powiedział to w taki sposób, iż Morgan czuł, że odmowa z pewnością pociągnie za sobą uderzenie pięścią w twarz.

— Dziękuję. — Usiadł z powrotem. — A co robicie? Żołnierz łyknął whisky po kowbojsku i popił piwem.

— Łączność. Służę w łączności. Ale nas często ostrze-liwują.

Morgan popatrzał poważnie na tego młodego człowieka, usiłując odgadnąć, czy naprawdę chciał służyć w piechocie, czy też się bał i tylko próbował twardej mowy?

— Każda robota w piechocie morskiej jest ciężka.

— Słusznie. A wy czym jesteście?

— Strzelcem pokładowym — bąknął Morgan, tak jakby to było nic.

— Warn jest łatwiej na tych Hueyach. My mamy tylko stare trzydziestki czwórki, które są gównie warte.

— Powinni wam dawać lepszy sprzęt. To wy najwięcej się bijecie. — Wstał znowu. — Muszę już iść.

— Czeka na ciebie jakaś ciepła piczka, co?

— Muszę wziąć prysznic i zdrzemnąć się trochę.

— Prysznic i drzemka? Tutaj jesteśmy na wypoczynku i rekreacji, baranie. Powinieneś chłać i chędożyć.

— Chyba tak. Dziękuję za drinka. — Zaczął odchodzić od stolika.

— Coś ty za jeden? Jakiś wojskowy pedał czy co? Morgan zawahał się chwilę, po czym szybko wyszedł

do hallu, a serce mu waliło, kiedy nieomal biegł do windy. Ostatnią rzeczą, jakiej chciał, była bójka. Wsiadł do windy i pojechał na górę, zastanawiając się, jaki będzie ten żołnierz, kiedy wróci do świata. Widział go taczają-cego się od baru do baru w swym rodzinnym miasteczku, opowiadającego wojenne historie i wdającego się w bijatyki. Niech to cholera! Wystarczyło pomyśleć o samym sobie, kiedy znowu się znajdzie na swojej ulicy.

O siódmej tego wieczora, kiedy już wziął prysznic, prze-drzemał się i wyprysznicował powtórnie, odnalazł kurwę, której imię podał mu Fisher jeszcze w maju. Nie pamiętała Fishera, ale po godzinie popijania zabarwionej wody

312

wiam. — Żołnierz powiedział to w taki sposób, iż Morgan czuł, że odmowa z pewnością pociągnie za sobą uderzenie pięścią w twarz.

— Dziękuję. — Usiadł z powrotem. — A co robicie? Żołnierz łyknął whisky po kowbojsku i popił piwem.

— Łączność. Służę w łączności. Ale nas często ostrze-liwiają.
Morgan popatrzał poważnie na tego młodego człowieka, usiłując odgadnąć, czy naprawdę chciał służyć w piechocie, czy też się bał i tylko próbował twardej mowy?
— Każda robota w piechocie morskiej jest ciężka.
— Słusznie. A wy czym jesteście?
— Strzelcem pokładowym — bąknął Morgan, tak jakby to było nic.
— Wam jest łatwiej na tych Hueyach. My mamy tylko stare trzydziestki czwórki, które są gównem warte.
— Powinni wam dawać lepszy sprzęt. To wy najczęściej się bijecie. — Wstał znowu. — Muszę już iść.
— Czeka na ciebie jakaś ciepła piczka, co?
— Muszę wziąć prysznic i zdrzemnąć się trochę.
— Prysznic i drzemka? Tutaj jesteśmy na wypoczynku i rekreacji, baranie. Powinieneś chlać i chędożyć.
— Chyba tak. Dziękuję za drinka. — Zaczął odchodzić od stolika.
— Coś ty za jeden? Jakiś wojskowy pedał czy co? Morgan zawahał się chwilę, po czym szybko wyszedł do hailu, a serce mu waliło, kiedy nieomal biegł do windy. Ostatnią rzeczą, jakiej chciał, była bójka. Wsiadł do windy i pojechał na górę, zastanawiając się, jaki będzie ten żołnierz, kiedy wróci do świata. Widział go taczają-cego się od baru do baru w swym rodzinnym miasteczku, opowiadającego wojenne historie i wdającego się w bijatyki. Niech to cholera! Wystarczyło pomyśleć o samym sobie, kiedy znowu się znajdzie na swojej ulicy. O siódmej tego wieczora, kiedy już wziął prysznic, prze-drzemał się i wyprysznicował powtórnie, odnalazł kurwę, której imię podał mu Fisher jeszcze w maju. Nie pamiętała Fishera, ale po godzinie popijania zabarwionej wody

312

zgodziła się spędzić z Morganem resztę nocy za dwadzieścia pięć dolarów.
— Zostanę następne cztery noce za osiemdziesiąt — powiedziała, gdy wychodzili z baru.
— Zobaczmy. — Położył dłoń na jej pośladku. Niewiele większy od dużego grejfruta. Trzepnęła go po rękę.
— Ty motylek? Chcesz jeszcze jedną dziewczynę?
— Nie motylek — odparł. — Powiem ci jutro. Chodźmy coś zjeść.
Zaprowadziła go do restauracji, barki stojącej na kanale, skąpanej w miękkim, chybotliwym świetle lampionów. Przypuszczał, że brzękliwa muzyka, która nieprzerwanie skądś dolatywała, jest syjamska. Nie widział nigdzie orkiestry. Restauracja była elegancka — najwyraźniej nie żadna spelunka dla żołnierzy, aczkolwiek paru wojskowych, prawdopodobnie oficerów, siedziało tu i ówdzie przy stolikach z rumianymi facetami z Zachodu oraz ich wytwornie uczesаныmi żonami. Morgan rozparł się w fotelu, popijał dżin z tonikiem i zaciągał się krągłym Pali Mailem. Naprawdę doprowadzili go do- tego, iż czuł się uprzywilejowany mając papierosa, który nie był zmiętoszony czy pożółkły od zaschniętego potu. Zagłębił się jeszcze bardziej w fotel wydmuchując kółka dymu w delikatną, porcelanową twarz po drugiej stronie stolika, czując się niemożliwie elegancki. Zjadł mrożoną sałatkę z krewetek, a potem, po następnej szklance dżinu z tonikiem, zamówił butelkę zimnego białego wina, aby popłukać pikantne jedzenie koreańskie i syjamskie. Przepił do swojej kurewki zastanawiając się, czy będzie mu równie łatwo, gdy wróci do świata. Czuł się tak odprężony, że armia i wojna wydawały się śmiesznymi abstrakcjami gdzieś daleko poza nim. Nawet po pijanemu nie doświadczał tego pociągu do wojowniczości, który w wojsku czał się na dnie każdej szklaneczki.
Przeszli pieszo prawie milę wracając do hotelu; Morgan czuł się zdrow na ciele i umyśle mimo przytłaczającego, zabarwionego na brudnoróżowy kolor przez światła uliczne oparu wilgoci, który wisiał nad miastem. Mogło to być

313

Berkeley w niedzielny wieczór, a on mógł jutro wracać na uczelnię.

Wszedłszy do jego pokoju rozebrali się. Jej drobne ciało było doskonale proporcjonalne i jędrne, a lekki zapach potu przemieszany z perfumami wydawał się niebiański w porównaniu z odorem kurw z Miasta Grzechu. Posiadł ją szybko, a potem przez pół godziny brali razem prysznic. Zastanawiał się, czy hotel wydaje jej się zbyt-kowny, czy ta dziewczyna pochodzi z jakichś slumsów, gdzie w dzieciństwie musiała sypiać na twardych siennikach w brudnych izbach.

Zamówił do pokoju dzin, lód, sok limonowy i tonik, wypił trzy drinki, a potem znowu przyciągnął ją do siebie w łóżku. Tym razem robił to wolniej, badał wszystkie zakątki jej drobnego ciała, całował, ssał, pieścił uda, które były gładkie, z krótkimi, miękkimi, czarnymi włoskami. Prawie nie poruszała się pod nim, jęczała od czasu do czasu, lecz wiedział, że udaje. Co z tego? Kurwy nie mogą sobie pozwolić na odczuwanie przyjemności. Przynajmniej starała się, żeby mu było dobrze. Skończył po piętnastu minutach i odczył się od niej pocąc się obficie i dysząc ciężko. Leżała obok niego przez pięć minut, a potem zaproponowała mu prysznic. Odmówił, bo chciał się napić. Zaczął mieszać następny dzin z tonikiem, ale potem nalał dzinu do jednej szklanki, a mrożonej wody do drugiej. Toast na cześć dawnych czasów, na cześć Winstona i Alexandra, którzy byli już w domu, w Anniston i Louisville. Łyknął dzinu, popił mrożoną wodą, powtórzył to jeszcze raz. — Byczo! — wrzasnął i opadł na łóżko pękając ze śmiechu, kiedy wyobraził sobie czarną lśniąca twarz pijanego Winstona, z szyją okręconą ręcznikiem utkanym pod drelichową kurtką.-

Została już tylko jedna czwarta butelki, kiedy kurwa wyszła z łazienki. Usiadła na łóżku, pochyliła się, by go pocałować, a on nacisnął palcem jej sutkę. Odskokzyła zasłaniając sobie piersi. Obsunął się na łokciu i przewrócił w bok obalając ją na podłogę, po czym przetoczył się na nią. Zerwała się i odbiegła kuśtykając na stłuczo-

314

nej kostce. Morgan chwycił butelkę, łyknął dwa duże hausty i chciwie popił mrożoną wodą.

— Chodź tu, dziewczyno! — Rzucił się na nią, wetknął palce między jej pośladki i pchnął rękę do góry.

— Nie! — wrzasnęła odskakując od biurka.

— Ja ciebie lizać! — ryknął zataczając się ku niej. — Ty lizać mnie!

— Nie! — Próbowała uciec do łazienki, ale złapał ją za rękę i rzucił na łóżko. Zatoczył się naprzód i zwałił na nią.

Obudził się sam jeden następnego popołudnia. Dywan był pokryty kawałkami szkła. Na ści'anie ciemniała duża plama, tam gdzie rozbiła się rzucona butelka. Wpatrzył się w sufit, a przez głowę przelatywały mu chaotyczne obrazy. Jego ręka ciągnąca czarne włosy dziewczyny, kiedy wciskał jej głowę w swoje krocze. Nie mógł sobie przypomnieć, czy krzyczała, czy tylko jęczała przejmująco, czy uderzył ją mocno, czy tylko się z nią bawił. Wstał, żeby się odlać, a potem położył na powrót, przekonany, że niedługo będzie tu żandarmeria.

O wpół do dziesiątej Morgan i Chambers pozostawili innych karabinowych i przywieźli czterdzieści galonów wody do natrysków na północnym krańcu rejonu kompanii. Potem wrócili do swoich maszyn po mydło, szampon i zmianę ubrania.

— Zrób się na ładnego, panie Bojowy — powiedział Webster, gdy odchodzili.

— Spokojna głowa, bracie — odrzekł Morgan. Wrócił po południu z wypoczynku i jego śmigłowiec został trafiony podczas pierwszego lotu. Pocisk kaliber trzydzieści przebił ściankę między drzwiami kabiny a drzwiami pilota. Gdyby go wystrzelono w sekundę później, trafiłby Morgana prosto między oczy. Zarówno kapitan Sloane, jak chorąży Woolsey oberwali paroma kawałkami metalu, ale te rany nawet nie wymagały szwów.

Morgan nie bał się podczas lotu, wyrzucił granat dym-

315

ny i natychmiast otworzył ogień, chociaż nie widział nikogo. Kiedy wrócili na lądowisko, inni karabinowi zebrali się koło jego maszyny, a on był rozluźniony i non- j szalancki, gdy omawiali ostrzał i liczebność sił nieprzyjaciela gromadzących się na zachodzie. Nawet sierżant sztabowy Hart przyniósł mu po kolacji dwa dodatkowe piwa i zaprosił go do swego namiotu na dalsze. Zaproszenie do koła lizusów. Mógł się bez tego obejść.

— Fajnie tu jest, nie? — powiedział Chambers, kiedy szli między dwoma rzędami zaparkowanych helikopterów.

— Aha. — Przed nimi świeciło i mrugało kilka gwiazd, a od tyłu księżyc kładł fosforyzującą ścieżkę na krótką trawę. — Dobrze się czujesz, co, Orville?

— Nie najgorzej. Jeżeli tak dalej pójdzie, te siedemdziesiąt pięć dni to będzie betka.

— Nie mogę uwierzyć, że tylko tyle nam zostało.

Wróciwszy z wypoczynku Morgan stwierdził, że kompanię C przesunięto o dwieście mil na południe, do przedmieść Phan Tiet, dużego miasta na wybrzeżu, około pięćdziesięciu mil na północ od Sajgonu. Reszta batalionu wróciła do Bong Son. Kompanię C przysłano tu z dwiema kompaniami strzelców, artylerią i środkami transportowymi, prawdopodobnie ze względu na jutrzejsze wybory. Ale nie miał pewności — nie wiedział nawet, co to za wybory.

Obóz był ładniejszy niż w la Trang. Znajdował się na wysokiej skarpie nad morzem, gdzie powietrze jest chłodne i wolne od owadów, z lekkim zapachem soli. Za zwojami drutu kolczastego rozpościerała się na południe i zachód pofalowana równina porośnięta trawą i małymi krzakami, która ciągnęła się co najmniej na przestrzeni ćwierć mili, nim przeszła w las. U północnego krańca obozu rozpoczynało się osiedle małych domków, coraz gęściej zabudowane, w miarę jak wtapiało się w miasto.

Morgan czuł się tu swobodniej niż w Bangkoku, gdzie przez ostatnie trzy dni sterczał w hotelu, czytał, jadł, czasem wychodził na spacer. Chyba by zwariował, gdyby musiał tam zostać jeszcze jeden dzień.

316

Budka natryskowa, zrobiona z drewnianych skrzyń od pocisków artyleryjskich, z pięćdziesięciogalonowym zbiornikiem, stała samotnie u stóp małego pagórka. Ktoś sporządził ławę obok drewnianej pryczy, żeby nie trzeba było składać ubrania czy stawiać stóp na ziemi.

— Zaczynaj, Orville. Tylko nie zużyj całej wody.

— Nie ma obawy.

Rozebrał się do kalesonów, po czym stanął na ziemi, kiedy woda chlustała na Chambersa. Namiot Harta stał o trzydzieści jardów na wschód od natrysku, a między jego klapami migotała świeca. Hart czytał na głos jakąś świńską książkę, którą sam już skończył, a jego lokaje rechotali Niech ich cholera. Co mogli mu zrobić za to, że odmówił przyłączenia się do nich? Trochę dodatkowej służby kuchennej czy wartowniczej to betka, o ile będzie mógł latać przez resztę czasu.

— Twoja kolej, Will.

Morgan rzucił kalesony na ławę i wskoczył pod chłodną wodę. Mył się powoli przez pięć minut, płukał jeszcze przez kilka, po czym włożył na drewnianą pryczę, aby się wytrzeć. Od morza dolatywał łagodny powiew; pozwolił, by przez chwilę łaskotał mu jądra, - po czym włożył świeżą bieliznę.

Kiedy wracali, całe lądowisko jaśniało od światła księżycowego, które ujawniało drgające cienie oraz ogniki papierosów przy drzwiach śmigłowca. Morgan krzyknął cicho i klepnął Chambersa po zadku. Nie do wiary, jaki był szczęśliwy, że już wrócił.

Nazajutrz rano nikt nie wyleciał o świcie. Pluton zjadł wcześniej śniadanie, a o wpół do ósmej starszy sierżant postawił kompanię na baczność i zameldował ją majorowi Singerowi.

— Spocznij! — powiedział Singer i szereg skurczył się o dwa cale. — Jak wam wszystkim wiadomo, dzisiaj jest dzień wyborów. Wolne wybory to jedna z rzeczy, dla których tutaj jesteśmy, więc możecie być z nich dumni. Nie

317

Wylecieliśmy dzisiaj o świcie, a Blue wyruszy dopiero POt południowym posiłku. Wietkong nęka tutejszych ludzi, żeby odstraszyć ich od głosowania. Wobec tego urządzimy mały pokaz siły, ażeby udowodnić ludziom, że nie mają się czego obawiać. Poleci cała kompania. Pouczyłem pilotów o ich zadaniach. Będziemy lecieli nisko i każdy ma wytknąć kaemy, żeby ludzie na ziemi je widzieli. Ale żadnego strzelania, dopóki nie dostaniecie rozkazu. Po rozejściu się maszerować prosto do swoich maszyn i przygotować się do odlotu. Sierzancie!

Starszy sierżant przydreptał ze skrzydła szeregu, przejął kompanię i dał rozkaz „rozejść się”.

Stali w szyku przed śmigłowcem Morgana, więc wystarczyło mu obrócić się, aby zamontować lufy karabinów maszynowych, podczas gdy Barry odwiązywał łopaty wirników.

Kapitan Sloane skończył odlewać się pod belką ogonową, wdrapał się na siedzenie pilota i nałożył swoją kamizelkę przeciwodłamkową.

— No, Morgan? — powiedział. — Jesteś gotów bronić demokracji na świecie?

Morgan podniósł wzrok znad skrzynki z amunicją stojącej na podłodze.

— Tak jest, panie kapitanie.

Lecieli na czole formacji z majorem Singerem, a za nimi inna grupa śmigłowców bojowych, dwa zwiadowcze, znowu bojowe, następnie transportowe ze strzelcami, jeszcze dwa zwiadowcze, a na końcu cztery bojowe.

Przelecieli piętnaście czy dwadzieścia mil na zachód zniżając się nad każdą wioską czy wsią, ażeby zrzucić stare racje żywnościowe. Kiedy zbliżyli się do łańcucha górskiego na zachodzie, śmigłowce zatoczyły szeroki łuk kru północy. Jeszcze dziesięć mil i przecięli brukowaną drogę, zawrócili i poleciali nad nią na wschód. Po obu jej stronach ciągnęły się, jak okiem sięgnąć, ku wschodowi równe pola ryżowe. Chłopi zerkali ze znużeniem na śmigłowce obracając tylko głowy, ale nie odrywając rąk od pędów ryżu pod wodą. Jacyś Wietnamczycy jechali za-

318

przeżonymi w muły wózkami do Phan Thiet i w odwrotnym kierunku, a inni kroczyli żwawo niosąc na ramionach żerdzie wygięte pod ciężarem tobołków uwiązanych na obu końcach.

Dwa helikoptery zwiadowcze oderwały się od formacji z jednej i drugiej strony i nagle czerwony dym począł się kłębić od płóz, do których ktoś przymocował granaty. Po paru minutach dwa następne zrobiły to samo, tym razem żółtym dymem.

— Śmigłowce bojowe, tu Szóstka. Nadlatujemy nad pole, z którego ryż już zebrano. Wszystkie kaemy skierować w dół i strzelać w ziemię. Mniej więcej po sto pocisków. Dam rozkaz, kiedy zacząć i kiedy przerwać.

Boczne karabiny maszynowe pochyliły się w dół. Morgan napiął elastyczną linkę, tak że jego karabin był wymierzony pionowo w dół.

— Okej — powiedział Singer. — Ognia!

Morgan nacisnął spust, ale nie patrzył za kulami. Po drugiej stronie drogi strach poraził wieśniaków jak prąd elektryczny. Tylko paru rzuciło się do ucieczki. Reszta okazała się mądrzejsza. Uśmiechy i przyjazne machania rękami na drodze zamarły, a twarze i ciała nagle skamieniały.

Morgan puścił spust o parę sekund wcześniej, zanim Singer powiedział: — Przerwać ogień. — Głos majora był znużony, prawie bez wyrazu.

Morgan wydobył ze skrzynki jeszcze trochę amunicji i przewiesił ją sobie przez udo; jego podniecenie sprzed lotu wyparowało. Nie chciał przyglądać się chłopom na polach ryżowych. Czuł się w śmigłowcu jak wielki, pieprzony drań. Barry oparł brodę na dłoni i patrzył w niebo. Sloane zamocował celownik nieskończonościowy na suficie i zapalił papierosa. Woolsey kierował maszynę prosto przed siebie. Wszystko wydawało się spokojniejsze, niż zanim zaczęli strzelać.

Zatrzeszczało radio. — Wracamy — powiedział Singer.

319

Przez resztę dnia baza polowa zdawała się spowita w senny opar zmęczenia. W południe żołnierze jedli powoli, karabinowi siedzieli apatycznie w śmigłowcach czekając na następny lot. Rześkość poranka zwiotczała i rozmiękła jak stary seler. Morgan nie musiał teraz lecieć, bo jego maszyna przechodziła okresowy przegląd i miała pozostać na ziemi przez resztę dnia. Barry był wesoły jak zawsze, ale wydawał się roztargniony, tak jakby nie miał ochoty rozmawiać.

Do drugiej Morgan skończył czyścić swoje karabiny, spróbował czytać, a potem przeszedł ćwierć mili do betonowej latryny na końcu pasa startowego. Oberwane dzieciaki z osiedla wyciągały brudne ręce przez zwoje drutu kolczastego. Żandarmeria nawet nie zadawała sobie trudu, by je odpędzać.

Siedział na sedesie, oganiał się od much i usiłował uporządkować myśli. Czyżby drzwi uchylły się

odrobinę tego rana, wpuszczając do umysłów jego kolegów niejasne przypuszczenie, że nic nie robią dla Wietnamczyków, że umierają za nic? Kiedyś musieli zdać sobie z tego sprawę. On to zrozumiał jeszcze przed wyjazdem z Fuldy, więc pod tym względem nie miał żadnych złudzeń. Zastanawiał się, co będzie, jak szydło wreszcie wyjdzie z worka. Czy żołnierze zbuntują się i rzuca to wszystko? Czy wystrzelają oficerów i przekażą swój sprzęt Wietnamczykom i Wietkongowi? Najprawdopodobniej będą nadal pili piwo i liczyli dni. Podtarł się myśląc, że kucanie w sraczu nie jest najwłaściwszą pozycją dla króla filozofów. Co wie o tym, jak czują inni. Wrócił do swojej maszyny i położył się spać.

Spokój trwał do nocy. Chambers napił się z kolegami piwa, a potem odszedł do swego śmigłowca, aby poczytać. Webster położył się spać około dziesiątej, Morgan zaś wziął szybko prysznic próbując odzyskać trochę energii. Nic mu to nie dało. Kiedy wrócił na lądowisko, Barry wciąż jeszcze nie wsadził na miejsce wszystkich płyt podłogi kabiny. Znalazł jakieś usterki, których nie można było usunąć przed ranem.

320

— Jak mamy dziś spać, do cholery?

— Możemy się zmieniać na siedzeniu albo na ziemi — odparł Barry.

— I obudzić się z wężem w śpiworze.

— Nie mam nic przeciwko temu, jeżeli to będzie samica. Będę spał na ziemi.

— Nie chcę, żebyś to robił. Dowódca załogi Hancocka jest na wypoczynku. Będę spał w jego maszynie.

Obaj poszli obgadać to z karabinowym.

— Wyście jeszcze się nigdy nie rozbili — powiedział im Hancock. — I macie cholerne szczęście. Czasem zaczynam mieć takiego pietra, że boję się latać, ale chyba nie zrobię Hartowi tej satysfakcji, by odejść. — Sino podkrażone oczy Hancocka wytrzeszczyły się nad ognikiem papierosa. — Zestrzelili mnie pierwsze dwa razy, najpierw pod Plei Me, a potem w Szczęśliwej Dolinie. Człowiek ma cholerną cykorię, bo wie, że wszędzie skradają się żółtki. A potem musieliśmy kiedyś wodować w porcie Qui Nhon. Przeklęta maszyna po prostu wysiadła. Wyskoczyłem z jakichś trzydziestu stóp i wyłowić mnie sampan. Ostatnim razem to było w la Traing. Kom-presor nawalił, i zlecieliśmy z czterdziestu stóp w ten pieprzony piach. Wtedy o mało się nie załamałem. Wy, chłopcy, też dostaniecie za swoje.

— Chyba pójdę spać — rzekł Barry.

Hancock opowiadał różne historie jeszcze przez poł godziny. Na lądowisku panowała zupełna cisza, a między iwoma szeregami maszyn Morgan widział za obwodem siemię oblaną niesamowitym światłem księżyca. Hancock pochodził z Zachodniej Wirginii, gdzie od dwunastego roku życia wykonywał robotę dorosłego mężczyzny, dopóki »o nie wzięli do wojska, kiedy miał lat dwadzieścia. Po pierwszych dwóch latach zaciągnął się ponownie i teraz wstało mu jeszcze piętnaście miesięcy. O północy wleźli

10 swoich śpiworów.

— Chyba spróbuję pracować na poczcie, jak wyjdę —' rzekł Hancock. — I robić przez jakiś czas coś łatwego ra wojna mnie wykończyła.

11 — Amerykańscy chłopcy

321

Morgan zdrzemnął się i ocknął. — Aha — mruknął, przekręcił się na bok i wcisnął głowę w zwiniętą kurtkę.

Zrazu stłumione bzykania koło śmigłowca przypomniały mu szarańczę, która latała wokół namiotu w S-I, kiedy pracował tam w nocy. Ale te były za szybkie. Nasłuchiwał jeszcze chwilę, po czym podparł się na łokciu.

— Hancock, zdaje się, że jest krewa.

— He? — Hancock obrócił się w śpiworze.

— Mówię, że chyba do nas strzelają.

Hancock siadł. — O rany boskie! — Jęk dobył mu się z głębi żołądka. — Morgan, dostajemy ognia! Strzelają do nas! Wyłaż, cholera jasna!

Morgan jeszcze nie słyszał takiego strachu w czymś glosie. Wywiesił nogi ze śmigłowca i wciągnął

spodnie.

— Ostrzał! — krzyknął.

Hancock wyskoczył z maszyny i stanął przed nim drżąc.

— Co robić? Nie możemy pozwolić, żeby nas rąbnęli!

— Co się dzieje? — wrzasnął Barry z drugiej strony lądowiska.

— Atakują nas! Włóżmy do jakiejś dziury!

Nie wykopali żadnych schronów. Nie było nawet worków z piaskiem dokoła maszyn. Tylko o kilka kroków dalej duży dół, do którego wrzucali puste skrzynki od amunicji i łuski.

— Móg, dostałem — jęknął Barry.

— Pieprzysz. — Widział biały podkoszulek Barry'ego na ziemi obok śmigłowca.

— Rąbnęli mnie w nogę.

— Sanitariusz! Hancock, co robimy?

— Zajmijcie się nim. Wezwę sanitariusza. Sanitariusz! Mamy rannego!

Hancock przygiął się i pobiegł ku namiotom piechoty, gdzie spali sanitariusze.

Morgana i Barry'ego dzieliło szerokie na pięćdziesiąt stóp przejście między dwoma rzędami helikopterów. A niech to cholera. Nie było wyboru. Jakbyś czekał przed skokiem do lodowatego oceanu. Kiedy wyskoczył w przejście, dwie kule bzyknęły koło niego jak rozeżłone szer-

322

szenie. W połowie drogi dwa małe kłębki kurzu wzbily się z ziemi na prawo przed nim. Może tamci już byli wewnątrz obwodu. Padł i przetoczył się do Barry'ego*

— Żyjesz, człowieku?

— Tu, w nogę. — Wskazał swoje udo Barry.

Morgan ostrożnie dotknął jego nogi i poczuł krew sączącą się przez spodnie. Wetknął palce w dziurę i rozerwał materiał na długości paru cali.

— Ściągnij portki.

Barry podał mu swoją koszulę i spuścił spodnie poniżej kolan.

— Zapomniałem wziąć opatrunku, ale przewiążę ci tym logę nad raną.

— Okej. Okej.

— Sanitariusz! Dawać tu tego zasranego łapiducha! Obwiązał nogę koszulą, tak że jeden jej rękaw przyłożył

łó rany. Wskoczył do helikoptera i szarpnął pakunek opatrunkowy, zawieszony nad drzwiami. Kule nadal świszczwały w powietrzu na zewnątrz maszyny.

— Uspokój się, Barry, żeby serce nie waliło ci tak prędko.

— Jestem spokojny, Móg.

Morgan wyciągnął bandaż z pakunku opatrunkowego, wyskoczył i obwiązał nim ranę Barry'ego.

Nagle przed nim zjawił się McCutcheon, bosy, z dwiema taśmami amunicyjnymi skrzyżowanymi na włochatej piersi, w hełmie na głowie i z karabinem maszynowym w ręce.

— Jak Barry?

— W porządku — odezwał się Barry.

— Morgan, przenieśmy go na drugą stronę maszyny.

— Gdzie Chambers?

— Przy karabinie maszynowym.

Wynieśli Barry'ego z linii ognia i ustawili karabin maszynowy, aby go kryć.

— Morgan — powiedział McCutcheon — nie uważasz, że pora zdjąć tę białą koszulkę?

— Zastanawiałem się, dlaczego do mnie strzelają. — Ściągnął koszulkę i podparł się na łokciach. Za obwo-

dem pykały flary oblewając teren pomarańczowym światłem, a jaśniejsze pomarańczowe pociski smugowe pruły przez nie w stojący dalej las. — Musieli być dosyć blisko.

— Wracam za chwilą. — McCutcheon pognął do namiotu majora Singera.

-* Jak tam, Barry?

— Piecze, ale chyba wytrzymam.

Hancock przybiegł przez lądowisko ciągnąc kogoś za rękę.

— Tu jest. A teraz zajmij się nim. — Bez mała rzucił sanitariusza na kolana.

Pobiegli kolejno do maszyny Hancocka po swoje hełmy, broń i kamizelki ochronne, po czym wrócili, położyli się w trawie i zapalili papierosy. Za nimi zawarczał silnik.

— Miałeś pietra, Morgan? — zapytał Hancock. — Bo ja tak. I jeszcze mam. Wiem, że Barry się bał.

— Wcale nie — powiedział Barry.

— Jeszcze cztery cale i oberwałbyś w wała. Sanitariusz, on będzie żył, co?

— I nawet dostanie urlop — odrzekł sanitariusz. — Chyba nie wyślą cię do Japonii, kolego, ale powinieneś zaliczyć dwa tygodnie w Nha Trang.

Kiedy Śmigłowiec spryskał ziemię jaskrawopomarańczowym deszczem, karabinowi oraz dowódcy załóg powy-lazili ze swoich kryjówek za płozami i pod maszynami, aby popatrzeć. Żółtki nie będą już strzelały. Żółtki już są u siebie w łózkach. Plujący śmigłowiec wyglądał jak blade oliwkowy duch na tle niesamowitego pomarańczowego nieba.

Pasem startowym nadjechał powoli jeep, zabrał Barry'ego i odwiózł go do małego lazaretu na północnym krańcu obozu.

— Chodź, Hancock, wyjdźmy, żeby lepiej widzieć. Hancock nie włożył dotąd spodni i wyglądał jak duży

dzieciak w swoich niezasnurowanych butach, z pasem, w hełmie.

Śmigłowiec przeleciał po raz drugi, siejąc po ziemi po-

ciskami smugowymi, z których wiele rykoszetowało w bladopomarańczowy poblask flar, po czym oddalił się i krążył nad zachodnią stroną obozu. Morgan i Hancock milczeli, podczas gdy inni opowiadali swoje przeżycia. Jeden z chłopaków Harta dostał w policzek odłamkiem pocisku z moździerza, który padł dalej na lądowisku. Dwaj ludzie zginęli w kompanii remontowej po wschodniej stronie. W kompanii C oberwał tylko Barry.

— Wiesz, coś ci powiem — zaczął Hancock. — Ja i Morgan...

Nad nimi huknęła potężna eksplozja.

— Och, nie! — wrzasnął Hancock. Postąpił dwa kroki i dał nura do dołu na śmiecie.

Morgan śmiejąc się padł na ziemię. Śmigłowiec wystrzelił jeszcze dwie pary rakiet jedną po drugiej, przeleciał kilkaset stóp i wystrzelił następne cztery pary.

Głowa Hancocka wychyła powoli nad krawędź dołu, z hełmu zwisał mu pas z pustymi ładownicami.

— Rozwalcie ich! — wrzasnął. — Rozwalcie ich! Potrząsnął pięścią ku niebu. Pozostali wiwatowali

i krzyczeli, jak na meczu futbolowym.

Morgan poczuł się nagle samotny. Wszyscy byli rozwścieczeni na żółtków, z wyjątkiem niego. W jakiś sposób ten atak sprawił mu nieomal przyjemność. Popatrzał na ziemię i wydał z siebie słaby okrzyk:

— Wywalcie, z nich gówno!

21

— Dobra, Red! Dobra! Prosto w cel. Dawajcie więcej tych rakiet.

Dobrze, Red! Klasa, Red! Pies cię jebał, Red! Chambers wymachiwał ręką przez drzwi, tak aby Sandersowi zdawało się, że wyrzuca granaty.

Śmigłowiec skręcił w lewo, a McCutcheon opuścił się na płozę i wystrzelał dwa magazynki ze swego M-16. Piper Cup L-19 lotnictwa przeleciał w poprzek trasy ich lotu, o pięćdziesiąt stóp nad nimi, po czym zawrócił, by obserwować drugą maszyną.

— Kaemy nieźle gadają, Cztery-pięć. Wygląda fajnie. L-19 znurkował ku ziemi, podczas gdy śmigłowce bojowe zatoczyły koło na zachód.

— Red, tu Jeden-jedenaście. Widzę kilku w dołku machających białą flagą. Może któraś z waszych maszyn mogłaby zejść i wziąć jeńca? Obok nich jest małe miejsce do lądowania.

— Tu Red, Jeden-jedenaście. Chwileczkę. No jak, Cztery-pięć? Chcecie spróbować?

— Tu Cztery-pięć. Tak jest, Red.

Maszyny krążyły w powietrzu, podczas gdy jedna z nich siadała na ziemi. Webster wyskoczył, kilka sekund stał niedaleko tych ludzi i wsiadł na powrót.

— Jeden-jedenastcie, tu Cztery-pięć, odbiór.

— Co tam macie, Cztery-pięć?

— Jakiś gość z córką. Bez broni. Mój karabinowy mówi, że facet ma mocno rozkwaszoną głowę, ale wyżyje. Nic więcej nie widziałem.

— Rozumiem, Cztery-pięć. Okej, Red/ na dzisiaj wystarczy. Dobra robota. Zaliczcie sobie siedmiu przypuszczalnych zabitych.

— Tak jest, Jeden-jedenastcie. Do zobaczenia. Koniec.

Chambers przygryzł dolną wargę, przygarbił się i potrząsnął głową. Dlaczego zawsze musieli wszystko spasku-dzić? W Phan Thiet było z początku tak dobrze, iż prawie zapomniał o wojnie, ale przemieniło się to w gówno w jego rękach. Przez pięć wieczorów po nocnym ataku latali nad wybrzeże, by ostrzeliwać domniemany Wietkong, widziany przez samolot obserwacyjny. Jak dotąd zaliczyli dziesięciu potwierdzonych i piętnastu przypuszczalnych zabitych. Żadna załoga nie widziała nikogo.

Kiedy ładował amunicję, podszedł do jego maszyny Webster.

— Przedstawiają mnie do medalu za to, że dziś zląłem na ziemię.

— Naprawdę?,

326

— A bo co, psiakrew? Dwudziesty piąty pułk rozdaje Brązowe Gwiazdy za wstawanie rano z łóżka.

Podszedł Morgan niosąc puszkę piwa. Jego i Hancocka przedstawiono do oznaczenia medalami za udzielenie pomocy Barry'emu.

— Mielicie dzii jakąś akcję naziemną, Webster?

— Wszyscy ci zabici, których zaliczyliśmy, to tylko chłopci i dzieciaki — wzruszył ramionami Webster. — Ten typek dzisiaj nie mógł mieć żadnej broni.

— Chciałbym tam posłać Sandersa bez broni. — Chambers wyobraził sobie kapitana biegnącego z połyskującą brodawką przez pole ryżowe pod zniżającymi się na niego maszynami bojowymi.

— Nie mam nic przeciwko walce — powiedział Webster — ale nie z chłopami i dziećmi.

Wyniosłbym się stąd, gdyby było coś innego do roboty. Ale nie odsyłają nikogo na tyły, a kasyno jest pełne tych palantów z piechoty. Nawet gdyby dali tam posiedzieć, człowiek by zwariował.

Latanie przynajmniej zajmuje czymś umysł.

Wszystko to była prawda. Chambers czuł się taki zdenerwowany, kiedy jego maszyna przechodziła ostatnio przegląd okresowy, że ucieszył się, gdy znowu zaczął latać. Nie mógł czytać wiele dłużej niż pół godziny. Bezczynność sprawiała, że zaczynał myśleć o powrocie do domu, a wtedy liczył minuty i sekundy zamiast dni i wyłaził ze skóry.

— A, co tam, Qrville! — powiedział Morgan. — Odejdziemy na dobre za dwa miesiące. Cała masa ludzi odjedzie. Pewnie dlatego Hart nie chce teraz nikogo puścić. Jak jeden pójdzie, wszyscy będą chcieli.

— Z wyjątkiem ciebie.

— Ja tu jeszcze trochę posterczę.

— Sześćdziesiąt dni to jednak sześćdziesiąt dni — powiedział Chambers. Oznaczało to co najmniej dwieście lotów, dwieście razy, kiedy mógł się rozbić albo mieć przestrzeloną twarz czy jądra.

Każdy start tego cholernego

327

„latawca" mógł być ostatnim. A jednak wszyscy machali rękami, żartowali i unosili kciuki, jakby to nie było nic wielkiego.

Z ciemności wynurzył się McCutcheon trzymając małą zieloną książeczkę formularzy.

— Jeszcze dwa dni, chłopaki, i moja dupa idzie na ziemię.

— A co się stało?

— Rozmawiałem z Hartem i on powiada, że przychodzi nowy dowódca załogi, a ja mam być

stałym szefem ładowiska. Możliwe też, że w tym miesiącu dostanę awans.

— Kto będzie moim dowódcą załogi?

— Gość nazwiskiem Maddin, z kompanii sztabowej.

— Jest tu od jakichś sześciu miesięcy? — zapytał Morgan.

— Chyba tak.

— To wariat. Nie zazdroścę ci, Orville.

— Dlaczego?

— Pewno nie powinienem ci mówić, ale parę razy spił się i próbował popełnić samobójstwo. Tak tylko słyszałem. Sam nie widziałem, żeby próbował.

— Tylko tego mi jeszcze potrzeba. — Chambers usiadł w drzwiach i wcisnął twarz w dłonie, ale zaraz poderwał się z miejsca. Rozmyślanie nic nie dawało. Skończył ładować amunicję, kopnął pudełka do dołu na śmieci i złapał mydło i ręcznik. — Idziesz wziąć prysznic, Will?

— Cholera z tym. Jeszcze jeden dzień brudu nic nie zaszkodzi.

— Wróć później.

Chambers stał pod prysznicem słuchając przez chwilę gadaniny i pijackich śmiechów dolatujących z namiotu Harta. Nie miał pojęcia, co ten mały sierżant o nim myśli. Najprawdopodobniej był dla niego tylko jednym z plutonu. Hart nigdy mu nie dogryzał, ale i nie klepał go po plecach. Co by powiedział, gdyby teraz przyszedł do niego i oświadczył, że chce odejść? Orville nie widział siebie podlizującego się w nadziei na łaskę. Musiałby poprosić go wprost. Zrobi to któregoś dnia. Może jutro.

328

Wracając do swego śmigłowca usłyszał już z odległości stu jardów wrzaski Robinsona. Tekskańczyk wrócił w dzień wyborów z dwiema butelkami whisky w swoim worku odzieżowym, przechwalając się, że za tydzień czy dwa wraca na stałe do domu. Inni karabinowi siedzieli w kucki przy drzwiach maszyny Chambersa, podając sobie z rąk do rąk butelkę i słuchając Robinsona. Chambers wrzucił brudne dreluchy do ładowni bagażowej, po czym wdrapał się na swoje miejsce.

— A zresztą chromolić tych żółtków — mówił Robinson. Łyknął whisky i podał butelkę Hancockowi. — Wszyscy ani są gówno warci. Powinniśmy się stąd wynieść.

— Gadasz jak któryś z tych demonstrantów — powiedział Hancock. — Goinij sobie, Chambers — wręczył mu butelkę.

— Chromolić i demonstrantów — odpar Robinson. — Jeden z tych pieprzonych drani podszedł do mnie na lotnisku we Frisco. Czekam na samolot do Teksasu, żeby zobaczyć się z moim umierającym ojcem, nie? Nikomu nie przeszkadzam. A ten pętał zatrzymuje mnie i pyta: „Pan był w Wietnamie?” „Aha”, powiadam. „I wraca pan?” „Tak.” I wtedy ten kutas patrzy na mnie i mówi: „Mam nadzieję, że pana ukatrupią.” Niezłe gówno, co?

— I co zrobiłeś? — zapytał Hancock.

— Plunałem na niego. Porządnie. Prosto w gębę. A. potem dałem mu kolaniem w jaja i odszedłem.

— Ja bym go zabił — powiedział Hancock.

— Ja też, gdyby tam nie było nikogo. Pieprzeni komuniści. Nie powinno się zostawiać im tego kraju. Ale żaden cholerny żółtek nie jest wart, żeby za niego umierać. Weźmy tę bzdurę z wyborami. Te pierdoły, co obsrywają swoje poletka ryżowe, są za głupie, żeby głosować. Pewnie nawet nie umieją czytać. Cały ten kraj jest diabła wart. Daj mi tę butelkę, Chambers.

— Już pusta. Była w niej tylko kropla, kiedy do mnie doszła. — Wypił jeden łyk i już się czuł podchmielony.

s— Cholera! A właśnie zaczynało mi trochę szumieć.

329

Chcę sobie dzisiaj porządnie dać do nosa. Nie powinienem był przynosić tego dla was.

— Gdzie można dostać jeszcze trochę? — zapytał Hancock. — Wrzucę pięć dolarów na ćwiartkę. A ty, Cham-bers?

— Dołożę parę dolarów. — Niech tam. Może trochę whisky poprawi mu samopoczucie.

— Założę się, że szef z kantyny coś ma — powiedział Robinson. — Dajcie mi forszę, to pójde sprawdzic.

Po piętnastu minutach usłyszał śmiech Robinsona, który po chwili stanął przed śmigłowcem potrząsając butelką.

— Dziesięć dolców za flaszkę tych szczyn — powiedział. Wręczył whisky Hancockowi. Podawali sobie butelkę z rąk do rąk jeszcze dwa razy, po czym Robinson i Hancock zatrzymali ją dla siebie. Chambers nie miał im tego za złe. Wypił dość i nie chciał, żeby mu się zrobiło niedobrze. Robinson chepił się dupami, które miał podczas urlopu, i swoimi bójkami w barach, a potem wszyscy umilkli na kilka minut. Robinson i tak nigdy nie pozwalał nikomu dokończyć opowiadania, więc nie było sensu mówić.

— No, cholera z wami, trupy — odezwał się Robinson. — Hancock, chodźmy się napić z żółtkami.

— Chcesz im dać naszą gorzałkę?

— Może z nimi będzie nam weselej. Chodźmy. Odeszli z butelką i Chambers usłyszał ich śmiech dalej

na lądowisku, gdzie dwaj wietnamscy sierżanci, którzy mieli jutro zakładać łopaty wirników, spali w ciągniku.

— Urznąłeś się, Orville? — zapytał Morgan.

— Ja nie. A ty?

— W sam raz. To moja pierwsza whisky od długiego czasu.

— Moja też.

— Cholera, Orville, ledwie cię tam widzę — powiedział Morgan opierając się o stos rakiet ułożonych na ziemi. — Złaż do nas.

— Mnie tu wygodnie.

Znowu usłyszał śmiechy, a potem Hancock i Robinson

330

przytoczyli się prowadząc tych dwóch wietnamskich sierżantów. Wszyscy usiedli i Robinson podał butelkę jednemu z nich. Sierżant wyszczerzył zęby i kilkakrotnie kiwnął głową, zanim się napił.

— Damy im trochę popić — rzekł Robinson — a potem ich zabijemy, wrzucimy do dołu tna śmieci i spalimy. — Uśmiechnął się do sierżanta i dał mu znak, żeby wręczył butelkę drugiemu.

— Co ty na to, Hancock? Którego chcesz?

— Nie wiem, psiakrew. Wybieraj pierwszy.

— Wezmę tego, co jest bliżej mnie. Kto zaczyna?

— Może ty — odparł Hancock. Głos mu zadrżał, ale widocznie pohamował strach.

Robinson łyknął jeszcze raz z butelki, podał ją sierżantowi i klepnął go po plecach.

— Wypij sobie, pieprzony żółtku — powiedział z uśmiechem. Sierżant rozpromienił się, kiwnął głową i podniósł butelkę do ust. — Bo cię zabiję, jak skończysz.

Sierżant podał butelkę Hancockowi i znowu kiwnął głową do Robinsona. Robinson uśmiechnął się.

— Wy, żółtki, jesteście pierońsko durni, wiesz o tym, żółtusi? Przez chwilę powiedziałem, że cię zabiję, a ty dalej szczerzysz zęby, jak chińska kurwa.

— Dajże spokój, Robinson. — Chambersa ogarnęła odraza do karabinowego.

— Nie obcyndalaj się, Chambers. Chcę się po prostu trochę zabawić z tym ćwokiem, nim go zaduszę.

— Chyba żartujesz.

— Pewnie, że żartuję. No jak, Hancock, ty pierwszy czy ja?

— Zrobię to, jeżeli i ty zrobisz. Robinson obrócił się do sierżanta.

— No, żółtusi, czas się pożegnać na dobre.

Jego ręce wyciągnęły się raptownie i zacisnęły na gardle sierżanta. Ten zaczął się dławić, tak jakby miał zwymiotować. Robinson wstał podnosząc sierżanta za gardło, a potem rzucił się naprzód i zwałił na niego.

— Zaduszę cię na śmierć, ty pierdolony żółtku!

331

Chambers jeszcze nigay nie słyszał takiej nienawiści w czyimś głosie. Przez chwilę patrzył na Robinsona, przekonany, że lada sekunda przestanie. Hancock złapał drugiego sierżanta za rękę, a

Wietnamczyk wyrwał się usiłując dać nogę.

—> Jezu Chryste! — wybuchnął Chambers. — Czy nikt się nie ruszy? — Wyskoczył z helikoptera, rzucił się na plecy Robinsona i odciągnął go. — Czyś ty zwariował?

Potoczyli się po ziemi i Robinson powstał chwiejnie,

— Szlag by cię trafił, ty miłośniku żółtków! — Wymknął się Chambersowi, padł na kolana i wyrzucił sierżanta w twarz. — Chodź, Hancock, ty gówniarzu, bierz swojego! — Jeszcze raz uderzył kaszlącego, sapiącego sierżanta, rozciągnął go na ziemi i rzucił się na niego.

— Przestań do cholery! — Chambers złapał Robinsona w pól i odciągnął go znowu.

Hancock dwa razy uderzył drugiego sierżanta, ale ten wyrwał mu się i uciekł lądowiskiem.

— Puszczaj mnie! — Robinson silnie wałnął do tyłu łokciami i wymknął się z uścisku Chambersa. Okręcił się i zadał cios, ale Chambers odparował go i trzasnął Robinsona w brzuch. Robinson zgiął się w pól, obrócił znowu i upadł na sierżanta. — Pomóż mi, Hancock — jęknął i zadał sierżantowi kilka słabych ciosów. Hancock dwa razy kopnął Wietnamczyka w głowę, ale zatrzymał się, gdy stanął przed nim Webster.

— Pomóż mi, Mórge! — Chambers chwycił Robinsona, gotów przełamać go na pół. Ale ciało Teksańczyka zwiotczało — uszła z niego cała wola walki.

— Okej, skończyłem — powiedział Robinson. Sapał ciężko i lzy ściekały mu po policzkach. — Już więcej nie będę. Tylko zostawcie mnie w spokoju.

Obaj go puścili. Robinson postąpił chwiejnie kilka kroków w bok, zakręcił się i zwałił na stos rakiet Chambersa. Osunął się na ziemię po jednej stronie, podczas gdy z drugiej zaczęły staczać się rakiety. Odetchnął głęboko i zdawało się, że usnął w momencie, gdy zjawili się starszy sierżant i major Singer.

332

— Nie mogę soie pozwolić na degradację — mówił Hancock. — Mogłem przed odjazdem dostać sierżanta, a teraz jestem ujaiony. — Zaciągnął się chciwie papierosem spoglądając nerwowo na innych.

— Ja i tak wyjeżdżam, więc mi to nisko wisi — powiedział Robinson, lecz jego głos nie był taki dziarski jak poprzedniego wieczora.

— Ja też mógłbym się wynieść — rzekł Hancock. — Ale mogę i zostać. Tylko co wtedy ze mną będzie?

Major Singer wlepił im wszystkim artykuł 15 za picie whisky w polu. Nikt nic nie powiedział o wietnamskim sierżancie z wczorajszego wieczora, a Singer przyjął wersję Hancocka i Robinsona, że tamtych dwóch przyłapano na próbie ukradzenia czegoś ze śmigłowca. Wietnamczyk podobno odzyskał rano przytomność i starszy sierżant zaalarmował karabinowych, że opowiedział wszystko komuś z kryminalnego wydziału śledczego. Była już dziesiąta rano i lada chwila ludzie z wydziału mogli się zjawić na lądowisku. Usiłowali więc uzgodnić swoje zeznania. Robinson dowodził, że oświadczenie pięciu Amerykanów zawsze jest więcej warte niż słowa dwóch Wietnamczyków. Chambers nie odzywał się wczorajszego wieczora. Wpadł w taką wściekłość, iż myślał, że jeśli zacznie mówić, nie będzie mógł przestać. Ale dzisiaj był nastawiony inaczej.

— Niech cię cholera weźmie, Robinson — powiedział nagle. — Nie będę łągał, żeby cię chronić. Próbowałeś zabić człowieka i możesz sobie iść za to do pierdła. Rzygać mi się chce, jak cię widzę.

— Daj spokój, Chambers — odparł Robinson. — Wszyscy wpadliśmy razem.

— Pieprzę to twoje razem. Ja próbowałem obronić człowieka przed morderstwem.

— Czy to ważne, od powiemy? Niczego to nie zmienia.

— Przynajmniej zejdziesz mi z oczu. To...

— Zaczekaj, Orville — odezwał się Morgan. — Chodź ze mną. — Poprowadził go na drugą stronę śmigłowca.

— Nie chcę niczego słuchać, Will. Chcę, żeby ten drań poszedł stąd.

333

Ale wiedział, co powie Morgan, i czuł, że jego stanowczość słabnie, gdy tamten mówił. Morgan zgadzał się, że Robinson to parszywy drań, ale kto może wiedzieć, czy jest zły z natury, czy też wojna zrobiła z niego wariata? Poza tym prawdopodobnie niedługo zostanie przeniesiony na stałe.

Ale jeżeli go przyprą do muru, może donieść na nich, że palą marihuanę, albo nawet powiedzieć, że wszyscy usiłowali zabić tego wietnamskiego sierżanta.

Chambers spierał się z Morganem przez piętnaście minut, aż w końcu zmiękł, chociaż jego gniew rósł. Nie chciał współczuć Robinsonowi, ale po jakimś czasie nie mógł się temu oprzeć.

— No dobra, Will, dobra! — Walnął pięścią w bok śmigłowca. — Może już trochę późno wyciągać przepisy prawne. Tylko że, rany boskie, gdzieś musi być koniec tego draństwa. Pewnie gdyby teraz zaczęli oskarżać ludzi, nie wiedzieliby, kiedy przestać, prawda?

Kiedy wychodzili zza belki ogonowej, Robinson, Hancock i Webster popatrzyli na nich. Webster wyglądał na odprężonego, jak zawsze, tak jakby w gruncie rzeczy było mu wszystko jedno. Biedny Hancock był śmiertelnie wystraszony. Na twarzy Robinsona malował się niepokój i zarazem zadziomość, i Orville zrozumiał, że teksańczyk nie zdawał sobie sprawy, co usiłował zrobić, i że dla niego, tak samo jak dla pozostałych, sierżant wietnamski był po prostu żółtkiem — nawet nie połową człowieka.

— Będziesz mnie sypał, Chambers?

— Nie, ale coś ci powiem. Spróbuj jeszcze raz czegoś takiego, to cię wsadzę do szpitala na parę miesięcy. Idę do swojej maszyny. Zawołajcie mnie, jak przyjadą śledczy.

W tydzień później Robinson odjechał rano na dobre. Dochodzenie umorzono. Ludzie z wydziału śledczego przełknęli ich zeznania, a potem Robinson powiedział majorowi Singerowi, że whisky sprzedał im sierżant z kasyna i że piloci także ją kupowali od niego. Nie chcąc formalnie karać całej kompanii, Singer wycofał oskarżenie przeciwko wszystkim.

Kiedy dwusilnikowy Caribou uniósł Robinsona z pasa

334

startowego w niebo, Orville poczuł nagłą ulgę. Możliwe, że wszystko się pokićkało. Tego nowy dowódca załogi był kopnięty, Hartowi odmówiono awansu, więc robił piekło w plutonie, ale przynajmniej Robinson odjechał i Orville nie musiał więcej na niego patrzeć.

Później tego popołudnia polecili nad góry, około piętnastu mil na południowy zachód, aby rozpoznać rzekomą koncentrację nieprzyjaciela. Sanders przepowiadał strzelanie jak do kaczek — cały leżący pod górą batalion, który mogli roznieść na strzepy. Na drogach tłoczyło się mnóstwo Wietnamczyków, ale wszystko to byli rolnicy i wieśniacy dźwigający toboiki i żaden z nich nie uciekał. Wielu machało rękami i uśmiechało się do nisko lecącej maszyny, inni obojętnie robili swoje. Sanders się pieniał.

— Eastman, zejdźcie w dół jak najniżej.

— Rozkaz, panie kapitanie.

Opuścili się tak, że lecieli tuż nad drogą, nie więcej niż dziesięć stóp ponad ludźmi. Ci, rozumiejąc sytuację, nie ruszali się z miejsca. Zaczynasz uciekać, to cię zastrzelą. Możesz oberwać, nawet jeżeli nie będziesz uciekał, ale są szansę, że nie oberwiesz, chyba że jesteś w pojedynkę.

— Chętnie bym obszukał paru tych drani — rzekł Sanders. — Założę się, że połowa koszyków tych kulisów jest pełna amunicji... Cztery-pięć, tu Red, odbiór.

— Tak jest, Red.

— Kikujcie, czy nie ma czegoś podejrzanego. Nie wahajcie się strzelać.

— Zrozumiałem, Red.

Wzbili się na wysokość pięciuset stóp i polecili dalej na południe, między niewielkie góry gęsto porośnięte zielenią. Chambers obrócił się na siedzeniu, zaparł lewą stopą o drzwi i wsunął kolbę karabinu maszynowego pod pachę. Lewą dłoń zacisnął na granacie dymnym, na wypadek gdyby dostali ognia, po czym odchylił się w tył, aby podziwiać krajobraz. Chętnie wróciłby tu po zakończeniu wojny. Ta myśl nasunęła mu się mimowolnie, wdzierając się natrętnie do jego świadomości. Bo czemu nie? Życie

335

mogłoby być dobre w tych górach, z dala od miejskich tłumów i całego wariactwa w Stanach. Ale jednak musiałyby najpierw iść do college'u, zdobyć wykształcenie. Może kiedyś mógłby zbudować tu sobie dom.

— Obudźcie się tam — powiedział Sanders. Chambers wyprostował się, kiedy przelecieli nad

grania

i zawisli tysiąc stóp ponad dolinę.

— Popatrzcie na to gównu — rzekł Sanders.

Na dnie doliny leżał olbrzymi Budda długości co najmniej stu stóp.

— Tam wszędzie są żółtki — powiedział Sanders. — Nie strzelać, dopóki nie dam rozkazu.

Wietnamczycy łazili jak mrówki dokoła masywnego kamiennego Buddy, który leżał płasko na plecach w trawie. Miał piętnaście stóp grubości od grzbietu do brzucha, a jego twarz prawie się uśmiechała.

— Widzicie jakąś broń?

— Nie, panie kapitanie — odrzekł Maddin.

— A wy, Chambers?

— Słucham? — Najbardziej zdumiewający posąg, jaki widział kiedykolwiek.

— Czy widzicie jakąś broń?

— Nie. Nie, panie kapitanie.

Wietnamczycy karczowali podszył dokoła Buddy, ścinając go kosami i odnosząc w pobliską dżunglę. Posąg musiał mieć setki lat. Niewzruszony jasnoszary kamień.

— Muszą mieć broń pochowaną w dżungli — powiedział Sanders.

Chambers spojrział na niego i uśmiechnął się, gdy Sanders odwracał głowę, zaczerwieniony z zawodu.

— Trzeba by kupić granatów, żeby rozwalić tego Buddę — rzekł Eastman, kiedy okrążali posąg.

— Powinniśmy go rozpieprzyć — powiedział Sanders.— Buddyści narobili dosyć zamieszania podczas wyborów.

Chambers dotknął palcem spustu swojego kaemu. Trudno mu byłoby powstrzymać się od rozwalenia Sandersowi głowy, gdyby tego popróbował.

— Red, tu Cztery-pięć. Macie coś?

336

— Nie, Cztery-pięć. Przynajmniej nic nie widać.

Sanders powiódł palcem wskazującym po mapie rozłożonej na pulpicie, po czym dziobnął ją nim zaciekle trzy razy.

— Zawracamy, Cztery-pięć. Nie możemy tu zrobić ni cholery.

Głupi pierdoła umierający z rozczarowania. Chambers powściągnął ochotę rąbnienia pięścią w tył hełmu Sander-sa. Żaden z Wietnamczyków nawet nie spojrział w górę, gdy okrążali to miejsce jeszcze dwa razy. Chambers szybko zsalutował Buddzie, kiedy lecieli nad nim, od głowy do stóp, po czym skierowali się na północ, do bazy.

Czasami, jak dzisiaj, czuł się taki samotny, iż myślał, że obudzi się zlodowaciały. Kiedy wszyscy pokładli się do łó-żek, a Maddin nagadał się i usnął, Chambers wyciągnął paczkę skrętów z worka odzieżowego, zasiadł na płozie i zapalił. Nieomal pragnął, żeby jakaś kula przypruła wzdłuż lądowiska i przecięła jego życie.

Cały pluton chciał zbombardować Buddę. Posąg stał się katalizatorem, który doprowadzał ich nienawiść do wrzenia. Jeden Morgan powiedział, że Budda nikomu nie przeszkadza, więc można zostawić go w spokoju, ale natych miast go zakrzyczano. Wszyscy — Hancock, Maddin, Croc-kett, McCutcheon, nawet Webster — gotowi byli obrzucić raketami i granatami nieszkodliwy kamień. I wszyscy czuli się wkurzeni, bo Wietnamczycy nie chcieli pokazać" swojej broni, nie chcieli wyjść na otwarte i walczyć jak mężczyźni. Ale posąg to tylko posąg. Nie miał z tym wszystkim nic wspólnego.

Chambers podciągnął kolana do piersi i kołysał się w przód i w tył, paląc. Cienki sierp księżyca świecił silniej niż pełnia. Gwiazdy błyszczwały, lecz na ziemi było prawie czarno.

Nie chciał być małomiasteczkowym typkiem. Kiedyl "w Fuldzie, gdy siedzieli z Morganem w klubie, Morgan wykrzyczał przez ogłuszający hałas orkiestry, że Chambers

21 —•. Amerykańscy chłopcy

337.

przypomina mu małomiasteczkowego południowca z jakiejś książki, którą akurat czytał. Przepowiadał, że skończy gdzieś w lesie na wzgórzu o północy, próbując ściągnąć księżyc z nieba. Choć wiedział, że Morgan żartował, wziął to poważnie. Bo już miał obawy, że tak jak ojciec stanie się więźniem swojego poczucia krzywdy i któregoś dnia zwariuje. Usiłował uciec od tego, przyjażniąc się z innymi w Niemczech i zgłaszając się razem z nimi na ochotnika do Wietnamu. Kiedy podczas urlopu przyjechali do Florencji, Morgan od razu zaciągnął go do Akademii, żeby obejrzeć Dawida Michała Anioła. Wywarł on na Chambersie należyte wrażenie, lecz kiedy wychodzili, zauważył po drodze nie wykończone posągi stojące pod ścianami. Bez mała go oszołomiły i został, by im się przypatrzeć, kiedy Morgan wyszedł. Wydawały się o wiele bliższe życia, mniej dalekie niż polerowany kamień wykończonego posągu. Były tak bardzo podobne do niego samego.

Godzinę stał przed Budzącym się olbrzymem i wrócił do niego jeszcze dwa razy. Ten posąg symbolizował wszystko, oo było jego życiem i co działo się z nim we Florencji. Ciało, choć uwięzione w kamieniu, zdawało się poruszać, uwalniając się powoli ze swego zamknięcia. Wydało mu się, że jeśli tam postoi dość długo, kamień pęknie i postać wybuchnie życiem, jak człowiek wyrrywający się nagle ze snu.

W ciągu tych dwóch tygodni we Włoszech zrzucił z siebie głązy i chmury, które go tak przygniatały. I co mu to dało? Teraz odczuwał ledwie ślady swobody, tak jak wtedy, gdy ujrzał Buddę. Ten masywny posąg napawał go radością, bo wydawał się wolny i nikogo nie krzywdził, żył, chociaż był litym kamieniem. Może właśnie dlatego wszyscy chcieli go zniszczyć.

Usłyszał za sobą kroki na trawie i szybko wetknął skręty pod przód płozy.

— To ty, Orville? — odezwał się Morgan zza belki ogonowej.

338

— Cześć, Will. — Głos zachrypiał mu w wyschniętym gardle. — Nie mogłem usnąć. Wydało mi się, że widzę tu zapałkę. — Morgan usiadł i poklepał go po ramieniu.

— Ja też nie mogę. — Zakaszłał. Morgan pociągnął nosem parę razy.

— Kochany, to nie pachnie jak cygaro. Masz jeszcze trochę?

Chambers wyciągnął dwa skręty i przez kilka minut palili w milczeniu.

— Ta historia z posągiem dała mi dziś naprawdę do wiwatu. Ci ludzie to wariaci. — Raptem wyrzucił z siebie swoje strapienie.

Morgan zdjął okulary i potarł je o kurtkę.

— Przykre, że to cię tak boli. Musi być ciężko żyć dzień po dniu w ten sposób.

— Przez jakiś czas było wcale nieźle, tak jak wtedy, kiedy wróciłeś z wypoczynku. A potem wszystko się spa-skudziło. Najpierw te bzdury w dzień wyborów, potem ten nocny atak, potem Robinson próbujący zamordować tego faceta plus strzelanie do bezbronnych ludzi, żeby lotni ctwo mogło na lipę zaliczyć sobie zabitych. Dzisiaj o mało nie poszedłem do Harta i nie rzuciłem tego wszystkiego, ale chyba już teraz jest za późno.

— Możliwe. Dwaj dalsi goście z piechoty poszli dziś pracować w kasynie. Nie potrzebują tam już nowych ludzi. I nie myślę, żeby ci pozwolili wrócić do bazy. Ale nie szkodzi zapytać.

— Może jeszcze zapytam. Lubię chłopaków z plutonu, ale dzisiaj musiałem się powstrzymać, żeby kogoś nie uderzyć. Zdaje się, że są pewne rzeczy, których nikt u człowieka nie zrozumie. Może nawet nie powinno się próbować.

Morgan kiwnął głową.

— Tego dnia, kiedy się zaciągnąłem, wiedziałem, że jestem inny, ale myślałem sobie, że ci ludzie wiedzą o życiu rzeczy, o których ją nie mam pojęcia. Nauczyłem się masę, ale zaczynam mieć tego dosyć. Uzupełnienia powinny

339

przyjść w następnym miesiącu. Najpóźniej na początku listopada.

— Mam nadzieję. Jeden, dwa loty dziennie nie byłyby złe, nawet z Sandersem.

— Nie mam nic przeciwko Sloane'owi. Jest równy i nie rozrabia o głupstwa.

Chambers ziewnął. — Jestem wykończony, Will. Chyba spróbuję pospać.

— Ja też. Dobrze to draństwo, które palisz. Moglibyśmy być podkręceni przez następne dwa miesiące. Cieszę się, że pogadaliśmy. Przynajmniej tyle mamy.

— Mnie też to dobrze zrobiło.

— Zobaczmy się na zbiorce. Teraz Hart będzie wstawiał nam jaja, kiedy nie dostał awansu. Następnego wieczora Sanders zebrał pluton, aby oznajmić, że odlatują, że dywizja została ostrzelana z moździerza pod Bong Son i straciła kilku ludzi, i kompania C jest potrzebna, aby przeprowadzić dodatkowe rozpoznanie. Nazajutrz rano kompania leciała wzdłuż wybrzeża na wysokości pięciu tysięcy stóp, z pozamykanymi drzwiami śmigłowców. Uporczywe migotanie słońca na łagodnie pofalowanym morzu przypominało alfabet Morse'a. Kiedy Qrville był mały, siadywał na drzewie nad jeziorom i przypatrywał się słońcu na wodzie. Któregoś lata doszedł do przekonania, że tym sposobem Bóg przekazuje swoje posłania, i że jeśli popatrzy dostatecznie długo, objawi mu się ich tajemnica. Tamtego lata zginął Roger.

Kiedy zmierzali na północ, wróciły wspomnienia ze Szczęśliwej Doliny, a gdy przelecieli nad rzeką koło Bong Son, Chambersowi wydało się, że ma zły sen. Opuścili się, zatankowali, po czym polecili kilka mil na zachód.

Lądowisko helikopterów było ciemnym owalem, większym od dwóch boisk futbolowych, z pasem startowym u południowego krańca. Na południe od tego pasa sterczało z ziemi, niby grzbiet dinozaura, wzgórze długości ćwierć mili i wysokości dwustu stóp. Z drugiej strony lądowisko

340
otaczały namioty i kiedy wylądowali, Chambers rozpoznał znaki innych kompanii na maszynach. Grunt był gąbczasty i lepki od smarów. Paskudnego gówiennego koloru. Morgan od razu odleciał na akcję, a Hart zebrał resztę plutonu na północno-wschodnim końcu lądowiska.

— Spodziewam się, że wszyscy zabraliście swoje płachty namiotowe, bo pułkownik Snider mówi, że koniec z sypianiem w śmigłowcach. Siedem maszyn oberwało szrapnelami podczas tego ataku moździerzowego, dlatego wszyscy przenoszą się do namiotów. Nie mamy tu zbiorowych namiotów, więc radźcie sobie, jak możecie. Gównu mnie obchodzi, kto z kim się zakwateruje i z czego zrobicie sobie namioty. Ale nie więcej niż czterech na namiot, dokoła każdego obwałowanie z worków piasku co najmniej na trzy stopy wysokie i porządny rów odpływowy. Jeszcze kilka rzeczy, póki tu jesteśmy. Każdemu, kto nie będzie spał pod siatką przeciwmoskitową, wlepię artykuł piętnasty. I obojętne, czy odejdziecie od swojej maszyny choćby na dziesięć kroków, macie przez cały czas nosić pas, garnek na głowie i broń. My się tu nie bawimy. A kiedy rozstawicie namioty, możecie wykopać sobie doły. Każdy ma mieć schron. Jakby któryś się migał, będzie szorował kotły w kasynie. A teraz brać się do roboty.

— No jak, Orville? — zapytał McCutcheon chwytając go za ramię. — Może ulokujemy się razem? Chambers wiedział, że nikt inny nie będzie chciał spać z McCutcheonem. Żałował, że nie ma Morgaia, ale ten znowu mógłby zanadto rozrabiać. Z McCutcheonem będzie przynajmniej miał trochę ciszy i spokoju.

— Nawet nie wziąłem płachty namiotowej. — Sprzęt, którego nie używał, zostawił w bazie.

— Nie ma żartowania. Mam dwie i jeszcze dwa poncha, których możemy użyć. Zrobi się ładny i dość przestronny namiocik.

— Ja też mam dodatkowe poncho.

Pluton rozlokował się na miękkim piasku, pokrytym drobnymi roślinami, których korzenie wyglądały jak skrzyżowanie marchwi z obranymi ziemniakami. Ustawili na-

341

miot tak, że płachty miał po obu bokach, a na nie nawisały dwa poncha tworzące zarazem dach. Nie mieli kłopotu z podtrzymującymi palikami, ale kołki wciąż wylaziły z piasku, przez co namiot chwiał się i opadał. Po dwóch godzinach Eastman wyznaczył ich do lotu. Morgan czyścił swoje kaemy na lądowisku.

— Tylko spokojnie, Orville. Dwa razy nas ostrzelali.

— Miło to wiedzieć. Dlaczego nie stawiasz sobie namiotu?

— Jakiego namiotu? Opowiedział mu o zarządzeniu Harta.

— A ty już masz miejsce? — zapytał Morgan.

— McCutcheon potrzebował kogoś do towarzystwa. Po twarzy Morgana przemknęło rozczarowanie.

— Zrobię to później. Te cholerne karabiny całe się za-piaszczyły na punkcie tankowania. Dwa mi się zacięły.

— Muszę już iść. Zobaczymy się przy jedzeniu.

Znał teren tak dobrze, iż przez chwilę wydawało mu się, że jest w kraju. Polecili kilka mil na północ, a potem na wschód, wzdłuż drogi, przy której zginął LaMont. Dachy chat spłonęły już dawno, brunatne gliniane ściany były u góry osmalone. Małe izdebki o ciemnobrunatnych klepiskach świeciły pustkami. Wzgórza po południowej stronie drogi były usiane lejami po tonach bomb, które tego dnia zrzucano.

Niebo zrobiło się szare, morze też, tylko tu i ówdzie nakrapiane bielą, gdy małe fale załamywały się i rozbijały na plaży pozostawiając na piasku pienne smugi. Lecieli na południe, znowu przecięli rzekę i skierowali się nad niskie góry, w których patrolował w styczniu, jako żołnierz piechoty. Odsuniesz je od siebie, to wracają. Odejdiesz — wracają znowu. I tak w kółko, nikt nie wie, kiedy to się skończy. Jak długo to potrwa tym razem?

Morgan został dwa razy ostrzelany. Chambers mocniej ścisnął broń i granat, pochylił się do przodu i wpatrzył w ziemię.

— Okej — powiedział Sanders. — Tutaj dostali dziś ognia. Słyszycie, Cztery-pięć?,
342

W radiu odezwały się dwa potwierdzające szczęknięcia.

Polecili na południe wzdłuż grzbietu góry, skręcili w lewo i zawrócili niżej, pomiędzy górą a morzem. Chambers nie widział ziemi, więc przypatrywał się wodzie rozmyślając, że dobrze byłoby polecieć nad nią dalej, aż do domu.

Pleksiglas posypał się na niego, a Sanders skulił się na siedzeniu, jak gdyby miał wyskoczyć. Chambers automatycznie wyrzucił przez drzwi granat dymny, po czym zamarł. W oknie przed Sandersem ziały dwie dziury wielkości piłek baseballowych.

— Nic się panu nie stało, kapitanie? — zapytał Eastman.

— Chyba nie — wyjąkał Sanders strzepując z siebie pleksiglas. — Cztery-pięć, tu Red. Zostaliśmy trafieni.

— Zrozumiałem, Red. Widzimy wasz dym.

— Czy maszyna się pali?

— Nie. Żółty dym na ziemi.

Sanders uspokoił się. — To musiały być pięćdziesiątki. Zdaje się, że mi przeleciały tuż koło twarzy i przez wasze drzwi, Chambers. Nikt nie skaleczony?

Chambers dotknął twarzy, ale nie było krwi.

— Nie, panie kapitanie.

— Diabelne szczęście. No, nadlećmy nad nich parę razy.

Wrócili o zmierzchu; obóz mrugał do nich małymi białymi światełkami. Chambersowi udało się nie myśleć podczas nalotów i tylko strzelać, ale w drodze powrotnej zaczął ogarniać go coraz większy strach. Nie mógł tak dalej. Spełnił już swój pieprzony obowiązek czy też to, co miał do wykonania. Jeszcze dwa miesiące zabiją go na pewno, czy przyjdzie zmiana, czy nie. Postanowił odejść.

Zatrzymanie go w służbie powietrznej, kiedy nie miał ochoty latać, było sprzeczne z przepisami.

Załadował powoli amunicję, a potem pobrnął na teren plutonu. Morgan, Webster i Hancock leżeli na ziemi pękając ze śmiechu, a między nimi piętrzył się zmięty stos płacht namiotowych, ponch i nieprzemakalnych worków.

343

— Popieprz bąka, a bąk brzdąka! — krzyknął Morgan. Wszyscy ryknęli śmiechem.

Hart wypadł ze swego namiotu stojącego o dwadzieścia stóp za nimi.

— Co tu się dzieje, do jasnej cholery? Schlaliście się? Dlaczego ten namiot nie stoi? Wstawajcie, psiakrew!

— Ani rusz nie możemy postawić tego namiotu, panie sierżancie — odrzekł Hancock, po czym

zaśmiewając się padł na kolana.

— Bierzcie się do roboty, cholera! Przetrzymam was całą noc. Wszyscy inni są już gotowi i kopią schrony. Gdzie wyście byli? Jeżeli się spiliście, to bekniecie za to.

Morgan czknął. — Czyściliśmy broń.

— Chromołą waszą broń. Może zaczekać. A teraz przestańcie pajacować i stawiajcie ten namiot. Oka nie zmrzycie, dopóki nie poukładacie worków piasku na trzy stopy wysoko.

— Ale do nas strzelali — rzekł Morgan.

— A ja dopiero co wróciłem i do nas także strzelali — powiedział Webster.

— Gównu mnie to obchodzi! — wrzasnął Hart. — Jazda do roboty.

Odwrócił się i pomaszerował do swego namiotu.

— Panie sierżancie...

Hart obrócił się od klapy namiotu.

— Czego chcecie, Chambers? Postawiliście namiot?

— Aha. Mogę z panem chwilę porozmawiać?

— Właż. O co chodzi

— Chcę przestać latać.

Hart usiadł i otworzył piwo. Bawił się pianą przez parę sekund, po czym podniósł głowę.

— Dlaczego?

— Bo mam tego dosyć, a już mi niedużo zostało. — Widział, że Hart się nie ugnie.

— Tak samo cała masa innych.

— Ale ja chcę odejść.

— I co robić? 344

— Nie wiem. Pracować w kasynie. Wrócić do bazy i budować baraki. Cokolwiek.

— Nie da rady. W kasynie już jest za dużo ludzi. Z bazy wysyłają chłopaków do piechoty, bo też jest ich tam za dużo.

— To będę palił odchody.

— Brady ze strzelców pali odchody. Nie potrzeba nam nikogo więcej. Latajcie dalej. Za trzydzieści dni przyjdą uzupełnienia.

— Nie będę więcej latał.

Hart podniósł głowę i wyszczerzył zęby.

— I owszem, będziecie.

— Pan nie może mnie zmusić. Nie może pan zatrzymać mnie w służbie powietrznej.

Hart kiwnął głową, napił się piwa, po czym pokręcił puszką trzy czy cztery razy.

— Słusznie, Chambers. Nie musicie latać. Więc coś wam powiem. Puszczę was. Jutro rano odeślę was do strzelców. Na pewno mają kogoś, kto będzie dumny, jeżeli zostanie karabinowym.

— Nie pójdę do strzelców. Już to robiłem.

— To będziecie dalej latali. Wygląda na to, że stale coś rzucacie, Chambers. Zostawię wam tę noc do namysłu. Dajcie mi znać rano.

— Ale...

— Nie ma żadnego „ale”, Chambers. — Głos Harta był chłodny, całkowicie pewny siebie. — A teraz zabierajcie się stąd i pomóżcie McCutcheonowi przy tym wykopie.

22

Śmigłowiec przeleciał nad szosą nr 19 trochę po dziewiątej, a Morgan dojrzał żołnierzy napływających już do Miasta Grzechu. Sam też tam będzie dziś po południu — pewnie po raz ostatni przed zmianą. Golnie coś sobie na chybcika i pójdzie odwiedzić Leng w pralni. A może zostanie tam cały dzień, popijając piwo i bawiąc się z dziećmi.

Maszyna wylądowała na polu defiladowym za dowództwem batalionu. Zataszczył swój worek odzieżowy do kompanii C, rzucił go na łóżko w jednym z kilku stojących jeszcze namiotów i poszedł do S-1. Chwilę stał przed namiotem przypatrując się DeWolfowi siedzącemu przy maszynie

do pisania. Inny starszy szeregowiec stał oparty o kontuar obok jakiegoś nieznajomego sierżanta. Na bambusowej ścianie nadal wisiał dawny kalendarz Morgana z pozaznaczanymi dniami pierwszego tygodnia października. Morgan pomyślał o Chase'ie i Greene'ie zastanawiając się, co teraz robią. Nawet się z nimi nie pożegnał. Ciekaw był, czy kiedykolwiek dowiedzą się, jak się spisywał na funkcji karabinowego i że go przedstawiono do medalu. Poczul nagły smutek na myśl o nich, ale odsunął te myśli

1 wszedł do namiotu.

— Macie pismo od waszego szefa? — zapytał sierżant stojący za kontuarem.

— Chcę się tylko zobaczyć z DeWolfem.

— Móg! — DeWolf podniósł wzrok znad maszyny do pisania. — Co ty tu robisz?

— Zwaliliśmy się wczoraj na pole ryżowe. — Powiedział to niedbale, tak jakby runięcie z wysokości dwudziestu stóp w śmierdzącą brunatną wodę było głupstwem. Drelichy i buty miał oblepione błotem i o mało nie sfaj-dał się w spodnie.

— Wy jesteście Morgan? — zapytał sierżant.

— Aha.

— Słyszałem o was. Chcecie tu wrócić i urzędować?

— Nie. Zdaje się, że macie teraz dwóch.

— Ja za tydzień odchodzę do warsztatów naprawczych — powiedział DeWolf.

— Napijmy się kawy.

Po lewej stronie drogi batalionowej stały całkowicie wykończone baraki kompanii B. Nieco dalej baraki dowództwa też wyglądały na gotowe.

— Cholera, ale się tu zmieniło!

— A jakże, Móg. I to nie tylko baraki. Wszystko tutaj

346

to jedna bzdura. Ano, przynajmniej żółtki będą miały gdzie mieszkać, kiedy nareszcie odjedziemy.

— Co się stało z sierżantem Wallace'em?

— Wkurzyła go pobudka i wyrobił sobie przeniesienie do Stanów. Nie pytaj mnie jak. Zdaje się, że coś zachca-:hmęcił z Czerwonym Krzyżem.

W baraku DeWolf wyciągnął butelkę whisky z dna swego śpiwora. Napił się i podał ją Morganowi.

— Jak tam jest? Utlukłeś już jakichś żółtków?

— Nigdy się nikogo nie widzi. W ogóle nie wiem, dlaczego przenieśli nas do Bong Son. Strzelali do nas kilka razy, ale to nie było nic wielkiego.

Wątpił, czy zobaczy coś wielkiego, dopóki tam będzie. Przez te osiem 7dni w Bong Son szalały plotki, ów materiał zapalający wojskowego życia, który rozgorzał nawet w Ful-±zie, gdzie nigdy nic się nie działo. Jednego dnia byli w Bong Son jakoby dla ochrony zbiorów ryżu, drugiego, aby zabezpieczyć teren dla innej dywizji oraz dwa pasy startowe dla B-52 pod Phu Cat. Przed dwoma dniami wzięto jeńca, który miał dwadzieścia pięć woreczków złotego piasku zawieszonych u pasa, więc teraz krążyła miła plotka, że jedynym celem wojennym Wuja Sama jest zasilenie skarbcza w Fort Knox. Morgan napił się whisky i popłukał ją piwem z chłodziarki DeWolfa.

— A zresztą pieprzyć to wszystko. Chcesz pojechać do Miasta Grzechu?

— Byłem tam wczoraj. — DeWolf pogładził się po kroczu. — Muszę wracać do roboty.

Morgan zabrał czystą odzież i poszedł do natrysku. Teren S-4 i warsztatów naprawczych był nadal pokryty namiotami. Widocznie za mało miejsca na zbudowanie baraków. Za namiotem Fishera popatrzał na miejsce, gdzie upijał się przez tyle wieczorów. Ławy, pojemniki na wodę i popaczone stoły do golenia stały tam dalej bezładnie, niczym stara dekoracja teatralna oczekująca wejścia aktorów na następny akt. Jakaś mała wrzasnęła na Morga-na.

Ogolił się, wziął prysznic, przebrał się i poszedł do kasy-

347

na. Usiadł rozkoszując się uczuciem rozluźnienia. Jak na dwa miesiące spędzone w polu przeżył całkiem sporo. Jego maszyna została trafiona przez snajperów, potem ten nocny atak, zabici podani przez obserwatora lotniczego, a teraz kraksa na polu ryżowym. Zarobił sobie na Skrzydła i co

najmniej sześć medali lotniczych, a przedstawiono go też do medalu za odwagę. Dotykał krwi rannych. W ciągu następnych dwóch miesięcy przeżyje pewnie dużo więcej. Popijał kawę spoglądając na nowych żołnierzy, którzy wchodzili i wychodzili, i witał się z innymi, których poznał przed pójściem w pole. Zachowywał pewien dystans, mówił głosem powściągliwym i przytłumionym, jak przystało na frontowego żołnierza.

O jedenastej poszedł do swego namiotu i spotkał Harta na drodze koło kompanii C.

— Jedzie pan do Miasta Grzechu, sierżancie?

— Nie. — Hart spojrział na niego spode łba. — A bo co?

— Tak się tylko zastanawiałem. Ja jadę po obiedzie.

— A gówno.

— Nie mam nic innego do roboty.

— Musicie oczyścić kaemy w tej maszynie. *~ Zrobię to jutro.

— Jutro wracacie na front. Oczyśćcie broń dziś po południu.

Wpatrywał się chwilę w Harta nie wierząc własnym uszom. Co ten sierżant miał przeciwko niemu?

— Rany boskie, przecież maszyna się rozbiła. Nie zasługuję na jedno wolne popołudnie?

— Jesteście na wojnie, Morgan. Na nic nie zasługujecie. Te karabiny trzeba wyczyścić. W moim plutonie nie ma brudnej broni.

— Rany boskie!

— Gadajcie dalej, Morgan, to wam dobrze dam w dupę. O pierwszej macie być na lądowisku, bo jak nie, to bekniecie.

Hart odwrócił się i odszedł.

Morgan popatrzał na jego oddalające się plecy, a potem na ziemię. Usiłował się uspokoić, mówił sobie, że złośli-

348

wość Harta nie ma charakteru osobistego — ten kutas jest po prostu wkurzony, bo nie dostał awansu. Ale to nie Dyło sprawiedliwe. Zasłużył sobie na parę parszywych godzin w Mieście Grzechu.

— Pieprzę to — mruknął i poszedł do baraku DeWolfa. Wyciągnął whisky ze spiwora, dwa piwa z chłodziarki zapalił skręta. Zaciągnął się głęboko, po czym na zmianę popijał whisky, piwo i palił marihuanę, przerywając jedynie dla nabrania tchu.

Otworzył oczy i popatrzał na gołą żarówkę wiszącą i sufitu baraku. Na zewnątrz było ciemno.

Dźwignął się lo siedzącej pozycji, po czym opadł na wznak i stęknął. Zmarnował całe popołudnie.

DeWolf wszedł przez siatkowe drzwi.

— Śpiąca królewna nareszcie ruszyła swoją żalonną du-

— Nie gadaj. — Wiedział, że narobił sobie dużej biedy.

— Lepiej idź do Harta. Facet jest wściekły.

— A co się stało?

— Próbowali cię zbudzić całe popołudnie. Najpierw ten lowódca załogi, potem Hart, potem starszy sierżant, potem nasz główny wódz. Zaszedłem tu około trzeciej. Wszyscy czterej usiłowali cię podnieść. Wrzeszczeli, potrząsali cię, trzepali cię. Zrezygnowali chyba o czwartej.

Morgan przez minutę nie mógł mówić, tak się śmiał.

— Lepiej pośmiej się, póki co.

— Popieprz baka, a bak brzdąka. Odwiedzisz mnie w kryminale.

Wszedł z baraku, wsadził do ust gumę do żucia i ruszył w stronę kompanii C. Mogli go najwyżej zdegradować, a to mu było obojętne.

Hart siedział na łóżku rozmawiając z Murdockiem, dowódcą załogi, który przyszedł na miejsce Barry'ego. Morgan spoglądał na nich przez chwilę, otrząsając się ze strachu, po czym wszedł do namiotu.

349

— Oczyściliście kaemy, Murdock? Przykro mi, że musieliście robić to sami.

— Są gotowe, Móg.

— Morgan! — ryknął Hart. — Co tobie się zdaje? Morgan obrócił się do Harta i wyciągnął rękę, by go uciszyć.

— Spokojnie, sierzancie. Broń jest wyczyszczona. Tylko to jest ważne.

— Upiłeś się na służbie! Mogli tu rzucić bombę i nawet byś nie wiedział.

— W takim przypadku byłoby mi lepiej, gdybym był nieprzytomny.

— Naprawdę sam tego chciałeś, Morgan! Jutro rano idą do kapitana Sandersa i postaram się, żeby cię zdegradowali. Może nawet wystąpię o sąd wojenny.

— Pańska sprawa, szefuniu. — Morgan usiadł na łóżku.

— Wstań, jak do mnie mówisz! I zwracaj się do mnie „panie sierzancie”!

— Tak jest, panie sierzancie! — Stojąc na baczność nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

Hart zerwał się, siny z wściekłości.

— Boże, jak ja mam ciebie dosyć! A teraz zostaniesz w tym namiocie do rana.

— Nie mógłbym pójść wieczorem do klubu?

— Nie! Będziesz miał szczęście, jeżeli nie pójdziesz do więzienia.

Sierzant sztabowy Hart wypadł z namiotu.

— Jak Boga kocham, zdaje mi się, że mój szef plutonu ma ciężką formę udupienia — powiedział Morgan Wyciągnął z worka odzieżowego śpiwór i siatkę przeciw-moskitową. — No, Murdock, teraz, kiedy już się prze-drzemałem, chyba pójdę spać.

Nazajutrz rano Hart nic nie powiedział, kiedy spotkali się na lądowisku i wystartowali do lotu.

Morgan te; się nie odzywał, zerknął przelotnie na sierżanta, po czym zasiadł ponuro na swoim miejscu, podczas gdy maszyna mknęła przez chłodne poranne powietrze. Czuł, że nit ma przed sobą przyszłości, nie tyle dlatego że coś się skon-

350

żyło, ale że nic nie miało się zacząć od nowa. Usiłował być dumny z wczorajszego pijackiego epizodu, lecz wy-lawał mu się jakimś statycznym momentem sprzed lat. tfawet nie wyczekiwał chwili, kiedy będzie się nim cheł->ił przyjaciółom. Nie czuł ani lęku, ani podniecenia. Wie-Iział, że dziś wieczorem będzie już szeregowcem, ale nie i bał o to. Mogą go osadzić w Leavenworth, jeżeli będą nieli ochotę. Mogą zrobić wszystko. Nie martwiła go nawet ayśl o powrocie do S-1.

Kiedy wylądowali, Hart posłał go na lądowisko i kazał zekać. Został tam Hancocka i Webstera obrośniętych

brudnych, w drelichach oblepionych zaschniętym bło-em i w dziurawych poplamionych oliwą podkoszulkach. Wyglądali tak, jakby się postarzeliby o rok w ciągu tego Inia, kiedy go nie było.

Po południu odbył dwa loty, zjadł posiłek i poszedł o swego namiotu. O szóstej zjawił się kapitan Sloane.

— Znowu lot, panie kapitanie?

— Obawiam się, że nie, Morgan. Wygląda na to, żeście wczoraj nielicho narozrabiali. Kapitan Sanders wzywa was o swego namiotu. Nie mam pojęcia, co robi. Starajcie się zachować spokojnie, okej?

— Tak jest.

— Pójdę z wami.

Sloane odsunął klapę namiotu Sandersa.

— Jest, panie kapitanie.

Morgan stanął naprzeciw Sandersa i zasalutował.

— Karabinowy Morgan melduje się na rozkaz.

— Spocznij. Co macie do powiedzenia na swoją obronę?

— Niewiele, panie kapitanie. Źle postąpiłem, ale nie ważałem, żeby te karabiny należało oczyścić natychmiast. 'oza tym rozbiłem się ze śmigłowcem.

— Wiem, że to przykre, ale to nie jest żadne usprawiedliwienie. Kapitan Sloane mówił mi, że jesteście jed-ym z najlepszych karabinowych w plutonie i że wasze aemy zawsze działają doskonale. Dlatego nie wymierzy-ly wam oficjalnej kary. Będziecie mieli dodatkową służ-ę w kasynie przez dwie noce. Zameldujecie się u sier-

;zyło, ale że nic nie miało się zacząć od nowa. Usiłował Dyc dumny z wczorajszego pijackiego epizodu, lecz wy-lawał mu się jakimś statycznym momentem sprzed lat. tfawet nie wyczekiwał chwili, kiedy będzie się nim cheł-)ił przyjaciółom. Nie czuł ani lęku, ani podniecenia. Wie-Iział, że dziś wieczorem będzie już szeregowcem, ale nie Ibał o to. Mogą go osadzić w Leavenworth, jeżeli będą nieli ochotę. Mogą zrobić wszystko. Nie martwiła go nawet myśl o powrocie do S-I. Kiedy wylądowali, Hart posłał go na lądowisko i kazał izekać. Zastał tam Hancocka i Webstera obrośniętych brudnych, w drelichach oblepionych zaschniętym bło-em i w dziurawych poplamionych oliwą podkoszulkach. Wyglądali tak, jakby się postarzeli o rok w ciągu tego Inia, kiedy go nie było. Po południu odbył dwa loty, zjadł posiłek i poszedł lo swego namiotu. O szóstej zjawił się kapitan Sloane.

— Znowu lot, panie kapitanie?

— Obawiam się, że nie, Morgan. Wygląda na tor żeście vczoraj nielicho narozrabiali. Kapitan Sanders wzywa was lo swego namiotu. Nie mam pojęcia, co robi. Starajcie ię zachować spokojnie, okej?

— Tak jest.

— Pójdę z wami.

Sloane odsunął klapę namiotu Sandersa.

— Jest, panie kapitanie.

Morgan stanął naprzeciw Sandersa i zasalutował.

— Karabinowy Morgan melduje się na rozkaz.

— Spocznij. Co macie do powiedzenia na swoją obronę?

— Niewiele, panie kapitanie. Źle postąpiłem, ale nie iważałem, żeby te karabiny należało oczyścić natychmiast. 3oza tym rozbiłem się ze śmigłowcem.

— Wiem, że to przykre, ale to nie jest żadne uspra-viedliwienie. Kapitan Sloane mówił mi, że jesteście jed-Lym z najlepszych karabinowych w plutonie i że wasze :aemy zawsze działają doskonale. Dlatego nie wymierzy-ny wam oficjalnej kary. Będziecie mieli dodatkową służ->ę w kasynie przez dwie noce. Zameldujecie się u sier-

351

zanta Harta, a on wam powie, co robić. Ale teraz zachowujcie się bez pudła, bo za następnym razem zastosują regulamin. Wiem, że jest ciężko, jak człowiekowi niewiele czasu zostało, ale możemy wygrać tę wojnę tylko wtedy, jeżeli każdy będzie w porządku. Zrozumiano?

— Tak jest, panie kapitanie. Dziękuję, panie kapitanie. — Zasalutował Sandersowi i wyszedł z namiotu ze Sloanem. — Bardzo panu dziękuję. — Usiłował czuć wdzięczność, ale był tylko otępiały.

— Nie ma za co, Mórg. Może byście trochę pofolgowali z tym piciem? Nie chciałbym latać z byłym starszym szeregowcem.

— Tak jest. Dziękuję jeszcze raz.

Hart wrzasnął od drogi przy namiotach karabinowych i pluton zebrał się przed nim w szeregu.

— Wszyscy jesteście łajzy! Najgorsza banda, jaką widziałem. Morgan! Wstąpcie do szeregu!

Morgan stanął między Hancockiem a Chambersem.

— Nie ma mnie przez jeden dzień i wracam do sracza. Popatrzcie na siebie. Nie jesteście ludzie, tylko świnię.

Morgan miał ochotę upaść na ziemię przed Hartem chrumkając i ryjąc.

— No więc, nie pozwolę wam być świniami. Nikt nie powie, że mój pluton to dziady. Od tej pory macie być o każdej porze w pełnym umundurowaniu. Żadnych koszulek sportowych ani kąpieli słonecznych. A od jutra apel co rano o wpół do szóstej i kontrola golenia o siódmej. Każdy, kto nie stawi się na apel poranny czy nie ogoli, będzie w nocy szorował kotły w kasynie. Morgan zacznie dzisiaj, bo nie potrafił zachować się jak człowiek, kiedy miał kilka godzin wolnych. Będę was wszystkich budził o piątej, żebyście byli gotowi na apel. To wszystko. Rozejść się. Morgan, zameldować się u sierżanta kasynowego.

Po trzech dniach Barry wrócił ze szpitala w Nha Trang, twierdząc, że przez ostatni tydzień spędzał każdą noc

352

z kobietą w łóżku hotelowym, a za dnia wylegiwał się na plaży. Kiedy mówił do karabinowych stojąc w drzwiach śmigłowca, wyglądał jak właściciel plantacji zwracający się do swych robotników rolnych. Twarz i przedramiona miał mocno opalone, a dreluchy wykrochmalone i czyste. Wyglądał na zadowolonego. Karabinowi przyglądali mu się tępo, mieli oczy zapadnięte, dreluchy wymiętoszone i poplamione smarem, a twarze niezdrowego żółtego koloru, bo ich opalenizna wyblakła pod monsunowymi chmurami.

Hancock i Webster popijali co wieczór w innych kompaniach i wracali późno do plutonu, budząc wszystkich głośnymi przekleństwami, gdy wyciągali kołki namiotu chłopców Harta. Hart zabrał się do nich, ale nie mógł znaleźć żadnego dowodu, że przekroczyli swój wieczorny przydział dwóch piw. Stanąwszy przed sierżantem oświadczyli, iż zachowywali trzeźwość od tak dawna, że już po dwóch puszkach byli pijani.

Morgana więcej nie naciskano. Przywarował, schodził z oczu Hartowi, prawie w ogóle nie pił. Wiedział, że gdyby teraz zaczął, nie mógłby przestać. Czuł się zobowiązany wobec kapitana Sloane'a i nie chciał nawalić.

Czuł, że nie powinien, chociaż właściwie czemu nie? Czemu robić cokolwiek czy nie robić?

Podczas lotów był apatyczny, nawet gdy strzelał, wiedząc, że to nie ma żadnego znaczenia.

Opanował system broni, i całe to czyszczenie, ładowanie i naprawianie teraz go nudziło. Nawet myśl o akcji, o doświadczeniu, nie mogła go wyrwać z otepienia. Wiedział, że to się nigdy nie zdarzy.

Noce go denerwowały, bo musiał jakoś zabić cały ten czas. Brał prysznic, zaczynał głupie listy, które w końcu iarıł (bo i co miał do powiedzenia?), pochłaniał artykuły w czasopismach, które natychmiast zapominał, wpatrywał się w seksowne zdjęcia Raquel Welch czy Elke Sommer, czy Joey Heatherton w „Stars and Stripes”, zagubiony w prymitywnie lubieżnych wizjach.

Rozmawiał z Chambersem, słuchał, jak snuje plany studiów w college'u, wyznacza sobie dalekosiężne cele

!3 — Amerykańscy chłopcy

353

po powrocie do cywila. To go także denerwowało, bo myślał o samym sobie, gdy wróci do domu, wolny od wojska, i będzie musiał wybrać sobie coś do roboty.

Kiedyś współczuł Chambersowi z powodu jego trudnego życia i braku wykształcenia. Co za ironia! Teraz Orville tak bardzo go wyprzedził, że to nawet nie było zabawne. Zastanowił się nad swoją surowością umysłową, wyciągnął z tego wnioski i stawał się dojrzałym człowiekiem. Czasem, gdy Orville mówił, w Morganie budziła się zazdrość o tę jego dojrzałość, jego poczucie pełni. Pragnął mu to odebrać i zatrzymać dla siebie. Przez ostatnie dwa lata Orville wciąż wspinał się wyżej, a on zjeżdżał coraz bardziej w dół.

Tylko że jak mógł go naśladować? Orville zdobył w świecie doświadczenie niezbędne dla dojrzałości, dla hamowania wszelkich niemądrych odruchów, które mogły wpływać na jego życie. A on nie. Ciągle czuł się tak, jak gdyby żył przy końcu płonącego lontu, czekając na wybuch. A może okaże się niewypałem?

W tydzień po starciu z Hartem polecieli jako osłona plutonu strzelców między góry po drugiej stronie rzeki od Bong Son. Maszyna pościgowa prowadziła strzelców, a śmigłowiec Morgana przeleciał nad grzbietem podkowy gór, po czym rozpoznawał skraj dna doliny.

— Panie kapitanie! — wykrzyknął Barry, kiedy znaleźli się nad północno-wschodnim krańcem doliny. — Tam biegną jacyś dwaj ludzie.

Sloane obrócił się i wyjrzał przez drzwi.

— Widzę ich. Właśnie dali nura w te duże krzaki pośrodku. Zauważyliście jakąś broń, Barry?

— Nie. Tylko te czarne gacie.

— Mogą jednak być uzbrojeni. Widzicie ich, Morgan?

— Nie, panie kapitanie.

Śmigłowiec zakręcił tak, że ukazały się krzaki.

— Jeszcze nie strzelać — rzekł Sloane. — Przelecimy nad nimi parę razy.

Za drugim nalotem Sloane spytał:

— Widzicie coś, chłopcy?

354

— Nie, panie kapitanie — odparł Barry.

— Ją widziałem czyjaś nogę, ale nic więcej.

— Okej, Morgan. Walcie w ziemię przy tych krzakach. Może ich wypłoszycie, żebyśmy mogli wziąć ich żywcem.

— Rozkaz.

Posypał pociskami ziemię po obu stronach. Nikt się nie wynurzył z krzaków, kiedy maszyna zatoczyła koło.

— Cholera! Nie wylązą i nie wyglądają na to, żeby mieli strzelać.

— Moglibyśmy zejść na ziemię, panie kapitanie.

— Dajcie spokój, Morgan. Wtedy pewnie otworzyłiby Dgień.

— Może to jakieś dzieciaki.

— Nie sędzę. Nie ma tu żadnej wsi w promieniu pięciu czy sześciu mil.

— Nie wyglądali na takich małych — rzekł Barry.

— Woolsey, lećmy powoli do południowego końca do-iny, tak jakbyśmy odlatywali, a potem zakręćmy tu jak lajprędeży. Morgan, strzelajcie prosto tam, to może ich wypędzimy.

Rozłożył amunicję, zaparł się stopą o drzwi i wychylił la wiatr. Krzaki za nimi stały samotne i nieruchome.

Woolsey zakręcił maszyną tak raptownie, że Morgan o mało nie wypadł. Wetknął kolbę pod pachę i otworzył Dgień. Ziemia wyprysnęła przed krzakami, a potem pociski smugowe popuły prosto w nie. Byli w odległości dwustu jardów, kiedy ktoś wybiegł z krzaków. Morgan przesunął broń o kilka cali w prawo i tamten upadł.

— Przerwać ogień! — krzyknął Sloane.

Morgan odjął palec od spustu i broń zamilkła. Oddychał szybko. Naprawdę kogoś trafił.

— Jezu Chryste! — odezwał się Sloane. — To jakiś holerny dzieciak.

Morgana coś ścisnęło w żołądku i oparł się o ściankę Dgniową spoglądając bezradnie na Barry'ego.

— Bardzo mi przykro, Morgan — powiedział Sloane. — Fo moja wina. Ale przynajmniej żyje.

Morgan spojrział w dół, kiedy przelatywali nad chłop-

cem. Leżał na wznak, z ustami rozwartymi w bezgłośnym krzyku bólu. Z obydwu jego łydek tryskała krew.

— Bardzo żałuję, panie kapitanie.

— To nie wasza wina, Morgan. Wszyscy jesteśmy winni. Mam tylko nadzieję, że tamtemu drugiemu nic się nie stało.

Morgan całkiem o tym zapomniał. Drgnął na siedzeniu, ale to, co zrobił, wisiąo dokoła niego nie pozwalając mu się wymknąć.

Sloane wezwał przez radio kompanię sanitarną w bazie polowej i zawiadomił ją, że przywozi dwóch rannych chłopców, po czym kazał Woolseyowi wylądować koło leżącego.

— Barry, zabierzcie go. Morgan, wy idźcie w krzaki po tego drugiego.

Morgan przestał myśleć o tym, co może znaleźć. Oparł karabin maszynowy o siedzenie Woolseya, ściągnął z siebie rzemienie spadochronu i kamizelkę przeciwodłamkową. Odłączył swój kask lotniczy i wyskoczył na gąbczastą ziemię.

Liście krzaków były spryskane krwią, a gałęzie pościnane przez jego kule. Nie było tam nikogo.

Cienka strużka krwi wybiegała z jednej strony kierując się ku zbitej gęstwinie o sto jardów dalej.

Przynajmniej ten chłopak żył. I najwyraźniej poruszał się dosyć szybko. Morgan z ulgą zawrócił do śmigłowca.

W trzy dni później po obiedzie polecili piętnaście mil na południe, nad rozległą płaską równinę usianą małymi pagórkami. Ziemia była skalista i twarda, bladozielona od rzadkich traw — mało prawdopodobne, żeby tam krył się Wietkong. Dalej ku zachodowi zieleń ciemniała przechodząc w

gęstą dżunglę, która zbiegała do Szczęśliwej Doliny zlewając się z błękitnym niebem na odległym o wiele mil horyzoncie.

Wyglądało na to, że chłopiec przyjdzie do siebie. Zestawiono mu strzaskaną kość łydkową, zrobiono transfuzję, i najwyraźniej podobała mu się opieka w szpitalu.

356

Barry odczuł tę historię silniej niż ktokolwiek, przypisując tobie za nią całą winę.

Morgan też czuł się paskudnie, aczkolwiek poza Cham-)ersem nikt w plutonie się nie przejmował.

Większość uważała to za zabawne. Przynajmniej ten chłopak wyzdrowieje. Morgan miał nadzieję, że drugi nie wpełznął w dżunglę i nie skonał.

Wzdrygnął się i pochylił w przód, aby popatrzeć na skały u podnóża niewielkiej grani, którą okrążali. Powoli w zasięgu jego wzroku pojawił się jakiś człowiek, tak jakby ktoś nastawił kamerę na ostrość. Trzymał karabin skierowany prosto do góry. Miał zamiar do nich strzelać.

Morgan nacisnął spust swojego kaemu i wyrzucił przez irzwi granat z fioletowym dymem. Pociski smugowe rykoszetowały od skał błyskając jak automat do gry. Morganowi wydało się, że tamten upadł, ale wsporniki zasłoniły mu widok.

— Co to było? — zapytał Sloane.

— Jakiś człowiek między skałami. Miał karabin. Rzuciłem dym. Zdaje się, że go trafiłem.

Zniżyli się nad skały; widzieli krew, ale ani śladu człowieka.

— Pewnie wlaźł do jakiejś jamy albo co — powiedział Sloane. — Nadlećmy prosto, a potem wracajmy. Jakby któryś z was zszedł na ziemię, mógłby zostać zastrzelony.

Obsypali zbocze wzgórza kulami i rakietami, a każdy zrzucił granat, kiedy przelatywali nad grzbietem.

— To powinno być dla niego nauczką — powiedział Sloane. — Myślę, że możemy podać przez radio jednego przypuszczalnie zabitego.

Morgan pił z Hancockiem i Websterem. Przez następne dziesięć wieczorów obchodzili namioty innych kompanii, gdzie napelniali puszkami piwa worki od piasku, dźwigali je na lądowisko, a zasiadłszy na ziemi popijali i klęli. Morgan wyjął z jednej ze skrzynek pociski do bocznych

357

karabinów, napelniał ją puszkami i położył na wierzchu taśmę amunicyjną dla niepoznaki. Wypijał co rano dwa piwa, a trzecie do obiadu i wypalał połówkę skręta. Nie miewał kaca. Skóra mu zwiotczała, a całe ciało było ociężałe, tak jakby wypełniało się ropą.

— Czuję się osłabiony — powiedział któregoś wieczoru — ale to chyba jest jedyny mięsień, jakiego potrzebuję. — Zgiął palec wskazujący, którym naciskał spust, a Webster i Hancock ryknęli śmiechem.

Trzymał się możliwie jak najdalej od Chambersa. Rozmawiali ze sobą przy kolacji, żartowali w ciągu dnia na lądowisku. Wieczorami przebywał poza rejonem plutonu i włókł się do swego namiotu dopiero około północy. Chambers nigdy mu nic nie mówił, ale Morgan wyczuwał osąd w jego wzroku.

Szef załogi z kompanii dowództwa przyniósł im butelki whisky Old Crow, które zakopali na lądowisku. Raz Morgan spóźnił się na apel poranny i spędził noc w kasynie na szorowaniu kotłów. Działania bojowe ograniczały się do ostrzeliwania ognisk obozowych i rewidowania starców na drodze.

Chambers wyjechał do Hongkongu dwudziestego dziewiątego, w dniu kiedy zbierała się komisja awansów. Har-ta znów przedstawiono do E-7. Plutonowi przydzielono dziesięć stopni sierżanta, ale Hart zaproponował tylko pięciu ludzi — dowódców załóg i trzech swoich lokaj-skich karabinowych. Morgan, Hancock, Webster ani Chambers nie zostali wymienieni.

W wilię Dnia Wszystkich Świętych Morgan wrócił z przedwieczornego rozpoznania już po zapadnięciu zmroku. Wiedział, że tego popołudnia Hancock rozbił się znowu, kiedy jego maszyna runęła z wysokości pięćdziesięciu stóp na skutek awarii kompresora, prawie identycznie jak za poprzednim razem. Został tłustego karabinowego siedzącego z Websterem na płozie śmigłowca, z

obandażowaną lewą ręką i napuchniętą dolną wargą.

— Pierdolę tego drania! — wrzeszczał Hancock. — Morgan, dasz wiarę w coś podobnego? Hart nie chce mi

358

pozwoić odejść. Pewnie dlatego, że znowu go pominęli. Szlag by go trafił. Polecę jeszcze tylko raz, i to do domu. I będę się ciurkiem zalewał. Pięć katastrof i nie chcą mnie zwolnić. Ani zrobić sierżantem.

— Za niecały miesiąc już nas tu nie będzie — powiedział Webster.

— I nie mamy zastępstwa. Morgan, mówiłem pilotowi, że nie oderwie tej cholery od ziemi.

Wyciągaliśmy ledwie pięć tysięcy obrotów na minutę. Powiedziałem mu: „Nie można tym latać”. A on na to: „Spokojna głowa. Tylko przeskoczmy na lądowisko kompanii.” Ano, pieprzyć i jego. O mało nie skręcił karku i dobrze mu tak. A ten zasrany Hart nie chce mi dać odejść.

Hancock pił, palił i bełkotał jak wariat. Przypominał Morganowi włóczęgę, za którym kiedyś szedł przez centrum Los Angeles. Być może w ostatecznej obronie przed światem człowiek ten pofolgował całkowicie swojej wściekłości i wędrował po ulicach kierując nieprzerwany strumień przekleństw i plwociny na chodniki i w niebo.

Kiedy deszcz zaczął padać, Morgan szybko wypił dwa piwa usiłując włączyć się we wściekłość Hancocka.

— Mogę latać cały czas — mówił Hancock. — Mam tutaj dosyć zakopanej whisky, żeby przetrzymać. — Złapał patyk i zaczął grzebać w błotnistej powierzchni lądowiska. — Cholera jasna, Morgan, wiem, że flacha gdzieś tutaj jest. Deszcz zmył moje oznaczenie. Morgan o mało się nie roześmiał. Hancock prawdopodobnie oznaczył miejsce krzyżykiem.

— Tu cię mam! — Hancock zaczął wywijać butelką nad głowę. — Teraz się uchlejemy! Po trzech godzinach wrzucili butelkę i trzydzieści pustych puszek od piwa do dołu na śmieci. Nie zadali sobie trudu, by schować się przed deszczem, więc kompletnie przemokli. Ulewy w ostatnim tygodniu były takie gwałtowne, że wszystkie schrony plutonu się pozapadały. Nawet ten wielki za namiotem Harta, wzmocniony pojemnikami artyleryjskimi, zawalił się i był teraz tylko głęboką na sześć-stóp jamą pełną wody.

359

W namiocie, gdzie sypiali chłopcy Harta — teraz sierżanci — zamigotała świeca. Webster musiał przytrzymać Hancocka, żeby nie cisnął weń workiem piasku.

Morgan pochylał się przy kłapie, aby posłuchać.

— Rąbnąłem dzisiaj jedną babę i dzieciaka — mówił Alred.

— To fajnie! — wrzasnął Hancock. — Ale ja cię chro-mole, Alred! — Kopnął jeden z kołków i namiot opadł.

Między kłapami ukazała się głowa Alreda.

— Dajcie spokój! Co ty wyprawiasz, Morgan? Morgan o mało nie kopnął go w twarz.

— A gdyby to była twoja matka, Alred?

— Co takiego?

— Mówię: co by było, gdyby to była twoja matka?

— O czym ty gadasz?

— Pytałem, co by było, gdyby to była twoja matka, ty zapieprzony pierdoło.

— Prosisz się, żeby ci dać po pysku, Morgan. Webster wysunął się przed niego.

— Wynoś się, ty żalosny worku gówna!

— Wynoście się wszyscy — odezwał się Hancock. — Zaraz się do was weźmiemy. Ja się nie boję. Sam załatwię was wszystkich trzech, sierżantów czy nie sierżantów.

— Idź spać! — wrzasnął Alred. — Zanim na ciebie zamelduję.

— Zamelduj moją dupę — powiedział Hancock. — Ja się w każdym razie wynoszę.

— Chodź — rzekł Webster. — Kładziemy się do pier-dziworków. Te głupie pajace nic nam nie zrobią.

Morgan uśmiechnął się do Webstera tknięty nagłą myślą.

— Przewrócę namiot Harta. Bo on wkurwia Hancocka.

— Nie narób sobie biedy, chłopie.

— Teraz mnie to gównu obchodzi. — Pobiegł ku namiotowi Harta. Wskoczy na wierzch i zwali go. Pierdolić wszystkich zasranych sierżantów z tego plutonu! Wpadł do dołu z wodą za namiotem.

Kiedy wyłaził, Hart stał na krawędzi dołu i śmiał się.

— Co ty wyprawiasz, do cholery, Morgan?

360

— Tak się bawię, szefuniu. Kici, mici. — Usiłował złapać Harta za nogę, ale jedynie taplał się w błotnistej wodzie.

— Spileś się?

— Tylko się zanurzyłem. Jak to wygląda? — Widok Harta nieomal go wytrzeźwił.

— Wyłaż z tej kałuży i idź spać. Jutro wieczorem masz dodatkową służbę. Naprawdę przesadzasz, Morgan. Jak tak dalej pójdzie, odeślę cię do domu jako szeregowca.

— Przynajmniej pojedę do domu — mruknął Morgan.

— Coś powiedział?

— Nic. Idę spać.

Leżał na swoim śpiworze zupełnie trzeźwy. Gdyby nie było Hancocka i Webstera-, rozplakałby się. Jeszcze tylko parę tygodni. Niedługo zwolni swoje miejsce. A dopiero co tutaj przyszedł. Nie. Był tu całe życie. Chciał wracać do domu, uwolnić się od tych wszystkich dumnych sierżantów i oficerów. Ale nie mógł tego zrobić nie zdobywszy doświadczenia, po które tu przybył. Tylko że musiałyby to być coś więcej. Upijanie się, strzelanie do ludzi, których nie widział. Strzelanie do dzieci. Musiała przyjść taka chwila, kiedy pojmie, że ma już dosyć.

23

Chambers siedział na worku z piaskiem przed swoim namiotem, chłonąc zmierzch, rozkoszując się tą spokojną porą dnia, kiedy kończyło się latanie, a jeszcze nie zaczęło pijaństwo. Chłopcy szeleścili otrzymanymi listami, pykały otwierane puszki piwa. Długie bure lufy sto siedemdziesiątek piątek podnosiły się z wolna przy zachodnim krańcu obwodu, cofały gwałtownie od odrzutu, plując pomarańczowym płomieniem i wyrzucając w powietrze małe kłęby dymu, a potem osuwały się do swej normalnej pozycji. Zupełnie jak gigantyczne kutasy. Do góry. Wystrzał. W dół. Odgłosy wybuchów i drzenie ziemi docierały do Chambersa w sekundę później, a po paru sekundach

dach napływała do obozu głucha eksplozja rozrywających się o kilka mil pocisków. Następująca potem cisza wydawała się nieomal namacalna, jak gdyby świat był wnętrzem bębna, w który nikt nie uderza. Podobnie jak katedry w Europie, kiedy są prawie puste. Zapragnął oprzeć się policzkiem o chłodną kamienną kolumnę. Webster nagle klapnął obok niego.

— Co słyhać, Chambers? Zanurzyłeś sobie korzeń w Hongkongu?

— Cześć, Web. Troszeczkę. Póki mnie nie wyrolowali.

— Zrobiła cię na szaro jakaś stara kurwa, co?

— Córka brytyjskiego oficera.

— Zalewasz.

— Nie, wcale nie.

Poznał ową dziewczynę pierwszego dnia, kiedy jechał tramwajem na Victoria Peak. Wydawała się delikatna, nieomal subtelna i za dnia nawet porozmawiała z nim o architekturze. Noemi wariowała od picia i obłapiania, ale zawsze szła do domu przed północą. Trzeciej nocy poszła do domu z jego pieniędzmi, kiedy brał prysznic.

— Nie wiem, dlaczego to zrobiła. Jestem pewien, że ich nie potrzebowała.

— Zabrała ci wszystko, co do centa?

— Miałem w bucie dwudziestaka, którego nie znalazła.

— W każdym razie to była przytomniaczka — powiedział Webster. — No, zdaje się, że wrócili cało.

Światła błysnęły na śmigłowcu Morgana, kiedy zakreślał nad wzgórzem, a klekot łopat jego wirnika przypominał ciche popierdywanie.

— Idziesz na lądowisko? — zapytał Webster. — Tam teraz pijamy.

— Może później. Często się urzynacie?

— Nie dosyć — Webster rozłożył ręce. — Coraz mniej czasu nam zostaje. Chambers. Wiesz, jak to jest.

Oblała go fala zmęczenia, gdy patrzył za Websterem odchodzącym w stronę lądowiska. Już niedługo. Nie więcej niż dwadzieścia dni w polu. O rany, ale ten Webster jest ubabrany! Chambers zerknął na swoje paznokcie spo-

362

Iziewając się, że od razu znajdzie pod nimi brud. Wrócił do obozu-bazy tego rana, a przed godziną przyleciał do bazy polowej. Wszyscy tu byli niechlujni, umorusani i jak-oby na wpół szaleni. Czuł, że to ogarnia i jego, tak jakby jowrót uruchamiał jakiś gruczoł wytwarzający brud w porach skóry. Kiedy tamta dziewczyna go wyrolowała, spędził masę czasu pod prysznicem. Trzy razy dziennie co najmniej po godzinie. Najpierw ukrop, żeby wyparzyć :ale to świństwo, a potem lodowata woda, aby powstrzymać pocenie. Przepływał promem przez ruchliwy port, jeździł autobusem, a potem tramwajem na Victoria Peak. Wędrował po ukwieconych ścieżkach nad oceanem i portem, radując się myślą o bliskim już życiu cywilnym. Potrafił sypiać po dziesięć godzin na noc i teraz był wypoczęty, gotów odsłużyć swoje, nawet stojąc na głowie, jeżeli tylko zostawią go w spokoju. Przed tygodniem on i Morgan otrzymali rozkazy wyjazdu, Chambers do Fort Hood w Teksasie, Morgan do Benning w Georgii. Ale nie przyszła żadna wiadomość o uzupełnieniach i karabinowi nie mogli odejść z pola, dopóki nie przybyliby nowi i nie zostali przeszkoleni. Odsłużył swój czas bez szumu. Mając do wyboru latanie i piechotę, musiał zdecydować się na to pierwsze. Gdyby zaczął rozrabiać, na pewno znaleźliby jakiś sposób, żeby go ujaść.

Przesiedział resztę wieczora na workach z piaskiem, zbyt apatyczny, zbyt uspokojony, aby wlec się na lądowisko. W końcu cały ten ich cyrk przyszedł do niego przypominając mu Przypowieść o ślepcu Brueghla; każdy przystawał, aby wypytać o chłanie-i-dupczenie na urlopie, zanim pobrnął do swego przekrzywionego namiotu i za-piaszczonego śpiwora. Morgan, Hancock i Webster nadeszli ostatni, klnąc Alreda, zanim zwalili się na ziemię u stóp Chambersa, aby mu opowiedzieć wojenne historie z ostatnich sześciu dni.

Gdy tylko zaczęli, Chambers od razu zapalił skręta. Czy nie tacy byU jaskiniowcy? Siedzieli dokoła puszek piwa, tak jak tamci siedzieli dokoła ogniska piekąc

363

— Tak się bawię, szefuniu. Kici, mici. — Usiłował złapać Harta za nogę, ale jedynie taplał się w błotnistej wodzie.

— Spieś się?

— Tylko się zanurzyłem. Jak to wygląda? — Widok Harta nieomal go wytrzeźwił.

— Wyłaż z tej kałuży i idź spać. Jutro wieczorem masz dodatkową służbę. Naprawdę przesadzasz, Morgan. Jak tak dalej pójdzie, odeślę cię do domu jako szeregowca.

— Przynajmniej pojedę do domu — mruknął Morgan.

— Coś powiedział?

— Nic. Idę spać.

Leżał na swoim śpiworze zupełnie trzeźwy. Gdyby nie było Hancocka i Webstera, rozpląkałby się. Jeszcze tylko parę tygodni. Niedługo zwolni swoje miejsce. A dopiero co tutaj przyszedł. Nie. Był tu całe życie. Chciał wracać do domu, uwolnić się od tych wszystkich durnych sierżantów i oficerów. Ale nie mógł tego zrobić nie zdobywszy doświadczenia, po które tu przybył. Tylko że musiałyby to być coś więcej. Upijanie się, strzelanie do ludzi, których nie widział. Strzelanie do dzieci. Musiała przyjść taka chwila, kiedy pojmie, że ma już dosyć.

Chambers siedział na worku z piaskiem przed swoim namiotem, chłonąc zmierzch, rozkoszując się tą spokojną porą dnia, kiedy kończyło się latanie, a jeszcze nie zaczęło pijaństwo. Chłopcy szeleścili otrzymanymi listami, pykały otwierane puszki piwa. Długie bure lufy sto siedemdziesiątek piątek podnosiły się z wolna przy zachodnim krańcu obwodu, cofały gwałtownie od odrzutu, plując pomarańczowym płomieniem i wyrzucając w powietrze małe kłęby dymu, a potem osuwały się do swej normalnej pozycji. Zupełnie jak gigantyczne kutasy. Do góry. Wystrzał. W dół. Odgłosy wybuchów i drzenie ziemi docierały do Chambersa w sekundę później, a po paru sekun-

361

dach napływała do obozu głucha eksplozja rozrywających się o kilka mil pocisków. Następująca potem cisza wydawała się nieomal namacalna, jak gdyby świat był wnętrzem bębna, w który nikt nie uderza. Podobnie jak katedry w Europie, kiedy są prawie puste. Zapragnął oprzeć się policzkiem o chłodną kamienną kolumnę. Webster nagle klapnął obok niego.

— Co słysząc, Chambers? Zanurzyłeś sobie korzeń w Hongkongu?

— Cześć, Web. Troszeczkę. Póki mnie nie wyrolowali.

— Zrobiła cię na szaro jakaś stara kurwa, co?

— Córka brytyjskiego oficera.

— Zalewasz.

— Nie, wcale nie.

Poznał ową dziewczynę pierwszego dnia, kiedy jechał tramwajem na Victoria Peak. Wydawała się delikatna, nieomal subtelna i za dnia nawet porozmawiała z nim o architekturze. Noemi wariowała od picia i obłapiania, ale zawsze szła do domu przed północą. Trzeciej nocy poszła do domu z jego pieniędzmi, kiedy brał prysznic.

— Nie wiem, dlaczego to zrobiła. Jestem pewien, że ich nie potrzebowała.

!— Zabrała ci wszystko, co do centa?

— Miałem w bucie dwudziestaka, którego nie znalazła.

— W każdym razie to była przytomniaczka — powiedział Webster. — No, zdaje się, że wrócili cało.

Światła błysnęły na śmigłowcu Morgana, kiedy zakreślał nad wzgórzem, a klekot łopat jego wirnika przypominał ciche popierdywanie.

— Idziesz na lądowisko? — zapytał Webster. — Tam teraz pijamy.

— Może później. Często się urzynacie?

— Nie dosyć — Webster rozłożył ręce. — Coraz mniej czasu nam zostaje. Chambers. Wiesz, jak to jest.

Oblała go fala zmęczenia, gdy patrzył za Websterem odchodzącym w stronę lądowiska. Już niedługo. Nie więcej niż dwadzieścia dni w polu. O rany, ale ten Webster jest ubabrany! Chambers zerknął na swoje paznokcie spo-

r

[ziewając się, że od razu znajdzie pod nimi brud. Wrócił do obozu-bazy tego rana, a przed godziną przyleciał do >azy polowej. Wszyscy tu byli niechlujni, umorusani i jak->y na wpół szaleni. Czuł, że to ogarnia i jego, tak jakby iowrót uruchamiał jakiś gruczoł wytwarzający brud w po-ach skóry. Kiedy tamta dziewczyna go wyrolowała, spę-Izał masę czasu pod prysznicem. Trzy razy dziennie co tajemniej po godzinie. Najpierw ukrop, żeby wyparzyć :ałe to świństwo, a potem lodowata woda, aby powstrzy-nać pocenie. Przepląwał promem przez ruchliwy port, je-hał autobusem, a potem tramwajem na Victoria Peak. Wędrował po ukwieconych ścieżkach nad oceanem i por-;em, radując się myślą o bliskim już życiu cywilnym. Po-;rafił sypiać po dziesięć godzin na noc i teraz był wy-3oczety, gotów odsłużyć swoje, nawet stojąc na głowie, jeżeli tylko zostawią go w spokoju.

Przed tygodniem on i Morgan otrzymali rozkazy wyjazdu, Chambers do Fort Hood w Teksasie, Morgan do Benning w Georgii. Ale nie przyszła żadna wiadomość z uzupełnieniami i karabinowami nie mogli odejść z pola, iopóki nie przybyliby nowi i nie zostali przeszkoleni. Odsłuży swój czas

bez szumu. Mając do wyboru latanie i piechotę, musiał zdecydować się na to pierwsze. Gdyby zaczął rozrabiać, na pewno znaleźliby jakiś sposób, żeby go ujać.

Przesiedział resztę wieczora na workach z piaskiem, zbyt apatyczny, zbyt uspokojony, aby wlec się na lądowisko. W końcu cały ten ich cyrk przyszedł do niego przypominając mu Przypowieść o ślepcu Brueghla; każdy przystawał, aby wypytać o chłanie-i-dupczenie na urlopie, zanim pobrnął do swego przekrzywionego namiotu i za-piaszczonego śpiwora. Morgan, Hancock i Webster nadeszli ostatni, klnąc Alreda, zanim zwalili się na ziemię u stóp Chambersa, aby mu opowiedzieć wojenne historie z ostatnich sześciu dni.

Gdy tylko zaczęli, Chambers od razu zapalił skręta. Czy nie tacy byli jaskiniowcy? Siedzieli dokoła puszek piwa, tak jak tamci siedzieli dokoła ogniska piekąc

363

mięso, chrząkając, pierdząc, skrobiąc się i bekając, kiedy opowiadali dzieje całodziennych łowów. Mogło to być ciekawe, tyle że było tak cholernie męczące.

Po pół godzinie poleźli do swego namiotu, a on wpatrywał się w zamglone niebo, w nikłe punkciki światła przyćmionych gwiazd. Olbrzymi neonowy krąg otaczał księżyc. Chambers drgnął, kiedy huknęły sto siedemdziesiątki piątki. McCutcheon jęknął przez sen, po czym wszystko ucichło.

Zrobiło się chłodniej. Miał dość tych wszystkich ludzi i był rad, że poszli spać.

W namiocie psłożył się na brzuchu i odkręcił wierzch artyleryjskiego pojemnika, który McCutcheon zakopał w piasku i w którym zawsze miał lód i wychłodzone puszki. Chambers wyjął piwo, usiadł i zapalił cygaro. Zerwał się powiew i księżyc pędził na wschód przez pozostałe jeszcze smużki i kłębki obłoków.

Powiew ten był tu jedyną rzeczą, jaka przypomniała Chambersowi Phan Thiet. Dlaczego wszyscy są tacy brudni? Morgan wyglądał tak, jakby nie brał prysznica od tygodnia. Każdy w plutonie śmiał się więcej, ale w jakiś napięty, nerwowy sposób, tak jakby utracił zdolność bodaj pretendowania do poczytalności.

Wcisnął niedopałek cygara w otwór puszki od piwa. Zasyczał i zgasł w resztkach piany. Chambers wlaź do śpiwora i podłożył sobie dłonie pod głowę. Sto siedemdziesiątki piątki wywaliły następną salwę i zdawało się, że minęła godzina, zanim głucho huki wybuchów odległych o całe mile przeniknęły do jego namiotu. Na drodze rozległy się kroki.

— Chambers, pomóż mi. — Głos był stłumiony, jak gdyby mówiący czymś się dławił. — Pomóż mi! Pomóż!

Wysunął się ze śpiwora i wylazł zza siatki przeciwmo-skitowej na nocne powietrze.

— O Jezu!

Przed namiotem stał Maddin, a w jego ustach błyszczała lufa czterdziestki piątki. Kurek był odwiedziony. Palce Maddina dotykały nerwowo kabłąka spustowego.

— Maddin, daj mi to.

364

— Muszę to zrobić. Naciśnij za mnie spust. Sam nie mogę-

Odtrącił rękę Maddina. Złapał pistolet za kabłąk spustowy i szarpnął. Maddin przygryzł lufę, która zgrzytnęła i esamowicie po jego zębach.

— Oddaj mi broń, Chambers.

Chambers opuścił kurek, wyjął magazynek, po czym za-epetował pistolet, chwytając w dłoń wyrzucony nabój.

— Co się stało?

— Daj mi go. — W świetle księżycy na twarzy Maddina iłysnęły łzy.

— Przecież nie chcesz tego zrobić. — Starał się mówić spokojnie. — Co się stało?

— Moja żona. Rżnie się ze wszystkim, co chodzi. A uro-Iziła dziecko ledwie dziewięć miesięcy temu. — Maddin siadł na workach piasku i rozbeczał się jak mały chłopiec. — Robi to, odkąd tu przyjechałem.

Chambers siadł obok niego i położył mu dłoń na ranieniu.

— Rozmawiałeś z kapelanem albo z Czerwonym Krzyżem?

— Nic nie powiedziałem nikomu.

— Czerwony Krzyż może odesłać cię do domu. Znałem w Niemczech gościa, któremu przytrafiło się to samo. Dali mu przeniesienie na stałe. To nie twoja wina. Nie bądź dla siebie taki surowy. Maddin płakał przez pięć minut, nie mówiąc nic. Potem gadał godzinę, pokazywał zdjęcia żony i dziecka, domku-przyczepy, w którym mieszkali pod Fort Knox. Miał niedawny wycinek z gazety wychodzącej z Louisville, który mógł spowodować wydanie nakazu aresztowania. Żona dobrała się do jakichś kart kredytowych i wydała dziewięć tysięcy dolarów. Meble i urządzenie można było zwrócić, ale przepuściła też masę pieniędzy w restauracjach i dwa razy jeździła do Miami ze swymi kochankami.

Maddin dokończył opowieści, twarz miał zmiętą z wyczerpania. Zatechły zapach whisky, dobywający mu się z ust, był prawie nie do zniesienia.

365

— Pomyślałem, że nie ma innego wyjścia jak wsadzić nabój do komory i rozwalić sobie łeb.

— To by nic nie pomogło.

— Wyzwoliliby mnie z tego świństwa. Chambers nieomal się z nim zgodził.

— Dlaczego się trochę nie prześpisz i nie pogadasz z ka pelanem jutro rano?

— Okej. Ale nie mów nikomu, dobrze?

— Jasne.

— Teraz oddaj mi broń.

— Zatrzymam ją do rana. Masz jeszcze whisky?

— A chcesz?

— Wylejmy ją

— Możesz sobie wziąć, jeżeli masz ochotę. Głowa mi pęka od tego.

Chambers zaniósł butelkę do swego namiotu i łyknął dwa duże hausty, nim wylał resztę na piasek. Ostrożnie położył butelkę na wierzchu kubła do śmieci koło namiotu Harta.

W trzy dni później śmigłowiec Chambersa, Huey model B, zastąpiono nowym modelem 540. Miał on krótszą, szerszą łopatę wirnika i zabierał więcej paliwa. I ładniej wyglądał. Żadnych zadrapań farby, nawet na płozach. Na dawnym „latawcu” znalazłoby się więcej srebra i rdzy niż koloru khaki, a wewnątrz było gołą skorupą bez najmniejszych wygod. 540 był prawie luksusowy. Miękkie szare obicie pokrywało ściankę ogniową i sufit, a przy lśniących jasnoczerwonych winylowych siedzeniach podarte i poplamione oliwą w modelu B wydawały się czymś za wstydzą jącym. Nowy śmigłowiec nie miał żadnych bocznych karabinów ani wyrzutni rakiet. Zamontowany z przodu miotacz granatów tak bardzo przypominał ogromne wargi sromowe ze sterzącym z nich członkiem, że wszyscy karabinowi zgromadzili się dokoła niego i przez pół godziny śmieli się pokazując go sobie i robiąc odpowiednie gesty. Zawie-

366

żony pod zestawem dziobowym, gdzie mieściły się radia, miał kształt półkuli z przebiegającą środkiem szparą sze-okości około cala. Po obu jej stronach sterczała szczecina Irutów. Ze szpary wystawała lufa, którą można było po-uszać w górę i w dół, wciągać ją i wysuwać, posługując się celownikiem umieszczonym nad siedzeniem pilota. Po-rodku podłogi kabiny, za pulpitem, stało korytko z po-ączonymi granatami. Zsuwnia przechodziła przez pulpit bokiem pod tablicą przyrządów w dół do miotacza.

Zaciął się osiem razy, kiedy go próbowali w ciągu na-itepnych dwóch dni. Po każdym locie odbywały się na-ady przy miotaczu, a rusznikarze rozbierali, czyścili składali na nowo skomplikowane części wnętrza półkuli. Następnego dnia Chambers znalazł kawałek metalu zakli-lowany w zsuwni, w której zwiisały taśmy granatów. Pod-:zas rozpoznania o zmierzchu tego wieczora Sanders wywalił blisko sto granatów między drzewa na zboczu góry, a Chambers przeładował w czasie lotu. Było to mniej uciążliwe niż ładowanie skrzynek do bocznych karabinów . nie musiał dźwigać tyle tego paskudztwa, kiedy wracali aa punkt amunicyjny. Po locie Hart wręczył mu list od matki, pierwszy poważny list od czasu jego odpowiedzi na wściekłość ojca. Dostał potem kilka błahych kartek, ale nie było w nich wzmianki o tym, co napisał. W tym liście matka wręcz przeproszała za gniew ojca zapewniając, że wcale tak nie myślał.

Bzdura! Myślał dokładnie tak. Oboje przyjęli teraz z ulgą wiadomość, że syn już nie bierze udziału w walce. Matka uważała, iż dobrze, że ludzie robią coś dla kraju, ale on już zrobił swoje i nie ma nic wstydliviego w tym, że nie jest przez cały czas na froncie. Są tacy uszczęśliwieni, że wraca do college'u i że będzie w domu na Gwiazdkę. Szkoda, że nie może przyjechać, aby zobaczyć piękne jesienne kolory. Przygotowuje całą masę jego ulubionych dżemów i galaretek. Spotkała Elaine Banks w magazynie Neustadta, i Elaine niedawno urodziła syna. Zastanowił się, kto jest ojcem dziecka Elaine. Na pewno ten jej dupowaty mąż. Nie zadawałaby się z innymi. Chy-

367

ba że z nim, Orvillem. Tak jest! I o mało nie dostał przez to w czapę. Wyszła za Toma Banksa w rok po skrobance, kiedy wiedziała już, że Orville nigdy się nie zdecyduje. Tom Banks miał dobrą posadę w Minneapolis, w ogóle nie był pętakiem, ale ona po prostu powiedziała: „Orville, ty nigdy się nie zdecydujesz”, i tak się to skończyło. Do czasu, kiedy zadzwoniła do niego w dwa lata po ślubie i spotkali się nad jeziorem w wiosenną noc, gdy Tom był pijany do nieprzytomności. Jednakże ocknął się, kiedy wróciła o trzeciej nad ranem, i zbił ją tak, że się przyznała. Następnego dnia zadzwoniła znowu i powiedziała, że Tom wyciągnął broń i spróbuje go zabić tego wieczora. Zadzwoniła nawet wtedy, gdy w dwa miesiące później Orville wrócił do domu po przeszkoleniu, ale odłożył słuchawkę i skończył z tym znowu. Niech go lepiej zostawi w spokoju, kiedy przyjedzie do domu tym razem.

Przynajmniej z rodzicami na razie załatwił sprawę. Teraz pozostało mu tylko dać się zabić. Niewielka szansa. Słyszał tylko o jednym karabinowym, który został zestrzelony podczas lotu, i chociaż maszyna zawsze mogła się rozbić, taka możliwość była dość niska, zwłaszcza w tym nowym śmigłowcu. McCutcheon znowu dowodził załogą, odkąd Maddin odjechał do domu na urlop okolicznościowy. Był dobrym dowódcą i nie mógł niczego spieprzyć.

Chambers poczuł się uspokojony, kiedy poszedł odwiedzić Morgana i innych, a jeszcze lepiej po paru piwach. Ale gdy się położył, niepokój wpełznął na niego jak tłusty powolny wąż. Ojciec wiedział, że skłamał, wiedział, że teraz usiłuje zasnąć przed następnym dniem lotów, dniem możliwości śmierci czy zabijania.

Oskarżycielska, oburzona twarz nie opuszczała go we śnie i nazajutrz ciągle pojawiała się podczas dwóch pierwszych lotów. Niebo było nijakie, szare jak w Fuldzie. Zazwyczaj dawało mu to jakieś zadowolenie. Było przyjemne, orzeźwiające. Ale dziś go denerwowało. Pragnął albo słonecznej pogody, albo deszczu.

Bataliony piechoty operowały teraz w Szczęśliwej Do-ai, a pluton strzelców z kompanii C rozpoznawał gęsto irośnięte wzgórza tuż na wschód od doliny, przetrzą-jąc chaty ukryte wśród listowia i przeszukując wioski małych dolinkach.

Sanders kazał Eastmanowi oderwać się od plutonu strzelców, żeby móc znowu wystrzelić z miotacza granatów. Strzelców przejęła maszyna pościgowa, a Eastman zniżył ją tak, że śmigłowiec nieomal muskał czubki drzew, tam Izie dżungla stykała się z karłowatą trawą i krzakami a dnie doliny.

— Lepiej wznieśmy się na sto pięćdziesiąt stóp — powiedział Sanders. — Nie warto oberwać szrapnelami. Dwieście czy trzysta jardów od linii drzew pośrodku dony była wioska. Ocieniały ją palmy kokosowe, a jasno-runatne chaty przypominały miniaturowe domki, w których bawiły się dzieci na terenie mieszkalnym przy Fort nox. Wioska wyglądała na opustoszałą, a w dolinie nikt nie pracował — nie wiedzieć gdzie podzieli się ludzie. Chambers drgnął, gdy odezwał się karabin maszynowy McCutcheona, miotając łuski o jego hełm.

— Widzi go pan kapitan? — zapytał McCutcheon.

— Tak. Wbiegł między drzewa. Wypędzimy go stamtąd.

— Ten jest mój, panie kapitanie.

— Zaczekajcie, aż zobaczymy, co tam się dzieje. Wi-Iziliście tylko jednego?

— Tak jest.

— A wyście go widzieli, Chambers?

— Nie, panie kapitanie.

— Okej, będziemy krążyć, dopóki nie zobaczymy go znowu. Nikt nie ma strzelać bez mojego rozkazu.

Zniżyli się nad czubki drzew, zrobili dwa okrążenia nic nie zobaczyli. Kiedy Eastman zakręcał nad doliną, oś poruszyło się między drzewami. Chambers nacisnął guzik mikrofonu, ale Eastman włączył się przed nim.

— Mam go, panie kapitanie. — Eastman dokończył okrążenia i skierował śmigłowiec nad las.

— Prosto przed iami.

\ — Amerykańscy chłopcy

369

— Widzę go — odrzekł Sanders. — Wy tam, nie strzelać. Tego chcę dla siebie.

Nadlecieli raz jeszcze. Ich nieprzyjaciel nie miał więcej niż dwanaście lat. Obejmował oburącz drzewo wpatrując się tępo w śmigłowiec. Sanders opuścił już celownik miotacza granatów i siedział sztywno, obracając go w górę i w dół i spoglądając przez szkło.

— To tylko dzieciak.

— Skąd wiecie, Chambers? — warknął Sanders.

— Wystarczy spojrzeć. Każdy to pozna. Poza tym nie ma broni.

— Po prostu nie widzieliście broni. Dziwię się wam, Chambers. Ci z Wietkongu zaczynają od małego. Jesteście tu dość długo, aby to wiedzieć. On może ostrzegać innych schowanych między drzewami.

— Prawdopodobnie się bawił i zaciekały go śmigłowce.

— Nie jest taki głupi. Uciekał, nie?

— Tak, ale...

— Dosyć, Chambers. Jak coś ucieka, to się to zabija. Wiecie o tym. Ich kurwy zaczynają od dwunastu lat, a żołnierze nie są wiele starsi,

Chambers puścił guzik mikrofonu i oparł się o ściankę ogniową. Stłumione czunk-czunk-czunk wystrzeliwanych granatów ozwało się natychmiast, a po dziesięciu sekundach doleciały z dołu stłumione wybuchy. Chambers nie patrzył. Miał nadzieję, że Sanders okaże się równie złym strzelcem jak zwykle.

Odgłosy zamilkły, kiedy maszyna poczęła zataczać koła.

— Prędej, Eastman! — zawołał Sanders. — Mamy go na otwartym.

Nie mógł teraz powstrzymać się od spojrzenia. Chłopak, bez broni, w roztrzepotanym czarnym ubiorze, gnał jak szalony do wioski. Zanim śmigłowiec dokończył koła, Sanders począł miotać granaty na chybił trafił w dno doliny, gdzie wybuchały ciemnoszarymi kłębami.

Chambers mógł zablokować wyrzutnik granatów. Obrócił się do wnętrza śmigłowca, ale dłoń McCutcheona, bacz-

370

e wyglądającego przez przednie okno, spoczywała na go cienkiej metalowej pokrywie. Żadnego sposobu! Chambers wytknął znów głowę na wiatr, chwytając w 3zdrza nikły zapach eksplodujących granatów. Chłopiec był o jakieś sto pięćdziesiąt kroków od wioski, i jeden z granatów wybuchnął o kilka jardów za nim. adł na twarz, a potem przesłonił go dym innego wy-uchu. Chambers zgiał się i przygryzł palec.

— Wygląda na to, że pan kapitan go dostał — rzekł Eastman.

— Zakręcmy jeszcze raz. Chcę się upewnić. To będzie lój pierwszy potwierdzony zabity.

Chambers rozejrzał się po śmigłowcu szukając czegoś, a czym mógłby skupić wzrok, aby nie patrzeć na ziemię.

— Martwy jak gwóźdź w drzwiach, panie kapitanie — zekł Eastman. — A nawet gdyby żył, nie mógłby za obrze się ruszać. Zdaje się, że pan przeciął go na pół.

— Jeszcze jedno koło. Dorzucę mu parę dla pewności.

— Tak jest, panie kapitanie.

Między sufitem a szarym płóciennym obiciem wnętrza migłowca była dziurkowana blacha.

Chambers odpiął łotno, by sprawdzić, z którego otworu zwisa elastyczna Inka jego karabinu maszynowego, i stwierdził, że blacha 5-st już wgięta. Kiedy znów huknęły granaty, sięgnął | górę lewą ręką, by dopasować linkę, i przypadkowo wystrzelił kilka naboí. Drgnął i odjął palec od spustu. Cofnął prawą rękę, a karabin, przytrzymywany tylko lin-:ą, zesunął mu się leniwie z uda o

kilka cali i zadyndał ta wietrze.

— Rąbnijcie sobie parę razy, Chambers — powiedział Sanders.

Wciągnął karabin z powrotem i położył go w poprzek :olan. Podniósł wzrok i zobaczył, że Sanders uśmiecha :ię do niego, a brodawka lśni mu jak czerwona lampka :hoinkowa. Nigdy dotąd nie widział, żeby Sanders się iśmiechał.

871

Śmigłowiec wzbil się z przesiąkniętego oliwą piasku w szarzące poranne niebo i skierował na zachód. Cham-bers obserwował załogi z kompanii A i B szykujące się do startu, po czym obejrzał się na karabinowych i dowódców załóg z kompanii C, którzy golili się przed namiotami. Kiedy maszyna nabrała szybkości, obrócił się do przodu i skulił dla ochrony od chłodu poranka. Przez cały wczorajszy dzień padał deszcz, ale dziś wyglądało na to, że będzie słonecznie.

Kiedy przelatywali nad wioską u zachodniego krańca obozu, podwiesił swój karabin maszynowy i załadował amunicję. Poruszał się ociężale; broń zdawała się ważyć sto funtów. Upłynęły trzy dni bez akcji, odkąd Sanders zabił tamtego chłopca. Oryille nie wiedział, czy zdoła jeszcze strzelać.

Było mu i tak dostatecznie trudno nacisnąć spust, kiedy ćwiczyli osłanianie plutonu strzelców, ale na samą myśl, że mógłby kogoś trafić, kurczył się w sobie. Przypuszczał, że gdyby ktoś go zaatakował, zdołałby strzelić i zabić, ale chwilami wątpił i w to. Wydawało mu się, że jego śmigłowiec ma teraz jakiś dług do spłacenia, nawet gdyby to musiało oznaczać zestrzelenie.

Dziwaczne były te myśli przelatując mu przez głowę, ta różnorodność nastrojów, których doświadczał. Czasami przyłapywał się na tym, że zestawia listy krzywd, że niczym jakiś poważny politolog przedkłada senatorom memoriały na temat zła wojny, jej całkowitego braku poszanowania dla istot ludzkich. Przedtem myślał głównie o sobie, o tym, że nie chce znaleźć się w takiej sytuacji kiedy robiłby rzeczy głupie czy niepotrzebne. Nie chcia: zostać zabity ani zabijać dla sportu.

Właśnie do sportu prowadziły go takie rozważania. Wojna była sportem, śmigłowce nowym sposobem ataku, który musiał wypróbować trener, Wietnam terenem tych prób gdzie nawet w wypadku gdyby zawiodły, można znów zastosować dawne zagrywki, aby zapewnić sobie tryumi. Ten kraj to boisko i nad jego zniszczeniem nikt nie bę dzie ubolewał, a ludzie są nieważni, gracze z podrzędne drużyny, i straty ich nikt nie odczuje. Trenerzy zaś miel

372

vych młodych zapalonych zawodników łykających bez istrzezeń banały na tenaąt ważności rozgrywki.

Niekiedy wpadał w rolę widza oglądającego wydarzenia ik, jakby były jedynie scenami z filmu czy telewizyjnej omedii, a nie sprawami realnymi, w których sam ucze-;niczył. Wczoraj dwudziestu ludzi z wioski o mało nie Dzerwały na strzepy dwie odrzucone wyrzutnie raket, Dzsadzone dynamitem w rowie przez zespół niszczenia. /yrzutnie zaopatrzono w krótki lont, śmigłowiec niszczą-y wznosił się w górę, a chłopci pognali jak wściekli do dwu. Na szczęście wyrzutnie wybuchły, zanim tam do-adli.

Chambers uderzył się dłonią po kasku lotniczym, usiłu-%c przepędzić z głowy przeraźliwe obrazy uciekających, szalałych ludzi, stłumić swoją pogardę dla tych wieśnia-:ów pragnących zdobyć choćby najmniejszy drobiazg amerykańskich rupieci. Wyobrażał ich sobie w długi zas po zakończeniu wojny czczących jakiś rozwalony zar-Izewiały kadłub rozbitego samolotu, tak jakby był samym 3uddą.

__Wciąż dymi, panie kapitanie — powiedział Eastman,

iedy śmigłowiec przeleciał nad wzgórzem i unosił się ad małą dolinę. Na jej dnie tliła się wioska odkryta /czoraj przez pluton strzelców. Nie było tam nikogo, kiedy jawili się żołnierze, ale w jednej z chat znaleziono za-lasy ryżu, więc całą wioskę obrzucono granatami i spa-ono. Dachy wszystkich chat nie istniały, niektóre ściany >yły całkowicie zburzone, a w innych ziały duże dziury wrobione butami żołnierzy. Wioskę otaczała ze wszystkich czterech stron dzungla.

Pośród zwęglonych, dymiących chat stał człowiek. W czarnym stroju, z czarnymi włosami przylepionymi do głowy. Chwilę spoglądał na śmigłowiec, nim podniósł karabin trzymany w prawej ręce.

— O rany, kropnijcie go! — krzyknął Sanders ściągając w dół celownik nieskończonościowy. Karabin maszynowy McCutcheona zawarczał, kiedy Sanders począł miotać granaty. Pociski smugowe trafiły w lewo od owego

373

człowieka, granaty zaś wybuchły pięćdziesiąt jardów za nim, obalając ściany chaty bez dachu. Chambers nie mógł oderwać od niego oczu. Mężczyzna nie ruszył się z miejsca i strzelał, kiedy bezradna maszyna przelatowała nad nim.

— Cztery-pięć, tu Red. Kropcie w tego człowieka!

— Widzimy go, Red.

Skręcili w prawo, gdy drugi śmigłowiec bojowy otworzył ogień raketami i karabinami maszynowymi. Mężczyzna okręcił się, dał nura za jakąś ścianę i pognął na południowy skraj wioski znikając jak czarny błysk wśród zieleni. Chambers przez chwilę spodziewał się, że maszyna runie, ale najwyraźniej nie zostali trafieni.

— Okej, Cztery-pięć — powiedział Sanders. — Naszpikujmy te drzewa wszystkim, co mamy.

— Zrozumiałem.

Każdy ze śmigłowców wykonał jeszcze trzy naloty zużywając cały swój ładunek kul, rakiet i granatów. Sanders połączył się z bazą i następny zespół był już w drodze. Tymczasem miano dać znać artylerii.

O dziesiątej zespół dwóch śmigłowców Chambersa wystartował znowu — na tę samą wioskę. Ów człowiek ukazywał się przelotnie obu zespołom, które tam nadleciały, wystrzeliwał kilka ładunków, po czym dawał nura w krzaki. Celował równie źle jak Amerykanie i do tej pory nikt nie został trafiony.

Eastman krążył nad wioską, a Sanders pompował vi dżunglę nieprzerwany strumień granatów. Chambers strzelał, ale kierował większość pocisków w linię drzew i w gęstą trawę, która dzieliła wioskę od dżungli. Maszyna Web-ster'a leciała za nimi wyrzucając rakiety po dwie na raz rozświetlając ciemną zieleń pociskami smugowymi z sześciu karabinów maszynowych.

— Chyba to go załatwiło, Cztery-pięć — powiedział Sanders.

— Mam nadzieję, Red. Granaty nieźle wyglądały.

Po wystrzeleniu amunicji śmigłowce wzniosły się i krążyły leniwie, czekając na nowy zespół.

374

— Cholera jasna! — zawołał Eastman. — Znowu ten rań, panie kapitanie.

Chambers obrócił się gwałtownie w chwili, gdy postać w czarnym stroju oderwała się od osłony dżungli i przy-tańęła pod ścianą, za którą nie było już nic.

— Rany boskie! — rzekł Sanders. — A nam zabrakło ej choleryjnej amunicji!

Z lufy karabinu trysnęły trzy błyski, po czym mężczyzna odniósł broń w górę, zawrócił i pognął z powrotem między drzewa.

— Niech pan kapitan pozwoli mi pójść za nim — po-stiedział McCutcheon.

— Nie ma mowy. Ściągnę tu cały pluton strzelców, że->y pogonili skubańca.

Zjawił się nowy zespół, a oni odlecieli z powrotem do >azy. Oficerowie pospieszili do namiotu operacyjnego, Chambers zaś począł ładować amunicję.

Przy posiłku rozmawiano tylko o tym człowieku. Po-yskał sobie szacunek wszystkich, był niemal bohaterem, ecz bohaterem, którego należało zabić. Zdawał się roz-Dalać wyobraźnię, niczym jakiś Jesse James czy Billy Lid, a jego odwaga budziła zazdrość i podziw u tych, dla których wielką satysfakcją byłoby go zabić. Dla Cham-Dersa przybrał heroiczne wymiary. Miał nadzieję, że jest niezniszczalny.

McCutcheon zjawił się ostatni na posiłek. Był w operacyjnym i słyszał wszystkie plany. Wioska miała zostać raz jeszcze ostrzelana przez artylerię, a potem obrzucona napalmem przed wkroczeniem do niej plutonu strzelców.

— Damy popalić temu pierdole, chłopie.

Maszyna Chambersa wyleciała znowu o wpół do drugiej. Przy wiosce ze wszystkich czterech stron tliły się wypalone napalmem w dżungli głębokie dziury. Między rozwalonymi chatami widniały tu i ówdzie mniejsze dziury i poskręcana roślinność. Pluton strzelców znajdował się na ziemi od

czterdziestu pięciu minut i został dwukrotnie ostrzelany, przy czym ów człowiek pojawiał się
375

za każdym razem na przeciwległym końcu wioski. Nikt nie został trafiony.

Podczas ostatniego tego dnia lotu o wpół do szóstej śmigłowiec Chambersa osłaniał wycofanie strzelców. Nadal nie odnaleźli tego człowieka, który był jak dokuczliwy moskit. Chambers obserwował rozeźlonych żołnierzy ładujących się do transportowców. Idealna sposobność dla tamtego, żeby wyskoczyć z krzaków i zabić ze trzech czy czterech. Ale nie zrobił tego. Śmigłowce transportowe wzniosły się i pospieszyły ku bazie polowej, podczas gdy bojowe jeszcze raz zatoczyły koło. Wioska była całkowicie zrównana z ziemią, a otaczająca ją dżungla stanowiła jedną spletaną masę. Raz jeszcze wystrzelili wszystkie kule i granaty, a lecąca na końcu maszyna zrzuciła cały swój ładunek. Zatoczyli koło po raz ostatni, po czym wzniesli się i odlecieli. W nocy B-52 zbombardują ten teren. Kiedy Chambers obejrzał się, zobaczył owego człowieka, który znów stojąc pośrodku wioski wymierzył z karabinu i strzelił na pożegnanie. Chambers wytknął przez drzwi rękę z podniesionym kciukiem.

Kiedy maszyna leciała z powrotem do bazy polowej, zaczął robić obrachunek. Nikt nie zginął, nie było rannych, ani zestrzelonych śmigłowców. Jego maszyna wyrzuciła co najmniej sześćset granatów. Nie wiedział, ile kosztowały. Nawet licząc po pięć dolarów od sztuki wynosiło to trzy tysiące. Dodać dziesięć tysięcy naboju do karabinów maszynowych po dwanaście centów, i miało się cztery tysiące dwieście dolarów. Jeżeli dorzucić benzynę i olej, żołąd i koszty zużycia, to dzisiaj wyprztykali na pewno pięć tysięcy. Zachichotał kontynuując swoją zabawę. Śmigłowiec Webstera wystrzelił pięćdziesiąt sześć rakiet po sześćdziesiąt doliczając sztukę, co dawało trzy tysiące sześćdziesiąt dolarów. Ze dwadzieścia tysięcy naboju z karabinów maszynowych, czyli dwa tysiące czterysta dolarów. Razem z granatami, benzyną i całą resztą wychodziło dobre sześć i pół tysiąca. A więc łącznie jedenaście tysięcy pięćset. Jeżeli dodać trzy pozostałe pary śmigłowców bojowych, takich jak Webstera, to skromnie ra-

376

chując wypadła ogólna suma pięćdziesięciu tysięcy pięćset dolarów, nie licząc kosztów pocztowych i manipulacyjnych. Samoloty B-52 na pewno podciągną to do setki — czyniąc tamtego człowieka więcej wartym od Willie Maysa * — a jednak Chambers wiedział, że jutro rano będzie on znowu tańczył na swojej kupie gruzu, zużywszy prawdopodobnie równowartość czterech dolarów w nabojach kaliber trzydziści. Nawet tępy goryl przypatrujący się temu widowisku z trybuny byłby zmuszony odwrócić się z niedowierzaniem i uciec w głąb dżungli, najdalej jak by zdołał.

24

Zabawne, że zaczął przemawiać do niego jakiś głos. Natarczywy. Każde słowo wyraźnie wypowiedane. „WIL-LARDZIE MORGANIE, WIESZ, ŻE NIE WYDOSTANIESZ SIĘ STĄD ŻYWY.” Powracało to co rano przez kilka ostatnich dni, kiedy wyrывał się z pijackiego snu. Głos ten dobywał mu się z mózgu, odbijał echem w jakimś pustym zakamarku czaszki i ucichał. Z pewnością strach, bo przecież ledwie za pięć dni miał być w drodze powrotnej do świata, aczkolwiek myśl o tym wydawała się szalona. Wystawanie na ulicach, popijanie w miękkich fotelach. Nie. Sensowniej było umrzeć teraz. Albo też samolot mógł rozbić się na wybrzeżu Kalifornii. Oto jestem, głupcze. A może Norma Bredon byłaby wolna. Ładna. Miękkie opalone ciało, lekki zapach perfum, jedwabna nocna koszulka osuwająca się po tej krągłej pupce. Nie tu, w śmigłowcu, na miłość boską. Wychylić się przez drzwi, na powietrze, żeby mu opadł. Tak go to wzięło, że niemal mógł się spuścić na samą myśl.

Czasami wiatr zdmuchiwał wszystko, szczególnie kiedy lecieli w przedzie, tak jak podczas tego rozpoznania o świcie. Coraz bliżej i bliżej ziemi. Może polecą nad morze

* Willie Mays — jeden z najlepszych amerykańskich baseballistów (przyp. tłum.)

377

i będą prawie muskali wodę. Te wczesne loty uwalniały go przynajmniej od Harta i jego głupiej inspekcji golenia. Tak jakby dzięki gładkiej twarzy można było wygrać wojnę. Ten buc siedział cały dzień w namiocie, czytał świńskie książki i popijał żyto.

Przelecieli nad gajem kokosowym i kawałkiem plaży. Cztery dni temu leżało tu na piasku dwudziestu żołnierzy Wietkongu zabitych przez biwakującą piechotę, którą próbowali zaatakować. Wokoło nich leżały martwe bawoły, a ich zeszywniałe nogi sterczały groteskowo w powietrze. Barry nie mógł na to patrzeć. Zerzygał się na buty napełniając zbiornik paliwa. Morgan był rad, że ma zpaść szefem liniowym po odejściu McCutcheona.

— Móg — odezwał się kapitan Sloane. — Chcesz wypróbować karabiny nad wodą?

— Tak jest.

Czemu nie? Ładnie wygląda, jak pociski pluskają w wodę, a smugowe czasem się od niej odbijają. Pomarańczo-wość skacząca po błękicie — ulotne kolory.

— Cztery-dwa, tu Cztery-jeden, odbiór — powiedział Sloane.

— Tu Cztery-dwa.

— Zrobimy próbne strzelanie o jakieś ćwierć mili od brzegu. Możecie zacząć po nas, jeżeli chcecie.

— W porządku.

— Okey, Morgan i Barry — rzekł Sloane. — Tylko nie trafcie w jakieś sampany. Strzelajcie prosto w dół.

Ładnie wyglądała oliwa spalająca się na lufach, gdy karabiny otworzyły ogień. Wszystkie sześć działały doskonale. Kilka pocisków smugowych zrykoszutowało od wody wypalając się, gdy mknęły w niebo. Morgan oparł karabin maszynowy o siedzenie Woolseya i wziął swój M-16. Boczne kaemy przerwały ogień, a on wystrzelał magazynek z automatu. Zastanowił się, czy pociski smugowe nadal płoną, kiedy się wbijają w człowieka.

Woolsey skierował śmigłowiec w lewo. Morgan znowu położył karabin maszynowy na kolanach i wyglądał przez drzwi, kiedy strzelała druga maszyna.

378

n

— Cztery-dwa, tu Cztery-jeden. Przelećmy jeszcze parę mil wzdłuż brzegu, a po tam zawracajmy.

— Zrozumiałem. Lecimy za wami.

Morgan był w coraz lepszym nastroju, w miarę jak naszyna przelatywała nad dużymi skałami i wzgórzami, które wznosiły się od brzegu. Udało mu się dziś rano przełknąć śniadanie i nie miał takich skurczów w żołądku. Przełączył intercom na łączność bezpośrednią, żeby piloci nie słyszeli.

— Jeszcze pięć dni, Barry.

— Ano, chciałbym, żeby dostali dla ciebie zastępstwo — odrzekł Barry. — Jesteś dziś taki wesół jak świnia w gnoju. Jeszcześ pijany po wczorajszym?

— Po prostu fajnie się czuję, nic więcej. Mónsun ustał [wyszło słońce. Chłodny wiaterek przewiewa maszynę.

— Może lepiej nie spuszczać oka z ziemi. Właśnie mniej więcej tutaj przebił Sandersowi okno ten kaliber pięćdziesiąt,

— Okej, stary. Pogadamy później.

Zaszurał nogami jakby w tańcu. Chryste, czuł się niezwykły. Gdyby miał oberwać, oberwałby już do tej pory. Może to jednak jest sprawa szczęścia. Zawsze go miał pod dostatkiem albo przynajmniej w to wierzył. Tamten głos nie przerażał go tak bardzo. I nigdy się nie bał, kiedy zaczynała się strzelanina. Nareszcie koniec z gadaniem bzdur i kłamstwami. Niemal z radością przyjmował tę czystą emocję zagrożenia.

— Zawracajmy — powiedział Sloane.

— Chyba można. — Woolsey skierował śmigłowiec na zachód.

Nie byli w powietrzu nawet godziny i Morgan nie miałby nic przeciwko temu, żeby pozostali jeszcze jedną. Może jak wróci, napisze list do Normy. Do diabła z tym. Nie potrafił już pisać ni cholery. Upije się trochę, pójdzie i zrobi jej niespodziankę. Będzie mu współczuła, zechce mu matkować. A może dostanie wcześniej zwolnienie i pojedzie do Berkeley w marcu, zamiast czekać

do września — wtedy byłoby już trochę późno. Jeszcze dwa miesiące w

379

Fort Benning, jak mu się skończy urlop, a potem koniec. Może pojedzie do Meksyku albo do Minnesoty, odwiedzić Chambersa. Przynajmniej wróci do domu na Gwiazdkę i będzie miał pieniądze na samochód.

— Cztery-jeden, tu Trójka — odezwało się radio. — Ile wam zostało paliwa?

— Z pięćset funtów.

— Zrozumiałem, Cztery-jeden. Ten obóz oddziałów specjalnych o jakieś dwie mile na północ od targowiska przy szosie numer jeden jest ostrzeliwany z przyległej wsi. Sprawdźcie to. Możecie ich złapać na ultrawysokiej częstotliwości, jeden koma sześć siedem od tego punktu. Strzelajcie według własnego uznania.

— Zrozumiałem, Trójko. — Sloane przekręcił gałkę na pulpicie. — Słyszeliście, Cztery-dwa?

— Tak jest, Cztery-jeden.

— No to lecimy tam.

Te pieprzone Zielone Berety zawsze ich wzywają, kiedy się w coś wkleją. Może i są twardzi, ale Morgan jeszcze nie widział, żeby robili cokolwiek poza popijaniem piwa i wy-próbowywaniem zdobycznych karabinów na strzelnicy. Ano, nie ma dosyć paliwa, żeby długo pozostawać w powietrzu.

Woolsey wykonał skręt w prawo kierując śmigłowiec na północ, kiedy przelecieli nad szosą numer jeden. Wysokie palmy obrzeżały ją w pobliżu targowiska, gdzie Wietnamczycy ubrani na czarno i biało wchodzili i wychodzili spod słomianych dachów kilku małych chat. Ściągali też z obu kierunków ku drodze wiodącej do targowiska, głównie kobiety z koszykami na głowach albo z niesionymi na ramionach żerdziami na których były po obu końcach zawieszane tobołki. Starzy ludzie na rowerach pedałowali chwiejnie drogą, a od czasu do czasu przemykał motorower błyskając chromem i jaskrawymi kolorami. Na północ od chat kilkoro dzieci biegało koło jeepa pokazując sobie ze śmiechem siedzących w nim żandarmów. Jeden z dzieciaków wlaź na zapasowe koło z tyłu wozu i uszczy-

330

pał żandarma w ramię. Ten usiłował go trzepnąć, ale dzie-ńak śmiejąc się zeskoczył, zanim ręka go dosięgnęła.

Całkiem jak stary koń opędzający się od much. Ten cho-erny żandarm pewnie był zmęczony po przeleżeniu całej locy z jakąś kurwą, podczas gdy reszta żołnierzy musiała zostać w bazie. A złożyliby meldunek na każdego, kogo przyłapaliby w mieście po szóstej. Morgan nie mógł się ioczezać, żeby się zwolnić i znowu pojechać do Miasta Grzechu. Wybierali się wszyscy razem — on, Chambers, Hancock i Webster. Niech szlag trafi pieniądze. Jak przy-edzie do Oakland, wystarczy mu dziesięć centów.

— Tu Noble Rider Cztery-jeden. Tu Noble Rider Cztery-jeden. Słyszycie mnie? Odbiór.

— Noble Rider Cztery-jeden, tu Jungle Master Szóstka. Słyszemy was głośno i wyraźnie. A wy nas? Odbiór.

— Lima Charlie, Jungle Master Szóstka. Jaka jest sytuacja?

Obóz oddziałów specjalnych wyglądał jak skład worków z piaskiem za drutami kolczastymi. Kilka małych chat z aluminiowymi dachami, ale głównie schrony przykryte warstwami tych worków. Po drugiej stronie polanki, o jakieś sto jardów na północ od obozu, była mała wioska, złożona z piętnastu glinianych chat, jednych ocienionych palmami, innych stapiających się z otaczającą je brunatną ziemią. Żadnego znaku życia.

— Tu Jungle Master Szóstka. Dostaliśmy ognia z jednej z tych chat. Zdaje mi się, że mają automat i karabin maszynowy. Może byście spróbowali ich wypłoszyć?

— Tak jest, Szóstko. Cztery-dwa, tu Cztery-jeden. Schodzimy w dół i spróbujemy wypłoszyć te ptaszki. Wy krążcie dokoła wioski i zobaczcie, czy uda wam się coś wypatrzeć.

— Zrozumiałem, Cztery-jeden.

— Ja posteruję — powiedział Sloane do Woolseya kładąc dłoń na dźwazku. — Pan przejmie maszynę, jeżeli dostaniemy ognia, żebyśmy mógł strzelać z kaemów. Morgan i Barry, miejcie

oczy otwarte i nie rozpoczynajcie ognia,

381

dopóki nas nie ostrzelają, chyba że zobaczycie Wietkong z bronią.

Sloane zawrócił helikopter nad szosę i przechylił go mocno w prawo. Przez chwilę maszyna zawisała w powietrzu niczym jastrząb, który ma spaść na mysz, po czym stopniowo wyrównała, okręciła się nabierając szybkości i ruszyła prosto na wioskę.

Morgan zaparł się lewą stopą o obramienie drzwi i wychylił na wiatr. Sloane dokończył pierwszego nalotu i powtórzył skręt nad linią drzew za zachodnim krańcem wioski. Coś błysnęło białą i jakaś długowłosa kobieta przebiegła z jednej chaty do drugiej.

— Panie kapitanie, przed chwilą widziałem kobietę, ale nie miała broni.

— Ja też ją widziałem, Morgan. Pewnie szuka sobie kryjówki.

Morgan spojrział na Barry'ego i wzruszył ramionami. Barry uśmiechnął się blado i wyrzwał przez drzwi.

— Jungle Master Szóstka, tu Cztery-jeden. Nie widzieliśmy nic poza jakąś kobietą przebiegającą z jednej chaty do drugiej, odbiór.

— Zrozumiałem, Cztery-jeden. Pewnie taszczy amunicję dla innych. Słuchajcie, mam tu wietnamskiego tłumacza, który mówi, że może rozpoznać tę chatę. Może byście wzięli go ze sobą?

— Dobrze, Szóstko. Cztery-dwa, Weźcie tego tłumacza. Będziemy nalatywali i kryli was.

— Tak jest, Cztery-jeden.

Co oni wyprawiają, do licha? Skąd ten tłumacz może wiedzieć cokolwiek, jeżeli go tam nie spuścili poprzedniego wieczora? A może tak zrobili. Zresztą nie ma zmartwienia. Zostało już tylko trzysta funtów paliwa. Dlaczego, u licha, nie mogą po prostu wysłać paru zwiadowców na ziemi?

— Czy on coś widzi, Cztery-dwa? — zapytał Sloane.

— Nie, Cztery-jeden. Zdaje się, że jest jeszcze bardziej zagubiony niż my.

382

— Jungle Master Szóstka, to Noble Rider Cztery-jeden. Ten tłumacz nie wie, która to chata, odbiór.

— Zrozumiałem, Cztery-jeden. Ano, może powinniście... nie, cholera z tym. Ostrzelajcie parę razy całą tę wioskę. Spróbujcie wsadzić kilka ładunków w każdą chatę. W ten sposób może ich wykurzycie, odbiór.

— Tu cztery-jeden. Chcecie, żebym ostrzelał każdą chatę? Tam mogą być...

— Tak jest, Cztery-jeden. Zrozumieście mnie dobrze. Każdą chatę. Ci ludzie już za długo pomagają Wietkongo-wi. Prawdopodobnie wszyscy są na targowisku, prócz tych, co mają broń i amunicję. Nadlatujcie z południowego wschodu na północno-zaehód. Tak chyba będzie najpewniej. Koniec.

— Szóstka, tu Cztery-jeden. Przecież...

— Słyszeliście mnie, Cztery-jeden. Z południowego wschodu na północno-zaehód. Nie mogę dopuścić, żebyśmy tracili ludzi przez to, że we wsi są jacyś z Wietkongu. Koniec!

— Zrozumiałem. Koniec! — Sloane wyłączył radio. — No więc słyszeliście go, Cztery-dwa* Lećcie za mną. Rany boskie, jeżeli tego chce, urządzimy mu cholerne widowisko, kaemy, rakiety, cała obróbka.

— Zrozumiałem, Cztery-jeden.

Może przeczyta o tym w „Stars and Stripes”. „Zaprzyjaźniona wioska zniszczona przypadkowo.” Pieprzyć te leniwe, łojnodupne Oddziały Specjalne. Morgan zawiesił granat odłamkowy na uchwycie swojego karabinu maszynowego. Wiedział, że Sloane nie ma ochoty tego robić, ale pewno nie przejmuje się tak bardzo. On sam też nie. Bądź co bądź jakieś doświadczenie.

— Okej, Morgan i Barry — powiedział Sloane. — Słyszeliście tego człowieka. On jest majorem, a ja tylko kapitanem, ale nic wam nie mówię. Nie widzę tam żadnych tych świń. A wy, Morgan?

— Też nie, panie kapitanie. — Nie było ich teraz, tak jak kilka dni temu o zmierzchu. Tylko ta kobieta. Szkoda,

383

że to nie Hart i ten major z Oddziałów Specjalnych. Niech by poznali, jak to smakuje.

— Okej, Cztery-dwa, nadlatujemy.

— My za wami, Cztery-jeden.

Woolsey nie potrafił wykonać skrętu tak dobrze jak Sloane; pewnie był zdenerwowany. Maszyna prawie się zatrzymała u szczytu przechyłu, wioska ukazała się w obramieniu bocznych drzwi, a potem śmigłowiec zaczął opadać raptownie, jak winda.

Kiedy Morgan otworzył ogień, uświadomił sobie, że nie widzi żadnego celu. Sloane przekręcił celownik nieskończościowy tak, że boczne kaemy sypały kulami wszędzie dokoła. Morgan strzelał w ziemię, a potem posiał pociskami smugowymi po dachu jednej z chat. Z wyrzutni pod bocznymi karabinami maszynowymi wypruły dwie rakiety. Rzucił granat odłamkowy, a po nim fosforowy. Wyciągnął amunicję ze skrzynki stojącej na podłodze, strzelając prawą ręką. Przelecieli nad ostatnią chatą; Woolsey wykonał skręt nad skrajem lasu po zachodniej stronie wioski.

— Widzicie coś? — zapytał Sloane. —. Nic — odrzekł Barry.

— A wy, Morgan?

— Dużo dymu, panie kapitanie.

Woolsey roześmiał się. — Morgan, widziałeś tego ptaka, którego trafiłeś?

— Co?

— Przeleciał ci przed lufą. Nie widziałeś go?

— Nie.

— Dojrzałem go kątem oka. Musiałeś trafić prosto w pierś, bo się rozleciał kupą pierza.

Wyglądało to cholernie śmiesznie.

Druga maszyna nadleciała nad linię drzew. Dym był tak gęsty, że Morgan ledwie widział chaty wioski.

— Widzicie coś, Cztery-dwa?

— Z jednej chaty wybiegło z dziesięć kur, Cztery-jeden. Nie wyglądało to zbyt niebezpiecznie.

384

— Zrozumiałem, Cztery-dwa. Nalećmy jeszcze raz, a po-m wysadźcie tego tłumacza i możemy stąd spierdalać. Morgan jeszcze oddychał ciężko po pierwszym nalocie, tedy rozpoczęli drugi. Im więcej myślał o owym ptaku, tu bardziej wydawało się to nedorzeczne i czuł, że usta jzciągają mu się w uśmiech. Pó pierwszych strzałach zaczął się śmiać. Wystrzelał około pięćdziesięciu naboju, kiedy trzy kobiety przebiegły z jednej chaty do drugiej na północno-wschodnim krańcu wioski.

— Boże, tam wszędzie są ludzie — powiedział Woolsey. Coś, być może to prostoduszne zaskoczenie w głosie

tfoolseya, sprawiło, że Morgan zaczął się śmiać jeszcze bardziej. Miał wrażenie, że cały żołądek mu się wywraca, 'rawą dłoń zacisnął na kabłąku spustowym tak mocno, że z knykcie mu zbieleły.

Spojrzał na kapitana Sloane'a, po hylonego w skupieniu nad celownikiem nieskończonościowym; Sloane także zerknął na niego i ich oczy spotkały się na ułamek sekundy. Morgan miał usta szeroko otwarte i nie mógł ich zamknąć. Oczy Sloane'a były jak szkła.

Rakiety rozwały chatę pośrodku wioski. Z resztek jednej ze ścian łupało na śmigłowiec dwoje dzieci. Morgan nie mógł przestać się śmiać.

Stał strzelając prosto w dół, kiedy pod śmigłowcem przebiegła jakaś kobieta z dzieckiem na ręce.

Pędziła do małej chaty na północno-zachodnim krańcu. Morgan patrzył, jak pociski smugowe z jego karabinu uderzały w ziemię nieco za nią i w lewo. Obserwował je, dopóki nie przeniosły się wprost za nią. Miała na sobie białą kurtkę i czarne szerokie spodnie. Pociski wyglądały lepiej sunąc po czerni, niż kiedy dotarły do bieli. Dziecko wydawało się zaskoczone, a kobieta wywinęła trzy kozły na ścianę chaty.

Maszyna przechyliła się w skrajnie, a Morgan opadł na kolana i uderzył się brodą o karabin maszynowy. Ze skraju dżungli trysnęło coś pomarańczowo. Wdrapał się z powrotem na siedzenie i sięgnął do guzika mikrofonu, ale Sloane już mówił przez radio.

MM

tS — Amerykańscy chłopcy

HJOU

— Dostaliśmy ognia ze skraju dżungli! Cztery-dwa, oni są między drzewami. Lećcie prosto nad

nimi i spróbujcie zrzucić tam kilka granatów!

Morgan wylazł na zewnątrz i stanął na płozie strzelając w linię drzew. Z dołu mknęły pociski smugowe jak małe punkciki, które przemieniały się w piłki futbolowe przelatując obok maszyny. Śmigłowiec skręcił w prawo przesłaniając mu widok. Teraz mógł strzelać Barry.

Morgan spojrział na dymiącą wioskę. Kobieta potoczyła się po ziemi, a to dziecko pewnie zapamięta jego twarz. Coś miękkiego, ciepłego i wilgotnego obryzgało mu kark. Dotknął dłonią tyłu głowy i obrócił się. Barry leżał na wznak na podłodze śmigłowca. Jedna z kul zdarła mu skórę u dołu nosa, wybiła przednie zęby, przeleciała przez usta i wyszła u nasady mózgu. Druga roztrzaskała mu brodę. Inne przebiły szyję wywalając w niej potężną dziurę. Jego głowa leżała w kałuży krwi, która rozszerzała się coraz bardziej. Jasnoczerwony pęcherzyk wzbierał z miejsca, gdzie przedtem była grdyka. Morgan rozgniół go palcem wskazującym prawej ręki, po czym z wolna sięgnął do guzika mikrofonu.

— Barry nie żyje — wyszeptał.

Odczekał chwilę, ciało miał spięte milczeniem, a kiedy piloci się obrócili, jego głos ozwał się przyciszony, gardłowy, z głębi krtani.

— Nie rozumiecie, dranie, że Barry nie żyje? Nie żyje!

Sloane obrócił się do przodu i nacisnął guzik na pulpicie.

— Noble Rider Trójka, tu Noble Rider Cztery-jeden. Mój dowódca załogi postrzelony, odlatuję na lądowisko sanitarne, zróbcie tam miejsce i niech ktoś czeka, żeby go zabrać!

— Tu Noble Ri...

Sloane znów nacisnął guzik.

— Jungle Master Szóstka, tu Noble Rider Cztery-jeden. Wietkong - jest na linii drzew, nie w wiosce, jeden z nich rąbnął mojego dowódcę załogi, i odlatuję. Koniec. — Po-

386

nownie nacisnął guzik. — Cztery-dwa, trafili Barry'ego i lecimy na sanitarne lądowisko ewakuacyjne.

— Zrozumiałem, Cztery-jeden. Tamci przestali strzelać. Zdaje się, że mój karabinowy rzucił granat tuż przy nich.

— Powiedzcie to Trójce. Koniec. Okej, niech pan prowadzi, Woolsey. Ja idę na tył.

Sloane rozpiął rzemienie i przepelznął przez pulpity na tył śmigłowca. Wyciągnął z gniazdka kabel kasku lotniczego Barry'ego i wetknął w nie swój. Przełączył intercom na bezpośredni.

Podłoga była prawie cała czerwona. Morgan uklęknął nad Barrym rozkraczywszy się tak, że kolana miał o parę cali od jego uszu. Nie, poruszył się, kiedy Sloane dotknął dłonią jego pleców, i nie zareagował, gdy kapitan powiedział: — Przykro mi, Morgan.

Karabin maszynowy Barry'ego zwisał na elastycznej linie i kołysał się gwałtownie na wietrze, kiedy śmigłowiec leciał ku obozowi. Taśma z paruset nabojami wypadła ze skrzynki na podłogę i dyndała luźno z karabinu na zewnątrz maszyny. Sloane włożył na siedzenie, wychylił się, wciągnął karabin, oparł go o oparcie siedzenia pilota i wrzucił amunicję z powrotem do skrzynki. Łydki Barry'ego zwisały na zewnątrz, ale nie było sposobu wciągnąć ich do środka nie ruszając całego ciała, więc Sloane je tak zostawił. Morgan popatrzał na kapitana, po czym spojrział na zwłoki rozciągnięte pod nim.

Sięgnął ręką za siebie i na chwilę położył dłoń na granacie odłamkowym. Kiedy wylądują, pójdzie do namiotu Harta, rzuci granat i przytrzyma Harta, dopóki nie rozniesie w kawałki ich obu. Boże! Tamta kobieta potoczyła się, kiedy się śmiał, dziecko go oskarżało, a oto teraz miał kolana zmoczone krwią. Nie. Po prostu użyje granatu. Inspekcja golenia już zakończona i Hart leży sobie z porannym drinkiem. Rozwali jego i siebie na kawałki. Tym razem nie musi się napić — przynajmniej już mu to niepotrzebne. Teraz ma doświadczenie. Całe mnóstwo. W oczach na zawsze padającą kobietę. Dlaczego te małe piłki futbolowe nie mogły trafić jego? Barry nie wiedział ani

nie

387

zdążył o tym pomyśleć, a on sam nie mógł przewidzieć, że gorąca krew z szyi Barry'ego obryzga

jego własną, więc teraz zrobi tak, że Hartowi też będzie mokro i gorąco. Dziesięć tysięcy kawałków Willarda Morgana rozleci się w powietrzu. A potem tamci będą kłamali jak należy. „Żołnierz i jego sierżant zginęli na skutek nieszczęśliwego wypadku.” Może to będzie w gazecie i ktoś ją rzuci na rozprysnięte kawałki jego ciała, których nikt nie pozbiera. Ta historia mogła być pełna mrówek i much, ptaków pozerających oskarżycielskie oczy wyszarpane z mózgu, w którym utkwiała tamta wiecznie tocząca się kobieta.

Namioty służby sanitarno-ewakuacyjnej stały tuż za plutonem ogniowym. Gdy helikopter schodził do lądowania, Sloane wychylił się przez lewe drzwi i rozpaczliwie gestykulował wzywając sanitariuszy. Morgan zdjął kask lotniczy i chwycił granat. Kiedy maszyna znalazła się o pięć stóp nad ziemią, ściągnął z siebie rzemienie spadochronu i kamizelkę przeciwodłamkową, wyskoczył i pobiegł w stronę plutonu. Chambers stanął przed swoim namiotem, ale Morgan wyminął go i na dziesięć kroków od namiotu Harta wrzasnął:

— No, Hart, ty pierdolony skurwysynu! Teraz obaj pójdziemy do Dennisa Barry'ego!

Wpadł do namiotu, wyciągnął zawleczkę i zatrzymał się. Nikogo. O każdej innej porze ten drań byłby tutaj.

Szarpnął klapę i wyskoczył na zewnątrz. O mało się nie zderzył z Chambersem.

— Mógg, słyszałem. Tak mi...

— Gdzie Hart? Gdzie ten drań?

— Co ty wyprawiasz z tym granatem? O Jezu, Morgan! Nie!

— Rozwalę go! Rozwalę...O, idzie z operacyjnego. Wynos się stąd, Chambers. Ja go...

— Nie zrobisz tego. — Chambers złapał go za przegub ręki.

— Zawleczka wyciągnięta, kochany! Rzuć! Chambers powoli odepchnął go od namiotu Harta ku

swemu własnemu.

388

— Nie zrobisz tego, Morgan. Nie możesz.

— Muszą! Nie mogę już dłużej, a nie odejdę bez niego.

— Nigdzie nie odejdiesz! Nie zostawisz mnie po wszystkich tych miesiącach, któreśmy razem przeżyli. Myślisz o LaMoncie, o Tomie i innych i mówisz mi, że odchodzisz, a popatrz na mnie!

— Kiedyś to gdzieś z człowieka wyłazi, ale słuchaj, ja dopiero co zastrzeliłem kobietą i jej dzieciak to wie, i ca-tego mnie obryzgała krew z szyi Barry'ego! Proszą cię, proszą, nie zatrzymuj mnie!

Chambers dopchał go prawie do swego namiotu, przyciągając coraz bardziej jego rękę i sięgając po granat.

— Nie mówię, że to, co zrobiłeś, jest dobre, ani że dobre są wszystkie te draństwa, które zrobił Hart czy choćby ja. Ale do jasnej cholery, może teraz powinieneś pomyśleć o tym, swoim zabijaniu. Jeżeli nie potrafisz niczego innego niż znowu zabijać, to nie jesteś dla mnie człowiekiem!

Ręka Morgana ugięła się niemal mimowolnie. Dłoń Chambersa przesunęła się na jego dłoń obejmując ją oraz granat, jak piłkę.

— Daj mi ten granat.

— Co tu się dzieje — zapytał Hart stając przy klapie swego namiotu.

— Muszę...

— Daj mi to!

Dłoń Morgana się rozluźniła.

— Uważaj, Orville, nie ma zawleczki.

— Wszystko w porządku, Chambers? — zawołał Hart.

— Jasne, szefie! — odrzyknął Chambers. — Okej, Will — szepnął. — Trzymam łyżkę. Teraz możesz puścić.

Morgan puścił granat w dłoń Chambersa. Chambers zacisnął go w pięści, a "Morgan ścisnął jego pięść. Znowu spojrzał na Chambersa i kilkakrotnie szybko zamrugał. Chciał powiedzieć: „Dziękuję”, ale słowa uwięzły mu w zaschniętym gardle. Ciało się rozprężyło. Pierwszy szloch już mu dochodził do oczu, kiedy go zdławił. Pierś uniosła się gwałtownie, potrząsnął głową, a od drugiego

szlochu

389

zadrgały mu ramiona. Chambers oderwał jego dłoń od swojej i objął go. Morgan podniósł obie ręce, złożył je na piersi i oparł się o Chambersa, tak jak układał się na łóżku, kiedy był dzieckiem.

25

Kompania umilkła, gdy major Singer wstał zza krótkiego stołu w jednym końcu namiotu. Chambers, oparty o słup na przeciwległym końcu, przestał jeść i opuścił rękę, by ukryć na wpół ogryzioną nóżkę indyka. Boczne klapy namiotu były podniesione, ażeby wpuścić do środka światło słoneczne, a na trzech nakrytych białymi prześcieradłami długich stołach, przy których siedzieli żołnierze, stały dzbany od wody pełne dzunglowych roślin.

— Nie będę wygłaszał wielkiego przemówienia — zaczął Singer — bo wiem, że pilno wam dobrać się do tego indyka i wszystkich dodatków, które tak pięknie przygotowała obsługa kasyna. Może wielu z was uważa, że nie ma zbyt dużo rzeczy, za które powinno się być wdzięcznym w tym dzikim kraju, ale zanim zaczniecie się opychać, chciałbym, żebyście przez chwilę o tym pomyśleli. Chciałbym, żebyście pamiętali, że gdybyście nie żyli w takim wspaniałym kraju jak nasz, ci ludzie w Wietnamie nie mieliby nikogo, kto by ich chronił przed komunistami. Możemy nie być wdzięczni za to, że musimy walczyć, ale winniśmy wdzięczność za fakt, że kraj nasz jest dostatecznie silny, aby udzielać pomocy naszym mniej szczęśliwym sojusznikom na całym świecie. Chcę wam odczytać coś, co dostałem w poczcie kilka dni temu, bo jest to skierowane do was wszystkich, i myślę, że da wam niezłe pojęcie, co myślą o nas ludzie w kraju, chociaż nie zawsze słyszymy dobre wiadomości.

Singer wyjął z kieszeni list, rozłożył go i podniósł w górę, żeby wszyscy dojrżeli duże, nieporządne pismo.

— To jest od szóstoklasisty ze szkoły podstawowej w Lakewood, w stanie Ohio. Píše tak:

„Kochani żołnierze

390

Kompanii C! Nasza nauczycielka, pani Daniels, dała im wszystkim adresy żołnierzy na wojnie. Każdy z nas [optuje którąś kompanię wojskową. Wy jesteście tą kom-mią, którą ja adoptuję. Chcę wam powiedzieć, jaką świet-robotę wykonujecie. Jesteśmy za wami w stu procentach i życzymy, żebyście wygrali wojnę i prędko wrócili) domu. Odmawiamy za was modlitwy co rano po oddaniu honorów sztandarowi. Ja modlę się za was nawet podczas weekendu. Moi koledzy i ja bawimy się w żołnierzy ja jestem kompanią C, i mam karabin M-16, zabawkę, którą mi kupił tata. Mam dopiero dwanaście lat i nie będę mógł przyjechać do Wietnamu. Ale zostanę żołnierzem, ik dorosnę."

Podpisano: „Mark Smith." To chyba wyraża wszystko; ja sam bym lepiej nie potrafił. Major Singer usiadł, a żołnierze zaczęli bić brawo. Chambers odgryzł jeszcze kawałek mięsa, odwrócił się ruszył ku zbiornikom na śmieci, gdzie Morgan apatycznie zorował osmalony garnek drucianą szczotką.

— Ładnie to robisz, Móg. — Oparł się o przyczepę wodą i dalej jadł.

— Dostajesz następnych pięciu kucharczyków. To dobra obota. — Morgan zrzucił z ręki na but lepką, szarą maź lydła i tłuszczu z resztkami jedzenia. — Całkiem jak ielgrzymi na Plymouth Rock.

Tego dnia powinni już byli być w drodze do kraju. Opucili Stany w poprzednie Święto Dziękczynienia i zjedli /tedy kolację złożoną z hamburgerów i whisky w barze atnictwa w Anchorage. Ale pluton nadal nie miał uzupełnień i musiał dać dzisiaj dwóch ludzi do służby kuchentej. Powinni byli dostać już tydzień temu następców za wszystkich ośmiu odjeżdżających karabinowych. W plutonie strzelców musiało być ośmiu ludzi, którzy mogliby objąć funkcję karabinowych, a w bazie ośmiu, by ich zastąpić. Szkolenie! Hart mówił, że nowym karabinowym ędzie potrzeba przeszkolenia. Chambers wstąpił do plutonu strzelców nie wystrzelivszy ani razu z M-16, a Morgan zaczął loty bojowe, chociaż nie strzelał z karabinu maszynowego prawie od dwóch lat.

391

Chambers odgryzł jeszcze kawałek mięsa i wrzucił kość do pojemnika na śmieci. Przestał się wściekać. Dla niego wojna była zakończona. Latali nad Szczęśliwą Doliną prawie od miesiąca, a ostatnio zostali ostrzelani tylko przez tego gościa ze zrujnowanej wioski. Od kilku dni Chambers nie robił nic poza wchłanianiem widoków i utrwalaniem ich sobie w umyśle, ażeby nie zapomnieć. A Morgan urzynał się w trupa co wieczór. Nie wspominał ani razu o Barrym ani o tamtej kobiecie, odkąd Chambers powstrzymał go od zabicia samego siebie i Har-ta. Pił wieczorami, żartował wątro z Hancockiem i Websterem, a potem wrzeszczał, nieomal płakał, że nie ma zastępstwa i że go nie odsyłają do bazy na wyjazd. Prawdopodobnie chciał zostać i nie mógł się z tym pogodzić. Alkohol sprawiał, że czuł się wewnętrznie obolały. Prawie nic nie jadł, rzadko zmieniał ubranie, a twarz obrzmiewała mu coraz bardziej z każdym dniem. Ciało jak gdyby się ugięło, nie było już zdolne wytrzymać tak wielu uciążliwości. Przypominał Chambersowi krzepkich sierżantów — alkoholików, którzy raptem się załamali i postarzeliz dnia na dzień o całe lata, niczym łososie po złożeniu ikry.

Maddin przyjechał z kraju w lepszej formie, niż kiedy wyjeżdżał. Zwrócił wszystko, co żona zakupiła, i zostało mu tylko półtora tysiąca do spłacenia. Nie mógł jej zamknąć w pasie cnoty, ale tak się urządził, żeby już więcej nie miała dostępu do kart kredytowych. Był zawsze trzeźwy i pomagał innym dowódcom załóg w rozwiązywaniu problemów mechanicznych.

Tego popołudnia Chambers wybrał sobie ostatnią zmianę przy zmywaniu naczyń, a kiedy skończył, Morgan przyniósł mu list od Slagela, który przyszedł tego rana — pierwszy, jaki którykolwiek z nich otrzymał. Chambers wziął prysznic, zanim zabrał go do namiotu i przeczytał.

16 listopada 1966 „Kochany Móg i chłopaki! Ano, pomyślałem sobie, że już czas napisać do was

392

wszystkich i mam nadzieję, że to dostaniecie przed waszym odjazdem. Dyktuję list mojemu kumpłowi, którego ęce nadal działają. (Miałem jedną fajną pielęgniarkę, która zaproponowała, że mi napisze pod dyktando, ale już nie chce ze mną gadać, odkąd ugryzłem ją w cycek i poproiliem, żeby mi siadła na twarzy.)

Co u was, chłopaki? Na pewno już wam niewiele czasu zostało. Powinniście mniej więcej teraz wracać do domu jeżeli będziecie w tych stronach, nie zapomnijcie odwiedzić waszego starego kumpla. A jak ten pieprzony bata-ion rozpoznawczy? LaMont, mam nadzieję, żeś zabrał i woja czarną dupę od strzelców, a ty Móg, żeś swojej do lej nie wpakował. Powiedzcie ode mnie «cześć» wszystkim, dajcie im znać, że jestem okej.

Jest ze mną dosyć gównianie, ale co można powiedzieć? Poza tym, że nie mogę się ruszać, czuję się dobrze. Patti . ten jej dupowaty mąż przychodzili do mnie, ale miesiąc temu powiedziałem im, żeby się odpieprzyli. Od tej pory zajrzeli jeszcze parę razy, ale ja zamykałem oczy i udawałem, że ich nie ma. Wiedziałem, że jestem dla nich ciężarem, a nie chcę tym być dla nikogo. Wuj Sam i tak płaci wszystkie rachunki za leczenie. Prawda, jaki słodki?

Mniej więcej połowę czasu przesypiam, a poza tym oglądam telewizję. Mój kumpel daje mi coś do palenia i pokazuje zdjęcia dupek w «Playboyu». Poza tym jest telewizja i opowieści wojenne. Wciąż mam nadzieję, że się obudzę i przekonam, że mnie wyreperowali, ale to się chyba nie zdarzy. Niemilo jest patrzeć, jak człowiek flaczeje, chudnie i żółknie na gębie. Stale budzę się ze snu, w którym gdzieś biegnę, i głowa mówi mi różne rzeczy, a ciało nie chce reagować. Ano, cholera z tym. Dosyć to jest przygnębiające. Ciągle spodziewam się, że kiedyś znajdą sposób, aby mnie wyreperować.

Pokój, w którym leżę, jest parszywą szcurzą norą. Bez lipy. Mają tu kubły na śmieci i szczury ganiają po nocach niczym w pocziwym starym Wietnamie. Jeden gość zwariował, bo szcur na niego wskoczył. Też się nie może ruszać i to bydlę siadło mu na piersiach, i patrzyło w twarz,

393

a on mógł tylko wrzeszczeć. Darł się przez dziesięć minut, a teraz od miesiąca nie otwiera ust. Tylko wpatruje się w sufit.

Ano, niech to cholera weźmie. Nie ma wiele więcej do powiedzenia. Dziękuję za wasze listy. Nie mam wam za złe, że ostatnio nie pisujecie, ale ja teraz postaram się pisywać częściej. Przez jakiś

czas nie miałem na to wielkiej ochoty. Trzymajcie się wiatru i dajcie mi znać, kiedy dostaniecie przeniesienie.

Ściskam was, całuję i wszystkiego dobrego T.S."

Chambers o mało się nie popłakał, kiedy skończył czytać ten list. Nigdy nie mógłby odwiedzić Slagela. Morgan napisał długi list donosząc o LaMontcie i obiecując, że przyjedzie w odwiedziny, gdy wyjdzie z Benning. Chambers dopisał, że pewno nie będzie mógł przyjechać w najbliższej przyszłości, ale postara się następnego lata. Miał wrażenie, iż Slagel może nie chce zobaczyć się z nimi, a ten list napisał tak późno w nadziei, że nigdy go nie dostaną.

Następnego popołudnia, kiedy helikopter Chambersa wzniósł się z ziemi, wylądował inny, wiozący uzupełnienia. Chambers pomachał do nich, gdy jego maszyna przelatowała nad obwodem zmierzając ku Szczęśliwej Dolinie.

Lot był nijaki. Sanders obrzucił granatami chatę składową i rozwalił czółno wyciągnięte na brzeg wezbranego potoku, który wił się po dnie doliny. Kiedy wrócili na lądowisko, Orville załadował amunicję szybko i starannie — z radosnym poczuciem, że to się kończy — i ruszył w rejon namiotów usiłując nie puścić się biegiem.

Zasiadł niedbale na workach piasku przed swoim namiotem delectując się cygarem i piwem i mówiąc niewiele, podczas gdy karabinowi przygadywali nowym chłopakom i karmili ich wojennymi opowieściami.

Po kolacji Hart zarządził zbiórkę plutonu. Karabinowi

394

mało nie pękli z ciekawości ustawiając się szeregiem na otnistej drodze.

— Spocznij, kurwa! — ryknął Hart uciszając pluton. — V dobra, więc wygląda na to, że wreszcie się stąd wyno-:ie. Przez następne dwa dni nowi ludzie będą ćwiczyli lko na dwóch maszynach, a reszta was będzie latała jak /ykle. Potem przeniosą się na trzy dni do innych ma-yn. Czterech z was, karabinowych, odejdzie pierwszego udnia, a następni czterej drugiego. Nie chcę widzieć zad-igo markierowania tylko dlatego, że już wam zostało ma- czasu. Dalej jesteśmy na wojnie. Jak któryś coś spie-zy, to mu przedłużę jeszcze o tydzień. Rozejść się! Nowi irabinowi do mojego namiotu!

Chambers zaczął wiwatować i wrzeszczeć razem z inny-i, którzy poklepywali się i ściskali wzajemnie. Wrócił do swego namiotu i rzucił hełm do stóp McCut-teona.

— Sześć dni, stary. Co ty na to?

McCutcheon podniósł oczy znad puszek lemoniady.

— Jadę do domu razem z tobą, Orville. Przedłużyłem bie o sześć miesięcy i dostałem trzydziestodniowy urlop.

potem zostanę tu, dopóki wojna się nie skończy.

— Jak to, chłopie?

— Trzeba robić to, co człowiekowi serce dyktuje. Chambers postukał knykciami w hełm McCutcheona.

— Na twoim miejscu nie ufałbym sercu tak bardzo.

— Muszę. — McCutcheon wyglądał jak smutny bas-:t. — Co człowiek ma innego?

— Ale co się stało?

— Po prostu mam dogyć szefowania. Nie chce mi się ca-r dzień sterczeć na ziemi. Brak mi akcji. .

— To nieprawda. Zresztą akcji prawie nie ma. Dlaczego Le wykorzystasz tej przerwy?

— Wykorzystam do czasu urlopu, ale jak wrócę, znowu iczną dowodzić załogą. Ktoś inny może mnie zastąpić ja-

0 szefa. — McCutcheon zgiął zieloną puszkę. — O rany,

1 lubię walkę, Orville.

Chambers miał ochotę zawołać sanitariuszy. Znowu po-stukał McCutcheona po hełmie.

— Może zmienisz zdanie na urlopie. Byłeś tu długi czas.

— Chyba potrzeba mi odpoczynku.

— Tak jak nam wszystkim, nie?

— Trzy cholerne dni! — wykrzyknął Webster, kiedy karabinowi odeszli z rejonu plutonu.
 — Jeszcze trzy i mogą mnie pocałować! — zawołał Morgan.
 Chambers ruszył obok niego za Websterem i Hancoc-kiem. Szli na wzgórze za pasem startowym, gdzie jedna z kompanii bojowych zbudowała klub. Karabinowi wywą- chali to przed trzema dniami, kiedy Hart zakazał batalionowej kantynie sprzedawać piwo pijakom z plutonu ogniowego. Chambersowi bardziej się podobało w klubie niż na lądowisku — kiedy nie padał deszcz, zwykle wyświetlali filmy na powietrzu.
 — Te kurwy z Miasta Grzechu niech się lepiej szykują — rzekł Hancock. — Zanurzę sobie faję, jak tyłka tam pojadę.
 — I pewnie przywieziesz trynia do domu — powiedział Webster.
 — A kogo to obchodzi? Nie, Morgan?
 — Słusznie. Popieprz bąka, a bąk brzdąka. Webster huknął: — Wiesz, że Jody ma tę swoją mową piczkę zaszytą na dobre.
 — Na mundur jakąś poderwiesz — rzekł Hancock. Chambers nie mógł powstrzymać się od śmiechu jak i inni.
 — Może tak być z wiejskimi dziewczuchami — rzekł Webster — ale w mieście ten mundur plus dziesięć centów załatwi ci najwyżej filiżankę kawy.
 ||— W taniej kawiarni —r dodał Morgan. Hancock obrócił się i wzruszył ramionami.
 — Przyjedźcie wszyscy do Zachodniej Wirginii, to się wami zaopiekuję.
 do-
 tak
 396

Do tej pory Orville właściwie nie rozmyślał, jak będzie żyjęty w kraju. Zastanawiał się, czy ktoś w ogóle wie, jest tutaj. Przez chwilę widział, jak go witają starzy ajomi ze szkoły, przyjmują na nowo do swego grona, aczego? Bo miał dwa rzędy wstążeczek i parę blasza- ch odznak? Bo przelał krew na obcej ziemi? Czy to zyniłoby go normalnym w oczach wszystkich? Ale prze-:ż nie zrobił nic nienormalnego, żeby go mieli odtrącić, den jego brat zginął w Korei, a drugi w kraju. Nie była jego wina. Tylko że ludzie go tym obciążali. On był a dziwny, bo śmierć uczepliła się jego rodziny. Ano, e będzie ubiegał się o życzliwość obnosząc rzeczy, o któ- ch wiedział, że są głupie, rzeczy, których nieomal się stydził. Schowa swój mundur i medale do szafy, obłoży kulkami od moli i będzie oglądał od czasu do czasu, iy przypomnieć sobie marnotrawstwo i głupotę, których rł świadkiem, i aby zachować żywo w pamięci nawet pełne oburzenia powiedzenie ojca, że źle jest trwonić cie.
 Pod dachem namiotu wisiały trzy nagie żarów-ki oświe-ijąc mdło klub. Dwa długie stoły sklecone ze skrzyń I amunicji stały naprzeciw siebie na prawie całej dłu->ści namiotu.
 — Wygląda to całkiem frymuśnie — powiedział Morgan skazując świece, które migotały rozstawione na jasnym splamionym wilgocią drewnie.
 Dwaj barmani wyłowili piwa z ogromnych kadzi mro-mej wody, postawili je na stołach i zebrali kolorowe tatnicze bony wojskowe.
 Chambers siedział czas jakiś słuchając innych, tych nie Dńczących się, powtarzających, nieomal historycznych rzechwałek wracających do cywila żołnierzy wszędzie na wiecie. Jaka ogromna będzie ta zmiana, ta przyszłość iosąca obietnicę barwnych szybkich samochodów, krą-tych uległych kobiet, eleganckich ubrań, drinków, bef-:tyków i szklanek lodowato zimnego mleka. Domowe po-awy matczyne, dobre posady i czołobitność sąsiadów, adnych sierżantów wydających rozkazy.
 397

Wziął świeże piwo, wylazł pod klapą namiotu i znalazł sobie kamień, na którym zasiadł przed ekranem. Kiedy Karl Malden spuszczał bezlitośnie bat na plecy Marlona Brando, Chambers zastanawiał się, jak długo potrwa entuzjazm karabinowych po powrocie do domu. Może Morgan

jakoś się wymknie. Ma wykształcenie i pewnie zdobędzie go jeszcze więcej. Sam także miał nadzieję wymknąć się w taki sposób. Ale co z Hancockiem i Websterem? Hancock albo zostanie w wojsku, albo weźmie sobie posadę, na której będzie szeregowcem przez całe życie. Webster pracował na budowach w Nowym Jorku, więc może kiedyś uciula pieniądze na skromny domek na Long Island z wykładanym boazerią pokojem w suterenie, gdzie mógłby złapać piwo, oglądać mecze piłkarskie oraz wymieniać wojenne opowieści z przyjaciółmi. A reszta? Wróć do zwariowanych rodzin, do rat za zdezelowane samochody, do obojętnych ludzi, do pracy, która nie daje zadowolenia, a w końcu do śmierci.

Dokończył piwa w chwili, gdy Brando dostał w pleć kolbą strzelby Slima Pickensa, który popychał go po schodach więzienia. Brando okręcił się i stracił kopniakiem Slima ze schodów. Chambers wrócił do namiotu.

— Hej, Orville! — zawołał Morgan. — Chodźcie, chłopaki, zaśpiewajmy hymn na cześć Orville'a. — Zanuci melodię, a inni przyłączyli się do niego. — Hymn, hymn cholera z nim! Chambers uśmiechnął się do nich usiłując ukryć swój niesmak, że Morgan ulega najgłupszej z wojskowych banalności. Oczywiście miał zamglone od trunku, a na dwóch przednich zębach brunatne, lśniące śliną plamy od nikotyny.

Chambers usiadł i wypił następne piwo usiłując obmyślić jakiś sposób, żeby wyciągnąć Morgana, zanim zanadto się urznie. O rany, ucieszyłyby się, gdyby ich już wycofał z linii. Skończyłyby się to pilnowanie. W spokojniejszy moment delikatnie trącił go łokciem.

— Może byśmy poszli, Will? Przydałby mi się prysznic

398

Morgan przez parę sekund patrzył na niego tępo, a po chwili kiwnął głową.

— Czemu nie? Nie brałem prysznicu chyba od tygodnia. Chyba nawet nie zmieniałem butów.

— Jego głos przeszedł w przejmujący śmiech.

Chambers powstał, gdy Morgan przyniósł jeszcze dwa piwa na drogę powrotną ze wzgórza.

Hancock i Webster ostali. Gdy wychodzili z namiotu, tłum przed ekranem luchnął wiwatami.

Brando leżący na ziemi zastrzelił Mal-lena przy studni pośrodku miasteczka.

Chmury wisiały nisko, toteż noc była kompletnie czar-La. W dole, w rejonie batalionu, migotały z namiotów wiece, a promienie latarek błędziły po lądowisku. Śmiełowce, które mijali, zaparkowane na świeżo wyrównanych buldożerami miejscach na zboczu wzgórza, wyglądały w mroku jak bezwładne przedhistoryczne bestie.

— Już niedługo, co, Will?

Morgan wybełkotał potwierdzenie między dwoma łykami piwa.

— Zostaniesz ze mną trochę, nie?

— Może kilka dni. Też muszę jechać do domu. — Nie byłoby to żadnym problemem. Rodzice nie wiedzieli, kiedy przyjeżdża.

— Moja siostra zajmie się nami.

— Doskonale.

Morgan przystanął, aby zapalić papierosa; w pomarańczowym błysku zapalniczki ukazały się jego oczy, smutne opuchnięte.

— Zdaje się, że nigdy nie będę wiedział, jak to jest zabić kogoś.

— Co takiego? — Chambers nie wierzył własnym uszom.

— Ty wiesz.

— Ale przecież...

— Nie, nie to. Kogoś realnego. W walce. — Pijackie łoża zamazywały się. Tak jakby Morgan mówił w pustkę.

Chambers milczał chwilę, na poły zły, na poły zmieszany, nie wiedząc, co powiedzieć. W końcu mruknął:

— To nic wielkiego.

Morgan parsknął. — Ty wiesz o tym wszystko, nie?

— O czym?

— O zabijaniu i o tym, co jest dobre i złe.

— Chyba trochę myślałem na ten temat.

— I wydajesz sąd o wszystkich innych, tak?

— Czy kiedykolwiek to zrobiłem? Po prostu przemyślałem to dla siebie.

— A gównol! Gdyby nie ja, nawet nie umiałbyś myśleć. Nauczyłem cię wszystkiego, co wiesz.

— Daj spokój, stary.

— Daj spokój, stary, daj spokój, stary — powtórzył Morgan drwiąco. — Wielki, moralny Orville wie wszystko. — Powoli klepnął Chambersa po brzuchu. Ten schwycił jego rękę i przygiął do dołu.

— Co cię napadło? — Ręka Morgana znów zamierzyła się na niego, a Chambers znowu ją złapał i odepchnął. — Przestań.

— Jesteś zanadto dojrzały na takie bzdury, co?

Morgan podskakiwał przed nim, z pięściami podniesionymi jak bokser, a potem potknął się i zwałił na piasek. Leżał na wznak wpatrując się w niebo.

— Chodź, Will.

— Mam wstać i być mężczyzną, tak?

— Tego nie powiedziałem. Nie bądź taki ostry dla siebie.

— Okej, panie Mocny. Pomóż mi.

Chambers musiał zwalczyć chęć pozostawienia go tam, leżącego na ziemi. Pochylił się i wyciągnął rękę. Ręka Morgana, z zaciśniętą pięścią, wyminęła ją, Chambers odchylił głowę i pięść trąciła lekko jego ramię. Złapał Morgana za rękę i poderwał go na nogi.

— Chcesz się bić, to dlaczego przynajmniej nie wstaniesz?

— Teraz jesteś gotowy, tak? — Morgan usiadł na powrót.

— to nie ja chcę się bić.

— Więc o co masz żal, do cholery? — wrzasnął Morgan.

— Nie mam żadnego żalu, Móg, wiesz o tym. Nigdy

400

nie miałem do ciebie żalu. Jesteś moim najlepszym przyjacielem i po prostu nie mogę patrzeć, co robisz ze sobą. Morgan wydał z siebie cichy, żalony jęk, a potem odetchnął głęboko wsysając powietrze między zębami, tak że niemal zaświstało.

— Jak ci się nie podoba, to zostaw mnie, kurwa, w spo-joju.

Chambers przez chwilę spoglądał na ten ciemny kształt. iV nocy mógł się wydać kupą porzuconych gałganów.

— Okej. Zobaczymy się w plutonie.

Wróciwszy do namiotu położył się i czekał. Musiał być gotowy na wypadek, gdyby Morgan zrobił coś szalonego. Ale pewnie wróci i będzie dalej pił z Websterem i Hanco-kiem.

Już prawie zasypiał, gdy poczuł lekkie stukanie w but.

— Przepraszam cię, Orville — wyszeptał Morgan z ciemności, po czym odszedł, a jego buty szurały po piasku jak nogi zranionego zwierzęcia.

Rano wylecieli jako osłona piechoty, a po południu na rozpoznanie inną maszyną. Małe wawozy za północnym krańcem Szczęśliwej Doliny nieomal hipnotyzowały Chambersa. Z góry wydawały się gęsto zarośnięte i nieprzebyte, ale kiedy śmigłowiec schodził ku ziemi, otwierał się całkowicie nowy widok, na pozór nie mający żadnego związku ze zwartą zielenią koron drzew. Pnie drzew wyglądały jak wykałaczki przy ogromnych nachylonych pod dziwacznym kątem skałach sterczących ze zboczy wzgórz. Plamy mchu pokrywały głazy, między którymi płynęły strumyki. Z otworów w paru potężnych złomach kamiennych tryskały małe fontanny. Wśród drzew w pobliżu grzbietu góry przebiegała wąska grań, ale chociaż widzieli, że jest tam ścieżka, nie mogli przybliżyć się dostatecznie, by sprawdzić, czy nie ma na niej śladów stóp.

— Maddin — powiedział Sanders — w bok od was widać jakieś jaskinie. Wsadźcie tam parę ładunków.

H - Amerykańscy chłopcy

401

Maddin wystrzelił trzy krótkie serie odłupując małe kawałki z olbrzymich skał, ale nie trafił w

żadną z jaskiń.

— Powinniśmy skierować tu piechotę — rzekł Sanders. — Te jaskinie są pewnie pełne broni. Chambers cieszył się, że nie zobaczyli żadnych śladów. Przy szybkości, z jaką lecieli, jeden żołnierz Wietkongu z kalibrem trzydzieści mógł zwalić ich na ziemię. Cham-bersowi żal było opuszczać te doliny — nie widział nigdy w życiu czegoś takiego — ale czuł również ulgę. Podobne miejsca muszą być także w Stanach, gdzie człowiek nie potrzebuje się martwić, że ktoś do niego strzeli.

Skierowali się na wschód ku bazie polowej zwalniając od czasu do czasu, aby zataczać koła nad szerokimi opustoszałymi dolinami. Pośrodku każdej z nich widniała między zaroślami opuszczona wioska, a dookolne pola, nie uprawione tego roku, były zarośnięte chwastami i trawą. W trzeciej dolinie, nad którą przelecieli, leżał na boku w pobliżu skraju dżungli wypalony kadłub śmigłowca zwiadowczego, rdzewiejąc w słońcu.

Dwie łuski zadzwoniły po hełmie Chambersa, gdy Maddin wystrzelił krótką sśrę.

— Przebiega pod nami! — krzyknął Sanders. — Wał w niego, Chambers, zanim dopadnie drzew. Byli o jakieś pięćdziesiąt jardów od gęstej dżungli, która urywała się raptownie na dnie doliny.

— Eastman, niech pan spróbuje zatrzymać maszynę, żeby Chambers mógł go trafić — powiedział Sanders.

Nos śmigłowca poderwał się do góry, kiedy ów człowiek przebiegał pod nimi. Był to żołnierz północnowiet-namski z karabinem automatycznym.

— Bij w niego, Chambers! Bij!

Chambers obrócił się w bok, wetknął kolbę pod pachę i wycelował starannie. Nacisnął spust, kiedy Wietnamczyk był o dziesięć kroków od skraju dżungli. Strzelił prosto w pień drzewa o piętnaście jardów przed nim. Śmigłowiec skoczył naprzód o kilka stóp, a Chambersowi broń targnęła się w rękach, i posiał bezładnie kulami po dżun-

402

Li, Mundur koloru khaki zniknął między ciemną zielenią, i Chambers znowu wymierzył pociski w drzewo.

— Cholera! — powiedział Sanders. — Uciekł. Drzewo zachwiało się i bezgłośnie zważyło w dżunglę.

— Niech pan zawróci, Eastman. Wsadzę tam parę gra-atów. Chambers i Maddin, macie ostrzelać to miejsce, iedy będziemy przelatywali.

Chambers naszpikował kulami teren po swojej stronie.)w człowiek przebiegł gdzieś na drugą i z pewnością zna-izł jakąś dziurę, żeby się ukryć. W pobliżu nie było żad-iej piechoty, więc to nie miało znaczenia. Oddział Blue ożpознаł tę dolinę przed dwoma tygodniami i nie miał už tam wracać. Ten człowiek prawdopodobnie szukał ;arści ryżu. Orville wychylił się przez drzwi i wyrzucił

siebie na wiatr gromki gardłowy śmiech.

26

Morgan obudził się ze snu, w którym był karłowatym :aleką, mającym amputowane wszystkie cztery kończyny, e skórzanymi ochraniaczami na kikutach nóg i hakami terczącymi z bicepsów. Siedział z obrośniętą twarzą na nałym drewnianym wózku i sprzedawał gazety przed :asynem w Fuldzie będąc najwyraźniej ulubieńcem zoł-lierzy, którzy z nim żartowali.

Otrząsnął się i siadł na łóżku polowym w namiocie lot-nczych warsztatów naprawczych. Gęste, wilgotne powietrze spowijało go jak gumowe prześcieradło, a ciało pod Irelichami było mokre. Drszcz dudnił i bębnił po gru-)ym brezencie namiotu ściekając w małe kałuże i stru-nyczki na zewnątrz. Morgan pochylił się, poszperał w iwym zapleśniałym worku odzieżowym i wydobyl listy, alka książek i notatnik adresowy. Powąchał go i skrzywił dę z obrzydzeniem, po czym zaczął szybko przerzucać cartki, wpatrując się od czasu do czasu w jakieś zamazane pleśnią nazwisko. Rozwiesiwszy mundur zrzucił na kupę zwinięte w kłębek spodnie, koszule, skarpetki i buty kupione w Bangkoku, razem z drelichami i całą odzieżą, która nie była bezwzględnie potrzebna na najbliższe kilka dni. Wytrząsnął worek i wtedy wypadł z niego na

podłogę mały scyzoryk. Poza krótkim ostrzem miał on korkociąg, teraz już przy-rdzewiały na dobre. Scyzoryk ten kupił na dworcu w Monachium, aby otworzyć butelkę wina, którą on, Padgett, Slagel i Chambers zabierali z sobą do Fuldy. Wsadził go do kieszeni w chwili, gdy do namiotu wbiegł pod wejściowymi klapami DeWolf..

— Móg! Kiedy wróciłeś?

— Cześć, stary. Zaraz po obiedzie

— Na ile dni?

— Cztery czy pięć.

— Pierwszorządnie. — DeWolf siadł na łóżku naprzeciw niego. — Co ci się stało w kulasy? Trać?

— Oparzenia. — Fioletowe pręgi pokrywały mu obie stopy, skutek mieszanki paliwa IP-4 i wody. — Byłem zanadto zmachany, żeby zdjąć buty.

— Słyszałem, że cię tam uziemili? Morgan wzruszył ramionami.

— Chodźmy do klubu. Chłopcy chcieliby cię zobaczyć.

— Muszę posortować swoje rzeczy i pójść się wysrać. Chyba mam robaki. W tyłku mnie piecze prawie bez przerwy.

DeWolf odszedł pobrzękując menażką. Morgan nałożył na listy opaskę gumową i wrzucił je z powrotem do worka. Zgiął się szybko, gdy go ścisnęło w żołądku, a potem wyprostował, wyszedł z namiotu i pośpieszył przez błoto do latryny. Miał nadzieję, że to nie wrzód. Od wrzodu chyba nie fajda się bezustannie.

Wszedł do latryny, kiwnął głową nieznanemu starszemu szeregowcowi, który siedział na tronie, po czym zajrzał do otworu w chropawej desce, nim usiadł. Muchy roiły się na wielobarwnej kupie ekskrementów i papieru w metalowej beczce pod spodem. Przypomniał sobie czasy, gdy spalał odchody po jakimś przewinieniu w S-1, a także to, jak Sanders i Hart spędzili pół godziny na

404
>mawianiu genialności spalania odchodów zamiast ich za-copywania. Roześmiał się głośno wspominając historię dwóch nowych żołnierzy z oddziałów powietrznodesan-owych, którzy, otrzymawszy rozkaz wypalenia ustępu oficerskiego, po prostu oblali benzyną cały budynek z desek i bambusu i spalili go doszczętnie.

Nowo przybyły starszy szeregowiec uśmiechnął się do niego i zapytał:

— Wróciliście z frontu?

— Aha.

— Coś wam się stało w nogi?

— Wietkong mnie obszczał. Oni mają ostre szczyny. Tamten popatrzał na niego przez chwilę.

— Wracacie

do kraju?

— Uhm.

— O rany, a ja dopiero co przyjechałem. Będziecie w łomu na Gwiazdkę i w ogóle.

— Prawda, że życie jest piękne?

— Teraz pójdę coś zjeść. Do zobaczenia.

— Nie dajcie się obsikać Wietkongowi.

— Dobrze.

Wyrzwał przez siatkowe okna latryny na ścieżkę mię-Izy dziesięcioma schludnymi drewnianymi barakami o błyszczących aluminiowych dachach. Czuł się jak obcy wspo-ninając czasy, gdy kwaterował na tym samym terenie, dlka miesięcy przed rozpoczęciem budowy i reorganizacji. STie do wiary, jakie dobre wydawały się teraz tamte czasy.

Kiedy tego rana opuszczał front w śmigłowcu sunącym Drzez rzadką zasłonę mgły, pragnął doznać jakiegoś ra-losnego uczucia zakończenia. A czuł się po prostu znu-Izony, tak jakby to był jeszcze jeden zwyczajny lot. Tyle 'azy mówiono o powrocie do domu, iż stało się to. beł-cotem bez znaczenia, rozcieńczanym zestawem słów, które lic nie dawały, niby kawałek złota skuwany tak cienko, że w końcu się rozpada. "Wracam do domu — koniec z tym wszystkim. Mógł to sobie powtarzać tysiąc razy, lecz ;eraz odgadywał, że nie dozna żadnego uczucia, dopóki nie dotknie ziemi tam, w świecie.

Przez siatkę zobaczył po lewej Webstera, który stał nad beczką do oddawania moczu w rejonie kompanii C.

— Jeżeli nim potrząsasz więcej niż trzy razy, to znaczy, że się nim bawisz — powiedział.

— Właśnie szedłem po ciebie, Móg. Pomyślałem, że może byś się upił dla odmiany.

Morgan podciągnął spodnie, spotkał się z Websterem na ścieżce i razem ruszyli do-klubu.

— Móg, masz szczęście, że nie jesteś w kompanii C. Dali mi służbę kuchenną na pojutrze.

Morgan nigdy nie został oficjalnie przeniesiony z kompanii obsługi dowództwa, więc sierżant-szef ulokował go w warsztatach naprawczych na te ostatnie kilka dni.

— Lekarz powiedział, że nie mogę pełnić żadnej służby ze względu na moje nogi. Ale nic nie mówił o Mieście Grzechu.

Rozsunęli kolorowe plastikowe paski wiszące w wejściu do klubu. Pod ścianą w głębi stały automaty do gier.

0 kilka stóp od baru był stół, na którym grano w kości,

1 DeWolf właśnie je rzucał.

Wzięli sobie cztery piwa i precyzyjnie się między nieznajomymi twarzami do stolika w głębi.

Popijali w milczeniu przez pół godziny, a następnie DeWolf, skończywszy grać, przyszedł i postawił sześć piw na ich stoliku.

— No więc, chłopaki, jesteście gotowi do podróży, co? Macie szczęście — DeWolf omiół spojrzeniem klub. — Nie ma tu teraz ni cholery.

— Założę się, że zostały jeszcze parówki.

— Hancock, jużes na wylocie! — krzyknął nagle Webster. Hancock kiwnął głową od baru, jego pyzata twarz była mizerna i strapiona. Nie zapalony papieros zwisa] mu u warg. Miał odlecieć dopiero jutro.

Podszedł i postawił puszkę na stoliku.

— Kompania C wdepnęła w gówno dziś po południu. — Usiadł sztywno na krześle i podparł brodę pięściami.

— Co takiego? — zapytał Morgan. — Kto? Gdzie?

— Strzelcy napruli się na pluton z Północy w Szczęśliwej Dolinie. Paskudnie oberwali. Kapitan Jones dosta]

406

Przez siatkę zobaczył po lewej Webstera, który stał nad beczką do oddawania moczu w rejonie kompanii C.

— Jeżeli nim potrząsasz więcej niż trzy razy, to znaczy, że się nim bawisz — powiedział.

— Właśnie szedłem po ciebie, Móg. Pomyślałem, że może byś się upił dla odmiany.

Morgan podciągnął spodnie, spotkał się z Websterem na ścieżce i razem ruszyli do-klubu.

— Móg, masz szczęście, że nie jesteś w kompanii C. Dali mi służbę kuchenną na pojutrze.

Morgan nigdy nie został oficjalnie przeniesiony z kompanii obsługi dowództwa, więc sierżant-szef ulokował go w warsztatach naprawczych na te ostatnie kilka dni.

— Lekarz powiedział, że nie mogę pełnić żadnej służby ze względu na moje nogi. Ale nic nie mówił o Mieście Grzechu.

Rozsunęli kolorowe plastikowe paski wiszące w wejściu do klubu. Pod ścianą w głębi stały automaty do gier.

0 kilka stóp od baru był stół, na którym grano w kości,

1 DeWolf właśnie je rzucał.

Wzięli sobie cztery piwa i precyzyjnie się między nieznajomymi twarzami do stolika w głębi.

Popijali w milczeniu przez pół godziny, a następnie DeWolf, skończywszy grać, przyszedł i postawił sześć piw na ich stoliku.

— No więc, chłopaki, jesteście gotowi do podróży, co? Macie szczęście — DeWolf omiół spojrzeniem klub. — Nie ma tu teraz ni cholery.

— Założę się, że zostały jeszcze parówki.

— Hancock, jużes na wylocie! — krzyknął nagle Webster. Hancock kiwnął głową od baru, jego pyzata twarz była mizerna i strapiona. Nie zapalony papieros zwisał mu u warg. Miał odlecieć

dopiero jutro.

Podszedł i postawił puszkę na stoliku.

— Kompania C wdepnęła w gówno dziś po południu.— Usiadł sztywno na krześle i podparł brodę pięściami.

— Co takiego? — zapytał Morgan. — Kto? Gdzie?

— Strzelcy napruli się na pluton z Północy w Szczęśliwej Dolinie. Paskudnie oberwali. Kapitan Jones dosta!

406

3d razu. Człowieku, ale tamci byli dobrze okopani! Ja...

— Kto jeszcze? — spytał Webster.

— Mówili, że Myles ma postrzał w pierś, a sierżant Hol-ier dostał parę kul w brzuch, kiedy kładł ogień osłaniający. Kupa innych rannych. McCutcheona rąbnęli.

— Co? — krzyknął Webster.

McCutcheon! — Nie, człowieku, przecież już nawet nie musi latać. Zestrzelili go?

— Nie, psiakrew! Poczłogał się tam. Wiecie, jak się palił do chwały. Nie usłuchał trzech bezpośrednich rozkazów. Nie powinien był w ogóle opuszczać rejonu kompanii, ale wlaź do pierwszego śmigłowca, jaki tam odlatywał. Kiedy wylądowali, zakazali mu wysiadać, a on wysiadł, to wtedy powiedzieli^ żeby nie ruszał się od plutonu, ale zabrał wszystkie granaty, poczłogał się do miejsca, gdzie żółtki się okopały, i dostał jedną kulę w tyłek, a potem dwie pięćdziesiątki w głowę.

— Po co on to zrobił!

— Miał jutro wracać — rzekł Webster.

— Nie powinien był tego robić. — Morgan nie mógł usunąć z myśli obrazu kuli przebijającej tłusty zadek McCutcheona.

— A co z Chambersem? — zapytał Webster.

?— Z Chambersem? Gdzie Chambers? — On także miał jutro odjechać.

— Jego maszyna została trafiona i zjechała na pole ryżowe. On jest okej, ale nad nią muszą popracować dzisiaj wieczorem, a odlecą jutro. Hart kazał mu czyścić karabiny.

Powiedziałem, żeby pieprzył Harta, ale on i tak tam zostanie. Ja byłem taki spietrany, że trochę się posi-kałem w spodnie. Sierżant Paley dostał szalu. Utłukł ze dwudziestu tych drani. Poczłogał się za McCutcheonem i zaczął wrzucać granaty do dołów. Jeden z tamtych wylaź całkiem rozpieprzony i Paley obciął mu uszy bagnetem. To była paskudna sprawa. Najgorsza od dłuższego czasu.

— O Jezu, McCutcheon! Nie powinien był tam iść, Hancock. Dlaczego ktoś go nie powstrzymał?

— Nie dali rady, Morgan. Nikt nigdy nie widział go

407

w takim stanie. Nikogo nie słuchał. Myślałem, że już skończył z tymi bohaterskimi wygłupami, ale...

— Ilu strzelców rannych? — zapytał Webster.

— Z piętnastu, może więcej.

— A ktoś z ogniowego?

— Nie.

— O Jezu! — DeWolf potrząsnął głową.

— Tak — rzekł Hancock. — Nie trzeba iść na ochotnika do żadnej walki, tak jak tu obecny wasz kumpel.

— Nie ma mowy.

Wszyscy czterej bawili się nerwowo puszkami piwa.

Pod wpływem nagłej myśli Morgan podniósł głowę i szybko zerknął na pozostałych, by się upewnić, że niczego nie zauważyli. Zapalił papierosa i z wolna wydmuchał dym, a płomyk chwiał się na zapałce przez parę sekund, nim zgasł. Przybrał poważny wyraz twarzy, opuścił smutnie oczy, ale nie mógł pozbyć się owej myśli. Czuł zazdrość, bo go wykiwano z dzisiejszej bitwy. Chciał biec na lądowisko i samemu polecieć tam śmigłowcem. Ale już było po wszystkim, żołnierze wrócili do

bazy polowej, popijali piwo i kawę, omawiali dzisiejszą akcję. Nienawidził Wietnamczyków z Północy za to, że czekali, aż on odejdzie z frontu.

— Ano — powiedział Hancock — chyba już więcej nie znajdziemy się na Hueyach, co? Po tym draństwie na pewno przyjemnie jest wiedzieć, że ma się za sobą ostatni lot na tych cholerach.

Nikt się nie odezwał. Hancock wziął następną puszkę i napił się.

— Chyba nie ma co czuć się tak parszywie. Nie możemy nic zrobić, najwyżej sobie popić i zapomnieć o tym. No, Morgan, urżniemy się, czy będziemy tu siedzieli i gryźli się całą noc?

— Cholera z tym! — Morgan wychylił piwo i z trzaskiem postawił puszkę na stole.

— Masz jakąś gorzałę w swojej chacie, Hancock? — zapytał Webster.

— Dwie ćwiartki czerwonego Johnny Walkera. Zabieraj-

403

ny się stąd. Popatrzcie na tych wszystkich nowych, któ-zy tu siedzą i zachowują się tak, jakby już coś widzieli. Jeden z nowych ludzi przy sąsiednim stoliku podniósł >czy i napotkał spojrzenie Hancocka.

— Co słyhać, narybku? — zapytał drwiąco Hancock. — reden z moich kumpli dopiero co zginął, więc nie udawaj wielkiego waźniaka, który tu przyszedł się napić.

Nowy odwrócił wzrok.

— Żałosne pierdoły — powiedział Hancock przeciągając każdą sylabę.

— Chodźmy — rzekł Webster. — Idziesz, DeWolf?

— Pogram w pokera.

Morgan przeszedł koło baru obawiając się, że fizyczna Dliskość ujawni innym jego tajemnicę.

Hancock podszedł od tyłu do nowego żołnierza, pochylił >ię i wyszarpnął spod niego krzesło, tak że ten runął na podłogę. Hancock cofnął się, gdy inni siedzący przy tym samym stoliku chwycili za swoje krzesła.

— Chodźcie, palanty. Nie boję się zabrać do was wszystkich. Człowiek powinien móc popijać we własnym klubie bez bandy rekrutów, którzy się gapią na niego.

— Daj spokój, Cock — powiedział Webster — Spływajmy.

— Wszystko mi jedno. Zaraz naleję tych pacanów. Jestem mężczyzną i nie będę znosił takiego gówna!

— Oni po prostu nie wiedzą, co się tu dzieje. Chodź.

— Dobrze, ale ja się nie boję.

— Wiem, że nie, stary.

Morgan wyszedł od Hancocka krótko po północy. Pośliznął się na mokrym betonowym stopniu i upadł na jedno kolano. Pozbierawszy się stał chwilę bez ruchu, słuchając, jak deszcz ocieka z dachu na jego czapkę, po czym zeszedł z betonu, pośliznął się znowu i wywalił twarzą w błoto. Złapał puszkę z piwem, zanim się całkiem wylało, i przetoczywszy się na wznak przytknął jej ubłoconą krawędź do ust, i przechylił do góry dnem. Łykając

405

ny się stąd. Popatrzcie na tych wszystkich nowych, którzy tu siedzą i zachowują się tak, jakby już coś widzieli.

Jeden z nowych ludzi przy sąsiednim stoliku podniósł Dczy i napotkał spojrzenie Hancocka.

— Co słyhać, narybku? — zapytał drwiąco Hancock. — Jeden z moich kumpli dopiero co zginął, więc nie udawaj wielkiego waźniaka, który tu przyszedł się napić.

Nowy odwrócił wzrok.

— Żałosne pierdoły — powiedział Hancock przeciągając każdą sylabę.

— Chodźmy — rzekł Webster. — Idziesz, DeWolf?

— Pogram w pokera.

Morgan przeszedł koło baru obawiając się, że fizyczna bliskość ujawni innym jego tajemnicę.

Hancock podszedł od tyłu do nowego żołnierza, pochylił się i wyszarpnął spod niego krzesło, tak że ten runął na podłogę. Hancock cofnął się, gdy inni siedzący przy tym samym stoliku chwycili za swoje krzesła.

— Chodźcie, palanty. Nie boję się zabrać do was wszystkich. Człowiek powinien móc popijać we własnym klubie bez bandy rekrutów, którzy się gapią na niego.

— Daj spokój, Cock — powiedział Webster — Spływajmy.

— Wszystko mi jedno. Zaraz naleję tych pacanów. Jestem mężczyzną i nie będę znosił takiego gówna!

— Oni po prostu nie wiedzą, co się tu dzieje. Chodź.

— Dobrze, ale ja się nie boję.

— Wiem, że nie, stary.

Morgan wyszedł od Hancocka krótko po północy. Pośliznął się na mokrym betonowym stopniu i upadł na jedno kolano. Pozbierawszy się stał chwilę bez ruchu, słuchając, jak deszcz ocieka z dachu na jego czapkę, po czym zeszedł z betonu, pośliznął się znowu i wywalił twarzą w błoto. Złapał puszkę z piwem, zanim się całkiem wylało, i przetoczywszy się na wznak przytknął jej ubłoconą krawędź do ust, i przechylił do góry dnem. Łykając

409

zaciekle wlał w siebie większą część mieszanki piwa i whisky. Reszta pociekła mu po policzkach, brodzie i szyi. Coś niecoś dostało się do nosa i kiedy prychnął, nozdrza wypełnił mu płyn. Znowu przetoczył się, dźwignął na kolana i przyciskając kolejno nos z jednej i drugiej strony wysmarkał się w błoto. Czołgając się na czworakach w stronę kompanii dowództwa otarł nos o ramię. Po paru jardach przekręcił swą baseballową czapkę tak, że daszek sterczał mu nad uchem. Odchylił w tył głowę, wysunął język i posmakował deszczu. Zaszczekał w mrok: „hau, hau, hau”, po czym runął na wznak i śmiał się przez pięć minut.

— Baaa-czność! — krzyknął nagle, dźwignął się i przykucnął. Opuścił jedno kolano w błoto. — Okej, chłopcy, mamy przed sobą długą drogę. Wszędzie dokoła wróg. Coraz mniej diabelskiego soku do chlania. Ma być spokój. Żadnego palenia, trzepania kapucyna ani iskania wszy. Musimy iść zgięci, żeby nikt nie zobaczył białek naszych oczu. Żadnego chichrania. Rozpoznamy rejon zwany „Over-head”, który teraz jest- terytorium nieprzyjacielskim. Stamtąd pójdziemy prosto do miejsca przedtem zwanego terenem ćwiczebnym dla moczymordów, a obecnie obszarem bezprześrednim. Nie bezpośrednim, tylko bezprześrednim, który ma odtąd nazywać się przedbeprześredni. Będziemy biwakować tam, gdzie jest napisane, że sok diabelski wytryśnie z błota, jeżeli się dość długo poleży. To niedaleko tego rowu, gdzie was zadcpczą, jeżeli tam dłużej poleżycie. Gotowi? Idziemy.

Zbiegł po błocie z lekkiej pochyłości ku kompanii obsługi dowództwa. Teren opadał raptownie o kilka jardów przed barakiem, i Morgan nagle znalazł się w powietrzu. Wtulił głowę w ramiona, wywinął kozła i rąbnął o ścianę kwatery łączności. Rozległy się stękania ludzi, którzy spali wewnątrz.

— Tsss! — szepnął. — Pluton Cioci Kloci wkroczy teiaz na obszar przedbeprześredni. Świetnie wam idzie, chłopcy-

Poszedł cicho wzdłuż ściany baraku, aż natrafił na ścież-

410

tę. Skręcił w lewo, skradając się na palcach przeciął dro-

»ę batalionową i przemknął się za kasyno. O dziesięć jardów od swego celu osunął się na kolana wpatrzył w ciemność. Rozeznał stoły do golenia" stojące

)bok wejścia do jego namiotu, dwa pojemniki na wodę

)raz trzy małe ławki przy nich. Położył się na brzuchu zaczął pełzać naprzód. Zatrzymał się o dwie stopy od tawek.

— Stout, Fisher, Zastrow, Padgett, Slagel, Barry, co słyhać, stare pierdoły? Naparzałem się i właśnie przyprowa-izilem moich ludzi. Kurewsko było, ale miło jest znaleźć się znowu na przedbeprześrednim terenie i napić się diabelskiego soku razem z wami. Wszyscy musimy niedługo jechać do domu, ale możemy do siebie pisać i spotkamy się na Olimpiadzie w Meksyku w sześćdziesiątym ósmym.

Podłożył ręce pod piersi i wcisnął się głębiej w błoto.

— Chłopaki, ciepło mi na sercu, że znowu jestem tutaj. Tam było parszywie. Pewno nie tak źle jak wam, ale każde to draństwo jest złe. Teraz już wróciłem, więc możemy sobie popić, jak za dawnych czasów. Fisher, może byś wziął jeepa, to pojedziemy do Qui Nhon i przywieziemy sobie cały siennik piwa, tak jak robiliśmy dawniej, co? Masz tu piętnaście dolców jako mój wkład.

Przekręcił się na bok i wyciągnął portfel z tylnej kieszeni. Otworzył go i wyjął banknot dziesięcio- i pięcio-dolarowy.

— Masz — powiedział przekręcając się na brzuch i wyciągając ręce. — Weź to. Kupimy sobie piwa, pogadamy i popatrzymy, jak mały się chędoża, tak jak kiedyś, i spotkamy się w Meksyku w sześćdziesiątym ósmym, i porozmawiamy o dawnych czasach, bo wtedy nie będą mogli nas tknąć.

Banknoty wyleciały mu z dłoni, a przedramiona opadły, wcisnął twarz w błoto i zaczął nią trzeć w obie strony.

— Nie, już nam nic nie robią. Pieprzeni zawodowcy zostaną pieprzonymi zawodowcami i nie będą już mogli nas tknąć.

— Morgan! Morgan! Chodźże, człowieku.

411

— Kto tam? Slagel? Stout? Padgett? Kto?

— To ja, DeWolf. Tamtych już nie ma od miesiący. To ciężkie, chłopie', ale masz jeszcze tylko parę dni. Nie obcyndalaj się. Napijmy się piwa albo chodźmy spać.

— A masz jakieś piwo?

— Zawsze mam.

— To się napijmy, DeWolf.

W namiocie usiadł na łóżku, otworzył puszkę i wypił dwa łyki.

— Wyście dziś naprawdę narozrabiali, nie?

— Było dosyć niedobrze. — Przerzucił nogi na łóżko i wyciągnął się. — Niedobrze, DeWolf, ale myślę, że już nie mogą się do mnie przypierdalać, no nie?

Patrzył, jak DeWolf wstał, wylał resztę jego piwa w błoto, wpełznął pod siatkę przeciwmoskitową i wsunął się do swego śpiwora.

Morgan wpatrywał się w brezentowy sufit i poruszał wargami cmokając, usiłując poczuć jakiś smak.

27

Chambers nie spał, kiedy sierżant sztabowy Hart przyszedł obudzić go o piątej; leżał na wznak i słuchał, jak pluton gotuje się na zbiórkę o wpół do szóstej. Hart przyszedł po niego, ponieważ nie zjawił się na apel, ale Chambers powiedział mu spokojnie, że do drugiej był na lądowisku i będzie odpoczywał, dopóki jego maszyna nie przyleci. Wpatrywał się w sufit namiotu i palił.

Wiedział, że powinien być być mądrzejszy, wiedział teraz, że największym oszukaństwem wojny jest po prostu to, iż się nie kończy, dopóki człowiek nie znajdzie się bezpiecznie w łóżku, we własnym domu. Znowu jak rozgrywka — nigdy nie zakończona aż do ostatniego dzwonka.

Wiedział też teraz, że ostateczną zniewagą dla jego poczucia ludzkości jest to, że wojna nie pozwala mu na nie.

Wczoraj znów zabił, nie instynktownie ani chętnie. Decyzja była racjonalna, jak rozwiązanie zadania z arytmetyki,

412

ypki, pospieszne wyważenie ograniczonych możliwości wy->oru, jakie miał karabinowy o sto stóp nad polem bitwy. ?rzej Wietnamczycy z Północy wyleźli ze swoich dołów skradali się w stronę prawego skrzydła plutonu strzel-ów. Nie miał innego wyboru, jak puścić w nich nieubła-;any strumień śmierci ze swego karabinu maszynowego.

Dlaczego właśnie on, kiedy większość karabinowych ni-[dy nie zastrzeliła nikogo bezpośrednio, nie miała poję-ia, czy zabili, czy nie? Dlaczego on zawsze musiał za->ijać żołnierzy twarz w twarz?

Iluż jeszcze leżało uśmierco-Łych pod baldachimem dżungli, nie widzianych przez woich

zabójców?

Wydawało się zatem logiczne — nawet konieczne — żeby jego maszyna została zestrzelona. Kiedy kula prze-:iła podłogę i zerwała przewody na suficie powodując itratę mocy, powiedział głośno: „tak”. A kiedy śmigłowiec odleciał znad terenu bitwy i zjechał na pole ryżowe 5 milę dalej, Chambers tylko się zastanowił, dlaczego ku-ia nie została wystrzelona o sekundę wcześniej i nie tra-:iła w stojącą na podłodze skrzynkę granatów termito-wych. Albo o sekundę później, by trafić go w jądra?

Przez resztę dnia, noc i aż do rana, gdy holowali maszynę do bazy polowej, kiedy jedli i zmęczeni opowiadali, co się zdarzyło, a Maddin i sierżant z warsztatów naprawczych wymieniali przewody i nastawiali łopaty wirnika, wciąż czekał, że pojawi się McCutcheon służąc pomocą i radą. Nawet nad ranem, podczas bezsennych godzin na swoim śpiworze, spodziewał się, że McCutcheon wejdzie do namiotu i ze znużeniem weźmie sobie wodę sodową.

Powinien był wiedzieć także — zdawał sobie sprawę, iż wiedział, choć nigdy tego nie uznał — że McCutcheon chciał umrzeć. Szkoda, że nie mógł odjechać do domu, zanim jego życzenie się spełniło. Czuł dla niego niechętny podziw, bo on jeden wierzył w wojnę, pracował ciężko i uważał siebie za ważną część tego wysiłku. Głupie rozumowanie. O co właściwie grał poza własną śmiercią? I pewnie nawet tego nie wiedział.

413

O wpół do siódmej Chambers poszedł do namiotu kasyna. Jajka smażące się w morzu tłuszczu wzbudziły w nim obrzydzenie, więc stanął na końcu kolejki, gdzie wydawano kawę z dużego wiadra. Napełnił nią kubek od manierki i przeszedł kilka kroków do namiotu jadalnego. Przystanął między podniesionymi klapami na jednym końcu, a potem wziął sobie ze stołu puszkę mleka. Biały płyn zniknął pod czarną masą leniwie parującej kawy, po czym wypłynął po bokach zabarwiając na brunatno smolistą powierzchnię. Przy jednym ze stołów Hart perorował do czterech nowych karabinowych, którzy siedzieli zasłuchani. W głębi namiotu sześciu strzelców pochylało się w milczeniu nad jedzeniem.

— Wasz sprzęt już gotowy, Chambers? — zapytał Hart. Kiwnął głową.

— Zanieście go do maszyny i załadujcie. Jak tylko Culpepper skończy śniadanie, przyśle go, żebyście mogli mu pokazać jeszcze parę rzeczy, nim odjedziecie.

Chambers znów kiwnął głową, postąpił dwa kroki w stronę strzelców i zatrzymał się. Nie miał ochoty z nikim się żegnać. Todd dostał wczoraj kulą w nogę i był teraz zapewne gdzieś między bazą a Japonią.

Wróciwszy do namiotu usiadł na workach z piaskiem, upił trochę kawy, a resztę wylał na piasek. Wsiąkła pozostawiając ciemnobrązową plamę pokrytą małymi bąbelkami, które błyszczały, wzbierały i pękały, kiedy chował kubek. Przynajmniej poranek wyglądał przyjemnie, spokojnie. Jaskrawe słońce na wschodzie, a na południu ledwie nikły ślad mgły unoszącej się nad wzgórzem. Wlazł z powrotem do namiotu, zdjął wieczka wpuszczonych w ziemię pojemników i zaczął wyciągać piwo i wodę sodową. Po co? Ten, co miał przejąć namiot, mógł je sobie zatrzymać. Przykucnął i zwinął swój śpiwór. Wyniósł go przed namiot razem z hełmem, pasem głównym, granatnikiem karabinowym i przyborami do golenia, po czym wrócił i zasiadł, aby wypić ostatnie piwo, rozkoszując się ciszą. Żadnego hałasu z zewnątrz, cała kompania osowiała po wczorajszym. Wyobrażał sobie każdego z nich stąpa-

414

iącego ukradkowo, rozmyślającego w skupieniu o swoim ęku, czekającego na dzień powrotu do normalności.

Z nim było inaczej. Lubił chwile ciszy, kiedy zmęcze-lie brało górę nad nerwowym roztrzęsieniem i żrącą niepewnością. Podobnie jak niebo, które po huraganie, kiedy už nic nie grozi, wydaje się martwe. I dopiero powoli wraca do życia. Ta pieszczota słońca, niby głos czy śmiech, :zy lot bez strat. Niebo wydaje się niemal zniekształcone jrzez światło dzienne, gdy ludzie kulą się pragnąc za-Domnieć i nie trapić się śmiercią.

Z nim musiało być inaczej. Wszyscy inni zawsze chce-i oglądać wodospady, a om się wspinał wysoko, by pa-:rzeć na wodę sunącą gładko, spokojnie, zanim się przepaliła przez krawędź. Nawet

uprawiając miłość lubił to :zyste wyczerpanie potem, najbardziej lubił tę chwilę, dedy ustawał wysiłek przed wyrzuceniem z siebie życia. N katedrach miał nadzieję, że jeśli tam postoi dość dłu-
*o, któryś z filarów go wchłonie.

Wyszedł z namiotu, zapiał pas, nasadził hełm na gło-wę i przytroczył granatnik. Wetknął śpiwór pod pachę
pobrnął na lądowisko.

Culpepper, jeden z nowych, który przyjechał dopiero wczoraj, już tam był, chodził i oglądał z różnych stron joczne kaemy innej maszyny.

— Myślicie, że już macie to w głowie? — Chambers wrzucił śpiwór na podłogę swojego śmigłowca.

— Wygląda na dosyć skomplikowane — odrzekł Cul-pepper. — Dużo czasu potrzeba, żeby się tego nauczyć?

— Trochę. Ten miotacz granatów w naszej maszynie est dosyć trudny. Jeżeli dostaniecie śmigłowiec z boczny-ni karabinami, utrzymujcie je w czystości i uważajcie na tmunicję, kiedy ładujecie. Nie bójcie się rozbierać karabinów. Tylko w ten sposób nauczycie się składać je na)owrót. Nawet jeżeli nie jesteście pewni, rozbierzcie je wyczyśćcie. Zawsze znajdzie sję ktoś, kto wam pomoże, i jakby nie, to sami ruszcie głową. Jeżeli nie będziecie ich itrzymywać w czystości, zatną się wam i zanim się obejrzycie, wdepniecie w gówno i przestaną działać. To jest

415

utrapienie, ale zabija czas i może wam się przydać na dłuższą metę.

— Czy powinienem oliwić je co dzień?

— Tylko trochę. Jak dacie za dużo, to też się zatną. Czyśćcie je co trzy dni. Lądowanie na tym piachu wdmuchuje w nie różne świństwa.

— Myślicie, że zobaczę dużo akcji?

— Kto to wie? Po prostu bądźcie gotowi. Ostatnio nie było ich tak wiele, ale widzieliście, co zdarzyło się wczoraj. Nigdy nie wiadomo. Mam nadzieję, że nie zobaczycie za dużo.

— A poza tym jest dosyć nudno, co?

— To lepsze niż dostać w czapę. Spokojna głowa, zobaczycie swoje. A teraz włączcie na' siedzenie, przygotujcie karabin, podwieście go na lince, to wam pokażę, jak strzelać.

Culpepper wdrapał się do śmigłowca, usadowił się na siedzeniu i zawiesił karabin maszynowy na lince elastycznej. Oparł kolbę na kolanach, podniósł rękę i wymacał linkę zwisającą od sufitu.

Powoli przesunął po niej ręką i przycisnął mocno kolbę do boku. Nagle podniósł wzrok i uśmiechnął się.

Kiedy Chambers patrzył na lśniące zęby Culpeppera, oblała go ogromna fala zmęczenia. Pewnie skutek niespa-nia ostatniej nocy. Nie. Uśmiech Culpeppera był wilgotny, a Orville miał usta wyschnięte.

— Tak jest okej, Chambers?

Opanować się. Było to tak, jakby Culpepper spoglądał na niego ponad pustynią, raz z odległości pięciu stóp, to znowu pięciu tysięcy mil, poprzez nieprzeniknioną ścianę drgających fal gorąca.

Wznosiły się niby pionowe rzeki wodnego szkła odbijające się lśnieniem w jego ustach.

— Chambers, czy wyglądam okej?

Pozbierać się! — Postawcie prawą stopę na krawędzi podłogi i zaprzyjcie się lewą o obramienie drzwi. — Zbyt wiele mil do przemierzenia; usta Culpeppera, uśmiechnięta, wilgotna obietnica, będą wyschnięte, kiedy tam się znajdzie.

416

— W czym to ma pomagać?

— Daje oparcie i lepiej się strzela. Można trzymać broń wycelowaną i obracać się całym ciałem w miarę ruchu Śmigłowca. — I będzie wam to zawsze tkwiło w głowie.

— Jak to jest podczas lotów bojowych?

— Pociski smugowe wskazują cel. Trzeba strzelać, dopóki nie przestanie się go widzieć. Kiedy maszyna skręca i strzelacie do tyłu, skierujcie broń w dół, żebyście nie trafili w belkę ogonową. —

A kiedy wam zaschnie w ustach, nic nie poczujecie.

— Tatatatata! — wyrwało się z ust Culpeppera, gdy dla zabawy zaczął wodzić karabinem maszynowym na lince. — Pewnie w śmigłowcu jest niezły hałas, kiedy te sześć dzidziusiów odezwie się naraz.

— Odwieście karabin, to wam pokażę, jak trzymać amunicję.

Usadowiwszy się na siedzeniu wyciągnął ostrożnie ze skrzynki długą taśmę amunicyjną, przewiesił ją sobie przez kolana i popatrzał na lądowisko, gdzie dowódca załogi pracował na wierzchu maszyny pułkownika.

— Chwileczkę, Chambers, muszę się odlać. — Culpepper zniknął pod belką ogonową.

Za tydzień zaszyje się w zimny, cichy, czarny i biały las. Mroźne powietrze, trzeszczenie gałęzi nie mogących utrzymać śnieżnej okiści. Cudowny odgłos, jak kropla wody spadająca z pustej kopuły katedry na pustą podłogę, jak kula trzaskająca z pustej lufy w próżnię nieba. Pragnął ujrzeć ptaka zrywającego się z gałęzi, z której zlatuje z szelestem czapa śniegu. A potem cicho ją zasypuje opadający

pył.

— Okej, jestem gotowy! — zawołał Culpepper podbiegając do drzwi. Zatarł ręce. — Czy zdarzyło się, że komuś odstrzelili jaja, kiedy tu siedział?

— Nie słyszałem. Ale można sięść na kamizelce przeciw-odłamkowej, żeby je osłonić.

— Dobra myśl.

— Wyuczyliscie już tego młodego żołnierza, Chambers? Obrócił się i zobaczył kapitana Sandersa.

27 — Amerykańscy chłopcy

417

— O, dzień dobry, panie kapitanie. Czy odlecimy z panem!

— Ja lecę do Bangkoku. No jak, Culpepper? Spodoba wam się strzelanie do tych żółtków?

— Wygląda fajnie, panie kapitanie.

— Pamiętam mojego pierwszego — rzekł Sanders. — Taki mały z armii północnowietnamskiej na" polanie. Trafiłem go prosto w tyłek granatem i rozerwałem na pół. Drań się przewrócił, a my przelecieliśmy naprawdę nisko i zobaczyliśmy, że jeszcze żyje. Wyglądał na cholernie spietranego, tak jakby prosił, żeby go albo dobić, albo zostawić w spokoju, sam nie wiem, jedno czy drugie. Poderwałem maszynę i wpakowałem w niego jeszcze ze dwadzieścia. Dym tylko został, jak skończyłem.

— O rany, pan kapitan to nie żartuje — powiedział Culpepper.

— Nie mogę. Niedługo powinniśmy odlecieć. Nie chcę, żeby mnie ominęły te syjamskie dupki.

Gdzie się podział Maddin, do cholery? Chambers, gdzie jest Maddin?

— Słucham?

— Gdzie jest Maddin, do diabła?

— Nie wiem. Może w kompanii dowództwa.

— Idźcie po niego. Chcę się stąd zabrać. Spojrzał na Sandersa, wyskakując ze śmigłowca.

— Ja też, panie kapitanie — powiedział.

Znalazł Maddina siedzącego na płozie śmigłowca technicznego; palił skręta z dwoma mechanikami.

— Słuchaj, stary — powiedział Maddin. — Siadaj tu na małego dymka. Właśnie mieliśmy iść do pułkownika Sni-dera i zapytać, czy chce się wybrać z nami.

Chambers przysiadł na przedniej części płozy i zaciągnął się głęboko.

— Sanders jest przy naszej maszynie i chce już lecieć.

— Jeżeli Sanders może dosięgnąć fiutem do dziury w swojej dupie, to powinien się zerznąć. A jeżeli ja nie mam ochoty dziś lecieć? Może chcę tutaj siedzieć, palić „trawę" i chrzącić bzdety, dopóki wojna się nie skończy. Ale wiem, że dzisiaj jest twój dzień, Chambers, więc tyl-

418

— O, dzień dobry, panie kapitanie. Czy odlecimy z panem?

— Ja lecę do Bangkoku. No jak, Culpepper? Spodoba wam się strzelanie do tych żółtków?
— Wygląda fajnie, panie kapitanie.
— Pamiętam mojego pierwszego — rzekł Sanders. — Taki mały z armii północnowietnamskiej na* polanie. Trafiałem go prosto w tyłek granatem i rozerwałem na pół. Drań się przewrócił, a my przelecieliśmy naprawdę nisko i zobaczyliśmy, że jeszcze żyje. Wyglądał na cholernie spietranego, tak jakby prosił, żeby go albo dobić, albo zostawić w spokoju, sam nie wiem, jedno czy drugie. Poderwałem maszynę i wpakowałem w niego jeszcze ze dwadzieścia. Dym tylko został, jak skończyłem.
— O rany, pan kapitan to nie żartuje — powiedział Culpepper.
— Nie mogę. Niedługo powinniśmy odlecieć. Nie chcę, żeby mnie ominęły te syjamskie dupki. Gdzie się podział Maddin, do cholery? Chambers, gdzie jest Maddin?
— Słucham?
— Gdzie jest Maddin, do diabła?
— Nie wiem. Może w kompanii dowództwa.
— Idźcie po niego. Chcę się stąd zabrać. Spojrzał na Sandersa, wyskakując ze śmigłowca.
— Ja też, panie kapitanie — powiedział.
Znalazł Maddina siedzącego na płozie śmigłowca technicznego; palił skręta z dwoma mechanikami.
— Słuchaj, stary — powiedział Maddin. — Siadaj tu na małego dymka. Właśnie mieliśmy iść do pułkownika Sni-dera i zapytać, czy chce się wybrać z nami.
Chambers przysiadł na przedniej części płozy i zaciągnął się głęboko.
— Sanders jest przy naszej maszynie i chce już lecieć.
— Jeżeli Sanders może osiągnąć fiutem do dziury w swojej dupie, to powinien się zerznąć. A jeżeli ja nie mam ochoty dziś lecieć? Może chcę tutaj siedzieć, palić „trawę” i chrzanić bzdety, dopóki wojna się nie skończy. Ale wiem, że dzisiaj jest twój dzień, Chambers, więc tyl-
418

to w charakterze osobistej uprzejmości poprowadzą tę maszynę, żebyś mógł polecieć do domu.

— Dziękuję.
— Sanders leci na odpoczynek, tak; len frajer pewnie nie będzie mógł skombinować sobie dupy. Jest taki obrośnięty brudem i niechlujny, że nawet gaci nie zmienia. Zdejmuje je raz na miesiąc, zwija i spala.
— Słuchaj, Maddin...
— No dobra, wracamy, co, Chambers? Już idę. Chambers pożegnał się z ekipą techniczną i poszedł z Maddinem do ich maszyny.
— Maddin, masz cholernie zaczerwienione oczy. Mam nadzieję, że Sanders nie zauważy.
— Wiesz, że Sanders niczego nie zauważa oprócz samego siebie. Mógłbym tam pójść pijany w trupa i z gołą dupą, a on by myślał, że jestem w pełnym mundurze polowym.
— Gdzie wyście byli, Maddin? — krzyknął Sanders, kiedy zbliżali się do maszyny.
— Mam biegunkę, panie kapitanie. Za skarby świata nie mogłem zejść z sedesu.
— Gówno! — powiedział Sanders.
— Cała masa, panie kapitanie.
— Okej, okej. Lepiej wsadźcie sobie korek w tyłek, bo odlatujemy.
— Tak jest, panie kapitanie. — Maddin przeszedł na drugą stronę śmigłowca i nałożył rzemienie spadochronu.
— Lecicie z nami? — zapytał Chambers Culpeppera.
— Hart chce, żebym tu został.
— No to wszystkiego dobrego.
— Dopilnuję za was interesu.
— Na pewno.
Chambers nałożył kask lotniczy, zapiał z przodu rzemienie i wskoczył na swoje miejsce. Culpepper

skulił się, kiedy śmigłowiec wzniósł się z brunatnego lądowiska i wwiercił w niebo.

419

Chambers miał niezłe stopnie w szkole średniej. Nie pamiętał na pewno, ale zdawało mu się, że trochę wyższe od przeciętnych. Sprawdzi to, jak tylko wróci do domu. To dopiero się zdziwią sekretarki w szkole, gdy wmaszeruje i każe przesłać odpisy świadectw na uniwersytet. Kiedy śmigłowiec przelatywał nad rzeką i polśniewającymi polami ryżowymi, Chambersowi przyszły na myśl mosty i rzeka między dwoma miastami — mniejsza, bardziej powolna i brunatniejsza rzeka Minnesota niedaleko jego domu rodzinnego. Czasami wylewała na wiosnę.

Wyobrażając sobie samego siebie w college'u, miał przed oczami starszego pana w schludnym, ciemnym, wykładanym drewnem pokoju. Ucząc się paliłby cygara. Będzie studentem pierwszego roku mając dwadzieścia pięć lat, ale byli tacy, co zaczynali w późniejszym wieku, a on będzie miał dobry start znając niemiecki oraz podstawy historii sztuki. Może zajmie się trochę inżynierią, aby nauczyć się czegoś o naprężeniach i przygotować się do zbudowania sobie kiedyś własnego domku. Nie miał w portfelu żadnych fotografii ani żadnych smutnych, wyświechtanych pamiątek w kieszeniach czy na szyi. Małe blaszane pudełko z pocztówkami spoczywało bezpiecznie w worku odzieżowym. Kiedy pozwalał sobie myśleć o kobietach — o miłości — ideał twarzy i napięcia ciała znajdował na reprodukcji Pallas i Centaura Botticellego. A może to nie miłość. Raczej wyraz pewnych powiązań. Odosobnienia i samotności. Siły i wrażliwości. Nie był taki wrażliwy jak Centaur, lecz nie mógł się powstrzymać od puszczenia wodzy fantazji. Wyobrażał sobie samego siebie siedzącego przed kominkiem, kiedy za oknem szaleje śnieżycy. Byłaby tam jego Pallas, a jej twarz wyrażałaby współczucie, przebaczenie i pokrzepienie w jegt. -nużeniu. Jego uczuć nie dałoby się ująć w słowa; można o je przekazać tylko gestami. Zresztą nie będzie potrzebować słów. Sam wyraz jej twarzy wystarczy, a wyciągnięcie ręki, by dotknąć jego włosów z odrobiną figlar-ności, powie mu wszystko, co pragnął wiedzieć.

420

Zatrzeszczało radio; skrzywił się, kiedy Maddin zakaszłał w mikrofon.

— Założę się, że twoi kumple rozrabiają dziś w Mieście Grzechu. Pacany będą miały szczęście, jeżeli zdążą na samolot do domu.

— Nie tak jak ty i ja, co Maddin?

— Ty pewnie tam posiedzisz dziś po południu.

— Chyba tym razem będę się trzymał z daleka.

— Co takiego?

— Słyszałeś.

— Rozumiem, że będziesz się trzymał z daleka od zatry-pionej piczy, ale nawet nie kupisz jakichś pamiątek, żeby zawieźć do domu?

— A komu mam je zawozić?

— To jest taniocha, a mogłoby ci ułatwić z jakąś babką.

— Jeżeli mam potrzebować tego śmiecia, żeby ją dostać, to się obejdę.

— Jak sobie chcesz, mądralo.

— Ano właśnie.

Przełączył z powrotem intercom i usiłował nie słuchać Sandersa, który gadał, czego się spodziewa podczas wypoczynku. Na olbrzymich dżunglowych liściach odbijało się w rosie słońce, migocząc jakby w takt równego warkotu motoru. Chambers czuł się wyczerpany, ale uspokojony. Już nie było potrzeby się wysilać.

Myślenie o Mieście Grzechu zmęczyło go jeszcze bardziej. Nie mógł znieść tego smrodu. Sperma. Mocz, gówno i rzygowiny. Licha gorzała, pot i dym papierosowy. Zużyte baby, które cuchnęły jak gnijące trupy. Ten przemieszany odór powrócił mu na pamięć, kiedy śmigłowiec mknął przez poranne powietrze. Zapachy, które też należało zmagazynować w pamięci. Bojąc się, że zwymiotuje, wychylił się na powietrze i nabrał głęboko tchu.

Morgan mówił, że trzeba wyrzygać z siebie te przeżycia, żeby się od nich odgradzić. Morgan miał zrobić to w Missisipi. Będzie jechał z Georgii, aż znajdzie jakieś opuszczone miejsce na którejś z

tych wąskich, opustoszałych,

421

dziwacznych dróg tamtejszych. Wdrapie się na wzgórze z butelką whisky i będzie pił samotnie, aż już nie będzie mógł pić więcej, a wtedy napije się jeszcze. Wypije tyle, że dostanie najstraszniejszych wymiotów w życiu. Opróżni się do dna. Może nawet przyjdzie mu wyrzucić cały żołądek, lecz kiedy to zrobi, będzie mógł zacząć od nowa, wciąć dobre jedzenie i pić łagodne wino. Morgan śmiał się przez cały czas, kiedy to mówił, ale był śmiertelnie poważny i zamierzał tak zrobić, gdy tylko będzie miał sposobność, chociażby po to, by później móc o tym opowiadać. Biedny Morgan. I on także nużył teraz Orville'a swoim biadoleniem i samoponizaniem. Szkoda, że Morgan nie mógł być wczoraj na jego miejscu, by wreszcie spełnić swoje życzenie. Albo na miejscu McCutcheona. Zastanowił się, jak dalece Morgan chciał umrzeć — zapewne nie tak bardzo jak McCutcheon. Morgan nie mógłby wrócić do domu, dopóki nie znalazłby się oko w oko ze śmiercią w możliwie najbardziej absurdalnych warunkach. Mówił, że chce wiedzieć, z czego zrobiona jest ostatnia nić liny, a z chwilą kiedy by się dowiedział, wciągnąłby się na powrót w górę lub zjechał w dół (nie był całkiem pewny, w którym kierunku), chyba żeby ta nić nie mogła go utrzymać.

Chambers nie wiedział, czy Morgan wisiał na tej ostatniej nici, czy nie. Może tego dnia, kiedy zabił kobietę, a Barry skołał obok niego, ale to była zbyt poważna sprawa, by myśleć o niej takimi kategoriami. Nikt nie kwitował takiego przeżycia gładkimi wypowiedziami na temat tego, co czuł. Mógł być jedynie żal i zmęczenie, i wina. A jednak Orville wyczuł owego dnia w ciele Morgana pewne odprężenie, tak jakby wypalała się w nim wewnętrzna wojna. Ale potem był tamten wieczór. I byli też zabici ludzie. Jakie prawo miał ktokolwiek...

Przylapał się na tym, że uderza dłonią po swoim kasku lotniczym i szybko spojrzął na Maddina, lecz dowódca załogi miał odwróconą głowę. Piloci też niczego nie zauważyli. Wychylił się w prąd powietrza. Dzisiaj musi się wyspać.

422

Twarz ojca przedarła się przez chmurę niby oblicze fil-nowego potwora wyłaniającego się z otchłani. Rozgoryczenie gorzało w tych gniewnych oczach, rozgoryczenie, że aie miał nawet szczątków swoich dwóch starszych synów, ł także na najmłodszego za to, że wstąpił do organizacji, itóra go z każdym dniem przybliżała do śmierci. Jakże bezsilni starzy ludzie mogą przeciwstawić się złościwości aiesf orných dzieci? Czuł, że rozumie matkę, która żyła w ustawicznym niepokoju, ale zrezygnowana i prawie pogodna. Mogłaby umrzeć, gdyby on umarł, albo mogłaby nie zrobić nic. I jedno, i drugie bez pozy. Natomiast nie mógł sypiać usiłując zrozumieć ojca.

Martin Chambers, doktor medycyny, wiejski lekarz, właściciel posiadłości ziemskiej, ratownik życia, a także jego wróg, odbierający je ze względu na syna. Czy odebrałby życie całej planecie, gdyby mu dano sposobność po temu? Chambers, lecąc pomiędzy błękitem a zielenią, wyobraził sobie ojca łypiącego mściwie oczami zabójcy spod gęstego listowia. Ojciec musiał go czasem nienawidzić. Teraz już może nawet czerpał zadowolenie z tej nienawiści. Więc będzie musiał znowu się przystosować. Jeżeli spodziewał się śmierci trzeciego syna, to zapewne byłoby dla niego bardziej bolesne pogodzić się z faktem, że Orville żyje. Potrzeba będzie długiego miesiąca w domu, by poznać na nowo matkę i ojca — może po raz pierwszy.

Żadne z nich nie mówiło wiele, kiedy nie poszedł do college'u, i czuł, że troskali się głównie tym, co zrobi ze swoim życiem. W listach matka zdawała się być uszczęśliwiona z jego decyzji rozpoczęcia nauki; będzie blisko domu i będzie zdążał do jakiegoś celu. Pewno odnosi się nieufnie do tego, co postanowił studiować, ale nigdy tego nie powie — to nie jest rola kobiety. Ojciec byłby nieufny, gdyby został księdzem.

Kiedy Maddin pociągnął za jego rzemienie, Chambers zauważył lekkie drganie śmigłowca.

Pionową wibrację — łopaty wirników już obracały się nierówno. Maddin miał przerażoną minę, a głosy pilotów stały się nagle donośnie jsze.

423

— Maddin — odezwał się Sanders. — Wyście wczoraj wyregulowali tę maszynę, co?

— Tak jest. Nie wiem, co się dzieje. Wygląda na to, że opada dość prędko.

Drganie się wzmogło.

— Jak myślicie, co to jest?

— Nie wiem, panie kapitanie. — Maddin wyglądał na przestraszonego, naprawdę przestraszonego.

— Sierżant z warsztatów naprawczych mówił, że wszystko w porządku. Może powinniśmy wylądować.

— Nadal ma sześć tysięcy siedemset obrotów na minutę — powiedział chorąży Eastman. — Do diabła, panie kapitanie — dodał, kiedy szarpanie stało się wyraźniej sze — posadźmy to draństwo na ziemi.

Lecieli nad długą doliną i wzniesli się na tysiąc stóp, aby przeskoczyć nad granią, gdzie dolina kończyła się wąskim jarem. Północny obwód obozu-bazy znajdował się o cztery mile dalej, w niegdyś bujnie zarośniętym wąwozie, który wypalono napalmem.

Głowa Orville'a podskakiwała w takt wzrastającej wibracji wewnątrz śmigłowca.

— Tu nie ma gdzie sięść — powiedział Sanders rozglądając się spieszenie we wszystkie strony. — Musimy przeskoczyć ten grzbiet, a potem opuścić się na dno doliny. Trzęsie tak, jak gdyby pękła głowica wirnika. Może skądś dostaliśmy serię. Widzieliście jakieś pociski smugowe?

— Jezu Chryste! Nie, panie kapitanie. Myśli pan, że przeskoczymy przez ten grzbiet? — Maddin był przerażony, twarz mu zbieleła, podobnie jak dłoń naciskająca guzik mikrofonu.

— Tracimy obroty — powiedział Eastman. — Nie wiem, czy damy radę przesadzić ten grzbiet. O Jezu, panie kapitanie, chyba nie!

— Przejmę stery — powiedział Sanders.

Maddin wyglądał na obłąkanego. Wszyscy wyglądali na obłąkanych. Orville wystawił przez drzwi głowę, która mu podrygiwała w rytm wibracji. Ziemia podjeżdżała ku

424

niemu to powoli, to szarpnięciami, po czym raptownie zni-knęła.

Nie chciał obserwować wysiłków Sandersa. Wibracja stała się tak silna, że trząśł się na siedzeniu.

W głowie wzmagał mu się dziwny, nieprzerwany hałas. Nie mógł rozeznąć, w którą stronę przesuwa się ziemia, a głosy w jego uszach były obce. Obrócił się unikając patrzenia na kogokolwiek i wyłączył swój kask lotniczy. Obejrzał się w tył przez drzwi i zapatrzył w niebo.

Drgając wściekle na siedzeniu wsłuchiwał się w czysto mechaniczny terkot.

Nagle ów terkot umilkł. Chambers wstrzymał oddech w chwili, gdy coś przypominającego dwa bumerangi wy-prysnęło w niebo na prawo od śmigłowca. Nigdy jeszcze nie zaznał takiego bezruchu. Czuł w całym ciele mrowienie. Płuca mu się rozprężyły i wielka masa powietrza wydarła się z otwartych ust. Niebo uciekło w górę, jak światło wyższego piętra, gdy zjeżdża się w dół windą ze szklanymi drzwiami. A potem wszystko zaczęło gnać wściekle i Chambers przypomniał sobie, jak kapitan Sloane mówił: „Śmigłowiec bez łopat wirnika ma tyle samo dynamiki w powietrzu co fortepian.”

Błękit przeszedł w zieleń, potem w czern, a potem w pomarańczowość wszędzie dokoła. Jakimś sposobem Chambers znalazł się bez rzemieni, znów otoczony zielenią i czernią, owiany przykrym odorem. Usłyszał krzyk odbijający się echem, jak gdyby był na dnie studni i krzyczał do siebie samego stojącego na górze. A potem ujrzał już tylko pomarańczowość i wyparował jak ostatnia kropla porannej rosy z płatka kwiatu.

28

Morgan wyszedł z baru „New York” (pierwszego z lewej po wejściu do Miasta Grzechu) i poklepał się po obwisłym brzuchu. Dwa piwa przeszły nie najgorzej. W bazie 2jadł obfite śniadanie, wziął gorący prysznic, ogolił się

88 — Amerykańscy chłopcy

425

i nawet przebrał. Nogi już miał w porządku. Wciąż nie mógł sobie przypomnieć, co się zdarzyło wczoraj. Pamiętał, że poszedł do chaty Hancocka, ale nie jak stamtąd wychodził. Jeszcze jedna noc na dodatek do wielu.

Wewnątrz czworoboku Miasta Grzechu było pięćdziesiąt betonowych budynków, a w każdym bar i

osiem małych pokoi do kopulacji. Z obu stron stało wzdłuż po dwadzieścia domów, które na końcu łączyło poprzecznie dalsze dziesięć. Od przodu był mur i mała budka, gdzie żandarmeria sprawdzała przepustki, znaczki rozpoznawcze i legitymacje wchodzących żołnierzy. Środek Miasta Grzechu stanowiła pusta przestrzeń pokryta błotem i odpadkami, w głębi zaś były trzy restauracje i sklep z pamiątkami.

Morgan podciągnął spodnie i rozejrzał się w obie strony, niczym kowboj wychodzący z szynku. Minał pięćdziesiąt drzwi i doszedł do baru „Dixie”. Przy jednym ze stolików siedzieli trzej żołnierze z dwiema dziewczynami.

— Chodź i siadaj, koleś — powiedział jeden z nich.

— Za dużo akcji, jak dla mnie. Tylko napiję się piwa i będę liczył te cztery dni, które mi tu zostały. Usiadł, wyjrzał przez okno i z napięciem pomyślał o domu. Co będzie robił? Kogo będzie widywał? Jak oznajmi o swoim powrocie? Ostatni list, który napisał, wysłał do siostry zapowiadając, że będzie w domu na Boże Narodzenie. Ano, zjawi się wcześniej i prawdopodobnie będzie mocno pijany. Pijany przez cały czas.

Pijany. Co za wspaniałe słowo! Nie potrzebował już wiele pić, aby się urznąć. Może tak właśnie to idzie: najpierw człowiek upija się szybko, potem dochodzi do punktu, kiedy może przetrzymać jakiś czas, a wreszcie tak się zachleje, że wystarczy mu łyknąć jedno piwo, pomyśleć: PIJANY i już jest gotowy.

Tylko że to przestaje być teraz zabawne, tak jak w S-1, kiedy wypijał cztery piwa na śniadanie. Wtedy było zabawne, nawet kiedy wieczorem doprawiał się piątym, bo nigdy nie wiedział, gdzie się ocknie, i potem zawsze ktoś opowiadał fajne historie o tym, co wyprawiał. Teraz prze-
426

stało być zabawne, bo cały był w środku rozklejony, słaby i tłusty, wypalał pięćdziesiąt papierosów dziennie, a gdyby miał przebiec dwieście jardów, chyba by skonał. Walka rzekomo hartuje człowieka. Walka zamienia człowieka w gówno.

Zastanawiał się, czy Chambers zostanie z nim w Oakland, czy ich nadwerężona przyjaźń rozwieje się, zanim odjadą. Orville wiele rozumiał i akceptował. Morgan chciał, żeby spiknął się z jego siostrą, choć siostra miała już chłopca. Mogła gadać z nim o architekturze i oboje mogliby się nim opiekować, kiedy by się upił. Wiedział, że Chambers ma tego dosyć. Że tego nie pochwała. Rozumiał, nawet godził się z tym, lecz nie pochwalał. Czyli że Chambers już go nie szanował. Więc pieprzyć to.

Może, kiedy wróci, nie byłoby dobrze mieć ze sobą Orville'a. Czułby się przy nim winny lub skrępowany. Bo Orville nie widział nic zabawnego w tym, że ludzie robią z siebie durniów. W porządku, ale. Dlaczego być takim poważnym przez cały czas? Rozpogódź się, człowieku. O rany, i tak jest dość ponuro. Więc robisz z siebie durnia. No to co? Chambers nigdy nie robił z siebie durnia. Twardy jak Gibraltar. Dosić, dosyć, dosyć. Jeżeli zrobi z siebie durnia w domu, to cholera z tym. Ważne jest zrobić z siebie durnia teraz. Wypił i wyszedł z „Dixie”.

Niebo się zachmurzyło i niedługo droga biegnąca przed burdelami przemieniła się w rzekę błota. Poszedł na drugą stronę Miasta Grzechu i przystanął o jakieś dwadzieścia kroków przed „Miami”. Było ono na zdjęciu w „Time”, które ojciec mu przysłał wkrótce po otwarciu Miasta Grzechu. Takie rodzicielskie trącenie w bok, żeby sprawdził, jak to jest z tymi orientalnymi piczkami, poprzecznie czy podłużnie. Miasto Grzechu. Zbudowane, aby zapobiec zdziesiątkowaniu dywizji przez trypra. Wojskowi doktorzy dawali raz na tydzień zastrzyki.

Zastał Clampitta z dziewczyną na kolanach. Morgan i Webster poznali Clampitta tego rana w finansowym i ten młody karabinowy poprosił, żeby mógł im towarzyszyć do Miasta Grzechu. Należał do chłopaków Harta,

427

których zrobiono sierżantami, ale odstał od nich ostatnio i nie był w gruncie rzeczy taki zły. A zresztą kogo to obchodziło, skoro zostały jeszcze cztery dni?

— Jużście sobie ulżyli? — zapytał Clampitt.

— Nie. A ty?

— Tylkośmy rozmawiali.

— Ona czytuje Spinozę?
— Co takiego?
— Po prostu na dowód, że nie mam żadnej urazy o to, żeście dostali sierżanta, Clampitt, zafunduję wam kawałek dupy... Dziewczynko, za ile dasz ciup-ciup mojemu przyjacielowi?
— Ciup-ciup za czterysta piastrów.
— A chlap-chlap też robisz?
— Chlap-chlap nie. Chlap-chlap paskudne.
— Daj spokój. Chlap-chlap za sto ekstra.
— Nie chlap-chlap. Tylko ciup-ciup. Pomachał przed nią pięciuset piastrami.
— Słuchaj, specjalne chlap-chlap dla mojego przyjaciela.
— Nie chlap-chlap. Ty paskudny.
— Sześćset za chlap-chlap i ciup-ciup. — Złapał ją za koszulę i pomachał jej przed nosem pieniędzmi.
— Nie popędzaj mnie, Móg — powiedział Clampitt. — Przecież wiesz, że, te buddyjskie dziwki nie liżą. Tylko katoliczki to robią.
Morgan zaczął chować pieniądze do kieszeni.
— Sześćset? — zapytała dziewczyna. Morgan mrugnął do Clampitta.
— Tak jest, dzidzia-san. Okej? Zajmij się moim przyjacielem. I tak nie osiągniesz nirwany. — Znowu pomachał przed nią banknotami.
— Okej. — Wzięła pieniądze, zniknęła za barem, po czym szybko pojawiła się na powrót. — Chodź, żołnierzu — powiedziała do Clampitta.
W dziesięć minut później do lokalu wpadł Webster.
— Móg, chłopaku, w „San Francisco” mają te. pa-

428

j

kistańską dziwkę, która się rżnie jak złoto. — Usiadł. — Musisz tego spróbować. Dobrze, dobrze, dooobre!

— Później. Nie pojechałbyś do starego miasta zobaczyć, co tam się dzieje? — Czuł się parszywie z powodu tej kurwy Clampitta i chciał stąd wyjść.

— Najpierw trochę odsapnę.

— Dobra. Może strzelę sobie numerka.

Morgan podszedł do baru i porozumiał się z dziewczyną, która właśnie wyszła z zaplecza. Zabrał do pokoju jeszcze jedno piwo. Ściągnęła różową bluzkę i czarne spodnie i położyła się na macie. Morgan opuścił pod kolana spodnie i kalessony, pozostając w butach. Spojrzał na nią, podniósł puszkę do ust, po czym nachylił się i wypluł piwo na brzuch dziewczyny.

— Ty paskudny! — Zerwała się.

— Masz, obetrzyj się moją koszulą. Wzięła koszulę i wytarła sobie brzuch.

— A teraz bądź grzeczny, żołnierzu. Zrobimy sobie ładne ciup-ciup.

— Najpierw się trochę pobaw. — Pochylił się, a ona zaczęła go pocierać.

— No chodź, żołnierzu. Teraz ty ciup-ciup — powiedziała po pięciu minutach.

Wpadł w rytm i gładził dłońmi jej uda. Obróciła w bok głowę z zamkniętymi oczami i rozchylonymi ustami, tak jakby spała. Pochylił się i pocałował ją w słoną szyję. Cuchnęła łajnem. Zamknął oczy, przeniósł się myślą do swego pokoju w Berkeley, do Emily, tej kasjerki bankowej o miękkich udach, i po pięciu minutach skończył. Ledwie zdążył dwa razy odetchnąć, gdy wysliznęła się spod niego. Podniósł się i stanął na macie rozmyślając, o ile lepiej jest trzepać kapucyna.

— Rany boskie — powiedział, kiedy wyjęła spod postania pół kubka wody i ochlustała sobie krocze. — U was jest naprawdę fajna higiena.

— Lubisz ciup-ciup, żołnierzu?

— Okropnie. — Powstrzymał się od pchnięcia jej na ziemię.

429

Otarł trykotową koszulką pot z piersi i brzucha, włożył ją, podciągnął spodnie i wyszedł.

Siedząc o trzy stopy od ziemi na tyle wózka ciągniętego przez osła i trzymając się palika daszku,

Morgan czuł się jak mała wystawiona na pokaz, kiedy jechali drogą ku starymu miastu.

— Jazda, ty mule! — krzyknął Webster siedzący na przodzie. Trzepnął lejcami, ale wózek nie potoczył się szybciej. — Chcesz powozić, Móg?

Morgan obrócił się. — Czemu nie?

— Przełaż na tył, papa-san — wskazał Webster kciukiem przez ramię.

— Teraz ja — powiedział siedzący obok niego stary człowiek i sięgnął po lejce.

Webster chwycił go i popchnął na tył.

— Siedź tam.

Morgan przelaż obok starego, chwycił lejce i zasiadł na małej ławeczce, a dwaj żołnierze stojący na drodze zaczęli kpić sobie i pokazywać ich palcami.

— Ruszaj się, ty łamago! — Uderzył lejcami po grzbiecie osła, który przeszedł w kłus.

Kiedy zbliżali się do pierwszej ziemnej drogi prowadzącej do miasta, wypatrzył z boku pralnię ojca Leng. W pośpiechu przygotowań do odjazdu zupełnie o niej zapomniał.

— My tu stajemy — powiedział stary. Pobiegł naprzód

i spróbował przytrzymać osła. Webster chwycił lejce i trzepnął nimi ponownie.

— Stań, cholera! — zawołał papa-san.

— Daj spokój, Web. Chodźmy do pralni, zanim się zjawi żandarmeria. — Chciał pozbyć się starego i zobaczyć Leng.

Webster rzucił lejce, zeskoczyli i odeszli.

— Czekać! Wy... wy! Winni mi sto pięćdziesiąt piastrow.

— Bardzo żałuję, papa-san — powiedział Webster.

430

f

— Płać sto pięćdziesiąt, cholero!

Webster podszedł do starego, chwycił go pod pachy i potrząsnął nim w powietrzu.

— Mały żółtek gada duże gówno. — Posadził go twardo na koźle i wrzucił dwieście piastrow do wózka. — Może dziś po południu zerżnę twój córkę. — Obaj odeszli.

— Słuchaj, Web, robisz się trochę osty.

— Chryste, ucieszę się, jak stąd odfaluję. Ale co my wyprawiamy? Ten baran pewnie zarobił więcej forsy w ostatnim roku niż przez całe swoje kołane życie.

— Niech cię to dziś nie wkurza. — Zaczynała się ta paskudna depresja i Morgan rozpaczliwie pragnął ją powstrzymać. — Napijmy się piwa w pralni. Tam mieszka ta miła dziewczuszka. Ma osiem lat, ale kiedyś będzie naprawdę fajna. Odpoczywałem tu, kiedy urzędowałem.

Papa-san, ruchliwy i sprawny, powitał ich pod daszkiem. Potrząsnął ręką Morgana wyczekując pochwały za swoją przedsiębiorczość. Miał teraz trzech prasowaczy zamiast jednego, jego chłopcy czyścili buty na szosie pod Miastem Grzechu, a nowy niebiesko-biały szyld z napisem „Pralnia jankeska” lśnił pod okapem dachu.

Leng wyrzała od progu glinianej chaty. Kiedy Morgan napotkał jej wzrok, głowa dziewczynki zniknęła.

— Cześć, Leng. Papa-san, przynieś piwa.

— Dzisiaj fajnie wygląda — powiedział Webster. — Czy jeszcze się pokaże, czy też to było już wszystko?

— Wyjdzie. Jest naprawdę nieśmiała. Nigdy nie mówi ani słowa. Tylko patrzy na ciebie albo może siada ci na kolanach.

Papa-san przyniósł piwo, rozejrzał się, a potem pochylił i zapytał, czy chcą ciup-ciup.

— Tu żadnego ciup-ciup — odparł Morgan. — Niedobrze, żeby Leng widziała. Ty paskudny, papa-san.

— Leng nie wiedzieć — powiedział Papa-san. — Ja teraz idę prac.

— Cholera, Morgan, on pewnie nauczy Leng robić różne sztuczki, jak przyjdą jej dwunaste urodziny.

431

Morgan nic nie odrzekł wiedząc, że to prawda. Może nawet zanim skończy dwanaście lat.

— Chodź do nas, Leng!

Po paru minutach ukazała się w drzwiach i obeszła dokoła prasujących ludzi.

— Co u ciebie słyhać, Leng? Tęskniłaś za mną? Bawiła się przy jednym ze stołów do prasowania, zerkając na nich od czasu do czasu.

— Chodź, Leng. — Poklepał się po udach. — Chodź i siądź tutaj.

Spojrzała na niego i dwukrotnie zamrużyła powiekami. W jej rozchylonych ustach widać było krzywe żółtawe zęby. Morgan pomyślał, że warto by ją zabrać do Stanów, żeby poprawiono jej zgryz. Pochylił się i kiwnął na nią palcem wskazującym prawej ręki. Uśmiechnęła się krótko i obróciła głowę.

— Ty daj cukierek — powiedziała.

Wyciągnął z przedniej kieszeni rulonik cukierków. — Masz, Leng.

Uśmiechnęła się znowu, podeszła drobnym kroczkiem, wyciągnęła rękę i chwyciła rulonik. Powoli obróciła go w dłoniach, po czym uciekła do chaty. Wywołał ją jeszcze dwa razy, ale nie wróciła.

— Chodźmy — powiedział Webster. — Przynajmniej słyszałeś, jak mówi.

— Nie mogę tego zrozumieć. Siadywała tu całymi godzinami.

— Może wpierdala cukierki ze swoim chłopakiem.

— Cholera z tym.

Przeszli do następnej przecznicy i skręcili w główną ulicę.

— Całkiem jakieś wymarłe miasto.

Ulica była kompletnie pusta, jak gdyby ją opróżniono przed pojedynkiem między szeryfem a najemnym rewolwerowcem. Gęsta druciana siatka nadal pokrywała front dawnego baru. Farba obłaziła z wyblakłych pastelowych szyldów, które były tak kolorowe, kiedy przyjechał tu

432 po raz pierwszy ze Stubbsem. Zdawało się, że budynki zawała się lada chwila w błoto.

— O Jezusie, w tych budach mieszkają ludzie. — Morgan wskazał w bok, gdzie dwie nieruchome kobiety przyglądały im się zza siatki. Ich wychudłe twarze przypominały mu więźniów obozów koncentracyjnych wpatrujących się zza drutów w wyzwajających żołnierzy. — Ciarki mnie od tego przechodzą. Tam może być Wietkong.

— Mowy nie ma — odparł Webster. — Za dużo forsy zarabiają na tym miejscu, żeby je paskudzić za dnia.

Kiedy zaczęło padać, weszli do jakiejś pralni. Pralnie były teraz jedynymi zakładami w starym mieście, do których żołnierze nie mieli zabronionego wstępu. Jakaś kobieta o żółtawej, niemrawej twarzy podała im piwo, podczas gdy gawędzili o powrocie do domu. Widmowość tej pralni — i całego miasta — przygnębiała Morgana. Pomyślał o tamtej wiosce, gdzie zastrzelił kobietę, o setkach opuszczonych wiosek i wsi, które widział w całym kraju. Gdzie się podzieli wszyscy ci ludzie? Ujrzał cały kraj wyludniony, błoto i kurz pokrywające zbieleńsze kości oraz szkielety porozbijanych samolotów.

— Wyjdźmy, Web. Lubię deszcz.

Poszedł na środek ulicy, odchylił głowę do tyłu i nadstawił ją pod krople deszczu.

— Chodźmy — powiedział Webster. — Pociupciajmy sobie.

Poszli dalej ulicą, a potem zatrzymali się znowu.

— Niczego tu już nie ma, co? — Wskazał plac targowy o sto kroków przed nimi. Jakiś stary człowiek siedział pod dachem na ławce mając przed sobą stos zwiędłego jarmużu. Na drugim końcu siedziała apatycznie kobieta z dwoma chudymi psami. — Dawniej tu było co najmniej z pięćdziesięcioro ludzi, jak na starym bazarze. A teraz wszystko się skończyło.

— Chodź, bo zmokniemy.

Webster poprowadził go do małego przejścia przy bocznej ulicy, która wychodziła za miasto.

Weszli na podwórko

433

ze studzienką pośrodku oraz dwojgiem drzwi i dwoma oknami w głębi.

Świece rzucały mętne światło na izbę frontową. Przy stoliku siedzieli dwaj żołnierze z trzema

dziewczynami i starą kobietą.

— Wyglądacie na trochę zmokniętych — powiedział jeden z nich.

— Mój kumpel lubi się bawić na deszczu. — Webster wskazał dziewczyny. — Tylko te trzy?

— Jest jeszcze jedna — odpowiedziała kobieta błyskając czarnymi zębami.

— One tu robią chlap-chlap — rzekł któryś z żołnierzy. — Wszystko razem za pięćset piastrow.

Mama-san przyprowadziła czwartą dziewczynę, która miała wystające zęby, wąskie szparki zamiast oczu i płaski nos. Webster wybrał sobie wolną dziewczynę siedzącą przy stoliku, a Morgan poszedł na tyły z nowo przybyłą. W małym pokoiku były piętrowe łóżka, które wyglądały na amerykańskie. Morgan zdjął koszulę i usiadł na dolnym.

— Nie jesteś za ładna, co, dzidzia-san?

— Nie zna angielski. — Zdjęła bluzkę i usiadła. Jej cycuszki wyglądały tak, jakby dopiero co wyrosły. Wyciągnął rękę i ścisnął je, po czym wypił duży łyk piwa.

— Cholera, ty jesteś dzidzia-san. — Trzynaście czy najwyżej czternaście lat. — Będziesz skończona, jak dojdiesz do osiemnastu.

— Nie zna angielski. Ty chlap-chlap?

— Nie. Ja nie klap-klap — odpowiedział naśladowując jej wymowę. — Ty chlapała, chlapała, ssala mojego wała.

Kiwnęła głową. — Ja teraz chlap-chlap.

Rozpiął pasek, spuścił spodnie i kalesony i położył się na wznak. Dziewczyna zaczęła wpełzać na niego, ale ją zatrzymał.

— Ty też zdejmij spodnie. — Wskazał jej spodnie i dał znak, że ma je ściągnąć. Zdjęła je, skuliła się obok niego i położyła mu głowę na kolanach, podczas gdy gładził jej pośladki i uda. Prawie nie miała włosów na wzgórku

434

łonowym. Prychnął i zepchnął ją na podłogę. — Lepiej wstań, bo się przeziębisz albo dostaniesz mend. — Oparł się o ścianę.

— Paskudny — powiedziała. — Ty paskudny.

— No chodź, dzidzia-san. Masz jeszcze coś do zrobienia. Już będę grzeczny.

Zabrała się do niego znowu i tym razem przymknął oczy i dokonał szybkiego przeglądu dziewczyn, z którymi bywał. Siostra Slagela, o rany, ta była fajna. Pełne zadowolenia sapnięcie wezbrało mu mimowolnie w gardle.

Jak świetnie się bawili w Nowym Jorku tamtego ostatniego weekendu przed odpłynięciem do Niemiec! On, Pad-gett i Slagel mieli w „Biltmore” sąsiadujące ze sobą pokoje, mieli pieniądze i kobiety, i chociaż dużo leżeli w łóżku i pili, spacerowali też nad Hudsonem i jeździli promem na Staten Island. Był samą energią, bez tych załamań, które zawsze przychodziły, kiedy pił tylko po to, żeby zapomnieć. Czuł wtedy, że żyje, tak samo jak we Włoszech, a nie czuł się zbyt ożywiony od czasu Włoch, chyba że ktoś do niego strzelał. Padgetta i Slagela już nie było i nie miał na to żadnej rady. Chociaż nie potrafił wyobrazić sobie Slagela jako kaleki, bo widywał go tylko pełnego życia (ta twarz wciąż uśmiechała się w jego myślach), a Padgetta pocałował w szpitalu, i teraz ciągle jawiły mu się twarze, na przemian martwe i żywe, niby dwie strony rzucanej monety.

— Teraz ciup-ciup — powiedziała dziewczyna i położyła się na łóżku.

Była ciasna i jej twarz wyrażała jedynie ból, kiedy szarpał czy wpychał za mocno. Zataczał biodrami powolne koła, co sprawiało, że krzywiła się jeszcze bardziej.

— Ja tylko dzidzia-san — powiedziała.

Była to dla niej taka sama robota jak łuskanie kukurydzy czy zbieranie ryżu. Trzynaście lat, cholera jasna! Znowu pomyślał o siostrze Slagela, lecz uśmiechała się do niego także twarz Slagela, a nie mógł myśleć o Emily dwa razy tego samego dnia, więc wszystkie inne prze-

435

mykały mu przez głowę, ale żadna nie chciała się zatrzymać.

Wyjął, dziewczyna jęknęła, a wtedy przerzucił ją na brzuch.

— Masz także dziurkę w dupce, dzidzia-san?

Myślał, że będzie się bronić, ale mu pozwoliła. Tam nie była taka ciasna, jak się spodziewał, ale

bolało go od suchości.

— Pracujesz od dziewiątej rano do szóstej, z godziną przerwą na obiad?

— Nie mówi angielski.

Nigdy się nie spuści. Złapał ją za pośladki, tak jakby były dwoma melonami, i ułożył ją płasko na brzuchu.

— Teraz znowu chlap-chlap.

— Ty długo, żołnierzu. Beaucoup piwa.

— Chlap-chlap! — Przyciągał jej głowę do swego krocza.

Po chwili sapnęła i położyła się znowu. Wszedł w nią i po dziesięciu minutach poczuł mrowienie w mięśniach nóg i wiedział, że jest już prawie gotów. Ramiona jego się rozluźniły. Zlany monsunowym potem nie mógł doczekać się, żeby skończyć. Wreszcie wytrysnął i zaczerpnąwszy głęboko tchu parę razy, odczołżył się z niej i zaczął pocierać sobie brzuch, a dziewczyna wybiegła z izby.

Pili jeszcze pół godziny, odmówili zapłaty, a potem wyszli z innymi żołnierzami; każdy stawał okrakiem nad studnią i odlewał się do niej, zanim pobrnął z powrotem na szosę. Kazali się podwieźć przejeżdżającym motocyklistom, zeskoczyli na drodze do Miasta Grzechu i pobiegli do burdeli, nie płacąc kierowcom. Mignęli swoimi przepustkami, wtoczyli się przez wejście i sapiąc przystanąli w błocie.

— Ale rozróżba, co Web?

Wydawało się, że wszyscy żołnierze przyjechali do Miasta Grzechu.

436

r

Chciałbym mieć dolara od każdego wiadra lagru, który tu dzisiaj spuścili.

Morgan poczuł woń spermy, ujrzał ją wypływającą szarymi rzekami przez tylne drzwi burdeli.

— Popatrzmy chwilę.

Mógł to być najbardziej niewiarygodny widok na tej wojnie. Morgan nie zaglądał do Miasta Grzechu od czasów poprzedzających wyjazd na odpoczynek, kiedy trzy czwarte dywizji przebywały w polu. Wówczas było tu spokojnie. Prawie sennie, tak jak tego rana. Teraz zebrało się więcej żołnierzy, lecz jeszcze coś innego przesycalo powietrze, coś, co wykraczało poza brewerie i niewinną uciechę żołnierzy na hulance. Było tak, jak gdyby sam duch szaleństwa został tu rozpylony niczym proszek użyźniający, jak gdyby odpłynął ze wszystkich domów wariatów na świecie i osiadł w tym betonowym czworoboku w Południowym Wietnamie.

Grzmot zadudnił nisko za brudnoszarymi i czarnymi chmurami. Z baru „Daleki Zachód” wytoczył się jakiś żołnierz wyszczekując niezrozumiałe rozkazy. Przewrócił się na ziemię i zaczął wykonywać biodrami ruchy w górę i w dół, odliczając głośno kadencję. Wszyscy byli pijani, zamroczeni narkotykami i rozprężeni. Niektórzy wlekli się ociężale nie kończąc się procesją, wyglądając tak, jakby zapomnieli, dokąd idą. Inni znów byli bardziej ożywieni, na twarzach ich malowało się rozpaczliwe nieokielza-nie, tak jakby nie mieli wciąż dosyć... czego? Czarni żołnierze skupili się wokół wejść do czterech barów w głębi, tańcząc w takt muzyki soul, podczas gdy para wychudłych długowłosych Wietnamczyków brząkała na elektrycznych gitarach w przyległym budynku.

— Chodźmy do Clampitta — powiedział Webster. — Potem może ci zafunduję tę pakistańską dupę.

— Muszę przedtem trochę odpocząć. — Na myśl o samym wysiłku spółkowania żółć napływała mu do ust.

Zabrali Clampitta i poszli do restauracji pośrodku Miasta Grzechu, gdzie zjedli hamburgery — pewnie z psiego mięsa — omawiając wczorajszą bitwę.

437

Morgan zamyślił się. Tego rana przywieziono oporządzenie poległych i widział w S-4 stalowy hełm McCutche-ona. Dwie dziury, tam gdzie jedna kula weszła i wyszła, łypały z wierzchu jak puste oczodoły, a większa dziura ziała z boku. Ta kula została w jego głowie. Kiedy przywołał na pamięć twarz McCutcheona, pojawiły mu się w myśli niejasne zarysy innych, a potem usłyszał nazwiska

odczytywane głuchym, bezbarwnym, monotonnym głosem. Nazwiska te zamazywały się tak samo jak twarze. Jeżeli chciał, mógł je zapamiętać jedno po drugim, lecz łatwiej mu było widzieć tylko wielką masę twarzy i nazwisk, która rosła i rosła. Nie jak balon, ale jak miejskie śmietnisko. Można było rozpoznać stare krzesło czy but — jeżeli się chciało. Ale pozostawał fakt, że jest to śmietnisko. Odsunął od siebie martwe nazwiska i twarze, myśląc ciepło o tych żołnierzach, których znał. Wszystko, co przeszli, było ważne i nikt nie miał prawa do tego się wtrącać. Webster na pewno czuł tak samo, gdy mówił, że dobieże się demonstrantom do gardła, jeżeli mu się narażą. Świąt widział żołnierzy jako mundury, ale żołnierze znali jeden drugiego jak własną żonę czy najlepszego przyjaciela, kiedy wszystko się dzieli ze sobą. Aż po pimple na tyłku czy najmniejszą odrobinę strachu w sercu.

Wyszli z restauracji o czwartej. Kiedy jedzenie wchłonęło alkohol, Morgan poczuł się zdrowszy, umysł miał jaśniejszy. Na zewnątrz ciągle szaleli żołnierze spragnieni przyjemności.

Jeden z nich wybiegł z „Longhornu” i złapał Morgana za rękę.

— Widzieliście Deakina?

— Kogo?

— Deakina. Musieliście go widzieć. — Na twarzy odmalowała mu się desperacja. — Gdzie on jest? Gdzie Dea-kin?

— Zdaje się, że w klubie.

— Nie słyszałem, żeby miał tam iść. Jesteście pewni, że to Deakin?

— To musiał być on. Nie można pomylić Deakina.

438

— Aha. Nie można. Dziękuję, kolego. — Żołnierz puścił go i pognął drogą.

— O co to chodziło? — zapytał Webster.

— Cholera go wie.

Plastikowe paski w wejściu do „San Francisco” były pozrywane, wdeptane w błoto i na wpół w nim zagrzebane. Morgan stanął na betonowej podłodze i rozejrzał się do salce. Ciemnoszara, jak prawie całe niebo. Elektryczność nie działała, a nikt nie zadał sobie trudu, żeby pozapalać świece. Podłogę pokrywały puszki, błoto i niedopałki Dapierosów moknące w cienkiej warstwie piwa. Jakiś żołnierz usiłował nauczyć kurwę tańczyć pod muzykę z płyty Rolling Stonesów. Webster stanął obok Morgana i pokazał mu Pakistankę opartą o bar. Była masywna, pulchna, i jej jasnooliwkowe ciało przypominało barwę starych drewnianych drzwi.

— Parszywie tu, co, Móg?

— Mnie się podoba. — Nie chciał się temu poddać. Webster poprowadził go do kurwy.

— Ty ciup-ciup z moim przyjacielem. Ja płacę. — Jego słowa zlewały się pijacko.

Kurwa uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

— Za długo będzie. Za dużo piwa. Nie spuści się.

— Dajże spokój — rzekł Webster.

— Nie chcę za długo.

Morganowi było to z początku obojętne, ale miękkie zarysy jej ciała zainteresowały go stopniowo. Mogła być przyjemnym zakończeniem.

— Okej — powiedział — idziemy na piętnaście minut. — Wskazał swój zegarek i trzykrotnie rozstawił palce. — Jak się nie spuszcze, skończymy.

— To wygląda uczciwie — powiedział Webster. — Więc jak? — Potrząsnął kurwę za ramię.

— Okej — odrzekła. — Pięćset piastrow. Morgan objął ją i potarł krocem o jej udo.

Kiedy weszli do pokoju, rozebrał się całkowicie. Miał ochotę wleźć w całe to ciało z nogami.

Pogładził ją jedną ręką po brzuchu, a drugą po ramieniu, pragnąc zwalić się

439

na nią i tarzać. Nie dbał o minuty ani o to, czy zdoła się spuścić, czy nie. Pragnął dotykać całego tego ciała. Macał, ścisnął i całował zapamiętane jej piersi.

— Spokojnie, dziecinko — powiedziała. Obróciła go na wznak i zaczęła całować po piersi i brzuchu, gładząc po udach i kroczu. Miała zamiar zrobić mu minetę, a nawet

0 to nie prosił. Wydał z siebie głośny jęk. Chwilę poruszała się powoli w górę i w dół, a potem odtoczyła się i położyła na wznak. Wsunął się między jej nogi, dźwignął na kolana i spojrzał na nią. Potem zwałił się w przód, ledwie hamując rękami upadek. Włożyła go sobie i zaczęła się ruszać. Cudowne. Nie musiał nic robić biodrami. Ona robiła wszystko. Jego dłonie sięgały wszędzie. Taka miękka

1 ciepła, jak gdyby nie miała kości i była tylko miękką falującą masą pod nim. Wtulał twarz między jej piersi, w szyję, w pachy, a jednocześnie wodził szaleńczo dłońmi w górę i w dół, po jej nogach, pośladkach i plecach.

Prawie nie zauważył, kiedy zaczęło się mrowienie. Oplotła go nogami i kołysała się powoli z boku na bok, podczas gdy ugniatał jej obfite póldupki. A potem nagle poczuł, że to nadchodzi, i przerwał, naprężył się i ujrzał zimnonie-bieską zasłonę w głębi za oczami, tam gdzie czas się roztopiał.

Wreszcie wszystko runęło i znowu zapadł się w jej ciało, jęcząc, targając głową tam i z powrotem, tam i z powrotem.

Pogładziła go delikatnie po plecach i pokołysała lekko. Uniósł głowę i spojrzał na nią, ale oczy miała jeszcze zamknięte. Stęknął, jak gdyby się budził i złożył policzek na jej ramieniu.

— Żołnierzu, zostały ci jeszcze cztery minuty.

— Cholera! To było fantastyczne. Jesteś pierwsza klasa. Przykucnęła na podłodze, aby się podmyć.

— Dawno tu jesteś? — zapytał.

— Dwa miesiące.

— Zarabiasz beaucoup pieniędzy, co?

— Wietnamskie dziewczyny na nic. Żołnierze mnie lubią. Zarabiam pieniądze.

— Kiedy wracasz do Pakistanu?

440

— Może parą miesięcy. Może Sajgon. Ty jedź do domu przedłużego?

— Za cztery dni.

— Co zrobi w Stanach?

— Wrócę do nauki.

— Po co?

— Nie wiem.

— Dlaczego się uczyć?

— Nie wiem. Nie lubię pracy. — Wzruszył ramionami. Ona także wzruszyła ramionami. — Ja nie rozumiem.

Kiwnął głową.

!

Kiedy przyszli do „Miami”, Clampitt był na zapleczu.

— Możemy wracać, jak wyjdzie, co? — powiedział Webster.

— Ja jestem mniej więcej wykończony.

Zamówili drinki i usiedli wychwalając Pakistankę. Drelichy Morgana były jeszcze mokre od deszczu, a zziębnięte stopy zaczynały go boleć.

— Tu jesteście, pierdoły! — Od wejścia przymaszerował Hancock i opadł na krzesło. — Szukam was od trzeciej. Dziś rano spałem się na służbie podczas palenia odchodów i użerałem się do drugiej, zanim mnie puścili. Nikt ci jeszcze nie mówił, Móg?

— O czym?

— W porządku. Miałem nadzieję, że nie słyszałeś.

— O czym ty gadasz? — zapytał Webster.

— O Chambersie i tamtych.

— A co z nimi? — Morgan miał nadzieję, że Hart nie zatrzymał ich w polu. Chciał wieczorem porozmawiać z Chambersem.

— Hej, Hancock! — huknął Clampitt z korytarza. — Jakżeś się urwał ze służby?

— Chodź tutaj, Clampitt. To diablo poważna sprawa.

— Ale co?

— Zaczekaj chwilę, Morgan Clampitt podszedł do nich i usiadł

441

— No?

— Już po nich — powiedział Hancock. — Chambers, Maddin, kapitan Sanders i Eastman. Rozbili się dziś rano w drodze powrotnej. Parszywie mi mówić wam o tym, chłopaki, ale nie chciałem, żeby ktoś inny to zrobił.

Nikt się nie odezwał. Morgan nagle poczuł taką pustkę w żołądku, jak jeszcze nigdy przedtem. Potrząsnął głową krótko, gwałtownie.

— Chrzanisz.

— Chciałbym, żeby tak było. Rozbili się i spalili. Ktoś mówił, że główny wirnik odleciał. Główny wirnik odleciał, a oni rozbili się i spalili. To nie mogło się stać. Morgan dokończył piwa, podszedł do baru i zamówił jeszcze sześć. Musiał zachować spokój, bo to nie mogło się zdarzyć. Kiedy papa-san przyniósł piwo, Morgan chwycił butelkę Old Grand-dad i wypił cztery łyki. Cisnął ją w kąt za barem, gdzie się rozbiła na betonie opryskując whisky i kawałkami szkła cały magnetofon. Papa-san zaczął coś mówić, ale Morgan zabrał piwa i odszedł. Pięć postawił na stoliku, a szóste wypił duszkiem. Był absolutnie spokojny, ale nie rozumiał, co inni mówili. Hancock wziął sobie kurwę i zniknął na tyłach. Więc został tylko on jeden. Siedział sztywno na brzegu krzesła, z jedną dłonią złożoną na udzie, a drugą podnosząc na przemian do ust piwo i papierosy. W żołądku tkwiła mu polerowana metalowa kula.

Spojrzał przez ramię i zobaczył, że stoi za nim papa-san z wyciągniętą ręką, poruszając ustami.

Wypluł piwo na jego dłoń, a potem odepchnął starego. Usta Webstera i Clampitta poruszały się także, ale nie słyszał nic poza bełkotem jakby puszczonego za prędko magnetofonu. — Zdaje się, że dostaję kota.

Wstał i wrzucił za bar trzy puszki od piwa. Zwalił na podłogę magnetofon, roztrącił wystawione na pokaz kradzione piwo amerykańskie, rozbił półkę z frytkami i papierosami. Złapał krzesło i roztrzaskał nim drewniane listwy w oknie. Strząsnął ze swoich pleców Clampitta, porwał stolik i cisnął go za bar. Webster i Clampitt chwycili

442

M

lo, wyciągnęli za drzwi i ruszyli drogą. Obejrzał się w momencie, gdy papa-san i dwaj żandarmi wchodzili do „Mia-ni”.

Zaciągnęli go do klubu i posadzili na krześle. Po drugiej itronie izby siedział jakiś żołnierz z czołem opartym na jrzedramieniu i kupą rzygowin na podłodze obok. Morgan isiłował wstać, ale go przytrzymali.

— Ja go znam. Chcę się tylko przywitać.

— Okej — powiedział Webster. — Na pewno już z tobą wszystko dobrze?

A więc znów słyszał! — Świetnie. Świetnie.

Klepnął żołnierza w przedramię. Nie był pewny, czy to en sam, ale kiedy podniosła się twarz uwalana rzygowi-lami i łzami, wiedział, że tak.

— Znalazłeś Deakina?

— Nie żartuj ze mnie, człowieku.

— Wcale nie. Pytałeś mnie, pamiętasz?

— Nie.

— Mówiłem ci, że powinien być tutaj.

— Deakin nie żyje, człowieku. Nie żyje od trzech miesięcy.

Morgan znów złapał za krzesło, ale Webster i Clampitt lo pochwycili. Dał za wygraną i usiadł, pijany i zmęczony.

Więc naprawdę był już ostatni, a powinien był zgiąć jierwszy, jako najparszywszy z całej grupki. Nigdy nie jotrafił brać tego poważnie w Niemczech, kiedy gadali la ten temat i ktoś wysuwał takie zastrzeżenie. „Nic nam ;ię nie stanie. Mamy za dużo szczęścia.” Więc odrzucili wszelkie zastrzeżenia i polecili jak mali chłopcy, a teraz wszyscy byli zapieprzeni prócz niego i to była jego własna :holerna wina. Szarpnął się na krześle, ale go przytrzymali.

W ten sposób nie mógł się stąd wyrwać. Musiał rozegrać ;o spokojnie, zachowywać się normalnie, a potem zwiać, uedy nie będą go pilnowali. Będzie szedł w kierunku prze-ńwnym od obozu, dopóki ktoś nie zastrzeli go na drodze. A;ibo może ukryje się u Leng do zmroku, potem zaś ruszy

443

na północ czy zachód w dżungłę, dopóki Wietkong go nie rozwali.

Setki żołnierzy stały na szczycie wzgórza, w miejscu gdzie droga do Miasta Grzechu zbiegała się z szosą nr 19. Wywrotki zapełniały się rozwrzeszczanymi, żartującymi ludźmi. Morgan poprowadził Webstera, Hancocka i Clam-pitta w tłum, po czym prześliznął -się między żołnierzami i odszedł.

— Morgan, Morgan, podwieźć cię?

Obrócił się. Papa-san z pralni na wózku zaprzężonym w osła.

— Papa-san, zabierz mnie z powrotem do pralni na ciup--ciup.

— Nie. Żandarmy.

— Schowam się. Proszę cię, papa-san. Dam ci dwieście piastrów, a pięćset za ciup-ciup. — Uniósł dwa stare pon-cha leżące na tyle wózka. — Schowam się pod tym.

— Dobrze. Dobrze. — Papa-san rozejrzał się dokoła.

— Nic się nie bój, papa-san.

Skulił się pod ponchami dygocząc na zimnym wilgotnym drewnie. Było mu wszystko jedno.

Musiał wrócić do pralni na ciup-ciup. Jego podniecenie wzrosło, gdy wózek ruszył szosą. Dzisiaj wieczorem pójdzie w dżungłę.

Wózek szarpnął i zatrzymał się przed pralnią, a Morgan wyrzwał spod poncha. Szosa była pusta.

Niedługo się ściemni. Zlazał z wózka i usiadł na ławce pod daszkiem. Dał staremu tysiąc piastrów.

— Ty wejdz tam. — Papa-san wskazał izbę naprzeciw tej, gdzie pracował i gdzie mieszkała jego rodzina. — Przyprawdzą dziewczynę.

Leng przyglądała się Morganowi z drzwi pralni.

— No, co tam, Leng?

Wszedł do drugiej izby, by tam poczekać. Używano jej też jako kurnika. Klepisko zaścielało pierze i łajno, a w powietrzu wisiała gęsta stęchlizna. Morgan usiadł na barłogu pod przeciwległą ścianą zastanawiając się, co to będzie za

444

dziewczyna. Nigdy nie widział tu żadnych kobiet, prócz starej mama-san i Leng. A zresztą co za różnica? I tak nie miał ochoty na kobietą. Położył się na wznak i patrzył w sufit.

W izbie nagle pociemniało; podniósł wzrok. Jakaś kobieta rozwiesiła w wejściu płachtę. Kiedy podeszła do niego, stęknął, jak gdyby nadgryzł robaczywe jabłko. Ohydna. Stara, chuda i pomarszczona. Usiadła i zdjęła bluzkę, a on stęknął znowu. Rany boskie, czy to ważne? Rozebrała się do naga i położyła na sienniku, nie mówiąc ani słowa.

— Dziecinko, musiałaś być wykończona jeszcze przed Dien Bien Phu.

Skrzywił się, gdy pomacał jej chude nogi. Rzucił koszulę na ziemię i opuścił spodnie pod kolana.

Położył się i objął kobietę. Zadnego oporu i żadnej zachęty. Nie zamierzała robić mu jakichkolwiek uprzejmości. Wyłącznie interes.

Ścisnęła jego członka suwając dłonią w górę i w dół. Trochę go zabolalo, lecz potem krew poczęła krążyć. Kiedy mu stwardniał, pociągnęła go ku sobie. Wszedł w nią i chwilę tak leżał. Żadne z nich się nie poruszało. Otworzył oczy; patrzyła prosto na niego. Uśmiechnęła się blado i ruszyła dwa razy biodrami na znak, żeby robił swoje. Chciało mu się spać.

Leżał spokojnie jeszcze minutę, a kiedy znowu się poruszyła, zaczął się ruszać także. Robił to przez

pięć minut, tylko w górę i w dół, nie bardzo świadom, gdzie jest i co robi. Ona nie robiła nic. Podłożył pod nią r-ęce i przyciągnął ją do siebie, ale nie poczuł ciepła. Przyspieszył, ale była sucha, więc go zabolalo. Zaczął poruszać biodrami w koło, potem w górę i w dół, wreszcie w rytm alfabetu Morse'a. SOS. Srać O Ścianę. Próbował figur geometrycznych. Trzy razy — trójkąt, potem kwadrat, potem sześć punktów na kole, wreszcie rozeźmiał się, szarpnął całym ciałem i zaczął pchać mocno, aż poczuł, że sprawia jej ból. Rozłożył ręce i strzepnął palcami. Wypadł.

— Prrr, malutka! — Złapał jej rękę i przyciągnął ją do swego członka. — Włóż go z powrotem, babciu.

445

— Więcej nie.

— Jeszcze nie skończyłaś. Włóż go. — Szarpnął jej rękę.

Włożyła go w siebie, a Morgan zastanowił się nad innymi sztuczkami, którymi mógłby się zabawiać. Przypomniał sobie dowcip, iż Murzyni mają duże kutasy dzięki temu, że wpychają je prędko, a wyciągają powoli. Spróbował tego parę razy, ale bolało go, kiedy wpychał za szybko, więc znowu wrócił do figur, lecz to go wprędce znudziło. Wsunął dłoń pod nią i wsadził jej palec wskazujący w odbytnicę. Zrobił to nagle, a ona targnęła się, sapnęła, jemu zaś wypadł. Przetoczył się na wznak i wybuchnął śmiechem. Objął sam siebie rękami i tarzał się z boku na bok.

Kobieta wstała chcąc odejść, ale szybko sięgnął lewą ręką i przytrzymał ją.

— Nigdzie nie idziesz, dziwko. — Rzucił ją z powrotem na posłanie.

— Więcej nie. Więcej nie. Ty beaucoup piwa. Ty nie może.

— Gówno nie może. — Wlazł na nią i przyparł dłońmi jej rozłożone ramiona. — Wsadź go sobie. Ja ci pokażę „nie może”*

Wtulił się w jej szyję i zaczął młócić zaciekle. Próbował wyobrazić sobie jakąś dziewczynę, ale wszystkie wyglądały staro, miały pomarszczone usta, a poza tym było po prostu za wielu umarłych. Zwiotczał mu i wypadł. Próbował wsadzić go znowu, ale nie mógł. Trzepnął ją dwa razy, zanim odepchnęła go na bok. Zsunęła się z końca siennika. Kiedy schylała się po swoją odzież, złapał ją za rękę. Dźwignął się na kolana, chwycił ją za gardło i ścisnął.

— Zapłacisz za to, stara kurwo! — ryknął. — Zapłacisz rachunek!

Dwukrotnie szarpnął jej szyję, ale podniosła ręce i odtrąciła jego dłonie. Okręciła się i pobiegła do wyjścia. Zlazł z posłania i chciał ją dogonić, ale spodnie miał spuszczone do kostek i mógł tylko dreptać drobnymi kroczkami.

— Wróć się, ty świńska dziwko!

Zerwał za nią płachtę. Przy następnym kroku nadepnął

446

na pasek od spodni i runął na ziemię obok jednego ze sto-tów do prasowania.

— Wróć się, gnojóWo! — wykrzyczał w ziemię. Podniósł wzrok i zobaczył Leng, która stała na progu i wpatrywała się w niego przez półmrok.

29

Obudził go chłód ziemi przenikający w pośladki i plecy. Jego zegarek zniknął, a dokoła była bezkształtna ciemność. Usłyszał głosy dochodzące z chaty papa-san. Dlaczego nie poderżnęli mu gardła? Albo nie wydali go żandarmerii czy Wietkongowi? A może nie żyje i będzie już zawsze tak leżał na tej zimnej ziemi?

Dźwignął się na łokciach. Jego członek był skurczony, pokrwawiony i oblepiony drobinami ziemi. Deszcz bębnił po daszku. Morgan podciągnął spodnie i wrócił do izby, wytarł się podkoszulkiem i wsadził go pod barłóg.

Na brzegu szosy przystanął przemoczony, wpatrując się w monotonną, deszczową ciemność.

Orville'a zabili i Morgan postanowił iść w dżunglę, dopóki nie rozwali go jakiś pistolet maszynowy. Spojrzał na przegub swej ręki bez zegarka; wiedział, że po powrocie do bazy czekają go duże kłopoty. Gdzieś za nim zadudnił jeep, więc wskoczył do błotnistego rowu, dopóki wóz nie przejechał. Odtąd będzie musiał uważać. Żandarmom przy bramie powie, że go pobito i przewrócono na ziemię.

O kilka kroków od drogi prowadzącej do Miasta Grzechu usłyszał, że coś się rusza w rowie, lecz zanim zdążył się obejrzeć, ktoś go ucapił od tyłu. Zastygł wiedząc, że za parę sekund będzie martwy. Sięgnął po nóż, który miał w kieszeni, ale uścisk był za silny.

— Puść!

— Spietrałeś się, Morgan?

— Hancock, ty skurwysynu! Mogłeś mnie przyprawić o atak serca.

447

— Założę się, że pomyślałeś, że to żółtek wziął cię za dupę? I że to już koniec.

— Nie powinieneś robić takich kawałów!

— Poszedłeś do starego miasta, tak? -'m- 4 M

— No to co?

— Tak właśnie myślałem. Dlaczegoś nam nie powiedział?

— Nie wiem. Chodź, jesteśmy spóźnieni.

— Nie, psia krewo. Mam przepustkę w kieszeni, a tyve podpisałem się przy wyjściu, więc nic nie mogą udowodnić.

— Ja też, ale mogą zauważyć, że nas nie ma.

— Webster to załatwia.

— Zostańmy całą noc. Nic się nie stanie. Żandarmy przyskrzynią nas, jeżeli teraz wrócimy.

— Czy ja wiem. Nie mam pojęcia, co robić. Jestem zmęczony. — Zdawało mu się, że zemdleje.

— Ja nie mogę tam dzisiaj wrócić. Nie cierpię tego miejsca i nie wracam, a nie chcę zostać tu sam. Chodź, stary. Znajdziemy jakieś kurwy i podupczymy sobie całą noc.

Popatrzał przez chwilę na Hancocka. Czemu nie? Pomysł był tak nedorzeczny, że mógł się tylko zgodzić. Po-, szedł za Hancockiem do Miasta Grzechu i popijał whisky,| podczas gdy tłusty karabinowy targował się z kurwami i o mało nie wywołał bójki z dwoma żołnierzami południowowietnamskimi. Motgatv ia\ a\ s\ a\ od t*lu \ VAed? cTevodzvlv od baru do baru wśród puszek od piwa, potłuczonych bv>

wiecznie

Mieście Grzechu. Dziw-
tylnym

ty w j7o«7, siedział na tyny jj ,
wjąc Kościsty tors prowadzącego Wietnamczyka. Wszedł do jakiegoś pokoju z Hancockiem i dwiema ko-

448

— Założę się, że pomyślałeś, że to żółtek wziął cię za dupę? I że to już koniec.

— Nie powinieneś robić takich kawałów!

— Poszedłeś do starego miasta, tak?

— No to co?

— Tak właśnie myślałem. Dlaczegoś nam nie powiedział?

— Nie wiem. Chodź, jesteśmy spóźnieni.

— Nie, psia krewo. Mam przepustkę w kieszeni, a nie podpisałem się przy wyjściu, więc nic nie mogą udowodnić.

— Ja też, ale mogą zauważyć, że nas nie ma.

— Webster to załatwia.

— Chcę wrócić. Mam dosyć tego miejsca.

— Zostańmy całą noc. Nic się nie stanie. Żandarmy przyskrzynią nas, jeżeli teraz wrócimy.

— Czy ja wiem. Nie mam pojęcia, co robić. Jestem zmęczony. — Zdawało mu się, że zemdleje.

— Ja nie mogę tam dzisiaj wrócić. Nie cierpię tego miejsca i nie wracam, a nie chcę zostać tu sam. Chodź, stary. Znajdziemy jakieś kurwy i podupczymy sobie całą noc.

Popatrzał przez chwilę na Hancocka. Czemu nie? Pomysł był tak nedorzeczny, że mógł się tylko zgodzić. Poszedł za Hancockiem do Miasta Grzechu i popijał whisky, podczas gdy tłusty

karabinowy targował się z kurwami i o mało nie wywołał bójki z dwoma żołnierzami południowowietnamskimi. Morgan zalał się od razu i kiedy chodzili od baru do baru wśród puszek od piwa, potłuczonych butelek i kawałków brudnego papieru, pojął, że umarł i będzie za karę wiecznie wędrował po Mieście Grzechu. Dziwne smutne brząkanie orientalnej muzyki sączyło się z okien wraz z migotliwym światłem świec. Monotonne, rytmiczne głosy nasilały się, wbijały w mózg, jak nieustanne uklucia. Słyszał śmiechy mężczyzn i kobiet, płacz dzieci, Hancocka, który usiłował mu coś powiedzieć, biorąc od niego pieniądze. Gdy wyszli, cztery Hondy zawarczały i pomknęły w noc; siedział na tylnym siodełku jednej z nich, obejmując kościsty tors prowadzącego Wietnamczyka.

Wszedł do jakiegoś pokoju z Hancockiem i dwiema ko-

448

/

bietami. Utkwił wzrok w podwójne łóżko pośrodku, w kołdrę i prześcieradła, i duże miękkie poduszki. Wlaź pod kołdrę i podkurczył nogi, aby złagodzić ból i chłód w zziębniętych stopach. Wtulił głowę w poduszkę chcąc zagłuszyć gwar głosów Hancocka i kobiet.

Zbudził go pęcherz. Podparł się na rękach i zerknął przez ramię, usiłując sobie przypomnieć. Obok niego leżało jakieś bezwładne ciało, zapewne jego słodka kurwa. Włożył buty i pobrnął do oświetlonej świecami kuchni, gdzie jakaś stara mama-san drzemała w wiklinowym fotelu. Podniosła głowę i łysnęła do niego poczeriałymi zębami.

Ruszył do tylnego wyjścia, ale zatrzymał się i odsunął na bok. A jeżeli czekają na niego na zewnątrz, żeby rozwalić mu głowę pancernownicą czy pięćdziesiątką? Walcząc z pokusą odlania się na podłogę wyszedł w noc. Żadnego ruchu ani dziwnych kształtów. Przekroczył próg i stęzał w oczekiwaniu strzałów. Może zaczekają, aż wyjmie kutasa? Postąpił kilka kroków po ziemnej ścieżce, a potem przystanął i odlał się. Brzmiało to jak werbel. Zaburczało mu w brzuchu; musiało to być słycać na całe mile. Zawrócił do domu i wskazał swój zadek starej kobiecie. Z pudełka, które miała za sobą, wyjęła dwie rolki wojskowego papieru toaletowego.

Na uprawnym poletku przy ścieżce podtarł się, osowiały. Nie ma powodu się bać. Webster ma rację. Wszystko jest za dobrze ustawione, aby nawet Wietkong przeszkadzał. Kurwy i ich rodziny robią pieniądze, a Wietkong i rząd południowo wietnamski także; żołnierze amerykańscy chędożą, więc generałowie i pułkownicy nie muszą się martwić, że chłopcy powariują albo zostaną pedałami. Nawet lekarze mogą świadczyć swoje humanitarne usługi, a sierżanci rozdawać nowe łaski. Doskonałe dla wszystkich. Absolutnie.

Przed domem usiadł pod palmą kokosową, o parę kroków od drogi. Sztywne palmy stukały o siebie na wietrze, a czarne niebo wisiało w górze jak gigantyczny kaptur. Wyczerpanie i znużenie wyparły z Morgana potrzebę snu. Łzy napływały powoli, spokojnie, ledwie przerywając od-

449

dychanie. Zaciągnął się papierosem, ale musiał wykaszlać dym. Otarł usta i oczy i wpatrzył się w ziemię. Myślał o Qrville"u i czuł, że już nie potrafi opłakiwać ludzi. Za wielu ich było. Ledwie dosłyszalne łkanie wezbrało mu w krtani i zawisło na podniebieniu niby pęk kłaków. Wydał z siebie jęk i ugryzł się w przedramię, aby go pohamować.

Nad czymże płakał, jeżeli nie nad samym sobą? Oto jest pierwsza czy trzecia, czy piąta nad ranem, a za pięć dni będzie w kraju słuchał przyjaciół rozmawiających o literaturze i polityce; teraz tu siedzi przy błotnistej drodze, a za pięć dni nie będzie miał absolutnie nic do powiedzenia.

Potrząsnął głową usiłując dosłyszeć, jak to, co zostało z jego mózgu, chlupie w kałuży alkoholu.

Przyszło mu na myśl, żeby zaciągnąć się ponownie, ale uderzył głową

o drzewo, ujrzawszy siebie z zaczerwienionym nosem i za-ropiałymi oczami latającego do końca życia śmigłowcem bez pilota. Dlaczego nie posyłali każdego do ośrodka rehabilitacji, żeby nauczył się znowu mówić, ubierać, jeść

1 twardo sypiać?

Nie mógł sobie wyobrazić, jak to będzie z jego siostrą. O rok młodsza od niego, uczyła w szkole podstawowej w Oakland i brała udział w pochodach protestacyjnych w Berkeley. Nigdy nie była

szorstka w swych listach, ale obawiał się jej potępienia, kiedy wróci do domu. Może wszyscy będą go potępiali. Pewnie na to zasłużył. Lecz może odpokutować. Żadnego picia ani palenia narkotyków. Pilna nauka i chodzenie na artystyczne filmy, żeby wszystko znów ułożyło mu się w głowie. Może to zrobić. Musi. Wojna jest dla niego skończona i musi o niej zapomnieć.

Wrócił do domu, zdjął buty, rozwiesił drelichy na krzesło i wlaż do łóżka. Dziewczyna poruszyła się obok niego, więc wziął ją w ramiona przywierając do jej gorącego ciała, usiłując wchłonąć w siebie ciepło. Po paru minutach, wciąż jeszcze drżąc z zimna, zaczął twardnieć.

Dziewczyna zbudziła się, kiedy wsunął się na nią.

— Teraz śpij — powiedziała. — Ciup-ciup później.

450

— Ciup-ciup teraz. — Zapłacił pieniądze; musiał odstawić przynajmniej jednego sztosia.

Leniwie opuściła rękę i włożyła go sobie. Pchnął dwa razy i drgnął, gdy otworzyły mu się ranki, a potem prze-wał. Już wiotczał. Ale przecież zapłacił. Pchnął znowu :zując, że się kurczy. Po chwili wypadł. Przekreślił się na wznak, sapiąc i dysząc, i roztarł sobie pot po miękkim szruchu.

— Tybeaucoup piwa, żołnierzu. Ciup-ciup później. Bę-izie lepiej.

Poklepała go po policzku, odwróciła się tyłem i zasnęła prawie natychmiast.

Poczuł nagle ukłucie winy na myśl, że Orville może w tej chwili go obserwuje, że obserwował go cały dzień. Jakie ma prawo martwić się o swoje życie w domu, próbować podupczyć za swoje pieniądze, kiedy nie minęły jeszcze nawet dwadzieścia cztery godziny od śmierci jego najlepszego przyjaciela? Jakie ma prawo żyć dalej? Powinien był także umrzeć.

Jakim sposobem mogły odlecieć łopaty wirnika? Były przymocowane co najmniej w sześciu miejscach przeciw-nakrętkami i zawleczkami. Wał był za mocny, by pęknąć, nawet gdyby trafiła go kula. Dlaczego Chambers nie wrócił wieczorem do namiotu? Morgan przekreślił się na brzuch i obrócił twarzą do ściany. Szukając w sobie jakichś uczuć nie znalazł niczego, nawet wściekłości na Harta.

Podszedł do krzesła, wyjął z kieszeni scyzoryk i zabrał go do łóżka. Przycisnął do nogi tępe, zardzewiałe ostrze i pchnął, ale nie chciało wejść. Wparł szpic noża w fałdę na brzuchu, lecz cofnął go, kiedy zaczęło boleć. Co usiłował udowodnić? Rozsmarował strużkę krwi po brzuchu coraz szerszymi kołami, aż wyschła, potem przekreślił się i wtulił głowę w poduszkę.

/

Wciąż myślał, że może nie żyje, że może wędruje gdzieś po tamtym świecie. Ta myśl powróciła na krótko następnego rana, kiedy jadł ryż przyrządzony przez mama-san

451

i popijał herbatą, żartując z Hancockiem i kurwami. Przyszła w chwili, kiedy nareszcie rozgrzał sobie żołądek, gdy poczuł się lepiej. Później, kiedy wstąpili na piwo z Hancockiem wracając do bazy, pojawiła się znowu i usłyszał swoje nazwisko wywoływane gdzieś w głowie. Nie czuł przestרחu.

Wiedział, że tak czy inaczej już się skończyło. Tego popołudnia, gdy leżał na łóżku polowym i słuchał deszczu bębniącego po brezencie, pomyślał, że jeśli nie jest duchem krążącym wśród gór, to zostanie do końca życia w tym zasranym wojsku. Żadną miarą nie mógł się wyrwać. Po pijanemu podpisał jakiś papier na dalsze sześć lat. A może popełnił przestępstwo i będą na niego czekali z kajdankami, kiedy wysiądzie z samolotu w Kalifornii.

Tego wieczora był trzeźwy i wędrował po batalionie szukając czegoś do roboty. Stał dziesięć minut przed nowym drewnianym barakiem S-1, wspominając Stubbsa, Greene'a i Chase'a. Poszedł do klubu oficerskiego, stanął przed nim i przypomniał sobie ostatnią Wigilię, kiedy oświetlał drzwi reflektorami jeepa. Popatrzał na ciemne pole defiladowe za klubem i zastanowił się, kiedy dostanie swój medal, i czy na tamtym świecie .urządzają ceremonie odznaczeń.

Czas płynął chronologicznie. Bez względu na to, co się zdarzyło, czas mijał. Zasnął, obudził się, zjadł, załatwił formalności w personalnym dywizji, urznął się i obudził nazajutrz w błocie obok swego namiotu, tam gdzie niegdyś popijał z Fisherem. Doprowadził się do porządku, spędził popołudnie na gadaniu, przygotowując się do odjazdu następnego dnia. Napotkał żołnierza, który właśnie wrócił do batalionu, oberwawszy w paździeniku osiem-dziesięcioma kawałkami szrapnela,

i ledwie mógł mówić. Bełkotał i jękał się usiłując wygrzyźć z powietrza słowa, które musiały być jak beton w jego ustach.

Tego wieczora na spotkaniu krótkoterminowych Morgan czuł się tak, jakby siedział na stosie nie nakreślonych, popsutych zegarów. Całe to podniecenie było fałszywe i nie mógł odzyskać radosnego poczucia koleżeństwa, które tak

452

> cieszyło owego wieczora, kiedy wyjeżdżał z Fuldy na ojnę.. Znudzenie zapędziło go do łóżka o dziesiątej. Czas ijał. Rano odjechali na lotnisko, a o pierwszej tłusty szrant w wyprasowanych drelichach i wyglansowanych itach dżunglowych pouczył ich, jak mają się zachowywać obozie wyjściowym w Pleiku. Zjedli, przydzielono im »żka, a kiedy zapadła noc, zasiedli na ławkach, aby obejść film.

— To był nielichy rok — powiedział Clampitt.

— Nigdy go nie zapomnimy. — Webster tupnął nogą r rozklekotaną ławkę.

To było na nic. Wszystko zostało powiedziane już dawno mu. Łącznie musieli spojrzeć ze dwieście razy na zegar-i, nim światła pogasły. Kiedy na ekranie zamigotały ierwsze klatki filmu, każdy skurczył się w sobie. Potem o łóżka. Nikt już nie musiał nic mówić.

Stary Crnckett powiedział, że Wietnam to mucha w po-ównaniu z Koreą. — Tam było tak zimno, że człowiek zczał w portki, nim zdążył wyjąć fiuta. — Ojciec Morga-a mówił z kolei, że nie można niczego porównać z wielką /ojną w Europie, kiedy to przesłużył trzy lata jako żoł-ierz w piechocie. A tamten z piechoty morskiej, którego lorgan spotkał będąc na wypoczynku, twierdził, że tylko rnia lądowa ma dobrze, dostaje dwa czy trzy gorące po-iłki dziennie, sypia co noc w śpiworach, ma piwo i dupy. >lorgan zgadzał się z nimi wszystkimi. Nie miał tak źle. foe wiedział, co to są ciężkie chwile.

Obudził się poczuwszy na ramieniu dłoń dowódcy zmia-Ly. Włożył buty i pobrnął w ciemność zdając sobie spraye, że wstał w Wietnamie po raz ostatni. Przy otoczonym Irutem kolczastym wejściu na teren namiotów, w których pali odjeżdżający żołnierze, oparł się na swojej broni zadrzał w porannym chłodzie.

Słońce schowało się za gęste chmury i wszystko zrobiło ;ię jednolicie szare, tak jak prawie każdego dnia w Ful-Izie. Kilkaset jardów poniżej w kierunku południowym sta-y trzy rzędy nowych, już prawie wykończonych, betonowych baraków. Za nimi rozciągała się ogromna polana po-

453

rośnięta krótką jasnobrunatną trawą, sięgającą aż po wzgórze pokryte gęstą zieloną dżunglą. Na polanie panował spokój. Chwasty uginały się pod kroplami wczorajszego deszczu i rosy, a niebo wyglądało tak, jakby miało się zapaść i pogrzebać wszystko. Z namiotów wychodzili żołnierze i mijali go idąc do kantyny ze spokojnymi, sennymi twarzami. Sierżant z warty odebrał mu broń i posłał go na śniadanie.

Kiedy ciężarówka zajechała na lotnisko, właśnie startował C-141. Odczytano nazwiska na następny lot; ludzie weszli przez bramę i ustawili się w szyku przed trzema barakami i grupką domków. Jakiś sierżant powiedział, że ich samolot przyleci za trzy kwadransy i nawet nie będzie wyłączał silników. Nowi żołnierze wysiadają, oni powsiadają i maszyna wystartuje.

Webster był jedynym jego przyjacielem podczas tego lotu. Hancock miał wyruszyć następnym, w cztery godziny po nich, więc zapewne spotkają się w Oakland.

Webster poszedł po coca-colę, a Morgan do małej latryny. Rozpiął rozporek i drgnął, gdy jego członek odlepił się od kałesonów. Pieczenie zaczęło się za pierwszym strzyknięciem uryny. Zgrzytał zębami i tupał prawą nogą w podłogę, dopóki nie skończył. Jeszcze jedna korzyść ze służby. Jeżeli jesteś dostatecznie dobry, to ciebie chcemy. Wybór, nie przypadek. Nie mógł buntować się z tego powodu. To wszystko sam sobie wybrał. Armia. Europa. Wietnam. Walka. Kurwy, oczywiście. Teraz nie zdecyduje się iść do lekarza.

Poszli z puszkami zimnej coca-coli na skraj pasa startowego, gdzie żołnierze przydzieleni na następny lot stali z oczami wlepionymi w niebo na południu.

— Leci! Leci! — ktoś krzyknął. Ludzie zaczęli wiwatować, cisnąc się do swoich worków odzieżowych.

Morgan przez chwilę wpatrywał się w błyszczący punkcik, a potem sierżant trzymający blok papieru wrzasnął:

— Ustawiać się, do cholery! Ustawiać się! Nikt się nie rusza, dopóki nie dam rozkazu.

Ktoś krzyknął, gdy odrzutowiec dotknął ziemi, podsko-

454

sył i osiadł na pasie startowym. Klapy opadły, a silniki ihuczały jak piec hutniczy. Hałas ustał, kiedy samolot iczał powoli kołować ku nim. Zatrzymał się przed szy-iem, a spod osłony kół doleciał cichy, jękliwy świst.

— Pierwszy szereg, maszerować! — krzyknął sierżant. —)bejsć maszynę od tyłu i wsiadać z przodu.

Zaledwie trzy zielono odziane postacie zdążyły zejść po ylnej rampie, kiedy odlatujący żołnierze zaczęli pokrzy-iwać drwiąco.

— Witajcie, nowi!

— Strasznie wam się tu spodoba!

— Przykro nam, chłopaki!

— Jaki jest numer telefonu twojej dziewczyny?

— A mamusia wie, że jesteś tutaj!

— Pieprzyć was!

— Pieprzyć armię. Na całego!

— Pieprzyć armię!

— Pieprzyć Wietnam!

Morgan stał w trzecim szeregu, który nie ruszył się, do-lopóki ponad pięćdziesięciu nowych nie wysiadło z samo-otu. Nie mógł od nich oderwać oczu. Ich drelichy wyglą-iały tak, jakby jeszcze nie były prane. Różowe twarze uśmiechały się niepewnie, kiedy słyszeli te drwiny.

— Zasuważ, człowieku — powiedział stojący za nim żołnierz.

Morgan wziął swój worek i ruszył do samolotu. Utkwił iczy w jakiegoś tłustego nowo przybyłego, który miał warz niemal fioletową, kiedy uginając się pod swoim wor-;iem odzieżowym odchodził od odrzutowca. Worek zachy-jotał się, a on o mało nie upadł, ale odzyskał równowagę spojrział Morganowi w twarz dużymi księżycowymi oczami Jego sapanie przypominało małą trąbę powietrzną.

Morgan przystanął wpatrzony w nieszczęsnego żołnierza. Uzuł, że wzbierają w nim jakieś słowa, gwałtowne wyrzyganie wszystkiego, czego się tu nauczył. Tamten wydawał się tak przestraszony, tak całkowicie oszołomiony.

— Zawracaj, człowieku.

— Co?

455

— Zawracaj. — Morgan myślał przez chwilę, że roze-śmieje się na widok jego osłupienia.

— Nie mogę.

— No, to popieprz bąka, a bąk brzdąka.

— Ruszaj się! — Żołnierz idący za nim popchnął go naprzód.

— Wy, tam — powiedział sierżant. — Rzućcie swój worek i zapierdalajcie do samolotu.

Morgan cisnął worek na stos i wbiegł po wąskiej rampie w chwili, kiedy wysiadał ostatni z nowo przybyłych.